

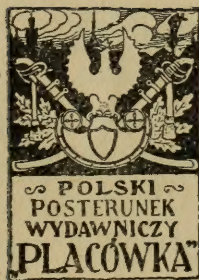
GÓRY Z PIASKU.

TEKA LITERACKA

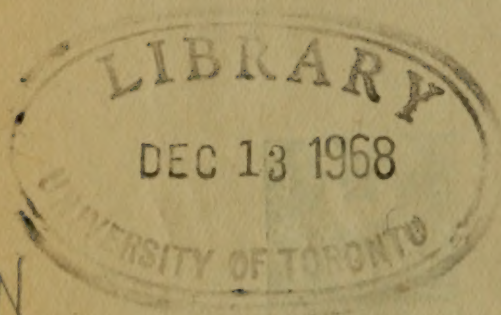
Adolf Nowaczyński

GÓRY Z PIASKU

SZKICE



NAKŁADEM POLSKIEGO POSTERUNKU
WYDAWNICZEGO „PLACÓWKA"
WARSZAWA, NOWY ŚWIAT 40. — ROK 1922



Druk. F. Wyszyński i S-ka, Warszawa, Warecka 15.

POLONJUSZ.

(O POLSCE W SZEKSPIRZE)

Jubileuszowy rok Szekspira, tj. 300-lecie od daty śmierci (3 maja 1916 r.) rozbudził, jak to można było spodziewać się, nawet mimo srożącej się wojny, wzmożony ruch w pracach naukowych, poświęconych najnieśmiertelniejszemu poecie wszechczasów. Znacznie już atoli przed trzechsetleciem, tj. w ostatnich latach przed wojną, wezbrała fala prac i studjów z dziedziny szekspirologji w piśmiennictwie każdego z narodów europejskich, pojawiły się studja oryginalne i ciekawe, powiększające olbrzymi dorobek mózgowy ludzkości w kierunku poznania makrokosmu szekspirowskiego, dorobek, który razem zebrany stworzyłby bibljotekę o więcej niż półkrocia tomów. Nie zabrakło przy nadchodzącym w roku 1916 jubileuszu szekspirowskim prac fundamentalnych i w językach narodów pomniejszych i małych, jak np. w duńskim, czeskim, węgierskim, holenderskim, gdzie wszędzie istnieją od lat dziesięciu lub więcej, poważne Towarzystwa szekspirowskie, tj. asocjacje nietylko fachowych znawców i uczonych w piśmie ale i miłośników i lubowników Szekspira. Możnaby przy tej sposobności sparafrazować znaną maksymę, że kulturę danego narodu mierzy się nietylko ilością zużywanego mydła, ale, jeżeli o intelektualnej uprawie umysłów mowa, to ilością i jakością prac w twórczość poety się zagłębiających. Niestety, my pod tym względem stoimy na bardzo szarym końcu, a ostatnie pokolenie nic nie przydało do skromniutkiego rejestru poprzednich; szekspirologja polska utknęła przy czasach Kraszewskiego, Struvego, Spasowicza, dość przygodnie i jednostronnie z Szekspirem się parających, a jedyne dzieło, którem możemy się rehabilitować przed intelektualną elitą angielską, tj. Matla-

kowskiego benedyktyńska apologja Hamleta mocno już omszała i pyłem bibljotecznym zatrąca. Żywimy niezłudną nadzieję, że w przyszłości niedalekiej, kiedy przy fakultetach naszych pięciu uniwersytetów z katedry angielszczyzny szerzyć się będzie wiedza o potędze anglosaskiego piśmiennictwa, młodzi adepci tej wiedzy nadrobią w tych brakach i powoławszy do życia „Polskie Towarzystwo Szekspirowskie", zrównają nas i w tej dziedzinie kulturalnej choćby z... Węgrami lub Czechami.

Z dzieł kapitalnych, które z okazji jubileuszowej pojawiły się w dziedzinie szekspirologji [1]), ale w naszych opłakanych warunkach dość trudno i z wyjątkami tylko dostępne są lubownikowi polskiemu, na pierwsze miejsce wybija się progmatyczna biografia Sidney Leego (1913, str. 770), która wraz z późniejszemi jego supplementami, drukowanemi w „*Contemporary Rewiew*", (np. Sh. and Public Affairs 1913), oraz z pracami biograficznemi Ch. W. Wallace'a, Ernesta Lawa, D. Masson'a, Wetza, Engela i innych, całkowicie wyczerpują już temat i sprawiają, że żywot doczesny Szekspira omal nie ma już dla nas ni żadnych tajemnic, ni żadnych niejasności, że bytowanie autentyczne twórcy Króla Lira znamy w całej rozciągłości i w tysiącach szczegółów znacznie lepiej i dokładniej od jego współczesnych i rówieśnych. Wszystkie mroki omal są już rozjaśnione, wszystkie karty odkryte. Rezultatem tych pedantycznie krytycznych, sumiennych, ściśle naukowych badań jest przedewszystkiem doszczętne obalenie mytu Bakoniańskiego i zbyt długo utrzymującej się ongiś fikcji, jakoby autorem szekspirowskich dramatów był filozof z Verulamu. Figlarna hypoteza Morgana, podtrzymana przez Speddinga i Smitha, a energicznie i efektownie rozreklamowana przez ekscentryczną amerykankę miss Delję Bakon, blisko pół wieku mistyfikowała

---

[1]) M. Greenwood: The Sh. problem restated (1908), Dawid Masson: Sh. personally (1913), E. A. Peer: Elisabethan Drama and iths Mad Folks (1913), Wilbraham Frenck: Sh. Hamlet new commentary, William Poel: S. in the Theatre, Alois Brandl: Sh. and Germany (1918), Stopford A. Broocke: Ten More Plays of. Sh. (1915). Prof. E. Dowden: Sh. and his spirit, Sidney Lee: Sh. Biography (1913), Andrew Lang: Bacon and the Great Unknown (1914), Magdalene Thümm: Kintzel, Sh. Rathsel (1909), Ernst Erler: Die Namensgeburt bei Sh. (1914), W. Wetz: Lebensnachrichten ueber Sh., Eduard Engel: Sh. Raethsel (1919), Charles William Wallace: Biography Sh. (1914), Jasques Boulenger: L'affaire Sh. (1913), Spacier: Der Papist Sh. im Hamlet. Trevir (1914).

świat uczonych, głównie dzięki poparciu takich powag niemieckich, jak Kuno Fischer i Gervinus, w których konserwatywnych głowach pomieścić się nie mogło, aby aktor, histrjon i poeta Szekspir mógł stworzyć szereg arcydzieł tak głębokiej filozoficznej treści. Bakonianów podtrzymywali w tym naukowym obłędnym błędzie wyznawcy poglądów tych, że autorem dramatów jest hr. Southampton, to znowu, że hr. Rutland, w każdym razie szlachcic świetnego pochodzenia. Już uczony niemiecki Ernest Sipper (1904), a po nim Stoppes angielski wstrząsnęli całkowicie logiką hypotezy Bakoniańskiej, kiedy jeszcze inni uparci fantaści jak A. Kniepf, Donnelly, Wigston, Rapp, A. Weber von Ebenhof wyszukiwali mozolnie nowych argumentów i dokumentów na stwierdzenie tego, co z za oceanu apostołowała miss Delja „Słonina", że tylko lord Słonina z Verulamu (syn nieprawy królowej Elżbiety i lorda Leicestera), mógł sobie pozwolić na pisanie arcydzieł. Dziś po pracach Wallace'a i Leego teorja Bakoniańska faktycznie już nie istnieje, aczkolwiek można mieć pewność, że jeszcze znajdą się monomani poszukujący na manowcach i czepiający się drobiazgów, dedukujący z błahych pozorów, opierający cały gmach swych koncepcji na fundamentach ze słomy a z zaciętością i zapamiętałością jakby jakichś literackich detektywów londyńskich starający się udowodnić, że fenomenu Szekspira wogóle nie było, jak nie było Homera; Hamleta zatem napisało konsorcjum wykwintnych lordów lub biograficznie dostojny sir Francis, byle tylko nie sam master William, a „winowajcy" poszukiwać należy koniecznie gdzieindziej.

Dzięki pracom Wallace'a, który przeglądnął przez lat kilkanaście przeszło miljon aktów w Public Record Office, oraz syntetycznej biografji Leego nad wszystkimi tymi poszukiwaczami jakiegoś „godniejszego" Szekspira, przejść już będzie można do porządku dziennego, nie zaprzątając sobie nimi czasu; w bibljotece szekspirjologicznej będą podciągnięte pod rubrykę curiosów. Ponieważ zaś równocześnie z tą wiedzą specjalną olbrzymie postępy zrobiła wiedza historyczna o całej epoce Elżbietańskiej, tak, że w świetle tej wiedzy nowy Goadby mógłby napisać nowe dzieło o „Anglji za czasów Szekspira", przeto przy dzisiejszym stanie nauki, pełna już i mocna w konturach postać, występuje na tle pełnego i wiernego obrazu swego środowiska i swych czasów; cały zaś szereg, cały

rój zagadek i kwestji złączonych z postaciami Szylloka, Prospera, Krola Lira, Malvoglia, Falstaffa, Troilusa, Tymona Ateńczyka, Korjolana, zostaje wyświetlonych i rozwiązanych. Dziś dopiero przy możliwości drobiazgowego i ścisłego zrekonstruowania sobie pełnego wizerunku merry old England z jej życiem politycznem, obyczajowem, religijnem, etycznem, ekonomicznem, odcyfrowalne są wszystkie niejasności i wszelkie plamy pozorne w tekstach, dziś dopiero jasne są i wyraźne wszystkie aluzje aktualne u Szekspira, jeżeli oczywiście staniemy na stanowisku, że wszelkie nawet najnieśmiertelniejsze zjawiska literackie to nietylko wyniki indywidualnych procesów twórczych, ale to znaki (signes) i równocześnie dokumenty historyczne pewnych stadjów i ewolucji historycznych, narodowych, socjalnych, a nawet gospodarczych, skoro staniemy na stanowisku, że i genjusz byle synergetyczny z otoczeniem, ze środowiskiem i ze swym narodem nietylko tworzy wartości i prawdy nowe, niebywałe, nieistniejące ale także ogniskuje i skupia w sobie wartości i prawdy istniejące i pospólne, ergo, że nietylko sam jest źródłem promieniejącego światła i ciepła, ale sam świeci przez wyjątkową moc i możność zbierania w sobie i wchłaniania rozproszonych w społeczności swej i w swych czasach promieni. Skoro zaś nawet dla ogarnięcia indywidualności lirycznej i emocjonalnej, nieodzownem jest zapoznanie się z nieuchwytną duchową treścią czasów, w których indywidualność taka wykwitła, to konieczność zapoznania się z tłem wzmaga się dla krytycznego badania, jeżeli interesujemy się dramatystą.

W pełni rozkoszować się można, rozsmakować i poddać urokowi utworu dramatycznego z dawnej, zapadłej epoki, dziś jeszcze tylko wtedy, gdy się zna tajemnicę jego genezy, całokształt życia czasów, z których fragment syntetyczny uwiązł w dziele literackim. Snobom i symplistom winien imponować autorytet i aureola nieśmiertelnego nazwiska. Może więc snob sobie ziewać, ale ma obowiązek podziwiać i mówić o „arcydziele" z respektem i rewerencją; dla nowocześnie rafinowanego i wysubtelnionego miłośnika, poniektóre „arcydzieło" zawierałoby niekiedy taką sumę prostactwa, kalectwa, rubaszności, brutalności, rękodzielnictwa, gruboskórności, złej roboty i prymitywności, że byłoby nie do przesłuchania i nie do przetrzymania a satysfakcję artystyczną dawało mniej niż

względną, gdyby nie „wtajemniczenie”, gdyby nie rozkosz erudycyjna, nie to ustawiczne widzenie i słyszenie podwójne, nie to przemiłe obcowanie, nieoficjalne a prywatne z autorem, którego żywot i jego sprawy i jego czasy dokładnie się zna. Wtedy dopiero i tylko, powtarzamy, dla wtajemniczonego Eschylos żyje nanowo, a nieśmiertelność Goethego nie jest niekiedy śmiertelnie nudną. Jeszcze na Edypa można patrzeć z admiracją i głaskać książkę, zamknąwszy oczy, jak zimny marmur kolumny, ale już Moliera „Świętoszek” frapuje tylko, gdy się, oderwawszy oczy, kontempluje kalwarję jego smętnej egzystencji; aureole Racina czy Schillera spłowiały i zbladły do niemożliwości, gdyż filisterstwo ich bezbarwnych, bezprzygodnych żywotów nie nęci do rozmyśliwań nad tem kto, jak, poco i naco te nużące i wodniste aleksandryny poprawnie i natchnienie wyklecił. Ze wszystkich zaś wielkich dramatystów stary Szekspir intryguje zawsze i po wieki rozciekawiać będzie nietylko dlatego, że się z każdego wiersza, z każdego zwrotu myślowego wyczuwa demoniczną suwerenność tej natury, nietylko dlatego, że wszystkie swe postacie stworzył z prawdziwej a nie papierowej gliny i tchnął w nie ducha a nie rymy i rytmy i nietylko dlatego, że w duszę wszechczłowieka wszechczasów zapuścił sondę psychognosty aż do najgłębszych jej sztolni i pokładów, ale także z tej racji, że Szekspir jest całą Anglją bez reszty i całą swą epoką bez reszty i całym kontynentem, szóstym kontynentem, własnym, odrębnym, swoistym, przez siebie stworzonym światem.

Różne czasy różny Szekspir zajmować będzie; w tej epoce badaczów pociągnie jako filozof, w innej jako socjolog, w innej jako pieśniarz poematów miłości, w innej jako autorytet w patologji, kryminolog, jurysta etc. Nierównie ważniejszym dziś znów jest zdanie sobie sprawy z Szekspira, jako politycznego myśliciela swych czasów, jako świadomego obywatela wielkiego imperjum, jako wyobraziciela patrjotyzmu angielskiego, którą to dziedzinę aż do przedostatnich czasów, t. j. do prac Saintsbury’ege, Steevensa, Stedefelda, wreszcie do świeżych dzieł Brandla, Pellisiera, Boulengera, cokolwiek ze strony uczonych komentatorów odsuwano na drugi plan, podczas gdy właśnie cały szereg praktycznych polityków jak Palmerston, Blucher, Bismark w lekturze szekspirowskiej często szukali rady, kierunku, pouczenia, wytycznych, a nasz naj-

większy i najnieszczęśliwszy mąż stanu, rzymsko posągowy Margrabia Hamleta umiał na pamięć. Dziś już dzięki wysokiemu poziomowi, rozległości i wszechstronności wiedzy szekspirowskiej, możemy sobie zdać sprawę do jakiego stopnia w zwierciadle dramatów szekspirowskich odbija się polityczne życie Elżbietańskiej epoki.

Szekspir należy, a raczej jest primus inter pares tych największych twórców, u których moment pierwszej koncepcji dzieła nie jest momentem najścia stanu nadświadomości i szału twórczego, ale dla których moment koncepcji wogóle jest czemś drugorzędnem i małoważnem, których twórczość natomiast zasadza się na najdoskonalszem, celowem, trzeźwem obmyśleniu i konsekwentnem przeprowadzeniu wielkiego planu literackiego. Jako organizator swego dzieła wchłaniał w siebie wszystkiemi porami całą treść swych czasów, całe stubarwne życie, pełne kontrastów i dylematów, problemów i dysonansów, brał do swej świadomości wszystkie elementy i męty przewalającego się życia, więc piękno, brzydotę, heroizm i tchórzostwo, zbrodnie i ofiarności, podniosłości i cudactwa, najintensywniej i najosobiściej interesował się wszystkiemi objawami zewnętrznego, okalającego go świata. Nic co ludzkie i co współczesne nie było mu obcem. Z chaosu barw i form, charakterów i wydarzeń, ze spienionych nurtów życia ogółowego, z zawiłości motywów, ze splotów konfliktów, wydarzeń, faktów i wrażeń, z theatrum mundi mózg jego wydedukowywał i organizował projekcje świata zewnętrznego i współczesnego na deski sceniczne. Jego „tragical histories” nie były ani w jednej uncji utworami sztuki, tworzonej dla samej satysfakcji rodzenia dzieła sztuki, ani sztuki dla literatury sub specie aeternitatis, ani też zeznaniami li tylko jego osobistych przeżyć, przemożeń i przezwyciężeń, czy rozłożonemi na polyfonję głosów konfesjami dziecka wieku XVI, ale powstawały, jako w plastyczne kształty zaklęte rezultaty jego przemyślań i przeboleń i doświadczeń, związanych tysiącznemi nićmi z jego współczesnością i społecznością. Ze wspaniałej plejady dramatystów Elżbietańskich, z których kilku zasługuje w pełni na miano genjalności (Marlowe, Webster, Johnson, Kydd), ten jeden aktor z fachu wybił się już za życia na plan pierwszy, gdyż już w samem zamierzeniu swej twórczości miał o doniosłości i o misji sztuki dramatopisarskiej pojęcie najgórniejsze, rosną-

ce wciąż, aż wreszcie wypowiadające się dumnie w tym akcie Hamleta, w którym szkic dramatyczny, odegrany przygodnie przez cygańską trupę aktorów wędrownych, spełnia rolę trybunału wiekuistej etyki, druzgoce zbrodniarza na tronie i obala dynastję. Tematy i osnowy szekspirowskie pozwalały już domyślać się (zanim dzisiejszy stan nauki o Szekspirze definitywnie to stwierdził), że master Wiliam teatr uważał i podnosił planowo i rozmyślnie do godności instytutu, w którym rozstrzygają się boje ideowe, toczą się walki w obronie starych lub dla przeforsowania nowych wartości idealnych, instytutu, w którym objawiają się widomie najwyższe siły kulturalne rasy, a dusza narodu w utworach scenicznych przeziera jak w zwierciadle. Dzisiejszy stan nauki o Szekspirze wykazuje nadto jeszcze więcej, że twórca takich panteistycznych poematów jak „Opowieści zimowej“ i „Snu nocy letniej“, piszący nadto pod przewodem czysto idealistycznego imperatywu twórczego, nie uchylał się i nie unikał nawet przeprowadzenia pewnych konkretnych celów politycznych w swych tylko bardzo pozornie oderwanych od swej współczesności arcydziełach. Dziś już wiedza o Szekspirze dała nam klucze do otwarcia tych skrytek i uświadomiła nas, dlaczego Korjolan jest tak pojęty a nie inaczej, czyje pomysły wygłasza Prospero, dlaczego w Szylloku uwięził po wieczne czasy psychę semicką. Pod tym kątem patrzenia o kilku wielkich utworach Szekspira możnaby zaryzykować zdanie, jako o sztukach do pewnego stopnia nawet tendencyjnych, o kilku innych jako o zawierających sceny, sytuacje lub charaktery z pewną wyraźną tendencją programatycznie pisane. Można na to się ważyć tem śmielej, odkąd znakomity uczony niemiecki von Willamowitz-Moellendorf udowodnił, że Oresteja, a więc najczystsza tragedja attycka, była sztuką w pojęciu owoczesnych współcześników greckich tendencyjną, orężem w walce o pewne wonczas aktualne idee. To bowiem, co nam przedstawia się jako dramat absolutny, wszechludzki, czysto etyczny, to dla Eschylosa było także demonstracją polityczną za utrzymaniem areopagu, tego najwyższego Trybunału nad krwią i mieniem i stwierdzeniem boskiej (od Ateny) genezy tej ludzkiej instytucji społecznej, równocześnie demonstracją przeciw klerykalnemu wyzyskowi delfickiego Apollina, przeciw pojęciu, aby bóg Apollo domagał się krwawej zemsty rodowej aż na matce, która u Greków była najwyższą

świętością. Willamowitz-Moellendorf stwierdza niezbicie, że Oresteja była środkiem w walce pewnych zwalczających się ideałów i obozów etyczno-politycznych i że ta attycka tragedja miała dla współczesnych słuchaczów i widzów takie także czysto aktualne walory, jak dla nas np. „Tkacze“ Hauptmanna, „Wróg ludu“ Ibsena, „Klątwa“ Wyspiańskiego, lub „Potęga ciemnoty“ Tołstoja. Szekspir jest nieporównanie bliższym nam, niż czasom Eschylosowskim, jest w pewnej mierze człowiekiem już zgoła nowoczesnym. Epokę jego egzystowania wyświetla dla nas wiedza historyczna już tak dostatecznie, że obecnie i tu dostrzec już możemy wszelkie włókienka wiążące poszczególne „histories“ Szekspira z jego społecznością i współczesnością. I oto wiedząc teraz, że jego twórczość cała nie unosi się zawieszona w powietrzu jak duch nad wodami, wiedząc, że ten angielski patrjota, nacjonalista i imperjalista w każdym calu sztukę dramatu ważył jako najwyższe objawienie, najsilniejszy eksponent, jako plastyczną syntezę kulturalnych możliwości narodowych, jako dźwignię wzmożonego spotęgowanego życia ogółowego, jako szczytną współpomoc poety w przeparciu pewnych ukochanych ideałów ku ich realizacji w życiu powszednim, możemy z tej zasady wychodząc rozpatrzeć się i w najnieśmiertelniejszym i najnowożytniejszym utworze szekspirowskim, to jest w „Hamlecie“. Jest to tem więcej pociągającem, że w tragicznej historji duńskiego królewicza, pełnej politycznych wprost już dźwięków i zatrącań i aluzyj, jest też jedna postać, a raczej tylko figura, którą największy genjusz światowładnej dziś rasy anglosaskiej nazwać sobie raczył: Polonjusz. Dlaczego tę właśnie, niestety, a nie inną z tysiąca swych kreatur, to postaramy się wybadać i wyświetlić w nadzieji, że z czasem ktoś więcej „uczony w piśmie“ rojenia niniejsze albo jak bańkę mydlaną zdmuchnie, albo, opierając się na badaniu ścisłem, utwierdzi i utrwali. Może R. Dyboski?

II.

Nazwisko *Shakespeare* w pewnych powiatach Anglji z 16 wieku, szczególnie w Warwickshire było tak pospolitem, jak u nas Kwiatkowski, Karpiński, Kozłowski; mógł je nosić i wódz i szewc i bohater i stróż nocny. Shakes-peare znaczy dosłownie „rzucacz grotem”: Grotowski. W samem Rowington naliczyły badania między rokiem 1564 a 1616 sześciu Shakespe-

arów, Grotowskich, noszących imię Williama. Stąd się więc wzięły te przerozmaite legendy i anegdoty z życia naszego Szekspira, które w 50 lat po śmierci już wówczas za wielkość uważanego poety zebrał niejaki Aubrey i wszystko, co się tyczyło rozmaitych Szekspirów Williamów, t. j. woźnych sądowych, stolarzy, kramarzy, constablów, woźniców, swobodnie zwalił na conto autora sonetów! Wszystkie te baśnie o kradzieży dziczyzny w lesie, o kłusownictwie, o trzymaniu koni szlachcie przed teatrami londyńskiemi, o procesach i pieniactwie, o kłótniach z żoną, o dwuch łóżkach w testamencie, o piwowarstwie, o kamieniczkach, o nagrobku z przekleństwem i t. p., można już dziś porozdzielać między kilkudziesięciu Szekspirów i to nawet Williamów z czasów Elżbiety i Jakóba. Poeta Szekspir był z profesji aktorem, a jeszcze ściślej instruktorem, reżyserem, przedsiębiorcą i współwłaścicielem teatrów, z czasem może właściwie rodzajem intendenta zrzeszeń aktorskich, najpierw pana podkomorzego królewskiego, poczem samego króla jegomości Jakóba. Dla tych trup dworskich najpierw przerabiał i adoptował gotowe już, stare skrypty sceniczne, poczem sam oryginalne jął pisać, często na specjalne zamówienia osób wysoko postawionych, nawet samej królowej. (Wesołe kumoszki z Windsoru, grane na feście w Somerset-House). Amerykański szekspirolog Ernest Law w pracach swych (z r. 1910 i 1912), udowodnił dokumentami, które sztuki byłego przedsiębiorcy z Globe-Teatru grane były przed dworem i królową w Saint James Palascie. Stwierdzono już, że trupa Szekspira (Lord Chamberlaine servants) w r. 1602 stała się trupą dworską (His Majesty servants, King Players), jako też, że list Jakóba I, gratulujący Szekspirowi „Makbeta", niekoniecznie jest apokryfem. Przy wjeździe koronacyjnym Jakóba I, pochód uroczysty przez City otwierały His Majesty Servants z Szekspirem na czele, który w inscenizacji pochodu brał pierwszorzędny udział. Wytaczamy tu te szczegóły, aby wyjaśnić że Szekspir, aczkolwiek nie był figurą oficjalną dworską, nie był „courtierem", ale z dworem królewskim pozostawał w pewnym kontakcie i aczkolwiek profesjonalny tylko aktor, mógł stale stykać się z society dworską i z dystyngowaną peerage. Udowadniają to nadto sonety poświęcone lordowi Southamptonowi, udowadnia wreszcie romans 44-letniego poety z damą dworu miss Mary Fitton (Dark Lady), usuniętą następnie z tegoż dworu z powodu nie-

miłych afer z hrabią Pembroke. To, że w Londynie mieszkał sobie kątem u perukarza francuskiego Montjoya przy Silver-Street, że przez jakiś czas prowadził żywot cygana literackiego i wysiadywał wraz z kolegami playwrightami (cieślami sztuk) w Tawernie pod Syreną, te i t. p. szczegóły, którymi rozkoszują się Bakonianie, Gervinus, Fischer i inni, wyprowadzając z tego wnioski, że taki „szynkowniany włóczęga" nie mógł znać manier i obyczajów dworskich, nie mógł mieć filozoficznej uprawy umysłu, nie mógł być wtajemniczony w arkana polityczne, te i t. p. szczegóły biograficzne wyrwane luźnie z pewnych lat, nie przesądzają tego, że Szekspir szybko mógł zbrzydzić sobie rubaszną kompanję z Mermaid-Tawern i więcej gustował w towarzystwie takich courtierów, np., jak Tomasz Sackville, który był i dworzaninem doskonałym i autorem licznych utworów dramatycznych, w towarzystwie komedjopisarzy earla of Oxford lub H. Barkera lorda Morley, niżeli w towarzystwie kolegi Greena, który nań wypisał paszkwil, zwąc go „an absolute Johannes Factotum", „sroką ubierającą się w cudze piórka". Stwierdzono dalej dokumentarycznie, że aktor Szekspir pozostawał w nader serdecznych stosunkuch z sir Filipem Sidneyem, zaufanym doradcą królowej i jedną z najlepszych głów dyplomatycznych ówczesnego imperjum. Czy master William towarzyszył mu w podróży do Italji, gdzie ten dyplomata dłuższy czas przebywał w Wenecji, czy Szekspir wogóle był w Italji (jak twierdzi upornie niemiecki badacz E. Engel), to jeszcze kwestja otwarta i przychylać się raczej należy do poglądu, że ten wielki obywatel Europy „z granic miłej ojczyzny nigdzie nie jeżdżając"—jak mówił o sobie Mikołaj Rey. Stwierdzony naukowo stosunek serdecznej zażyłości z sir Filipem, już pozwalał znać aktorowi kulisy polityczne ówczesnej Anglji. Zresztą trzeba też wziąć pod uwagę ten najważniejszy szczegół, że wysoka szlachta ówczesna i dwór specjalnie popierały teatr i jego ludzi, wbrew i na przekór purytańskiemu mieszczaństwu z City, które znowuż wszystko, co miało związek ze sceną, uważało za dzieło Belzebuba a histrjonów nie pozwalało nawet grzebać na cmentarzach. Twórczość dramatyczna wogóle nie wliczała się do literatury nadobnej, a jedyny wyjątek zrobiono dla Szekspira, którego uczony koneser Francis Meres już wówczas (1590) komplementował, wyrażając się, „że jeżeliby Muzy Helikonu mówiły po angielsku, to wyrażałyby

się językiem Szekspira". Szykany dla teatrów ze strony municypality, constabullary, szeryfów i kleru angielskiego starała się wynagrodzić im arystokracja, która znowuż specjalną protekcją otaczała twórczość Lillyego, Peela, Chapmana i.... Szekspira.

Królowa Elżbieta bywała kilkakroć gościem spółki Burbadge i Shakespeare, siedząc sobie w drewnianej loży na scenie. Wywdzięczając się za to stanowisko dworu, autorzy dramatyczni wysoko cenili ideę monarchiczną i sławiąc wielkich regentów wszystkich czasów i narodów, podtrzymywali na deskach tęatrów blask monarchizmu, dyskredytując raz po raz demokratyczne i republikańskie ustroje. Szekspir, choć pochodził sam właściwie z drobnego mieszczaństwa (yeomairy) dla plebejuszów nie miał istotnie ani szczypty sympatji czy choćby pobłażania, a niema omal ani jednego dramatu jego, w któ-rymby nie manifestowały się niechęć, lekceważenie, a często pogarda dla „*the general*", dla pospólstwa, gawiedzi, ciżby, tłuki. Wszystkie figury z ludu są u niego groteskowo śmieszne i karykaturalnie przerysowane. Nie można się dziwić ani nihiliście Tołstojowi, ani fabianiście Shawowi, że z tak specjalną i tak barbaryjną awersją odnoszą się do fenomenu Szekspira. Trudno bowiem zajść dalej w bagatelizowaniu demosu i jego wybrańców, jak zaszedł ten mieszczuszek z Stradfordu z ducha pełen *gentliness and nobility,* którego imiennicy dosłowni byli sobie nawet siodlarzami czy pachołami po browarach.

Cześć dla monarchizmu, broniącego też teatru przed dążnościami do zagłady ze strony Purytańskiego mieszczaństwa, (Malvoglia) przeglądała z każdej kroniki Henrykowej (Henryka V, Henryka II, Ryszarda III, Króla Jana), z „Miarki za Miarkę" (gdzie w księciu jest żywy konterfekt króla Jakóba), najsilniej z Henryka VIII, którego Szekspir wyczyszcza ze wszelkich ciemnych plam i odmalowuje jako sprawiedliwego, uczonego, światłego i świetnego suwerena. Należy sobie tu przypomnieć, że Anglja tych czasów ma wyjątkowe szczęście do genjalnych władców i że życie Szekspira przypada na okres, kiedy blasku majestatowi angielskiemu dodawały sukcesy na wszystkich polach. W tych latach kształtuje się w wielkich zarysach *the firss country of the world.* Lew brytański kładzie po raz pierwszy łapy na najdalszych punktach globu. Są to dni wielkich odkrywców, zuchwałych organizatorów i pierwszych

piratów imperjalistycznych. Przed oczyma Szekspira rozgrywa się potężny dramat Waltera Raleigha, tego Korjolana Elżbietańskiej ery. Kiedy Wiliam ma lat 25, idzie na szafot piegowata, otyła, duża Szkotka, queen Mary z rodu Stuartów, w dramatach Szyllera, Lebruna i Słowackiego przeinaczona na piękną, wiotką i nieszczęsną; kiedy Szekspir ma lat 45, jej syn wstępuje na tron. W r. 1567 funduje się giełda londyńska. W 1569 powstaje Moscovy Company i pierwsze kumanie się handlu angielskiego z przestworem rosyjskim, w r. 1579 zakłada się Eastland Prussia Company w Gdańsku i pierwsze styki z Sarmacją, w r. 1581 Levante Company, w r. 1600 East India Company. Jedynemu rywalowi politycznemu na wielką skalę, tj. potężnemu władcy w Escurialu, wypowiada się bezwzględnie wojnę na śmierć i życie. Mała Brytanja postanawia cugle światowładcze wyrwać z rąk wielkiego Filipa i zdruzgotać potęgę państwa w którem słońce nie zachodzi. W środkach nie przebiera i nie jest wybredną. *Right is might.* Elżbieta podsyca i prowokuje Niderlandy. Kiedy w 1568 r., rząd Hiszpanji papistowskiej wysyła pieniądze dla wojsk Alby konsystujących w Niderlandach, okręty, na których jedzie złoto Filipa, ścigane przez piratów, chronią się do Plymouth. Anglja złoto konfiskuje. Kiedy w r. 1580 poseł hiszpański grand Mendoza zanosi przed Elżbietę skargę na piratę Drakego, rabującego po Oceanie Spokojnym, królowa, finansowo tajemnie związana z Drakem w jego przedsiębiorstwach korsarskich odpowiada grandowi: „przestwory morza i powietrza należą do wszystkich". Wobec tak swoistego i oryginalnego poglądu na „wolność mórz", stosunki dyplomatyczne z Escurialem rozluźniają się, a w r. 1585 przychodzi do oczekiwanego w Londynie niecierpliwie zerwania dyplomatycznego. Rozpoczyna się pojedynek dwuch mocarstw, który Europę dzieli na dwa zwalczające się obozy. Na kontynencie pamiętają jeszcze starą decyzję zjazdu Hanzy w Lubece z r. 1579, głoszącą przepędzenie panoszącego się już wszędzie handlu angielskiego ze stałego lądu. Cesarz Maksymiljan inspisowany z Rzymu pracuje nad stworzeniem antyangielskiej ententy: Ligi Północnej. Do rzędu państw wrogo usposobionych do Anglji, organizowanych gospodarczo przez Hanzę, a politycznie pokumanych z Rzeszą Niemiecką, podległych podszeptom „papistowskim" należy i wielka jakaś Republika na Wschodzie Europy, jakieś dziwne państwo Polonusów, w któ-

si tron nie przechodzi dziedzicznie z ojca na syna, ale króla każdorazowo ośmielają się obierać optimates na jakiejś dziwnej *a certain convocation of politic worms*, podobnie zresztą jak jeszcze w drugiem tylko państwie europejskiem, w ongiś potężnej... *Danji*... Lew angielski ostrzy sobie pazury przed pierwszym skokiem na kontynent. Nawalizm angielski wprawił się już i wyegzercytował w pomniejszych napadach. Epoka stuletnich wojen z Francją już minęła dawno. Calais, przezwane Cales, już od r. 1558 z powrotem jest własnością słodkiej dla Stuartów Francji („Adieu plaisant pays de Franse! O ma patrie la plus chérie"). Król Henryk „Terror of the France" należy już do historji, do Westminsteru, do „gesta Britannorum" i grany jest w teatrze „Globe" w imperjalistycznym dramacie napisanym przez aktora Szekspira. Francja Walezjuszów popiera teraz nawet Anglję Elżbietańską w dziele zniszczenia handlu Hanzeatów, co stanowi wtóry pryncypalny cel „englisch policy". Jedną łapą ma lew zgnieść Hiszpanję, drugą Hanzę. Przedtem wprawił się, jak powiedziano, na ustawicznych napadach to na Burgundję, to na Niderlandy, to na Islądję, to na Danję, szczególnie na tę ostatnią rozżarty, jakby się mścił za odległe w średniowieczu czasy hołdownictwa, kiedy to angielscy książęta musieli tej „pijackiej Danji" (Hamlet Akt. I. IV, 19) składać hommagjum i lenno. Z Hanzą Brytanja była ongiś w doskonałej przyjaźni; Edward I nadał Hanzie przywileje „carta mercatoria", parlament zatwierdził, a w Londyńskim City wznosił się wspaniały gmach sukiennic hanzeatyckich Stalhof. Ale wonczas już zaczynał rozwijać się, wzrastać przemysł angielski sukienniczy a z nim dążność do emancypacji i samodzielności. Hanzeatcy kupcy, którzy dawniej czuli się w Londynie jak u siebie, t. j. jak w Brugge, w Luttich, w Lubece, w Antwerpii, w Gdańsku, w Krakowie, w Królewcu, w Rydze, czy na Islandji lub w Nowogrodzie, zaczęli boleśnie odczuwać emulację kupców angielskich. W epoce Elżbietańskiej za potężną Hanzeacką kooperatywą handlową nie stała już żadna moc militarna, to też imponować już Anglikom Drakego, Raleihha, Cabota nie mogła i wnet zaczęła być postponowana. „Privilegia pacticia" zamieniono Hanzeatom na privilegia graciosa, aż wreszcie w r. 1579 Elżbieta znosi wszelkie przywileje Hanzeatów. Powoli też Hanza zaczyna ulegać i kapitulować, manufaktury flamandzkie przenoszą się dobrowolnie do Lon-

dynu. Wypierana na Zachodzie ogranicza swą wzmożoną działalność na Wschodzie, t. j. na Baltyku, na przenikaniu pokojowem w głąb Moskwy, na handlu narewskim przez Rygę i Rewel i na zacieśnięciu węzłów symbiozy gospodarczej z Polską. Ale i tu wszędzie idzie za nią w te tropy konkurencja angielska, nowoczesna, bez skrupułów, pobijająca średniowieczne i przestarzałe metody handlowe Hanzeatów, uzbrojona w ostre pazury i w zdrowe kły „iron-eatorów" „łamaczy marmurów" i selfmademanów owoczesnych. O tem wszystkiem mizerny aktorzyna, ale i świadomy już civis britannicus Szekspir, „Zimowej Baśni" autor, może mieć szczegółowe wiadomości czy to od pierwszych turystów po Polsce, czy to od pierwszych posłów, czy to z pierwszego fachowego pisma shopkeeperów, tj. „Mercatora".

I tu nad Bałtykiem styka się handlowa ekspansja angielska poraz pierwszy z dwoma organizmami państwowemi słowiańskiemi, z oligarchiczną republiką Polonusów, „usanionych" (sledded Polacks, Hamlet I. 1.) i wygolonych (shaved Polacks, Webster, dramat: White Devil) i z autokratyczną satrapją, która uchodzi już nawet za cesarstwo (Szekspir: Baśń Zimowa: „Ludmiła, cesarza moskiewskiego córa"), oraz z jakimś szczepem między tymi państwami (Chaucer: „Pilgrim in Littove hadde he reysed and in Ruce"). Z pierwszem z tych państw jest Anglia już od wielu lat w częstych stosunkach. Tu do tego państwa Polonusów chronią się liczni emigranci prześladowani za religję papistowską (Percy Douglas, Derby) i tu znajdują schron jak np. taki książe Lancaster, hr. Bertie aż... w Krożach. Tu osiada wielu niskich Szkotów (szkutów) zakładając swoje breverjes i bogacąc się tak dalece, że żony tych merchants (merchy) rażą ubogą ludność tubylczą wytwornością strojów i swobodą obyczajową. W Gdańsku rezyduje od r. 1568 stale governor angielski. Równocześnie do Anglji emigrują nasi skrajni i zbyt radykalni różnowiercy. Nasi Arjanie księgi swe śmiało dedykują królowi Jakóbowi, protektorowi Szekspira. W Londynie osiada na stałe Joannes Łaski i tu zostaje superintendentem cudzoziemskiej gminy różnowierców przy kościele Austin Friars (Augustynów). Ożeniony z Angielką ma z nią dziewięcioro dzieci, bierze udział we wszystkich wielkich dysputacjach religijnych, cieszy się ogólnym mirem purytanów, aż wreszcie za krwawej Marji Tudor podlega banicji. Wtedy to chroni się z rodziną i swymi wyznawcami na okręt *duński*,

na którym atoli spotyka go *burza*, która rzecz dziwna rozbija okręt z wygnańcami o skały Hamletowskiego... *Elsinore*. Drugi Łaski, Olbrzych, także wielki uczony, zostaje courtierem, dworzaninem Elżbietańskim i on to w roku 1583 stacza słynną rozprawę z Giordanem Brunem, przebywającym wonczas w Anglji (od 1583—1588), wobec całej elity umysłowej londyńskiej. Królowa Elżbieta koresponduje osobiście nietylko z królami: Zygmuntem Augustem, z Batorym i Zygmuntem III, ale i z kanclerzem Zamoyskim i z kilku przywódcami dysydentów. W obozie katolickim polskim ma wielka monarchini i protektorka Szekspira opinję najgorszą. Za jawne protegowanie dysydentów odpłacają jej najgorszemi inwektywami, uważając za poczwarę moralną, za „nierządnicę Babilońską", co wreszcie znajduje gruby już wyraz w paszkwilu Cichockiego w „Alloquia Osiecensia". Stosunki jednak są jeszcze między mocarstwem wschodniem a Anglią Elżbietańską bardzo ściśle i ciągłe, o czem świadczy choćby to, że w londyńskim Public Record - Office z tych czasów „Transacta inter Angliam et Poloniam", (zbadane dotychczas i zreferowane tylko po niemiecku przez prof. Warschauera z Wrocławia) liczą aż 118 tomów! Do stolicy państwa Polonusów przybywają raz po raz His Majesty thes ambassadors: Jan Herbert i William Salkins i konferują z senatorami, z królem, z dostojnikami duchownymi. Więcej niż prawdopodobnem jest to, że muszą tu mieć do czynienia przedewszystkiem z pewnym bardzo wysokim księciem kościoła, dyplomatą, szczególnie obeznanym ze sprawami Północy, Gdańska, Szwecji i Danji... Ci dwaj i Żorż Carrew przebywają w Warszawie dłużej i wtedy gdy są tu delegaci Hanzy, patrycjusze z Gdańska i gdy przyjeżdżają ze specjalnemi misjami delegaci papiescy i z kollegium de propaganda fide... Interesy obrabiają przeważnie handlowe i handlowo-religijne. *Business as usual.* Pertraktuje z nimi więcej niż prawdopodobnie pewien *chancellor* of Poland and bishop of Poznan, którego najżywsza działalność polityczna przypada na lata 1590 — 1607. Jest to Wawrzyniec Laurentius Goślicki, Grzymalita, *assistent for a state,* królewski *consellor,* mąż stanu pierwszej klasy i statysta na europejską skalę i skutkiem tego prawdopodobnie bardzo mało znany w dziejopisarstwie polskiem. Teolog, astrolog, filozof, mówi wszystkiemi językami, pisze nawet po grecku, krasomówcą jest w stylu najdoskonalszym i potęgą w Senacie

i w królewskiej Radzie. Laurentius Grimaldi Goślicki odgrywa wielką rolę w roku 1587 przy elekcji nowego króla, a jego elegantissimi orationes, jego cyceroniańska swada przyczynia się mocno do obioru Zygmunta III. „Elekta witał piękną mową, wychwalając i te cnoty, których ów nie miał", jak mówi kronikarz współczesny. Ten to chancellor był jednym z głównych tuzów i filarów obozu katolickiego w epoce panowania trzech królów i on to krzyżował i stawał okoniem wobec propozycji angielskich zawarcia korzystnego traktatu między Gdańskiem a Anglią, byle englisch subjects, poddani królowej Jejmości „stając na ziemi polskiej nie doznawali żadnych przeszkód lub trudności w odprawianiu swego nabożeństwa". Ten sam Goślicki występował ostro przeciw kandydaturze Jana na tron szwedzki, podczas kiedy i Danja i Anglia wtedy solidarnie protegowały Sudermańczyka, a Danja posyłała nawet Sudermańczykowi skrycie odważnych ochotników do Inflant. Ten sam też Goślicki, zacięty przeciwnik potężnej ale różnowierczej rodziny Łaskich, szczególnie srożył się przeciw londyńskiemu Joannesowi a Lasco (którego *burza* na morzu rozbiła o skalisty przylądek *Elsinghor*) i pisał przeciw dysydentom ważne: „De hereticis excursus". Znakomitością atoli europejską w całem tego słowa znaczeniu stał się Goślicki dopiero przez swoje opus magnum, t. j. vademecum czy brewiarz cywilny prawdziwego męża stanu, godny zająć miejsce obok Cortegiana Castiglionego, t. j. książkę p. t. De optimo senatore.

Tę to książkę znał prawdopodobnie albo w każdym razie mógłby ją poznać nawet taki Szekspir, który wedle Baconianistów nie mówił żadnym językiem obcym a tylko angielskim. Mógł o niej wiedzieć albo z relacji swego protektora i przyjaciela sir Sidneya, posła Elżbiety w Wenecji, lub też mógł ją mieć w samym Londynie, gdyż między rokiem 1568 a 1600 książka ta znajdowała się już w bibljotekach wielu arystokratów londyńskich, wydana raz w Wenecji w r. 1568 a drugi raz w Bazylei w r. 1593 w tłumaczeniu angielskiem pod tytułem: „*The Accomplished Senator.* In thwo books writen originally in Latin by Lawrence Grimaldi Goslicki, Senator and Chancellor of Poland and Bishop of Poznan. Printed of Venise in the year 1568".

Z tym to accomplished senatorem, ale i accomplished Polakiem i consellorem króla Zygmunta III, ciężki orzech do

zgryzienia mieli panowie posłowie królowej Elżbiety, gdyż za nim stały też potężne wpływy Watykanu i Stanów niemieckich. Ten to Polonus Goślicki szedł twardo i niezłomnie po linji politycznej, wytkniętej przez Possewina, a kontynuowanej dalej przez nuncjusza Bolognettę, protegującej na polu ekonomicznem znajdującą się już w ofensywie, a raczej w dekadencji i odkwicie Hanzę, a przeciw angielskiej penetracji we Wschodnią Europę, dalej przeciw wszelkim zakusom Anglji usadowienia się mocnego na brzegach morza Bałtyckiego, wreszcie przeciw cynicznie otwartej i szczerej tendencji Anglji Elżbietańskiej do jaknajprędszego „wprowadzenia do Europy Rosji" (prawosławnej i antypapistowskiej). Trzeba tu już bowiem przypomnieć, że od czasów, kiedy jeden z Iwanów zajął republikę nowogrodzką (1478) z jej faktorją hanzeatycką, inny Groźny Narwę, a trzeci z Iwanów rozpoczął parcie moskiewskie na Zachód ku Liflandji, ku Bałtykowi, ku morzu, polityczny kurs angielski (ustalony in nuce już w dziełku z r. 1436 (The Libell of Englich Policye) zaczął coraz więcej iść na rękę zamierzeniom moskiewskiem i dążyć do tego, aby carom rosyjskim podać dłoń angielską na wybrzeżach Bałtyku. Londyńskich merchants adventurers, „zuchwałych kramarzy" nęciły olbrzymie tereny i tajemnicze bogactwa, o jakich słuchy już zaczęły dochodzić na giełdę w City, przywożone przez pierwszych podróżników. Ale już i wtedy zaczęła się też ta do dziś dnia istniejąca emulacja między wówczas Małą Brytanją, a wielkiemi stanami niemieckiemi o fawory Iwanów i Wasylów, bo i cesarz Maksymiljan, który pierwszy przyznał Wasylowi tytuł „Kaiser und Herscher aller Reussen" już wtedy, to znaczy przed elekcją Henryka Valois w Polsce, nosił się z ideą podania ręki Iwanowi na suchym kontynencie poprzez rozdzieloną między obydwu Polskę. Wieści o zwycięstwach Batorego na Inflantach (od 1579 — 1582) przyjmowano i w Londynie i na dworze cesarza Maksymiljana z równą niechęcią i lodowatą sztywnością. Ani Niemcy porówno nie brali do serca misji cywilizacyjnej Polski na Wschodzie Europejskim i nie uznawały w Sarmacji przedmurza kultury śródziemnomorskiej, co głosił już w r. 1550 ni mniej ni więcej, tylko sam Niccolo Macchiavelli w swych „Discorsi" w rozdziele o Tytusie Liwjuszu. Sam Macchiavelli! Już wtedy piękne i szczytne ideały w polityce tak Niemiec Maksymiljanowskich, jak i Anglji Elżbietańskiej nie wchodziły

wcale w grę i nie były czynnikiem rozstrzygającym. Wyłącznie zaś interesy ekonomiczne. Równocześnie Niemcy dostarczały Moskwie armat, broni, amunicji, budowniczych fortec, puszkarzy, rzemieślników, przed czem przestrzegał je uroczyście książe Alby (1570) i Anglja dostarczała Moskwie na gwałt armat, broni, amunicji, puszkarzy, rusznikarzy, instruktorów, budowniczych fortec, przed czem znowuż w imię zagrożonego chrześcijaństwa ostrzegał Anglję w uroczystym liście do królowej Elżbiety nasz Zygmunt August, protestując przeciw „uzbrajaniu barbarzyńców". Ale business is business. Miarodajną osobistością co do Wschodu Europy był w londyńskim rządzie adventurer Cabot, założyciel Moscovy Company, która Elżbiecie złożyła formalny memorjał w sprawie konieczności ekspansji handlowej na Rosję. W memorjale tym przedstawiono dosłownie, że: „potęga i bezpieczeństwo Anglji zależy od żeglugi na Morzu Północnem i na drogach rzecznych moskiewskich, na opanowaniu handlu z Rosją, a przez nią z Azją. Doniosłość tych stosunków handlowych jest tak wielką, jak zdobycie Ameryki". Anglja miała do zbycia kule, proch, armaty, a potrzebowała lnu, smoły, drzewa budowlanego i futer. To rozstrzygało już wtedy. Kluczem do Rosji miało być opanowanie żeglugi narewskiej po zgnieceniu oczywiście organizacji i wpływów Hanzeatyckich. Perspektywa stworzenia sobie nowych rynków zbytu i eksploatacji niewyczerpanych bogactw wschodnioeuropejskich, jakiegoś nowego Dominion Wirginia, była dla Londynu zanadto nęcąca, aby w zestawieniu z uboższą i nie posiadającą... futer krainą Polonusów można było się jeszcze namyślać, kogo na Wschodzie Europy wybrać sobie na aljanta i pupila. Już więc za panowania Elżbiety i za czasów Szekspira gruntuje się ta orjentacja polityczna, która kontynuowana potem przez wieki, idzie linją stałą constans tradycjonalnie od Cabota aż do Balfoura, poprzez układy Jerzego II z Elżbietą Piotrówną (1742), Jerzego III z Katarzyną (1766), poprzez lorda Aberdeena, przyjaciela i doradcę Mikołaja I i Disraelego broniącego tegoż Mikołaja wobec „uroszczeń" Polski(!), ta zasada popierania antypapistowskiej Rosji, wyznawana i przez Burkego, ta zasada, w imię której poseł angielski w Warszawie Hailes w r. 1789 doradza nam stanowczo zrzec się Gdańska, zdając sobie chyba jasno sprawę z tego, że bez Gdańska katolicka Polska musi być bezpańska i „smale nation".

Za czasów Elżbiety i Szekspira ta okoliczność, że państwo Polonusów, stojące wówczas na wysokim poziomie kulturalnym, w złotym okresie swej potęgi politycznej i intelektualnej, spełnia istotnie misję odgraniczenia Europy od Azjatów i jest dosłownie „antimurale Christianitatis" (Macchiavelli), ani nie imponowała, ani też nie spędzała snu z powiek statystom Elżbietańskim. Najbliższym celem ich dążeń było zdruzgotanie polityczne Hiszpanji a ekonomiczne Hanzy; kto dopomagał w tych dążeniach panom z Londynu, był aktualnie ich przyjacielem, kto przeszkadzał aktualnie, ich wrogiem. Państwo Polonusów z konieczności organicznych i terytorjalnych stanęło po stronie przeciwnej. Już za Batorego zrodziły się mocne dysonanse między Anglją, a Polską. Z Elbląga, gdzie przeniesiono faktorje angielskie z powodu zatargu z mieszczaństwem gdańskiem, z Elbląga, będącego siedzibą i fortecą ekonomiczną Eastland-Prussian Company, przez „Szkutów" opanowanego, wywożono rocznie za 600.000 florenów, samego zboża 110.000 łasztów. Psuło to krew i Gdańskowi i katolickiemu obozowi w Warszawie. Hanzeaci nie przestawali ani na chwilę starań i presji, aby zniesiono składy w Elblągu rujnujące ich doszczętnie na Wschodzie, tak, jak na Zachodzie rujnowało ich zupełnie usadowienie się Anglików nad Łabą i otwarcie składów angielskich w Hamburgu. Pretensje Hanzeatów popierał oficjalnie wysoki kler instruowany z Niemiec i Watykanu. Niektórzy jego dostojnicy mieli w tej agitacji antyangielskiej nietylko żar religijny przeciw heretyckim Angliczanom, ale i całkiem realne interesy; taki arcybiskup Kurowski na własnych okrętach handlowych wysyłał do Flandrji zboże i budulec. Monsignore Possewino znowuż, vir ultramontanus, judził oficjalnie na Londyn i doradzał wprost zamknięcie brzegów bałtyckich przed inwazją zachłannych heretyków. Żywą korespondencję w materji tych ustosunkowań handlowych wiódł nasz King Stephen z Queen Elisabeth, a posłowie obu państw jeździli do stolic raz po raz. Zgodne i przyjazne stosunki atoli jeszcze trwały.

Kompletnie dopiero zepsuła się harmonja polityczna między oboma państwami podczas angielsko-hiszpańskiej wojny. Kontynent europejski, jakby przeczuwając jakie mu grozi niebezpieczeństwo i jak żylasta, muskularna rasa wstaje na nogi i zabiera się do porządkowania świata, przechylił się raczej na stronę hiszpańską organizowany do wspomagania Filipa II

przez statystów Maksymiljana II. Dolały oliwy do ognia niefortunne odezwanie się w Warszawie o Papieżu sir Johna Herberta, przebywającego tu w sprawie układów z Polską Eastland-Prussian Company.

Państwo Polonusów wspierało swym zbożem, wywożonem kontrabandą przez Hanzeatów, imponującą wszechpotężną flotę księcia Medina Sidonia. Ale los nie sprzyjał wielkiej Armadzie arcykatolickiego króla, który nie domyślał się, że ma do czynienia z marynarką Raleighów, Draków, Cabotów i... Fortimbrasów. „Afflavit Deus (anglicanus) et dissipati sunt" 1588. Ze wspaniałych galon i korwet zostały *les bonnes restes*. Największe mocarstwo wieku XVI leżało zdeptane i rozszarpane u stóp lwa brytańskiego. Mogła już triumfować i mieć powody do radosnego używania życia merry old England. Z sześćdziesięciu okrętów hanzeatyckich, które wiozły zboże dla Hiszpanów, lwią część skonfiskowano, a część wysłano na dno morza. Teraz już cały świat stał przed Brytanami otworem, skoro potęga Hiszpanji i Hanzy należały już do przeszłości. Radowała się z tych wiktorji i sukcesów i wielka monarchini w swych komnatach w Sommer-set-House, radował się w swych izdebkach przy Silver-Street gloryfikator Henryków i Johnów i pierwszy (jeszcze znacznie przed Carlylem) twórca anglo-saskiego hero-worship.

Można sobie wyobrazić, jak działał nań ekscytująco triumf tej grand lady Elizabeth, przed którą korzyła się teraz Europa, a która bywało siadywała sobie niekiedy wraz z dworem na jego scence i przysłuchiwała, krztusząc się od śmiechu, jego „Kumoszkom z Windsoru" i bredzeniom bramarbasowym jego Falstaffa. W skromnym autorze albiońskich „histories" wzbierała cześć dla tej genialnej kobiety na tronie za jej świetne sterowanie olbrzymiejącą z dnia na dzień nawą państwową. Znał on dobrze dwór, parliement, nobility, statystów i consellorów królowej, i wiedział, że tylko w mózgu tej jedynowładczyni dojrzewały wszystkie idee i plany imperjalistyczne, wszystkie zuchwałe ryzyka i śmiałe decyzje. On, który tyle się naczytał Plutarcha i Saxogrammaticusa, tyle kronik, tylu przewertował dziejopisów dla preparowania swoich scenicznych ekstraktów, wiedział już teraz, co waży kiepski monarcha z Eskurialu a co świetna monarchini z Windsor-Castle. Wiedział, że ta wspaniała solidarność i zgoda, ten Burgfrieden, union sa-

crée, jaka mimo różnic wyznaniowych i dzielnicowych zapanowała w Anglji tempore belli z Filipem, a do której on aktorzyna-autorzyna namawiał tak plastycznie w swoim „Henryku VII” z desek scenicznych, doprowadzona została do skutku tylko dzięki mądrej, przezornej, przewidującej wewnętrznej polityce królowej Elżbiety. Łatwo wytłumaczalna psychologicznie wiara Szekspira w wielką dziejową misję rasy Anglosasów, którzy jedną mocną stopą stoją już za oceanem w dalekiej Colonia Virginia, a drugą już stawiają w jakiejś mistycznej Moscovy, zachwyt nad tą imperjalistyczną ekspansją, o której słyszał tyle ze wszystkich stron od kupców, marynarzy, caperów, podróżników, adventurerów i cudzoziemców napływających do nowej metropolji świata, kojarzył się w mózgu szekspirowskim ściśle z kultem nabożnym dla tej przemądrej lady z Windsoru, w której ręku spoczęło i berło Kanuta i trójząb Posejdona. Mocno autokratyczny a jednak tak fortunny i pełen niebywałych w dziejach sukcesów regiment królowej, wzmocnił w nim jeszcze ugruntowany już z lektury dziejów ojczystych pogląd o nieomylności i nietykalności monarchicznego systemu.

Tymczasem jednak o uszy Szekspira zaczęły obijać się jakieś głuche wieści, jakieś niejasne wiadomości o prądach podmywających fundamenty tronów w Europie, o jakichś państwach i krainach, w których kompetencja jedynowławców jest ograniczona, o jakichś uczonych mężach, którzy odmawiają boskiej genezy majestatowi królewskiemu, o jakichś narodach, które same na convocatiach politycznych obierają sobie panującego. Wstrząsnąć nim musiał do głębi zapewne spisek Roberta Essexa przeciw królowej, gdyż bogata imaginacja wysnuwała już przed nim obraz drogiej Anglji, pozbawionej np. takiej monarchini na tronie, jak Elżbieta a oddanej na pastwę wojny domowej. Być może, że ważniejszych szczegółów o nowych monarchomachach z kontynentu udzielił mu łaskawie sir Filip Sidney, który studjował ustrój republikański u źródła, t. j. w upadającej Wenecji dożów, być może że opowiadał mu coś szczegółowego o tem jeden z podróżników po... Wschodniej Europie, sir Fynes Morrison, nie jest wykluczone, że znakomity już autor, którego tak komplementował sam Francis Meres, stykał się też osobiście z Jerzym Carrewem, specjalnym delegatem Anglji do Gdańska, być też może że pożeraczowi foljałów wpadła w ręce któraś z licznych książek zwalczających tę zarazę republikań-

ską, wiejącą z przeklętego kontynentu. Niebezpieczeństwo tego obłędu monarchomachicznego musiało już być dość wielkie, skoro w Oxfordzie odbyła się w asystencji samej królowej publiczna dysputacja o tendencjach elekcyjnych na stałym lądzie i o tem, jak to wyglądają kraje rządzone przez obieralnych z woli optymatów monarchów, zmuszonych przez jakieś *certain convocation of politisch worms* do przysięgania na jakieś pacta conventa. Może wśród książek jakie przywoził z za kanału dla swego pupila sir Filip Sidney znalazły się też obok przepysznie oprawnej bazylejskiej: „The Accomplished senator" by Laurence Grimaldi, obok Straparoli, G. Bruna i Macchiavella, obok Essayów ukochanego przez szlachtę angielską Michała Montaigne'a, może znalazły się i dzieła Bodina lub Barclaya, uczonych wojujących z monarchomachami i dyskredytujących te państwa, w których królów się obiera a nie dziedziczy.

Dwie zasię były budowle państwowe w Europie, które modni teoretyczni monarchomachowie na Zachodzie cytowali jako przykłady, delektując się nimi i idealizując ich ustrój świeżo zainicjowany i zrealizowany. Temi państwami były: mała, słaba Denmarcken i szeroko rozpostarte, dziwnie niespokojne, jeszcze mało znane, ale już wsławione militarnemi sukcesami państwo „usanionych" i „wygolonych" Polonusów. O militarnych sukcesach Sarmacji pisał nawet sam, modny w Anglji Elżbietańskiej, sieur Montaigne w swych Essayach, chwaląc króla Batorego. Że zaś sieur Michel starał się wyrobić sobie jakieś głębsze pojęcie o tej mitycznej krainie, świadczy o tem egzemplarz kroniki Herburta w przekładzie Balduina z pełnym uwierzytelnionym naukowo podpisem Montaigne'a w paryskiej Biblioteque National, tak jak znowu o wgłębieniu się Szekspira w samego Montaigne'a świadczy egzemplarz Essayów (wydanie Floria) ze stwierdzonym krytycznie podpisem W. Shakespeare w bibliotece Britisch Muzeum w Londynie. Znał pan Montaigne nadto osobiście naszego Reszkę (Resciusa), z którym się przyjaźnił w Rzymie (1581) i od niego mógł się wielu rzeczy o Polsce wywiedzieć. Nie była zresztą ta Sarmacja w one czasy tak mało znaną jakby się zdawało, lecz owszem od momentu afery z Henrykiem Anjou z jego elekcją i z jego dezercją była już na ustach wszystkich. Równie jak Anglja, także i Rzym raz po raz wysyłał tu swoich Possewinów, Bolognettów i Boterów, którzy musieli swym mandantom składać o tej krainie „uniwer-

salne relacje". Nieliczne w Europie dzieła o krainie Sarmatów, jak Herburta Kronika, Kromera w Bazyleji wydane „Dzieje" (1559), jak Jana Krasińskiego w Bononji wydaną „Polonję" (1574), rozchwytywali politycy i statyści. Trzeba z góry wyznać, że dopiero elekcja Valezego i związana z nią awantura polityczna zaintrygowały elitę narodów zachodnich i rozpaliły ciekawość co zacz za nacja, która w tak oryginalny sposób wchodzi sobie w krąg politycznych afer europejskich, prezentując się przedewszystkiem jako państwo antyabsolutystyczne i monarchomachiczne.

Danja za czasów Elżbiety i Szekspira, Montaigne'a i Goślickiego była już quantite negligeable, państewkiem, w którem ciągle „coś się psuje", a w którem jeszcze kołacą się echa i tradycje dawnej, ale już bezpowrotnie zagrzebanej wielkości. Było to nie zachodzące, ale dawno zaszłe słońce w zestawieniu ze wschodzącą gwiazdą państwa Batorych i Zygmuntów. W Anglji Elżbietańskiej mogła służyć za model państwa w upadku i degryngoladzie. „Złożeniem z tronu Chrystjana Danemarck wykazała tylko, jak uszczuplenie praw majestatu jeno do nieszczęść prowadzi" pisze o niej monarchista Bodinus profesor z Collége de France, dobry znajomy naszego kanclerza Zamoyskiego w swych: „Le six livre de la Republique" (1576). A na innem miejscu tensam mąż uczony w swem „Methodus ad faciles historiarum cognitiones (1488): „I państwo *duńskie i polskie* nazwać się godzi arystokracją, ponieważ w obu do prerogatyw szlachty należy rozstrzyganie o pokoju i wojnie, życiu i śmierci obywateli". W epoce szekspirowskiej w Danji na tronie zasiadał (od 1588) małoletni król Chrystjan a w imieniu jego rządy sprawowało czterech *assistents for a state* czterech *conseillorów* aż do koronacji (1596). Choć oba te państwa, tak często cytowane w szekspirowskim Hamlecie, a małem morzem od siebie oddzielone, jednakowo i omal równocześnie ścieśniły i ograniczyły władztwo swych królów, to jednakże ze sobą pozostawały w ciągłych sąsiedzkich zatargach, a maleńkie „państwo opilców", „państwo więzienie", państwo o świńskiej opinji (swinisch phrase), jak o niem ostro mówią w Hamlecie, często nawet przed Anglją skarżyło się na gdańskich i polskich piratów, by wreszcie znowuż właśnie w roku 1600 pogodzić się definitywnie z Sarmacją, ba, nawet w Londynie wytaczać przez posła skargi swoje na angielskich ryba-

ków, na co zresztą otrzymało od Elżbiety słynną odpowiedź, że „wody duńskie są jeszcze morzem oblewającym brzegi angielskie". Już więc za czasów Szekspira Danja luterska, ale ośmielająca się wtrącać swoje zdanie w sprawach: „dominium maris Baltici" nie cieszyła się żadnemi względami. Że zasię linje polityki angielskiej wiodą we wszystkich stronach świata prosto do celu i że jej metody są tradycyjne i constant, przeto w dwieście kilkanaście lat po napisaniu dramatu o królewiczu z Elsingor stało się, że pod *Elsingorem* 16 Lipca 1807 roku wylądował nowy angielski Fortimbras z wojskiem, by następnie brzydko zbombardować Kjopenhawn pod pozorem, że Danja tak popiera Napoleona, jak np. Polska w r. 1588 wspomagała swem zbożem księcia Medina-Sidonia... Nie miała więc mała ale zuchwała, dokuczliwa i naprzykrzająca się Danja dobrej marki nad Tamizą. Zamachy jej szlachty na samowolność królów uważane były w parlamentarnej ale Elżbietańskiej Anglji za zuchwałość, skargi jej posłów na rybaków angielskich za bezczelność, a gdy ze sceny np. padały ostre słowa o „kraju pijaków", o „Danemark is a prison" (Hamlet) itp., to w publice musiało to wywoływać żywy i radosny rezonans.

Był atoli we Wschodniej Europie drugi naród, wielki ale bardziej oryginalny, o którym z admiracją i respektem wyrażali się wszyscy monarchomachowie tych czasów: szkot Buchanan, Hofman, Beza, autor dzieła: „De jure magistratus in subditos" (1590), Boucher, biskup z Senlis Rossaeus, autor dzieła: „De justa rei publicae Christianae in reges impios et haereticos autoritate" i wreszcie najgorszy z nich, także jak Rossaeus zacięty papista, Wilhelm Duplessis des Mornay, znany pod pseudonimem: Juniusa Brutusa, autor wprost rewolucyjnej i Rousseau zapowiadającej książki pt.: „Vindiciae contra tyrannos". Całą tę literaturę musieli znać chyba lordowie prowadzący politykę ówczesnego Johna Bulla i organizujący wewnętrzny ustrój imperjum. Czy aktor Szekspir miał możność, sposobność, czas i odpowiednie quantum zainteresowania się tą polityczną literaturą w to można śmiało wątpić, ale również śmiało można przypuszczać, że tenże aktor — autor politycznych „histories", mógł się zapoznać z jedną przynajmniej książką zwalczającą tę całą tendencję do republikanizmu zmierzającą, tj. z dziełem niejakiego Barclaya. Mamy bowiem w ręku dowód, że na określenie narodu Polonusów używa omal tego samego

słowa, co właśnie Barclay. Tego to Wilhelma Barclaya nie należy identyfikować z jego synem Janem, autorem słynnego „Euformia" i „Icon Animorum", tj. opisowej geografji europejskiej, w której jest tak fatalny i ujemny opis ówczesnej Polski, że nań aż Barclayowi musiał ostry dać respons nasz Łukasz Opaliński. Widocznie w tym klanie szkockim z ojca na syna dziedzicznie przechodziła jakaś idjosynkrazja do nacji polskiej.

Pisał bowiem surowo o polskich tendencjach republikańskich taki rojalista skrajny Beccaria, zwalczając apoteozę Sarmacji, skoncypowaną przez Bezę, jak np.: „Podobają ci się (Bezo) nadzwyczajni Polacy i chciałbyś, aby wszyscy ich naśladowali. Bardzo łatwo ci w to uwierzą. Ale Polska chociaż utrzymuje nadal nazwę Królestwa, to jednak bardziej właściwie Republiką niżli Królestwem winna się nazywać. Nie bardzo bowiem różni się od takiej Republiki weneckiej, tem chyba, że król polski używa pewnej swobody, której dożom weneckim nawet nie przyznają". Jest to jeszcze bardzo łagodnie, gdy się zestawi z filipiką sfrancuziałego Szkota jurysty i papisty Barclaya, który przeniósł się na stałe do Paryża i tam wydał dzieło p. t. De regno et regali potestate adversus Buchananum, Brutum, Bucherum et reliquos monarchomachos libri sex. (1600). Znając prawdopodobnie z ust francuskich dworaków króla Henryka III (późniejszego we Francji Henryka IV), wszystkie perypetje elekcji Walezego i jego niefortunnego borykania się z Małopolski możnowładcami, znając prawdopodobnie słynne odezwanie się Firlejowe: „si non jurabis non regnabis", występuje Barclay w niesłychanie gwałtowny sposób przeciw ustrojowi rządowemu w Sarmacji: „Idź precz Brutusie! idź wraz z twemi wichrami buntowniczemi i podnietami rewolucyjnemi! Weź twe jadowite Vindicia i wybierz się w drogę do Sarmatów *żyjących na wozach*, jeśli nie będziesz mógł już znaleźć jakichś większych od nich barbarzyńców, którzyby się dali zwieść twoim malowanym podstępom". Do *Polaków żyjących na wozach* wysyła tedy szkot Barclay swego adwersarza Brutusa; na *żyjących na saniach Polaków* nacierał wedle słów Horatia stary król Hamlet (I, 1), jak pisał rojalista Szekspir, wyobrażający sobie gdzieindziej znowu, że w krainie Polonusów panuje ciągle *polska zima* („Komedja Omyłek"). Widzimy z tego, jak podobnie charakteryzują Polaków jako nieukultu-

ralnionych nomadów, żyjących pierwotnem jakoby życiem, monarchista jurysta ze Szkocji i monarchista dramaturg ze Stradfordu. Nie miały, stanowczo nie miały miru w ówczesnej Anglji Elżbietańskiej takie polskie wynalazki, jak elekcja viritim, pacta conventa, przejście summum ius imperii w ręce oligarchji szlacheckiej, prawa poddanych do krytyki i kontroli zwierzchności królewskiej oraz inne tym podobne ograniczenia królewskiego absolutum dominium.

Najsilniejszy atoli wyraz tej niechęci angielskich sfer politycznych dla polskiego zdegradowania króla do roli republikańskiego doży, dała sama królowa Elżbieta w odpowiedzi posłowi polskiemu, wysłanemu od nowego króla Zygmunta III do Londynu, Piotrowi Działyńskiemu po jego słynnie podobno zuchwałej i niegrzecznej przemowie na dworze (r. 1597). Niefortunna oracja pana legata musiała istotnie stać się wypadkiem dnia, faktem ogólnie znanym w Londynie i komentowanym po pałacach lordów i tawernach literackich, skoro Camden w „Annales rerum anglicarum regnante Elisabetha" (Leyda 1625) podaje in extenso respons królowej rzucony ex promptu polskiemu ambasadorowi, respons, w którym jest taki passus ostry: „Nigdy w życiu takiej mowy nie słyszałam i nie mogę się dosyć nadziwić waszej zuchwałości i swawolności. Jeśli wam to król wasz zlecił, w co powątpiewam, to chyba dlatego, że król wasz sam młodzik i *wszedł na tron nie przez zwykłe dziedzictwo, ale przez elekcję.* Nie mógł się tym trybem nauczyć jeszcze obyczajnego sposobu traktowania spraw z innymi monarchami". Sic dixit regina Britannorum.

Niepodobna, aby do uszu Szekspira nie doszła zaraz relacja o tym formalnym skandalu na dworze królewskim przy pierwszej recepcji posła z dalekiego kraju, który stał po stronie wrażej Hiszpanji podczas wielkiej wojny, który szykanował angielskich kupców i zamykał i pieczętował ich sukiennice w Elblągu, z kraju, z którego emigrowali tak kulturalni i światli mężowie, jak Łascy, z kraju mocno „zarażonego republikanizmem, w którym *certain convocation of politish worms* zmuszała króla obieranego viritim do przysięgania na jakieś pacta conventa, no i wreszcie z kraju, który wydał świetnego assistent for a state, oratora, biegłego dyplomatę, ale niechętnie zorjentowanego wobec first country of the world, głównego consellora króla Zygmunta III, the accomplished senatora Goślickiego, Polonusa...

Montaigne'owi i monarchomachom ta Sarmacja się podobała, master Williamowi zaczynała się mocno niepodobać.

III.

We wszystkich teatrach londyńskich Elżbietańskich czasów, a było ich równocześnie zawsze minimum dziewięć, przedstawienia kończyły się zawsze modlitwą za królowę, odmawianą przez stage - players i publiczność. Harmonizowało to zgodnie ale specyficznie ze samemi utworami, których osnowa przeważnie oparta była na dziejach cnót lub dziejach grzechów królewskich, mocno przejaskrawianych i apoteozowanych na krwawych i burzliwych (troublesame reigne, blood tragedys) ale zawsze triumfalnie się kończących rządach i panowaniach przerozmaitych władców, regentów i suwerenów. Miłośnicy teatru mieli sposobność, widząc je na scenie (stage), napawać się do syta heroizmem, pięknem moralnem i dostojnością ducha, inkarnowaną przeważnie tylko we władcach wszystkich epok, stref i maści. Midas, Kambyzes, Darjusz, Pryjam, Pompejusz, Jephtes, Dydo, Tamerlan, Soliman, Mahomet, Cezar, Tankred, Sofonizbe, Kleopatra, Judyta, Gryzeldis, Aleksander, Perseusz, Alfred Aragoński w pięknych foltembasach, gronostajach i szyszakach, recytujący piękne tyrady, kolejno przesuwali się przez londyńskie *stages;* prócz nich jeszcze inni faraonowie, sułtani, dożowie, despoci i pogańscy i arcychrześcijańscy. Doszło do tego, że nieco łakomsi na aktualniejszą sensację sztukocieśle (playwrigts) wyciągając na scenę najnowocześniejsze wypadki, świeżo zaszłe i w prawdzie swej nieustalone, pozwalali sobie na sceniczne uplastycznianie równocześnie panujących kolegów Elżbiety czy Jakóba, jak np. Ben Johson w dwóch sztukach („Chabot, admiral of France", „The revenge of Bursy d'Ambroise"), Webst w uscenicznieniu afery Marji Stuart lub Thomas Wyatt w przedstawieniu straszliwości nocy św. Bartłomieja w Paryżu (Massacre of Paris). Ponieważ taka bezceremonialność panów poetów mogłaby doprowadzić do jakichś nieprzyjemnych politycznych kolizyj, przeto król Jakób zabronił wywlekania na światło kinkietów z łuczywa smolnego jegomościów panujących wyznania chrześcijańskiego. Prócz królów frapowały tak twórców obczytanych w Plutarchu, w Herodocie, w Saxo-Gramaticusie, jak i wielkomiejską społeczność londyńską tylko wybitne, wydatne, muskularne, nadnaturalnych

rozmiarów indywidualności dziejowe lub renesansowe, potężne i rozprężne dusze, lwie lub tygrysie, uomo singulare, uomo unico, ale zawsze i koniecznie dusze władcze, suwerenne, regenckie. Jakiś dramat mieszczański, dramat średnich warstw, czy jakaś komedja ze współczesnemi figurami, — aczkolwiek było kilka zakusów i eksperymentów i w tym kierunku, — nie istniał, nie przyjął się i nie liczył. Nawet mob, „the general", *populacy* z najtańszych miejsc nie znosił na *stage* ani warstw średnich, ani ich tragedji czy bohaterów: heroizm sceniczny musiał być koronowany, lub o koronę i sceptrum walczący. Stolica imperium mogła na tych dramatyzowanych *histories, chronicles* i *tragedies* przekonywać się naocznie i empirycznie, jak to błogosławione jest oświecone *absolutum dominium* wielkiej regentki, pełne *famous victories* i *„fortune by land and sea";* taki nawet tytuł nosi jedna ze sztuk przyjaciela Szekspira, Tomasza *Heywooda*, tego samego, który dla wykazania, z jak potwornemi przeciwnościami losu musiała się borykać wielka władczyni zanim osiągnęła wspaniałe rezultaty szczęścia i pomyślności poddanych wszystkich, skoncypował dramat z osnową jej pierwszej młodości, grany z ogromnym aplauzem: *„The Throubless of Queen Elizabeth.* Można sobie wyobrazić teraz do jakich rekordów monarcho-latrji i kultu korony dochodzili inni koledzy Szekspira z high-lifu pochodzący i utrzymujący kontakt z dworem, jak Lilly, Peele, Chappman, którzy społem wynaleźli nawet specjalny jakiś typ i styl widowisk dworskich, uroczystościowych, wedle starych wzorów etykietalnych włoskich i hiszpańskich; ci dostarczali systematycznie dla uświetnienia fet i turniejów okolicznościowe utwory alegoryczno-mitologiczne, baletowo-barokowe, przepełnione madrygałami i apostrofami, kadzidłem i myrrhą. Wzorem takiej „poezji" scenicznej jest Żorża Peelego „Sąd Parysa", w którym Parys jabłko oddawał oczywiście naszej Lady z Windsor-Castlu. Tej to dworskiej produkcji echem wyszlachetnionem są w Śnie Nocy Letniej partje z Oberonem i Tytanją.

Twórca „Króla Leara" i „Króla Jana" z tym typem pisarstwa kurtuazyjnego nie miał rzecz prosta nic wspólnego, niemniej jednak odczuwał on najgłębszą i najgorętszą konieczność wewnętrzną wyrażenia też ze swej strony jakiegoś trwałego hołdu w hommagium wielkiej monarchini i łaskawej patronessie kunsztu dramatycznego. Więc dał tym bardzo zrozu-

miałym uczuciom gorący i uroczysty wyraz trzechkrotnie tj. w wyżej wspomnianym Śnie Nocy Letniej (granym i na Teatrze dworskim w Whitehallu), w Makbecie i w Henryku VIII. Z tych pięknych pokłonów w stronę tronu Elżbiety przekonać się można jak serdeczny lojalizm ożywiał master Williama, jak wiernym poddanym swej dostojnej pani był twórca i ojciec scenicznej dynastji najciekawszych i najgodniejszych i najnieśmiertelniejszych dusz królewskich i jak niewstrząśnienie, bez zastrzeżeń i bez restrykcyj wierzył największy dramaturg świata w wyższość systemu monarchicznego (stożkowego), nad republikańskim (cylindrycznym), ba, nawet w boską genezę, w genezę z łaski Bożej tej godności. Z dwóch słów-pojęć, które składały się już wówczas na godło herbowe Poly-Albionu tj.: „Imperium et Libertas" Szekspira emocjonowało stanowczo więcej to piewsze, podczas gdy nad wolności „zewnętrznego człowieka", nad swobody obywatelskie, swobody veta, protestu, negacji, opozycji, wyradzające się wonczas tak łatwo w swywolność indywidualistyczną, w konspiracje Stuartów, w spiski Norfolków, Essexów, Byronów, w intrygi i wichrzenia panoszy i baronetów, przekładał wolności wewnętrzne, uczuciowe i duchowe, niezależność i niezawisłość indywidualnego, psychicznego rozrostu. Cały przepełniony wiedzą historyczną, wiedzą wspaniałej, lwiej dziejowości brytańskiej, cały przejęty i opanowany ideałem rozprężającej się ojczyzny, *greather Britannia*, przeczuwający jasnowidząco, że teraz, teraz właśnie pod tem berłem zakładają się i wmurowują w morze fundamenty angielskiej supremacji ekonomicznej, kolonjalnej, politycznej, musiał odczuwać wezbraną wdzięczność dla idealnej, wielkodusznej wyobrazicielki tego systemu, który, gdzieś tam, na kontynencie, w Europie, na dalękim Wschodzie, jakieś narody chyba współbarbaryjne, „na saniach" i „na wozach" jeszcze bytujące, starają się podważać i dyskredytować. Jakie to narody właściwie, o tem ten genjusz uniwersalny, polyhistor, ale w każdym razie samouk, który nawet nie przeszedł przez fazę edukacyjną „bachelora of arts" w Cambrigde, czy Oxford (jaką przeszli omal wszyscy dramaturdzy Elżbietańskiej ery), o tem Szekspir miał pojęcie bardzo mgławe, dowolne i niejasne. Daleka Sarmacja była dlań krainą narodu, chyba do niedawna jeszcze pogańskiego, skoro przecież jeden z jego bohaterów, Henryk III, w młodości swej junaczej wyprawiał się tam jak na krucjatę, zaproszony przez hoch-

majstra Kreuzigerów Zakonu Marji, aby tam ogniem i mieczem naginać tych Polonjuszów i Litwinów do wiary chrześcijańskiej (1390). Szekspir mógł wiedzieć jedno, że z tej krainy Polonjuszów szło do Anglji drzewo sosnowe, dębowe, bukowe, używane wyłącznie omal przy budowie angielskiej, zwycięskiej, wspaniałej floty! Ergo to chyba kraj ważny! Jakaś tam kultura duchowa już chyba musiała być, skoro na język tego narodu przetłomaczono już wtedy jeden z dramatów jego kolegi Żorża Buchanana: „*Jephtes*“ i skoro znowuż na przyjazd jednego z polskich magnatów dawano w Oxfordzie podczas festynu dworskiego innego jego kolegi Williama Greena: „Dido“. Od kolegi Webstera pouczył się jeszcze, że Polonjusze noszą łby ogolone, bo tak słyszał z dramatu „The White Dewil“: „*I scorn him like a shaved Polack*“. Czy master William wiedział już, że taki monarchomach jak Boucher w propagandowo-rewolucyjnych księgach swych podziwia w polskich baronach obrzynających prawa swych królów: „rzymską ducha wspaniałość“ to niewiadomo, ale mógł stanowczo wiedzieć i mogła mu się żółć nawet przelewać z irytacji, że już znalazł się *szkocki* monarchomach, taki Dawid Lindsay, który w książce „The monarch“ mówi alegorycznie o zdecydowanym upadku idei monarchicznej (za Elżbiety!!) i cytuje tych Polonjuszów, (a więc oratorów tak impertynenckich wobec królowej jak Działyński, lub tak wrogich Anglji jak Goślicki) jako wzór do naśladowania dla seigneurów wielkobrytańskich! Przecież chyba tylko Anglja, Anglja Cabotów, Draków, Essexów, Cavendishów, Howardów, Raleighów miała chyba jedynie mężów o istotnie „rzymskiej wspaniałości ducha“. Dość było rozejrzeć się po „Queen in Council“, po Radzie królewskiej, aby gorzeć podziwem nad wielorakością i mnogością tych mężów na miarę Plutarcha, wezwanych, wybranych, skolekcjonowanych przez „grand old Lady” do współbudowy olbrzymiego *Commonwealth of England*. A taki Robert Dudley lord Leicester, filar tronu i łoża Monarchini! a takie dyplomatyczne kanclerskie ingenja, jak Cecil lord Burleigh, jak Sommerset, count Midlesex, mędrzec Bacon, admirał Nottingham, wódz zwycięski „*whitte duke*” Buckingham, a dziejopis Buckhurst lord Sackville, i tylu, tylu innych:—rojaliści w każdym calu, od stóp do głów, a wszystko indywidualności ostro obrysowane, bohaterskie, pyszne, rogate, niezgięte w karku, laurami uwieńczone i mirem narodu i ob-

czyzny. A przecież żadnemu z nich chyba ni razu przez mózg nie przemknęła myśl, aby królów eligować viritim albo, aby królowej prerogatywy w czemkolwiek choćby ograniczać i ścieśniać. Do jakiej zaś panpotencji doszło właśnie Trójkrólestwo, do jakiej *glory* za tej kobiety panowania i przy jej regalistów współpracy! Gęsta Dei per Britannos! Britannia rule the wawes! A jakież natomiast wieści i słuchy dochodziły do Londynu o tych reklamowanych i wychwalanych przez wstrętnego Lindsaya Polonjuszach. Z pierwszej ręki niewiele się o tem w metropolji nad Tamizą wiedziało, ale ci peregrynanci i turyści, którzy z Francji i Włoch wracali, wiele w tej materji mieli do opowiadania. Jakto z tych republikantów wygolonych drwił niemiłosiernie Italjan Pacichello, jak poeta Bonawentura Desportes, który niedawno był przecież w orszaku króla Henrykowym. Ale przecież i sam sieur de Montaigna, w którym, jak to stwierdziły najnowsze badania naukowe, zaczytywał się autor „Poskromienia złośnicy", pisze w swoich Essayach (Księga I, Rozdział XV): „Nasz król (Henryk Valois) opowiada znamienne przykłady o tem, co sam widział w Polsce wtedy, gdy szło o zaprzysiężenie mu wiary". Jak więc ośmielali się tacy monarchomachowie szkoccy (Buchanan i Lindsay) wysławiać „rzymską wspaniałość ducha" Polonjuszów i wysławiać ich pęd i moc w wywalczaniu obywatelskich wolności przed Anglikiem Elżbietańskim, który ma w swej historji taką Magną Chartę! Jak za przykład stawiać tych Sarmatów, o których znający ich ex autopsia Commendoni mawiał: „*Poloni comitiali morbo laborant*" (cierpią na gza sejmikowego). Szekspirowi, jak i sferom politycznym londyńskim, w których przy wzroście kolonjalnej energji ekspansywnej osłabło do minimalnego poziomu napięcie walk o wolności obywatelskie i stanowe, to zdystansowanie wolnościowej parlamentarnej Anglji w dążeniach wolnościowych przez Polskę jednak nie zaimponowało bynajmniej. Świat ten, jak zawsze, tak już i wówczas best informed, wiedział co myśleć, jak ocenić, zważyć i otaksować praktyczne zastosowanie w realne polityczne życie takich maksym rzymsko-polskich jak: *de non praestanda obedientia*, jak „*neminem captivabimus nisi iure victum*", jak „*nemine contradicente*" i najgorsze z nich „*nil de me sine me*". Świat polityczny londyński miał dokładne, a część intellektualnej elity ówczesnej (a z niej taki Shakes-peare) ogólniejsze, ale jednak dość znośne relacje do jakich

to politycznych „exorbitancyj” państwowych, do jakiego „wyjścia świata z zawiasów” doprowadziły w Polsce w krótkim stosunkowo czasokresie po Zygmuncie Auguście trzy bezkrólewia, trzy elekcje viritim, jak na oścież otwarto upusty parlamentaryzmu permanentnego dla wszelkich turbantów i adwentirerów frakcyjnych, dla wszelkich Zborowskich, Stadnickich, Siecińskich. Można sobie imaginować, z jak pogardliwym sceptycyzmem odnosił się do sarmackiego pełnowładztwa szlacheckiej demokracji ówczesny poseł angielski w Paryżu Buckhurst lord Sackville, autor: „Dziejów ustroju i administracji angielskiej” (The Mirror of magistrats) a w wolnych chwilach komedjopisarz i dyletant literacki, a więc uczony, z którym osobiście mógł się okolicznościowo zetknąć i Desportes w Paryżu i Szekspir w Londynie. Można sobie wyobrazić, jak tę maksymalną libertas Polonorum, na one czasy mającą koloryt zgoła rewolucyjny, anarchiczny i rosyjski, definjował np. taki sir Sidney także dyletant literacki, który mieszkając w Wenecji, mógł mieć z pierwszej ręki informacje od złośliwego Pacichellego, czy innych Włochów często w one czasy do Polski jeżdżających lub jeszcze bezpośredniej od samych Polaków, głównie Padewskich scholarzy. „*Polonorum comitia sunt regum martyria*”, sejmy polskie są katowniami królów, powtarzano sobie w kołach monarchistów zachodnio-europejskich, słysząc szczegóły jaskrawe o tem, jak wygrażała i postponowała Walezego czy Batorego radykalna oligarchja sarmacka. Więc kiedy peregrynujący po auzońskich, frankońskich krajach i po Londynach „polisch princes” i demagogiczni magnaci zachwalali swoją złotą libertas, odpowiadano im *już wtedy*, że jest to *libertas pereundi*, przy takiem zdegradowaniu dostojeństwa i autorytetu królewskiego. — Na co znowu replikowały lwy Lechistanu: „My Polacy mamy króla, a Was, Anglicy, ma król“. Gallom i Angliczanom „crocitantibus”, urągającym, odpowiadali ostro Kochanowski, Opaliński, Starowolski. Polscy statesmani i lawyerzy (prawnicy) chełpili się sukcesami i progresami sarmackiego parlamentaryzmu, ale Polska nierządem radykalnym chorzała, a Brytanja, przechodząca w one czasy przez długotrwała fazę absolutystycznego regimentu, rosła jak na drożdzach w *imperium mundi*, choć commonerzy z jej Parliamentu i mało mieli do gadania, i bardzo mało znaczyli.

Człowiek, który w owych latach pisał „Hamleta“, interesował

się intensywnie całym światem i całem życiem europejskiem wszerz i wzdłuż i wgłąb, i wchłaniał w siebie całą doczesność. Aby móc napisać o odpowiedzialności monarchy to, co testamentarycznie uwiecznionem jest w „Hamlecie“, aby król Klaudjusz wypowiedział swój monolog równie ważny a niestety nierównie doceniony w Hamletologji i w hamletozofji, aby móc wreszcie skonstruować problem moralnych kwalifikacji regenta, jak to jest uczynionem i co też jest kośćcem „Hamleta“, musiał monarchista Szekspir rozważyć do głębi i przemyśleć do końca wszystkie pro i contra systemu monarchicznego. Niejasne, ale przeważnie negatywne wiadomości, jakie mogły dochodzić do jego izdebki przy Silver-Street o państwie Polonjuszów, martyryzujących swych viritim obieranych królów, działały nań drażniąco, ale pozostały zakarbowane w pamięci. Impertynencka mowa jednego z tych bufonów republikanizmu, wygłoszona w Londynie u stóp tronu tej królowej, przed którą zginała kolana wszystka elita renesansowej Europy, musiała ubość do żywego elżbietańczyka Szekspira, przepełniając go niechęcią do tego kulturalnie ledwie „usanionego” narodu, który na arenę europejskich stosunków wkraczał buńczucznie i hałaśliwie odrazu z przewrotnemi, rewolucyjnemi ideami. I wtedy w umyśle wielkiego poety, który wreszcie jasno widział już wielkie posłannictwo cywilizacyjne rasy anglosaskiej, mogła szybko wyłonić się idea skarcenia i utarcia nosa przy sposobności nadarzonej temu narodowi papistów, Rome-rulerów, narodowi inferior, który ośmielił się przeszkadzać wejściu Anglików w Bałtyk i jego posiadanie, narodowi, który ważył się łączyć z wrażymi Hanzeatami i Espanją, narodowi, który przez usta takiego Działyńskiego miał zuchwałość cisnąć choćby mały kamyk na drodze tryumfalnego pochodu Lady z Windsor-Castle.

I dlatego to postać przykra, zwana w pierwszem i w trzeciem wydaniu quarto Hamleta tylko Corambisem, w wydaniu legalnem i autorskiem zowie się Polonjusz.

IV.

Poeci dramatyczni złotej Elżbietańskiej ery, choć porubczyki i kostery dużo czasu trawili marno w bodegach i tawernach „pod syrenami“ i przy syrenach, choć pili na zabój jak Duńczycy Klaudjusza, a poniektórzy i kończyli pielgrzymkę

ziemską to od butli reńskiego wina, niecelnie rzuconej, to na clemens delirium tremens, jednakowoż w dziełach swych częstokroć wykazywali intencję i inklinacje poważnie dydaktyczne, umoralniające, pedagogiczne i narodowo edukacyjne. W ich produkcji dramatopisarskiej często pewna ideowa celowość, ba, nawet utylitarność, morał, nauka, tendencja, ubierały się a raczej przebierały w fantastyczne, bajkowe, ogromnie kolorowe i wzorzyste, czasem bardzo ekscentryczne i egzotyczne szaty, byle nie zrazić słuchacza bakalarską statecznością lub szydłem tendencji zbyt wyłażącem z worka efektów dość grubo sensualistycznych.

Tematy, teksty i intrygi brali sobie bez skrupułów skąd się dało, wykradając poprostu czy to od Hiszpanów, czy od Włochów, rusztowanie akcji, kanwę, narrację, typy, sytuacje, sceny, końce aktów; niekiedy z dwóch, trzech sztuk antycznych, cudzoziemskich, nawet całkiem heterogenicznych lepili kunsztownie jedną własną. Osnowa bowiem była dla tej falangi genjalnych lub genjalizujących dramatystów wcale słusznie w procesie twórczym momentem drugorzędnym; impulsem i celem twórczym była duchowa treść indywidualna, ożywiająca glinę materjału wziętego z drugiej lub z trzeciej ręki. Tragedja królewicza Hamleta pod tym względem nie różni się od dramatów Marlowa, Kydda, Webstera, Johnsona, Forda i tylu innych. Nie wyskoczyła ona z głowy Szekspira, jak Atene z głowy Jowisza w pełnym rynsztunku. Ze stanowiska poziomu dzisiejszej ścisłej umiejętności o Szekspirze jestto dzwon odlany ze zlewu wielu metali. Niedająca się zaprzeczyć niezwykła wprost wadliwość konstrukcyjna arcydzieła, moc błędów w architektonice, kompletna dowolność kompozycji, ma źródło swe pierwiastkowe w tem, że na wyłonienie się tego najnieśmiertelniejszego utworu scenicznego wiele złożyło się wpływów genetycznych. Jeżeli pierwszy impuls wyżłobiła w mózgu twórcy Saxo-Grammaticusa kronika duńska, to równie ważną była dla Szekspira lektura ciekawego zbioru tragicznych opowiadań Boisteau (Cent nouvelles tragiques, Paris 1564) tłómaczonych na angielski język (1590). Według badań profesora Creizenacha znacznie przed Hamletem Szekspirowym istniał dramat niemiecki p. t. „Der bestrafte Brudermord, oder Prinz Hamlet aus Dänemark"; już w dramacie tym występuje postać starego dworaka, kanclerza i doradcy króla, zwąca się Coram-

bis. Tak samo brzmi nazwisko conseillora królewskiego w wydaniu Quarto z 1603 Hamleta, później zmienione na Polonius, co wskazuje bezsprzecznie, że Szekspirowi „Der Bestrafte Brudermord“ musiał być znanym. Datę powstania Hamleta ustaliła nauka na rok 1585, aczkolwiek pierwsza notatka o Hamlecie (u Nasha) jest dopiero z roku 1589 i w tym też roku już znajduje się na registrze sztuk granych w repertuarze trupy Henslowa. Znacznie przed tym terminem istniały już utwory sceniczne mocno w swych osnowach antycypujące osnowę Hamleta. Mniejszą wagę przypisać można Tom Hughesa tragedji syna mszczącego się za ojca (*The misfortunes of Arthur*). Natomiast wiele ważą dla genezy Hamleta dwa utwory inne. H. Chettle'a: „*Hoffman or a revenge for a father*“, grana z dawna przed Szekspirem, (aczkolwiek drukowana dopiero w roku 1602), zawiera w sobie cały szkielet tekstowy Hamleta z obłędem bohatera nieumiejącego się mścić i z obłędem jego kochanki włącznie. Wielki wpływ temu dramatowi przypisuje komentator Delius, podczas gdy prof. Sarrazin wykazuje znów mocną zależność Hamleta od Kydda: „*Hieronymo, a spanish tragedy*“, gdzie jest już odwlekanie przez syna zemsty za zamordowanie ojca i ukazywanie się ducha zamordowanego ojca, ba, nawet sztuka odegrana na scenie przez wędrujących aktorów, a demaskująca tym trybem mordercę ojca. Prócz tych angielskich surogatów i zapowiedzi nadchodzącego arcydzieła, należy także przypomnieć z pisarzów starożytnych Senekę i tegoż: „Thyestesa“, gdzie duch ojca zamordowanego dwukrotnie się ukazując wzywa syna do zemsty. Ten materjał surowy znał bo mógł znać doskonale nawet ten Szekspir samouk, Szekspir niekształcony w Collegach i nieznający języków obcych, w tym wypadku niemieckiego czy łaciny. Tak bowiem utwór Seneki, jak i nieznajomego niemieckiego autora: „*Der bestrafte Brudermord*“ były tłómaczone już wówczas, jak było tłómaczonem wogóle wszystko, co ciekawsze z piśmiennictw zagranicznych, więc Aretino, Macchiaveli, Guarini, Fiorentino, Boccaccio, Bandello, Bibbiena, Straparola, Ariosto, Tasso, (którego sonety tak podziałały impulsywnie na Szekspira) jak byli tłómaczeni Plautus, Terencjusz, Horacy (przyjaciel Hamleta: Horatio), jak był tłómaczony „Edyp“ (przez Nevilla) Edyp (Hamlet Hellady). Kładzie się tu nacisk na to, że w owe już czasy wszystko, co najtęższe z literatur starożytnych i współczes-

nych było tłómaczone na język angielski, ponieważ Szekspirologów długie czasy kłopotała niepotrzebna kwestja, czy Szekspir znał obce języki. Cały szwindel Baconianów polegał głównie na ich twierdzeniu, że niemożliwem jest, aby taką wiedzę wszechstronną i taką uniwersalną kulturę, jaka przebija z 30 dramatów, przypisywanych Szekspirowi, mógł mieć proletarjusz aktorzyna z wędrownych trup i łyczek ze Stradfordu; ergo twórcą Leara i Hamleta „musi być" arystokrata kanclerz Bacon. Badania ostatnich lat wykazały, że normalny Anglik Elżbietański mógł poznać kwiat literatury zagranicznej i starożytnej, nie znając żadnego języka prócz swego. Aczkolwiek więc Szekspir wyśmiewa raz nawet nieuków, nieznających innej mowy prócz swojej rodowitej (w „Kupcu weneckim"), to jednak przechylić się należy do hypotezy, że on sam istotnie czytywał tylko po angielsku. Dodać jednakże trzeba: zato sam stworzył swój własny język, mowę szekspirowską, której bogactwo i przepych w tem się choćby uzewnętrznia liczebnie, że język ten liczy według naukowego stwierdzenia 24.000 słów, podczas gdy nawet język Miltona liczy słów tylko 8.000!

Pedantycznie więc biorąc genezę osnowy Hamleta, można wykazywać w długich dysertacjach i skrupulatnych wywodach prawdziwą bluszczowość ingenjum Szekspirowego, tę samą bluszczowość, którą w formie zarzutu celem „pomniejszenia olbrzymów" obarczano i Słowackiego. Pod względem więc bezceremonjalnego opierania się o pomysły obce, Szekspir primus inter pares nie różni się niczem od swych pomniejszych, a wonczas często szczęśliwszych konkurentów i rywali. Nie różni się też pod względem poglądu na istotę sztuki scenicznej, na jej celowość i wagę i ważność w życiu publicznem, narodowem. Teatru nie degraduje on nietylko do roli „zbiegowiskowego lokalu" dla najszlachetniejszej choćby i najwznioślejszej ale rozrywki czy rekreacji, ale podnosi i wywyższa do godności areny walk i bojów o najwyższe wartości idealne. Przypomnijmy sobie najdokładniej rozmowę z aktorami w Hamlecie a przekonamy się, że w jego pojęciu scena (stage) to i trybunał najwyższy opinji publicznej i konfesjonał, przy którym spowiada się dusza czasów i parliament, gdzie wszystkie postulaty i dezyderaty współcześników przychodzą do głosu. Na scenie mogą się rozstrzygać najzawilsze problemy chwili. Aktor jeżeli z powołania, godnie i szczytnie obowiązek swój pojmuje, jest w spo-

łeczeństwie cywilizowanem czynnikiem pierwszorzędnej wagi, może być misjonarzem prawdy, chorążym piękna i dobra: kalokagatji. Trzeba tu przypomnieć, że w one czasy napastowano już mocno aktorski fach (Gosson: „*School of Abusus*") i trzeba było bronić go przeciw inwektywom purytańskim wszelkiemi argumentami (Heywood: *Apology for actors*). Szekspir w poważnej czci i nabożeństwie dla rytuału scenicznego dochodzi do tego, że omal identyfikuje rusztowanie (stage), na którem stoi tron królewski z rusztowaniem, na którem odgrywa się akcja dramatyczna (koniec „Hamleta", słowa Fortimbrasa). Teatr „Globe" czy Blackfriars to jest instytut tak dlań ważny w edukacji narodu jak Kings College w Oxfordzie. Niema w tem szlachetnem pojmowaniu wysokiego posłannictwa teatru nic specyficznie tylko Szekspirowskiego, skoro się przypomni, że nawet znacznie pomniejsi duchem i rangą pisarską, a mocno źle się prowadzący w życiu prywatnem jego koledzy, w swym kunszcie dramatopisarskim wcale wysoko dzierżyli wonczas sztandar swej profesji, uważając siebie za mentorów i wychowawców nacji. Przykładów tego szczytnego pojmowania swej misji edukacyjnej i energicznej współpracy w odchowywaniu dorastającego politycznie i kulturalnie narodu i to nawet u twórców, których prywatne żywoty najbynajmniej nie kwalifikowały się na wzorki i modele do naśladownictwa, przytoczyćby można sporo. Taki B. Greene, bardzo zaawansowany w nałogu alkoholik pisze statecznie: „*The Mirror of Modesty*", w którem przeprowadza krytykę systemu wychowawczego dzieci w Albionie i doradza, gdzie i co należałoby czemprędzej zreformować; taki Chappman, dworak, hulaka i uwodziciel, w komedjach swych (n. p. *Eassward Hoe*) wykazuje zły wpływ rozluźnionych obyczajów dworskich na obyczajność *middled classes* mieszczaństwa; taki nawet Marlowe, prototyp wszelkiej bohemy, fatalista i desperados, stojący na miedzy genjusza i obłąkania, obłąkania i zbrodniczości porywa się na wysoce etyczną i słuszną i pognębiającą krytykę Macchiavellizmu jako metody rządzenia, widocznie zaobserwowanego przezeń u pewnych statesmanów Elżbietańskich w „*Tragedy of the riche ew of Malta*" (typ Barabasa bardzo pokrewny Szyllokowi) i w „Massacre of Paris" (macchiavelista kardynał de Guize). W dramatach ówczesnych o królowej Dydonie czy tego samego Marlowa czy w drugim Rightwise'a jest moc aluzyj i analogji

z rządami queen Elizabetty a nie brak i uwydatniania stron ciemnych panowania Dydony i wykazania na stosunkach... kartagińskich, co jest ujemnego w stosunkach londyńskich. Scypio, Cezar, Sulla czy inny genjusz militarystyczny i wódz zwycięski *by land and sea* w transkrypcjach i transpozycjach scenicznych autorów Elżbietańskich miewali w sobie wiele niemiłych, megalomańskich i szkodliwych rysów charakterystycznych Essexa czy Bukinghama; ci zaś *playwrights*, którzy w najciemniejszych barwach przedstawiali augurów czy arcykapłanów greckich, macedońskich czy egipskich, godzili dość przejrzyście w potentatów wzmagającego się purytanizmu.

Dla ich największego lumen, dla „wielkiego *Shakescene'a*, „wstrząsacza sceną", jak go nieprzyjazny mu Greene nawet musiał nazwać, teatr oczywiście też nie mógł być sam w sobie celem, sztuką uprawianą dla sztuki, dla li jeno satysfakcji twórczej, ale bywał środkiem do osiągnięcia celu, instrumentem wpływu, presji i suggestji na opinję publiczną, aparatem do kształtowania duszy, zdrowej duszy narodu. Stwierdza to Szekspir, dumny civis britannicus wprost pragmatycznie i na wiekuistą pamiątkę w tym ustępie Hamleta, gdzie mówi, że zadaniem sztuki jest trzymać zwierciadło życiu w samej epoce i duszy czasu ich kształt i odciśnięcia: *and very age and body of the Time his forme and pressary.*

Widzimy już z tego wersetu, że dramaturgja szekspirowska będzie wiernem zwierciadłem swej epoki, epoki Elżbietańskiej z jej wszystkiemi wzlotami i obniżeniami ideowemi. Nawet wtedy, gdy osnowy dramatyczne będą rewokowały obrazy tak zamierzchłych czasów jak rządy duńskiego króla z VIII-go wieku po Chrystusie, to jednak będzie w nich, mimo może legendarnego kolorytu starożytnego, zwierciadło życia współczesnego Szekspirowi *and body of the Time* ale Szekspira. Dramaty Szekspira nawet z królewskiej trylogji Henryków i Edwardów, czy nawet z Grecji lub Rzymu będą odciśnięciami (pressary) w wosku niejako tych li czasów, w których twórca żył i tworzył. Inaczej, że całokształt jego natchnionej produkcji dramatycznej to utrwalenie, zogniskowanie, skupienie, rezonansowa synteza wszystkich prądów, wszystkich kierunków, wszystkich zasad kierowniczych, wszystkich walk Elżbietańskiej epoki. Nietylko duchowych, ale i politycznych. Nietylko politycznych ale nawet partyjnych i socjalnych. Nietylko partyjnych,

ale nawet gospodarczych, ekonomicznych. Można więc te utwory dramatyczne badać jako dzieła nadobnego piśmiennictwa, ale można je analizować znowuż jako produkty historyczne, jako dokumenty nawet zgoła zdala od wszelkiego literackiego kryterjum. Będziemy się tu starali stwierdzić w jakiej mierze i do jakiego stopnia najwiekuistszy, najmetafizyczniejszy dramat Szekspira, będący z punktu widzenia całkiem odległego, z perspektywy jakby planetarnej tragedją tylko człowieka ogólnego, tragedją każdego człowieka, tragedją organicznego gatunku człowieka ecce homo sapiens, w jakiej mierze Hamlet jest zarazem skrupulatnem zwierciadłem *(mirror)* owoczesnego autentycznego życia ideowego i odciśnięciem w trwałym wosku dzieła sztuki kształtów walk duchowych za Elżbiety, zarazem najdoskonalszem objawieniem pełnej a wysokiej kultury myślowej w W. Brytanji pod rok 1600. Komentatorów, wykładaczy i objaśniaczy Hamleta był już legjon i będzie znów legjon; jest może więcej niż komentatorów Biblji; prof. Artur Quiller Couch napisał cały tom, wyszydzający obłęd komentatorski „ścisłych" badaczy Hamleta. Nie należy się dać odstraszyć tym szyderstwom. Jak każde pokolenie ludzkie inaczej obkrawa i przystosowuje scenicznie „swego" Hamleta, tak każda generacja dorzuca swój głos dla skomentowania tego Sfinksa mieniącego się wszystkiemi kolorami tęczy. Ze stanowiska czystej literatury i czystej psychognozy piękne i mądre glossy pozostawili to Goethe, to Saintsbury, to Schopenhauer, to H. Becque, Gervinus, Tieck, Paulsen, Mezières, Spasowicz, no i tylu, tylu innych w każdym czasie, w każdym narodzie. Rzecz już zaczynała być nudną, bo przeciążoną, przemęczoną, aleksandryjską, scholastyczną. W Birmingham jest olbrzymia bibljoteką publiczna, poświęcona tylko Szekspirowi, w niej Hamletologji kilka tysięcy tomów; nasz Matlakowski badał to z niezwykłą, nierodzimą sumiennością. Atoli od tego czasu upłynęło już ćwierćwiecze wiedzą szekspirowską narosłe i teraz możnaby już dodać drugi tom potworniej grubszy a Hamletologja wzbogaciłaby się jeno może relatywnie. Trzeba się więc pokusić o pogląd, zgoła nie mający nic wspólnego z oficjalnem, naukowem znawstwem Hamleta, o ujęcie zagadnienia z całkiem innego punktu widzenia, tembardziej, gdy na taki eksperyment można się ważyć po przestudjowaniu i może nawet po przejęciu się pewną grupą myślicieli, u nas

niestety bardzo mało znanych i uznanych. Mamy tu na myśli pisarzy, zwalczających i dyskredytująeych kierunki romantyczne i kulturę romantyczną w literaturze, mamy na myśli Seillera, Lassera, Lemaitra, Dühringa itp. Z ich platformy ideowej wychodząc, można ująć zjawisko twórcze Hamleta jako pierwszą rozprawę, pierwszą bitwę stoczoną z romantycznością, z romantycznym Weltszmercem. W tem świetle królewicz duński staje jako pierwszy bohater i pierwszy... pacjent *mal du siecle*, jako protoplasta, praszczur całego orszaku wspaniałych okazów obciążonych psychozą wzgardy i negacji życia, taedium vitae. Z niego dopiero w prostej linji wywodzą się dziedzicznie obciążeni hamletyzmem René Chateaubrianda, Adolf Constanta, J. Sorel Stendhala, Werther, Don Carlos, Kordjan, Szczęsny Konrad-Gustaw, wreszcie Oniegin i Obłomow itp. Hamletiasis, zdyagnozowana i zdemaskowana na wyspach Trójkrólestwa, na „Isle of Dogs", przerzuca się na kontynent i po wiekach dopiero zarazki jej opadają kolejno na Francję (H. Becque: „Francja była Hamletem narodów, a Hamlet ojcem wielu małych Francuzów"), na Niemcy (wiersz Freiligratha: w 1844 „Niemcy Hamletem narodów"), na Polskę w niewoli (Słowacki poddaje się, Wyspiański zwalcza), wreszcie na Rosję, by tutaj zwyrodnieć do cna w Tołstojowskie: „niesprzeciwianie się złu", w Obłomowszczyznę i stać się wulgarną już gangreną całego narodu. *Król*-Duch opiekuńczy anglosasów, przewcielony w genjusza dramatopisarskiego Szekspira, lepiąc z gliny i tchnąc życie sceniczne w Hamleta, uratował rasę przed nagminnem, endemicznem grasowaniem psychozy romantycznej, wyleczył z samych początków organizm z grożącego defektu, z filozoficznego spleenu, z pesymizmu, pasywizmu, kwietyzmu i *lunacy*. W zwierciadle duńskiej zdramatyzowanej legendarnej kroniki daje się wielki poeta przeglądnąć Anglji współczesnej, zastraszając ją najpierw widmem tego, jak to może po epoce wielkich zwycięstw (starego króla Hamleta) wyglądać państwo w upadku, spoczywające na laurach, zgnuśniałe, wczasujące, opilcze, kwietystyczne; potem widmem jeszcze straszniejszem stanu, w jakiby potężne państwo popaść mogło, gdyby na tron dostał się artysta, który przypadkiem urodził się królewiczem... królewicz, który uchyla się od spełniania obowiązku... filozof moralny, niezdolny do kompromisu z poziomem etyki normalnych ludzi. Tragedja „Hamleta" jes monumentem słabości,

której na imię nie jest „kobieta" ale „nieudany, niewydarzony następca tronu". Królewicz duński jest negacją tych wszelkich cnót, przysłów i maksym, które Anglję uczyniły wielkim mocarstwem. Każda myśl królewicza Hamleta neguje zasadnicze, motoryczne, potencjalne dogmaty wielkich wychowawców i myślicieli angielskich. „*England expect who does this duty*", „oczekuje, aby każdy spełnił swój obowiązek". Nelsonowską maksymę neguje królewicz nawet w jej najkapitalniejszym wymogu: obowiązku zemszczenia się za zbrodnię popełnioną na ojcu. *Right or wrong, my country,* „dobra czy zła, ale moja ojczyzna". Podstawić zamiast *country* słowo matka, a Hamlet zły syn, okaże się i złym obywatelem, złym patrjotą swego kraju. Darwina: *survival of the fittest* „ostanie się najodporniejszego"... Jakżeż się może ostać ta anomalja, przykładająca do wszystkiego i wszystkich najsurowsze probierze etyczne i wierząca w zło jako podstawową zasadę wszelkiego bytu? Szekspir, genjusz uniwersalny, ale i genjusz insularny, narodowy, mający w swym mózgu te wszystkie maksymy rasy w zalążkach drzemiące, odczuwa w Hamletiasis „niebezpieczeństwo wewnętrzne" grożące jego ojczyźnie. Wie, że przy rozmnożeniu endemicznem tego hamletowego nastroju dusznego nie mogłoby istnieć nie już żadne państwo, ale żadna wogóle komórka organizacyjna. Hamletiasis, to chroniczne przeczulenie zmysłu moralnego i sumienia. „Sumienie może tylko obserwować, nigdy działać", mówi Goethe. To też Hamlet ugina się pod nałogiem ciągłego obserwowania i siebie i innych, ale nie działa. Wiedzie vita contemplativa, ale nie buduje, nie tworzy, nie zdobywa, nie konstruuje, ba, nawet nie spełnia swych „duty". Droższa nad wszystko Szekspirowi Anglja takich genjuszów bez teki, takich artystów moralności, wirtuozów moralności w zaraniu swej imperjalistycznej potęgi nie potrzebuje. Niech będzie nawet „wyspą piratów", byle nie stała się wyspą Pierrotów. Jak to mówi dziś w swem dziele o morskim imperjaliźmie Homer Lea: „Tylko przemocą możliwe jest stopienie rozmaitych szczepów i rodów w jedno wielkie państwo; najmniejsze ustępstwo od zasady tego prawa ma za skutek zniweczenie tego państwa". Porównać teraz tę maksymę, godną chyba Klaudjuszów i Polonjuszów, z tyradami i monologami monomana duńskiego, który ma zasiąść kiedyś na tronie państwa, otoczonego wrogami: Polakami, Norwegami, Anglika-

mi! *Right is might*, powie Polonjusz, a za nim król, *every body for himself, charity begins at home,... my house, my castle*—wszystkie te maksymy twardego atletycznego egoizmu narodowego trenowały już Anglika Elżbietańskich czasów, by z niego zrobić rasowego doga, John Bull-doga... Nelsonowskiego, Darwinowskiego Anglika, common sense Anglika, normandzkiego Anglika, Robinsona, Gulliwera! Falstaffa!

Jakżeż w świetle dziennem i trywialnem tych maksym wychowawczych, tego dekalogu przeciętnego englishmana wszystko jedno shopkepera czy baroneta prezentuje się teraz Narcyz Hamlet? Oto jako z amalgametu wielkobrytańskiego wydobyty drogą chemicznej analizy pierwiastek celtycki, pierwiastek galijski, kobiecy, femalny, anty-energetyczny, anty-agresywny, anty-ekspansywny. I teraz możemy dostrzec już, że tragedja „Hamleta" to jest nietylko np. wiekuisty obraz agonji najszlachetniejszej duszy ludzkiej, nieodpornionej (*fittest*) na życie, ale patrząc z całkiem innej przyziemnej perspektywy, pod całkiem innym kątem, okaże się znów ta tragedja jako wielkie rozstrzygające przezwyciężenie celtyzmu przez genjusz normandzkiej rasy, jako przemożenie galijskich pierwiastków składowych w duszy wielkobrytańskiej, jako pogrom feminizmu, (objektu) przez maskulinizm, subjekt, twórcę.

Oczywiście w tym momencie może zgłosić się ze swem veto opozycja, stwierdzająca prostodusznie, że przecież Hamlet jest postacią jasną, świetlaną, dodatnią, piękną, wielką i przez Szekspira jako pozytyw wyłonioną. Nic płytszego. Hamlet w tragedji pełnej jest jednostką pełną, kompletną, całą. Wielkość każdej indywidualności globowych wymiarów tak na scenie, powieści czy w życiu warunkuje się zawsze tylko sprzecznością zdań o niej. Niczem innem. Dlatego i Hamlet ze sceny mieni się, jak Proteusz. Z 320-to-stronicowej księgi o Hamlecie zobowiązać się można wykroić tragedję, w której królewicz okaże się na deskach scenicznych czemś moralnie nadludzko-wielkiem; z 320-to-stronicowej księgi o Hamlecie da się równie z powodzeniem wykroić drugą tragedję, w której królewicz duński przedstawi się jako zjawisko raczej złowieszcze, jako istota nieznośnie wypaczona, anormalna, głęboko zwyrodniała, chorobliwie sztuczna, istota o sfermentowanym idealizmie przy gruboskórnym samolubstwie i brutalności uczuć i gestów, coś niemożliwie destruktywnego i negatywnego, przed

czem każdy widz (tak spreparowanej tragedji) otrząśnie się z odrazą i strachem. Co więcej, sam twórca, trzeba to raz wreszcie zdemaskować, odnosił się do tego „następcy tronu" w „państwie" „w którem coś się psuje", równocześnie z dwóch stanowisk, więc nieco hypokrytycznie, bo i hyperkrytycznie tj. i jako prokurator i jako obrońca, jako do wiekuistej anomalji, jako do monstrum per excessum, proteuszowo unieśmiertelniał Proteusza. Najjaskrawszy przykład tego mamy w ostatnich akordach tej posępnej dysharmonijnej agonji „bohatera", który umierając nie może powiedzieć o sobie, jak Nelson: Thank Good, I have donc my duty. Mianowicie:

Fortynbras (normand): Let four captains bear Hamlet like a soldier to *the Stage;* for he *was likely*, hat he been put on, to have prow'd most *royally!* Niechaj czterech kapitanów poniesie Hamleta *jak* żołnierza *na scenę;* on bowiem *prawdopodobnie,* gdyby był postawiony, byłby się okazał wielkim *królem*... Mówi więc w tej krótkiej mowie pogrzebowej Fortynbras (qui fort embrasse) człowiek czynu, conqueror, konstruktywny, pozytywny, maskulinum, normand o celtyckim, femalnym, nie „fittest", nie brytańsko - normalnym, nie Nelsonowskim człowieku refleksji i analizy Hamlecie: a soldier nie *as* soldier, „jak" a nie „jako" żołnierza, odmawiając mu w ten sposób demonstracyjnie przymiotów heroicznych, rycerskich, militarystycznych, nieodzownych królewiczowi; używa Fortynbras słowa *stage,* co znowuż w języku ówczesnym i angielskim i szekspirowskim oznaczało, „rusztowanie", ale przeważnie sceniczne, aczkolwiek można je brać i za rusztowanie pod katafalk i pod tron, jak chcą znowu koniecznie ci komentatorzy Hamleta, którzy się egzaltują dla jego piękna moralnego (Matlakowski). Równocześnie jednakże Szekspir na przekór licznym w poprzednich aktach aluzjom i wbrew swemu wysoce wybrednemu i surowemu poglądowi o posłannictwie i dostojeństwie królewskości, każe Fortynbrasowi orzec, że gdyby nawet taki Hamlet objął tron po ojcu, więc Hamlet nie spełniający swych kardynalnych obowiązków (*duty),* Hamlet rezoner, philosopher, somnambulik, bohemien, dojutrek! to jednak „*have prov'd most royally*" okazałby się doskonałym władarzem Danji, regentem, monarchą!! I znów dodaje Szekspir tylko jedno słówko, migocące, obosieczne, restrykcyjne: „prawdopodobnie"... Tak miękkie, wiotkie, wątpliwe słówko włożone w usta Fortyn-

brasa wojewody norweskiego, hetmana wojsk zwycięskich! nie adwokata, nie oratora, nie sofisty! Jak tu pogodzić te sprzeczności, te inkongruencje, tę niejasność, dwulicowość w wizerunku wielkiej duszy danym przez wielkiego wychowawcę wielkiego narodu? Odpowiedź na tę zagadkę znaleźć można tylko w tem, co tu właśnie będziemy się starali przeprowadzić i udowodnić, mianowicie, że tragedja Hamleta jest nietylko tragedją myśli metafizycznej, tragedją poruszającą najbardziej podstawowe wartości bytu ludzkiego, tragedją bojownika najwyższych wymogów moralnych, tragedją przez największego pisarza ludzkości napisaną dla ogółu ludzkości, ale, że jest równocześnie (horribile dictu) dramatem skroś politycznym, owocześnie, aktualnie i tendencyjnie politycznym, napisanym przez nacjonalistę, imperjalistę i monarchistę Szekspira, (indignationem teneatis amici!) przypadkowo najgenjalszego ze swej plejady. Jest to, jak przypominamy raz jeszcze, rękawica, rzucona wyzywająco *lunacy* romantycznej, nie będącej jeszcze coprawda ani „mal du siècle" ani „mal du nation" ale już sporadycznie grasującej w wyższych warstwach współczesnej Szekspirowi Anglji. Przenikający wzrok poety patrjoty dostrzega na słońcu wspaniałej ojczyzny pierwsze plamy, dostrzega, że nawet „w bujnym kwiecie" rozkwitającej wszechpotęgi „lęgnie się robak" psychozy weltszmercu może nawet jakiejś „Reichsverdrossenheit", nie uznającej dogmatu „right or wrong my country", sporysz jakiegoś obcego, nie angielskiego sceptyzmu. Dla Szekspira patrjoty jest stan ducha hamletyczny „niebezpieczeństwem wewnętrznem", które łacno może się rozrość w epidemję charakterów, w plagę. Ideał ogólno-ludzki może stanąć w poprzek ideałowi angielskiego obywatelstwa. Trzeba temu zapobiec, trzeba przed tem zastraszyć, trzeba to wyciągnąć na jaśnię, na stage, na rusztowanie, aby było widocznem każdemu normalnemu Anglikowi, aby taki negatyw energji, negatyw aktywności, twórczości i produktywności zademonstrowany na rusztowaniu scenicznem podziałał odstraszająco (*abhorrent*). Szekspirowi, twórcy Tymona Ateńczyka tj. Hamleta do kwadratu, Hamleta do absurdu doprowadzonego, przyszła plastyczna precyzacja arcytypu Hamleta stosunkowo znacznie łatwiej (niż np. równie genjalnemu twórcy z owych czasów Marlowowi), gdyż Szekspir miał w sobie zaczątki i objawy hamletiasis. Trzeba było tylko wziąć gotową duńską legendę z VIII wieku, ba, nawet gdzieś już istniejący

dramat i nie wzdragając się przed pamięciowemi zapożyczeniami z Kydda, z Chapmana, z Seneki, z Edypa, jedną z postaci z grubsza już gdzieindziej naszkicowaną obciążyć taką może wśród młodych earlów i baronetów zaobserwowaną, a może i we własnej duszy in latenti wzrosłą pasożytnią: *melancolia attonita*. Pisząc Hamleta i wyrzucając na papier to stadjum własnej zbolałej duszy wyzwalał Szekspir i siebie z nastroju hamletycznego, ale równocześnie leczył i Anglję, zwalając brzemię grożącego weltszmercu na kontynent. Że w atmosferze ogólnej elżbietańskiego społeczeństwa gęsto unosiły się i krążyły bakcyle filozoficznej hypochondrji i jakiegoś jakby eklezjastycznego spleenu wśród *„upper ten tousand"*, uznającego całe życie realne i rzeczywiste jako padół ułomności i brzydactwa, jako vanitasvani tatum, tego dowodzi już książka, jaka krótko przed „Hamletem" wyszła z druku, a na jaką dopiero niedawno zwrócili uwagę badacze ery Elżbietańskiej. Jest to Roberta Burtona zbiór jakby aforyzmów pt.: „Anathomy of Melancoly", compedjum, przewodnik dla mizantropów i przeczuleńców moralnych, nie mogących się pogodzić z relatywnościami życia. Nie mógł nie znać Szekspir książeczki, w której jest także mowa o rozmnożeniu się takiego gatunku ludzi, „których drażni wszelkie działanie, ale również niepokoi bezczynność". Czyż w tem nie leży już cała hamletiasis in nuce? Czyż Szekspirowego melancholika, odrętwieńca i niezdecydowańca ustawicznego nie niepokoi też jego własna bezczynność pospołu z tą nałogową Burtonowską autoanalizą? czyż całe jego chroniczne podrażnienie nie pochodzi z tego, że królewicz odczuwa organiczny, kategoryczny mus interwencji, czynu, aktu, w tym wypadku aktu zemsty (*revenge*), a równocześnie wszelkie „działanie go drażni": drażni agresywna uczuciowość Ofelji, drażni młodzieńcza junaczość Laertesa; drażni dyplomatyczne dworskie lawirowanie i uzgadnianie interesów państwa z interesami dynastji statesmana Polonjusza? I jeszcze jeden istnieje dokument literacki z tych czasów, stwierdzający, że zarazki hamletycznej morbidezzy, że pyłki i zalążki choroby woli przy hypertrofji intelektu opadały tak często gęsto na duszę młodych gentlemanów z high-lifu Elżbietańskiego, aż i wytworzył się powoli jakiś *fashion*, jakaś moda na takie anomalje, na takich artifexów refleksji, subtelnie ale jałowo rezonujących, na takich gapiów (bystander) życia oczerniających to życie, na takich narcyzów

odwróconych tyłem do społeczeństwa, do narodu, do państwa, a wpatrzonych tylko w mętną a czarną taflę jeziora swej jaźni. Tego gatunku typ już mocno zbliżający się do protospecies Hamleta dali na deski sceniczne Beaumont i Fletcher, a nazywał się ten przed-Hamlet: „Phylaster" (*or Love lies a Bleeding*). Musiała już tedy ta influenca psychiczna zataczać coraz szersze kręgi, jeżeli już nie w średnich warstwach, to nagminnie w high-lifie, skoro już sygnalizowano jej rozprzestrzenianie się aż w dwuch, a może w więcej utworach literackich. Wchłaniający w siebie wszelkiemi porami treść czasów Szekspir, żyjący pełną piersią, z oczyma wpatrzonemi w rojne i pstrokate targowiska świata, z uszyma, łowiącemi wszystkie echa i krzyki nowych zdarzeń, trzymający obie ręce *„on the very pulse of the machine"* (Wordsworth), widział więc naocznie, jak z jednej strony powoli, ale systematycznie i świetnie podnosi się pierwsza kondygnacja żelaznej konstrukcji imperium Britanniae dzięki mężom woli, czynu, obowiązku, wytężonej energji i wytężonego życia, a z drugiej strony, jak wśród tych conquerorów, globetrotterów, statesmanów i statesmakerów zaczynają się wałęsać i plątać jakoweś młodzieniaszki bladolice, o opasłych szyjach, „z zadyszką", eks-studenty wittenberskie, z głowami „w obłokach"... z notatnikiem czy pamiętnikiem w wypieszczonych dłoniach, zgryźliwie i złośliwie uśmiechnięte, apostołujące w aforyzmach często świetnych i olśniewających apatję, zniechęcenie, pasywizm, nieróbstwo, niesprzeciwianie się złu, niespełnianie obowiązku, rezygnację, abnegację, abdykację. Podczas gdy jedni jędrni, muskularni, żylaści, męscy w każdym calu pod przewodem wielkiej monarchini wytężali maksymum wysiłków, dawali z siebie społem i viribus unitis quinteesencję energji twórczej, przedsiębiorczości, ryzyka, inni, będący jak pewien królewicz... *„the glass of fashion and the observer of the observers,* wyłamując się z szeregu, izolując od środowiska aktywnego, konstruującego, produktywnego, tracili czas i rozmieniali mózgi na drobną, zdawkową monetę aforyzmów i powiedzonek, dyskredytujących tylko i dyfamujących to wszystko, co tamci dzielnego i wiecznotrwałego dokonują i dokazują. Tam widział poeta *stubborn energy i strenous life* ludzi, biorących życie z prosta, szorstko, jako coś, co się wywalcza, zdobywa, ujarzmia, ludzi Guliwerów i Robinsonów wyjeżdżających i wjeżdżających do metropolji nad Tamizą z Grenlandji,

z Moscovy, z Sycylji, z Elbląga, a tu znowu zasiedziałych, zadomowionych, ociężałych, wlokących się tylko po komnatach i terasach swych zamków mózgowców, intelektualistów, oczytańców, wyciągających tylko raz po raz to inne książki i foljały ze swych księgozbiorów, to co raz zgryźliwsze i mocniejsze glossy ze swych przetłoczonych studjami mózgów. Ci młodzi kawalerowie i dandysi nietylko nie kwapili się do służby publicznej, do rządzenia i gubernowania, do administracji, magistrates, legaties, do floty, do armji, do statecznego terminowania w urzędach publicznych, ale woleli przesiadywać wśród fraucymeru, lub wałęsać się za kulisami, prowadzić długie rozhowory z aktorami lub bawić swe zblazowanie słuchając dysertacji wulgarnego gminu, choćby kanalarzy czy grabarzy...[1]) Przedewszystkiem jednak tonęli w lekturze, w książkach, nie rozstawali się z książkami, wszystkiego szukali i znajdowali w książkach, może w doskonałych, ale jednakowoż trujących, pełnych szaleju książkach. Napawani, przepojeni mądrością tych ksiąg przy każdej sposobności życiowej cytowali gorzkie jak piołun prawdy z tych książek pobrane. Jakie to były książki? czyżby angielskie? Oczywiście nie angielskie, nie z ducha normandzkiego i saskiego porodzone, gdyż englishman nie może pisać dzieła podgryzającego energję swej rasy. To były książki cudzoziemskie, zamorskie, celtyckie, francuskie i hiszpańskie...

Najgorszą z nich Szkice niejakiego pana de Montaigne...

V.

Mniejwięcej ściśle w latach, w których powstawał Hamlet, największą poczytnością wśród wysokiej szlachty londyńskiej z pisarzów cudzoziemskich chlubić się mogło dwuch głównie, zgoła odmiennych duchem, bo... Dominikanin Bruno i pan de Montaigne. Pater Giordano, polecony przez posła francuskiego dworowi angielskiemu przybył do Londynu i miał tu w Oxfordzie przed królową odczyt o „systemie słonecznym“ znakomitego Górnoślązaka... Kopernika. Książką tego pesymi-

---

[2]) Jednym z takich musiał być też naprzykład książę Jan Szkocki, syn Marji Stuart i Darnleya zabitego przez starszego brata Bothwella, którego matka zaślubiła potem mordercę męża, a którego to Jana Szkockiego melancholika i intelektualistę uważa badaczka angielska Liljana Winstanley za prototyp Hamleta...

sty, która leżała na kominku każdego noblemana angielskiego, była niejedna z jego komedyj np.: „Il Candelajo“, ale ekscentryczne dziełko „Spaccio della bestia triomphante“. Nowocześni włoscy badacze Szekspira, Paolo Orano (w r. 1914) i prof. Alfonso, dowodzą z uporem, że i książka, którą Hamlet piastuje w ręku podczas rozmowy z Polonjuszem jest właśnie: „Spaccio“. Na zapytanie bowiem starego, co w niej napisane, odpowiada: „Oszczerstwa, mój panie, Satyra obwieszcza, że starzy panowie mają siwe brody, twarz w zmarszczkach, że ambra i śluz z oczu im się toczy, że mają niezwykły brak dowcipu i zwiotczałe lędźwie“. Tak omal dosłownie wyraża się o starości bez rewerencji pater Giordano w swem „Spaccio“. Ale tak samo również mniejwięcej mówi o starości kilkakrotnie w swych Essayach i osamotniony obszarnik z Montaigne. Nadto jednak jeszcze w wielu, w przewielu miejscach królewicz duński z VIII wieku p. Chr. mówi, definjuje i aforyzmuje całkiem nietylko w duchu ale i w stylu genjalnego szlachcica francuskiego, (zmarłego w r. 1512). Guizot w swej Historji nazwał raz Montaigne'a „naszym francuskim Hamletem“, nie przeczuwając nawet, że znacznie po nim badacze naukowi wykażą i udowodnią potężny wpływ Montaigne'a na Szekspira, i że znajdzie się ze szczupłego księgozbioru Szekspira foljał Montaigne'a w tłómaczeniu Floria z cyrografem wielkiego poety. Trzeba przyznać, że pierwszym, który wykazał te wpływy był Niemiec Stedefeld (1871) a dopiero znacznie po nim, ale już niezbicie, Anglik Feis. (*Shakespeara and Montaigne. An Endeavour to explan the tendency in Hamlet from allusions in contem porary work 1891*). Stwierdza ten silny wpływ intelektualny w całym szeregu dzieł Szekspira, jak w „Poskromnieniu złośnicy“, w „Straconych miłosnych zachodach“, a szczególnie w „Burzy“ (to wszystko, co mówi Gonzalo o idealnem państwie przyszłości i społeczeństwie w stanie natury, jako parafrazę essayu o kanibalach) także znakomity badacz francuski Montegut. „Essays“ pisał 39-letni Francuz, Hamleta 34-letni Anglik, ale Hamleta, podobnie jak Romea, Szekspir pisał w gruncie rzeczy dwukrotnie; w pierwszej redakcji Hamlet liczy wierszy 2443, podczas gdy przerobiony, pogłębiony i nawet gdzieniegdzie przekształcony w quarto poprawnem i definitywnem wierszy liczy 3119! zaczem o 676 wierszy więcej! Te sześćsetsiedemdziesiątsześć wierszy nowych to musi być właściwe pogłę-

bienie samej tylko postaci Hamleta i cała esencja Hamletyzmu wnosząc już choćby z tego, że w pierwszej edycji swej, tak jak był grany przez trupę Henslova, do tego stopnia nie przedstawiał głębszego interesu literackiego i duchowego, że ówczesny uczony krytyk Meres wyliczając 12 sztuk Szekspira nawet nie wspomina o tragedyj duńskiej! jako o czemś widocznie drugorzędnem, mniej udałem, czy może nawet zbyt pełnem zapożyczeń, reminescencyj i efektów obcych (duch, obłęd Ofelji etc.) Może więc te 676 wierszy dopisanych zdecydowało dopiero o nieśmiertelności i o wszechświatowej wadze utworu? I może w tych 676 jest dopiero cała *lunacy*, cały weltszmerc i właśnie cała montaignitis królewicza? W tej interpretacji tedy pierwszy bohater i pacjent romantyzmu okaże się nam zatem jako przedewszystkiem „uczeń Wittembergi", a więc młodzieniec o edukacji „*made in Germany*", z intelektem przepojonym następnie i przesiąkłym galijskim sceptycyzmem, czerpanym z Montaigne'a. *Que j'ai sais* to będzie ustawiczny refren hypochondryka, jeszcze wciąż tęskniącego do swej mrocznej Wittembergi, skąd wywodzi się także i inny owoczesny bohater dramatyczny tj. Marlowa „Doctor Faustus", któremu to dziełu Szekspir chciał właśnie przeciwstawić „swojego Fausta". (Pogląd hamletologa Sieversa). Essayes Montaigne'a są właściwie jednym wielkim monologiem Hamleta. Que j'ai sais? „Nie mogę się oprzeć żadnemu przekonaniu", mówi Montaigne... „Niema złego lub dobrego, dopiero myślenie czyni je takiem". „Zaiste, wiedza, jaką o naszych sprawach mamy, jest bardzo nikłą". „Wiele jest rzeczy na niebie i ziemi, o których się *waszym* filozofom nie śniło". Są w tem oczywiście i oddalone echa Hobbesa: Verum et falsum attributa sunt non rerum sed orationis" i Pascala także, ale Montaigne góruje. Można obok siebie w długim szeregu kłaść cytaty z Montaigne'a i z Hamleta, a w kolorycie duchowym okażą się tak identyczne, że trudno będzie rozróżnić; to zasię, co mówi w swych konfesjach Montaigne o sobie, mógłby swobodnie mówić także Hamlet lub inni o Hamlecie. „Mam duszę gnuśną i zarazem ciekawą w bardzo wielu sprawach pospolitych, których nie można bez wstydu opowiedzieć". „Najuczciwszy człowiek, jeżeli wszystko, co czyni, czyni wedle praw, jednak dziesięciokrotnie zasłużył na szubienicę". „Filozofować znaczy, uczyć się śmierci". „Trzeba zedrzeć maskę rzeczom i osobom". „Wyzbyć się nam godzi

wszelkiej troski o imię i sławę". „Zadaję sobie samemu kłam nieustannie i czuję, jak się chwieję i rozwiewam ze słabości". „Niedość ufam siłom własnym, żeby móc rozkazywać i kierować, więc bardzo jestem rad, gdy mi drogę wyznaczają inni". „Czy ujarzmiać świat, czy raczej wieść żywot stosownie do swych skłonności"? „Mój język szorstki i wzgardliwy". „Być prawdziwym, to początek wszelkiej cnoty". „Jestem pełen szczelin, wszystko ze mnie wycieka". „Maluję przeważnie tylko moje rozmyślania". „W samym wirze zdarzeń zachowuję się po męsku, ale gdy przyjdzie kierować, staję się dziewczyną". „Mam umysł powolny i tępy, najdrobniejszy nawet obłok już go całkiem zaciemnia"... Obłok... Przypomnijmy sobie, jak niespodziewanie przychodzi słowo „obłok" w odpowiedzi Hamleta królowi...

Montaigne erudyta, oczytany w niezwykłej mierze w pisarzach starożytnych, miłuje Plutarcha (którego w Londynie do roku 1588 wyszło 5 wydań) tego samego żywotopisarza, w którym zaczytywał się Szekspir, autor greckich i rzymskich dramatów; kocha się jednak Montaigne najwierniej w Horacym. Tego cytuje omal na każdej stronie rozdziału. Horacy, gentleman z Apulji, także gardzący wulgarnością, skeptikos (spozieracz, gap, bystander) jest Montaignowi chyba tak drogim, jak był mu drogim jego przyjaciel istotny, Stefan La Boëtie (autor „*La Servitude volontaire*" 1553). „Po stracie przyjaciela wlokę żywot jak w omdleniu". W Essayach Montaigne'a jednym z najpiękniejszych passusów jest „pochwała przyjaźni". Grandseigneur Hamlet ma też swojego jedynego zaufanego powiernika i spowiednika, któremu zwierza się ze wszystkiemi dolegliwościami i na którym opiera się ciężko całem brzemieniem swej melancolia attonita. Jego La Boëtie to Horacy, a raczej Horatio, kolega, scholarz z Faustoskiej Wittembergi. Ile razy Montaigne wyraża wzgardę dla czynu, życia aktywnego, działania, ile razy wygłasza pochwałę żywota samotnego, izolacji, bezczynu, kunktatorstwa i abstynencji, tyle razy powołuje się na swego przyjaciela Horacego. Hamlet zaś, wygłaszając tosamo, odwołuje się z tem wszystkiem znowuż zawsze do przyjaciela swego Horatia, który musi cierpliwie wysłuchiwać tych konfesyj iście Montaignoskich. Mimowoli tutaj nasuwa się suspekcja, czy stosunek Hamleta do Horatia nie jest odbiciem tej głębokiej i subtelnej przyjaźni, jaka istniała między

tajemniczym H. W., któremu Szekspir dedykował sonety, Venus i Adonis, i Lukrecję (1593), a którym wedle ostatnich rewelacyjnych odkryć naukowych był earl of Southey Henry Wriotchesley i czy wogóle H. W. nie jest choć w pewnej mierze przykładem zaszczepienia montaignitis na charakterze młodego angielskiego baroneta. Byłoby w każdym razie ciekawem dociec, czy i w jakiej mierze największy i historycznie uwierzytelniony przyjaciel i protektor Szekspira, nad którym tylu szekpirjologów łamało sobie głowy, a zęby mądrości kruszyło nad tego orzecha rozgryzieniem, odzwierciadla się w któremś dziele scenicznem i czy najprawdopodobniej nie przeszło coś z grandseigneura londyńskiego w diuka z Elsinghor. Esteta, intelektualista, sybaryta i mecenas literatury Wriotchesley, nie mógł nieznać modnego brewjarza pewnej kategorji ówczesnych młodych panków angielskich, a Essays młodego panka francuskiego nie mogły nie wywołać niezatartego wrażenia na tym jedynym z high-lifu, serdecznym druhu W. S.

Wracając po tej dygresji, także hypotetycznej, do kwestji niezwykłego krewieństwa dusz „Hamleta“ i Montaigne'a, zaznaczyć przedewszystkiem musimy, co jest w obydwóch, tj. u postaci z tragedji i u indywidualności z piśmiennictwa, zasadą bezwzględnie obojgu wspólną. Dojdziemy wtedy do rezultatu, że i Hamlet i Montaigne mocno egotyczni i samolubni, w gruncie swych istot uginają się pod nałogiem autokrytycyzmu i samoanalizy. Nikomu nie wierni, wierni są tylko samym sobie, obserwują swoje moralne wnętrze bez wytchnienia, obnażają szyderczo swoje ja, rozbierają na części mechanizm swej duszy skomplikowanej i grzebiąc w sobie, odsłaniając siebie, dochodzą do bolesnego, ale łagodnego samobiczowania, do jakichś aktów psychicznego exhibicjonizmu. Obaj nie szczędzą innych, ale i nie szczędzą siebie samych. I Montaigne i Hamlet doszli do przekonania, że świat jest imanentnie zły a ludzie od szpiku kości już cuchną. Niech się więc dzieje, co chce (laisser faire), byle oni izolowani od profanów vulgus, mogli sobie układać w herbarium kwiaty złego, symptomy rozkładu, dysharmonji i arytmji, byle mogli kolekcjonować „dokumenty ludzkie”, rekordy szelmostwa i bestjalizmu z jakąś mefistofeliczną satysfakcją nie adwokatów generis humani, ale sędziów-oskarżycieli i Torquemadów. Człowiek nicością, wiedza złudzeniem, kobieta puchem, sława dymem. Opłaci się żyć jeszcze mając w ręce

Hamletowskie *„my tables“*, notatnik i tam zapisując nieco po epikurejsku to tylko, co jeszcze stwierdza nieustannie pośledniość i fuszerkę gatunku: bliźni. „Postanowiłem zapisywać te wszystkie drobne myśli, które się przed moją wyobraźnią przesuwają” pisze Montaigne i mówi Hamlet, i obaj zapisują w essayach na *tables* tylko to, co stwierdza ciemną stronę życia i co w konsekwencji życie dyfamuje i obrzydza.

Istnieją jeszcze inne atoli dowody wpływu Montaigne'a na Szekspira, piszącego po raz drugi skorygowanego i kompletnego „Hamleta“. Nie pominiemy jednego szczegółu drobnego co do imienia Laertesa, brata Ofelji, etudjanta uniwersytetu paryskiego, dziarskiego wojownika i szaławiły. Skąd imię Laertes? czy nie stąd, że na tych samych stronach „Essayów“ gdzie jest raz po razu cytowany w oryginale łacińskim przyjaciel Horatio, jest też w Rozdziale II, Księga X „O książkach“, zdanie: „Bardzo mi przykro, że nie mamy z tuzina Laertesów“.

Pomijając tedy czystą dźwiękową asocjację, zastanowimy się atoli jeszcze nad stosunkiem Montaigne'a do innego pisarza, do rzymskiego, t. j. do Cycerona. Montaigne nie znosi tego oratora i statysty. W Essayach pisze: „W Cyceronie jest wiatr, a nie sok i pożywienie“. Ale i Szekspir też nie znosi Cycerona; w Juljuszu Cezarze przedstawia go w najujemniejszem świetle, jako intryganta przebiegłego a niezgrabnego, aczkolwiek złotoustego krasomówcę. Do krasomówców i oratorów zdawał się wielki Will, energetyk i vitalista, żywić wogóle zdecydowaną nieufność i abominację, czy to będą krasomówcy Rzymu czy Danji. W „Hamlecie“ przy nadarzonej sposobności mocno podkpiwa z innej odmiany krasomówstwa, z mody również grasującej wówczas w Londynie. Otóż jest w tragedji postać zgoła ewentualnie zbyteczna (jak zresztą i kilka innych) ot epizod pozornie zupełnie poza peryferją tragedji leżący. Nazywa się Ozryk. Ten dworzanin duński, niby z najciemniejszego średniowiecza, wyraża się językiem specjalnym, sztucznym, napuszonym, egzaltowanie bombastycznym, językiem modnisiów precieux z lat 1590-tych. W tej figurynce godzi Szekspir w tz. eufuizm, tj. taki sam snobizm szykowców i schylkowców owych czasów jak i... montaignizm. Lord Berness, jeden z licznych w one czasy lordów parających się literaturą, przetłómaczył na angielskie hiszpańskiego autora Guerrery: *„El Libro de Marco Aurelio“; The golden Book of Marc Aurel emperor*

and eloquent orateur (1580). Inny lord przetłómaczył polskiego Goślickiego: „*The accomplished senator*“, więc drugi pośpieszył się z hiszpańskiem analogon do tego dzieła. Pod wpływem tej książki znów renomowany autor londyński John Lylly pisze wtedy drugą, pt.: „Euphues“ „Anatomja dowcipu“ (1581) rodzaj podręcznika, wysoce szykownej, dworskiej, wypuczonej konwersacji, pełnej pointowanych antytez, wyfiokowanych komplementów, afektowanych zwrotów. Tym zmanierowanym językiem guerreroskim, euphuistycznym (a jak dziś się mówi skoszlawiwszy słowo: eufemistycznym, jakby od Eufemji) podchlebczym i afektownym wysławia się w Hamlecie Ozryk.

Otóż śmieszność Ozryka jest tak zdecydowanem potępieniem eufuizmu, jak nieszczęsny los i katastrofa Hamleta pociągająca za sobą upadek dynastji są przezwyciężeniem montaignizmu i choroby woli, zagrażającej zdrowiu moralnemu współczesnych Szekspirowi Anglików. Sam Szekspir podlegał także kolejno tym psychozom i chorobom wieku w pewnym stopniu większym i mniejszym (eufuizm w „Śnie Nocy Letniej“), ale zdobył się na przezwyciężenie ich i wyzwolenie się z ich właśnie przez twórcze projekcje swych i współczesnych sobie stanów i prądów ducha na papier. Że kompleks psychicznych defektów i ułomności dający się podciągnąć pod wspólną definicję: hamletiasis, istniał w Szekspirze potencjalnie nietylko w jakichś pierwocinach i siemionkach, ale w stanie chronicznego rozrostu, to stwierdzić się da z całego szeregu dzieł, w których są rozmaite modulacje i odcienie typu Hamletycznego. Mocno Hamletyczni są Antonio, Troilus, Posthumo, Jacek („Jak wam się podoba"), Vincenzo w „Miarka za miarkę“, Perykles, wreszcie postać, do absurdu doprowadzająca swą hamletiasis: Tymon Ateńczyk. Była epoka, były miesiące w życiu Szekspira, może głównie po rozczarowaniach z czarną damą Mary-Fitton, lady Pembroke (która była dlań tem, czem Armanda Bejart dla starzejącego się Molièra), miesiące czarne, w których czującego się kompletnie „samym wśród ludzi“ poetę przywalał ugniot piołunnie gorzkiego pesymizmu, inferno weltszmeru, spleen beznadziejny, acedja, abulja, anestezja, melancolia attonina cum stupore, rozkład wszelkich zdolności aktywnych, rozprzężenie woli definitywne. Jako twórca i to wielki twórca, i więc diagnosta tych stanów duszy, znał jednak sposoby leczenia się z tych chorości, uwalniania się od nich, spychania ich ze siebie.

Należało jeno rozszczepiać swą jaźń na kilka dusz, zobjektywizować twórczo ten chorobliwy stan swej duszy w jednej, stworzonej w dziele sztuki postaci, inkarnować to właśnie schwytane in anima vili stadjum swej duszy w jednym, protagonicznym typie scenicznym, a własne cierpienie, własny udar psychy szedł już na rękopis i na scenę, do ludzi, wystawiany na pokaz dla wzbudzenia litości czy grozy; w każdym razie był już przedmiotowy, obcy i istniał nazewnątrz. Podnieść należy raz jeszcze, że semina, zaczątki hamletiasis są in latenti w całym szeregu postaci scenicznych Szekspira, a królewicz duński jest tylko najlepszym okazem, pracht - egzemplar tego species, którego pośledniejsze odmiany to Jacek, Vincenzo, Posthumo, Perykles, wreszcie Tymon. Twórczość dramatopisarska Szekspira była, jak i u wielu wielkich dramaturgów, u Hebbla, Strindberga, Alfierego, Ibsena, Wyspiańskiego, autoterapją, samoleczeniem się. Musiały więc być w organizacji psychicznej Szekspira bardzo głębokie pokłady i uwarstwowienia taedium vitae, smutku integralnego, smutku Eklezjasty, odrazy życia ukochania nocy, tęsknoty niebytu, *lunacy*, jeżeli tylokrotnie musiał uwalniać duszę z tego brzemienia, zrzucając je na papier. Musiało go kilkakrotnie zalewać, jak się wyraża w Hamlecie: *sea of troubless* (Eschylosowskie: *Kakou talassa*), morze niedoli, jeżeli stworzył dla sceny i nieśmiertelności kilka podgatunków, kilka antycypacyj i precursorów postaci Hamletycznej, by wreszcie trafić na najdoskonalszy wyraz tego stanu duszy, który był jego duszy stanem może nawet chronicznym. Jestto już bezprzecznie szczyt zindywidualizowania psychograficznego przy niesłychanem skomplikowaniu sytuacji, na jaką bohater-ofiara jest skazany. Zaiste nie ułatwił sobie w tem zadania Prospero z nad Avonu, tworząc swego „il principe inconstante"... Żeby i siebie leczyć i ojczyznę o grasującej psychozie zaalarmować, wziął Szekspir na „stage" czy na stół operacyjny najprzedniejszą odmianę gatunku *uomo melancolico,* nie jakiegoś zniewieściałego, o zwiotczałych muskułach Don Carlosa, nie dandysa philosophastra, nie jakieś historyczne hrabiątko, ex-studenta Oxfordu, epikurejsko - malkontenckie, nie przeciętnego, a przedwczesnego, jak na epokę denegerata, opchanego renesansową kulturą i czkającego mizantropijnemi aforyzmami. Nie, to byłoby stanowczo niegodne uproszczenie sobie wielkiego zadania. Szekspir dla eksponowania swego

wielkiego pacjenta wziął najprzedniejszą modyfikację gatunku, bo melancholika z nadmiaru moralności, najwyjątkowiej etycznie predysponowanego młodzieńca, przesubtelnionego w swych wymogach etycznych, obrońcę prawa moralnego, przeczulonego na wszelkie drgnięcia moralne jak stereoskop. Nadto jeszcze takiego skroś etyka, artystę etyki o kategorycznych imperatywach etycznych obdarzył fenomenalnem uzdolnieniem do filozoficznych dociekań, umysłem wszechstronnie spekulatywnym i wyrobieniem dialektycznem olśniewającem. Na tak dopiero psychicznie dysponowanym i intelektualnie uposażonym *uomo unico,* na takim arcy-modelu wykazuje spustoszenie, jakie czyni czepiający się zarazek *lunacy*, bakcyl z Wittembergi wywodzącego się weltszmercu. I takiego dopiero *uomo singulare,* infekowanego nadto sceptycyzmem galijskim, frankońskim, celtyckim (nie angielskim a antyangielskim) stawia na najwyższej wyżynie hierarchji społecznej, na najodpowiedzialniejszej placówce jako przyszłego suwerena, a na razie pretendenta, sukcesora, następcę tronu. I oto co się może stać, a raczej co staćby się mogło, gdyby melancholik, gdyby utopista, fantasta, imaginatyk, hyperidealista, człowiek nie zgadzający się na żadne koncesje i kompromisy, orędownik najczystszej sprawiedliwości objął wreszcie tron po ojcu i z tej wyżyny najwyższej musiał się zetknąć bezpośrednio ze wszystkiemi relatywnościami życia... A coby się stać mogło... (Boże królową chroń!) gdyby kiedyś na tronie angielskim miała zasiąść taka antypoda Macchiavellowego „Principe“, taki Don Quichote etyczny i rządzić narodem, którym rządzą na codzień przysłowia: *right is might, Times is money, knock and blow, business as usual... my house my castle, right or wrong my country*... i t. p.

Szczególnie ta ostatnia maksyma jest bardzo ważną w zestawieniu z postacią Hamleta. Twórca jego bowiem wstawia właśnie swego „principe“ w najprzepastniej tragiczną sytuację Orestesową czy Thyestesową jako syna złej, rozwięzłej, wszetecznej, zbrodniczej matki, syna, który winien wraz mścić się za krzywdę ojca, za mord ojca, za zdradę ojca.

Podstawmy bowiem w najpopularniejszem przysłowiu angielskiem, które najbardziej przyczyniło się do zcementowania jej potęgi, t. j. w tem: *right or wrong my country* zamiast słowa *country* słowo: *mother.* Winowajcą w Hamlecie jest tylko król Klaudjusz, matka jest ofiarą jego chuci ciała i chuci wła-

dzy. Principe obciążony etyczną *lunacy* nie umie, nie jest zdolen spełnić swego pierwszego obowiązku, pomszczenia się nietylko za ojca, ale i za matkę, bez względu na to, czy istnieje i crimen matki, czy matka jest *right or wrong*, nie zdolen spełnić pierwszego obowiązku syna: *revenge!* Przypomnijmy sobie, że z tem słowem Anglja polityczna nie rozstawała się w żadnym momencie swych dziejów, przypomnijmy, co o tem mówi Walter-Scott: *Revenge is the sweetest morsel to the month that ever was cooked in hell*, najsłodszem dla podniebienia łakociem, jakie smaży się w piekle... Kto zasię nie umie mścić się za rodzicielkę-matkę, ten nie będzie umiał mścić się za tę wielką matkę, za ojczyznę. Szekspir piszący „Hamleta“ i przeprowadzający na sobie autoanalizę, dając patografję tego stanu duszy, równocześnie przeprowadzał operację na organizmie angielskim; wycinając z niego raka Wittemberskiego weltszmercu i bezwładu woli. Typ Hamletyczny występował jeszcze sporadycznie, był pozanarodowym, ponadnarodowym, ale zarazki gęsto unosiły się w atmosferze i typ mógł się groźnie rozplenić, zaraza pasywności mogła zacząć grasować endemicznie, typ mógł się utrwalić, rozmnożyć, stać się narodowym. Temu można i trzeba było zaradzić, by salwować hart żywotności i prężności rasy. Typ był odstępstwem zbyt dalekiem od normalnego typu angielskiego, atletycznego i aktywnego, był produktem rozkładu szerzącym rozkład, narazie jeszcze anomalją, ale już bezwzględnie szkodliwą, trzeba więc było zjawisko chorobowe skonkretyzować plastycznie, unaocznić i odstręczyć współczesnych, aby raz na zawsze zapobiec podważaniu energji i rozpędu twórczego, choćby wśród jednostek dopiero i nie pozwolić dojść do osłabienia instynktu samozachowawczego wogóle. Poeta, który napisał „Hamleta“, składając konfesję i ze swego stanu ducha, równocześnie ocalił swą ojczyznę przed rozmnożeniem gatunku ludzi, z punktu widzenia państwo-twórczego bezpłodnych i jałowych, narodowo omal indyferentnych, etycznie choćby i wysubtelnionych ale praktycznie indolentnych i skutkiem tego całkowicie luksusowych. Poeta, który napisał Hamleta, reprezentował w pełni czujny i przewidujący instynkt samozachowawczy narodu, był ucieleśnieniem, usymbolizowaniem ogółowego common-sensu.

To też poeta, który napisał „Hamleta”, tem samem uratował swą rasę przed germańskim weltszmercem i galijskim sceptycyzmem.

VI.

Jeden z komentatorów Hamleta, z niezliczonych na wyróżnienie zasługujący, mianowicie Flathe, przeprowadza szeroko dowodzenie, że w tragedji Szekspirowskiej najważniejszym jest stosunek Hamleta nie do matki, nie do stryja, nie do Ofelji, lecz do... Polonjusza. Temsamem staje Flathe jeszcze zresztą niepewnie na tem stanowisku, które zajmujemy w niniejszej pracy, t. j. na próbie udowodnienia, że „Hamlet“ jest także dramatem polityczno-tendencyjnym.

Otóż, jak wiadomo, dla wypuklenia niebohaterskiego bohatera daje Szekspir, antytezując, trzy główne postacie, t. j. Laertesa, Fortinbrasa i Polonjusza. Na tle tych trzech normalnych englishmanów w duńskie kostjumy poprzebieranych, modeluje się dopiero nietylko wszechludzkość Hamleta, jego „obywatelstwo wszechświata“, ale nawet poziomiej biorąc jego mocno kosmopolityzmem zatrącający indyferentyzm pod względem narodowym, następnie jego ekscentryczność i egocentryczność, wreszcie jego cały światopogląd schorzały, odbierający mu stanowczo wszelkie kwalifikacje na dobrego regenta. Dopiero na tle tych trzech, bądź co bądź patrjotów swej ziemi, różnego odcienia, wychodzi jaskrawo na jaw, że jest to artysta, ba, nawet, że jest to bohemien zabłąkany w sfery dworskie, w środowisko rządzących i guwernujących, że to odszczepieniec dynastji i rodu, że to stanowczo nie *right man a right place*. Przy całym swoim ustawicznym sarkazmie, zgorzknieniu i zaskorupieniu się, przy całej swojej uczuciowej często oschłości, jest w Hamlecie zadużo najczystszego chrystjanizmu, aby taki dosłowny, konsekwentny, surowy jak on chrześcijanin mógł zasiąść na tronie i choć godzinę być monarchą. Słusznie więc i samosądząc siebie, równocześnie wskazuje umierający Hamlet na Fortinbrasa, jako na przyszłego doskonałego władcę i pana Danji.

Fortinbras, to fors, fortitudo i fortuna w jednej osobie. Nie będziemy dłużej czasu poświęcali Laertesowi. Wiemy tylko, że podobnie, jak Montaigne, tak i każdy Duńczyk w Hamlecie, w momencie, w którym dzięki Hamletowi, „wszystko zaczyna się psuć w królestwie“ powtarzałby z westchnieniem zdanie Montaignowskie (Rozdział II, księga X): „O jak mi przykro, że nie mamy z tuzina Laertesów...“ W każdym jednak razie, gdy Laertesów trzeba mieć tuzinami, Fortinbras, qui fort embrasse,

wystarczy sam jeden. A jednak Laertes, leo-hearst (lwie serce) jeszcze może być wzorem męskich, pozytywnych wartości dla negatywnego Hamleta. W Paryżu, gdzie studjował i bił się z kolegami, wyostrzył sobie poczucie honoru w stal damasceńską. Tego nieustraszonego, prostolinijnego chrobrego junoszę rozpiera, roznosi, wprost zadławia żądza zemsty, konieczność kategoryczna zemsty, mus natychmiastowej revenge. Fechmistrz Laertes parskając zemstą w imię obrażonego honoru rodziny, reprezentuje revenge rodziny. Fortinbras reprezentuje revenge narodowy. Jestto coś znacznie więcej. To też nie emocjonalny młodzieńczyk Laertes jest pozytywną antytezą hamletyzmu principe duńskiego, ale Fortinbras. Aby dostatecznie ujemnie wyszła pasywność, absenteizm, rezygnacja i beztreściwość poczynań Hamletowych, przeciwstawion mu jest w konturach zarysu zaledwie hetman zwycięski i szczęśliwy, wojewoda nieustraszony, genjusz militarny, człowiek agresywnego czynu, miłośnik hazardów i ryzyka. Kontrast między celtyzmem a normandzkiemi pierwiastkami w amalgamacie wielkobrytańskim występuje z całą jaskrawością dopiero w zestawieniu bezwładu i bezczynności królewicza, wałęsającego się po swym zamku, (który nie jest mu nawet *my house*) z Fortinbrasem, wikingiem norweskim, rycerzem zdobywcą w każdym calu z rasy Haraldów Trigwalsonów, Ruryków, Truworów, Olafów. Ten nad życiem nie deliberuje, mówiąc po wittembersku nie szpintiziruje, nie grzebie oburącz w jelitach i czeluściach bliźniej psychy, nie traci czasu na ustawiczne i uporne doszukiwanie się i demaskowanie zła, ale działa, wojuje, zdobywa, naraża życie i zwycięża. Ecce homo britannicus. Na początku dla Fortinbrasa była siła, dla Hamleta autoironizującego na początku były: „słowa, słowa, słowa". Jeżeli w impulsywnym a raczej eksplozywnym Laertesie jest chłopięca joie de vivre, to w męskim skroś maskulinarnym Fortinbrasie jest już pełna świadoma siebie dojrzała afirmacja życia przez heroiczne ujarzmienie życia, jest wielki, twórczy instynkt bohaterski. Od Fortinbrasa idzie prosta linja do Nelsona i Wellingtona, od Hamleta prosta do Peer-Gynta i modelów Bourgeta, Huysmansa, Turgeniewa, Sienkiewicza do ludzi z bibuły, z książek, nie z żywych dziejów ludzkości.

Zastanawiającą teraz rzeczą jest, że terenem heroizmu Fortinbrasa jest dość odległa i niezbyt sąsiednia, bo zamorska,

ziemia... Polonjuszów... ojczyzna Działyńskich, Zamoyskich, Goślickich, Łaskich. O tej ziemi mówi się u Szekspira stosunkowo dość rzadko. Raz w Miarce za Miarkę (Książe: „A on zaś mniema, żem ruszył do Polski“), raz w komedji Omyłek („Polska zima“). W tragedji duńskiego infanta-indolenta mówi się o niej aż siedem, względnie dziewięć razy! a mianowicie:

Akt I, 1. *Horatio*: Tak samo brwi marszczył, gdy w walnych przewagach nacierał na usanionych Polaków.

Akt III, 3. *Dworzanin*: Na pierwsze wraz żądanie wysłał rozkaz zaprzestania zbrojnych zaciągów synowca, które zdały mu się być szykowanemi przeciwko Polakom.

Akt III, 3. *Dworzanin*: I upoważnił do użycia owych żołnierzy zaciągniętych, jak przedtem, przeciwko Polakom.

Akt IV, 4. *Kapitan:* Ani też przyniesie Polaków lub Norwegczyków grubszej ceny.

Hamlet: Tak, no to Polaków nie zechce bronić.

Akt V. 2. *Hamlet*: Młody to Fortinbras po zwycięstwie wraca z Polski, i posłom z Anglji daje tę wojenną salwę...

3. *Hamlet:* Wy z Polskiej wojny, a wy z Anglji...

Widzimy już z tego, że nazwisko Fortinbrasa, tej antypody Hamletyzmu i obraz jego wypraw militarnych, jego życia aktywnego, ekspansywnego jest wprost związany z pojęciem Polski, że postać jego wybija się na pierwszy plan i że konający Hamlet wskazuje na niego, jako godnego swego następcę, jakgdyby w nim chciał uczcić niejako i pogromcę Polski. Teraz dodajmy jeszcze to lapidarne, słynne zdanie, które brzmi i brzmieć będzie jakby godło imperjalizmu wszechbrytańskiego:

... „Wojowie Fortinbrasa idą do Polski, jak gdyby szli na łoże a nie do grobu, nie wiedząc czy ten płacheć ziemi, który mają zdobywać, starczy im za mogiłę”...

O kawał Pomorza, naszego Pomorza, mają walczyć rycerze Fortimbrasa, nam nasz polski dostęp do morza uniemożliwić, nas odrzucić od zetknięcia z oceanami, nie wiedząc nawet, czy ten gdański płacheć ziemi, który mają zdobywać, starczy im za mogiłę... ...Nie dosyć jednak na tem. Są komentatorzy Szekspira, upierający się przy tem, że Szekspir jeszcze w dwóch miejscach mówi o Polakach, a że tylko błędom drukarskim zawdzięczać należy przekręcenie słowa: Pollack na inne. Twierdzi więc komentator Latham, że w akcie III, scena II mówi Hamlet:

For thou dost know o Damon dear,
This realm dimantled was
Of Jove himself, and now reigns here
A very, very — Pollack.

„Wiesz bowiem Damonie drogi, królestwo to wyzute zostało z samego Jowisza; a teraz włada tu istny, istny Polak". W oryginałach uwierzytelnionych naukowo wydrukowane jest słowo pajok=paw, co stanowczo jednak koliduje z sensem, albowiem Hamlet chce stryja w pasji nazwać: osłem, jakby wypadło do rymu, podczas kiedy nazywa go ni stąd, ni zowąd: pawiem. Latham koryguje: Polakiem.

Drugi, bardzo poważny komentator Steevens dopatruje się jeszcze innego drukarskiego błędu. W akcie 5, scena 1, ma mówić Hamlet (do Laertesa):

„woo't drink up Weissel? eat a crocodile"

podczas, gdy w szablonowych wydaniach jest wydrukowane: „chcesz płakać, walczyć, pościć, rozedrzeć się, wypić *Esill* zjeść krokodyla". Otóż Steevens stwierdza na podstawie naukowej, że rzeki zwącej się Esill niema ni w Anglji ni w Danji, natomiast bardzo prawdopodobnem w ustach duńczyków jest wyrażenie alegoryczne: „wypić Wisłę". Siedem więc, a ewentualnie nawet dziewięć razy, wspomina Szekspir o Polakach w Hamlecie i to w związku z Fortinbrasem odbierającym Polakom „nędzny płacheć ziemi". W tem chyba jest już stanowczo coś tendencyjnego, ba, nawet demonstracyjnego, w tem okrywaniu i wieńczeniu Fortinbrasa laurami, zdobytemi na wyprawie do Państwa Polonusów dla oderwania płachcia ziemi nadmorskiej. Przecież tu przez Szekspira subliminalnie musiał chyba przemawiać jakiś Król-Duch rasy anglosaskiej, jeżeli się zważy, że ten dramat oglądały miljony miljonów Anglików, że te ustępy o Polakach czytało do dziś dnia dziesięć pokoleń, że zatem ten „płacheć ziemi", odbierany Polakom, musiał tak wejść w pamięć, w mózg, w krew, w całą umysłowość i świadomość angielską, że po 330 latach odbiło to się nawet w politycznych dogmatach Foreig-Office... kiedy to nastał dzień nowej Armady, nowego Watterloo, the day of Saxons...

Ale jest jeszcze ważniejsza postać w najśmiertelniejszym dramacie Szekspira, a zarazem w jednem z najwiekuistszych dzieł sztuki, jakie ludzkość wydała i postać ta niestety, bezwzględnie ku naszej szkodzie, na nasz pohybel obnosi po ca-

łym świecie, gdzie tylko angielska mowa sięga niesławę już w swem nazwisku: Polonjusz. Pol to biegun. Charakter polski jest istotnie biegunowy, pełen przeciwieństw, sięgający od zenitów do nadirów; kryje więc w sobie możliwości i polonjuszowe. Czyśmy mieli takich Polonjuszów w dziejach naszych, to jeszcze kwestja otwarta, z którą zresztą borykał się w udręce widocznej wizyjnie i obłędnie rozmyślający nad tem mózg Słowackiego. Żeśmy mieli przewcielenia w dusze istotne Ofelji, Polonjuszowej córki to fakt, który stwierdziła już choćby swą grą nieśmiertelną przed audytorjami angielskiemi nasza Modrzejewska, ofeliczna do końca swego kometowego żywota. Przypomnijmy sobie tylko kolejno szereg tych jasnych kobiecych dusz polskich, tych archanielicznych cieniów, promieniejących niewysłowioną dobrocią, utkanych jakby z tęczy, cierpiących wiecznie już samem swem zaistnieniem. Zaczyna ten korowód Ofelji Marja Klementyna Sobieska, poczem chronologicznie idąc Marja Leszczyńska, Franciszka Krasińska, Rozalja Lubomirska, Marja Łączyńska, Joanna Grudzińska, Marja Wodzyńska, Klaudja Potocka, Amelja Załuska, Marja Calergis, Zofja Hauke... Eliza Radziwiłłówna. Kto tylko rozmiłowany w tej esencjonalnej chopinowskiej kobiecości, jaką jest polska kobiecość poszukiwał w starych szpargałach i pamiętnikach za życiorysowemi szczegółami tych córek starych Polonjuszów, każdy w pewnym momencie musiał wykrzyknąć: ależ to Ofelja! ależ to tosamo „miesięczne Polek piękno", o którem mówi Słowacki... Czyż nietylko nie jedna, ale każda z nich, nie przeżywała momentów ofelicznych...? Klementyna, Marja, Klaudja, Franciszka, Zofja i ta ostatnia, ta ostatnia Eliza... Ofelja na dworze Hohenzollernów?... Czy nie możnaby np. całego Hamleta przetransponować na przedwczorajszą nowoczesność i zaryzykować, nie wzdragając się przed strywjalizowaniem, na miejsce duńskiego zamku Schloss berliński; i wtedy niespodziewanie spostrzeżemy, że stary książę Antoni Radziwiłł to Polonjusz w niejednym calu, w niejednym liście. Czyż w stosunku do króla Ludwika stary Leszczyński, orator i statysta, nie ma wiele, bardzo wiele rysów psychicznych... Polonjusza? A stary Łączyński wobec Napoleona? A stary Grudziński wobec wielkiego Księcia Konstantego? Książę Czetwertyński wobec Mikołaja? Należy tylko z pewnym lubownictwem i pasją zagłębić się w tych ustosunkowaniach przedziwnie częstych w naszych dzie-

jach, aby dojść do przekonania, że genjusz Szekspira jasnowidzący, przekreślając słowo-nazwisko Corambis a kładąc w to miejsce: Polonjusz, przewidział już w Hamlecie taką sytuację między ojcem a córką, jaka w dziejach naszych kilkakrotnie się powtórzy. I dlatego lubownika naszych dziejów, który je studjował nietylko od zewnątrz, od widowni historycznej, ale i od wewnątrz, od kulis obyczajowych, przy czytaniu tego, co poczyna i co mówi stary Polonjusz, dziwne jakieś nadchodzą asocjacje ideowe; co moment dźwięczy w uszach jakowaś reminiscencja, co moment przerywa się lekturę błyskiem przypomnienia: Ależ to gdzieś mówił Stanisław Tarnowski! ależ takby powiedział Paweł Popiel, ależ to jest odezwanie Wincentego Krasińskiego, ależ tak postąpił stary Ankwicz, ależ to zdanie wyrwane z listu hetmana Sosnowskiego! ależ tak się musiał zachowywać stary Gołuchowski na dworze Habsburga... czy stary Iliński na dworze Romanowych...

Jestże więc stary Polonjusz w pewnej mierze i starym Polonusem, oto kapitalne zagadnienie, jakie się teraz nastręcza i wraz idzie odpowiedź negująca, co atoli nie przesądza tego, że przy końcu XVIII i przez wiek XIX wydała rzeczywistość polska cały szereg starych panów, w których mutatis mutandis Szekspirowski Polonjusz jakby odżył, w których się fragmentarycznie jakby przewcielił, z literatury w życie, ze sceny schodząc w widownię dziejową.

Trzeba przyznać, że figurę lorda Chamberlaina modelował genjalny człowiek bezdomny istotnie cum ira et studio. Abominacja Szekspira do Polonjusza przybiera czasem barwę całkiem osobistą. O niewielu ze swoich postaci, których tysiąc ulepił i żywot tchnął wieczny, nie wyraża się przez usta otoczenia w sposób tak pogardliwie zelżywy jak o Corambisie, który po aferze Działyńskiego, po zapoznaniu się z księgą Goślickiego i gwoli innych jeszcze przyczyn, mianowan już na zawsze Polonjuszem. Trzeba mimochodem przypomnieć, że lord Chamberlain miewa jeszcze trzecie nazwisko, albowiem np. w tłumaczeniu Bogusławskiego z niemieckiej przeróbki Schrödera Corambis nazywa się Oldenhaimem. „Pan podkomorzy“ należy przedewszystkiem do znienawidzonej już w czambuł przez Szekspira profesji fachowych polityków, czyli, jak się wyraża: łepetyn politycznych, *pat of politicians*. Łepetyną polityczną jest i Cycero w „Juljuszu Cesarze“, legitymista, człowiek

strzegący nietykalności i wierzący w nieomylność paragrafów. Jako taki musi być zwolennikiem ślepym każdego rządzącego systemu, każdego ministerjum, każdego regenta bez zastrzeżeń. Ein treuer Diener seines Herrn. Legitymista w każdym calu, w każdem włóknie i w każdym momencie nie zniża się atoli do poziomu prostego automatu, ale stara się samodzielnie myśleć, pozwala sobie na pozory indywidualności samodzielnie myślącej. Na każde zawołanie, o każdej porze dnia i nocy gotów jest służyć swojemi oryginalnemi pomysłami i radami, które w sumie są tylko jedną zasadą t. j. stosowaniem skrajnego, przyziemnego, często plugawego oportunizmu do każdej sytuacji życiowej. Wyga dworski gotów jest od czasu do czasu olśnić jakąś radą pozornie bardzo światłą i ciekawą, ale dość zaawansowany już marasmus senilis, starczy uwiąd sprawia, że z tych rad cuchnie banalność i powszedność tuzinkowego lisa i lawiranta, pozującego jeno z mozołem i w pocie czoła na statystę i męża stanu. Choć wielki pan i wielki dygnitarz ma w sobie coś z rezydenta parwenjusza, ciągle dorabiającego się, ciągle myszkującego, szwindlującego, wszędobylskiego i wścibskiego. Pozornie okazały, dostojny statesman, excellenza, w gruncie natury swej jest tylko zręcznym pływakiem w brudnawym stawku łowiącym chciwemi łapkami rybki i zyski choćby przygodne i okolicznościowe. Ten wielkomożny ochmistrz dworu i majordomus swój brak skrupułów zdolen doprowadzić aż do szpetnych podsłuchiwań, marnego plotkowania i niecnych intryganctw. Pozornie sensat, pełen grandezzy i respectability, zawsze obiecuje mówić krótko i rzeczowo, a przeważnie mówi od rzeczy i rozwlekle, jak zwyczajny *best plotts*, gadułą, nie umiejący ni skoncentrować swych myśli ni wypowiedzieć ich zwięźle, po męsku.

Polonjusz, to prototyp i pradziad wszelkich ugodowców. Polonjusz to „Kraków polityczny“, Kraków Stańczyków i Naczelnego Komitetu Narodowego z czasów wojny europejskiej. Ugodowość jest tak generalną dominantą wszelkiej jego taktyki, wszelkich jego metod i precept życiowych, gestów i zwrotów, że ten *statesman,* który ma być w krytycznych momentach dla państwa podporą tronu i dynastji, raczej sprawia wrażenie jakiegoś automatu, powtarzającego monotonnie banały i truizmy przydatne chyba na folwarku esquira z prowincji, ale nie na dworze królewskim. Miałkość i partactwo jego dyplomatycz-

nych kunsztyków i wykrętów wychodzi nadto tem drastyczniej, że zramolizowany conieco sensat wypowiada wszystko z uroczystą emfazą, jako ostatnia instancja, wyrocznia, ekspert nad eksperty.

Ten Jenialkiewicz atoli, ten mały człowiek do wielkich interesów, ma przy całym swoim braku wszelkiego dostojeństwa moralnego jeden rys mocny tj. ojcostwo. Polonjusz jest wzorowym pater familias. Troska nieustanna o splendor domu, o wywyższenie rodu, o klejnot klanu Corambisów-Polonjuszów stanowi przymiot jego charakteru, bezspornie zyskujący dlań pewną omal sympatję, może jedyny.

Polonjusz kocha bardzo syna i córkę.

Syna edukuje wzorowo.

Nie mówimy tu o słynnych radach, jakie Polonjusz daje przed wyjazdem Laertesowi, gdyż rady te Szekspir dość bezceremonjalnie sobie sparafrazował z drukowanych: „Rad dla syna“ lorda Burleigha[1]). Tkliwa miłość do córki atoli ma momentami coś istotnie wzruszającego, zwłaszcza, gdy się ją zestawi i porówna z nieznośnie gburnem i histerycznie kapryśnem traktowaniem Ofelji przez „rozkochanego“ Hamleta. Cóż, kiedy i to ojcowskie uczucie szybko przetwarza się i degeneruje w dość obrzydliwe i chytre spekulowanie na marjaż córy z „pomylonym“ królewiczem, w dość matackie i karjerowiczowskie polowańko na zięcia astmatycznego[2]) byle z królewską koroną, w jakieś brudnawe manipulacje z urodą i urokiem donny Ofelji. Dochodzi nawet do tego, że lord Chamberlain, zniecierpliwiony i chcący już rychlej córę widzieć na ślubnym kobiercu w Kings-chapelle, zaczyna coś jak gdyby rajfurzyć. Z omal angielskim „cantem“, którego on jest pierwszym może w literaturze reprezentantem, to patrjarchalne stręczycielstwo cokolwiek nawet koliduje. Niestety atoli w tych właśnie, rodową ambicją dyktowanych zamierzeniach celem podniesienia splendoru domu i klejnotu przy pomocy urodzi-

---

[1]) Na ślub wnuczki tego Burleigha ze Stanleyem, szóstym hrabią Derby, napisany był specjalnie „Sen nocy letniej“ grany poraz pierwszy w pałacu Greenwich 1595.

[2]) Hamlet jest „tłusty i krótkiego oddechu“, *he's fat and scant of breath*, mówi o nim królowa-matka rodzona. Akt V, sc. II, wiersz 274. Na scenie zawsze go wbrew słowom autora przedstawiają wątłym, smukłym, nie astmatycznym!!

wości córki, pod względem tych nieprzystojnych i nieprzyjemnych rachub koligacyjnych antycypuje Polonjusz właśnie pewnych... Polonusów. Przypomnijmy sobie ojców Ofelij polskich: Ankwicza, Wodzyńskiego, Czetwertyńskiego, Łęczyńskiego, Radziwiłła, Grudzińskiego....

Czy jednak mimo tego koncertowego zespołu plam i defektów sir Polonjusz nie może być dobrym np. dyplomatą, dobrym *assistent for a state*, statesmanem, statespromotorem, to rzecz inna. Szekspir pod tym względem nie zajmuje wobec Polonjusza jasnego i zdecydowanego stanowiska. Według maksymy współcześnika Szekspirowego sir Wottona, specjalisty w tej delikatnej materji, dyplomatą może być tylko *perfide man sent abroad to lie for the benefit of their country*...

Taksamo brzmiała starorzymska recepta na dobrego dyplomatę czy legata w Imperium romanum: *ad mendandam missus rei publicae causam*. Czyż pod tym względem Polonjusz nie stanowi wzoru perfide-mena, każdej chwili gotowego, *sent abroad* kłamać „to lie“ jak z nut, ale for the benefit of Danemark, ad mendandam causam patriae? a jeżeli już nie kłamać wprost, to jako elegantissimus orator, jako „doskonały senator“ zatajać prawdę lub obwijać ją w bawełnę grzecznych, słodkich słów i rad? W Polonjuszu jak w każdym mężu stanu jest spora nadwyżka hipokryzji i dwulicowości. Skoro *totus mundus agit histrionem* (jak brzmiał także napis na jednym z teatrów elżbietańskich), więc i w Polonjuszu musi być wiele ze starego histrjona. Kiedyś, kiedyś i on był Farysem, teraz jest już nieco Faryzeuszem. Kiedyś i on grywał w jakichś studenckich teatrach amatorów - bachelorów w collegiach i to wzniosłe bohaterskie role! Juljusza Cezara! I wtedy to „był zabit na Kapitolu“, opowiada o nim Hamlet z sarkazmem. Teraz zaś Polonjusz nienawidzi wszelkich patetyzmów i tragizmów i *he's for a jig or a tale of bawdry, or he sleps* (jest za krotochwilą lub za sprośną bajką, inaczej zasypia), innemi słowy, jak wszyscy profesjonalni każdych czasów mężowie stanu, jak nienawidzeni przez Hamleta *pate of politicians, politic worms* i t. p. nudziłby się straszliwie np. na... Hamlecie, a nie zasypia tylko na... farsach i operetkach. Jako statysta atoli, jako dygnitarz dworski, jako architektor państwa i to państwa, w którem się coś psuje raz po raz, w którem dynastja ma moralny kredyt obciążony i dziedzicznie obciążonego sukcesora

tronu, zmuszony jest good old man do tego, że ciągle agit histrjonem, ciągle się zgrywa, ciągle kabotynizuje for the benefit of dynasty, ciągle naprawia, tuszuje, łagodzi, zszywa i troska się ino o to, aby zapobiec katastrofie, aby utrzymać dynastję, aby się to wszystko nie rozsypało, nie rozprzęgło, nie zawaliło, ne quid detrimenti Dania capiat. Hamlet kosmopolita, Hamlet artysta, Hamlet bohemien, za to wszystko nietylko nie okazuje Polonjuszowi patrjocie, nacjonaliście i podporze dynastji jakiejkolwiek wdzięczności, ale go na każdym kroku wyśmiewa i wyszydza, dyfamuje i demaskuje. Niema takich obelg i przezwisk, jakiemiby ojca Ofelji nie obsypywał; a to „*that great baby* nierozpowite jeszcze z powijaków". Choć do swoich wędrownych aktorów, którzy zatrzymali się na Elsingörskim zamku, mówi z admonicją: *and look you mock him not* (baczcie jeno, byście z niego sobie nie kpinkowali), sam kpinkuje ze starego wygi, ale i starego, wiernego sługi Klaudjuszów bez opamiętania i bez hamulca. Don Hamleta musiała oczywiście drażnić, niecierpliwić, denerwować i w stan ustawicznej irytacji wprawiać „skrzecząca pospolitość" Polonjusza, jak drażniłaby i don Karlosa i don Quichota i każdego „królewicza z bajki" czy „kawalera podwiązki", czy wogóle niedopierzonego i niedowarzonego idealistę z łebkiem „w obłokach", nieskrępowanego jeszcze żadnemi obowiązkami, nieobciążonego jeszcze żadną odpowiedzialnością, niedźwigającego jeszcze na skroniach korony, niepotrzebującego się troskać ni o rodzinę, ni o społeczeństwo, ni o poddanych, ni o naród czy państwo, ale swobodnie, wygodnie, egoistycznie „tokującego sobie po principiach", filozofkującego nad życiem, wydziwiającego rzeczywistości i walczącego z wiatrakami i to tylko: „słowami, słowami, słowami"...

Wielki Szekspir przeciwstawiając Hamletowi małego Polonjusza, przeciwstawiając go bezwzględnemu ale także i bezczynnemu moraliście i etykowi Hamletowi, ułatwił sobie i uprościł zadanie. Wyobraźmy teraz np. jak blado, nikle, ujemnie wyszłaby w dramacie postać takiego anemicznego i astmatycznego sukcesora tronu, nawet z jego dwoma głębinowemi, metafizycznemi monologami, gdyby podporą rozkładającej się dynastji i reprezentantem duńskiej racji stanu był w one czasy i w onym dramacie nie taki sobie dworski Tartuffe, mydłkujący frazesowicz, kompromisowiec za każdą cenę i przechera

jak Polonjusz, ale jakiś żelazny kanclerz! taki Leicester czy Burleigh, jakieś wielmoże dostojne i okazałe na miarę Mazariniego, Richelieugo, Zamoyskiego...

Powiedzmy to sobie wreszcie śmiało, że wielki Wiljam „wykręcił się sianem z piwnice" mówiąc po Reyosku, antytezując i uwypuklając piękno moralne Hamleta na tle takiej galaretowatej mizeroty ludzkiej, na tle takiej zramolowanej, trzęsącej się na nóżkach kreatury, jak Corambis-Polonjusz. Czyż śmiałby np. wałęsający się po komnatach fraucymeru królewicz-aforysta wyrażać się o podporze tronu i państwa: „conseillor, co za życia był błazenkiem paplącym filuternie", gdyby postać tego conseillora był Szekspir wyrzeźbił wedle potężnego modelu kardynała Wolseya, twórcy słynnego powiedzenia: „Ego et Dominus meus", tego samego Wolseya, co w tak żywej korespondencji pozostawał z licznymi... Polonjuszami swych czasów?... Oczywiście nie. Czyż odważyłby się taki nieudaniec dynastji, niezdolny do wykonania zamachu stanu, rewolucji dworskiej, zrzucenia stryja i matki z tronu i objęcia władzy w ręce, czyż odważyłby się taki genjalizujący bez wytchnienia dyletant mówić o poważnym *assistent for a state* w te słowa: „Każ zamknąć drzwi za nim, żeby nie mógł odgrywać błazna gdzieindziej, prócz we własnym domu", gdyby był Szekspir tego „assistenta for a state" duńskiego nie modelował po Arystofanesowsku, tworząc jakąś pałubowatą figurynkę tersytesowską, wiecznie przyziemną, wiecznie praktyczną, wiecznie ugodową, wiecznie na miarę krawca dworskiego, a natomiast gdyby był na miarę Fidjasza ukuł spiżową postać tytanicznego Atlasa, dźwigającego glob swego narodu, człowieka z godłem: „sic volo sic jubeo", ot wzorowanego np. choćby na Francis Baconie... autorze: „The Essays or counseils civil and moral", arcydziele, które znać chyba musiał ten, co był tak oczytany w Essayach..... „francuskiego Hamleta", Montaigne'a.

Tak jest i nie inaczej. Niewydarzony królewicz wygrywa swoją wielką stawkę popularności tylko dzięki temu, że w jego karlem, gnuśnem, butwiejącem otoczeniu siłę czynu aktywnego i powagę czynnika organizacyjnego i podtrzymującego, dojrzałość myślową i męską, soverenity of reason reprezentuje taka wydęta, rozgadana, tylko przezorna, tylko w półśrodki wierząca i półśrodkami operująca, dowcipkująca nicość. Biernotę ociężałego Hamleta łatwiej wyekskuzować, gdy jej się

przeciwstawia takiej znowu miernoty aktywność, energję i ujarzmienie życia! „Amabilis insania“ Hamleta, „unreason“ Hamletowej dialektyki łatwiej znieść, gdy się widzi przed sobą takiego jak Polonjusz, „mędrca szkiełko i oko“. Conieco i epikurejskie marzycielstwo Hamleta łatwiej opromienić eligijnemi, seledynowemi blaskami przy sąsiadującej obok płazowatej trzeźwości i praktyczności takiego skroś filistra i realisty jak Polonjusz. Ustawnie czujną, natrętną i zaczepną malkontencję odludka (a nieznoszącego samotności) Hamleta łatwiej wybaczyć, gdy po drugiej stronie jest tego rodzaju bezprzestanne zadowolenie ze wszystkich, a ze siebie najwięcej jak u Polonjusza i tego stylu afirmacja życia i tego poziomu ugoda z życiem. Negację patrjotyzmu i indyferentyzm narodowy kosmopolity Hamleta trudniej dostrzec widzowi czy badaczowi, gdy się widzi patrjotyzm duński ucieleśniony w karykaturze takiego legitymisty i utylitarysty jak papa Ofelji. Tylko tak zniekształcony i zdeklasowany typ męża stanu [1]) jak Polonjusz zabiwszy i to niezbyt po rycersku zabiwszy, ma przyszły a niedoszły król duński prawo, względne prawo, odezwać się jeszcze z brutalnem szyderstwem (akt IV, sc. III): „Not where he eats, but where is eaten; a certain convocation of politic worms are' en at him“ (jest nie tam, gdzieby sam jadł, ale gdzie jego zjada pewna konwokacja politycznych robaków na nim rozsiadła). Bezsprzeczną nijakość i nieznośność migotliwej psychostenji królewicza nietylko znosimy, ale lubujemy się w niej już od trzystu lat tylko dzięki temu, że Szekspir, ten sam Szekspir, którego jeden z jego wielkich kolegów Ben Johnson w jednej ze swoich satyr właśnie przedstawił jako niesłychanie próżnego, ustawicznie rozgadanego legitymistę i ugodowca (postać Gullia w „The Rethurn from Parnassus“ [2]) — uważał za wskazane w trzech scenach zetknąć i zestawić wielkoduszność i górnomyślność Hamleta ze starczą, plugawą, miałką i glizdowatą drobnostkowością Polonjusza. Innemi słowy powiedziawszy jeszcze raz szczerze i prosto: wielkość Hamleta w znacznej, w znacznej mierze warunkuje się perspektywicznie małością postaci nazwanej „Polonjusz“.

---

[1]) Harald Höffding: Humor als Lebensgefühl 1918 rozdział „Szekspir humorystą“.

[2]) Po raz pierwszy zagrane w Londynie w lipcu r. 1920 przez członków Shakespeare-League.

Wyciągnąć z tragedji partję tego mizernego moralnie courtiera, którego cała filozofja życia streszcza się niejako w lawiranckiem principium: „Tout s'arrange", a nieśmiertelny kronprinc duński zmaleje do formatu niezbyt wyjątkowego nawet na owe czasy dandysa „the mould of form", infekowanego modnym, intelektualnym montaigne'izmem. Etyczny patos Hamleta wyjdzie wtedy nieco blado i zbliży się nawet do takich „genjuszów bez teki" jak bohater powieści Bourgeta „Disciple" lub Sienkiewicza Płoszowski. Królewicz - fenomen okaże się rezonerem, oczywiście nieprzeciętnym, wyjątkowym prototypowym, ale zawsze tylko rezonerem. Najłatwiej to możnaby sobie uświadomić przez przekształcenie dramatu w ten sposob, że kreśląc sceny z Polonjuszem, wstawia się w te miejsca fikcyjne, nieistniejące sceny z Fortinbrasem... W sylwecie bowiem, w embrjonalnie naszkicowanym Fortinbrasie leżą już olbrzymie zadatki i możliwości na wielki charakter i wielką indywidualność i historyczną i dramatyczną. Gdyby Fortinbrasowi a nie Polonjuszowi przeznaczono więcej miejsca w tragedji i gdyby Szekspir był zdecydował się takiego samego Hamleta, jakim on jest z jego samobiczującą i jałową kontemplacją, w dwuch, trzech scenach zetknąć w cztery oczy z Fortinbrasem, dopiero wykazałoby się i wyjawiło o ile mniejszą jest waga gatunkowa indywidualności i charakteru Hamleta. Myli się też w swem dziele p. t.: „Shakespeare and the Englisch Ideal" (1916) reverend Beeching, wykazując, że niemiecko-nietscheańskiemu typowi nadczłowieka germańskiego można przeciwstawić już kiedyś przez Szekspira stworzony typ nadczłowieka anglosaskiego w królewiczu...... Hamlecie. Hamlet nie ma w sobie elementów nadczłowieka. Fortinbras, ale w tekście rozszerzony i inaczej napisany Fortinbras, mógłby być prototypem anglosaskiego nadczłowieka. Fortinbras voilà l'homme Hamlet to... homunculus!

VII.

Dobiegamy do resumé, do końca i do konkluzji. Czytelnicy sympliści, albo uprzedzeni lub znowuż sami nieco dotknięci czy obciążeni Hamletiasis, ergo lubownicy Hamleta, bez zastrzeżeń i restrykcyj dopatrzą się może w tem, co się tu powiedziało tendencji „pomniejszania olbrzyma" i pretensji do roz-

wiewania legendy; czytelnik o złej woli może szepnąć: „tym razem paszkwil na Hamleta”. Tak nie jest.

Jeżeli lejtmotiwem tragedji o królewiczu duńskim jest nuta „revenge”, to i dominantą niniejszej pracy jest revenge na Szekspirze za jego nadanie najdrobniejszej wymiarami moralnemi postaci w całym człekozbiorze, w całem spectaculum Szekspirowskiem, nazwiska Polonjusz. Tak. Do pewnego stopnia jest to może także odwet na Anglji za jej stosunek do nas w r. 1919 i 1920, odwet na tej samej Anglji, w której, jak mówi „pierwszy clown” — grabarz (Hamlet akt V, scena I) *there the men are as mad as he* (ludzie tam niespełna rozumu jak i on). Tak wyraża się o swojej ojczyźnie Szekspir w swojem najkardynalniejszem dziele!

Dziś wszechmożny Albjon osiągnął największą potęgę, jakiej w żadnych czasach nie miało żadne mocarstwo, żadne imperium mundi; osiągnął to maximum sukcesu dzięki przemożeniu w sobie i zwalczeniu wszelkich czynników psychicznych hamletycznych, a pójściu linją polityczną swoich Fortinbrasów i właśnie swoich... Polonjuszów. Nie da się bowiem zaprzeczyć, że to właśnie wielcy mężowie stanu albjońscy od Pitta i Castlereagha począwszy, a na Beaconsfieldzie i na Lloyd George’u kończąc, mają w sobie wiele, wiele... z Polonjuszów! Ta sama kameleonowata amoralność, ten sam pogodny - gruboskórny egoizm nacjonalistyczny, ten sam w rękawiczkach oportunizm, to samo Piłatowe umywanie rąk jak dzisiaj, krwią Irlandji i krzywdą Polski plamionych. Aktor, grający dziś na scenie polskiej rolę Polonjusza, może śmiało ucharakteryzować się na wiecznie jowjalnie i perfidnie roześmianego Dawida Lloyd George’a, a widz polski z satysfakcją powtórzy sobie najgłębsze i straszliwe w swej jasnowidzącej prawdzie słowa Hamleta: „smile and be a villain“. „Rapidly the world is becoming english“ szepczą sobie z ukontentowaniem „zjadacze żelaza“ i imperjaliści nad Tamizą, ale cały „świat staje się szybko angielskim“ właśnie dzięki temu, że z narodowego charakteru anglosaskiego już w początkach 17-go wieku wyeliminowano czy wycięto wyrostek weltszmercowy, że wychowała się rasa antyhamletyczna, antyromantyczna, nie kontemplatywna, nie don-Kiszotowa, rasa Robinsonów Cruzoe i Gulliwerów, wierząca ślepo i od dziecka w antyhamletyczną maksymę: *where there is a will. there is a way!* Gdzie jest wola, tam jest i droga!...

Do takich rezultatów w odcyfrowaniu tajemnicy wieczystej żywotności Hamleta doszło się, wracając co jakiś czas w przeciągu lat dwudziestu do lektury tego arcytworu i równocześnie czytając w miarę możności wszystko, co w tej materji napisano, ergo zapoznawszy się z jakąś może tysiączną częścią hamletologji. Wiedza hamletyczna i Szekspirowska wogóle w ostatnich latach doszła już do ostatecznego rozkwitu. Każde z dzieł wybadano najdokładniej pod szkłem mikroskopu. Tajemnic już niema. Niema zdania, wiersza, typu, sceny, metafory, wersetu, któregoby nie zanalizowano, w dociekaniach i studjach genetycznych nie natrafiono na wszystkie zależności ideologiczne, wpływy sukcesywne, paralelizmy i zapożyczania umyślne, koincydencje przypadkowe, reminiscencje nieświadome, aluzje do czasów, osób, wypadków. I Romeo i Falstaff i król Jan, król Lear i Lady Makbet, lady Gloster i Malvoglio i... Oberon mają już swych protoplastów. Wiemy nietylko, że Shyllock współczesnym widzom przypominał nadwornego lekarza Elżbiety Lopeza ale, że w Hamlecie takie np. nazwisko jak Gildenstern znalazło się dlatego, że tak nazywała się w Gdańsku największa firma kupiecka, załatwiająca interesa zbożowe między Anglją a Polską...

Że w badaniach nad genezą poszczególnych arcydzieł naszego magnus parens angielskiego stosuje się od ćwierćwiecza z wielkiemi sukcesami metodę bardzo drobiazgowych i pedantycznie mikroskopijnych doszukiwań historyczno-obyczajowych i polityczno-historycznych związków i włókien wiążących każde dzieło z epoką, z czasami, z kroniką ówczesnej aktualności, o tem świadczy choćby dwutomowa pomnikowa praca Abela Lefranca: „Sous le masque de William Shakespeare", gdzie metodą ścisłą, bezwzględnie naukową stwierdzonem już jest, jakie to zwoje, jaka siatka pępowin wiązała każdy embrjon utworu Szekspira bezpośrednio z łonem czasów, zdarzeń i ludzi epoki elżbietańskiej [1]). Tylko takim czczo rozgwarzonym, wieczystym młodziankom, jak archisnob Gordon Craig i jemu podobnym „reformatorom teatru" (a raczej autoreklamy) może się wydawać, że dramaty Szekspiroskie wyskakiwały z głowy

[1]) Z innych publikacji: S. Lewin - Schücking: Die Charakterprobleme bei Shakespeare (Leipzig - Tauchnitz). Ostatni rocznik (56) Niemieckiego Towarzystwa Szekspirowskiego pod redakcją prof. W. Kellera (de Gruyter u. Comp., Berlin-Leipzig).

Szekspira, jak z głowy Jowiszowej Atene w pełnym rynsztunku, oraz, że te dramaty, żywą krwią pulsujące i przesiąkłe były pisane dla... czytelników. Jest to nonsens, na który może się zdobyć tylko zero, stające na głowie w tej nadziei, że je wezmą za jedynkę. Szekspir o jakimś czytelniku swoich „sztuk" nigdy nawet nie pomyślał, jak nic nie wiedział i nie przeczuwał wogóle, że będą drukowane. Pisał wyłącznie dla sceny, z myślą li tylko o ich bezpośredniem działaniu na tłum, na widza, na dwór, na „society" i na „the general". Z tej też przyczyny w arcytworach poety „Venus and Adonis" jest bez wyjątku w każdym moc aluzyj aktualnych zrozumiałych i w lot przez publiczność chwytanych wtedy, kiedy były grane, a obecnie dopiero, literalnie w ostatnich dwudziestu latach przez cały szereg „uczonych w piśmie" mozolnie odcyfrowanych i stwierdzonych. Nazwisko: Polonjusz, w miejsce pierwotnego Corambis, jest jedną z takich aluzyj aktualnych, w jednym dźwięku tylko streszczającą całą animozję ówczesnego politycznego świata angielskiego do Polski Działyńskich i Goślickich, do Polski katolickiej i papistowskiej, sprzyjajacej Hanzie i kładącej pewne tamy angielskiej handlowej, pokojowej penetracji w głąb wschodniej Europy. Tragedja o duńskim królewiczu to nietylko wszechświatowe i wszechludzkie arcydzieło literatury, ale to zarazem i „revenge" artysty-nacjonalisty i imperjalisty na tej Polsce, która ośmieliła się „urągać mocy" niszczącej największą ówczesną „armadę", mocy wysuwającej już wonczas swe polipie macki ku wszystkim ziemiom i kontynentom.

Przedsięwzięta w niniejszej pracy egzegeza Hamleta ze stanowiska polityczno-publicystycznego z datą r. 1920, niedopuszczalna z punktu widzenia ortodoksalnej hamletologji, jest jeno czysto subjektywną, na rusztowaniu hipotetycznem wspartą próbą ujęcia tego nieśmiertelnego fenomenu literackiego i z tej strony, z której zdaje się w polskim języku, jak zresztą i innym, może nikt ująć nie mógł się ważyć. W tym charakterze dzięki pewnym rewelacjom, nietylko pozornym ale i istotnym, może się ostać jako jedna z niezliczonych prób zdawania sobie sprawy, wytłumaczenia, odgadnięcia tajemnicy wieczystej żywotności i świeżości tego arcydzieła. Że zaś Szekspir i jego standard-work frapuje i działa fascynująco na najbardziej nowoczesne intelekty, tego świeży przykład mamy w nowej pracy Romain Rollanda p. t.: „Prawda w dziele Szekspira", w któ-

rej znakomity twórca „Jana Krzysztofa" zastanawia się nad „wolą do prawdy", parciem do prawdy i walką z obłudą i kłamstwem, jakie znamionują wedle Rollanda i przejawiają się w każdym dziele tego „słodkiego i dzikiego" genjusza. Studjum Rollanda tj. socjalisty i internacjonalisty tak prononsowanego w swych poglądach społecznych i antyindywidualistycznych, rehabilitujące znowuż Szekspira przed nowoczesnością jako społecznie uświadomionego humanitarystę i „poszukiwacza prawdy", ba, nawet stawiające go „jako drogowskaz" moralny dla szerokich rzesz, jest także jedną z takich prób wytłumaczenia sobie zagadki tej istotnej, faktycznej, dosłownej nieśmiertelności Teatru Szekspirowskiego. „Prób" takich czy innych w polskim języku jest niestety bezwstydnie mało, jak wogóle karykaturalnie minimalną jest też cała polska wiedza o Szekspirze i całe polskie zainteresowanie się Szekspirem, co doprowadziło ostatnio do tak skandalicznego przejawu, jak ten, że w jubileuszowej księdze Szekspirowskiej, w „A book of Homage to Shakespeare (1918 edition Gollancz, Oxford Uniwersity-Pres)" wśród 30 autorów prac i studjów, składających się na ten hołd, wśród 30 autorów ze wszystkich narodów cywilizowanych świata niema uczonego polskiego! Jakie podobny brak polskiego nazwiska w tego rodzaju wszechświatowem pomnikowem dziele rzuca światło na naszą kulturę intelektualną, z tego można sobie łatwo zdać sprawę, jeżeli się przypomni, że dla inteligencji brytyjskiej posiadanie Szekspira jest jednoznaczne z posiadaniem Indyj.

Gdzie atoli milczą „uczeni w piśmie" i gdzie niedostawa prac metodycznych, ścisłych i gruntownych, tam może wyjątkowo i „the satirical rogue" (Haml. II, 2) pozwolić sobie na choćby fantastyczną impresję i interpretację, byle o niej można powiedziej słowami Polonjusza: „*Thoug this be madness, yethere is method*" i choćby taka „próba" dla współczesnej społeczności była: „caviare to the general". Jeżeli il Principe Macchiavella mógł znaleźć swego Anti-Macchiavella, to il Principe Shakespeare'a dojrzał, żeby mu przeciwstawiono ideał Fortinbrasowy, tembardziej w języku narodu, który mocno i długo chorzał hamletycznie, ale postawiony na nogi stwierdził już, że umie „fight for a plot", „for a eyg shell", (Haml. IV, 5), walczyć o nadmorski „kęs ziemi", „skorupkę od jaja", właśnie przez naród Szekspira mu kwestjonowaną, odmawianą i wydzieraną. Tosamo zaś bezwzględne „dążenie do prawdy", któ-

re Romain Rolland stwierdza u Szekspira, w niniejszej znowuż „próbie" przejawiło się jako dążenie do prawdy o genezie i antecedencjach i przesłankach polityczno-historycznych „Hamleta". Nie zmieni się przez taki zakus pogląd ogółowy i pospolity na Hamleta, jak nie zmieni się pospolity pogląd na legendarnego i Szekspirowskiego Makbeta i lady Makbet, mimo udowodnienia przez naukę ścisłą, (na studjum kronik norweskich opartą), że był Makbet monarchą idealnym i doskonałym, lady Makbet kobietą najszlachetniejszą pod skandynawskiem słońcem, a Duncan niecnym uzurpatorem, co wszystko notuje też Anatol France (Pierścień ametystowy, dialog prof. Bergereta z Leterrem), dodając z melancholijnym sceptycyzmem, że wobec genjusza i natchnionego „kłamstwa" Szekspira o tej królewskiej parze, rehabilitacja lorda i lady Makbet, oraz rozpowszechnienie autentycznej, historycznej prawdy o nich jest już dzisiaj absolutną niemożliwością. Nawet kłamstwo bowiem, fałsz, błąd, czy mstliwe przekształcenie prawdy (Polonjusz) u twórcy tak żywiołowego, globowego i swoją planetę swymi ludźmi zaludniającego, staje się prawdą wyższego typu, prawdą, która z czasem schodzi z desek scenicznych, opuszcza więzienie papierowych kart książki i z literatury przenosi się w życie, ucieleśnia i stwierdza w rzeczywistości (Polonjusze w XIX wieku).

Twórcę „Hamleta" da się bowiem z mongolska skopać jak to próbował patrjarcha bolszewizmu Tołstoj, da się wyśmiać, jak to usiłował nihilistyczny snob Shaw, ale nie godzi się udawać, że go już niema, gdyż on jest, był i będzie po wieki i wtedy, kiedy już ludziskom przy lekturze Tołstoja szczęki z ziewania będą wychodziły z zawiasów a Shaw ze wszystkiemi ekscentrycznościami spełznie, jak w słońcu stara a ongiś mocno jaskrawa tapeta.

Obojętność zasię polskiego świata intelektualnego tak dla literatury angielskiej wogóle, jak i jej największego „lumen de coelis" może tylko doprowadzić do tego, że inteligencja anglosaska, jak ma bardzo sceptyczne pojęcie o państwowo-twórczej genjalności naszych state-makerów, state-promotors, naszych... Polonjuszów i... Fortinbrassów, tak znowuż i o wytwórcach kulturalnych wartości w Polsce będzie miała takie wyobrażenie, jakie Hamlet o Polonjuszu: „Jest za krotochwilą lub sprośną bajką", „or he sleeps"...

Inaczej zasypia, zasypia...... zasypia......

O JAROSZU DERDOWSKIM

WSPOMINEK.

Kiedy Wincenty Pol pisał swoją przemiłą, tak bardzo nadającą się do popularyzacji, tak ludową w tonie, a więc tak dzisiaj jeszcze i dzisiaj dopiero aktualną: „Pieśń o ziemi naszej" nie przepomniał o żadnej ziemicy, o żadnej okrainie, o żadnym szczepie ni plemionku polskim prócz o jednym, jedynym i to właśnie najwierniejszym, a może i oby w przyszłości najważniejszym, t. j. o Kaszubach. Te ćwierć miljona Pomorzan, zalewanych jak Hel morzem niemczyzny raz po raz, jednak polskość i język relikwjarnie przechowujący i w czasach najcięższych represyj, exterminacyj i germanizacji salwujący, te ćwierć miljona szarych, przygiętych znojem i żmudą ciężkiego rybackiego żywota „Poloców", kościstych, żylastych, posępnych ale nieugiętych i niezłomnych, przypadkową fatalnością uszło uwagi i pieczy poety-gawędziarza. Cassubia semper fidelis, ale „Cassubia non cantat" mówi przysłowie uczonych gdańskich. Nic dziwnego tedy, że Kaszubami, którzy nie śpiewają rzekomo, nie mają pieśni gminnych ni ludowych legend (?), nie zajął się poeta, który wszędzie sięgał do skarbca podań, klechd, bajd, opowieści.

Ale jak Pol zapomniał o całej gałęzi polskiego rozłożystego drzewa i to właśnie gałęzi opadającej w toń morza, tak nasi historycy i badacze literatury, szperający po wszystkich wiekach i zakątkach literatury nie zaregestrowali bo nawet nie dostrzegli, ba, nawet nie było im wiadomem, że tam na dalekiej północy błysnął i znów zatonął w niepamięci falach szczery, mocny talent poetycki, obdarzony nadto darem niezwykle rzadkim w piśmiennictwie naszem, t. j. humorem, szczerozłotym, pogodnym, ciepło emanującym humorem. Derdow-

skim się zwał, Jarosz było mu na imię. Z ludu był i dla ludu pisał, nie miał ambicyj ni predyspozycyj literackich, a jednak te cztery większe utwory, które po nim zostały każdy lubownik literatury i smakosz narzeczami polskiemi się delektujący a nadobną beletrystyką już przejedzony z rozkoszą przeczyta i z satysfakcją do nich powracać będzie. Czytelnik przeciętny musi się uzbroić w cierpliwość, wziąwszy do ręki przypadkiem te nietyle białe ile szare druki Derdowskiego poematów. Pierwsze strony go stanowczo zniechęcą; język jakiś jakby zniekształcony, przedrzeźniający, kaleki pozornie, pełen grud i skamienielin archaicznych, jakichś słów dziwnych, niby nienaskich, omszałych, twardych i chropowatych. Początkowo nawet zrozumieć i połapać się w osnowie sprawia mozół pewien i odstręcza. Ale niech tylko zacznie czytelnik - przeciętnik czytać na głos, miarowo, powoli takiego „Kaszubę pod Widnem“, a wnet szorstkie, gburne, gminne dźwięki mu delikatnieją, stają się przystępniejsze, znane i swoje, zdania i okresy nabierają przejrzystości, jasności i oto z grudy narzecza pomorskiego wyłania się czysty kruszec doskonałej, nieco archaicznej, nieco regjonalnej, ale rdzennie chłopskiej, rasowej polszczyzny z nieprawdopodobnie maleńkim procentem źródłosłowów obcych i rzecz zdumiewająca z minimaleńkim odsetkiem dźwięków teutońskich.

Cztery utwory doskonałej, umiejętnie wierszowanej humorystyki ludowej zostawił po sobie Jarosz Derdowski: „Walek na jarmarku“, „Jasiek z knieji“, O panu Czarlińscim co do Pucka po sece jachoł“ i „Kaszuba pod Widnem“. Ale gdy dwa pierwsze to jeszcze prymityw, folklor, rzepa łykowata, to dwa następne dojrzałe, kraśne owoce świadomej, przemyślnej, komponującej całość i szczegóły twórczości. „Gadkę“ zasię o „Panu Czarlińscim“ można bez ryzyka i bez egzageracji nazwać pomorskim czy gburskim „Panem Tadeuszem“.

Doczesna egzystencja Hieronima Derdowskiego nietylko nie jest pozbawiona cech charakterystycznych ludzi na większą miarę, ale nawet ma w sobie pewne motywy z wielkich biografij. Duch się w nim kołatał w każdym razie niespokojny i nieprzeciętny. Choć szedł z ludzkiego materjału drobnego, parło go do wielkich poczynań i rzutów; w ciasnych opłotkach swej węższej ojczyzny dusił się i wyrywał raz po raz do szerokiego lotu. Szedł z tej ziemi Kosznajdrów, z której inny

Kaszuba na większą skalę o historycznem nazwisku i rozgłosie z 18-wieku, niestety doszczętnie zniemczały filar ekonomicznego rozrostu Prus Fryderycjańskich Goczkowski· urodził się w Wielach pod Chojnicami. Szlachcic zaściankowy z chłopiałej krzepkiej warstwy „gburów“ nie z takich jak Gostomscy, Danielewscy, Tempscy, Kulczyccy, Przebendowscy, których tam po dworach zasiedziało się od pokoleń sporo, ale z takich „panów“, jakich wesoło wymienia w „Kaszubie pod Widnem“, kiedy to Kulczycki zwołuje wici:

Żaro więc Kulczyk wszetkę woło szlachtę,
Chtórną zaproseł do sebie na jachtę
Mogę wam porę z ty szlachte wemnienić
Beł bohateršci Kujka ze Studzienic
Typ, Wryz i Wańtoch, wszesce trzej z Rekowa
Mrózk, Brunik, Bjałka i Mach z pod Betowa
Beł Brycht z pod Juszkow, gdze nowieksze skoczcie
I Wicam comu służele Beloczcie,
Prowdz i Chamyr z Glizna beł w tym gronie,
Co na Kaszubach mnioł nolepsze konie...“

Z takich „Kaszubšcich dzedzyców“ podobnych jak dwie krople wiślanej wody do dobrzyńskiego Maćków zaścianka z „Pana Tadeusza“ wyszedł nasz „łgorz“ pomorski. Kształcił się w kilku gimnazjach, gdyż w żadnym dłużej nie mógł zagrzać miejsca. Ni stąd ni zowąd młodziutki abiturjent, studjosus wypływa w... Paryżu, Kaszuba w Paryżu! gdzie studjuje... gorzelnictwo, w Paryżu gorzelnictwo! Poczem wraca do kraju, dostaje posadę kierownika browaru w Poznaniu, rzuca ją, zrywa z chmielem i zostaje prywatnym nauczycielem domowym. Ale w Derdowskim jest pęd cygański i włóczęgowski nieokiełznany. Niedługo bawi się w guwernerkę i zaczyna próbować pisać. Odkrywa go dzielny i zasłużony działacz, redaktor „Przyjaciela Ludu“ w Toruniu, stary Danielewski. Poeta natus ale nie educatus wprząga się w jarzmo dziennikarstwa ludowego i orze po ciężkiej skibie kamieniami niemieckiemi zarzuconej, orze ciężko, w wolnych chwilach koncypując ku pokrzepieniu serc „gadki“, przytem kocha się, kocha zapamiętale, gorąco, z całkowitem oddaniem, rozmarzeniem, tęsknotą w nieznanej sobie, niewidzianej na oczy, tak dalekiej a jednak tak bliskiej, wymarzonej Polsce, którą zna z... Kraszewskiego i z Mickiewicza. I z wiarą, z nadzieją, z miłością do tej Polski abstrakcyjnej, platonicznej, wielkiej i bohaterskiej pisze wieczorami w swej

skromnej izdebce swego skromnego: „Pana Czarlińsciego“ przemiłą, pogodną epopeję humorystyczną o takim sobie francie, wesołku i kawalarzu, o takim sobie prowincjonalnym nietyle Don Quichocie ile don Sancho Pansy, którego żona wysyła w zimie do Pucka po kupno sieci. Jest w tem coś z angielskich wojażów, których kilka napisano w 19-ym wieku, jest coś może z Fritza Reutera ale przedewszystkiem jest doskonała, rodzajowa deskrypcja obyczajowości kaszubskiej, jest frapująco delikatne w rysunku zobrazowanie tego szarego, przyziemnego, choć przymorskiego życia, ozłoconego jeno kapitalnym humorem bezpretensjonalnego ale po Hogarthowsku wnętliwie, skrupulatnego i precyzyjnego obserwatora. Derdowski patrzy w to życie nie z góry, nie z dystansu ale z boku, z pobliża, z tego samego poziomu co jego objekta. A co widzi z drobiazgowością miniaturzysty i niezrównaną, domacalną plastyką rozpisuje. Przy lekturze przygód, awantur i figlów „pana Czarlińsciego“, tego pana Paska „Bałteczanów“ mimowoli myśli się ciągle o rysowniku, któryby co chwila chwytał i utrwalał te obrazeczki i karykaturki rylcem Chodowieckiego („Danziger Reise“) czy Andriollego, a może w jakiejś nawet prymitywniejszej jeszcze manjerze chłopskiego jarmarczno-odpustowego drzeworytnictwa.....

W r. 1880 jest Derdowski w Warszawie. Jego „Czarlińsci“ dedykowany Kraszewskiemu, przeczytany przez kilku dobrej woli recenzentów zyskuje sobie kilka ciepłych krytyk. Jego autor, jako osobliwość i curiosum cieszy się dwutygodniową sławą, rozrywany po herbatkach literackich i pokazywany „żywcem“ na salonach. Szybko przejadłszy się sukcesem estymy i snobizmem rodaków rzuca się Derdowski w pociąg i ląduje aż w... Petersburgu. I tu szczęśliwym trafem styka się z jednym z najgłębszych uczonych umysłów polskich i skutkiem tego oczywiście zgoła w swej ojczyźnie nieznanym i bagatelizowanym, t. j. z Wilhelmem Bogusławskim. Ten gorący Słowianin (czyli jak judeogermanie i lodomerjanie mówią: panslawista) i badacz zeżartych przez Germanję plemion słowiańskich wywarł na Derdowskiego wielki wpływ i przepoił go swemi ideami. Derdowski miał kult dla politycznego światopoglądu Bogusławskiego, ale niestety nie miał możności i sposobności stać się tych idei propagatorem. Pozostała w nim tylko jeszcze wzmożona, zażartsza, zaciekła nienawiść do zjadającego dzieci

słowiańskich plemion Molocha teutońskiego. To też w utworach jego „Mniemce“ i ich wszechświatowi, dziedziczni i organiczni poplecznicy „żedy“ nietylko nie cieszą się specjalnemi względami ale wprost przeciwnie gdzie tylko może Derdowski tam im przypina łatkę, kole i bodzie. W groteskowym rapsodzie o odsieczy wiedeńskiej, napisanym na dwuchsetną rocznicę stale Turków porównuje z „żedami“:

A ten jech prorok zwany Muhamedem
Beł srodzim zbujcą i nochcewszym żedem
Kozoł swym Turkom rabować po świece
I w pień wecynac krzescyjanscie dzece.

I w innym znów miejscu Kulczycki w rozmowie z królem Sobciem:

„Turce” rzek Kulczyk godają jak żede
Lecz jo sę z nimi rozmowię od biede...

lub w opisie obozu tureckiego:

Tak se pogane rojiły jak pszczołe
A mniedzie wojsciem szkape, słonie, wołe
Namniote stoją gęsto jak kopice,
A wszędzie hałas jak w żydzci bożnice...

lub w przygodach Czarlińsciego, który całą swą podróż sowizdrzalską odbywa z gromadą wesołych i przemyślnych Smulków i Lajzorów:

„Tymczasem sę w głębok skrełe w swe kożuche
Boc to znane, jacie żede są zazwyczaj zuche”.

Trzeba atoli przyznać, że podczas, gdy np. Czarlińsci jak każdy „szlachcec akuratny“ bez żedów się obejść nie może i ma dla nich jeżeli już nie sympatję to słabość, z poza której przegląda i inklinacja autora jakby rozmiłowanego w groteskowości kapotowych ortodoksów, to w stosunku do Niemców jest u Derdowskiego tylko nienawistna pogarda i jakby artystyczna odraza.

Ponieważ z odrazą tą i ze swym gorącym patrjotyzmem ukrywać się i maskować nie umiał i nie zdołał, przeto stało się, że kiedy wrócił z Petersburga i na nowo zaprzągł się do pracy dziennikarskiej w „Przyjacielu Ludu“ w Toruniu, szybko naraził się na proces prasowy, więzienie, aż wreszcie szykanowany niemiłosiernie, musiał emigrować i znalazł się aż w... Ameryce. Osiadł w Chicago, gdzie objął redakcję „Wiarusa“, potem przerzucił się do Vinony w Stanie Minnesota, gdzie już prze-

był lat aż siedemnaście do końca swej życiowej tułaczki do roku 1892-go; ożeniony z Amerykanką, zostawił żonę i dwie córki sieroty podobno zamerykanizowane zupełnie... Dziennikarstwo porwało go jak maszyna w swe szprychy i tryby i zużyło doszczętnie jak tylu tylu innych; wydał jeszcze zbiór przysłów kaszubskich p. t.: „Koruszk (worek) i jedna maca jędrnyj prowde“ o wartości pośledniej, gorszy od zbioru takichże przysłów Ceynowy.

Derdowski „łgoł“, t. j. pisywał w narzeczu nietylko kaszubskiem ale w jednym z jego podgatunków i odmian, t. j. w narzeczu zaborskiem, jakim mówią Kosznajdry t. j. Kaszubi z pod Chojnic. Trzeba tu bowiem przydać, że właściwie w każdej parafji na Pomorzu mówią „reboki“ inaczej, Olendry nad Wisłą różnią się od Borowiaków z Czerska i Tucholi, ci kpią z Krajniaków z pod Sępola, a Krajniaki znowuż wiele śmieszności dostrzegają w Kociewiakach z pod Starogardu i Gniewa, podczas gdy Kociewiacy srodze lekceważą obyczajowość i gwarę Kosznajdrów. Nawet nazwy miejscowości wymawiają się różnorodnie: Pucek, Puck, Pućk, Peck; jeziora: Gardzkie, Garczyńskie, Garskie. Istnieje oczywiście patrjotyzm lokalny, parafjalny, „krejsowy“ ale nad wszystkiem jednak góruje patrjotyzm dzielnicowy, uczucie wspólnoty plemiennej, „bołteczańskiej“, pomorskiej a wyrazem tego patrjotyzmu dzielnicowego jest skromna twórczość Derdowskiego. Dumni są ze swej zakonserwowanej odrębności i różności, dumni z tego, że byli bohaterską strażą nad Wisłą i morzem, że dotrwali i oddali pobrzeże „duny“ i szmat morza zmartwychwstałej ojczyźnie, dumni ze swego „Gryfa“...

„Hura! krzyknęłe pancerne huzare,
Skorno uzdrzały kaszubście sztandare...
A na chorągwiach tech pomorsciech dzecy
Na tle czerwonym żółty gryf się swieczy
Ten mo lwi zadek a w połowie z przodu
Je jakbe orzeł drapieznego rodu...”

Derdowski jest święcie przekonany, że Kaszuby to najzdolniejsze plemię, do wypitki i do wybitki, do tańca i do różańca, on wie i wierzy i do wierzenia dodaje, że oni to właściwie uratowali Wiedeń, oni w powstaniu „Mnierosławskiego“ w 48 odegrali najważniejszą rolę:

„W kaszubście męstwo gwes jak w tura wierzę
Bo to nalepszy na swiece żołmnierze”!

lub na innem miejscu:

„Coraz sę więcy bracy do nich łączy,
Bo mąż Kaszubsci do wojne je rączy"...

A ten patrjotyzm lokalny Derdowskiego dochodzi do nieco humorystycznej już egzaltacji w ewokacji, rozpoczynającej pieśń o odsieczy wiedeńskiej, wzorowanej na początku „Pana Tadeusza":

„Piękny kraju Kaszubści, zemnio obiecano
Wszęde twech dżyrsciech senow wielgo cnota znano".
Nigdze ju nic nalezesz dzys na świece kątka,
Gdze be po nos Koszubach nie beła pamniątka,
Ciej zagrozeł potopem Bóg światu całemu
Prędko arkę Kaszuba zbudował Noemu,
I jaż później zaczęno ustępować morze
Wesół na ląd bezsprzecznie na szymbarsci górze
I ten z naszech pradziadów tędzim był wiarusem,
Co Amerykę odkreł razem z Koląbusem
I tak licznie rozmnożeł w niej Kaszubście plemię
Że tam drugą ju mąme obiecaną ziemnię".

Rzecz charakterystyczna, że Derdowski w swoich utworach ani razu nie daje opisu morza, „welgego morza" nie posuwa się nawet nad zatokę, że nie zajmuje go marynarska część żywota kaszubskiego, jak znowuż nigdy nie daje nam obrazu swoich ludzi *przy pracy*, pod tym względem jego „Czarlińsci" także zbliża się do „Pana Tadeusza", gdzie w dwunastu księgach poematu nie znalazło się nigdzie miejsca na opis pracy, a tyle piękna jest w fetach i bankietach. W „Czarlińscim", jak w „Panu Tadeuszu" stosunkowo za bardzo dużo się je, pije i popuszcza pasa, jakby w myśl tego napisu prastarego na gdańskiej bramie: „rum omnium fundamentum":

„Justitia et pietas sunt regno-
Rum omnium fundamentum".

Gdańskiej wódki i rumu jest cokolwiek za wiele w codziennym żywocie i reboków i szlachceców, a nie widzimy ich ni przy pracy w polu, ni przy rybołóstwie, ni w handlu, ni przy spichrzach gdańskich, ni na galarach i szkutach. Pod tym względem Pomorze i pomorzanie czekają jeszcze na swege poetę, na swego powieściopisarza, na swego Reymonta, jak również

pod artystycznym względem znów i na swoją szkołę malarską. A trzeba przydać, że wbrew konwencjonalnym poglądom jest to ziemia obiecana tematów i motywów dla poszukiwaczy i odkrywców zapomnianego i zatajonego piękna, ziemia przeliczmych legend, baśni, opowieści gminnych i historycznych epizodów barwnych, ziemia pełna tajemniczych „djabelskich głazów", prastarych dębów straszących, jezior zaczarowanych, miast zatopionych, ruin, krzyżackich kasteli. Życie Kaszubów i ziemia pomorska nie ma jeszcze ni swego Tetmajera, Homera Podhalańskiego, nie ma swego Reymonta, czeka na swoich Wyczółkowskich i Fałatów. Kafar gdański też już zasłużył na piękny sonet, skoro tyle set sonetów składano u stóp Gewontu... Deotyma i Gomulicki zaledwie musnęli piórem Gdańska, zresztą nie dając rzeczy o głębszej, imanentnej wartości. Pomorze polskie musi być dopiero literacko, artystycznie i plastycznie odkryte, aby nastąpiło integralne i duchowe zespolenie z resztą Polski. Czas jest najwyższy potemu. Musi tam zawędrować jakiś Wincenty Pol naszego pokolenia, który naprawi krzywdę, wyrządzoną przepomnieniem o nich w „Pieśni o ziemi naszej", i da nowy rozdział, zaczynający się od słów: „A czy znasz ty bracie młody, te Bałtyku ciemne wody, tych Kosznajdrów i Beloków, Krajniaków i Kociewiaków i Słowince i Olendry, Naród wierny, dziarski, mędrny"... Musi w tamte północne okrainy zabłąkać się jakiś odprysły od swojej plejady, a mocny w talencie, rasowy z ducha i ciała skamandryta, dynamista, formista, urbanista, unanimista, prymitywista, siewierjanista, tuwimowiec, czy ekspresjonista, znudzony już chyba śmiertelnie warszawskim jarmarczkiem i zgiełkiem stołecznego Pacanowa, by zagrzebawszy się doszczętnie w życiu tych morszczaków, okrętników, poławiaczy stonewek, ludzi z checz i szkut, dać nam potem to, co Tetmajer w „Skalnem Podhalu", co Reymont w „Chłopach", co Rydel w „Zaczarowanem kole", co Żeromski w swych dumach o Żółkiewskim, o Sułkowskim.

Ziemia Mestwina i Subisława czeka cierpliwie na takich także gości z Polski.

Małe satyryczne książeczki Jarosza Derdowskiego mogą być dla takiego przyszłego Hezjoda czy Homera Pomorza przemiłym przewodnikiem na pierwsze czasy; wyczyta`i przekona się z nich, że Kaszuby to naski ród z krwi i kości, pozornie tylko zamknięty w sobie i posępny, a w gruncie rzeczy pełen

wigoru i humoru, najrodzeńszy brat tych z Podhala, tych z Łowicza i z pod Racławic. Przekona się, że „Maciek z Dobrzynia“ podobny jak dwie krople wody do tego Maćka z „Kantrzewa“, czy „Strzepcza“ pomorskiego, co teraz w mundurze polskiego już nie pruskiego marynarza, podciąga z dumą sznur, by wysoko nad wodami zachybotał w powietrzu biało-czerwony „pawilon“ na pierwszym polskim kontr-torpedowcu wojennym.

...Kontr-torpedowcu, zwącym się dumnie: „Gryf“.

POLSKA W LITERATURZE ANGIELSKIEJ.

(Praca z r. 1915).

Zachodzi dziś już chyba poważna potrzeba zajęcia się przez publicystykę polityczną przypomnieniem całokształtu stosunków oficjalnej, t. j. dyplomatycznej i parlamentarnej Anglji w wieku 18-tym i 19-tym do sprawy polskiej; jest to obecnie jej zadaniem najważniejszem, a zdawałoby się niezwykle wdzięcznem i niezbyt znowuż trudnem. Niestety, pierwsze już próby w tym kierunku poczynione, pierwsze dotknięcia tej nowej nuty, pierwsze, jakie się pojawiły reminiscencje czy to w formie przestrzeżeń dla skołatanego „kraju", aby nie zapędzał się znowuż w świeże iluzje zamorskich interwencyj, czy to w formie anty-albjońskich krakowskich monitów wykazują bardzo czarno na białem symptomaty nawet jak na nasze stosunki wprost anormalnej ignorancji i niezwykle pobieżnego traktowania tego tematu, który od 9 sierpnia 1914 r., t. j. od dnia wypowiedzenia przez Wielką Brytanję wojny Cesarstwu Niemieckiemu, powinien był chyba zostać centralnym i ogniskowym tematem zdającej sobie sprawę z doniosłości otwierających się perspektyw kierowniczej politycznej myśli polskiej. Nie trzeba jednakże tracić nadziei, że po pierwszych niewydarzonych próbach i niezgrabnych potknięciach się przy wejściu na drogę przypominania sobie i czytelnikom odwiecznych stosunków Anglji do Polski, zabierający głos w tej kardynalnej kwestji przysiądą fałdów i rozpatrzywszy się w olbrzymim a dziewiczo nietkniętym materjale tych stosunków, dojdą do innych, mniej pesymistycznych wniosków, oraz zaprzestaną w zacietrzewieniu ultra-realistycznej doktryny wylewać zimną wodę, ale niestety tylko wodę na rzekomo rozegzaltowane nadziejami głowy tych, którzy istotnie pokładają

wielkie nadzieje w rozum angielskiej dyplomacji, ale tylko w tych wypadkach, w których dojdą do przekonania, że przypadkowo a szczęśliwie bezwzględny interes angielski i bezwzględny cel angielskiej racji stanu schodzi się i pokrywa z nadziejami i rachubami narodu, mogącego wonczas na roztropną mądrość egoizmu brytańskiego liczyć już bezwzględnie.

Do tego zaś przekonania dojdą zdaje się wszyscy ci, którzy po przestudjowaniu materjału tych stosunków polsko-angielskich odtąd dla obserwowania tego, co się będzie działo w Foreign-Office, co się będzie mówiło w Izbie Gmin i pisało w prasie czytanej przez obie półkule, odłożą wreszcie ulubioną dotychczas „krajową“ lunetę krytyczną, t. j. staropolską choć i młodokonserwatywną... rurę do barszczu.

Pora jednakże dopomóc im w tem zapoznaniu się z materjałem stosunków polsko-angielskich przypomnieniem stosunku literatury angielskiej do Polski, który, sądząc z tego, że się w tej materji nic nigdy nigdzie u nas syntetycznego nie czytało, nie istnieje jakoby zupełnie. Pora więc nadarza się pomówić o czemś w naszej świadomości ogółowej dotychczas nieistniejącem zupełnie.

Piśmiennictwo nadobne, poezja i beletrystyka, odgrywają bowiem nadal w życiu rasy anglo-saskiej rolę tak sterowniczą i prymordjalną, tak wytwarzają lub przekształcają rządzące i opinjotwórcze wartości polityczne i moralno-socjalne, że nadal i dziś, w wieku „radjum i betonu“, zastanawiając się i zgłębiając kwestję ustosunkowań politycznych Anglji do któregoś z narodów świata, niepodobna nietylko nie uwzględniać piśmiennictwa angielskiego oraz impulsów, inicjacyj i wprost dyrektyw z niego w życie praktyczne, polityczne i socjalne płynących, ale należy temu to piśmiennictwu właśnie nawet przypisać często inicjatywę nastrojów, przedsiębrań, kierunków i zwrotów politycznych. I dlatego pierwsze nawet i próbne zebranie i sprezentowanie dokumentów stosunku literatury angielskiej do Polski może w pewnej mierze dopomóc do wytworzenia i u praktyków politycznych jakiegoś wyobrażenia o stosunku społeczeństwa angielskiego do Polski, które to wyobrażenie dodane do rezultatu gruntownych badań kolejno następujących momentów i faz politycznych stosunków (r. 1772, r. 1794, r. 1798, 1814, 1826, 1831, 1848, 1858, 1863) da pewną sumę wiadomości, na której opierając się, będzie można już mieć o tych rzeczach pewne pojęcie,

które znowuż może dać pewne podstawy do zabierania wogóle głosu w tej sprawie. W wypadkach bowiem, gdzie chodzi o radykalne wpłynięcie na opinję publiczną, wytworzenie w niej serdecznego rezonansu dla pewnych horoskopów, gdzie chodzi o spotęgowanie samowiedzy narodowej i wyleczenie jej z zastraszającej *manji małości* przez wskazanie właściwych źródeł otuchy i rachuby w przeddzień nadchodzących wypadków, ważniejszych od tych sto lat temu zaszłych, posępne improwizacje publicystyczne, oraz zalewanie wodą sceptycyzmu ognisk nadzieji ledwie że tlejących, winny być do minimalnych rozmiarów ograniczone, jeżeli nie skasowane zupełnie lub oddane w monopol wyłączny rakowi naszego organizmu narodowego-t. j. pejsy-mistom.

Angielskie piśmiennictwo Polską od początków swoich zajmowało się bardzo wiele. Wśród gwiazd większej konstelacji znajdziemy nieproporcjonalnie więcej nazwisk czy tylko interesujących się nami, czy nawet specjalnie przychylnie dla nas usposobionych i usposabiających, niż naprzykład w sąsiedniej nam, krewniaczej i współplemiennej literaturze rosyjskiej, z wykluczeniem oczywiście wszystkich gorących odezwań się z najostatniejszych miesięcy. Już stwierdzenie tego jednego faktu powinno być chyba dość nadspodziewaną rewelacją i winno zachęcić do gruntownego zbadania i porównania tych ustosunkowań wzajemnych tem więcej, gdy się uwzględni, że światowładna i lucyferyczna Anglja, oddalona od nas Imperatorowa Oceanów, nie stykająca się z nami i nie sąsiednia, musi żywić dla nas zainteresowanie czysto platoniczne, jako dla nacji bądź co bądź egzotycznej, aktualnie nawet państwowego waloru pozbawionej, ongiś o nietolerancję dla wszelkich *dissidents* pomawianej, anarchją swej oligarchji ideę rzetelnego konstytucjonalizmu dyskredytującej, a w obyczajowości swej częstotliwie barbarzyńskiej, nie correct nie respectable albjoński *cant* na każdym kroku rażącej i obrażającej. Tymczasem jednak, jeżeli się zestawi listę pisarzów angielskich od końca 16-go wieku aż po wiek 19-ty, poczem znowu poetów lub beletrystów z 19-go wieku z listą nami łaskawie zajmujących się pisarzów rosyjskich, oczywiście tylko od początków 19-go wieku, t. zn. od czasów kiedy Rosja wlicza się kulturalnie mniej więcej do narodów europejskich, to lista angielska okaże się zdumiewająco większą tak pod względem ilości i ważkości oraz znacze-

nia pisarzy, jak też pod względem skali sympatycznych uczuć, żywionych do ostatecznie obcego, dalekiego, coraz mniejszą rolę w świecie i znaczenie w Europie posiadającego narodu. Prawdziwości tej relacji postaramy się tu choćby w szkicu doraźnym i amatorskim raczej dokumentarycznie dowieść.

Jeżeli stosunki historyczne obojga narodów i pewne pierwsze wzajemne zapoznanie się należy umieścić mniejwięcej na koniec 14-go wieku t. j. na czasy, kiedy król Ryszard II nawiązał pierwsze „kommercja" z Toruniem i kiedy pierwsze angielskie spichlerze i składy dla krociowych łasztów pszenicy polskiej założono w Kazimierzu nad Wisłą i w Kownie, oraz na czasy, kiedy grupa rycerzy angielskich z Henrykiem Lancaster przybywa do Zakonu, aby walczyć z Litwą, nawracać pogan pruskich ogniem i mieczem, to jednakże pierwsze ślady zajęcia sie intelektualnego Sarmacją wytropić się dadzą dopiero z końcem wieku 17-go, to znaczy już wtedy, kiedy z powodu prześladowań religijnych za „krwawej furji" Marji Tudor, gościnne przyjęcie w Polsce znalazła spora emigracja szkocka. Przyszły tu do tej, w 19-tym wieku, jako gniazdo nietolerancji szkalowanej Polski, całe rzesze Hunterów, Johnstonów, Gordonów, Halibartonów, Midletonów, Wattsonów, Strahconów, Bricketów, Corsonów i do mickiewiczowskich czasów dotrwałych Rollisonów; osiadły na Litwie, w Prusach, w Poznaniu, w Kiejdanach, w Lesznie, gromadnie w Krakowie, pozakładały warsztaty i sklepy swego wysoce już zaawansowanego przemysłu i kunsztu, pobudowały swoje zborki ewangelickie i swe piękne faktorje. Ich to sympatycznemu i płodnemu w kulturalne następstwa rozejściu się po całej Polsce, tym to szkutom i merchom (merchants), zawdzięczamy oprócz wielu innych zdobyczy realnych i jedno z naszych kulturalnych *curios*'ów, t. j. ten fakt, że jednym z pierwszych, bo trzecim z rzędu dramatem polskim z r. 1587 drukowanym w Krakowie jest rodaka Szkotów Jerzego Buchanana „Jephtes", biblijna tragedja, tłumaczona z oryginału przez jegomościa Zawickiego doskonałą, Kochanowskiego godną polszczyzną. Dziwnym zbiegiem okoliczności w tych to czasach przybywa do Polski i drugi już Lancaster, książe Ryszard Bertie, mąż Katarzyny Suffolk, uciekający przed prześladowaniem i otrzymuje od króla Zygmunta na tułaczą siedzibę Kroże, tradycyjne, historyczne Kroże.

Pierwsze atoli ślady literackiej znajomości Polski znaj-

dują się dopiero w powieści, a raczej noweli Roberta Greena z r. 1570 p. t.: „Pandosto czyli tryumf Czasu", popularnej chyba bardzo, bo przedrukowanej 14 razy. W tej to fantastyczno-alegorycznej naracji na tle całego szeregu opowieści i relacyj z dziejów Polski jeszcze dzielnicowej, przechodzą też po raz pierwszy terminy Silezia, Polonia, Transpolonia (Litwa). Omal równocześnie z jednym wydań „Pandosta" wychodzi słynnego humanisty Johna Barclay'a: „Euphormionis Satyricon", etnograficzno-obyczajowy, mocno kostyczny, tendencyjnie antypapieski, antykatolicki opis Europy owoczesnej; w nim zaś również fragment opisu Sarmacji ze szczegółami dość posępnemi, zresztą nie zaobserwowanymi naocznie, gdyż Barclay w Polsce nie był, ale prawdopodobnie przepisanemi lub otrzymanemi z ustnej relacji od Burchera, pierwszego angielskiego podróżnika po Polsce (1558). „Euphormio" Barclaya znajduje rezozans wcale silny, ale przyznajmy z dumą: kulturalny. Marszałek Łukasz Opaliński uważa za wskazane odpowiedzieć „obmówcy" za przykładem Kochanowskiego, dającemu odprawę Desportesowi francuskiemu, broszurką łacińską: „Polonia contra Barclayum defensa" (1648), w której stara się z dużym zapałem a z mniejszym sukcesem bronić różnych ciemnych stron urządzeń, gospodarki i obyczajowości naszej, zresztą nietylko przez wielu cudzoziemców, ale daleko ostrzej przez własnych satyryków zacnej chłoście i piętnowaniu wówczas poddawanej. Znacznie racjonalniej reaguje na Barclaya znakomity poeta Wacław Potocki, tłómacząc pięknie jego „Argenidę" i w stylu tejże Argenidy pisząc oryginalną powieść „Syloret". Tak dzieło Barclaya, jak i powieść Greena zdaje się znać dokładnie ich największy współczesnik, człowiek-Anglja Szekspir, który polskość wciąga już tak ściśle w orbitę swego makrokosmu dramatycznego, że używa jej jako określenia, ornamentu czy epitetu powszechnie zrozumiałego i znanego. Podczas gdy pomniejszy konkurent twórcy Hamleta i Falstaffa, John Webster, o Polakach wspomina raz tylko w dramacie o Wittorji Accorombonie *White Devil* (1612), Szekspir ogółem o polskość natrąca dźwiękowo wiele razy t. j. w „Komedji Omyłek", w „Miarka za miarkę" i siedem razy w Hamlecie .Równocześnie trzeba to przypomnieć jednakże w trzech wielkich dziełach nieśmiertelnością nastygmatyzowanych opiera czarowną tkaninę scenicznej osnowy na podaniach historycznych, na wieściach gminnych, na klechdach kronikar-

skich, na legendarnych postaciach, na surowiźnie materjału, rozpowszechnianego wówczas z Polski po całej Europie w „ulotnych kartkach" z taką szybkością przedziwną i frapującą, jakiej przykład daje np. wielka afera awanturnicza Dymitra Samozwańca w Moskwie, której poszczególne fazy w drukowanych relacjach do dziś przechowywanych znane były w Londynie w kilka miesięcy po ich wydarzeniu się w Polsce i w Moskwie!!! Te utwory szekspirowskie to: „Burza", „Opowieść zimowa" i „Wiele hałasu o nic", te dosłownie „nasze" sztuki człowieka-Anglji, w których ogólno-ludzkie, poetycznie-szczytne i natchnione fatamorganatyczne odbicie, a zarazem wszechświatowe obywatelstwo i wieczyste upamiętnienie znalazło całe kolisko faktów tragicznych, splotów romantycznych, wypadków dziwacznych, powikłań i przejawów uczuciowych z życia historycznego wiele wówczas miejsca w Europie zajmującego państwa Jagiellonów. W tych to „naszych" sztukach Szekspira odbijają się w dalekich, oderwanych już od podłoża oczywistości twórcze echowe transpozycje naszych postaci Witołda, Jadwigi i Jagiełły, Piastów śląskich, cieszyńskich, kanclerza Gościckiego, wreszcie tej całej skroś genjalnością i życiową nadsiłą uposażonej condotjerskiej rodziny Łaskich, z których Olbrych de Lascy był jednym z dworzan Elżbiety, a z których prorok reformator Johannes a Lasco, długoletni superintendent londyńskiej gminy cudzoziemców, za wstąpieniem na tron tej samej Marji Tudor musiał z dużą gromadą swych wiernych na dwuch lichych statkach duńskich uciekać, by go potem Burza morska, notowana w kronikach angielskich dla swej srogości, zapędziła z kanału kaledońskiego i rozbiła aż o skały portowe zamku Hamletowskiego... Elsingor.

Byłoby dzisiaj pięknem zadaniem naszych znawców i lubowników Szekspira ścisłe zajęcie się zbadaniem tej kwestji w obecnym roku jubileuszowym i udowodnienie naukowe przed forum europejskiem o ile postać Armada jest wielkopańsko-poetycką emanacją Olbrzycha Łaskiego, (toczącego ongiś swoją słynną w Europie dyskusję z Giordanem Bruno), w jakiej mierze „król Neapolu" ma wspólne cechy z naszym Jagiełłą, w czem znowuż Antonjo przypomina Skirgiełłę, czy zasię „córka cesarza Moscovy" ma coś z księżniczki Eufemji Ziembickiej i czy na tle odtworzonego architektonicznie zamku Rawskiego (gdzie był w r. 1601 więziony naturalny syn Karola Szwedz-

kiego Guilden-halm), może być grany Hamlet, rozmawiający z Guilden-sternem (które to nazwisko nosiła wówczas polsko-protestancka rodzina starostów sztumskich), czy też winna być graną: „Opowieść Zimowa“ wobec tego, że „Bohemja“ owych czasów, w których wydarzyły się fakty, dające osnowę „Zimowej Opowieści“, t. j. za czasów króla Ottokara, istotnie sięgała morza, bo przecież zajmowała i całą Sarmację i Prusy książęce, a król Ottokar był nawet założycielem dzisiejszego Königsbergu!! Na tem miejscu jeno przygodnie i nieśmiało zaakcentowana hypoteza o polskim zaczynie, tworzywie i praźródle tematycznem kilku arcydzieł szekspirowskich, wszczęta niegdyś przez prof. Caro, lekko podparta przez St. Koźmiana, w ostatnich latach znalazła mocniejsze już i solidniejsze podstawy w niektórych studjach szekspirologów angielskich, a nawet niemieckich i spotkała się z gorącą zachętą i całkowitą aprobatą jednego z najważniejszych szekspirologów profesora uniwersytetu krakowskiego Creizenacha.

U nas na frapujące i polskości z czasem chyba chlubę przynoszące badania i dociekania w tym kierunku nikt jakoś czasu nie mógł znaleźć. Popracować nad europejsko doniosłą egzegezą źródeł dramatów Szekspira, nad odkryciem oraz zestawieniem filjacji między faktami z dziejów polskich a ich angielską szekspirowską partenogenezą żadnemu z naszych literackich „rozprawiaczy“ się nie chce. I oto może się zdarzyć, boć się już na to zanosi, że obce pióra i to nawet szwabskie zajmą się korygowaniem fałszerstw Tiecka i Moltkego, (którzy ze śmiesznej pogardy dla polskości przemieniali w Szekspirze Pollax, Poleak, Pollock na polyakse, t. j. siekiera) i że oni udowodnią w ciężkich pracach, jak mocnym był w Szekspirze refleks potężnej państwowości i obyczajowości polskiej w tych czasach, w których Elżbieta kilkakrotnie wysyłała uroczyste poselstwa do Polski, w których Anglja w Elblągu i Toruniu założyła wielkie hurtownie dla swej Eastland-Prussian-Company, w których na całej ziemi polskiej rozsiane były szkockie faktorje i „brewerje“, w czasach, w których poselstwa polskie z Działyńskim na czele przyjmowane były w Londynie z największą ostentacją, splendorem, festynami i „maskami teatralnemi“, a z których wzajemne relacje polityczne, t. j. *Transacta inter Angliam et Poloniam* zebrane są w 118 tomach londyńskiej *Public-Record-Office.* Tu dodać tylko mo-

żemy od siebie, że co do samego tylko Szekspira i jedynego jego Hamleta kwestja przemiany nazwiska Corambis z edycji quarto 1603 na nazwisko Polonius jest zagadnieniem naukowem polityczno-literackiem najpierwszorzędniejszej wagi i europejskiego znaczenia dla kultury. Gdybyśmy byli narodem, polityczną siłę reprezentującym, gdyby wydobywanie Szekspira na żywot nieśmiertelny i na repertuar scen europejskich nie zeszło się chronologicznie z datami utraty naszej niepodległości, o kwestji Polonjusza istniałyby dzisiaj grube tomy, a hamletologja miałaby może kierunek jeszcze inny.

Oprócz Szekspira jeszcze tylko w dwuch pisarzach 17 wieku dało się „wyszperać" ślady znajomości polskości: w jednym o sławie wszechświatowej, w drugim całkowicie podrzędnym. John Milton w jednej z 24 prac prozaicznych tłumaczy jeno łacińską deklarację Jana III, wstępującego na tron i opatruje ją sympatycznemi komentarzami; drobny ten zresztą przyczynek do działalności wielkiego piewcy „Utraconego Raju" i „Samsona Agonistesa" zamieszcza kompletne wydanie Morleya z r. 1889. Istnieją natomiast poszlaki i znamiona bardzo mocnego wpływu na niego indywidualności i działalności Jana Łaskiego, które należałoby naukowo krytycznie ustalić i wyświetlić. Współcześnik natomiast Miltona z wprost przeciwnego obozu, bo katolik i rojalista Stuartów, John Suckling, poeta liryczny i satyryk, wśród kilku dramatów, jakie przed śmiercią samobójczą (1614) zostawił, napisał i dziwaczny melodram: „Bremoxalt czyli zagniewany pułkownik" (Edition Hazzlit 1874) w którym całą swą nienawiść do wrogów króla Karola Stuarta daje pod figurą polskiego konfliktu z Litwą. Niestety jednakże związanie w następnych czasach polskości z upadającą dynastją Stuartów przez marjaż Marji Klementyny, wnuczki Jana III z Jakóbem Stuartem i niepopularność, a nawet znienawidzenie tej dynastji z powodu jej zakusów absolutystycznych i agresywnie katolickich wpłynęło mocno na zobojętnienie Anglików dla katolickiej Polski. Powstanie zbrojne pretendenta Karola Edwarda w roku 1745 na czele szkockiej arystokracji reakcjonistycznej daje wprawdzie dziejom Anglji jeden z najkolorowszych epizodów i wzbudzi, rozpłomieni i natchnie później jeden z największych talentów epickich, bo Walter-Scotta do pierwszej powieści na tle dziejów tego syna Sobieskiej, do „Vaverleya" (1814), ale niestety też pogłębi jeszcze w społecz-

ności angielskiej to powierzchowne identyfikowanie czy łączenie pojęcia polskości i *Polandu* z rzekomo reakcjonistycznym i absolutystycznym katolicyzmem. Z tej też przyczyny melodram szkockiego poety Johna Sucklinga, dający Szkocję Stuartów pod maską Polski Jagiellonów, jeżeli wogóle miał jakie znaczenie w ówczesnej literaturze, to dla naszego interesu narodowego jest zjawiskiem raczej szkodliwem, bo dyskredytującem wobec Anglji nowoczesnej i dysydenckiej.

Na nim też kończy się ta pierwsza szczuplejsza liczbą lista przednowoczesnych pisarzy angielskich, interesujących się polskością, opisujących ją, zastanawiających się, badających, czerpiących z niej podniety twórcze, koloryt kolizyj psychicznych, obyczajowe detale i t. p., ale zajmujących wobec niej stanowisko neutralne, objektywne, raczej obojętne. Po przerwie omal dwuwiekowej, po dwuchsetletniem *désintéressement*, na czasy którego nie udało nam się natrafić na ślady jakiegokolwiek zajęcia się polskością w literaturze angielskiej, zaczyna się tuż po trzecim rozbiorze Polski jasny szereg twórców o czasem bardzo potentackich nazwiskach, którzy do tragicznego fenomenu polskości odnoszą się już nietylko z przyrodzoną ciekawością poszukujących „obcość" literatów, ale z gorącem sercem poetów.

Katastrofa rozbiorów Polski, która w Europie całej tak dziwnie nierównomierny znalazła oddźwięk i rezonans przypadając mniejwięcej na czasy wyzwalania się trzynastu Amerykańskich Stanów, powstania w Irladji, zagarniania Indyj i dwuch kolejno wojen z rewolucyjną Francją w skutku tego wszystkiego nie mogła wywołać wrażenia tak silnego w zaabsorbowanej tem egoistycznie opinji angielskiej, aby presją przez nią wywartą zmusiła rząd do aktywnego interwenjowania, do jakiegoś aktu, czy gestu polityki czynnej. Każdy silniejszy akcent wyrażony w jakiejkolwiek formie ze strony ministerjum Pitta, podczas którego nadto Anglja istotnie znajdowała się w *spledid isolation* mógł wywołać całkiem racjonalnie wypomnienie Anglji czy to nazwiska Warren Hastingsa (którego w Indjach ogłoszono nawet bóstwem dla jego rozpasanych okrucieństw), czy to srogiego kursu w Irlandji, aneksji Kanady, wyzwolin Ameryki. Nie narażając się więc na przysłowiowe *medice cura te ipsum*, rząd angielski czasu rozbiorów Polski istotnie nietylko nie był w możności prote-

stować przeciw temu, ale w minimalnej mierze eksponować się politycznie za Polską. Wiemy zresztą skądinąd, że wielki plan Pitta z roku 1791 koalicji Polski, Szwecji, Prus i Anglji sparaliżowała podczas „rozpraw oczakowskich“ opozycja parlamentarna w Izbie Gmin z czysto merkantylnych interesów i względów tłumiąc dyskusję. W ten sposób ostatnia nadzieja ingerencji angielskiej spełzła, a istnienie Polski wogóle dla społeczeństwa wielkobrytańskgo, angażującego się już „wszechświatowo“ było nadal, jak przez cały koniec wieku 18-go, czemś najzupełniej obojętnem. Tem też silniej na tle tej obojętności, zresztą egoizmem racji stanu nieco wytłumaczonej a zupełną bezsiłą i odosobnieniem mocarstwowem oraz niepopularnością ministerjum w kraju nawet usprawiedliwionem, odbijają się mocne głosy Dublińczyków Sheridana i Burkego, winszującego tak serdecznie królowi Stanisławowi nowej konstytucji 3 Maja w słowach:

and to leave
A name which every wind to heaw'n bear
Which men to bell and Angeli jory to hear

lub mniej znane Mackintosha odczyty o „Prawie narodów i Polsce“. Tem silniejsze wrażenie wywołały jednakże jeżeli już nie same rozbiory, to bohaterskie akty ogólnonarodowego porywu przeciw pierwszym godzinom nakładania żelaznych ogniw łańcucha niewoli na naród, t. j. rok 1794 i powstanie ludowe Kościuszki. Podczas gdy olbrzymiej doniosłości wypadki indyjskie, amerykańskie, paryskie, musiały z konieczności absorbować uwagę, patrjotyzm, siły i energję całego narodu, postać Kościuszki działała magnetycznie na imaginację poetów. Pobyt polskiego bohatera w r. 1794 w Londynie, jeszcze czarem osobistym z jego czystej duszy promieniejącym wrażenie to spotęgował. I temu to Kościuszce oddają całe swe serce dwaj poeci z końca 18 wieku, z których jeden umarł młodo, dając literaturze świata jedną z najpiękniejszych kart, drugi doczekał się późnej starości i powtórnego zerwania się z ziemi powalonego niegdyś Sarmackiego olbrzyma, co wedle słów starej kroniki angielskiej *totum mundum ab irruptionibus barbarorum praestitit.*

John Keats, Thomas Campbell i Thomas Moore mniej-więcej w tym samym czasie zajmują się z miłością i wielko-

dusznością sprawą polską. Stary Campbell najwcześniej. I on to nawiązuje tę nić, przerwaną dwoma wiekami obojętności od nazwisk Webstera, Sucklinga, Szekspira i Miltona. Rokokowy poeta już atoli romantycznością owiany, mając lat 21, pisze długi poemat o Rozkoszach Nadziei [1]), gdzie w mocnych słowach retorycznie rozlewnego patosu staje gorąco w obronie Polski i... Indyj. Kościuszko jest mu całem streszczeniem, pełnym, czystym symbolem zagrożonej na całym globie wolności ludów i wolności człowieka...

Hope for a season bade the world farewell
And Freedom shrieked, when Kosciuszko fell
(Nadzieja światu przestała być wróżką.
I wolność jękła, kiedy padł Kościuszko).

Ten sam Campbell z czasem staje się poetą narodowym w wielkim stylu. Jego wiersze patrjotyczne: „Uświęcona Ziemia", „Bitwa na Bałtyku" oraz słynny „*Ye marinenr of England*" do dziś dnia deklamują się we wszystkich szkołach angielskich. W sędziwym już wieku na wieść o powstaniu Listopadowem pisze dostojny bard szkocki kolejno trzy ody ekcsytujące, wzburzone, pełne błyskawic gniewu i patosu oburzenia, dla dzisiejszego czytelnika może już rozwlekłe swym dydaktyzmem, wyblakłe w kolorze i w tonie swych słów, w owych czasach wywierające wrażenie nieporównane [1]).

Drugi chronologicznie, Tomasz Moore (gościnny gospodarz Niemcewicza) twórca Lalli Roockh i Melodyj Irlandzkich, liryk wszechświatowej sławy, daje dwukrotnie upust swym uczuciom w utworach raczej satyrycznych, tuż po Kongresie Wiedeńskim pisanych. W wierszowanych listach p. t. „*Fudge Family in Paris*" wyszydza Anglików, zapełniających Paryż restauracyjny po pogromie Korsykańskiego Tytana i zamurowaniu żywcem żywej Polski, daje obraz (7-my list) uczty w lodowym Pałacu w Palmyrze północnej, gdzie ucztują despoci i gdzie po jednym promieniu wpadającego nagle słońca topnieje i rozpada się cały ten gmach z lodu. W innym zaś utworze w *Fables for the Holy Alliance*—„Bajkach o Świętem Przymierzu" jest również kilka

---

[1]) 1799 „*Pleasures of Hope*" biografja L. Allinghmana 1890 i Pamiętnik, wydanie Reddinga 2 tomy 1859.

[1]) Trzecia z tych ód poświęcona Burdettowi za płomienną mowę w Izbie Gmin 7 sierpnia 1832 r.

mocnych ustępów, z których jeden zyskał nawet popularność i nieraz bywał cytowany.

Największym jednak zaszczytem dla naszej dumy narodowej, najnieśmiertelniejszym wieńcem laurowym złożonym na sarkofagu polskiego bohaterstwa jest wiersz trzeciego z tych czasów poety, Johna Keatsa. Zmarły w r. 1821 na suchoty, poeta poetów, najszczytniejszy, najsferyczniejszy duch wśród tej najwytworniejszej elity ludzkiej, jaką jest bezsprzecznie grupa poetów angielskich z początku 19 wieku, nie zajmował się wogóle ni polityką, ni walkami narodów, ni bohaterami czasów, ni temi olbrzymiemi przemianami, jakie wówczas przeżywała Europa. Zagłębiony jeno nabożnie w kontemplacjach Piękna dla samego piękna, oddzielony od życia zimnym murem marmurowej obojętności, rzeźbiąc i cyzelując z rafinadą nigdy już przez nikogo niedościgłą swe alegoryczne reljefy Helleńskiej mitologji i stworzywszy sobie na krótki życia okres kunsztownie skomponowany świat li tylko poetyckich miraży, raz tylko, raz jedyny zstąpił z tego wytwornego minaretu z kości słoniowej na ziemię pospolitych ludzi, raz tylko wymówił nazwisko współczesnego mu śmiertelnika, to jest imię Kościuszki, w sonecie uznanym przez krytykę za jeden z najdrogocenniejszych klejnotów angielskiego skarbca.

TO KOSCIUSZKO.

Good Kosciuszko, thy great name alone
Is a full harvest whence to reap high feeling;
It comes upon us like the glorious pealing
Of the wide spheres an everlasting tone
And now it tells me, that in worlds unknown,
The names of heroes, burst from clouds concealing,
And change to harmonies, forever stealing
Throug cleudless blue, and roud each silver throne
It tells me too, that on a happy day
When some good spirit walks upon the earth
Thy name with Alfred's, and the great of yore
Gently commingling gives tremendous birth
To a lond hymn, that sounds far away
To where great God lives for evermore!

J. Keats (Sonets XVI).

Oxford Edition 1910. By H. Buxton Forman.

DO KOŚCIUSZKI. (Tłom. A. Langego).

Cny Kościuszko, już samo wielkie imię twoje
Żniwem jest, gdzie wzruszeni żęlibyśmy kłosy:

Słyszym je, jako chwałą rozdzwonione głosy
Sfer, co melodją wieczną biją w nieb podwoje.

Oto szepcze mi duch, że w nieznanych regjonach,
Za chmurami imiona błyszczą bohaterów,
Na zawsze utajone wśród czystych eterów:
Każde, na swoich srebrnych zasiadając tronach.

W błękicie trwa, aż oto dzień promieniejący,
Gdy na ziemię zestąpią dobre genijusze,
Imię twoje z Alfredem, oraz wielkie dusze

Dni dawnych — zlane w jedność — hymn przerażający
Zagrzmią, co huczeć będzie w nieskończone dale,
Aż tam gdzie Bóg przebywa w wiekuistej chwale.

Ten to *poeta maximus*, uczczony przez Shelley'a w hymnie „Adonais", uwielbiany przez Byrona jako *„inspired by th Titans"*, który w pierwszym wierszu Endymiona stabilizuje dekalog sztuki dla sztuki w słowach: *„A thing of beauty is a joy for ever"*, ten niezłomny książe najdoskonalszej formy i najsubtelniejszy myśliciel w czarownych niedostępnych regjonach czystej, hellenistycznej mistyki, jednego tylko ze współczesnych sobie uznał za godnego wyróżnienia, t. j. naszego Naczelnika, Kościuszkę.

Temi to trzema imionami Campbella, Moora i Keatsa chlubi się na początku wieku lista naszych przyjaciół literackich w światowładnym Albjonie, coprawda odtąd nie wykazująca pośród siebie tak wielkich nazwisk, jak piewca Lalli Rockh lub Ariel motyloskrzydły liryki angielskiej. Pod każdym jednakże względem zasługują i oni, aby dziś wyrwać ich z toni niepamięci.

Jest więc w tej liście 90-letni *grand old-man* Samuel Roggers, protektor Sheridana, Byrona i naszego Chopina (nawiasem mówiąc bez litości skrytykowanego po swoim koncercie w Londynie przez osławionego krytyka Dawidsohna, „rżnącego" również bez litości chrześcijańskiej kompozytora Wagnera w imię interesu semickich kompozytorów: Meyerbeera, Halevyego, Mendelsohna). Poeta ten i piewca jeszcze przed Campbella „Rozkoszami nadziei" wydanych „Rozkoszy Pamięci" (1792) był jednym z założycieli i długotrwałym prezesem Towarzystwa „Friends of Poland". Jest dalej Joanna Potter, autorka przezacnie sentymentalnej powieści „Thaddeus of Warsaw", mającej aż 22 wydań, czterotomowej, ozdobionej kopersztychem Coswaya

(ed. 1803) tak popularnej, jak ongiś pierwszy romans o Polsce Roberta Greena. Jest młody Atwood (de Bosco) z Harboorn pod Birmingham, tłumacz Mazurka Dąbrowskiego i autor strzelistych artykułów udowadniających, że „jeszcze Polska nie zginęła, póki Anglja żyje“. Nie trzeba też przepomnieć, że nie komu innemu, jak W. Wordsworthowi przypisywany jest znany wiersz o księciu Romanie Sanguszce...

This done Sanguszko fare thec well
The fatal die is cast
Heroic Exiles hope is past.
Extend no hand to loose his chain
No mercy lo the Pole?
Alone on foot he drays fifh pain
The irons pierce his soule...

Przypisywanie tego wiersza bardzo płodnemu poecie ze Szkoły jezior możnaby stwierdzić lub obalić po przeglądnięciu prac o nim Sutherlanda, Myersa, Knighta oraz definitywnej kompletnej edycji Morleya z r. 1888. Jest dalej słynny J. Fenimore Cooper, ten umiłowany przyjaciel każdego z nas z chłopięcych lat, niestrudzony opowiadacz niedoli czerwonoskórych i męstwa Indjan z Savanny, który przywędrowawszy z Ameryki, podróżując po Europie, po Niemczech, właśnie w r. 1848 ma następnie w swych *Gleanwings in Europe* sposobność natrącania o sprawy polskie, o ruch 1846 r. I z sympatją wyraża się o białych „Ostatnich Mohikanach“ republikańskiej wolności. Trzeba tu dalej zaliczyć znakomitego pisarza i znanego radykalnego polityka W. Savage Landora, który po jednej z mów naszego niestrudzonego parlamentarnego rzecznika, lorda Dudley-Stuarta, *speech*'u w obronie niefortunnej kampanji jenerała Chrzanowskiego we Włoszech pisze list publiczny do pism londyńskich pełen gorących słów o Polakach i polskim rycerskim animuszu.

Na specjalną jednakże wdzięczność i pamięć z naszej strony zasługuje jeden z pisarzów angielskich, w którego szczupłej spuściznie poetyckiej prawdopodobnie nie znajduje się coś ważniejszego o Polsce, który atoli niespożyte położył wobec nas zasługi, jako krasomówca w Izbie Gmin, kilkakrotnie bardzo stanowczo ujmując się za nami i widmo Polski jako duch Banka wywołując w pierwszym aeropagu świata. Szlachetny Ryszard

Moncton Milnes, pierwszy lord Houghton, bogaty obywatel z Yorkshire należy do tych typów czystej rasy angielskiej, których życie samo zdaje się być poematem dobrej woli, dobroci, dobroczynności. Opisał je też T. W. Reid w monografji specjalnej (London 1890). Przemawianie w Izbie, na *meeting*'ach, w parkach, przy każdej sposobności, zawsze w obronie katolików, kobiet i Polski uczyniło zeń postać najszlachetniejszego i tylko w Anglji częstego i popularnego monomana swych doktryn i zyskało ze strony syczącego antropofaga i potsdamofila Carlyla epitet: *perpetual preside of the heaven and hell amalgamation society*. Uporne zaś bronienie Polaków specjalnie jako propugnaculum kultury zachodniej przed zalewem barbarzyństwa wywołało nań ze strony grupy neotorysów reakcję w formie powieściowego paszkwilu jedynego w Parlamencie Angielskim obrońcy polityki Mikołajewskiej wobec Polaków podczas debat dnia 22 Marca 1849, t. j. lorda Beaconsfielda recte d'Izraelego. Jedyny to brudny intruz w świecie polityków angielskich, który opisał szlachetnego idealistę i niezmordowanego rycerza przegranej sprawy polskiej w szumowinie beletrystycznej p. t. *Tancred or The New Cruisade* (1848 r.) gdzie też z całą swobodą szulera, który wygrał wielki los na loterji politycznej, stawia poraz pierwszy (przed Nordauami i Herzlami) sjonistyczny program pasożytującego na narodach nacjonalizmu żydowskiego. Przezacnej pamięci poeta i par Anglji lord Houghton zwany „apostołem z Cambridge", przyjaciel Tennysona, Montalamberta oraz całej setki biednych emigrantów Polaków i biograf polonofila Keatsa oszkalowany jest i ośmieszony w tej elukubracji bezecnego szarlatana imperjalizmu pod nazwiskiem Vavasoura.

Pozostaje nam jeszcze przejść do naszych współczesnych i starać się wynaleźć jakieś ślady zainteresowania się polskością w bieżącej produkcji. Znajdą się tu rzeczy całkiem przypadkowe, raczej dyletanckie, pomierne i nie mające często jakichkolwiek pretensyj do literackiej trwałej wartości. Zaregestrować i te jednakże należy i wpisać do inwentarza objawów sympatycznych. Istnieje tedy nowela o wypadkach 63 roku Mansfielda: *A letter day*. Niedawną rewolucję opisuje Seton Merriman w *„The Vultures"*: „Sępy". Jest M. E. Carra: *A knight of Poland*, Mabel Collins: *The Prettiest woman of Warsaw*. O Galicji są Doroty Gerard (de Longard): *Galician Sketches*

i Menie Murriel Dowie: *Maid in Carpathes.* Z utworów zaś mających wysoką wartość literacką i poza sympatją dla polskości jeszcze i wyjątkowo oryginalnych wynotować trzeba Bernarda Shawa „Messaliance" i Chrystophera Saint Johna „Macrina". Obie sztuki sceniczne z ostatnich czasów dają niezwykle bohaterskie typy Polek jakby w myśl znanego aforyzmu Balzaca, że w Polsce kobiety pod wszystkiemi względami ciekawsze są od mężczyzn. Niepoprawny Shaw opowiada w najbardziej arogancki i obrażający Anglików sposób ekscentryczną przygodę polskiej cyrkówki, atletki, sport-lady i lotniczki Liny Szczepanowskiej; mniej znany zaś Saint John koncypuje misterjum z życia świętej Polki, sławnej Bazyljanki matki Makryny Mieczysławskiej, która w roku 1840 nawraca swoją świętością pod Płockiem pułkownika Uszakowa. Jakiemi drogami autor Candidy doszedł do tego typu Polki, która jest ostatnim wyrazem siły fizycznej, muskularności w zasadach i wierzeniach, trzeźwości światopoglądu, wytrwałości, hartu i konsekwencji, wprost synonimem i absolutem zdrowia ciała i duszy w zestawieniu z gnuśnem i z-erotyzowanem do szpiku kości pacierzowej środowiskiem Tarletonów, to pozostanie narazie taką zagadką, jaką jest również wybór matki Makryny na heroinę mistycznego melodramatu, z którym trupa Pioneer - Plays objechała kilka miast angielskich, wabiąc publiczność głównie chyba aktem, w którym znana w emigracji postać odprawia na scenie... obrzęd mszy świętej po łacinie. Shawowi dała jego bohaterka sposobność do powiedzenia kilku bardzo pochlebnych zdań o bohaterskiej wytrzymałości i patrjotycznym oporze Polaków.

Aby dopełnić już obrazu, a raczej szkicu o tematach polskich nie jeno w literaturze, a już wogóle w piśmiennictwie angielskiem, należy tu jeszcze ujawnić, że dwie poważne prace pierwszorzędnej wagi drukował na początku XIX-go wieku przedewszystkiem Edinburgh-Rewiew za redakcji Jeffrego, t. j. w styczniowym numerze r. 1814 rzecz o upadku Polski lorda Brughama, (co zasadniczo wpłynęło na znaną deklarację lorda Castlereagh'a z dn. 12 stycznia 1815 r.), oraz w listopadowym z r. 1822 długie studjum J. Mackintosha. Czcigodny ten stary miesięcznik whigoski zachował też dla kwestji polskiej zawsze i stale szczerą sympatję, czego nie można powiedzieć np. o *Timesach*, które znowuż za redakcji grupy żydowskiej z Dawidsohnami na czele, t. j. w r. 1848 formalnie szczuły na Po-

laków opinję publiczną, właśnie oburzoną na wiarołomne i nikczemne postępowanie Prus. Badał oczywiście cokolwiek dzieje Polski dla swego portretu Fryderyka II Macaulay, o czem dowiedzieć się można z wyróżnionej zaszczytnie monografji Bogdanieckiego (Life of Babincton Maculay, Magdeburg 1862); badał je również i kontynuator Macaulaya, lord Mahon earl of Stanhope. Wychodziły też w połowie 19-go wieku w Anglji sporadycznie i pisma w całości Polsce poświęcone, jak w 32-im roku Polonia, w 44-ym Hull-Polish-Record. Informował w tych czasach angielską prasę systematycznie o nas Walerjan Skorobohaty Krasiński, uczony polski od r. 1831 w Anglji osiadły, poufny gość i konfident wielkiego przyjaciela Polaków, stryja królowej Wiktorji, księcia Sussex, twórcy muzeum pamiątek powstańczych polskich oraz bogatej bibljoteki polskich druków różnowierczych, przeniesionej z dawnego Kensington-Palace do jednego z prywatnych pałaców królewskich. Pióra Krasińskiego są dwie bardzo cenne broszury polityczne, t. j. Panslawism and Germanism (1848) oraz „Rzecz o Słowianach Bałkańskich“ (Edymburg 1853). Równocześnie omal z Walerjanem Krasińskim również na wielki dług wdzięczności tak ze strony Anglji jak i Polski zapracowują sobie dwaj inni znakomici Polacy, t. j. dr. Bronisław Jazdowski i prof. Jerzy Ręczyński. Pierwszy, urodzony w Aberdeen, odbywa jako lekarz w randze pułkownika wielkie kampanje w Indjach (1863 powstanie), w Egipcie (r. 1882), w Południowej Afryce (1866), a wreszcie ozdobiony najwyższemi orderami i szacunkiem najwyższych sfer wojskowych idzie na emeryturę i jako pensjonista staje na czele Tow. Liter. *Friends of Poland.* W tym charakterze roztacza najczulszą opiekę nad emigrantami i informuje prasę angielską o niedolach polskich. Drugi, Jerzy Ręczyński, człowiek z r. 1831, który pamiętnej Nocy Listopadowej stoi na warcie przy Belwederze, jako emigrant dosługuje się najwyższych rang wojskowych w wojnie krymskiej, poczem osiada w Irlandji jako profesor fortyfikacji w szkole wojskowej w Foyley College (Londonderry) i tu wydaje cały szereg książek pod sympatycznym pseudonimem „Lord Jerzy z Ludwinowa“. Obok prac z dziedziny archeologji i militarystyki drukuje poemat wierszem i prozą nieco dziwaczny i kuriosalny p. t.: *The Valley of Death, or the famous charge of the British Light Cavalry 1854 at the Battle of Balaclava, extractea*

from the original poem written in the polisch language. Londoderry 1856.

Ciekawy spraw polskich współczesny nam Anglik cośkolwiek szczegółowiej jeszcze dowiedzieć się może z niewielu coprawda książek, ale w każdym bądź razie z L. N. Normana, szanownego redaktora amerykańskiego Rewiew of Rewiews: *Poland, the Knight among the Nations;* o dojrzałości kulturalnej naszych warstw górnych w 18 wieku przekonać się może z Nisbet Baina: *The làst King of Poland and his Contemporains* oraz z wydanego u Ma. Lurena w Chicago: *The Journal of Countes Krasinska*, *Grànd Mother of Victor Emanuel* i zestawić wrażenie z tych książek z sumą wiadomości zaczerpniętych z pamiętnikarskich dzieł tych czasów, jak np. pesymisty i ostrego krytyka Harris Malmesburego: „Diarjusza i Korespondencji" (ed. 1867), Wraxalla. *Memory of the Courts* (1800) i Pamiętników lady Craven (edit. Hugh Elliot 1868) O roku 1863 z wydanych przez T. Filipowicza w Paryżu u Le Soudiera: *Confidentional Correspondence of the British Governement, respecting the Insurection in Poland.* O różnowiercach polskich i Reformacji z pomnikowego dzieła wyżej wspomnianego Wal. Sk. Krasińskiego: *Historical Sketch of the rise, progress and decline of the Reformation in Poland,* aczkolwiek w r. 1840 wydanego, ale dotychczas nie przestarzałego, dalej z H. Daltona monografji „*Joannes a Lasco*" London 1882, G. W. Coke'a: „*Unitarianism in America*", Boston 1902, oraz licznych rozpraw o Socynjanach w londyńskim Theological Rewiew.

Pewne, nawet dość silne światło na życie duchowe w Polsce na przełomie wieku 19-go i w jego drugiej połowie rzucą ciekawemu tych spraw Anglikowi Sir Horacego Rumbolda: *Recollection of a diplomat* (London 1902), gdzie jest wiele szczegółów o obyczajowości dobrego towarzystwa w Polsce *á propos* niezapomnianej pamięci pani Calergis Muchanow i niektórych wybitnych osobistości polskich. Tu również zaliczyć trzeba J. K. Laughtona: *Memoir of the lite and correspondence of Henry Reeve* (London 1898), w której są listy Henryka Reeve'a, tyczące się jego przyjaciela z czasów genewskich, z r. 1829, Zygmunta Krasińskiego. Reeve, prototyp hr. Henryka w „Nieboskiej" (podobnie jak Angielka miss Henrietta Villan jest Elsinoą w Irydjonie, a poseł radykalny Handley Pankracym)

wywarł jak wiadomo wielki wpływ na Krasińskim, inspirując go w duchu konserwatywnym raczej i antydemagogicznym, sam zaś choć *whig* z czasem przeszedł do unionistów i należał niestety do najzacieklejszych wrogów Gladstona i nieszczęśliwej Irlandji. Stosunek obu tych wybitnych przedstawicieli i typów reprezentacyjnych swych narodów poznać można i opłaci się dokładnie z dwutomowej Korespondencji wydanej w r. 1902 w Paryżu z przedmową prof. Kallenbacha. Ażeby już doszczętnie i do dna wyczerpać posiadany skromny lamus informacyj trzeba tu jeszcze dodać, że w angielskim oryginale wyszły pierwotnie słynne Pamiętniki Beniowskiego w końcu 18-go wieku i mniej znane z końca 19-go Pamiętniki Heleny Modrzejewskiej, wielkiej artystki i przybranej obywatelki, rozgłośną sławą szczycącej się w Stanach Zjednoczonych; o drugiej również w Ameryce popularnej postaci bojownika o wolność Kaz. Pulaskiego istnieje wyczerpująca notata J. Sparksa w American Biography. Serja II. Tom IV. O współczesnych stosunkach handlowych w Polsce, a ściślej w Galicji są bardzo interesujące szczegóły w E. Pratta: „*The Organisation of Agriculture*" London, Murray. O współczesnej nauce w Polsce informuje Anglję Krakowska Akademja Umiejętności w dorocznym Catalogue of Polisch Scientific Litterature... W ostatnich czasach zasługuje jeszcze na uwagę krótki zarys dziejów Polski lorda Eversley, nam przychylny, bardzo pobieżny skrót historyczny Philippsa i bardzo nam niechętna historja Polski prof. Morphilla, wreszcie J. H. Harleya „Poland past and present". Do informacyjnych prac piór polskich L. Litwinskiego i J. Holewinskiego życzliwe wstępy napisali lord Bryce i G. P. Gooch. Również informacyjne prace piszą nasi politycy z obozu ententowego p. p. Erazm Piltz, R. Dmowski i St. Kozicki, a z obozu przywiązującego Polskę do rydwanu imperjalizmu pangermańskiego p. p. Zaleski i przyszły polski Disraeli... lord Askenaze.

Takie zaś książki jak Byrona „Mazepa", Ouidy (Louisy de la Ramée) „Wanda" (1888) lub „Polonius" Edwarda Fitzgeralda (1852) poza czysto fonetycznem brzmieniem tytułów z polskością nie mają nic wspólnego.

I to byłoby już mniej więcej wszystko.

Jest teraz rzeczą specjalistów i władnących dobrze językiem Miltona i Macaulaya uzupełnić w poszczególnych dziedzinach tę garść luźnych, z morza zapomnienia i bagatelizowania wyło-

wionych notatek i informacyj. Celem ich zszeregowania było jedynie wykazać szczere chęci, dobrą wolę i często serdeczne zainteresowanie się ze strony intelektualnych reprezentantów wszechpotężnego, może i grzesznego, ale i w swych grzechach imponującego szczepu anglosaskiego. Są między tymi reprezentantami jak widzieliśmy nazwiska Szekspira i Keatsa t. j. obywateli globu. Okazało się nadto, że w dwuch momentach dziejowych, t. j. w początku wieku 16-go i 19-go, t. j. w pełni renesansu i w pełni romantyzmu angielskiego, w dobach Elżbiety i przed Wiktorją każdy rodak Falstaffa czy Bulla mógł sobie wyrobić już z literatury pewne, a co ważniejsze przedewszystkiem sympatyczne o nas wyobrażenie; w każdym razie zafrapowany, czy zaciekawiony jakimś szczegółem o nowej nieznanej europejskiej nacji wyczytanym w beletrystyce czy kronice mógł już nawet przybliżone o tamtoczesnej Polsce mieć pojęcie.

O współczesnym nam z r. 1915 Angielczyku powiedziećby już tego nie można. Emigracji bowiem żadnej już niema. Resztki rodzin polskich jak Łubieńscy, Korzeniowscy, Trębiccy, Lach-Szyrmy zanglizowały się zupełnie. Książek zaś traktujących o Polsce celowo, informujących ogólnie, wyczerpująco zupełnie niema oraz niema nadziei, aby wnet pojawiły się w księgarniach, w gabinetach posłów, na biurkach dyplomatów, w bibljotekach działaczy. Przeciętny shopkeeper dzisiejszy, wyborca, obywatel, czytelnik gazet wiedział o Polsce co najwyżej to, że jesteśmy jeno gatunkiem, odmianą, parafrazą Irlandji, równie jak ona uciążliwą, bolesną i nieodłączną od sprzymierzonej z Anglją Rosji, narodem również dziedzicznie obciążonym katolicyzmem, czyli również nieuleczalnie inklinującym ku *popery*, nadto narodem nie zaliczającym się do *money-making-peoples*, narodem również przepełnionym próżniakami, niezdarnymi fantastami, *laoferami*, gadułami i pijaczynami jak jego *Irish-many*, narodem również od czasu do czasu zdobywającym się na akty *heroic-anarchy*, a w całych swych warstwach niezdolnym do *stubborn energy* czy do *strenous life*, czy do *bussinesu* nowożytnego. Tak nas zresztą malują Anglikom przy każdej sposobności wszyscy „nasi najserdeczniejsi“. Przeciętny Sam czy Tommy Bull przypuszcza więc, że w Polsce, podobnie jak na szmaragdowej wyspie Home Rule dosłowny, zmieniłby się na Rome-Rule, t. j. w całkowite poddaństwo zniewelowanego i zdemo-

kratyzowanego przez alfabet narodu klerowi i „przepotężnej (?) ultramontanji“, że zatem te rządy, które stosowały do Polaków dotychczas opatentowane w Berlinie systemy represyj, exterminacyj, divide et impera, unifikacyj, p-rusyfikacyj mają dla usprawiedliwienia siebie przed Bogiem i historją ostatecznie te same argumenta, jakich pod wezwaniem Kulturkampfu używają potocznie i na święta oranżemeni i hakatyści dublińscy wobec drugiej niesfornej katoliczki - rewolucjonistki Irlandji. Posiew panteutońskich imperjalistycznych idei oraz cień-urok jaki padł na Anglję z żelaznej postaci King-makera a raczej Kaiser-makera Bismarka zasadność i praktyczną niewzruszalność tych powierzchownych poglądów jeszcze utrwaliły i wzmocniły; „kulturalność“ zaś i „progressywność“ takich kłamliwych wierzeń i komunałów wytłumaczyła i wparła shopkeeperowi międzynarodowa żydowska mafja „liberalnej“ prasy. Nawet Anglik warstwy oświeconej w ostatniem pokoleniu przechodził nad problemem polskim do porządku dziennego, nie poświęcając mu literalnie ani jednej godziny w myślach swego długiego i hygjenicznego żywota. Różność ideałów religijnych angielskich i polskich, odmienny wielowiekowy stosunek do Francji w ogólności, a do Napoleonizmu w szczególe, zmieniony w drugiej połowie 19-go wieku stosunek do Rosji i Austrji w Anglji dalej znana „wyłączność wyspiarska“ i ta pewność wyspiarska, że świat „zaczyna się na protoplazmie a kończy na Angliku“, tę absolutną obojętność Wszechmocnej Anglji *beatae possidentis* dla wynędzniałej, słabej, parjatycznej, masą żydowską zabrudzonej Polski oczywiście jeszcze pogłębiły i spotęgowały. Aż i wreszcie doszło do tego, że wnukowie tych familij, które za pierwszych lat Wiktorji urządzały słynne bale polskie, tych patroness i marchioness, które najserdeczniej ongiś gościły w swych pałacach polskich exulantów, tych familij, które Fryderyka Hohenzollerna znały jeszcze nie z księgi Carlyla, jako bohatera do naśladowania, ale ze sztychu Hogartha, t. j. jako łotra i szubienicznika, grającego w piekle na flecie... że wnukowie tych dziadów, którzy jedną z ulic w centrum Londynu nazwali Polland-Street a tych babek, które klęczały przed fortepianem, na którym grał Chopin... że wnukowie tych księżniczek Sommerset i Sutherland, które deklamowały ongiś wiersze o Kościuszce i Sanguszce z batystowemi chusteczkami przy załzawionych oczach... że wnukowie

zaledwie tego pokolenia romantycznego zaczęli już identyfikować Polaków z... żydami wobec tego, że i jednych i drugich widywali tylko ze swych pędzących motorcarów gdzieś w odległych kątach Whitechapell... na Miszuries czy na Hundsditsch...

I to teraz musi się zmienić.

Wojna europejska i pryncypalny w niej udział Wielkiej Brytanji kwestję polską wyciągają na jaśń dzienną z otchłani *dreadful night* obojętności Europy. Anglja dzisiejsza przedewszystkiem jest w wojnie z tym wrogiem nieubłaganym a potężnym, do którego raptownego wzrostu swym przyjaznym stosunkiem podczas 7-letniej wojny najwalniej, najfundamentniej się przyczyniła. Anglja dzisiejsza przedewszystkiem jest w wojnie z tym wrogiem zażartym i bezecnym, którego pierwszemu rozrostowi, zmuskularnieniu, porostowi w pierze i zasmakowaniu w metafizycznie uprawnionym rabunku i usystemizowanym bandytyzmie niestety sama dopomogła w latach rozbiorów Polski, w latach przykuwania do skały prometejskiego Korsykanina i dopuszczania do jego wątroby czarnego sępa wygłodniałych Prus. Anglja dzisiejsza przedewszystkiem jest w wojnie z tym wrogiem, którego od drugiej połowy 19-go wieku wielbić, podziwiać, adorować i możliwie naśladować jako najwytrawniejszego „profesora energji" skrytobójczej i przeniewierczej nauczył ją prof. Teufelsdröck: Carlyle i szereg epigonów Teufeldsdrocka: Hutton, dr. Gaarnett, Masson, Norton, Conway, Leslie Stephen, Kingsley, Powell, ba, nawet Ruskin. Anglja dzisiejsza jest przedewszystkiem w wojnie z tym plugawym i gruboskórym wrogiem, którego bezczelność imperjalistyczną i głód strywializowania i zordynarnienia świata utuczyła jej własna dyplomacja stylu germańskiego, Metternichowsko - Nesselrodowo - Bismarkowskiej szkoły. I dlatego dzisiejsza Anglja będzie zmuszoną już w czasie obecnej wojny poddać wielkiemu i bezapelacyjnemu procesowi rewizjonistycznemu wszystkie swe idee i ideały przewodnie od stulecia, a ściśle mówiąc z ostatnich lat 80, jako zbyt zalatujące wonią berlińskiej kordegardy, a zatem nie licujące z atmosferą najstarszego w Europie parlamentaryzmu i to parlamentaryzmu gentlemanów.

I oto istnieją już dowody na to, że znacznie nawet przed wojną „ideały" te zaczęto poddawać nieubłaganej dezynfekcji. Nawet w polskiem tłumaczeniu mamy już jedną z najszlachet-

niejszych i najmądrzejszych książek w tej materji t. j. Johna Robertsona: Humanistów Nowożytnych (1911 r. tłumaczoną poprawnie i na polski). Miejmy tę nadzieję, że wojna wszechświatowa w tym stylu moralnym książek porodzi jeszcze wiele i że te wszystkie książki z czasem myśl polityczną angielską znowu odczyszczą, uzdrowią i z powrotem zanglizują. Już układ stosunku z Boerami, już wszczęte przez liberalny gabinet reformy socjalne, idące z troską i pieczołowitością głęboko w niedolę dolnych warstw, już energiczna żelazna konsekwencja w przeprowadzaniu kolejnych faz mozolnego dzieła usamowolnienia Irlandji zwiastowały miłośnikom Anglji wielką przemianę i upragniony nawrót do starej, prawej, sprawiedliwej, racjonalnie humanitarnej taktyki politycznej, ugruntowanej nieśmiertelnie w takich dziełach arcy - angielskich, jak E. Burkego „Rozmyślania", jak Godwina „Sprawiedliwość polityczna", jak Stuarta Milla „Wolność" i w tylu, tylu innych. Wojna dokona reszty przeobrażeń w sumieniu politycznej Anglji. Zdaje się, że obecnie we wszystkich kierunkach, we wszystkich dziedzinach, na całej linji wracają te stare plemienne popędy do niewzruszonej prawości, stare rasowe tęsknoty do charakterów wzniośle humanitarnych, stare albjońskie manjery czystych rąk w rządach wewnętrznych i w stosunkach międzynarodowych. I zdaje się, że takie mętne źródła natchnień politycznych z czasów supremacji duchowej pruskich apostołów masakry i kaznodziejów ucisku jak Frouda: „Żywot Beaconsfielda" lub Karola Lowa: „Żywot Bismarka" z przed lat trzydziestu pochowano już obecnie wraz z elukubracjami starego skorpjona Carlyla gdzieś w najciemniejsze kąty szaf bibljotecznych, tam, gdzie leżą roczniki gadzinowych pism oranżystowskich i bezecne broszury ulstermanów wyzywających zachryple biedną obszarpaną szmaragdo-oką... jawnogrzesznicę Irlandzką.

Nam w Polsce z tych już ujawnionych przeobrażeń jeno radować i nadzieją żywić się godzi. Może w miejsce tych książek przelicznych, opowiadających Anglikom na różne tony historjozoficzne jak to cudownie i czarodziejsko na drożdżach zbrodni i wiarołomstwa „powstało cesarstwo niemieckie", może w miejsce tych książek, z sofistyczną wirtuozją preparowanych znajdą się teraz skromne, proste, popularne broszury o tem, jak to upadała i konała Republika, która zbyt dosłownie wcielała w praktykę akty konstytucyjnego liberalizmu, Pań-

stwo, które gościnnie otworzywszy wrota inowierczym Szkotom, pozwoliło, że temi samemi wrotami weszły z czasem hordy dolnoreńskiego, z całej Europy pędzonego żydostwa. Może w miejsce przelicznych dzieł grubotomowych, zarażonych dżumą normando - brandeburskich doktryn i imperatywów wezmą Anglicy współcześni teraz czasem do ręki tom Keatsa *the golden book of Beauty*, stary zeszyt „Edymburskiego Rewiewu" czy sprawozdania z Izby Gmin z tych lat, kiedy przemawiali w niej Sheridan lub S. Mill, Milnes lub Dudley-Stuart, O'Connel lub czcinajgodniejszy Gladstone. I może w zmienionej sytuacji, a w odpowiednim momencie przypadnie któremu z następców Burkego czy Dudley-Stuarta w naszej sprawie powtórzyć Gladstonowskie: hands off!

I może też wreszcie przypomną sobie w ten sposób znowu do wczoraj oddani tylko sportom rodacy Szekspira o istnieniu tego „smal nation", który z punktu widzenia industrjalnej ekspansji *shopkeepra* jest zapewne tylko jednym z licznych małych „rynków", ale że z takiego to właśnie małego rynku mógł wyjść ongiś w świat szeroki i „młot na Saracenów" jak nazwał Sobieskiego John Milton lub drugi „Alfred Wielki", jak nazwał Kościuszkę John Keats.

ARMENJA I ORMJANIE.

Praca z 1914 r.

I.

W upornem poszukiwaniu na mapie świata narodów również jak nasz pokaranych przez Przeznaczenie, w poszukiwaniu, mającem na celu wyśledzenie najgłębszych istotnych organicznych przyczyn utraconych wolności i wybadanie jak też w tych warunkach inne niewolnicze narody sobie radzą, natrafia się na plemię znacznie godniejsze jeszcze sympatji od irlandczyków, bardziej zasługujące na szacunek niż rumuni, więcej interesujące jak hindusi a od tych wszystkich i od nas zarazem znacznie nieszczęśliwsze. Synowie tego narodu żyją dosłownie w rozproszeniu i rozsypce na całej kuli ziemskiej jako odwieczni emigranci i w Bombaju i w Marsylji, Kalkucie, Moskwie, Kairze, Singapore, Lwowie i Aleksandrji, w Kaszmirze i w Archangielsku. Od niepamiętnych czasów najdalsze generacje ich protoplastów nie widziały już ojczyzny swojej: dzisiejsi zaskoczeni nagłem pytaniem nie umieliby jej może nawet na mapie pokazać. A jednak odrębność plemienną mocno odczuwają, a znamiona swej wysoce oryginalnej różności przechowują trwale i żywotnie, na pierwszy rzut oka już odróżniający się od otoczenia wśród którego żyć im przyszło od kilkunastu już pokoleń.

Z nami specjalnie dzieci tego narodu weszły już w kontakt i pokumały się od zarania naszych dziejów. Kiedy ich państwo historyczne padało po długowiekowym wspaniałym, omal mocarstwowym bycie, nasze dopiero wyłaniało się z pomroków dzielnicowej chłopskiej egzystencji, dopiero krystalizowało w jedność indywidualną i organizowało pod umiejętną ręką ostatniego Piasta. Na czasy naszego Łokietka przypada ich Poniatowski z domu Lusignan, nieszczęsny Leon VI. Znacznie

jednakże przed upadkiem Królestwa Armenji, t. j. przed 1374-ym rokiem, ormjanie znaleźli się u nas; w 12-ym wieku są już na Rusi Czerwonej, sprowadzeni do Wschodniej Galicji przez księcia Daniela Halickiego. Pierwszy rozbiór ich ojczyzny wyrzuca z kraju ojczystego olbrzymią emigrację, która z grudkami ziemi rodzinnej w jedwabnych woreczkach zaszytemi rozchodzi się po Południowej Rosji, Kaukazie, po kozaczczyźnie i w wielkiej partji omal 40 tysięcznej przechodzi do Polski. Odtąd co czas jakiś dopływa nowa fala wychodźctwa z Pontu do gościnnej Sarmacji. I trzeba z góry to zaznaczyć, że tutaj stają się ci „nieproszeni goście“ prawdziwą „solą ziemi“, żywiołem ze wszech miar pożądanym i korzystnym bo nietylko kulturalnie współtwórczym ale i narodowo najharmonijniej, najzgodniej zasymilowanym. Osiadają przeważnie w miastach i stają się gdzieniegdzie wprost zawiązkiem polskiego mieszczaństwa. Królewski Lwów to najpatrjotyczniejsze gniazdo polskości, które tyle przeszło burz historycznych i z każdej po tragicznych epizodach wychodziło nadal promieniejące swą kulturalnością i sarmackim animuszem wiele ze swego uroku ogniska cywilizacyjnego zawdzięcza ormjańskim przybyszom. Kamieniec Podolski ta dawna perła kastelów kresowych całą swą sławę ma od osiadłych tu armiaszków. Na wielojęzycznej Bukowinie oni byli i są stale propagatorami kulturalnej i światłej, a wytężonej polskości. W Galicji wogóle żywioł ormjański stał się czynnikiem twórczym pierwszej klasy tak w życiu politycznem, jak i społecznem, tak w przemyśle jak i w kulturalnej pracy. A wreszcie jak w całej Polsce, tak i w jej przeszłej i przyszłej stolicy w Warszawie, potomkowie wielkiego niegdyś narodu z nad Araxesu zapisali się pod każdym względem dodatnio i wszechstronnie. Walczyli już pod Grunwaldem i Warną protoplaści tych Abrahamowiczów, Aleksandrowiczów, Augustynowiczów, Abgarorowiczów, Agopsowiczów, Abakanowiczów. Z pośród nich to potem wyszli mężowie tak obywatelskim duchem jaśniejący i zasłużeni naszej kulturze i literaturze jak Małachowski, Minasowicz, Piramowicz, Bernatowicz, Jachowicz, Młodzianowski, Gregorowicz, Barącz, Teodorowicz. Zawsze czując się bez zastrzeżeń, bez zezowań i bez restrykcyj polakami, gente Armenji natione Poloni do czasu rozbioru Polski przechowali jeszcze rozmaite odrębności obyczajowe, a przedewszystkiem pielęgnowali język swój patrjarchalny. Od rozbiorów Polski zaczęli dopiero zaniedbywać i język i odrzucać ostat-

nie różniące cechy i zespalać się całkowicie, bez reszty *właśnie* z nieszczęśliwym narodem, który ich ongi przygarnął.

Pisze o nich szeroko i długo Wł. Smoleński w „Mieszczaństwie warszawskiem w końcu 18 wieku". Ale i z wielu innych książek i tomów może się w tej materji pouczyć każdy.

Ormjanie byli już autochtonami polskimi w 12-ym wieku. W 14 wieku przyszła z Cylicji (której nigdy nie należy mieszać z Silezją) do Polski druga fala szlachty ormjańskiej emigrującej przed muzułmanami. W 16 wieku mieli Ormjanie w swoich rękach handel z Lewantem i byli jedynym przeciwważnikiem, jedynym konkurentem już panoszącego się żydowstwa. Takie piękne miasta kresowe jak Żwaniec, Żółkiew, Lublin, Zamość, Brzeżany ich głównie wysokiej kulturze, bogactwu i dobremu smakowi zawdzięczają swe piękno architektoniczne.

Ormjanie bywali u nas zawsze najsolidniejszym i najlojalniejszym elementem państwowym; obsyłali Sejmy najrozważniejszymi i najuczciwszymi posłami; w służbie dyplomatycznej ze Wschodem, z Portą Ottomańską oddawali Rzeczypospolitej nieporównane usługi, o czem łatwo przekonać się można. Kroniki nie notują ani jednego zdrajcy renegata, warchoła, zrywacza Sejmów, targowiczanina. Historja literatury natomiast notuje wspaniałego humanistę Szymona Szymonowicza, świetnego pedagoga i duszę Komisji Edukacyjnej Piramowicza, dzieje wymowy notują takiego krasomówcę patrjotę jak arcybiskup Issakowicz, a nie da się też tak łatwo zapomnieć o komedjopisarzu Minasowiczu, ni o starym patrjarsze Zacharjasiewiczu. Z polityków galicyjskich piękną kartę w dzielnicowych dziejach mają Merunowicz, Abrahamowicz i najczcigodniejszy ksiądz arcybiskup Teodorowicz. Każdy zaś obywatel wolnej Polski z ochotą w swoim gabinecie umieściłby dzieła pędzla takich mistrzów jak Augustynowicz i Aksentowicz.

Obrządek ormjański jest także katolikos a msza ściśle zbliżona do t. z. mszy dominikańskiej. Bywali u nas królowie którzy specjalnie faworytowali Ormjan i to regenci doskonali jak Zygmunt Stary lub Jan III. Istnieje też hypoteza, że nie byłoby u nas kwestji żydowskiej, gdyby większy procent Ormjan był osiadł w miastach Rzeczypospolitej.

Dziś wszyscy ci Krzysztofowicze, Ustyanowicze, Moyseowicze, Paschalisy, Tarasowicze, Toroszewicze, Daniłowicze, Bohdanowicze, Rafałowicze nie różnią się już niczem od auto-

chtonów z nad Wisły, Dniestru, Warty i Niemna. Bardzo wielu odznaczyło się nawet w „mnożeniu polskości“, zapisało mocno i trwale w rocznikach dziejów i miast polskich, w gospodarstwie, w przemyśle, w organizacji polskości. Ormjanie nasi są tym idealnym elementem napływowym, z którym symbjoza polska udawała się od wieków znakomicie. Jako tacy w ostatnich latach powinni nas byli interesować specjalnie, skoro okazało się że inny żywioł napływowy, również od wieków między nami osiadły nadspodziewanie, nietylko zaprzestaje z nami solidaryzować się narodowo, ale uzyskawszy dla się godziwie i niegodziwie mocne podstawy bytu i gwarancje bezkarności, zaczyna nam we własnym domu stawać okoniem, ciosać kołki na głowie, a wreszcie nietylko rzuca nam w twarz brudnawą rękawicę swych bezecnych postulatów i pretensyj ale wszczyna z nami formalną wojnę domową, by w konsekwencji tejże zyskać możność podjudzania przeciw nam opinji publicznej w Europie. Już więc od dawna problem i sukces tak całkowitej bez zastrzeżeń asymilacji ormjan w Polsce interesował niejednego z nas, tembardziej skoro się wzięło pod uwagę, że w charakterze obojga narodów wschodnich są mimo rasowe różnice bezsprzeczne pewne analogje i punkty styczne.

Dziś Armenja i ormjanie interesują nas ze względów jeszcze innych. Właściwa ich ojczyzna geograficzna zmalała i skurczona rozdzielona między trzy państwa podobnie jak my, to jest między Rosję, Turcję i Persję stała się obecnie również terenem światowej wojny właśnie dwuch potęg rozbiorowych podobnie jak my. Położony między młotem a kowadłem, między Scyllą a Charybdą, naród ormjan tubylców sam słaby między dwiema potęgami, zdrowym instynktem samozachowawczym wiedziony, wybrał przedewszystkiem potęgę obdarzoną wszelkiemi zadatkami wielkiej przyszłości, zdolną do ewolucji, potęgę młodą, szczerą i prostą, gwarantującą nadto armeńczykom połączenie trzech zaborów w całość, przyłączenie zjednoliconego organizmu do Imperjum władnego i mogącego w danej chwili obronić przed najazdami barbarzyńców. Ormjanie oświadczyli się nietylko zasadniczo ale nawet entuzjastycznie za Rosją, ponieważ ta uwolni ich raz na zawsze tak od zmiennych powiewów kapryśnej anarchji perskiej a la l'Autriche, jak i od bezwzględnie represyjnego okrutnego systemu rządów tureckich a la maniere de Hohenzollern. Nadzieja skonsolidowania się

narodowego jako pierwszej fazy przekształceń, pierwszego etapu na drodze ku lepszej jaśniejszej przyszłości jako *conditio sine qua non* podziała na ormjan elektryzująco i fanatyzująco. Ufni w wyższość swej inteligencji, w siły swych mózgów, w równowagę swych charakterów, w żywotność swej miazgi, w karność swego gminu i w dobrą wolę chrześcijańskiego Imperjum, oświadczyli się jednogłośnie i gorąco po tej stronie gdzie walczy liberalna Anglja i demokratyczna Francja, gdzie Ormuzd ludzkości stanął przeciw jej Arymanowi t. j. Germanji.

Miejmy nadzieję mocną i krzepiącą, że wybór tych potrzykroć nieszczęśliwych armeńczyków był trafny, rozumny i szczęśliwy, a przy sposobności przypomnijmy sobie dlaczego nazywamy ich: potrzykroć nieszczęśliwymi.

II.

Dosłownie na kilkanaście dni przed wybuchem wojny koalicji europejskiej z „białymi ludożercami" wielkorządcą tureckiej Armenji mianowany został dziwnym zbiegiem okoliczności Polak hr. Leon Ostroróg, syn znanego emigranta, adjutanta generała Wł. Zamojskiego. Temu to zresztą bardzo młodemu wiceministrowi sprawiedliwości powierzono bardzo ważny posterunek z misją zamiany i złagodzenia ostrego kursu wobec Armeńczyków, opierając się na jego wysiłkach jako reorganizatora departamentu sprawiedliwości, kodyfikatora ustawodawstwa karnego, reformatora Szerisjatu i twórcę instytucji sędziów pokoju w Turcji. Niestety, mianowanie namiestnikiem Armenji Polaka, nawiasem mówiąc, paryżanina i członka Akademji paryskiej przyszło cokolwiek zapóźno. Hrabia Leon nie miał już czasu ani sposobności, by stwierdzić w praktyce, o ile to jest on dziedzicznie obciążony genjalnością swego prapradziada, wielkiego teoretyka i autora „Monumentum". Ormjanom z nad Eufratu i Tygru nie było snadź zapisanem doczekać się liberalnych i konstytucyjnych rządów, obiecywanych im tylokrotnie przez młodo-tureckich potentatów. Przechodzą Ormjanie w nowy okres historyczny, mając w pamięci tylko bezeceństwa administracyjne staro-turków, biały teror, którego padali ofiarą aż do najostatniejszych czasów, przechodzą z pozostałemi w imaginacji reminiscencjami strasznych rzezi w Tarsie, w Aden, masakrów w Hamidjeh, z obrazami słynnego po-

gromu przez mob stambulski Banku Ottomańskiego, ze straszliwemi wizjami stałych chronicznych napadów dzikich rozbójniczych górali kurdyjskich na ich spokojne w pracy pogrążone sadyby i sioła. Istotnie bowiem życie armeńczyków pod panowaniem tureckiem było jedną wielką księgą martyrologji. Obdarzeni od natury jakimś całkiem specjalnym uzdolnieniem finansowem, niesłychaną zmyślnością do kalkulacyj pieniężnych, interesów, obrotni i przebiegli stali się Ormjanie tureccy formalnie narodem bankierów, antreprenerów, maklerów i jobberów świata muzułmańskiego i handlu Lewantyńskiego. Wzięli jak gdyby spadek po fenicjanach nad Śródziemnem morzem. I oto w tym wypadku role jakby się odwróciły. Aryjczycy par excellence i chrześcijanie bardzo religijni wytworzyli obcą niejako kastę plutokracji wśród marnotrawnych, gnuśnych, kłótliwych, wojowniczych, nieoględnych a seksualnie rozbujałych turków-semitów. Każdy pasza gubernjalny musiał mieć swego raję ormjanina dostawcę mamony; 80 rajów Ottomańskiego Cesarstwa utworzyło rodzaj rządu w rządzie, utajoną korporacją bankierów wierzycieli, trzymających wszystko w rękach a z czasem wcale twardo wyzyskujących uprzywilejowaną sytuację, skutkiem czego coraz mocniej znienawidzonych wśród zwyrodniałych semitów turków. Reakcja, jaka powoli wzbudziła się przeciw „sarafom" ormjańskim i ruch antyarmeński miał wszelkie znamiona dawnego ruchu antysemickiego, t. j. napastniczego (a nie obrończego jak dzisiejszy) jeno doprowadzonego do absurdu i pojętego po mahometańsku. Nienawiść ciężkich, nieporadnych Osmanów, żyjących jeno „snami o potędze" (dawnej przebrzmiałej i zagrzebanej) zwróciła się wybuchowo i z furją nie przeciw niedostępnym i strzeżonym potentatom finansjery a przeciw tym mrowiskom pracowitego, kornego proletarjatu ormjańskiego, gnieżdżącego się w najuboższych dzielnicach Stambułu i innych miast.

Z czasem dopiero po masowych rzeziach Ormjan, wołających o pomstę do nieba, a na przerozmaitych kongresach w Europie jałowo jeno piętnowanych, wzięli się już Turcy i do Ormjan bogatych już bez różnicy, równocześnie do całkiem azjatyckich represyj i do takich „aktów władzy" w samej etnograficznej Armenji, że skutkiem ich w ostatnich dziesięciu latach egzystencja Ormjan tureckich stała się istną Gehenną. Z reform administracyjnych, które jeszcze kiedyś wymógł i na-

łożył Kongres Berliński i które pozornie niby wprowadzono nie pozostało za Abdul-Hamida (przyjaciela od serca Kaliguli-Wilhelma) dosłownie żadnego śladu; kajmakany wilajetowe drwiły sobie i z całego hałasu oburzonej Europy i z uchwał i odezw założonego (1876) przez generała Loris Melikowa: „Association Anglo-Armenienne” i z t. z. „demonstracji flot”. Prześladowania i rzezie chrześcijańskich armeńczyków przeszły swą okropnością wszystkie bohaterskie czyny znanych wieszatieli i oprawców i stały się wprost przysłowiowemi.

Już to wogóle trzeba przyznać, że Opatrzność nie oszczędziła tej w prostej linji progeniturze Jafeta (ojca Haga, dziadka Armenaka), żadnego ciężkiego ciosu przez cały ciąg jej historycznego bytu. Zdaje się, że praojcowie dzisiejszych Łazarewych i Teodorowiczów nie popisali się także z wyborem terytorjum dla kolebki swego narodu. Jafetydzi bowiem usadowili się nad brzegami Araxesu w środku rozstajnej drogi łączącej Północ z Południem a Wschód z Zachodem. Toteż nieszczęsna Armenja była bez przerwy etapem i terenem wojen państw sąsiednich jeszcze znacznie przed Chrystusem, krajem jakiegoś transyta, ale transyta... wojsk obcych, idących przeciwko sobie i żywiących się wojną i pustoszących ogniem i mieczem wszystko co po drodze. Na ich grzbietach walczyli asyryjczycy z medami, rzymianie z partami, medowie z persami, arabowie z bizantyńcami, grecy z Turcją, muzułmańscy sunnici z szyjitami. Armenja geograficzna był to istny dom przechodni dla przerozmaitych wielkich bandytów historycznych, dla tych hersztów koczowniczych drużyn, ubranych w najegzotyczniejsze szaty znane z oper; tędy przechodził swobodnie Ksenofont ze swemi dziesięcioma tysiącami, tędy Darjusz na Grecję idący i Aleksander Wielki idący na Indje. W dzieje Armenji wplątane są wszystkie postacie znane dzisiaj z... oper Verdiego, Belliniego, Pucciniego, Boieuldiego: Semiramis, Kleopatra, Antioch, Tamerlan, Nabuchodonozor, Mitrydates, ale wszystkie te figury basowe czy koloraturowe zachowały się w Armenji w sposób złośliwy. Mało armeńczykom z tego przyszło, że to oni właśnie mieli tę górę św. Ararat, na której rzekomo zatrzymała się Arka Noego i która rzekomo jest środkiem świata ...skoro przez ten środek świata i opodal niego toczyły się wszystkie najopętańsze, najkrwawsze wojny o panowanie nad światem starożytnym i o hegemonję Azji. Mało też mieli pociechy z tego że posia-

dali jedną z najstarszych kultur, bogatą literaturę, własny alfabet i ciekawą architekturę, skoro wszystko to co czas jakiś padało w gruzy pod nawałą tych lub innych najezdników, uzbrojonych w najzłośliwsze instrumenta rzezi od ,czuba po pas. Krótkie okresy niepodległościowe pod rządami swojskich dynastyj Abgarydów czy Bagratydów szły naprzemian z długiemi epokami niewoli pod efektownymi na scenie ale niemożliwymi w życiu suwerenami z gatunku patologicznych „Seldżukidów" lub „Sassanidów". Sułtanat... egipski ustępował jeno pod naciskiem przemocy szacha i „dywanu" irańskiego, mameluków luzowali turkomani, jednych najezdniczych łotrzysków po krótkim czasie zastępowali inni najezdniczy złoczyńcy. I tak aż do nowożytnych czasów.

Wiek XIX zastał chrześcijańską Armenję rozdzieloną między Turcję i Persję, a oba te państwa rządziły tu i gospodarowały wedle metod i programów tak „wschodnich" i „bajkowych", że kiedy w latach 1826 i 1829 wojska rosyjskie dwukrotnie wkraczały w te dziedziny świata biedni, tępieni, dziesiątkowani, skołatani, zdesperowani ormjanie tubylcy przyjmowali ich jak liberatorów i salvatorów z uczuciem niewysłowionej ulgi, radości, wdzięczności... Erywań, Nachiczewań, Kars, Ahałcyk i Częstochowa Armeńska: Eczmiadzin wraz z innemi powiatami i miastami dostawały się Rosji.

W pierwszych zaraz latach przeszło 20.000 rodzin ormjańskich przeniosło się z paszalików tureckich do zaboru rosyjskiego. Tragiczny exodus tych rodzin, opuszczających dwuchtysiącoletnie siedziby swych ojców i ciągnących przełęczami górskiemi na Północ opisał w małej książce Polak Glinka (r. 1830).

Czytającym to raz po raz muszą się przypominać żywo sceny z życia emigracji naszej. Tak są smutne i litość wzbudzające.

III.

Kwestja Armenji i cały szereg zagadnień i zagmatwań z nią związanych była w Europie przez czas dłuższy daleko więcej popularną, znaną i rozstrząsaną niż sprawa polska. Czteromiljonowy naród zdołał w przeciągu lat ostatnich zainteresować sobą najbardziej wpływowe sfery dyplomatyczne, parlamentarne, polityczne i rządzące we Francji, Anglji, Ameryce, nawet w Niemczech. Zabiegliwi, czujni, skroś nowożytni i wzru-

szająco solidarni ormjanie nie poprzestają jedynie na wypisywaniu o sobie jeremjad w swoich własnych „Orizonach", „Arewach", „Mszakach", „Droszakach" i „Bakach", ale umieją dotrzeć do każdej redakcji europejskiej, w każdym magasinie czy reviewie drukować o swoim narodzie sążniste lamenta i memento. Mogą o sobie śmiało powiedzieć, że o „Ormianach znów na świecie głośno" skoro czy „Rassegna Nazionale" czy w „Forum", w „Contemporary", w „Hebdomadaire" czy w codziennych płachtach politycznych, co czas jakiś czytać można o nich lub przez nich opisywane niedole i mizerje żywota tego Izmaela narodów. Co więcej, podczas gdy nami zajmują się cokolwiek głównie feljetoniści, beletryści i poeci francuzcy i to specjalnego jeszcze stempla salonowo-katolickiego, Ormjanie, naród pozytywny i blichtr lekceważący nie kontentują się, nie poprzestają na komplementach „tematów z łezką", ale zdołali dla swojej sprawy zainteresować, pozyskać, a nawet rozegzaltować także ludzi politycznych pur sang, menerów partyjnych, wielkich redaktorów, oratorów i dygnitarzy t. j. te czynniki serjo miarodajne, na których influencje liczyć można i które w danym momencie historycznym mocno i autorytatywnie zainterwenjować mogą w sprawie ich mądrze kochanej ojczyzny. Podczas gdy dwudziestomiljonowy naród w centralnej Europie zadawalnia się już i szczyci objawami sympatji „córki wielkiego malarza", patetycznym listem „imienika wielkiego pisarza", sonetem ku czci Polski „znakomitego symbolisty" i t. p. dosyć przelotnemi błahostkami, Ormjanie zyskali przyjaciół, entuzjastów i w filarach Pałacu Burbońskiego i oparcie Białego Domu, na Monte Citorio i na Ballhausplatzu, a już najwięcej i najprofitywniej w szarym potężnym gmachu nad Tamizą w Izbie Gmin. Trzeźwi, przewidujący, antycypujący i w metropoljach zadomowieni gentlemanie o „kruczych włosach i sępich nosach" z powodzeniem umieli dotrzeć do takich trusmanów dziennikarskich jak lord Northcliffe, lub Hearst, zyskując popleczników w takich dwuch „na różnych słońcach bogach", jak hr. de Mun lub Jaures, jak kanclerz Kruppa, Bettman-Hollweg, lub d'Estournelles de Constans, jak Passy, Clemenceau, Gladstone, Asquith.

We wszystkich bez wyjątku wielkich portach i gniazdach kultury Zachodniej mają armiaszki swoje kluby, komitety, cercle, tam pisma, tu nawet drukarnie, wogóle ogniska szlachetnej patrjotycznej propagandy, będące ze sobą w ciągłej, czynnej ko-

munikacji i tworzące siatkę obmyślanej, obliczonej, trwałej i jawnej agitacji pod hasłem i wezwaniem odbudowy ojczyzny.

Utworzenie pełnej jednostki, zcalenie rozdzielonych, odkrojonych części, zjednoczenie kompletne choćby pod silnie ingerującym protektoratem mocarstwa wielkoświatowego, otworzyłoby bądź co bądź przed nimi rozległe perspektywy polityczne i nieprzewidziane możliwości na przyszłość. I taki też program, w miarę oportunistyczny, ale z niczego nie abdykujący, niczego się nie zrzekający, przyjęli reprezentanci całego narodu na kongresie w Tyflisie. Ideał dosłownej samoistości i bezwględnej niepodległości Armenji, koncepcja polityczna kiedyś snuta i z głowy naszego Jana III, który nietylko był jak wiadomo pogromcą Turków, ale i wielkim myślicielem politycznym, planującym doszczętnie zdruzgotanie prusaków XVII wieku, jest dzisiaj narazie wyłącznym programem grupy nielicznej „Dasznakcjutan“. Dziś wobec spotykania się i krzyżowania na bogatych mezopotamskich ziemiach wpływów i interesów już angielskich i francuzkich, rosyjskich i niemieckich przezorni, zabiegliwi, a zagrożeni i w swych biologicznych podstawach ormjanie muszą oglądać się dziś za mocnym sojusznikiem, gwarantującym im zrośnienie się całości, odrębność autonomiczną i byt samorządny. Pretensje ich nie są więc zbyt wielkie.

Niestety i w tak szczupłych ramach zarysowane ich zbiorowe szczęście natknęło się na przeszkody, pierwszym, który już teraz kładzie temu veto... stał się pan Milukow.

Ten to apostoł koszernego humanitaryzmu zaczyna pierwszy bruździć, matać i mącić. A głosząc votum separatum w armeńskiej kwestji, leader i tenor liryczny kadetów „oktrojowanych rytualnie“ sprzeciwia się i oponuje manifestacyjnie uchwałom grudniowego kongresu wszech-ormjan w Tyflisie, protestuje „w imieniu żywotnych interesów państwowych Rosji“. Leader liryczny wogóle daje teraz dużo do mówienia o sobie i o swojej świeżej gorącej, niepokalanie patrjotycznej miłości do matuszki; całkiem tak jakby przygotowywał się do jakiejś wielkiej solowej partji, do jakiejś nowej tytułowej roli i chciał gorączkowo per express wymazać z pamięci współczesnych te sielskie czasy, kiedy to był Zaratustrą kursistek i studentów i Battistinim inteligenc-proletarjatu. Leaderowi konstytucyjnych Machabeuszów sprzykrzyło się już być genjuszem... bez teki, bożyszczem szrejbin-

gełesów, białym słoniem prowadzonym na czerwone estrady prowincjonalnych mityngów, Mozesem tylko Hercenstajnów i Żabotyńskich, Bajlisów i Doktrynnerów. Pan Milukow chce nadrobić co zaniedbał w imperjalistycznym szowiniźmie przez tyle lat patetycznego rozdrażnienia i besztania śmiejących się w kułak z jego studenckiej kultury politycznej biurokratów. Pan Milukow chce zgolić rozwichrzoną brodę, jaka w modę weszła po Bakuninach i Krapotkinach, oczyścić się z resztek radykalnego kosmopolityzmu, z plam i pozorów i w nadarzonej „chwili osobliwej“ stanąć z angielska wygolonym przed rozdającym grube portfele pierwszym „progresnym premjerem“.

Pan Milukow ma zdaje się niepokojące sny o władzy i potędze; raczej on a nie Piotr Bernardowicz Struve położył kamień węgielny pod nacjonal-liberal-filosjonizm rosyjski. Prosta zaś droga do takiego celu i fotelu prowadzi wedle patentowanej metody; być nadal nieco pąsowym w kwestjach „pionowych“ ale przelicytowywać prawicowców w kwestjach narodowościowych, nie uronić nic z nimbu ultrademokratycznego „klasycznego klasowca“, ale zyskać jaknajszybciej zaufanie patrjotartów surowem i doktrynerskiem traktowaniem nawet tych skromnych i umiarkowanych postulatów, jakie sub specie praesentis stawiają i przedstawiają narody urodzone w niewoli, okute w powiciu, rozdarte na części, zagrożone doszczętn zagładą.

I kiedy niedawno pan Milukow właśnie oglądał się za nowym przykładem, na którym mógłby zademonstrować znów wszem wobec swój patrjotyzm czystej próby, stały sufler przyszłej ekselencji doktór Doktrynner wskazał mu delikatnie na nową inną „sortę“ — „zoologicznych antysemitów“, na „paskudników“ ormjan.

I oto papa infallibilis demagogji studenckiej zabrał głos w sprawie armeńskiej. Aby być już całkiem w stylu swych mandanów i suflerów zaproponował poprostu obrzezanie przyszłej odrodzonej Armenji. Ormjanie na kongresie grudniowym w Tyflisie postanowili jako postulat generalny połączenie Armenji Wielkiej i Małej t. j. pobrzeża Morza Czarnego i Śródziemnego t. zw. Cylicij ze stolicą Adaną, t. j. właśnie terenu najdzikszych orgij prześladowczych. Takie połączenie dwuch rdzennych formacyj etnograficznych, oddzielonych jeno Kurdystanem otwierając przemyślnemu, energicznemu handlo-

wemu narodowi wyjście na dwa morza, byłoby dla nich i warunkiem sine qua non i sukcesem non plus ultra i jedynie wynagradzałoby kompromis bądź co bądź z ideałem odrębnego samoistnego niepodległościowego bytu. I przeciw temu to właśnie zaprotestował z góry niekoronowany król Dawid Milukow, który ongiś powalił na ziemię Goljata reakcji rosyjskiej „Cylicja w ręku Ormjan“ to dla nas „kein Geschaeft“ zasuflerował dyskretnie dr. Doktrynner. „Włączenie Cylicji w przyszły nowotwór wasalskiej Armenji“, powtarza za nim z ogniem konwertyta i chef koszernej kuchni politycznej, „sprzeciwia się najżywotniejszym interesom ekonomicznym wielkiej i przemysłowej Imperji Rosyjskiej“. I oto teraz przeciw sprytnie, planowo i mądrze zorganizowanej propagandzie ormjan na rzecz ich nieszczęsnej ojczyzny, już wyłaniają się z cienia po wszystkich metropoljach Europy, jakieś niewidzialne ale mocne, paraliżujące ręce, psujące całą misterną ich robotę. Pod palcami „cymbalistów wielu“ odezwą się wszystkie znane nam dobrze klawisze i „razem ze strun wiela buchnie dźwięk“ informacji i rewelacji „jakby cała Janczarska kapela“. Dowiemy się wnet coś wysoce przykrego i grubo niesympatycznego o chytrych ormjanach, od panów Zangwilla i Brandesa, Nordaua, Hardena, Heyermansa, Saltena, Bernsztejna, Molnara i t. p. Cała „orjentalna orjentacja“ europejska zwróci się mocno przeciw tym niepoprawnym, „zoologicznym“ anty...kadetom.

Przyszłość pokaże, który z tych równie ciekawych od natury hojnie obdarzonych, równie nieszczęsnych i na tułaczkę skazanych narodów wyjdzie zwycięzko... Arymanowy czy Ormuzdowy.

IV.

Teorja o pochodzeniu szlachty polskiej z nad brzegów morza Czarnego, z Georgji i Kolchidy, czyli tak zwana „teorja kaukaska“ etnologiczna miała kilku wybitnych przedstawicieli wśród naszych uczonych jak Albertrandy, Waga i inni; gorących atoli zwolenników głównie wśród wielkich poetów naszych epoki wieszczej w 19 w. streszczała się w tem, że szlachecka warstwa narodu polskiego wywodzi się z najazdu Lezgów lub Lazygów względnie Lachitów, rycerskiego plemienia z gór Kaukaskich. Teorja ta zyskała sobie nawet tak wielkich orędowników jak Mickiewicz i Słowacki. Wstęp do rapsodów Króla

Ducha przypominający Hera Armeńczyka jako protoplastę następnych wcieleń aż do Popiela, jest dowodem jak głęboko i poważnie wierzył twórca Kordjana w kaukaską genezę Sarmatów Lechistanu, t. j. w hypotezę całkiem fantastyczną i przemijającą, ale w każdym razie będącą zarazem stwierdzeniem bezwzględnie przyjaźnego i ciepłego stosunku do narodu, którego Los-Satrapa skazuje na dolę bardzo podobną do naszej. Obopólna ta zresztą sympatja przebija się też z bardzo nielicznych dzieł w naszem piśmiennictwie, traktujących o Ormjanach, t. j. z ksiąg Pawińskiego, Gromnickiego i historyka Ormjan polskich Sadoka Barącza. Imię pierwszego apostoła „Hajastanu“ z czasów króla Abgara, świętego Tadeusza, jest najszerzej i najpopularniej polskiem; nosi je najsławniejszy bohater narodowy i najnieśmiertelniejszy poemat polski. Wreszcie kościół ormjański aczkolwiek gregorjański monofizycki jest jednakże przez kongregację Mechitarystów w Wenecji i przez Polaków ormjańskich więcej związany z katolicyzmem jak z innemi wyznaniami. A Armenja takim samym była „przedmurzem chrześcijaństwa“ tylko, że nie burzonem i rozwalanem i chrześcijańskiemi taranami jak przedmurze polskie.

Tak więc jestto naród pod każdym względem zasługujący na naszą baczniejszą uwagę i dokładniejsze poznanie. Prastare jego zamki „kale“, katedry, sadyby leżą także w ruinach; każda epoka historyczna uderzała w nie pięściami brutalnej przemocy. Z odwiecznych księgozbiorów tego wysoce intelektualnego i silnego duchem narodu wywożono książki również pakami do sułtańskiego Carogrodu. Dzikie kurdyjskie rozbójniki grasowały po ich spokojnej ziemi i niszczyły doszczętnie owoce skrzętnej pracy i wytwornego przemysłu w popiół i perz, zamieniały pamiątki narodowe jeszcze z epoki Tygranesa, grabiły i rozdrapywały tkaniny, pasy i złotnicze kunsztyki, pamiętające czasy, kiedy Armenja była jeszcze rzymską prowincją, a legjony Trajana stały garnizonem tam, gdzie w tysiąc lat potem Abbasa Mirzy perskie rzezańce. A jednak ten naród ostał się. Czego wroga przemoc nie zdołała zburzyć i spalić, to pochłaniały od czasu do czasu powtarzające się trzęsienia ziemi. A jednak ten naród ostał się. Przepadły mocarstwa starożytne i średniowieczne, wyginęły narody zaborcze i wojownicze, legendarne potęgi skarlały i osłabły, a ten naród „anonimowy“, nieznany, pracowity i pojętny, obrotny i pełen ruchliwej ini-

cjatywy przetrwał. W momentach rozpętanych burz dziejowych, krył się z pałaców sterczących dumnie w mieszkania troglodytów, w skalne jamy, jeszcze klinowem pismem nazewnątrz ozdobione, emigrował setkami i krociami, niknął zdawałoby się i chował się. A jednak przetrwał i potęgę Piłatów z Pontu i prokonsulów i kalifów i stambulskich gubernatorów.

Dziś stoi w przededniu zjednolicenia się. Niezawodzący instynkt samozachowawczy każe mu w tym momencie historycznym, jaki wspólnie przeżywamy, pomagać, bez oglądania się na prawo czy na lewo, bez łatwego wywlekania całego zapasu zastrzeżeń i ostrzeżeń, przedewszystkiem do zwalenia słupów kordonowych odgraniczających na jego własnej ziemi obce państwa, współdziałać w zgromadzaniu i skupianiu jaknajwiększej liczby pod jednym znakiem, przyczyniać się co sił w zniesieniu wszelkich różnic partykularnych w psychice jednej i tej samej indywidualności narodowej. Instynkt samozachowawczy, odzywający się niechybnie w momentach ryzykownych, każe Armeńczykom przedewszystkiem dążyć do unifikacji etnicznej, uzyskania za wszelką cenę „jednolitości frontu“ narodowego i do wyzyskania nastręczającej się przyjaźni jednej z sił przeciw drugiej sile bezwzględnie, odwiecznie, dziedzicznie wrogiej a pogańskiej. Uratowawszy w ten tylko sposób byt biologiczny dopiero zapewne zatroskają się Ormjanie o taką organizację narodowej energji zbiorowej, któraby z nich ewolucyjnie uczyniła czynnik zmuszający do liczenia się z nimi, poczem byt polityczny wydała ze siebie już jako dojrzały owoc trzeźwości i cierpliwości, dojrzałości i rozumu stanu.

Męska, dojrzała, zahartowana w nieszczęsnej doli i boleśnie doświadczona większość narodu, pragnie narazie tylko kresu tego, co było najstraszniejsze w życiu Armenji, t. j. kresu rozdarcia jej między trzy państwa „opiekuńcze“, a wzajem siebie nienawidzące. I ta to część narodu odpowiedzialna, a miarodajna, ratując *materję* narodu, uratuje temsamem i ducha narodu idąc drogą nie „wyobraźni“, a „przeobrażeń“, idąc drogą „największego oporu“, bo często oporu własnemu sercu, czerpiąc siłę i spokój tylko w poczuciu rozumnie spełnianego obowiązku patrjotycznego. Ta też część narodu przechowa i obecnie, kiedy omal cała Armenja jest terenem wojny straszliwej, ideę narodową w bezpieczeństwie i w całości.

KRASIŃSKI I TOŁSTOJ

(1921).

Najgłębiej socjalnie uświadomiony i najczyściej aryjski z trzech wieszczów naszych, Z. Krasiński, obdarzony był darem tak dalece sięgającego jasnowidztwa przyszłości i to europejskiej że jeżeli się dzisiaj sięga do jego dzieł, raz po raz przy lekturze, ogarnia niepokój, zdumienie i uczucie kornej czci dla tego genjuszu myśli najszczytniejszej, oblekanej tak często w omal prozaiczną wersyfikacyjną szatę.

Zwrócił na to uwagę w wysoce interesującej broszurce p. t. „Z. Krasiński wobec komunizmu", zasłużony monograf poety, prof. Kallenbach. Zebrał tam uczony badacz wiele materjału cennego, stwierdzającego dowodnie i zdumiewająco, że mamy tu do czynienia z fenomenem twórczym istotnie proroczym i wymykającym się z pod czysto rozumowych kategoryj analizy krytycznej. W tym poecie wielkim przez lot swych myśli tkwiła istotnie jakaś moc wizjonerska, nadzmysłowa, której nie można sobie wytłumaczyć racjonalistycznie. Już z pracy prof. Kallenbacha można się przekonać do jakiej ścisłości w szczegółach dochodziło jasnowidztwo poety, który istotnie i może jedynie cierpiał i myślał za miljony i to nietylko swoich rodaków ale ludzkości wogóle.

Pod tym względem broszura prof. Kallenbacha jest już dobrym drogowskazem i przewodnikiem. Ale dopiero bezpośrednie wzięcie się do studjum Krasińskiego a najszczegółowiej do VII tomu wydaniu jubileuszowego, a następnie skonfrontowanie tego z dzisiejszą aktualnością taką, jaką daje lektura komunistycznej prasy, broszur i odezw, wykazuje jasno, że ten właśnie, z naszej Trójcy romantycznej, którego się najbardziej pomawiało o duchowe wstecznictwo, światopogląd tradycjonalistyczny i polsko-feudalną ekskluzywność idei i ideałów jest właśnie

najbardziej nowoczesny, najbardziej wszecheuropejski, najmniej romantyczny i najwięcej, jeżeli już nie socjalistyczny, to przynajmniej socjalizujący. W gruncie rzeczy wyłącznie Z. Krasińskiego nietylko zafrapował ale wprost zaabsorbował problem walki klas. Idąc linją dzieł od „Nieboskiej" — „Herburta" — „Niedokończonego Poematu" do „Dnia Dzisiejszego" i badając to ze stanowiska dnia dzisiejszego, widzimy wciąż tylko tragiczną ciężką mękę myślową nad rozwiązaniem problemu nierówności klas i walki klas. Ze wszystkich trzech naszych, względnie ze wszystkich pięciu (Norwid, Wyspiański) wielkich poetów romantycznych Z. Krasiński jest najwięcej „społecznikiem" i najmniej tylko Kalwarją narodu swego się ograniczającym, jest najwięcej poetą politycznym, a najmniej artystą dla artyzmu samego, jest najwięcej Europejczykiem, najwięcej „obywatelem świata", a najmniej druidem tylko narodowym. Długie, szczęśliwym trafem przebywanie zagranicą, częste szczęśliwym trafem obcowanie z takimi myślicielami jak Lammenais i Montalambert, przyjaźń z Anglosasem Reevem, niemoc fizyczna i dzięki temu pogłębienie się w poważnem studjowaniu Micheleta, Quineta, Saint Simona, Hegla, Schellinga, a nadewszystko Chateaubrianda, nadto doniosłe wypadki i przewroty współczesne chronologicznie epoce jego dojrzewania i rozkwitu twórczego sprawiły w sumie to, że Krasiński zdala od zaścianka ojczyzny i zdala od potępieńczych swarów emigracji mógł, poświęciwszy się samoistnej pracy ducha, stanąć z czasem na tak niedosiężnej nawet wielkim rówieśnym wyżynie, skąd oko poety widzi już nietylko padół teraźniejszości, ale, przebijając nawskroś lata i dziesiątki lat, ogarnia spojrzeniem przyszłość.

Ten poeta niby romantyczny był istotnie wizjonerem politycznym.

„Polacy uprawiają politykę romantyczną a poezję mają polityczną" — powiedział szyderczo, ale nie bez pewnej racji żelazny kanclerz. Ale gdyby był dożył naszych czasów i gdyby mu w ręce wpadły tłumaczone listy czy tłumaczone fragmenty z dzieł Krasińskiego, byłby się długo zamyślił nad realnością tych poetycznych impoderabiljów. Jednakże on, wielki polityk i mędrzec praktycznych realności, nic z tych zjawisk socjalno - politycznych nie przewidział ni przeczuł, które już w r. 1840, 1847 i 1848 poeta polski rzucał na papier z nieza-

chwianą pewnością siebie w gigantycznych obrazach, alegorjach, skrótach myślowych, radach, listach, memorjałach!

Gdzież więc tkwi ten realizm myślowy wielkich mężów stanu, statystów i polityków, którzy przeważnie nie umieją obliczyć i przewidzieć następstw i konsekwencyj na lat pięć, podczas kiedy poeta potrafi na lat sześćdziesiąt czy ośmdziesiąt przewidzieć dzisiejszy realny układ stosunków politycznych, grożące niebezpieczeństwa, polityczne inklinacje i aljanse, socjalne przemiany i katastrofy. Nie raz to już zresztą i nie na takich wyżynach ludzkich da się zaobserwować to zjawisko, że niekrępująca się imaginacja fantasty dalej i realniej widzi, niż statysty „szkiełko i oko“. Napisał Wells przed wojną powieść: „Wyzwolenie świata“ i przewidział w niej nietylko metody wojowania i batalistyczne szczegóły, o których fachowi militaryści nie przeczuli ale przewidział Ententę, konferencję ogólnoeuropejską, projekty rozbrojenia, powtórny prąd militaryzmu, rolę aeroplanów i submarinów; mylił się w szczególikach, w całości dojrzał wszystko, czego się niedomyślali przed wojną ni Asquith ni Haldane, Grey, Chamberlain i L. George... Dzieje literatury notują wypadki, że jakiś wielki twórca choćby prozaista przeczuje psychikę narodu, którego nie zna, który jest od jego kraju oddzielony morzami i górami, przeczuje odgadnie i opisze lepiej i trafniej niż poeci tego samego narodu. Przypomnijmy sobie J. Conrada-Korzeniowskiego obrazy, to z życia marynarzy angielskich, to z życia nihilistów, azefowców i degajewców rosyjskich; przypomnijmy Szyllera w „Demetriusie“ obraz sejmu polskiego... I przytoczymy tu, korzystając z okazji, nieznaną zdaje się, a jak jasnowidzącą i może dziś dopiero aktualną charakterystykę polskości z nietłumaczonej dotąd jeszcze niestety, przez Boya Balzacowskiej „La Cousine Bette“ rok 1840 (Calman Levy).

„Całą Europę chcą podpalić Polacy, wszystkie przedsiębiorstwa i wszystkich kupców zrujnować dla dobra swej ojczyzny, która jest podobno jednem wielkiem bagnem pełnem okropnych żydów, kozaków i chłopów, jakichś dzikich zwierząt do ludzkości niesłusznie zaliczanych. Dziś Polacy zapoznają teraźniejszość i to, że my już nie jesteśmy żadnymi barbarzyńcami. Wojny już się kończą a czasy należą do industrji i mieszczańskiej przemyślności, jak to jest w Holandji. Polacy nie wiedzą nic o pokojowych układach w konstytucyjnych urzą-

dzeniach. Słowianin ma zawsze coś z dziecka jak wszystkie początkowe dzikie narody, które raczej zostały wpuszczone między nacje cywilizowane a mniej przyjęły cywilizację tych narodów. Ta rasa rozlała się po globusie jak potop. Cywilizacja nie jest możliwa bez ustawicznego kojarzenia się z sobą interesów i duchów. Ukraina, Rosja, kraje naddunajskie, jednem słowem, Słowianie są węzłem łączącym Europę z Azją, cywilizację z barbarzyństwem. Polacy, największe plemię słowiańskiej rasy mają w swym charakterze dzieciństwo i nieposkromienie narodów jeszcze niedojrzałych. Mają odwagę, inteligencję i siłę, ale ich niepohamowanie niszczy tamte wszystkie przymioty. Jest Polak zmienny, jak wicher nad jego bagnami. Jest niepohamowany jak burza. Człowiek zawsze wchłania w siebie coś ze swego otoczenia. Polak w walkach z Turkami przejął się ich zamiłowaniem w orjentalnym przepychu. Polak wzniosły w swem cierpieniu znużył już śmiertelnie pięść swoich prześladowców, gdyż tak długo go katowano omal jak pierwszych chrześcijan. Jedna doza skrytej angielskiej flegmy w wolnym, otwartym charakterze Polaków, a Polacy rządziliby tam, gdzie teraz rządzi dwugłowy orzeł (str. 144). Przy chrzcie Polski wedle tamtejszych zwyczajów odezwała się wróżka Caraboske, którą na ten obrzęd nie zaproszono, kiedy najbogatsze dary składano tej utalentowanej nacji: Zatrzymaj sobie wszystkie podarunki moich sióstr. Ale nie będziesz nigdy wiedziała czego chcesz... Kiedy Polacy raz zaprzestaną walczyć z Rosjanami i z innymi, to wtedy zaczną się wraz bić ze sobą..."

Tyle Balzac...

A czy niepozbawioną aktualnej wartości, realnego jasnowidzenia jest wróżba innego fantasty, poety nad poetami, pozornie odwróconego od życia powszedniości od „skrzeczącej rzeczywistości" i tym razem naszego z krwi i kości, Juljusza Słowackiego... Czy nie przewidział wróżbiarsko „dzisiejszego dnia" nasz wielki mistyk apokaliptyczny, gdy w rozprawie: „Do emigracji o potrzebie idei" pisał śpiżowe słowa, na które dziś pisać nie może najrealniejszy polityk, pozytywista:

„Polska najnieszczęśliwsza! Twórczość swoją postawiła pod znakiem kolorowego ułana... Cóż zostaje tym, którzy na wzór takiego ideału kształcić się nie mogą? Cóż się stanie ze starcem, z kupcem, z urzędnikiem cywilnym, z gospodarzem? Żaden z nich widzimy wobec tego ideału w każdej chwili pa-

trjotą być nie może. A tak kraj 20-miljonowy przez wyłączność ideału swego pozbawił się codziennego usiłowania 19 miljonów, a tylko ku jednemu miljonowi popisowej młodzieży obraca swoje wejrzenie... Taka to bezwładność ogarnąć musi masę narodu... Nad ideałem hułana, nie zniszczywszy go wcale, owszem świętością celu go podnosząc, postawić trzeba wyższą ideę, prawdziwą matkę czynów, któraby w niebo prowadząc ku celom ostatecznym wskrzeszała pył drogi, po której stąpa a wszystkich podniesionych w kraj jeden wprowadziła... Tak, jako Anglja, która rośnie dziś każdym zegarmistrzem, każdym kredytem kupca, każdym majtkiem, każdym ministrem..."

Z tych dwuch przykładów i cytat okazuje się tedy, że w wielkich marszałkach i wodzach literatury jest więcej intuicyjnego daru przewidywania nawet dalekiej przyszłości i introspekcji w sam miąż psychiki narodowej niż w statystach i mężach stanu, którym się często ślepo powierza los i ster narodów. Miał taki dar w swym genjuszu i A. Mickiewicz, miał kiedy się modlił o „wielką wojnę narodów", kiedy przewidywał niewdzięczność ludu, zapominającego nawet „imiona tych dawniej miłych ludowi" którzy go rozbudzali i uświadamiali narodowo. Miał, kiedy pisał:

„Litwo Ojczyzno moja, Ty jesteś jak zdrowie
Ile cię trzeba cenić, ten się tylko dowie
Kto cię stracił...

ale nie miał, kiedy tworzył typ Jankiela w „Panu Tadeuszu", lub kiedy na obchodzie królewskiej Konstytucji 3 Maja mówił: „jest ona prawem żywem zakorzenionem w przeszłości, mającem się rozwinąć w przyszłości", lub kiedy pisał:

„Skoro wypadki wyzwą do działania Naród Polski, komu Opatrzność pozwoli mieć wpływ na losy jego, niech ten szczęśliwy człowiek zajrzy jeszcze w Konstytucję 3 Maja. Może w niej więcej niż my wyczyta..."

Nie miał, gdyż naród rozbudzony znowu do życia nie rozwinął dalej organicznie prawa żywego, zawartego w tej Konstytucji, jeno poszedł ściśle linją programu emigracyjnego pisma: „Nowa Polska", wydawanego w r. 1883 w Paryżu przez J. B. Ostrowskiego i jego przyjaciół Krępowickiego i Czyńskiego, „polskich Sentsymonistów". Tych zasię protoplastów dzisiejszych wichrzycieli i destruktorów, tych „Pankracych" i „przechrztów" mając na widoku i ich działalność rozkładczą i anarchiczną,

badając na tle analogicznych nastrojów, kierunków i ruchów we Francji, w Anglji i we Włoszech i w Niemczech doszedł Z. Krasiński do tych finalnych rezultatów myślowych, do tych syntetycznych jasnowidzeń, jakie dziś ze zdumieniem odczytujemy w „Nieboskiej”, w „Niedokończonym”, w „Dzisiejszym”, w „Polsce wobec burzy”, w „Polsce wobec Europy” a już najszczególniej w tych listach proroczych do Cieszkowskiego, Trentowskiego, Małachowskiego, księżnej Badeńskiej i do Piusa IX.

Ale, aby te Krasińskiego jasnowidzenia uwypuklić, aby ich walor europejsko-polityczny spotęgować i jeszcze uaktualnić, trzeba im dać podłoże specjalne. Wyjdziemy tu w wywodach naszych z listu do Trentowskiego, w którym jest taki ustęp: „Będą dni, w których dla nauki i przestrogi przyszłych wieków a kary przeszłych, rzeczpospolita czerwona górę weźmie i taką górę, że podły niemiecki ród zatęskni do knuta moskiewskiego, modlić się doń będzie i wołać: Ano teraz przyjdź zbawicielu mój...”

Te dni teraz, te dni od trzech lat przeżywamy. Cała prasa „podłego niemieckiego rodu” na różne głosy i w różnych słowach „modli się do czerwonej rzeczpospolitej: ano teraz przyjdź „zbawicielu mój!...” Że „zbawiciel niemieckiego rodu” modlitw tych słucha, to udowodnimy nie na nachylaniach, inklinacjach, konszachtach dzisiejszych, może przemijających Sowietów ale na nieprzemijającem wypowiedzeniu się ducha rasy całej, plemienia rosyjskiego tak jak on się objawił znowuż w jasnowidzących słowach starca z Jasnej Polany, wielkiego siewcy nihilizmu i orędownika wschodniego barbarzyństwa.

Dopiero zestawienie proroczych słów najczyściej aryjskiego i najgłębiej socjalnie uświadomionego z trzech wielkich pisarzy rosyjskich, Tołstoja ze słowami reprezentanta polskości przed cywilizacją europejską Krasińskiego, unaoczni nam choć w impresyjnym feljetonie jaki to bój tytanów myśli rozgrywał się gdzieś w najwyższej sferze duchowych a ogólno-ludzkich zagadnień...

Pisze Krasiński w liście z dnia 25 lipca 1448 r. z Heidelberga.

„Rzeczpospolita czerwona górę weźmie, taką górę, że podły niemiecki ród zatęskni do knuta moskiewskiego modlić się doń będzie i wołać: ano teraz przyjdź zbawicielu mój“...

Teraz weźmy do ręki stos gazet niemieckich z ostatnich

tygodni lipca 1921 roku. „Deutsche Allgemeine“, „Vossische“, „Rothe Fahne“, „Vorwärts“, „Wahrheit“, „Das Freie Wort“, tygodniki, miesięczniki. Jest nawet pismo „Soviet“. Jest pismo „Brücke“. Dzień w dzień to samo: „ano teraz przyjdź zbawicielu mój“. W jednym piszą zaproszeni starzy generałowie, dyplomaci, emigranccy rosyjscy dygnitarze i monarchiści kazionni, w innych mienszewiki, esery, komuniści i niezależni niemieccy—wszystko rusofile. Każdy Cohn powtarza tę modlitwę co tydzień. Nach Russland, nach Russland! Układ handlowy z Rosją, poczem rewanż, odwet z pomocą Rosji. W Berlinie Rosjanie czują się najlepiej i w Wiedniu, w Wiesbadenie, w Reichenhallu. I czarnosotiency i czerwoni wszelkiego rodzaju. W „Rothe Fahne“ komunistyczna frakcja modli się codzień do Sowieckiego Kremla, a spasły Zinowjew, Apfelbaum przyjmowany jak tryumfator może najswobodniej w sercu Niemiec wygłaszać płomienne mowy przeciw burżuazji. Vigdor Kopp konferuje z pierwszymi dygnitarzami Republiki. Kontinental-polityk, social-chauvinismus. Jak czerwona nić stale przesuwa się przez prasę niemiecką jawnie lub między wierszami myśl, że tylko przez przymierze z Republiką Czerwoną niemiecki naród znów odzyska swoje dawne stanowisko w świecie i „swoje“ dawne utracone prowincje.

Ale też vice versa w Rosji sowieckiej, jeżeli dla którego burżujskiego narodu biją jeszcze najgoręcej serca władców Kremla to dla Niemiec. Już w każdym mieście są ulice Marksa, Róży Luksenburg, Liebknechta. Ze sprowadzenia do Rosji w urnie popiołów córki Marksa urządzono wielki fest sowiecki na sposób zgoła średniowiecznych ceremonij sprowadzania świętych moszczy do Ławry. W Rosji wychodzą oficjalnie sowieckie niemieckie pisma, „Fackel“, a trust komisarski ostentacyjnie przy każdej sposobności zaznacza sympatje i podziw dla niemieckiego narodu, niemieckiej wiedzy, sztuki, muzyki, innej jakby nie widząc i nie uznając. Dziwić się temu nie można, gdyż ostatecznie w laboratorjach niemieckich i szwajcarskich hodowały się te laseczniki i bakterje i w zaplombowanych pociągach jechały z Niemiec do Rosji. Tak rosyjskich jak ostatecznie i polskich przewrotowców i dzisiejszych mocodzierżców, wyedukowały nowe Niemcy, rosyjskich Ludendorff i Parvus-Helphand, polskich Beseler i Kesler. Stąd niewygasłe uczucia wdzięczności i dług zaciągnięty.

Z. Krasiński w „Dniu dzisiejszym“ zaznacza dwukrotnie ten związek teorji przewrotu społecznego z Niemcami, raz pisząc, że szły od „pruskich włości“, a indziej wywodząc je od... Hegla.

„Oto prawda oczywista, tak jakem heglista
Zrównam wszystkie ciała zrównam wszystkie dusze
Choćby rozwiać gmach w perzynę
Ja się stwarzam w Katylinę
Chcecie? W Bonaparta
Chcecie? To i w Chrysta
W co bądź... hej ja heglista“.

Że doszukując się genealogji komunizmu aż w Heglu, Krasiński znów antypował myślowo to do czego uczeni w piśmie Marksa doszli dopiero teraz, o tem świadczą nowe publikacje: Ferd, Jacob Schmidt: Hegel und Marx, 1913, Johann Plenge: Marx und Hegel 1911, wreszcie Karol Vorländer: Kant, Fichte, Hegel und Socialismus.

O ścisłym kontakcie komunizmu niemieckiego z rosyjskim świadczy dalej to, że publikacje Radków, Bucharinów, Zinowjewych i tp. wychodzą równocześnie w Niemczech i w Rosji. Z drugiej strony znowuż również w niemieckim języku wychodzą publikacje, pamiętniki i polemiki dawnych carskich dygnitarzy: istnieje więc nadal stały kontakt między tych narodów przywódcami i wzajemneku sobie inklinacje ich inteligencyj.

Układ państw w czasie wojny europejskiej z Rosją po stronie Anglji i Francji zdaje się być tylko epizodem w historji, interpolacją w ciągłem i stałem — ciążeniu olbrzymich mas ku sobie. Nie są to tylko filjacje i wzajemne przenikania tylko czerwonych z czerwonymi i carskich z carskimi, ale jest w tem stan uczuciowy trwały między nacją jedną i drugą. Partja kadecka ze swemi sympatjami raczej angielskiemi niż francuskiemi była też tylko epizodem, ale i wśród nich byli tacy germanofile jak Maksym Kowalewski, Struwe, Nolde i inni.

W literaturze odźwierciadla się ten uczuciowy nastrój ogółu najlepiej, szczególnie na jej szczytach. Z trójcy wielkich pisarzy rosyjskich tylko Turgenjew był przyjacielem i wielbicielem Francji. Już Dostojewski uważał Francję za zgniły Zachód. Jak zaś na przyjaźń niedźwiedzia z Marjanną zapatrywał się Tołstoj, to na tem miejscu właśnie przypominamy, aby potem kilka zasadniczych objawów organicznej przyjaźni Francji

do Polski przytoczywszy, wykazać jak wielką była moc jasnowidztwa w Z. Krasińskim.

Tołstoj, jak wiadomo, jest najszczytniejszym reprezentantem genjuszu rasy rosyjskiej i duszy ludu rosyjskiego. Jego maksymalizm, pacyfizm, wzgarda dla cywilizacji zachodniej, jego ideał wszechmiłości bliźniego, jego dogmat niesprzeciwiania się złu, jego negowanie państwa i kościoła państwowego, jego ewangelja nawrotu do życia prostego i chłopskiego i cały zespół jego wierzeń i przykazań najbardziej przemówiły do szerokich mas, bo najszczerzej szły z instyktu ludu rosyjskiego. Ponieważ Tołstoj zajmował się też szerokiemi zagadnieniami europejskiemi i uczuciowem ustosunkowaniem do siebie narodowości i ponieważ obdarzony był też darem jasnowidztwa, jak się to przekonamy, przeto ciekawem byłoby poznać jak ten król duch Rosji odnosił się do Niemiec i do Francji.

Dlatego też przytoczymy tu Tołstoja w tej sprawie szczere i jasne wypowiedzenia się w Paryżu... w dniach najgorętszego napięcia uczuć przyjaźni...

„Lud rosyjski, to jest ten prawdziwy lud rosyjski, to jest to co się pod tem rozumie, najdosłowniej, niema żadnego wyobrażenia o tem, że się zawarł jakiś aljans franco-rosyjski, czy że się ma zawrzeć. Gdyby zaś o tem wiedział, toby ten sojusz potępił, bo jasnem jest, że przez to zmierza się do wojny, a raczej do całego szeregu wojen. Na pańskie więc zapytanie, czy Rosjanie dzielą ten entuzjazm dla sojuszu podobnie jak Francuzi, to panu odpowiem, że w mojej ojczyźnie taki entuzjazm, jaki mają Francuzi, albo jak w siebie wmawiają, wcale nie istnieje. Gdyby zaś wiedzieli, jak ten aljans doszedł do skutku to nietylko, że nie byliby wobec niego obojętni, ale zachowaliby się wobec tego ze zdecydowaną nieprzyjaźnią...

Aljans ten zaś ani z kulturą ani z cywilizacją ani z tem wszystkiem co te górnolotne słowa znaczą niema nic a nic wspólnego. Ten aljans jest największem nieszczęściem i Francji i Rosji i w następstwach swoich przyniesie wiele niedoli i cierpień...

... Dotychczas znała Rosja, która jest najdespotyczniejszem, najokrutniejszem i najbardziej reakcyjnem państwem Europy jeszcze jakiś respekt przed cywilizowaną Europą jako całością, widząc w tej całości swego potężnego wroga. Teraz już wszystkie zapory ustały i skłonny jestem do przekonania,

że teraz raczej Francja nauczy się wiele złego od Rosji, a nie Rosja cokolwiek dobrego od Francji. Jedynym rezultatem tego nieszczęsnego i poronionego aljansu między dwoma państwami, które nie mają żadnych punktów stycznych będzie nie dostęp, ale cofnięcie się w kulturze i cywilizacji i mogę tylko powtórzyć, że z powodu przyjścia do skutku tego aljansu głęboko ubolewam".

Tak mówił do wysłannika „Revue Blanche" Tołstoj, przebywając w stolicy Francji!

W r. 1897 zaś pisał dosłownie:

„Kłamstwem jest ta nagle rozbudzona wyłączna miłość Rosjan do Francuzów i Francuzów do Rosjan. I kłamstwem jest wyrażona przez to temsamem nienawiść do Niemców i nieufność do nich. A największem kłamstwem jest, że celem tych wszystkich niezrozumiałych, bezsensownych orgij jest utrzymanie europejskiego pokoju. Wiemy dobrze wszyscy, że nie żywimy jako naród do Niemców żadnej nieprzyjaźni i nigdy nie żywiliśmy przedtem; zakłamane dzienniki drukują swoje łgarstwa, rozpróżniaczone czeredy bogatych ludzi, którzy nie wiedzą co począć z wolnym czasem, będą plotły patrjotyczne brednie i będą przeciw Niemcom podniecały uczucia wrogie Choćby i car był przyjacielem pokoju, to okoliczności tak się ułożą, że nie będzie się już mógł uchronić przed wojną, bo jego całe otoczenie i jak w takich wypadkach cała t. z. opinja publiczna będą się tego domagały. I ledwie się obejrzemy, a w pismach pojawi się zwykła, niesmaczna, nieszczęście wróżąca proklamacja: My z Bożej łaski samodzierżca wszystkiej Rosji, car Polski, W. Książę Finlandzki oznajmiamy wszystkim naszym poddanym wiernym, że dla dobra narodu i od Boga nam powierzonych ludów czujemy się w obowiązku wysłać nasz lud na mordy i rzezie"...

Jak widzimy więc z tego ściśle na dwadzieścia lat wywróżył Tołstoj rok 1914. Nienawidzący wojny autor „Wojny i Pokoju" odnosił się do Francji z takiemi uczuciami, z jakiemi bohaterzy jego powieści do obłędnej inwazji Napoleońskiej w r. 1812. Aljans z Francją nazywa nieszczęsnem, poronionem, godnem potępienia i ubolewania największem nieszczęściem, „miłość Rosjan do Francji — kłamstwem" i „kłamstwem nienawiść Rosjan do Niemców". To są ipsissima verba największego genjuszu pisarskiego, jakiego Rosja wydała i bądź co bądź

jednego z najciekawszych umysłów ludzkości, choć coprawda w ostatnich latach mocno mistycyzmem chłopskim zamroczonego. „Wiemy dobrze wszyscy, że nie żywimy, jako naród, do Niemców żadnej nieprzyjaźni i nigdy nie żywiliśmy przedtem". To jest niesłychanej wagi deklaracja nie z ust przemijających dygnitarzy dworsko - carskich, lub sowiecko - jewrejskich, ale z ust człowieka, który był Rosją, który miał Mojżeszowy mir w swem plemieniu.

Kiedy już poznaliśmy realne i wizyjne odniesienie się największego pisarza rosyjskiego do Niemiec i do Rosji i kiedy uświadomiliśmy sobie, że sytuacja Polski jest jak glinianego garnka między żelaznemi, lub jak ziarna między dwoma kamieniami młyńskiemi, przypomnijmy sobie teraz kolejno najaktualniejsze jasnowidztwa Krasińskiego na tle atoli francuskich, mało znanych ogółowi polskiemu głosów, stwierdzających żelazny mus przyjaźni polsko-francuskiej dla uratowania cywilizacji i ładu na kontynencie.

Pisze Krasiński w liście do W. Ks. Stefanji Badeńskiej (r. 1854):

„Ta biedna Polska, o której nikt nie mówi ani słowa jest naprawdę kluczem sklepienia przyszłej równowagi Europy Zwycięży ten, kto ją potrafi przywrócić do życia..."

A w liście-memorjale do papieża Piusa IX-go:

„Polska ginąc zostawi świat na pastwę europejskiej anarchji i wschodniego barbarzyństwa, oboje będą nieuniknione. Anarchja europejska, rozdzierając się własnemi rękami, ułatwi spełnienie bezbożnych marzeń wschodniego barbarzyństwa. Ukaże się na horyzoncie sztandar moskiewski, będzie rósł, będzie się przybliżał, a w Europie ludzie skalani krwią swoich braci uwielbią te godło azjatyckiej idei wśród zwalisk, jakich sami narobią, aż ich obejmie szał Kaina i zbydlęcenie Nabuchodonozora..."

Jak było rok temu? Na horyzoncie sztandar moskiewski. Bosiacka armja Tuchaczewskiego... i czerwonych atamanów... Tołstojowski „reformator mongolski" szedł na Europę, rósł, przybliżał się... Monachjum, Budapeszt przeszły już przez „szał Kaina i zbydlęcenie Nabuchodonozora..." Niemcy skalani krwią swoich braci, nie taili się z uwielbieniem nadchodzącego reformatora mongolskiego... I wtedy czytało się nawet w najbardziej wrogich lub obojętnych pismach: „Ta biedna Polska,

o której nikt nie mówi ani słowa (dobrego!), jest naprawdę kluczem sklepienia przyszłej równowagi europejskiej". Nawet dyszące i dławiące się nienawiścią do nas berlińskie blatty musiały to przyznać, że polsko-francuskie współdziałanie militarne, dzielność kilku generałów polskich zgrupowanych koło Weyganda i jego sztabu, poryw bohaterski młodzieży i inteligencji uratowały Europę. Polsko-francuskie współdziałanie. A czyż do tej przyjaźni nie wzywały jednego i drugiego narodu wszystkie wielkie duchy i umysły polskie i francuskie, na przestrzeni kilku wieków historycznych. Nie będziemy tu recytowali głosów polskich, bo na te chyba w ostatnich latach dostatecznie wskazywano, ale korzystając z okazji przytoczymy kilka dotąd zdaje się nieznanych ogółowi głosów wielkich Francuzów. Z Montalambertem i Lammenem Krasiński był w zażyłych stosunkach w domu Ankwiczów. I oto co pisał Montalambert:

„Polska zginąć nie może; cokolwiek przeciw się pocznie, nie ulegnie ona; co wczoraj działała, jutro rozpocznie na nowo; co przed piętnastu laty zrobiła, to znowu zrobi za lat piętnaście i za to, co zniosła przed laty ośmdziesięciu, poszuka odwetu, za lat ośmdziesiąt będzie po jej stronie".

Wielki historyk, w którym rozczytywał się Krasiński, Michelet tak sformułował współdziałanie francusko-polskie, które w r. 1920 uratowało Europę przed wielkim reformatorem... z Mongolji.

„Francja była zawsze żołnierzem cywilizacji, a w czasie gdy Francja pracowała nad ideami filozoficznemi, z których wyjdzie przyszła ludzkość, Polska strzegła granicy".

W małoznanych Micheleta: „Les Legendes democratiques du Nord" (1855) pisze z wieszczą intuicją:

„Co niesie światu Rosja pogrążona w barbarji, nieznająca prawa ani miary? Nic dobrego! Rosja przejmuje od nas wyłącznie zło. Przyciąga ona i wchłania wszystką truciznę Europy. A potem przetwarza ją i zwraca jeszcze bardziej gryzącą i zabójczą...

Kto uzna, kto dopuści Rosję, ten uzna i dopuści cholerę rozkład i śmierć.

Wczoraj mówiła nam Rosja: *Jam jest chrześcijaństwo*. A jutro powie nam: *Jam jest socjalizm*. I będzie nam zachwalała swój komunizm, jako nowy ustrój społeczny. Zaś komu-

nizm jest poprostu stanem duszy rosyjskiej, zależnym od właściwości rasy i klimatu.

„Rosja stanie bezbronna wobec poduszczeń złego ducha. Ciemny i bezwładny umysł rosyjski nie potrafi utrzymać się na pochyłej równi zwątpienia. I oto — pisze Michelet w natchnieniu proroczem — ujrzemy widok przerażający, ujrzemy demagogję bez ducha, bez uczuć ludzkich i bez skrupułów, ujrzemy naród, który, zatraciwszy swą własną duszę i wolę, dźwignie się, jak ślepy olbrzym i pójdzie na zachód, ruchem automatycznym zgalwanizowanego trupa, szerząc dokoła siebie grozę i śmierć.

A wtedy któż ocali Rosję od piekielnego zatracenia, kto zasłoni Europę od zetknięcia z oszalałym i pijanym olbrzymem?

Któż, jak nie biedna, nieszczęśliwa Polska...“

Ale może najpiękniej wyraził to wielki pogrobowiec romantyzmu w swych gorzkich „Chants du crépuscule“ wierszem:

„Seule au pied de la tour d'où sort la voix du maître
Dont l'ombre à tout moment au seuil vient apparaitre
Prête avoir en bourreau se changer ton époux,
Pâle et sur le pavé tombée à deux genoux,
Triste Pologne! hèlas! te voilà donc liée,
Et vaincue, et déjà pour la tombe pliée!
Hélas! tes blanches mains à défaut de tes fils,
Pressent sur ta poitrine un sanglant crucifix.
Les Baskirs ont marché sur ta robe royale
Ou sont encore empreints les clous de leur sandale
Par instants une voix gronde, on entend le bruit;
D'un pas lourd, et l'on voit un sabre qui reluit;
Et toi, serrée au mur qui sous les pleurs ruisselle
Levant tes bras meurtris et ton front qui chancelle
Et tes jeux que déjà la mort semble ternir,
Tu dis: Françe, ma soeur! ne vois-tu rein venir?”.

Prozą zaś w listach z Belgji, z wygnania pisał V. Hugo, co następuje:

„Dwa tylko narody wśród wszystkich od czterech wieków pełniły w cywilizacji europejskiej służbę bezinteresownie. Te dwa narody to Francja i Polska. Francja rozpraszała ciemności, Polska odpierała barbarzyństwo (La France dissipait les ténèbres, la Pologne repoussait la barbarie). Naród francuski był misjonarzem cywilizacji w Europie, naród polski był jej rycerzem. Gdyby naród polski nie był spełnił swego zadania, także naród francuski nie zdołałby się wywiązać ze swego”.

Le Boskirs ont marché... La Pologne gardait la frontière... repoussait la barbarie... Tak pisali Michelet, Hugo...

Ale to byli poeci, intelektualiści, myśliciele, powie ktoś, nie przykładający zbytniej wagi ni do politycznych wizji Tołstoja, ni do uczuciowych wybuchów V. Hugo. Ale czy na przestrzeni czterech wieków historycznych są także głosy realnych polityków, które stwierdzały żelazny mus aljansu Polski z Francją? I tu znów nie będziemy powtarzali oświadczeń i enuncjacyj już tylokrotnie cytowanych, ale powołamy się na mało znany głos tak genjalnego męża stanu i finansisty, jak Colbert... W liście do Ludwika XIV jest taki ustęp:

„Oświadczam Waszej Królewskiej Mości, że uczta zbyteczna, która kosztuje trzy tysiące funtów, sprawia mi przykrość niezmierną, ale gdy chodzi o miljony złota dla Polski, sprzedałbym całe swe mienie, dałbym w zastaw majątek żony i dzieci, a gdyby trzeba było, chodziłbym pieszo całe życie, byle dostarczyć tej pożyczki".

Jak na zimnego ekonomistę bije z tych słów, egzaltacja gorąca, mającą zresztą swoją analogję w równie gorącej egzaltacji, z jaką nasz wielki ekonomista i mąż stanu, S. Staszyc, pisał ongiś o układzie handlowym Polski z Francją...

„Traktat handlowy z Polską niósłby nieskończone dla Francji użytki. Polska, tak kraj rozległy, do piętnastu miljonów mieszkańca rachujący, nie ma dotąd znacznych fabryk, prócz sukien ordynaryjnych w Wielkopolsce i prócz płócien podgórskich i pojazdów warszawskich. Wszystkie cienkie sukna, muśliny, płótna cienkie, batysty, perkale, wszystkie korzenie, wina, oliwy, oliwki, zgoła wszystkie towary bawełniane, jedwabne, przez handlowe z Francją związki brałaby Polska prosto z Francji, a natomiast dostawiać Francji może potaże, seletry, drzewa okrętowe, pinki, liny, płótna żaglowe, łoje, miody, woski, skóry, wełnę, zboża różne, rozmaite towary surowe przerobienia potrzebujące. Zgoła najzyskowniejszą część handlu Anglji z Moskwą Francja przez Polskę dla siebie zyskać może.

Waleczny Narodzie! przestrzegam użytkuj z czasu. Już masz punkt na twojej własnej ziemi do zbrojenia się i do zbioru. Działajże cały, jak tylko możesz, i właściwemi, i niewłaściwemi, i jawnemi, i skrytemi sposoby. Starajcie się wszyscy, by was się jak najwięcej uzbroiło, by w najgorszym nawet wypadku, jeżeli nie zupełne polityczne jestestwo, mogliście sobie przy-

najmniej z orężem w ręku zapewnić narodowość, własny język, narodowe prawa i urzędy. Od wieków równieście dzielnymi, jak Węgrzyn Srom dla Was wieczny, gdybyście teraz nie odzyskali przynajmniej i niepodległości. Tylko nikczemny, będąc uzbrojonym, powraca znowu w haniebną niewolę"...

Tak pisał St. Staszyc w r. 1790 w „Przestrogach dla Polski" i dziś aktualnych, otóż tych kilka wybranych głosów polskich i francuskich mniej zdaje się znanych, mimochodem należało sobie znów przypomnieć, aby uwydatnić, jak jasno orjentował się genjusz Krasińskiego w sytuacji politycznej europejskiej i na jak solidnych podstawach trwałej rzeczywistości, geograficznej terytorjalnej rzeczywistości oparte są proroctwa Krasińskiego.

„Zwycięży — pisze do ks. Badeńskiej — ten, kto ją potrafi przywrócić do życia. I tu muszę wyznać, że daleka odemnie obawa, znikła zupełnie. Bałbym się raczej żebyśmy w niedługim czasie nie mieli kłopotu różnych Polski rozmaitych. Będą między niemi fałszywe, będą i prawdziwe. Mogłaby być jakaś Polska niemiecka, idę dalej, mogłaby być i Polska rosyjska. Car w opałach mógłby w ironji swej hipokryzji, albo w ironji swojej rozpaczy posunąć się do ogłoszenia jakiejś Polski"...

To było pisane 8 marca w r. 1854... Przewidziane wszystko. Odezwa wielkoksiążęca i akt listopadowy. I Polska „niemiecka" i „rosyjska" byłyby fałszywe. Ale „będą i prawdziwe".... A jeszcze w innym liście do jednego z przyjaciół (r. 1856): ‚Minie jeszcze wiele lat mąk i cierpień bez liku, naród nasz wycierpi tak straszne katusze, że o nich nie śniło się nikomu. Ale po wielu latach przyjdzie wielka wojna, w której wezmą udział wszystkie prawie narody Europy, a która głównie będzie się toczyła w naszym kraju... I kraj jak długi i szeroki spłynie łzami i krwią — zniszczenie, pożogi, wyludnienie przejdzie wszystko co dotąd naród wycierpiał. Ale wówczas i Bóg na pohańbienie dobrych ludzi, a większą chwałę swoją, każe Szatanowi odbudować Polskę i ci, co ją rozszarpali, walczyć będą na drgających jej członkach, wyrywając ją sobie nawzajem i licytując, kto uczynił więcej dla jej wskrzeszenia"...

Kto uczynił więcej dla jej wskrzeszenia? Licytowali! W uszach jeszcze mamy mowy majowe Wirtha i L. Georg'a, przed oczyma protest rosyjskiego paryskiego Komitetu przeciw

pokojowi ryskiemu. Wirth twierdził, że to „szatan“ niemiecki, a Kiereński, że to Rosja republikańska „odbudowały Polskę“.

Tymczasem w lipcu 1848 r. pisał znów Krasiński:

„Moskwa i rzeczpospolite czerwone będą grasowały naprzemian przez świat. Ni jednym, ni drugim nie powinniśmy hołdować, ale walczyć do ostatniego za ocaleniem zacności na ziemi. Tem, nie czem innem zwyciężym i świat i śmierć“.

A w „Polsce wobec Europy“ pisze Z. Krasiński:

„Ona jedna skoro odbudowana, może ocalić świat zarazem i od podboju moskiewskiego i od wybuchu rewolucji społecznej, pierwsze bowiem nastąpi nieodzownie w skutku drugiej. Lecz druga się nie zdarzy, skoro pierwiastek władzy odzyska w świecie szacunek i wdzięczność“.

Te proroctwa Krasińskiego już się wypełniły. Nie „niemiecka“ i nie rosyjska“, ale przez Sprawiedliwość „skoro odbudowana“ Polska ocaliła świat i od podboju choćby tyko ideowego mongolskiego reformatora i od wszechświatowej rewolucji społecznej, gdyby były połączone siły rosyjskich i niemieckich czerwonych armij stanęły rok temu nad Renem. Cały świat byłby się musiał poddać reformom mongolskim, gdyby nie polska tama, o którą się rozbiły i rozprysły armje „Napoleona z północy“... Już to wszystko groziło „w dniu wczorajszym“ („Dzień dzisiejszy“):

„Bagnetów tysiące, działa, lonty tlące
Wśród dział trony i korony
Flag purpury...
I żelazo tych żołnierzy
Uderzy, uderzy w chłopów ród..
I będzie się pasowało
Z ślepem ciałem ślepe ciało
Z brudem brud
I będzie świat cały nad grobowym progiem
Bez Boga... Ostatnim mu bogiem wszechtrwoga
Przed strachu bałwanem zgniją ludzie serca.

Przypomnijmy sobie Tołstoja spokojne i pogodne wróżenie nadchodzącego „władztwa“ t'my i „graduszczego chamstwa“... Zalotnica finansjera podpala pochodniami swemi całe rusztowanie cywilizacji, a wielkiemu nihiliście „wsio rawno“, nie sprzeciwiać się złu. Byle zniszczyć to, co w „górnolotnych słowach“ (Tołstoj w „Revue blanche“) nazywa się cywilizacją i kulturą. Byle już nadszedł wielki reformator mongolski.

Tołstoj miał dar jasnowidzenia nietylko w tem, co pisał w r. 1894. Na kilka godzin bowiem przed śmiercią podyktował Tołstoj swej córce, obecnie kuratorce Domu Tołstojowskiego w Jasnej Polanie rodzaj testamentu wizyjnego, z przepowiednią przyszłych wydarzeń historycznych. Drukowane to było najpierw tajnie, kursowało po Rosji, w odpisach zamieściło po raz pierwszy holenderskie pismo „Wereldkronick" z 5-go września 1914 roku, poczem obecnie przypomniano je w Niemczech.

W apokaliptycznym nastroju utrzymana jest ta wspaniała alegorja przyszłości z ust umierającego starca.

„Oto nachodzi mnie wizja nadchodzących wypadków, mogę omal dokładnie widzieć groźny ich obraz.

Nad oceanem ludzkich losów dostrzegam zarysy wielkiej obnażonej niewiasty. Jej piękność, jej uśmiech, jej klejnoty, urok którym promienieje nie dadzą się z niczem porównać. Narody ziemskie oblegają ją, każdy z narodów chciwy, aby jej łaski zaskarbić. Ale ona prawdziwa zalotnica, wszystkich obałamuca. W jej włosach błyszczą diamenty, perły, rubiny, a w diademie nad jej czołem można czytać jej nazwę: Finansjera (Komercjalizm). Piękną jest i pożądaną, ale za nią idą cierpienie i zniszczenie. Jej głos ma metaliczny dźwięk złota, a jej spojrzenia rozpustne zatruwają narody, padające ofiarą jej piękna. W rękach trzyma trzy pochodnie, w których iskry gotowe cały świat podpalić. Pierwsza pochodnia to pochodnia wojny, z którą piękna niewiasta biegnie od miasta do miasta. Rozpala najpierw patrjotyzm, ale z niego wyradza się coś groźnego, nigdy nie dającego się ominąć w huku dział i szczekocie ognia karabinowego. Druga pochodnia — obłudy i samochwalstwa. Tą podpala lampy w świątyniach i na ołtarzach uświęconych instytucyj. Z tego jednak wyłania się tylko fałsz i fanatyzm. Ona to zatruwa życie ludzkości od kolebki do mogiły. Trzecia pochodnia jest pochodnią nienawiści, rodzącej się z fałszowanej moralności, jaką przepojone jest życie rodzinne i całe życie publiczne, wreszcie cała literatura, sztuka i polityka.

Wielki pożar światowy wybuchnie koło roku 1912, podpalony pierwszą pochodnią w południowo-wschodniej Europie. W r. 1914 rozwinie się ten pożar do rozmiarów katastrofy światowej. Widzę teraz całą Europę w płomieniach i we krwi. Słyszę skargi z rozszerzonych w niezmierność walki. Ale

w r. 1915 ukaże się na scenie światowej od strony Północy jakiś nowy Napoleon. Nie będzie miał żadnego wykształcenia militarnego, będzie to pisarz, albo dziennikarz, ale w jego władztwie zostanie większa część Europy do r. 1922. Pożoga wielkiej wojny rozpocznie dla Europy nową polityczną erę. Nie będzie już ni cesarstw ni królestw, ale utworzy się związek wszystkich państw świata podobny do Zjednoczonych Stanów Ameryki. Zostaną właściwie tylko cztery wielkie narody: Anglosasi, Romanie, Słowianie i Mongoli. Po r. 1925 widzę ogromne zmiany w życiu religijnem.

Trzecia pochodnia w ręku tej niewiasty już rozpoczęła dzieło podkopywania życia rodzinnego i niszczenia naszych pojęć o sztuce i moralności. Ustosunkowania kobiety i mężczyzny będą odtąd ujmowane wyłącznie jako prozaiczna asocjacja płci. Sztuka zaczęła się już wyradzać, polityczne i religijne wstrząsy zachwieją duchowemi podstawami wszystkich narodów. Wojna narodowości w Europie, walka klas w Europie a spory rasowe w Azji cofną w tył kulturalny rozwój świata o cały wiek. Ale teraz w połowie wieku widzę jak z szeregów romańskich powstaje wielki bohater sztuki i literatury, a ten świat oczyści ze wszystkiego, co przestarzałe i złe. Promieniujące światle symbolizmu zaćmi światła wielkiej zalotnicy Finansjery. Na miejsce poligamji i monogamji przyjdzie poetogamja, ustosunkowanie się płci kierowane poetycznemi pojęciami.

Widzę teraz, jak narody stają się mądrzejsze i lepsze. Nadchodzi czas, kiedy narody już nic nie będą chciały słyszeć ni o armjach, ni o obłudzie, ni o zwyrodniałej sztuce. I wtedy też pojmą, że niewiasta zalotnica była tylko iluzją. Życie bowiem całe jest ewolucją, a ewolucja postępem od form prostych do form złożonych. Widzę jak dramat świata tego w jego dzisiejszym kształcie rozpływa się jako złotość zachodzącego słońca „za szczytem pasma górskiego“.

Jak widzimy z tego obraz potężny, aczkolwiek pod koniec rozpływający się w chaotycznej, nieco mętnej i dosyć płytkiej frazeologji. Rok 1912 i 1914 przepowiedziane ściśle. Nie spełniło się marzenie o Napoleonie z Północy... Niektóre cesarstwa i królestwa jeszcze są. Utrzymało się cesarstwo Indyj i królestwo Anglików, tych „Moskali morza”, jak ich nazwał Krasiński. Narody nietylko nie zespoliły się w cztery wielkie, ale zróż-

niczkowały w całym szeregu upaństwowionych „narodów małych”. Niektóre ustępy w tej wyroczni nie pozbawione są groteskowości... Wśród czterech narodów wielkich zapomniał Tołstoj o... Germanach, do których, wedle słów jego, Słowianie „nie czują żadnej nienawiści”. Ustosunkowanie płci raz jest prozaiczne, to znowu przechodzi w... poetogamje... Finansjera czy komercjalizm ma się okazać... iluzja... Symbolizm zabijający komercjalizm... i t. p. Są to atoli szczegóły drobne i mniej znaczące. To nie była domena, w której indywidualność Tołstoja wypowiadała prawdy niespożyte.

Ponieważ Tołstoj był najwięcej genjuszem i reformatorem etycznym, przeto najważniejszem jest to, co mówi i wróży w tej dziedzinie. Po wojnie i po katastrofie europejskiej „idee etyczne wyginą prawie zupełnie, ludzkość znajdzie się bez poczucia moralności“. Koniec monoteizmu, początek kościoła panteizmu. „Ale wtedy powstanie i zjawi się wielki reformator” ...„i będzie z pochodzenia mongołem“... Aby uchylić resztki niejasności i tajemniczości dopowiada Tołstoj dokładnie: „On już teraz żyje na świecie, ale jeszcze nie ma świadomości tego wielkiego zadania, które nań czeka”...

Czyż nie musi się tłuc po głowach rosyjskich czytelników Tołstoja, że to Lenin?

Wielki myśliciel rosyjski odrodzenia etyki i moralności po wojnie spodziewa się i oczekuje od jakiegoś wielkiego reformatora z Mongolji... Przyjaźń Rosji z Francją jest kłamstwem, a początek „nowej epoce, epoce pokoju“ daje Mongoł... To, co dla każdego Europejczyka jest synonimem barbarzyństwa, od tego największy genjusz rosyjskiego narodu oczekuje ratunku dla etyki i moralności europejskiej. Nie dla cywilizacji i kultury i „tego wszystkiego, co te górnolotne słowa znaczą“, a dla etyki i moralności i aby „uwolnić świat od resztek monoteizmu“, a położyć fundament pod kościół panteizmu“...

Reformator mongolski... Marks mongolski... Właśnie widzimy go przy pracy, przy kładzeniu fundamentów pod kościół panteizmu na gruzach monoteizmu... wnoszącego nową moralność w Europę... wysyłającego manifesty i apostołów do miast europejskich... sypiącego setki miljonów na propagandę komunistyczną. Tylko jeszcze monoteistyczna Polska stoi na przeszkodzie wielkiemu mężowi w Mongolji... Rok temu próbował, podrażniony lekkomyślnie w swych ambicjach reformatorskich,

odwalić i tę zaporę... Pozornie przeciwstawiając się nawet zbrojnie i wyzywająco mieli mu w tem dopomóc polscy krypto-zwolennicy i wyznawcy mongolskiego panteizmu. Stało się inaczej. Bohaterski wysiłek od setek lat duchem zachodu żyjącego społeczeństwa polskiego, w którem ofiarność inteligencji porwała swym przykładem rzeszę katolickiego ludu przy współudziale i pod kierownictwem tych Francuzów, których „przyjaźń do Rosji jest — wedle słów Tołstoja — kłamstwem" uratował Europę przed reformami mongolskiemi.

Tego momentu w swej wizji przedśmiertnej nie przeczuł wielki europejsko i światowo sławny genjusz rosyjski, ale przeczuł go i przepowiedział, jak się to okaże, nasz poeta, najmniej w swej ojczyźnie popularny, najmniej czytany, najmniej „propheta in sua patria", Z. Krasiński.

W liście do Trentowskiego Z. Krasiński pisał:

„I przyjdzie knut i padną na kolana przed nim znękane i znużone bratobójstwami europejskie ludzie. A w oną porę zstąpi sąd wielki, święty, sąd Boga wiekuistego przeciw Moskwie. Knut w samej chwili triumfu rozpryśnie się. Przez czerwonych — króle i książątka, przez knut—czerwoni, przez Boga i Polskę knut przepadnie! Odmęt sądów będzie się ciągnął..." i tak długo będą jedni sądzeni przez drugich, karani nawzajem, aż... świat cały wróci do miary i prawdy, a w on dzień przybierze wszędzie dawny kształt Polski... Byleby naród w mierze i zacności dotrwał, byleby zemsty nie przeniósł nad żywot..."

Uważajmy na to memento: byleby naród w mierze dotrwał ...i w zacności. I byleby zemsty nie przeniósł nad żywot... Zemsty... Więc nie iść dalej... jak się chce i gdzie się chce i bić jak się chce i kogo się chce... ale dotrwać w mierze... Państwo mongolskiego reformatora samo się wyniszczy i przepali, bo komunizm w praktyce przeprowadzany musi zbankrutować. W liście do Małachowskiego czytamy:

„Komunizm szaleństwem! Stan komunistyczny państwa może być celem, ku któremu ciąży historja świata... by nie być najstraszniejszą ironją, najszaleńszym despotyzmem, musi nastać dopiero w dni owe, gdy Chrystusowe oświecenie wszystkich uświęci. Poprostu, to reguła klasztorna, do społeczeństwa całego zastosowana. Dziś pytam, czy ją można, czy podobna zastosować i czy ją lud zrozumie? Lud właśnie tylko własność zrozumie... a nie wyzucie z wszelkiej własności. Trzeba przy-

jąć za zasadę prawo, nadające własność włościanom gruntów przez nich uprawianych i posiadanych".

To było pisane jeszcze wcześniej, bo 12 marca 1846 r.! A spełnia się właśnie dopiero teraz, „w dniu dzisiejszym!" Czyż można lepiej sprecyzować stanowisko, jakie Polska zajmie wobec burzy i zawieruchy socjalnej, idącej huraganicznie od Wschodu, jak tego dokazał Z. Krasiński w „Polsce wobec burzy"? Przypomnijmy to sobie, konfrontując ciągle z przedzgonnem majaczeniem L. Tołstoja.

„Świat się ku zamętowi stacza. Czuję zawczasu pęd nadchodzących burz, wpijam się nerwami w niedalekie jutra i jad ich wszystek przyjmuję. Same moce niebieskie według przepowiedni Chrystusowej będą wstrząśnięte w każdym z nas; wiara w opatrzny sąd Boga, miłość bliźnich, ojczyzny, ludzkości, zacność, cnota, odwaga, cześć. Te wszystkie sumienia ludzkiego anioły nagle odlecą od wielu sumień, lub jeżeli zostaną to pijane od boleści i okropnych wrażeń. Podłość wielka nastanie. Moskwa czyhająca na rozkład cywilizacji zachodniej azjatycką stopą nastąpi na Europą i da jej knut do pocałowania. Moskwa przekonana, że nic jej się nie oprze, zacznie grasować a tak obmierźle, że obudzi ostatnią rozpacz w Europie. Od tej chwili dopiero zaczną nawracać się myśli ludzkie ku zacnym, ku cnotliwym, ku dzielnym. Szukać będą po świecie poczciwego człowieka, szukać będą narodu, któryby się zachował jako ludzki wśród obłąkanej i rozhukanej na ten czas ludzkości..."

To pisał polski wizjoner, kiedy w Rosji panował Aleksander II, kiedy cesarska Rosja była świetnie przez Niemców zorganizowanym mocarstwem militarnem, kiedy w rosyjskiej umysłowości i twórczości nie było jeszcze ani przebłysków ideologji komunistycznej, a kiedy natomiast pierwsze zaczątki tego programu pojawiły się we Francji, w Szwajcarji, wśród Polaków grupujących się w „Nowej Polsce" I. P. Ostrowskiego (1833) na emigracji, no i wreszcie w r. 1848 w manifeście powstańczym krakowskim...

Krasiński jednakże genjalną intuicją wiedziony przeczuł proroczo, że, „komunizm to idea raczej wschodnia, niż zachodnia" (mimo Babeuf'a i terorystów rewolucji, mimo rozruchów w Anglji i meetingów liońskich i genewskich, mimo r. 1848 w Paryżu) i na rewolucję i na Rosję miał pogląd może pokrewny Chateaubriand'owi („Męczennicy"), ale i Szyllerowi. Jak

Szyller wywróżył w „Demetriusie" ustami Sapiehy, że Rosję tylko Rosja zwyciężyć może, tak i Krasiński pisał w „Dniu Dzisiejszym":

„Więc dla nas wynajdź jakby kształt caratu
Więc podnieś Moskwę jakby do kwadratu
A taką Moskwą obalisz Moskala
Piekłem na piekło..."

Moskwa podniesiona do kwadratu, to Moskwa czrezwyczajek i teroru sowieckiego, wobec którego zbladł teror groźnych Iwanów, Piotrów, Mikołajów i Aleksandrów.

„Bo oczywiście komunizm tyraniją
Ni takiej znają niewoli na świecie
Ci, których Turek, albo Chińczyk gniecie.
Przed komunizmu dopiero obliczem
Każda jednostka w społeczeństwie — niczem.
Własność przepada — twe włosy, twa skóra
Nie twe, lecz rządu — to mi dyktatura!..."

Jak widzimy z tego tyraństwo i satrapję dzisiejszego rządu bolszewickiego Faust polski przewidział również i to dość ściśle, nie mogąc mieć jeszcze empirycznie żadnego przykładu tego stanu, w jaki wyradzają się najwznioślejsze idee równości i braterstwa. W stosunku do własnej ojczyzny żywił Krasiński, oczywiście, idealizację emigracyjną, widząc w niej przez szkła martyrologji tylko: zacność, cnotę, dzielność, poczciwość i hart niezłomny. Wyolbrzymianie tych dodatnich i wzniosłych przymiotów dochodziło w nim do przyznawania jej tego, że „ziarno boskości uchowało się tylko w tym narodzie", że Polska była „Chrystusem narodów", który w dniach wielkich rewolucyjnych przemian, przerodzin, przesileń, w „epoce paraklетycznej", mówiąc słowami V. Hugo: „pressent sur poitrine un sanglant crucifix", pełni swą misję historyczną „repoussait la barbarie". Zdawał sobie jednakże sprawę ten wielki myśliciel że tej misji polskiej „Zachód nie pojmuje dostatecznie", że trzeba to wytłumaczyć Zachodowi „jasno, dobitnie, jak dziecku lub jak zgrzybiałemu starcowi", że trzeba w tym kierunku rozwinąć specjalną „propagandę zagraniczną", której program najdetaliczniej naszkicował w „Polsce wobec Europy (1856), gdzie są takie naprz. trzy punkty:

I. „Dowieść, że Polska zarówno pośmiertnie jak i przed zgonem posłannictwa swego dopełniała i przedziela własnemi

mękami świat ogłady i światła (według Tołstoja górnolotne słowa) od świata barbarzyństwa i ciemności".

II. „Udowodnić niechybną zgubę, grożącą Zachodowi, jeżeli polskiej sprawy nie pojmie rozumem, nie uzna sumieniem i nie wesprze czynem, jeśli pozwoli siłom polskim wyczerpać się i zaginąć pod parciem niezmiernego, całkiem pogańskiego nacisku (wedle słów Tołstoja: panteizmu, reform mongolskich i poetogamji)".

III. Ujawnić, że nieskończoność krzywdy Polsce zadanej czyni ją pierwowzorem wszystkich pokrzywdzonych narodów".

Ten program propagandy zagranicznej Z. Krasińskiego i dziś jeszcze nic nie zatracił ze swej pozytywności i aktualności, tembardziej, że chociaż pojmowali sytuację naszą strażniczą, cywilizacyjną i naszą misję historyczną wielcy Francuzi, od Colberta począwszy, Lammenais, Montalambert, Michelet, Saint Beuve, Renan, G. Sand, Lemaitre aż do wielu dzisiejszych publicystów, polityków i profesorów francuskich, to jednakże bagatelizowała polski guardianship Anglja, narzucająca nam granice Curzona, upokarzająca nas w Spaa, wypędzająca nas od morza i od węgla i czołgająca się przed tą tołstojowską wielką zalotnicą, trzy pochodnie dzierżącą, przed międzynarodową „Finansjerą".

Wkońcu musimy podnieść jeszcze jedno: memento z tego jakby testamentu naszego istotnie wieszcza i istotnie wielkiego Europejczyka, jakim był w każdym calu, w każdej myśli swej Z. Krasiński.

„Jedność narodu polskiego jest miarą, według której świat o nim sądzi"... (Polska wobec Europy r. 1856)...

„Jeśli pod tym względem dopatrzy się w niej Europa śladów rozchwiania, od jej sprawy się odstrycha. Jeśli przeciwnie widzi w niej całość nienaruszoną szanuje ją, bo się od niej wiele spodziewa"...

„Polak żaden, do jakiegobądź stronnictwa należy, nie ma prawa z duchem wyłącznym i ograniczonym tego stronnictwa stawać przed światem, bo ten duch nie siłę ale słabość Polski w nim stanowi. Jego obowiązkiem nie rozwiąz, ale spójnię narodową objawić Europie; Europa bowiem z tą rozwiążą żadnego przymierza zawrzeć nie zdoła; z tą spójnią tylko w stosunek wejść może"...

Ważne słowa, jasne, mądre, proste. Ważne słowa, groźne,

bolesne, ostrzegawcze. Powiedział je człowiek proroczy, bardzo niepartyjny, niezwykle neutralny autor „Nieboskiej", nieszczędzący słów prawdy warstwie, z której wyszedł organicznie, pan z panów, grandseigneur i wielki artysta...

W czyjej wizji proroczej była prawda przyszłości: grafa polskiego, czy grafa rosyjskiego?

Jeżeli prawdę chcemy mieć po naszej stronie, winniśmy te słowa Krasińskiego głęboko dziś wziąć sobie do serca. I to wszyscy... bowiem peccatur extra muros et intra.

A nazywał siebie Krasiński: „Kasandrą niesłuchaną".

„SKAMANDER POŁYSKA, WIŚLANĄ ŚWIETLĄCY SIĘ FALĄ”...

Dyrekcja „Skamandra” zaryzykowała zaproponowanie mi wydania i wypowiedzenia mojego osobistego zdania i opinji o dzielności i bitności pancernego hufu młodych, zrzeszonego pod błędno - gwiaździstym sztandarem: „sztuki dla tłumów”, „sztuki dosięgającej bruku”, sztuki... vulgivagicznej. Sprężysty impressario domaga się choćby impresji, ale z ekspresją, *con fuoco, sine ira, sine restrictione*. Nadomiar dobrego ekspert przygodny winien wypowiedzieć swój monolog właśnie na łamach monitora najmłodszych jasno, prosto, szczerze, ekscentrycznie i egocentrycznie. *All-right*. Z rozkoszą. Jest to wprowadzenie konia trojańskiego w śródmieście Iljonu, który podmywa Skamander. Może z tego być pociecha i może się to okazać pocieszne. W każdym razie pomysł oryginalny, godny stylu i szyku naszych Skamandragonów. Nietylko się nie ociągam, ale pośpieszam z ochotą, aby rozlać na papier to, co mi oddawna na sercu i na wątrobie leży. Czynię zadość propozycji tem śpieszniej, że widzę z przykrością zarysowujący się w ostatnich czasach całkiem niepotrzebny i bezecnie przypadkowy konflikt między pewną częścią w błąd wprowadzonego społeczeństwa i opinji publicznej a tą dziarską plejadą pełnej krwi talentów. Choć człowiek z obozu pogardliwie zwanego „dwuch groszy”, nie waham się ni chwili wtrącić w ten spór między moim obozem a Skamandruhami swoich trzech groszy, aby w miarę sił przyczynić się do załagodzenia konfliktu, do rozjaśnienia pewnych niejasności i nieporozumień, aby powiedzieć kilka prawd gorzkich i słodkich na prawo i lewo, aby przy tej okazji przesympatycznej grupie po mentorsku przypomnieć kilka kardynalnych prawd Sztuki i... sztuki życia, równocześnie zaś odse-

parowawszy się, skarcić niefortunną i niezgrabną kampanję, wszczętą ni przypiął ni przyłatał, ni w pięć ni w dziewięć, ni z racją ni z gracją przez jednego z moich politycznych współcombatantów, przeważnie atoli memu obozowi w dziedzinie kulturalnej oddawna już niedźwiedzie przysługi oddającemu.

Iście dionizejskiej grupie Skamanderwiszów można dzisiaj, kiedy te niemowlęta zaczynają dopiero łysieć, żenić się i rozmnażać, już zarzucić i nasromosłowić bardzo wiele, ale wszystkie crimina zbledną wobec jednego bardzo zasadniczego, z którego trudno im będzie się usprawiedliwić, a mianowicie, że przyszli oto do nas cokolwiek zapóźno. Jak zawsze wszystko w Polsce, spóźnili się krągło o lat dziesięć. Oczekiwaliśmy ich już przed wojną europejską, wtedy, kiedy nad zachodnio-europejskiem piśmiennictwem nadobnem jaśniały pełnemi blaskami słońca Verhaerena i Whitmana. Przypomnijmy sobie, my, co tak wszystko szybko zapominamy, że wielki dytyrambista życia doczesnego, że twórca „Jutrzni” był przecież w Warszawie i że miał tu prelekcję publiczną, która powinna była wstrząsnąć młodzieżą intelektualną,—a jednak nie wstrząsnęła. Przypomnijmy też sobie przy okazji nadarzonej wogóle jak to w zarysach szkicowych przedstawiał się wizerunek piśmiennictwa na godzinę przed wojną. Przeżywało się wonczas z pełną świadomością i przeczuciami nadchodzących kataklizmów agoniczne czasy zapadającego się „skapanego” świata i kończącej się dawnej cywilizacji. Przeżuwało resztki uczty zastawionej przez Młodą, ale srogo już podstarzałą Polskę literacką. Teatry ogrywały zbożnie post-romantyczne polityczne wizje Wyspiańskiego, Kasprowicz raz po raz zawodził *requiem* ginącemu światu, na czwartakach pochłaniano ciężarne jasnowidzącą erudycją foljały nieodżałowanej pamięci Brzozowskiego, Reymont i Żeromski zapuszczali się mniej lub więcej fortunnie w głębiny dziejowości polskiej, cyzelował swe misterności Fra Leopoldo Staff, Weyssenhoff i Tetmajer powtarzali samych siebie coraz świetniej ale i coraz monotonniej. A tylko z kopyt rozhukanego astralnego bucefała, którego dosiadł Syndbad Miciński, szły w literaturę skry i łyski oślepiające i fosforyczne. Nie stało już aleksandryjskiej, rafinackiej i rabinackiej „Chimery”, istnej encyklopedji najwytworniejszej twórczości wszechczasów, a jej miejsce zajął wysilony, anemiczny, krakowskim zaściankiem i belferskim konserwatyzmem woniejący „Musaion”. Po cyklopim

Bekwarku Mirjamie objął lutnię pokraczny pigmej estetyzmu Morsztynek, pasowany pośpiesznie przez podwawelskich megalomatołów na kontynuatora... Wyspiańskiego! Niezależnie od tych epigonizmów kwitła i szybko przekwitała *sui generis* socjal-seksualistyczna nowelistyka, gloryfikująca rozmaitych gerojów teroryzmu i konspiracji, wszczęta arcydziełem sentymentalizmu bojowego „Jaskółką" Daniłowskiego, ale szybko zdyskwalifikowana bo strywjalizowana i zszablonizowana doszczętnie przez kopistów i przedrzeźniaczy Żeremjasza, przerozmaitych Strugów, Kadenów, Syreniów i t. p. Zaczynała się epoka niemożliwych nieporozumień i partyjnickich kwalifikacyj.

W obu nadwiślańskich Iljonach - Kiernozjach dwaj papieże krytyczni] rozdawali na prawo i lewo inwestytury, kapelusze kardynalskie i biskupstwa *in partibus infidelium*, w Warszawie Jean Gloirentowicz, w Krakowie Wilhelm Feldmann. Wezwanych było coraz więcej, ale wybranych maluczko. Coraz częściej też tam, gdzie miano podkuwać Pegaza, żaba podstawiała nogę; w braku Lacka dobry okazywał się w krytyce Ortwin czy inny Pol-lack... Zamieszanie pojęć i walorów zaczynało dochodzić do tego, że beletrystę historycznego A. Śliwińskiego porównywano z... Lelewelem... o Rygier-Nałkowskiej (rodzicielce „Hrabiego Emila") mówiło się jako o polskiej George-Sand... sonety- sorbety Zuzanny uchodziły za kryształki czystej liryki... Giuletta Dickstejnianka została niejako Urszulką z Czarnolasu dla bieżącego pokolenia... w tych czasach „Kochanków" papierowych W. Grubińskiego zestawiało się naprzekór burżuazji i syfilistrom nie z piecami Capuss czy Caillaveta, a z... Edypem.

Oczywiście tak dalej być nie mogło. Duch wieczny rewolucjonista uniósł się gdzieś daleko i wysoko w chmury, a zapanowywał zaduch monotonji, przeżuwanie zeprzałych zakalców, hegemonja samonaśladownictwa, auto - epigonji, namiastków, wreszcie władztwo nudy rosnącej w oczach, puchniejącej, żółtej, skisłej nudy. Wobec tego musiała przyjść europejska wojna. I dopiero w tych pięciu latach w huku dział i pękających granatów, w oparach krwi i potu i w męczeńskiej hekatombie miljonów, przeczyściła się zatęchła atmosfera ostatnich lat niewoli. Ale nie tak znowu zupełnie, jakby się poniektóremu optymiście wydawało. Zapadło w przepaście i przepadło w czas szalejącego orkanu wojennego bardzo wiele, ale w niektórych

dziedzinach ocalało też szczęśliwie sporo, na ten przykład w dziedzinie monumentalnej twórczości dramatycznej piękne i punktualne talenta pp. Kozłowskiego, Krzywoszewskiego, Konczyńskiego. Sama wojna i jej krwawy posiew nadspodziewanie mało użyźniły glebę literatury. Rzec można śmiało, że niema jednego tomu, któryby przetrwał zwycięsko dziesięciolecie, niema jednego utworu, któryby wyżłobił się w pamięci i wstrząsnął duszami współczesników. Na starych harfach wygrywali nadal szpakowaci derwidzi, na ogranych gęślach dawni dudziarze. Tak zwana literatura legjonowa zawiodła zupełnie i na całej linji. Ani S. Rostworowski, ani Orkan, ni Merwin-Menkes, ni Teslar, ni Kaden, ni tylu tylu innych nie zdobyło się na krzyk z głębiny serca; jedynie tylko przeczystej pamięci Mączka, który „poległem ciałem dał innym szczebel do sławy grodu", zasłużył swą delikatną a wybuchową szczerością, aby z jego nazwiskiem wmurowano tablicę w Panteonie bohaterów. Zapowiadający się frapująco górnolotnie i tyrteuszowo Z. Kleszczyński strzaskał szybko i łatwo swoją fletnię Marsjasza. Z dwuch Hertzów jeden wyeksploatował w porę Księcia Pepi, drugi unieśmiertelnił się benedyktyńską i chlubnie monarchiczną odą do Króla Polskiego... Habsburga. Dla obsłużenia szerokich warstw, ku pokrzepieniu serc i ulżeniu kamieniom żółciowym strawną konsomacją liryczną zanucali naprzemian kuranty patrjotyczne to Orot-Oppman, z ochotą podniośle improwizujący, to Edward Słoński, w ciąży pełen wiosny (i furji na carat) i sypiący z rękawa niepodległośne „lardellesy i irysy" o kordach, karabelach, ryngrafach, konfederatkach, tabakierkach i kantorkach i o każdym wogóle podpadającym mu w oko wzruszającym i staropolskim rekwizycie czy antyku. Dla dopełnienia dość smętnego wizerunku piśmiennictwa tej przejściowej epoki oraz dla charakterystyki czasów godzi się tu wspomnieć jeszcze i o L. K. Morstina rymopiśmie, zohydzającem inwektywnie Francję... i o kilkuset tysiącach wierszy, poświęconych sławie Komendanta Piłsudskiego, z których atoli ani jeden nie stanie się *aere perennius*, ani jeden nie wejdzie do literatury wszechświatowej...

Tak więc mniej więcej wyglądała ciemno oświetlona, duszna, zapajęczona i nieobmieciona na fest niepodległości arena naszej literatury, kiedy na nią z tętentem i z okrzykami „evoe" i „hosanna" wcwałował jakby na centaurach huf zdawało się

gibkich picadorów, toreadorów i skamandrząt, pierwsza grupa literacka niepodległej Polski. Za nimi przez szeroko rozwarte wierzeje wionęła odrazu fala czystego, nowego, ozonowego powietrza. Na sztandarze było wypisane: „Pro arte et Studio".Wszystko u tych dzikich jeźdźców było niby inne, barwne, bujne, wzorzyste, nienaskie: czapraki, uzdy, ostrogi, lance, pióropusze. Lica zdrowe, hartowne, wiatrem zsiekane, słońcem spalone, uwłosienie nie jak u troglogdytów, wzrok śmiały, jasny, kolana niezgięte, pęciny niezerwane, plecy niekabłąkowate, karki niepochyłe ni niewolnicze. Już w rysopisie cywilnym całkiem inni od kaktusowatych literatników. Jakowiś Kmicice, raczej Rzędziany. Biło od nich fizycznem zdrowiem i jurnością, szczerzyły się białe zęby do słońca, do światła, do wina, do dziewczyn. Z poprzednich falang wszyscy byli wpatrzeni tylko w siebie, w swe dusze i duszyczki, w swe pępki i swą patologję; poezja „starych" była przeważnie nastrojowym ekshibicjonizmem autoanalitycznym Narcyzów i Pierotów, nieustającem jęczeniem, skarżeniem się, sklamrzeniem, apelowaniem do współczucia, negacją i aberacją. Kawalerowie z „Pro Arte" wchodzili natomiast w życie rozkochani w niem po same uszy, radzi życiu, cieszący się niem w niebogłosy. Afirmowali już rzeczywistość, nie negowali jej, tembardziej, że ta rzeczywistość stawała się już w ich oczach... niepodległością. Wchłaniali w siebie nowoczesność pełnemi haustami, wpadali w ekstazy radosne z byle czego, przy każdej okazji, dzień w dzień, w powszedni dzień, poczem zaczynali głosić śmiało ewangelję doczesności, propagować i apostołować kult życia we wszelkich jego przejawach. Pierwociny i debjuty ich twórczości, pierwsze ćwierkania i nieartykułowane jeszcze głosy już stwierdzały zwycięsko, że dla nich wszystko może być poezją, że dla nich niema sujets niepoetycznych, że jak królowi Midasowi w rękach wszystko w złoto, tak im każdy szczegół szary, brudny, nawet wielkomiejskiej kroniki, przekształca się pod piórem w emanację imanentnego piękna. Przychodziło to tym młodym Dionizejczykom stosunkowo łatwiej i wygodniej, gdyż nie znalazła się wśród nich ani jedna miernota, ni jeden wysileniec lub namiastek. Talent w talent, atut w atut. Z dnia na dzień w przeciągu jednej, kilkoletniej coprawda okupacyjnej nocy wyrosła z ziemi jakaś świeża olszyna czy dąbrowa. Dębczak w dębczak, mehaty u korzenia, bogato liściasty w ko-

ronie; a w gałęziach świegot, świegot, piski, kwiki, hałas, gwar, upojenie, szczęście. Po mroku gwiazd Młodej Polski nastaje śliczny, pogodny, słoneczny dzień. A co jest najdonioślejsze w barwach tego nowego zastępu, to ich apatetyczność, to śmiałe i bezwzględne zerwanie z całą polską romantycznością literacką, tak doszczętnie już sfermentowaną, to ten kompletny rozwód z ideologją mesjanizmu polskiego, strząśnięcie z siebie wilgnych i lepkich śniedzi metafizycznej spekulacji. Niekiedy nawet czytelnika z poprzedniego wieku to czysto fizyczne widzenie świata i to li materjalnego świata, ten wszelki brak podłoża transcedentalnego nawet nieco irytuje; podświadomie i nałogowo budzi się jakaś tęsknota za urymowaną nostalgją zaświatowości. Każda atoli epoka cywilizacyjna musi kłaść swoje piętno na twórczości epokę wiernie sygnifikującej. Spowiedź dziecięca wieku XX nie może się toczyć w kategorjach myślowych z czasów Hegla, Trentowskiego, Cieszkowskiego, Towiańskiego. Skamandryci są praesenteistami, universalistami, vitalistami, energetykami, dynamistami. Epoka jussów i jazzów, submarinów, superfosfatów, underwoodów, hydroplanów, tangów i tanków, protez i anten, telefonów, telepatów, patefonów, motocyklopów i kinematołków, królów po pensjonatach i konspiratorów na tronach—zanadto jest oszałamiająco interesująca, zanadto pozytywnie cudotwórcza i zagadkowa, aby poetom i marzycielom, z jej łona zrodzonym, mogło starczyć czasu i ochoty na wałęsanie się po błędnikach, chaszczach i labiryntach metafizycznej dialektyki... W tem też leży już dzisiaj po trzech latach niespożyta zasługa plejady Skamandrytów, że nawet elicie umysłowej w Polsce odebrali apetyt czy oduczyli pasji grzebania się w pewnych gigantycznych poronieniach naszej wielkiej poezji, które właśnie w ostatnich latach przed wojną na nowo wydobyte, zaczęły docna zaciemniać i dostojnie otumaniać polskie, zresztą niezbyt jasne z natury mózgi. Wyzwolenie się z krępującej i pętającej hipnozy naszej wielkiej uroczystej poezji romantycznej, definitywne przezwyciężenie w umysłowości tej grupy całego romantycznościowego światopoglądu, absolutne zerwanie z cmentarną atmosferą ducha, i z wieczystem jeremjaszowaniem na gruzach Jerozolimy — na tem zasadza się to wypełnienie ścisłe przykazań testamentarycznych Wyspiańskiego i dokonania rewizji stosunku do przeszłości, do jakiej nawoływał St. Brzozowski. Plejada Skaman-

dra jest (dzięki głównie szczęśliwym powojennym konjunkturom historycznym) pierwszą grupą literacką, zwróconą obliczem ku przyszłości, nie ku przeszłości, jak wszystkie poprzednie. Z momentem, kiedy na mapie Europy nakreślono granice państwowej Polski, niema już ni potrzeby, ni miejsca dla Konradów-Gustawów, Orciów, Irydjonów, ni rozmaitych spolszczonych wertherząt i hamleciąt; poezja zwolniona z obowiązku rządzenia i przewodzenia w dziedzinach historjozofji i polityki. Plejada Skamandra pierwsza dopiero wchodzi do literatury z pełną samowiedzą tego aksjomatu, że w niepodległym narodzie twórcom walorów poetyckich, literackich, artystycznych, spada z pleców brzemię odpowiedzialności za „politykę“, „ekonomję“, ba—nawet za kulturę i oświatę narodu. Z dotychczasowej produkcji i w dotychczasowych produkcjach Skamandrytów znać wyraźnie tę ich niewstrząśniętą pewność, że np. sprawy górnośląskiej nie da się pchnąć na nowe tory ni sonetem o Laurahucie, ni odą do Odry, ni dramatem w „stylu Wyspiańskiego“ gdzieby Konrad-Gustaw, otoczony maskami Piastowiczów śląskich, monologował sążniście o potędze węgla (dobrze się koksującego). Że więc Skamandryci zdołali wyemancypować się z roli i posłanictwa bardów i szamanów, proroków i arcykapłanów, równocześnie bynajmniej nie izolując się w twierdzach z kości słoniowej i nie wywieszając na basztach sztandarów z godłem „l'art pour l'art“ — za to cześć im, wdzięczność i glorja! Nie przesądza to zresztą ni na moment możliwości wyjścia z tej właśnie grupy może polskiego V. Hugo... w Kamelechoniu drzemią przerozmaite zapowiedzi...

Drugą następnie, dziś już domagającą się zarejestrowania zasługą naszego związku atletów wierszopisarstwa jest wyzwolenie się z hipnozy wielkiej literatury rosyjskiej. Da się to szczęśliwie powiedzieć o całej młodej generacji, a więc nawet i o niewpisanych w bractwo Skamandra, to znaczy i o Grabińskim, Filochowskim, Małaczewskim, Krajewskim, Kozikowskim, Eminowiczu, Iłłakowiczównie, M. G. Karskim, Glince i t. d. Już w tytułach generalnego magazynu („Pro Arte“, „Skamander“, „Gospoda“) zademonstrowano oficjalnie, że grupa związana jest organicznie z humanizmem, ze światem pojęć grecko-łacińskim, z cywilizacją śródziemnomorską. *Lux ex occidente*. Karmazynowi nie Karamazowi. Precz z taską, z chandrą, z kamarinskim alkoholizmem, z bogoczeławieczestwem, z nadwoł-

żańskim marksymalizmem i arcyjebaszestwem, z adoracją bosiaka, bradiagi i bandyty. Z uczty, jaką zastawiają nam Skamandryci, nie przebije się już nigdy wnętliwy odór i opar szczy, czy monopolówki, w ich ideach i iskrach myślowych nie przebłyskują odpryski z ciemnych gwiazd Sołoguba, Andrejewa, Kuprina i t. p. Tłumaczą Skamandryci Balmonta, Briusowa, Siewierianina, Łochwicką, Hyppiusową, Kamienskija, Majakowskiego owszem, tłumaczą z satysfakcją ale stosunek do twórczości rosyjskiej jest już inny, sztywniejszy, chłodny, nie ma w sobie nic z tej niewolniczej uległości prądom i trądom *ex oriente*, jaka znamionowała pokolenie poprzednie, jaka ciążyła i panoszyła się w utworach, szczególnie politycznie antyrosyjsko zorjentowanych pisarzów, jak Sieroszewski, Daniłowski, Strug, Rzymowski i t. p., zaciemniała horyzont nad cudownie szczerze polskim krajobrazem najdroższego nam wszystkim Żeromskiego. Przecież to przenikanie rosyjskiej mentalité, rosyjskiego widzenia świata, doszło u nas do tych granic, że ukochane kobiece dusze z literatury ostatnich czasów przedwojennych to były tylko nad polską Wisłą transportowane Gruszenki, Tatjany, Maruszki i inne diewuszki z Pitra i z nad Czarnego morza; doszło do tego, że niektóre właśnie rewolucyjne, konspiratorskie powieści i nowele z heroicznego, podziemnego środowiska polskiego czytało się jakby tłumaczenia z Czirikowa, Gorkija i t. p., a w innych znowu roiło się od maksym i pryncypjów Ławrowa, Czernyszewskiego, Stepniaka, Martowa, indziej znowu Sołowjewa i Bierdajewa. Łącznie z tem wyzwoleniem się z pod hegemonji socjalno-nihilistycznych majaczeń i istinno-rosyjskich obłąkań idzie też i zdegradowanie Erosa i ograniczenie motywów seksualnych do właściwej im miary. Rozkochani w pełnym całokształcie życia, terminatorzy ze „Skamandra“ rajskiej i wyrajerowanej Afrodycie poświęcają tyle czasu, ile dla niej zostawia wogóle bogate ale niebezpieczne, powojenne, stubarwne życie ciężarnej historycznie epoki, w której żyjemy. Ani dla helleńskiego faunicznego seksualizmu Tetmajera, ani dla satanicznej ruji Przybyszewców niema dziś już żadnego zainteresowania. Równouprawnienie płci przynosi ze sobą degradację kobiety jako anioła i jako demona. Że z rosyjskiej beletrystyki Andrejewych i Arcybaszewych szła na Polskę kazirodcza propaganda, dokumentne zezwierzęcenie i mózgowa obsesja spermatyczna—to odbiło się echowo

i w niektórych polskich utworach właśnie socjal-seksualistycznych, gdzie przeplatano heroizm pornografją, a patrjotyzm sadyzmem, co w rezultacie niesłychanie konwenjowało pół-inteligentnemu motłochowi, a autorom takich mikstów—compositów napychało złoto do mieszków; socjalista, gwałcący „hrabiankę" pod murem domu obłąkanych, lub rewolucjonistka, zmieniająca co noc kochanków, a co kwartał koszulę,—to byli „ludzie przyszłości" i bohaterzy popularnej beletrystyki. Witezie z kasztelu nad Skamandrem weszli w życie wyzwoleni z pod demonji Venus Asztaroth i obliczem zwrócili się do świata, do życia, do zgiełku miast wielkich, do natury, do ziemi poprzecinanej szynami, rozkopanej w sztolniach, zabudowanej drapaczami kominami, wieżami, do ziemi, ludzką pracą, potem i genjuszem użyźnionej i uświęconej.

Nie przesądza to bynajmniej ich odczuwalności upajającego zapachu i niesłabnącego uroku tego, co — wiecznie kobiece — winno nas podnosić wzwyż, a nie tarzać w rynsztokach i zamtuzach; właśnie z tej grupy jurnych i jędrnych gimnastów i hoplitów może wynijść piewca nowej Ewy; w dziś już jarosławnej „Zenobji Palmurze" Iwaszkiewicza tkwią zapowiedzi pogłębionej, rafinowanej, a pogańsko - helleńskiej słonecznej zmysłowości. *Utinam verus vates sim!*

I oto na tej galeonie papierowej, płynącej po falach sinych Skamandra, znalazło się kilku poetów pochodzenia i wyznania mojżeszowego. Jeżeli Polska niepodległa ma Hebreów obecnie 13%, to galeona Skamandra liczy ich najwyżej 3%. Na trójżaglowcu Kolumba, wyprawiającego się w drogę za czasów Świętej Inkwizycji i Ferdynanda, było ich znacznie więcej. Przypadkowo zdarzyło się, że ci dwaj obdarzeni są talentami najbardziej frapującemi i najjaskrawiej agresywnemi: Tuwim i Słonimski. W dawnych miesięcznikach literackich, w „Krytyce", w „Ateneum", w „Rydwanie", w „Przeglądzie Tygodniowym", w „Głosie" — procent krajowych cudzoziemców był nieproporcjonalnie większy. Otóż narzucała się automatycznie kwestja, czy z racji tych dwuch judoetów zagrożona jest cała grupa supremacją bezsprzecznie imperjalistycznego dzisiaj ducha żydowskiego, czy infiltracja rozkładczych idei wojującego dziś semityzmu na łamach tego pisma jest tak widoczna i groźna, że usprawiedliwione byłoby i aktualne zatrąbienie na alarm, jeżeli już nie na złotym, — to choćby na wolim rogu? Budziła

się obawa obywatelska, czy w licznych tomikach tych poetów nie znajdą się jawne lub choćby ukryte pod figowemi listkami nasionka i siemionka jakowejś Sadoul-szczyny czy Barbar-bussizmu, czy grupa ta nie zacznie z czasem ingerować w życie polityczne, jak paryska „Clarté", wydawać manifesty antynarodowe, solidaryzować się z bolszelmostwem, podgryzać się pod słabiuchne jeszcze wiązadła państwowości polskiej, zatruwać studnie miazmatami Proudhona, Sorela... Longueat, infekować młodzież inteligentną wstrzykiwaniem sowietyzmu i kosmopoliturą. Otóż po najskrupulatniejszej lekturze wszystkiego, co tylko dotychczas napisane było przez członków bractwa Skamandrycznego, można stwierdzić pod przysięgą przed aeropagiem siwowłosych senatorów i konsulów, że pierwiastek rozsadzający, międzynarodowy, światoburczy, antyburżujski, utopijny, znajduje się w grupie Skamandra w znacznie mniejszym procencie, od tego jaki istniał w każdej poprzedniej grupie literackiej. Może się to niepodobać ich antagonistom, a nie konwenjować im samym, ale śmiem twierdzić apodektycznie i bezdyskusyjnie, że w stosunku do dzisiejszej państwowości republikańskiej polskiej jest to grupa — może szczęśliwie, a może niekoniecznie... absolutnie lojalna, legitymistyczna, rządowa, omal dworska. Jeżeli mam być szczery, to pozwalam sobie na tem miejscu wyrazić nawet szczery żal, że wśród tych kapitalnych łepetyn niema ani jednego monarchisty, ni jednego anarchisty. W wirydarzu poetyckim Skamandra rosną sobie wszystkie kwiaty grzechu i cnoty, uniesień i egzaltacyj, ale mimo wytężonego w tym kierunku powonienia nie zaleciało mnie wonią ni czosnku ni cebuli. I jak z jednej strony mało znam w ostatnich czasach utworów o takiej czystości religijnej nostalgji i nastroju chrześcijańskiego, jak Wierzyńskiego „Madonna siejby", „Kolęda dziecka", „Chrystus i dziewczynka", tak z drugiej strony trudno mi ukrywać się z pasją, że tak fanatycznie antysemickich i potężnych inwektyw, jak Tuwima „Giełdziarze" lub „Szczury", lub Słonimskiego „Letnisko" lub „Rozmowa przy kominku", nie napisał jakiś rdzenny Arja o nieobrzezanym konwencjonalizmami talencie. Na zareplikowanie mi, że z lazzaronowatego Słonimskiego tu i ówdzie wyskakują zakusy demonicznej blasfemji, że płomienny rapsod „Carmagnola" poczęty jest prosto z ducha hersztów sowieckich, — odpowiedzieć mogę tylko odesłaniem do lektury Carducciego i V. Hugo,

to jest Arjów starej rasy, proponując atoli równocześnie, aby mi uprzejmie wskazano w literaturze europejskiej tak wulkanicznie potężne i natchnione „J'accuse" Samodierżawia jak Tuwima „Wielką Teodorę". Gołosłowny zatem i generalizujący zarzut, postawiony Skamandrytom, jakoby po szabesgojsku pomagali na swym terenie do hegemonji miazmatonośnego ducha żydowskiego w Polsce, piętnuję niniejszem jako gołosłowne kłamstwo i wprowadzanie w błąd opinji publicznej. Kampanję zaś przeciw nim wszczętą lekkomyślnie uważam za merytorycznie i taktycznie błędną, szkodliwą i niepatrjotyczną.

Do kampanji tej dał hasło p. Stanisław Pieńkowski. Aby jakakolwiek akcja w defensywie ideałów tradycjonalistycznych, karmazynowych, lechistańskich, miała w sobie zadatki pięknego zwycięstwa, lub nawet skazana była zgóry na klęskę, ale na piękną, godną i szacunek budzącą klęskę, to trzeba, aby stała dziś na wspaniałym, górnym i pańskim poziomie Barrèsów, Maurrasów, Daudetów, de Curelów. Obrona robronów, tronów, i feretronów musi nieść ze sobą *charme ancien règime'u,* musi przemawiać z balkonów o alabastrowej balustradzie, musi nadchodzące bezapelacyjne chamstwo powstydzać i upokarzać. Bronić integralności sarmackiej spuścizny, bronić wspaniałej szlacheckiej romantycznej tradycji, bronić ciągłości kultury polskiej (która w całokształcie jest naprawdę czarująca i oryginalna), bronić „tych szlachciców, co są piękni", bronić stanu posiadania rasy polskiej widłami od gnoju i pogrzebaczem od węgli — to shocking. Ni stąd ni zowąd bowiem robi się z tego ambarasujące widowisko, któremu trudno dać nazwisko, kiedy gromada szturmujących Okopy Świętej Trójcy: Miłości, Prawdy i Piękna sanscravattów i „machabemechesów" zaczyna mieć lepsze manjery i spokojniejsze gesta od Hrabiego Henryka. *Mutatis mutandis* analogiczny przypadek zdarza się we wszczętej bezsensownie Skamandromachji.

P. Pieńkowskiego predyspozycje intelektualne nie kwalifikują stanowczo na pogromcę w dobrym stylu, są bowiem zaściankowe. Erudycja dziurawa, maskowana rozwydrzoną arogancją, spotykano często właśnie u żydowskich szrajbjingełesów. Przerost wątroby, hemoroidy i przewlekły mózgosusz, na jaki prawdopodobnie przewlekle cierpi od lat wielu, sprawiają, że p. Pieńkowskiemu zbywa na kardynalnej cnocie i zasadniczym warunku krytyka-artysty, t. j. na zdolności do entuzjazmu, tej

jedynej ostoi twórczego krytycyzmu, na łatwości nawet lub pochopności do entuzjazmowania się, dzięki której nasza literatura krytyczna posiada takie świetne karty jak Siedleckiego, Makuszyńskiego, Żeleńskiego, Potockiego, Mirjama, dawniej Chlebowskiego, Witkiewicza, Brzozowskiego, Zdziechowskiego. Zdając sobie z tego sprawę p. Pieńkowski, zionący jadem i parskający żółcią na wszystkich żyjących, symuluje, zresztą kiepsko, monotonnie i bez wysiłku, zbożny kult dla Wyspiańskiego; można gwarantować, że gdyby był łaził i obnosił swą opuchłą wątrobę po Krakowie w erze pierwszych debjutów teatralnych i malarskich twórcy „Wesela", byłby on właśnie i tylko on dla oryginalności i rozgłosu, naprzekór i naopak wszystkim, dogryzał i szczypał po butach wielkiego poetę, czepiając się to złej gramatyki, to niepoprawnego rysunku. Takie wątrobiane grafomańkuty stale wzywają nadaremno imienia wielkich nieboszczyków tylko poto, aby wielkich wiekiem od trumny bić po łbach swoich współczesnych. Posiadając rutynę łatwego i poprawnego przelewania na papier z pustego w próżne, pisze p. Pieńkowski i pisze od lat dwudziestu, i dotychczas nic jeszcze nie napisał. W rzeczach plastyki daltonista, na muzykalność wiersza głuchy jak pień, w kwestjach teatru ignorant, mało jeżdżając i skąpo widziawszy, o wszystkiem *stante pede* feruje śmiałe wyroki, depcząc bezkarnie talenty, prace, studja, wiedze. Przyczepiony do obozu o mocnym i jasnym programie, dyskredytuje systematycznie ten obóz swem istotnie nadwołżańskiem barbarzyństwem, murzyńską zapamiętałością i zaciekłością. Nawet kiedy ma rację, podaje ją w fatalnej i odstręczającej formie, nawet kiedy wychodzi ze słusznych intencyj i założeń, rozwija je w manjerze nieznośnie kwaśnej, rubasznej, nudnej, z którą niepodobna się ni moment solidaryzować, która obóz narodowy obciąża nieprawdziwą maską intelektualnej i artystycznej pierwotności, zaściankowości, zacofania i tępoty. Jeżeli merytorycznie p. Pieńkowski mógł mieć kiedykolwiek słuszność, to jako strategik i taktyk, szkodliwy dla swoich nad wszelki wyraz, wielokrotnie już zasłużył, aby go wywieziono w taczkach do pierwszego lepszego sanatorjum, gdzie się leczy puchlinę wątroby i rozdęcie mózgu. Bez feljetonowego krytykrakania p. Pieńkowskiego, które uprawia od ćwierćwiecza, literatura polska może lekko i bez bólu się obejść, tak jak zniosła bez katastrofy rozstanie się Cezarego z Hirszbandów

Jellenty z katedrą krytyka; p. Pieńkowski zaś pod względem jałowości i łatwizny pisarskiej swego pióra jest niejako Jellentą *â rebours*. Z tyloletniego krytykrakania p. Pieńkowskiego da się usypać jeno sterta hipekakuany grafomańskiej, nie kwalifikującej się nawet na nawóz.

Otóż taki to Caliban wpadł na nieszczęsny pomysł, aby rozprawić się z Arjelami. Poprzednio już przeprowadził — nie tyle homerycki, ile hemoroidalny — bój na śmierć i życie z Teatrem Polskim w Warszawie i jego zasłużonym, niestrudzonym, wiecznie młodym założycielem i świetnym sternikiem. Z omal żydowskim zapienionym, czkawkującym fanatyzmem, ale bez żydowskiej rafinady i sofisterji, rzucił się p. Pieńkowski z maczugą Waligóry na wzorowo i na europejskim poziomie postawiony Instytut Piękna, jako na jakieś laboratorjum laseczników rozkładu, nie zastanowiwszy się ani na moment nad tem, że właśnie w tym teatrze odważono się i zaryzykowano w najkrytyczniejszych czasach władztwa ćmy i mobu rzucić smokowi judemokracji w paszczę takie rękawiczki, takie prowokacje, jak skroś „reakcyjnego" „Cezara" Szekspira, „Nieboską", Arystofanesa, „Miłosierdzie". Gdyby był p. Szyfman, organizator pierwszej klasy a Polak bez zarzutu, bez blagi i bez emfazy, wystawiał kolejno np. „Dantona" Bûchnera, Tołstoja „Potęgę ciemnoty", „Żydów" Czirikowa, „Anfissę" Andrejewa, „Tkaczy" Hauptmana, „Wilków" Rollanda, „Ród" Hasenclevera, dalej sztuki Heyermansa, P. Nansena, Bataille'a, Lengyela i innych t. p. semickich lubieżników czy burżujofagów, i wystawiał to tendecyjnie, masowo, programowo, — to wtedy taka kampanja przeciw jedynemu w Polsce teatrowi literackiemu, w którym się siedzi z cudzoziemcami nietylko bez zażenowania, ale z uczuciem dumy i satysfakcji, miałaby jeszcze jakiś cel i sens kulturalny i narodowy. Ale wyjeżdżać na harc ze szczecinową szczotką, maczaną w gnojówce, przeciw teatrowi, który pierwszy Warszawie dał Mickiewicza, Słowackiego, Krasińskiego i to z takim pietyzmem, w takim majestacie i z tak aryjską sumiennością i skrupulatnością scenicznie intronizowanych, to uważałbym właśnie za groźny symptom „graduszczego chamstwa", wciskającego się nawet w szeregi broniące rasowego Znicza, walczące *pro aris et focis*. Zachęcony chwilowym i ordynarnym hałasem, jaki się wszczął po zobelżeniu tego teatru, który zuchwale czerwonej Warszawie przeciwsta-

wił białogwardyjskiego Rostworowskiego „Charitas", zaaranżował sobie garbaty kulturalnie Caliban Pieńkowski nową hecę ze Skamandrytami, oddając znów niedźwiedzią przysługę obozowi, który go litościwie przygarnął. Opętany na trzeźwo w swem zaślepieniu monoman zapomniał zgoła o kardynalnym obowiązku różniczkowania, dyferencjacji, segregowania, o zasadniczych kanonach taktyki, polegającej w takich kampanjach na tem, że się falangę wrogów następujących rozdziela, tych odstręcza, tamtych przywabia, tych gasi i tępi, a tamtych przygarnia i przyhołubia, wnosząc tym strategicznym fortelem rozłam i rozstrój w szeregi tych, których chce się pokonać. Wypłowiały i wyszarzały niedźwiedź, zerwawszy łańcuszek, postanowił swą ciężką łapą capnąć i przygnieść odrazu wszystkich. Trzeba ich pogrzebać, a „grzebać będziemy ryczałtem". Tymczasem atoli nie można i nie wypada podejmować się operacji chirurga, jeżeli posiada się wiedzę, eksperjencję i paluchy rzeźnika. Pan Pieńkowski żyje w słodkiej iluzji, że włada śmigle i gracko szpadą markiza de Pompignan z Wersalu, podczas gdy w rzeczywistości dzierży w dłoniach i macha dookoła miotłą „stróża Walentego" z „Muchy". I Carlyle był śledziennikiem, wiecznie złym, niezadowolonym, posępnym, narzekającym, jęczącym, ale jednak miał momenty i miesiące entuzjazmu; wtedy odkrył hero-worship... I Leon Bloy rąbał tylko naokoło, gniótł, miotał się, wyzywał, pluł, deptał, klął i ciskał papierowe pioruny, ale jednak rezerwował dla siebie grupy całe, ludzi, pisarzów działaczów, o których pisał klęcząc i bijąc się w piersi. Osińskiego zasię czy Koźmiana antyromantyczne ekskursje dziś jeszcze i dziś znowu można czytać z wielkiem ukontentowaniem.

P. Pieńkowskiego szarża na ożogu i z miotłą na młodą i nową poezję w „Skamandrze" i w „Gospodzie" musiała się wobec tego skończyć sromotnem fiaskiem. Nie może się rzezaniec podbierać do spódnicy sułtanicy, ni udawać rozpalonego szeika wobec pereł haremu; tylko zasię do ogiera rżą klacze; zwisły nazawsze opat nie ma co urągać potężnie prężnym peccatorom. Tymczasem p. Pieńkowski, typowy niepłodnik, *vir sterilis*, odważył się zabrać głos o rozpłodowcach pełnej krwi. Bakałarz w jednej osobie i Baka ważył się Lechonia potraktować jak sztubaka, a w Iwaszkiewiczu doszukiwać się Ajwajszkiewicza. Nałożywszy sobie na głowiznę maskę Katona, a na to

kask blaszany „niezłomnego księcia“ aryjskiego, dojrzał swym zezem na głowach zastępu naszych praesenteistów, populistów, energetyków i vitalistów—ale w żadnym razie nie ekspres-sionistów—nie kołpaki trojańskie, ale frygijskie mycki i jarmułki. A kiedy już pan Caliban siebie przekonał, że te młode szlachcice Karscy, Glinki, Krajewscy, Małaczewscy, Wierzyńscy, Iwaszkiewicze — to w gruncie rzeczy Icki, Jojny, Nuchymy zamaskowane, wtedy wyszukał sobie jeszcze w „Słowniku wyrazów obcych“ trzy słowa „chaos, etos i patos“ i zaczął niemi żonglerkę już zgoła echolalijną i kretyńską. Równie dobrze bowiem mógł wziąć trzy imiona z Dumasa, t. j. Atos, Portos i Aramis i temi napakować jak migdałami swoje stęchłe niedopieczone zakalce. Że jednakże nasz bokser niewydarzony w swej płaskomyślności i rozindyczeniu nieco przeholował, przesolił, przepieprzył i przepiekł, więc wiszący już na włosku miecz się zerwał i ostrzem swem wrył w sam pępek tego skalpującego twórców Indjanina, któremu się wydaje, że jest Hindusem... że jest przewcieleniem, reinkarnacją hinduskich, indoeuropejskich mędrców...

Skończyło się, jak się skończyć musiało. Przebrała się miara cierpliwości u najmłodszych z Arjów najmłodszych, pomawianych o judolubstwo i służbę u izra-Elity. Ostatni z „bałagułów“ kijowskich, krewkich do tańca, różańca i pohańbienia pohańca, rękoczynem odpowiedział na eunuchowe zaczepki i podjazdy. Zapomniał się. Źle zrobił.

Niema zaś najmniejszej racji ni pretekstu, by załamywać ręce nad rozbuchaniem i zuchwalstwem „naszych futurystów“, którzy tyle mają z futuryzmem wspólnego, co masło z fryturą, co Yerzy Yankowskij, Aleksander Wat lub neofetoryści z Pokrakowa—z nową poezją.

Że bowiem i w teatrze czasem, na poświęconym Sztuce terenie, mają miejsce insultacje (zresztą zgoła niekonieczne i nieaktualne) nietylko w Warszawie, ale i w wielkim świecie, niedawno można było czytać w paryskich pismach, kiedy to 3 stycznia 1921 roku na próbie nowego produktu Saszy Guitry w teatrze Edwarda VII, król kamelotów królewskich, rycerski bojownik Orleanów, dzielny André Guignard stłukł cacanie czelnego pajaca bolszewickiego, poetę George'a Pioche'a — w odpowiedzi za napaść bolszewickiego kłykcia Blanca na świetnego pisarza L. Daudeta. Młodość i młodzież ma nietylko

swoje prawa, ale, co więcej, swoje przewileje, ba! nawet swoje obowiązki. Obowiązkiem Skamanderwidów jest odczytywać sobie codzień przed zaśnięciem „Odę do młodości" Mickiewicza, a na drugi dzień od wczesnego ranka spełniać ściśle w praktyce przykazania i hasła w „Odzie" zawarte — poczem gwałt niech się gwałtem odciska, a z „żydowszczyzną" łamać uczmy się zamłodu. Na premjerach V. Hugo demonstrowała młódź literacka jeszcze częściej i gwałtowniej, a i w Teatrze Polskim w Warszawie bywały już premjery, gdzie wysmokingowana judeokracja gwizdała, protestowała i hałasowała, jak ongiś w starych Atenach na paszkwilach Arystofanesa... Grajcie „Odprawę posłów" Kochanowskiego, grajcie „Powrót posła" Niemcewicza, grajcie „Matkę Spartankę" Kniaźnina, odkryjcie Romanowskiego, Korzeniowskiego, Faleńskiego, Benellego i Claudela, wznówcie Wyspiańskiego i Fredrę, „Geldhaba" i „Klątwę" — a przekonacie się że „zawżydzeni Skamandranie" na utworach polskich autorów będą demonstrowali, ale... aplaudując. Niech się tedy nie dadzą zdetonować rybacy i poławiacze pereł ze Skamandra, niech się nie ustatkują zbyt prędko i niech ich święty wybuchowy ogień za rychło nie wystyga w „plugawą lawę"! Raczej niech nadal demonstrują przeciw tandecie, zabrzydzeniu, surogatom, namiastkom, krzywizmom i szewctwom w Sztuce, przeciw bluźnierczemu dotykaniu aureoli nad czołem błogosławionej Marji Leszczyńskiej łapczywemi łapami łajniactwa rymopiskiego, przeciw orgjom socjalizacji (skracającej indywidualności o głowę, byle zrównać wszystko pod strychulec równości) niech demonstrują przeciw satyrom na przywódców, jeszcze wulgarniejszym od przywódców samych. Niech burzą bezlitośnie stare pagody i rudery, byle równocześnie sami szybko wznosili bazylikę piękną, godną nowej generacji, pierwszej generacji niepodległej Polski, co bądź co bądź obliguje, niezmiernie obliguje. Hic Rhodus! Hic salta!

Nastręcza się teraz oczywiście oczekiwane chyba zapytanie, czy na tem słońcu, od którego jedni tak już ogorzeli, a przed którego blaskami inni zasłaniają swe zakopcone okulary, a któremu *quasimodo* naszej aryjskości tak wygrażał buńczucznie pięścią w bokserską rękawicę uzbrojoną, czy na tem słońcu nowego kunsztu, przedewszystkiem rymotwórczego, nie maszli już plamek? Zachodzi kwestja, czy w tym wiotkim, jakby z japońskiego bambusu skonstruowanym misternie moście,

zarzuconym nad nurtami Skamandra między Wyspiańskiego królewską spuścizną a brzegiem nieznanej przyszłości, niema już arcypolskich, *lassons le mot*, trywjalne dziur? Czy na tym przebarwnym, pstrym, jarzącym się kolorami i drogocennościami płaszczu, jaki narzucił sobie na plecy gestem hidalga nowy Foebus, po demonstracyjnem zrzuceniu pielgrzymowego i pątniczego „płaszcza Konrada", niema już łat i szwów zbyt widocznych oraz świecideł i błyskotek, niepotrzebnie naszywanych? Jakie są możliwości rozwojowe tej grupy, na jaki rezonans te nowe melodje mogą liczyć w społeczeństwie, czego może po tych tak udałych debjutach oczekiwać literatura ogółu, sam ogół, oraz historja literatury. Jakie są szanse, aby wśród wyrojonego z tego colombarjum świegotliwego ptactwa wypłynął też na europejski horyzont jakiś sęp czy orzeł, jakiś ptakogromiec złotopióry, staloskrzydły? Nie godzi się kryć pod korcem pewnych ważnych zastrzeżeń, nie godzi zapatrzonym i oczarowanym nienaską krasą, odurzonym nieznanym zapachem tych przedziwnego ukształtowania orchidej, storczyków, anemonów i asfodeli, nie dostrzegać tu i owdzie zatajonego chwastu, łopjanu, pokrzywki... Niema tu mowy, rzecz prosta, o łatwej a prostackiej metodzie wyrywania z rabatów pierwszego z brzegu wpadającego w oczy drażniącego dziwactwa lub brzydulstwa, które się mogło tu pasożytniczo wcisnąć, aby zaraz na niem z triumfem demonstrować ekspres-sionizm całego kierunku. Między juveniljami niejednego Juwenalu *naturalia sunt turpia,* jak Fredro ma na sumieniu niejedno pichomirstwo, tak i Mickiewicz, twórca „Dziadów", jest autorem „Kartofli" i dość frywolnie tłumaczył „Darczankę" Woltera, by później, gdy przyszedł wiek męski—wiek klęski, nie pozwalać „bluźnić imieniu Marji". Jeżeli nad Skamandru brzegami wyrośnie czasem i kaktus dziwaczny, karłowaty, iglic drapiących pełen, to trzeba przypomnieć, że w pojęciu helleńskiego piękna nie istniało tylko kalon-kagaton, ale i kalon-kakon. Tylko niedokształcony filister lub głuchy jak pień podagryk imaginuje sobie rzeźbę grecką, jako aleję z Venusów Praksytelesa i Apollinów belwederskich, nie przeczuwając, jakie to potworki, jakie okropności, jakie lubieżnictwa, jakie obsceny, jakie androgynizmy i pryjapizmy ta klasyczna „rzeźba" napłodziła... Zresztą *nullum magnum ingenium nisi insania quidam. Nullum magnum ingenium sine mixtura dementiae.* Czasy są ciężkie dla sztuki

wszelkiej. Mecenasów dla Horacych niema, mob donna-mobile bierze górę, hołota się rozpycha łokciami, depcze, tratuje, wrzeszczy, hałasuje. Żeby ją przekrzyczeć, trzeba czasem wrzasnąć dyszkantem lub falsetem. Świetny nawet malarz, byle wyrwać nazwisko swoje z zalewu miernot, musi naprzód napacykować bohomazy kubistyczne, godne Kuby parobka z Kaczej Woli czy Ośmierdłówka, by w ten sposób zarekomendowawszy się dziś miaro-laurodajnej demokradającej krytyce, dopiero zawracać już ze sławnem nazwiskiem do Sztuki serjo i pracy serjo. Śmieszną więc jest pozą i bakalarską wydziwiać flaczastą prozą nad co ekscentryczniejszemi kunsztykami naszych dynamistów, często przechodzących dopiero okres mutacyj psychologicznych. Kruczkiem zasię prokuratorskim i świadomo ze złej woli i uprzedzeń wywodzącym się wybiegiem i fortelem jest identyfikowanie ich i katalogowanie pod wspólnym mianownikiem z jakimiś dadaistami à la Tristan Tchara (czy Csardasz), z jakimiś poliszynelami, błaznującymi ortografją, typografją i gramatyką, z jakimiś wreszcie talmudernistami, hacefircykami, kalchasydami. Nie należy grochu mieszać z groszkiem pachnącym a wonnym, a jednym tchem wymieniać nazwiska Lecha Seraficznego i Jozue Tuwima z... Yankowskim i Chwatem. Nie każdy bowiem studencik, chudy jak pręcik, mający we łbie zamęcik, który tomikowi ze swoją zieloną runią rymodławczą nada dumnie tytuł: „Księżyc na bidecie“ lub „Nahaj w butonierce“, jest już tem samem pasowany na rycerza najnowszych dreszczów i godzien wejść do przybytku nowej wiary w stare piękno. *Peccatur intra muros et extra*, czyli szalbierze i szarlatani są i wśród starych i wśród najmłodszych i zaiste nie każdy znowu gołowąs tylko dlatego, że jest żółtodziubem, ma już *passe-par-tout* do Królestwa Niebieskiego Ptaka...

Pierworodnym natomiast grzechem Skamandrytów jest złudzenie programowe, jakoby twórczość ich była przeznaczona dla szerokich warstw ludu, jakoby ich sztuka ochotnie schodziła na ulicę i z lubością dotykała stopami wielkomiejskiego bruku. Jest to rewerans złożony w stronę rządzących dziś haseł, kokieterje *piazzy*, atoli w istocie tylko koncesja dla mody i aktualności. By dociągnąć się, zniewolić i nagiąć forsownie do wypełnienia choć w cząstce tego punktu z postawionego kanonu, poeci Skamandra silą się i przymuszają do pewnej poufałości z *profanum vulgus;* tem należy sobie też tłumaczyć pewną

jaskrawą afiszowość ich motywów, pewne inklinacje ku stylowi plakatowemu, pewną hałaśliwość ich inicjacyj i ekscytacyj twórczych. Sztuka na bruk i trotuary, kawior dla ludu, piękno dla wsiech, dla wsiech, dla wsiech — jest to altruizm ale jest to i truizm, utopja, dysonans, myłka, folie, giez w mózgach. Dla ulicy bowiem narazie wystarczy jeszcze fuzel i karuzel. Ulica winna mieć sporty, łaźnie, wojsko, herbaciarnie, cyrk, domy ludowe, fotografje i gramofony. Na ulicy jest przez pół roku błoto, a przez drugie pół—kurz, pył i końskie pączki. Sztuka pozostanie patrycjuszką zawsze, nawet w krajach, w których ministrami zostają rataje czy konowały. Piazza woli fletnię Marsjasza niż lutnię Apollina, a znowu nad fletnię Marsjasza przekłada okkarinę i katarinę. Ulicy wystarczy raz do roku or-rota, dla przedmieść Słońskiego obs-kuranty belwederskie; na dalszych przedmieściach czy na prowincji nawet Rygier lub coś Relidzyńskiego. Nie łudźmy się do kroćset diabłów i nie okłamujmy tak manjacko, będąc obywatelami państwa, w którem jeszcze 70% współziomków nie umie czytać, a 20% nic nie czyta, w którem 48% się nie domywa, 39% mieszka w lepiankach, a 59% kąpie się w swym żywocie raz przed ślubem. Przy tej konjunkturze cywilizacyjnej i w tych kondycjach stadowej egzystencji, gaworzyć tereferycznie coś nie coś o sztuce dla ulicy — to jest paseizm i romantyzm w najstarszym stylu. Z tego, co się dotychczas z tłoczni wydało pod pieczęcią Skamandra, stanowczo nic a nic chwalić Boga nie „zabłądzi pod strzechy“ i nic a nic nie przemówi do serca ulicy. Spróbujcie o Skamandaryni, z balkonu waszej redakcji odczytywać tłumowi zebranemu na piazza sonety Słonimskiego, bukoliki Wierzyńskiego, balady Przysieckiego, pastele Iwaszkiewicza, czy transkrypcje Rimbauda lub Briusowa—a rychło usłyszycie z przerażeniem brzęk szkła ze szyb tłuczonych kamieniami z bruku, na który wedle waszej nieszczerej frazeologji programowej zejść ma Madonna Lyrica... Nie łudźcie się również, aby ulica, nawet w najalegoryczniejszem tego słowa znaczeniu t. j. przypadkowy skład półinteligentnej gawiedzi, mógł się poznać na czysto tradycjonalistycznych walorach uczuciowych takiej np. wizji Rembrandtowskiej jak „Mochnacki“, Lechonia, tym brylanciku waszego skarbca. Przenigdy! Do labiryntów waszej ornamentyką przeciążonej pomysłowości trzeba mieć koniecznie w ręku nietylko nić Arjadny: intuicję artystyczną —

ale i na ramieniu sowę Ateny, to jest orjentującą się i widzącą w ciemnościach wiedzę wszechstronną. Renomowanie człowiekolubstwem nie zdobędzie wam ni skokietuje ni ulicy, ni jej tłumów, które zawsze będą wołać: „panem et circenses!“, a nigdy: „pro arte et studio!“ Demagogiczne gesty, grymasy i frazesy, któremi tu i ówdzie oportunistycznie pstrzy się jakaś stronica „Skamandra“, nie złudzą, nie zmanią nikogo; dla robociarza czy włościanina zostanie to wszystko, co dotychczas dał akademicki Parnas Skamandra: luxusem, nadbudową, nadwartością, Helladą, Hekubą.

Stwierdzić to lojalnie i szczerze winien ten, którego wsród Skamandrytów właśnie się nie widzi, t. j. syntetyk i teoretyk kierunku, chorąży i orędownik nowego słowa. I oto wtóry mankament grupy. Włosi mieli swego Marinettiego, orfeiści paryscy swego Kostrowickiego (Apollinaire'a), „Clarté“ posiada go w dr. Jaworskim, swego czasu bywali np. Bielińscy, z których teoretycznych uzasadnień wywodziła się dopiero praktyka twórcza. Trzodka złotorunnych owieczek nad Skamandrem ruń szczypających nie ma jeszcze swego Panurga. W p. Witkiewiczu stanowczo go nie znajdzie, gdyż jest w jego wywodach tylko biegunka słów, — przy żałosnem pierwotnictwie myślowem. Nie zaradzi temu brakowi wypożyczanie sobie conferencierów przygodnych ze starszego pokolenia, trzypotrzypocących się potem w gołosłownych ględzinach w rewanżu za to zaszczytne a niezasłużone adoptowanie. Pp. Breiter, Irzykowski, a ostatnio Błeszyński, chcąc utrafić w same sedno, trafiali doskonale kulami w płot, jaki dokoła kasztel najnowszej poezji otacza. Ten ostatni zdołał nawet osiągnąć rekord impotencji, wypisując takie bakalarstwa, jak: „niema poza nią wiary(?) ani głębi(?) przekonań(?) ani określonych(?) dążeń(?), taksamo(?) albo jeszcze mniej(?) nawet, niż(?) poza Młodą Polską(?)“. Przytulony do łona Błeszyński, koneser marksizmu i socjalfilister, zarzucił Skamandrytom w rezultacie definitywnym tę samą „pustkę, pustkę“ (przepustkę?), jaką wedle słów Pieńkowskiego „zionie“ twórczość Lechoniów, Tuwimów, Wierzyńskich i Karskich. Załamuje ręce p. Błeszyński nad tem bezowocnem i starodawnem czyhaniem na sztukę czy też na „Boga, który im się wypsnął“, jak się wyraża wytwornie i z gustem. Drażnią jego sumienie socjalistyczne wiersze o „winie i wiośnie“, pisane wedle jego rozgorączkowanej fabrycznie ima-

ginacji, „na wulkanie w podstawach swych drżącej Europy“. Poleca się p. Błeszyńskiemu (który także od 25 lat w ciąży pisze i pisze i dotychczas jeszcze nic nie napisał) lekturę wierszy młodego Hutnika, potężnie zresztą uzdolnionego poety rewolucyjnego, który żyga proletarjacką furją „na wulkanie w podstawach swych drżącej Europy“; równocześnie atoli odradza się p. Błeszyńskiemu stanowczo opiekę nad najmłodszą Polską, w której zezem dopatrzył się tylko „dalszego ciągu“ twórczości swoich rówieśników, nad grafofolją jego zresztą od tylu lat rozziewanych. Gdyby grupa Skamandra posiadała już swego teoretyka naczelnego, na którego narazie nie zapowiadają się ni p. Horzyca ni Zawistowski, to ten krytyk i stróż ogniska nie dałby też prawdopodobne swojego placet na zapraszanie i wciąganie pod wspólny parasol nowego kursu poetyckiego rozmaitych wybrakowanych tuzów i „miernot zapoznanych“ z poprzedniego pokolenia, nie mających nic, literalnie nic wspólnego z zarysowującą się już bądź co bądź dziś dosyć wyraźnie ideologją twórczą Skamandrytów. Dzieje się bowiem wskutek tego i to nadużycie, że z jednej strony grupa staje się nieco zaeksklużywna, zmienia się niepostrzeżenie w kapliczkę ze swoją zaprzysiężoną kliką i klaką, staje się bractwem wzajemnej adoracji z wzajemną gwarancją i ubezpieczeniem nieśmiertelności („Piccador and Skamander Limited Company“), że grupa nie przyciąga ku sobie magnetycznie czy nie akaparuje na stałe organizacyj i indywidualności duchowo zbliżonych lub identycznych (Wittlin, Iłłakowiczówna, Eminowicz, Grabiński, Katerwa, Małaczewski), podczas gdy równocześnie jako światło jarzące przyciąga do siebie z mroków niepamięci i zapomnienia rozmaite stare ćmy, wypłowiałe puszczyki i zeprzałe znakomitości. Tym trybem łatwo wejść niebacznie na grzęzawiska literackiej filisterji, ale tym trybem w szczupłem gronie, skazującem się na ustawiczną symbjozę towarzyską i intelektualną, zaczyna działać niezbłagane prawo m i m i c r y, a kanty ostrości i wybujałości odmiennych typów ścierają się i okrągleją jak kamienie w potoku, powtarzają się motywy i impulsy, a o twórczej genezie i ojcowstwie rozstrzygać zacznie tylko ornamentyka werbalna lub co gorsza manjera. W związku z tem leży też konieczność decentralizacji, narzucająca się już Skamandrytom jako kategoryczny imperatyw, choćby dla skorygowania biografji i przepojenia szarzyzny

egzystencji na jednem podwórku kolorami i światłami z całego świata. Dytymrabiści i rapsodes pełnego życia, nowoczesnego życia, nie mogą czerpać je pełnemi haustami tylko z dzbanuszka warszawskiego. Byłaby to *contradictio in adiecto*, gdyby adoranci nowoczesności, panegirycy cywilizacji technicznej, praesenteiści *a priori* zmuszeni byli czy zmuszali się własnowolnie do ograniczenia swego terenu bytu i terenu widzenia do wielkiej mieściny bardzo jeszcze paseistycznej i tkwiącej głęboko w pierwszej połowie XIX wieku. Aby ich wizje i rewizje rzeczywistości miały swą grozę i demonję, aby w ich kunsztowne strofy przyoblekły się autentyczne katastrofy dzisiejszego socjalnego przewrotu warstw i pojęć, aby miały rację, sens i konieczność organiczną ich przewybujały pervers-libryzm i roztępienie rytmiczne, — imaginacja młodych twórców musi szukać i znaleźć podsycenie i podniecenie na większą, na wielką skalę, musi z gruntu wszechświatowych, globowych obserwacyj naocznych i autentycznych czerpać swoje soki, swą pożywkę, swoje tworzywo. Rimbaud, V. B. Jensen, Frank Norris czy inni poeci czy prozaiści praesentaizmu nie tkwili w wielkich stolicach swych narodów, ale wojażując po całym planecie po globetrottersku przepajali mózg plastycznemi reminiscencjami wszystkich ziem, stref i kontynentów. Siedząc w Warszawie i obrastając jak kamień w pleśń w aktualną codzienność nadwiślańskich przeżyć, można się zaegzeltować na śmierć do marszałka Piłsudskiego czy marszelika Daszyńskiego, ale nie można być równocześnie piewcą gigantycznej techniki, nie można nowoczesność anglo-sasko-okcydentalną potęgować artystycznie do wymiarów wstrząsających fantasmagoryj. Nawet bowiem by czuć się Europejczykiem, trzeba koniecznie raz dłużej być czy bywać w Europie, nie łudząc się cieniutkim polerunkiem europejskości nad Wisłą, mniej uregulowaną niż Gwadalkwawir, Jang-tse-Kiang czy Orinoko. Skamaderczycy „muszą się rozejść“, rozejść chociażby po rodzonej ojczyźnie, jeżeli chcą, aby z czasem z latami i wielka literatura miała z nich pociechę. Muszą zawędrować tam, gdzie wytryskują gejzery nafty, gdzie z brzucha ziemi dobywa się węgiel, gdzie sól się krysztali, gdzie się rąbie Białowieżę, gdzie morze oblewa piaski, gdzie Polacy założyli sobie czwartą dzielnicę, gdzie inżynierowie polscy budują koleje nadkaspijskie, gdzie wre intensywna, wytężona praca i wykuwa się nowe życie, przyszłe życie. Skupienie ich na jednym punkcie

i to na martwym punkcie dużego choćby mieściska, ale jeszcze prymitywnego i zacofanego, jest dla nich zabójcze i złowrogie. A tylko rozpędzenie ich na cztery wiatry w czterech kierunkah Polski w pięć kontynentów naszej planety daje gwarancje, że z pisma akademicko-lirycznego, że z tego seminarjum poetyckiego, że z tej oranżerji czy też szkółki dadzą się przesadzić na szeroki teren zdrowe i krzepkie drzewka. Paseiści, tradycjonaliści, romantycy, neo- i pseudo-romantycy mogli sobie przesiadywać w bibljotekach, w muzeach, u stopni sarkofagów, w presbiterjach tumów gotyckich, w atmosferze dworków szlacheckich i na swojskich czwartakach bohemy konspiratorskiej. Twórcy zupełnie nowych wartości o zgoła niepodległym tonie duchowym, nie żyjący już na kredyt wielkiej przeszłości, uderzający w całkiem inne akordy, odczuwający do głębi tempo cywilizacyjne narodów cywilizowanych, muszą już raz wyjść z krajobrazu, gdzie „młynek przy strudze miele... otręby swoje i cudze“, muszą zerwać bezwzględnie z sentymentem dla dzisiejszego rodzimego „uroczego“ niechlujstwa, bezładu, brudu, nieporządku i barbarzyństwa i dopiero nawałęsawszy się po świecie naobserwowawszy i napatrzywszy cudów bezliku, porównawczo i konfrontacyjnie stwierdzić narodowi w dziełach swej sztuki pisarskiej, w jakiem to *praeteritum*, w jakiem średniowieczu cywilizacyjnem dumny naród Sarmatów, więcej Fellachów jak Lachów, w rzeczywistości swej bytuje. Tego należy oczekiwać i tego można spodziewać się po a-patetykach i antyromantykach ze Skamandra, ufając, że plejada ich to nietylko powojenna parafraza „Chimery“ Mirjamowej, t. j. nietylko przygodne tymczasowe zrzeszenie wirtuozów, laureatów, kunstmistrzów i ekwilibrystów słowa, którzy popisawszy się i powypisawszy szybko, zrzekli się twórczości i wyemigrowali do życia biernego czy czynnego (ale literacko nie twórczego), ale że plejada ich to związek literatury młodej, mocnej i zdrowej, rokującej dla ogółu tęgich powieściopisarzy i jędrnych dramatystów.

I co do tego słuszne znów budzą się dziś już dosyć usprawiedliwione troski, żeby niepowiedzieć nawet wątpliwości.

Na postawione kategoryczne, a żadną kurtuazją nie osłonięte zapytanie, jakie są możliwości pełnego rozkwitu tych talentów, który z nich zapowiada się na „nowego” Sienkiewicza, Prusa, Orzeszkową, Reymonta, Weyssenhoffa, Żeromskiego,

który zasię na „nowego” Przybyszewskiego, Rydla, Wyspiańskiego, a choćby Kisielewskiego, Żuławskiego, Rittnera, Zapolską, odpowiedź musi wypaść niestety wymijająco, po delficku. Narazie jestto sumarycznie i w całokształcie biorąc liryka, czysta i stosowana liryka. Narazie jestto tylko ogród rozkoszy i ogród katuszy. Stanowczo już nie „wróble na dachu“, ale conieco kolibry i pawie na drzewie z rajskiemi jabłkami, choć w niejednym już dostrzega się orle szpony i sępią siłę uskrzydlenia. Już nam powiększyli stan naszego posiadania językokowego, już zwielokrotnili nasze bogactwo słowne, już rafinadę, subtelność i melodyjność mowy pchnęli w jeszcze dalsze stadjum rozkwitu, już zaćmili blaski wersyfikacyjnej doskonałości Tetmajera, Mirjama, Staffa, Makuszyńskiego, Leśmiana. Ale to jeszcze mało. Dali nam flakony z najmocniejszą esencją, dali girlandy z przedziwnych papierowych kwiatów, dali nawet czysto toniczne „słopiewnie“ złą krew wzbudzające, dali pierwsze próby „radosnej wiedzy“, pierwsze kryształki radjum promieniejącego szczęścia, pierwsze wyzywające stwierdzenia iście niepodległej wyobraźni. Ale już Zoil Duhamel udowodnił, jak to te kunsztyki czasami przychodzą łatwo i bez bólu. To wszystko zatem jeszcze preludja, impromptu, improwizacje... warjacje...

Czekamy na utwory symfoniczne. Arka Poego czy arka Noego? z której po ustąpieniu odmętów wojennych i socjalnych wychodzą powoli po pomoście wszelakie kreatury? Przyjmujemy was z najgorętszą serdecznością, czyniąc szpaler, wywijając palmowemi gałązkami, zasłaniając plecami pokracznych malkontentów Pieńkowskich i Błeszyńskich i wznosząc okrzyki: Miejsca! Młodzi idą! Usunąć się! *Hosanna! Evoe!* Pierwsza niepodległa...

Zdajemy sobie trzeźwo i melancholijnie sprawę z tego, jakaby to pustka duchowa zionęła w literaturze, gdyby „nowych młodych“ w tych dwuch pierwszych latach nie było i gdybyśmy my tylko sami byli na okopach jako... młodzi...

Ale *„jeunesse oblige”* Skamandryci!

Wam najwięcej dano i od was się najwięcej będzie żądało.

Czekamy. Ustępujemy i cofamy się w należytym ordynku na wskazane losem pozycje. Na was kolej!

ARYSTOFANES.

Nie znam rzeczy, którąby pogrążyć mnie mogła w głębszą zadumę nad skrytością i sfinksowatością natury Platona niż ów fakt, iż pod poduszką łoża, na którem umarł Platon nie znaleziono nic egipskiego, pitagorejskiego, platońskiego, lecz... Arystofanesa...

Fryderyk Nietsche.

I.

Trzeba sobie przedewszystkiem uprzytomnić, na jakie to czasy przypadła epoka twórczości największego paszkwilisty klasycznej Hellady, w epoce jakich Greków przypadło mu żyć i tworzyć, na tle jakiej atmosfery duchowej ten „skrzydlaty wąż bujał i pełzał". Wtedy tylko zjawisko Arystofanesa pojmie się, zrozumie i wiele mu... przebaczy.

Schyłek wieku V-go i wiek IV. Nowe Ateny po złotych latach Peryklesów dostają się w kosmate łapy najwyuzdańszej ochlokracji. Perykles umiał jeszcze trzymać na wodzy byka demosu i raz po razu przycierał mu rogi i bił pięścią między ślepia. Ale Perykles kończy tragicznie. Nie chcąc nurzać swych dłoni we krwi bratobójczej, odrzuca plany ostrego kursu przeciw Sparcie i tą ugodowością naraża się na wrzask demagogji militarystycznej. Wtedy po raz pierwszy wynurza się z brudnej piany motłochu łeb pyskacza z Paflagonji, który inicjuje opozycję przeciw pacyfiście Peryklesowi. Skazany na grzywnę umiera na zarazę i ze zgryzoty Perykles, jedna z licznych ofiar bezecnej niewdzięczności swych zmiennych, kapryśnych ziomków. Takich ofiar demokracji ateńskiej będzie więcej. Od tego ma sądy skorupkowe. Od tego są ustawiczne wiece na Pnyksie, aby tłum raz już z koryta rozlany, podjudzany przez zawodowych pyskaczy, to podnosił na tarczach swych fawory-

tów, to ich zrzucał ze skały lub podawał cykutę do wypicia, to wieńczył na Akropolu, to wypędzał na banicję.

Po Peryklesie, mężu na miarę Homera i Plutarcha, przychodzą karły i pasorzyty na miarę nowo-ateńskiego motłochu, Eukrates z Melity jakiś młynarz, jakiś Lysikles, który wziął w spadku Aspazję po Peryklesie, poczem ten najobrzydliwszy, garbarz skośnooki, chytry, podstępny, rozbuchany bawół z Paflagonji, Kleon. Fikcyjnie teoretycznie rządzi lud, rządzą wszyscy, aeropag, rządzi cyfra, rada pięciuset suwerenów. Istotnie w praktyce rządzi rozpanoszona biurokracja heljastów, figołapy (sykofanci), t. j. celnicy i urzędnicy do walki z lichwą żywnościową, dalej retory z agory i z obory, sofiści i strategowie od siedmiu boleści, wojewodowie od klęsk, niewydarzeni hetmani, admirałowie co potracili flotę, generałowie co zmykali z placu boju.

Uprzytomnijmy sobie, że nowe Ateny, w których psychozę demokracką wali głazami swej satyry Arystofanes, to są Ateny Alcybjadesa i... Tymona Ateńczyka... Ateny o nadmiarze sofistów i nadmiarze... strategów... strategulów.

Minęła era wielkich zwycięstw i wielkich charakterów, ale przyszedł urodzaj na problematyczne figury i na zuchwałe awantury militarne. To już nie Hellada Milcjadesa, Leonidasa, Arystydesa, bohaterów czystych i prostych, to nowe Ateny wściekłego ryzykanta Alcybjadesa, nawet nie Temistoklesa, co umknąwszy do Persji, truje się, aby nie walczyć z ojczyzną, ale Alcybjadesa, o którym rodacy nigdy nie wiedzą, z którym wrogiem Aten jest teraz właściwie w konszachtach, Alcybjadesa militarnego kondotjera, kapryśnego intryganta, posępnego megalomana, który, należąc niby do obozu skrajnej demokracji, zawsze mataczyć jest w stanie i z oligarchją, wciąż zdradza jednych dla drugich, byle utrzymać siebie i klikę oddanych sobie dowódców na szczytach władzy w myśl sentencji, wyrażonej w jednym z dramatów Eurypidesa: „by dojść do panowania, warto popełnić moc niegodziwości". Baty, jakiemi okłada Ateny Arystofanes, przypadają na lata pełnej działalności tego awanturnika, mającego tyle rysów romantycznych, sympatycznych i uwodzących, a tak złowieszczego dla swej Ojczyzny.

Z 37 utworów scenicznych Arystofanesa ocalało do naszych czasów tylko jedenaście. Nie można atoli nawet na chwilę przypuścić, żeby z zaginionych 26 przynajmniej dwa lub trzy

nie były poświęcone temu synowcowi Peryklesa i nieszczęsnemu wychowankowi Sokratesa, jeżeli się zważy, ile miejsca zawierał w historji Aten między latami 425—407, t. j. wtedy właśnie, kiedy Arystofanes pisał. Jest niemożliwością, aby Arystofanes, który tyle impetu i energji twórczej poświęcił dla zwalczania, zgniecenia i sponiewierania szału militarystycznego, jaki opanował obcesyjnie radykalję ateńską, który tak zdzierał skórę z pokracznych strategów owych czasów i tak policzkował namoczonemi szmatami „zwycięzcę z Pylos“, Kleona, nie poświęcił nawet kilku swych utworów temu ulubieńcowi motłochu i pewnej części hoplitów, Alcybjadesowi, który żarty ambicją błyszczenia i utrwalenia się w historji jako drugi Milcjades lub Perykles, mając tylko funt szczęścia w życiu, a nie mając ni łuta wiedzy strategicznej Temistoklesów i Leonidasów, stał się w owych czasach omal synonimem czy symbolem awanturniczego zawadjactwa, izolującego Ateny znienawidzone przez wszystkich sąsiadów i doprowadzającego w definitywnych rezultatach całą Grecję do jarzma niewoli rzymskiej.

Dziś na te czasy możemy patrzeć z perspektywy 25 wieków. Arystofanes na tego smętnego, żartego ambicją brawa, opętanego pozą na Aleksandra Macedońskiego, czy raczej pozą na homeryckich herojów, patrzył zbliska, twarzą w twarz. Dla rzeźbiarzy i artystów, dla poetów i retorów mógł być Alcybjades zjawiskiem pociągającem. Pięknie się prezentowała jego herma obok herm pogromców tyranji, Harmodjosa i Aristogejtona. Pięknie można było opiewać w dytyrambach jego wyprawy, czynione to tu, to tam, bez celu i planu, z garścią młodzieży spróżniaczonej, szukającej przygód i znajdującej po latach rangi i dostojeństwa za komiczne anabazy i humorystyczne potykania się z lichym wrogiem. Ale Arystofanes patrzył na tego uroczego, malowniczego i błędnego rycerza pod innym kątem. Nie zapominał mu i nie darowywał już nigdy jego paktów z wrogiem przeciw własnej ojczyźnie pod pozorem dobra tej ojczyzny i dobra oczywiście demokracji. Arystofanes jakby przeczuł, że w krytycznym momencie ten problematyczny bohater ludu, jak mógł ongiś iść w służbę sąsiedniej absolustycznej monarchji, tak będzie w stanie kiedyś uciec do barbarzyńskiej Persji i z tą maszerować dla dobra wciąż „wyzwalanego ludu“ na własny kraj. Arystofanes musiał jakby przeczuwać, że Alcybjadesowi kiedyś noga się powinie, kiedy w Atenach

weźmie górę oligarchja. Wiemy z historji, że tak się stało, że Alcybjades, który to judził na Spartę, to z nią w konszachty wchodził, wreszcie uciekł do Persów, gdzie sromotnie z łuku zabit, zakończył kometowy swój, kondotjerski żywot.

Jest tedy rzeczą wprost nie do pomyślenia, żeby w 26-ciu zaginionych dziełach Arystofanesa nie było komedji, obdzierającej laur z kształtnej marsowej głowy tego niespokojnego karjerowicza historji, który hałaśliwością swych wielbicieli, wyznawców i stronników, a nicością i nijakością swej pozytywnej wartości dziejowej, musiał prowokować furję satyryczną Arystofanesa.

Przez 18 lat Alcybjades wplątywał raz po razu swą ojczyznę w najniepotrzebniejsze wojny i afery. Wsparty tylko na armji, kadząc i podchlebiając tej armji, zeżerał z nią cały budżet biednych Aten. Był moment, kiedy na Akropolu zostało już w skrzyniach tylko 1.000 talentów. Stanęły kopalnie srebra z braku górników wyrekrutowanych... Upadały raptownie rzemiosła, przemysł, handel, nawigacja. Rolnictwo wegetowało w zaniedbaniu. Drożyzna szalała potworna. Sprowokowany przez militarną bufonadę Alcybjadesową regent Agis zajmuje Attykę i staje trzy mile od Aten. Chłopstwo attyckie zostawia wszystko na łasce wroga a ucieka chmarami do Aten. Agis potomek Leonidasa! Odpada od Aten Chios, Milet, Efez, Lesbos, Rodos, wszystkie wyspy dostają spartańskie i perskie załogi...

Czy ten moment mógł Arystofanes wybaczyć lekkomyślnemu, niedokształconemu, militarnemu romantykowi, który nie wiedząc co z sobą robić i czem się pozytywnie zająć podczas pokoju, kombinował jeno dla swego wojska eskapady zdobywcze, rozpalając w motłochu ateńskim jakąś chorą zaborczość federatywną, jakieś imperjalistyczne apetyty na niemożliwą skalę?

Czy jest możliwe następnie, aby tak fanatyczny pacyfista, w którego 11 (na 37) komedjach, trzy są całe poświęcone zwalczaniu militarystycznej psychozy ateńskiej, a w każdej innej jest adorowanie pokoju a przeklinanie i potępianie w czambuł wojny, czy jest możliwe, aby taki Arystofanes np. nie zajął się, nie uwziął się, nie imał się jako tematu właśnie najdogodniejszego do wykazania skutków bzika wojennego np. takiej ekspedycji, jak słynna, fatalna wyprawa sycylijska?

Jeżeli teraz przypomnimy sobie cokolwiek pewne szczegóły tej haniebnej wyprawy (r. 415) i okoliczności, że jednym

z dwuch strategów przy Alcybjadesie był Nikjas, tak świetnie przedtem (414) skonterfektowany w „Rycerzach“, nie możemy się w żaden sposób rozstać z hipotezą, że jak Kleon, Sokrates, Eurypides i tylu innych w znanych i ocalałych komedjach stali się nieśmiertelnemi ofiarami pasji satyrycznej Arystofanesa, tak również był taką ofiarą i Alcybjades, ulubieniec ludu, kobiet i artystów, a zarazem mąż złego przeznaczenia i pierwszy zarazek późniejszego, szybkiego już rozkładu wolnej Grecji...

II.

„Bo kiedy idziem po trzeźwu do Sparty
Mącimy wszystkiem, jakby opętani
Kręcimy wszystkiem. Co prawią nie słyszym
Węsząc w ich słowach to czego nie mówią
W tych samych paktach zmieniając warunki“.
Arystofanes: *„Lysistrata“*.

Kiedy ochlokracja ateńska przychodziła do władzy po krótkich, dostojnie i godnie demokratycznych czasach Peryklesowskich, wszystko zastała już gotowe: instytucje i arcydzieła. Był już Partenon i Erechtejon, Propylee i Akropolis, Stadion i port w Pyreus, zbudowany przez eupatrydę wstecznika Areheptolemosa, którego syna skazano teraz na śmierć... z wdzięczności dla ojca... Prosperowały szkoły i przemysł, rozwijała się flota handlowa i rolnictwo. Chodziło więc o to, aby to wszystko szybko zepsuć, administrację rozstroić, sytuację polityczną zagmatwać, życie potoczne zeszkaradzić, utrudnić i uniemożliwić.

Ochlokracja, jako że w tem majster, szybko swego dopięła. Jaknajwięcej urzędów i jaknajwyższe pensje: heljaści skoczyli z dwuch obolów pensji na trzy obole. Jaknajwięcej synekur dla swoich emerytowanych ludzi w Prytaneonie, gdzie gratisowy wikt był i opierunek. Wszystkie podatki i wszystkie ciężary nakładane nierówno i na drobną część społeczeństwa; lud rozpróżniaczony, rozpolitykowany, rozbuchany, rozegzaltowany w umiłowaniach równości, ciągle sobie tylko wiecuje i debatuje na agora, na Pnyksie, na ulicach. Na każdym rogu szczekacze, rozprawiacze i burzyciele. Wolność wszystkiego a więc i wolność podżegawczego słowa bez zastrzeżeń.

I oratorzy demagogiczni kadzą i kuszą głupi, tępy, kłapouchy Demos:

— Ateny są najpiękniej rządzonem państwem. Ateny są przedmurzem cywilizacji! Kolebką wszelakich wolności i równości. My musimy światu okolicznemu, jeśli nie całemu, narzucić nasze formy rządów, które są najlepsze. Nie możemy ścierpieć królestw, ni monarchij pod naszym nosem. Mamy wojsko, wojsko, wojsko, więc nieśmy wszędzie pochodnię republikańskich wolności. Musi się z nami sfederować Argos, Megara! To Megale idee... Nasze skrzydła opiekuńcze muszą sięgać aż do Pontu (Krym) i aż do słupów Herkulesa (Gibraltar). Tymczasem trzeba pomyśleć o narzuceniu federacji Sycylji, może Kartaginie, w każdym razie Półwyspowi Peloponeskiemu, a może i pięknej Italji. Zdobędziecie Peloponez, wtedy po 5 obolów będą pensji brali heljaści. Zdobędziemy Sycylję, a złoty deszcz spadnie na Akropolis. Eupatrydzi, te szelmy, co ciągle przysięgają na bogów i ojczyznę, nie chcą wojny? ta nasza szlachta tchórzliwa pragnie tylko pokoju i pracy? i zarabiania i zysków? precz z nią! Nasi rycerze-narodowcy chcą pokoju ze Spartą, w imię jakiejś wspólności rasowej? Nasze heterje arystokratyczne intrygują z Lacedemonami! Opopoj! biada im! Śledzić ich, donosić wszystko ludowi, denuncjować, wywłaszczać, tępić, wypędzać! Niech żyje równość i wolność! Niech żyje wojna ze wszystkimi sąsiadami, wojna, w której lud dojrzewa i zmusza eupatrydów i ludzi piśmiennych do ustępowania ze stanowisk! Wojna, w czasie której, jak na drożdżach, rosną samowiedza i samopoczucie gminu i pretensje władcze najszerszej gawiedzi. Jest armja. Jest pospolite ruszenie. Są świetni strategowie i admirałowie: Demostenes, Lizystrates, Kleonymos, Ksenofont, Eurymendont, Formio, Nikjas, Demostrates, Hyperbolos. Coprawda mało oni znani szerokiemu światu. Zwycięstw takich, jak pod Maratonem, czy pod Plateami nie mogą sobie przypisać, ale przedewszystkiem kochają wielmożny Lud, są posłuszni i usłużni Ludowi, gardzą narodowcami i obszarnikami, gardzą pacyfistami, więc dalej niech ci nas wiodą na Spartę, na Sycylję, na Wschód i Zachód, byle wznosić wokół światło demokracji attyckiej, rozszerzać umiłowanie złotej wolności... równości... gminności...

Tak mniej więcej za czasów Arystofanesa i... Tymona Ateńczyka mącą w narodowej kadzi (ten polin tarattein) demagodzy na wiecach, na agorze, na mównicach, na okrętach. W pierwszym dziesięcioleciu twórczości Arystofanesa korzysta

z tego mętu mętów i wypływa na tym agresywnym militarnym nastroju pyskacz, garbarz z profesji, zbieracz wróżb, panegirysta z zamiłowania, dziennikarska psyche: Kleon. W drugiem dziesięcioleciu ponosi ta szumowinowa piana wojennego nastroju wśród motłochu na falę Alcybjadesa. W czelny pysk niepohamowanego Kleona bije Arystofanes satyrą „Rycerzami". Dzieło zaś, którem walił bez wątpliwości w zdeprawowańca i melancholika Alcybjadesa, niestety, w przeciągu 25 wieków gdzieś zaginęło. Nie traćmy nadzieji że się jeszcze odnajdzie.

Chronologicznie biorąc obaj luminarze demo-pankracji a zakały Grecji, działają omal równocześnie i omal wzmożonym wysiłkiem swych chorych ambicyj popychają Grecję na równię pochyłą postępu... w ochlokratyzmie do zaguby i przepaści. Na zwłokach doprowadzonego do rozpaczy i do śmierci Peryklesa wyrastają te dwa olbrzymie, rozrosłe, trujące powietrze greckie, kwiaty złego. Oni obaj kolejno rozpalają w rozwydrzonej i rozpasanej demokracji ateńskiej gorączkę ekspansji i zaborczości, ukrytych pod figowym liściem frazesu o federacji wszystkich sąsiednich państw i państewek. Im więcej niecierpią tych ochlokratycznych, zaczepnych, kłótliwych, nierządnych Aten bankrutujących wszyscy sąsiedzi: Beocja, Sparta, Argos, Mitylene, Efez, Rodos, tem więcej w podbechtywanym plebsie ateńskim rośnie żądza uszczęśliwiania swym nierządem i nieładem sąsiadów otaczających. Rozpróżniaczony, rozpolitykowany Demos zaraża się temi snami o potędze od swoich ambitnych karjerorobów, Kleona i Alcybjadesa. I nowe Ateny kleptokracji ludowej raz po razu wyzywają fortunę, organizując „wielkie" eskapady wojenne z małymi strategami na czele.

Specjalnością pyskacza Kleona jest drażnienie Sparty. Lacedemonowie byli solidni, pracowici, poważni, skrzętni, oszczędni, zabiegliwi, nieco szorstcy i rubaszni, ale rządzili się konserwatywnie, sfornie, z dyscypliną, oligarchicznie. W Sparcie szewc pilnował swego kopyta, a garbarz garbował skóry. To musiało drażnić i spędzać sen z powiek takiej kanalji, jak paskarz panegiryzmu, Kleon, wydobytej ze śmierdzących mętów podmiejskich przez wulkaniczny wybuch rewolucji społecznej. Ponieważ łotrzyna szczwany wydrapał się na szczyty społeczne debjutując ustawicznemi spotwarzaniami Peryklesa o pacyfizm, przeto całe siedm lat jego przewodzenia musiało być przepełnione prowokowaniem, zgiełkiem i szczękiem wojennym. Najnikczem-

niejszy tchórz, jakby z Sybaris obywatel, staje się najzajadlejszym instygatorem i warchołem wojennym. Koślawa, kaprawa, na nogę utykająca pokraka, Kleon, identyfikuje śmiało siebie z wojskiem, ba, nawet raz staje na czele wojska, popchnięty bezkarnością korzysta ze zwycięstw Demostenesa i Nikjasa i usunąwszy ich w porę, odebrawszy im dowództwo, zbiera najspokojniej ich plon, stroi się w ich laur i uwieńczony, tryumfujący wraca do Aten! Zwycięzca z wyspy Sfakterji, zwycięzca z pod Pylos, pogromca Spartan! Pijany pychą i „sławą" worek trocin i podłostek, ośmiela się teraz odrzucać pokój, ofiarowany przez Spartę i gra arbitralnie rolę niepodzielnego, niewstrząśniętego triumfatora. Jest na szczytach sukcesu.

I oto w tym właśnie momencie historycznym chwyta tę rozdętą gadzinę za gardło Arystofanes i rzuciwszy na deski sceniczne (luty, 424), tratuje bez cienia litości. Dodajmy tu, że temu to właśnie Kleonowi, który w zestawieniu nawet z Alcybjadesem był pełzającą gnidą moralną, który w swej psychice odrażającej nie miał ni jednej uncji heroizmu, udało się dziwnym kaprysem losu polec na polu bitwy pod Amphipolis! Ale Arystofanesa i to przypadkowe zrządzenie Losu nie myli w sądzie i nic mu nie imponuje.

W rok po szczeznięciu na polu chwały pyskacza Kleona w sztuce o „Pokoju" w Parabazie jeszcze tak mówi o swoim stosunku do paflagońskiego reklamisty i panegirysty Demosu:

„Nie ludzi przeciętnych, ni kobiety przedstawi tu poeta w swej komedji, lecz jak Herkules nieustraszony z najsilniejszym walczy. On ma prawo powiedzieć: tak, ja pierwszy ośmieliłem się napaść na tę krzywozębną bestję, której oczy ciskały płomienie wśród zgraji płaszczących się przed nią pochlebców. Bestja wydawała ryk huczącego potoku, wydzielała woń foki, z tyłu podobna do wielbłąda. Na widok tego potwora nie cofnąłem się z przestrachu, lecz dla waszego zbawienia, dla zbawienia rodaków walczyłem z tą bestją nieustannie".

I istotnie z tym okazem wypasionej krzywdami fauny walczy Arystofanes, jak Herkules. Prasy wtedy nie było, ale Kleon jest właśnie jakby arcytypem dziennikarza, wynajmującego się militarystycznej demagogji. Weźcie dziś do ręki „Rycerzy" Arystofanesa i czytajcie dialogi polemiczne „rymarza" z „kiełbaśnikiem", t. j. rzecznika jakby socjalistyczno - chłopskiego, centro-lewego regime'u z dystansującym go w radykalizmie

orędownikiem następującej fali wyzwoleńczo - komunistycznej, przezwanym przez Arystofanesa: Agorakritosem, t. j. Śmieciem z Rynku. Kleon służy Demosowi na dwuch łapach jak pudel, wpatrzony w pięść Demosa z kością i ochłapem. Reklamuje swój Demos bez wytchnienia; wychwalając zachryple każde jego powiedzenie, każdy grymas, każdą nieudolność, każdy nałóg i każde polityczne głupstwo. Łasi się i tarza przed Demosem, pozwalając w momentach niełaski pluć na siebie, byle tylko Demos nie tracił humoru i obdarzał go zaufaniem.

W Atenach, opanowanych przez zdziadziałego i skretyniałego Demosa, bezład i nierząd panuje bezprzykładny. Podatków nie płacą. Dzierżawcy dóbr państwowych i urzędnicy kradną. Lud zatwierdza jednego poranka ustawy, a wieczorem je kasuje. Celnicy kradną także co się wlezie. Szmugiel do sąsiednich państewek kwitnie, a sykofanci nie mogą sobie dać rady z mnóstwem denuncjacyj. Urzędy i godności sprzedają się na jakiejś loterji partyjnej, a przekupstwo heljastów i ich pieniactwo święci orgje („Osy"). Odpadają kolonje jedna po drugiej, nie chcąc mieć nic wspólnego z tym rozkładającym się a napęczniałym organizmem. Tylko scytyjska policja, łucznicy, dzikie i okrutne pachoły pilnują jeszcze w mieście tego demosowego „porządku".

Ale nic to wszystko. Tem się panegirysta niewydarzonego militaryzmu nie kłopocze. On tylko waruje przecież u nóg „brudnych i łogawych" zdziecinniałego Demosa, on bezustannie szczeka chrypliwie i toczy krwawą pianą na wszystkich zbliżających się, on węszy spiski, wszędzie węszy spiski i konspiracje i podkopy pod nowym „porządkiem". Tropienie sprzysiężeń i wrogów Demosa i wygrzebywanie grożących zamachów stanu jest istną manją prześladowczą bezkarnie rozpanoszonego buldoga. Arystofanes szczególnie w ten fałszywy wyżli węch Paflagońskiego wywłoki, kładzie dużo siły komicznej i demaskuje odrażającego denuncjatora z okrucieństwem. Nadto Kleon skrzętnie zbiera wróżby optymistyczne od wrószczbiarzy i wieszczaków, Teorasa, Bakisa... i innych, kolekcjonuje je i recytuje przed demosem, jakby dzisiejszy jakiś papla-goniec prasowy cytował głosy uznania prasy zagranicznej dla swego władyki.

Niema wypadku, nie da się pomyśleć sytuacja, w którejby taki alimentowany panegirysta Demosu powiedział mu raz choćby słowo prawdy, przygany lub choćby najdelikatniejszej krytyki. Pyskacz zwąchawszy interes, subsydja i fundusz dyspo-

zycyjny, pławi się płaszcząc w komplementach i superlatywach, łechcących włochate uszysko Demosa. A czy tam Ateny przy tym włodarzu rozkładają się i rozlatują, czy tam na każdej kolumnie Akropolu widzi się rysy i pęknięcia, to taką „bestję skośnozębą“ „o wielbłądzim grzbiecie“ nic a nic nie obchodzi. Byle on utrzymał się przy żłobie a był blisko steru, byle stary Demos łeb mu czasem pogłaskał, a taki Alcybjades uznał w nim także strategosa i statystę, to już pyskaczowi wystarczy do szczęścia. Codzień systematycznie pod domem Demosa wygłasza jego chwałę „psiogłowiec“, codzień szkaluje wszystkich Demosa wrogów i grozi wszystkim nieprzyjaciołom złotej wolności i wyuzdanej równości, codzień wszystko, co złe i czarne w ojczyźnie przedstawia właśnie w najróżowszych kolorach, jako nierządowy optymista, codzień zataja i zasłania błędy i zbrodnie samobójczego systemu, codzień stacza polemiki z urojonymi spiskowcami Kleon wyszarzały, cyniczny. On urabia, kształtuje i ugniata opinję publiczną za rządów niepodzielnych Demosa, on jest głosem wyzwolonych warstw w nowych Atenach.

W wieńcu na łbie rozczochranym i zmierzwionym, z pierścieniem władztwa, z sygnetem ludu na brudnym paluchu, z pianą w zębach, z ozorem wywalonym na wierzch, ze zziajaną, wulgarną gębą... kryminalojda, takim prezentuje Ateńczykom bożyszcze ulicznej opinji Kleona z Paflagonji, Arystofanes Ateńczyk... Tymona Ateńczyka współcześnik...

III.

Hej ludzie wy mary mroków, podobne do wątłych kości zieleni
O istoty bezsilne, twory z błota, o plemię znikomych cieni
Jednodniowce bezskrzydli, biedni, śmiertelni, podobni sennym majakom
Dajcie posłuch nam nieśmiertelnym.

Arystofanes: Ptaki.

I Alcybjades i Kleon istnieli i mogli żyć tylko w atmosferze wojny i wojowania, bo w atmosferze pokoju i pokojowej konstrukcyjnej, twórczej pracy i organizacji, indywidualności ich skroś w genezie swej destrukcyjne malały i nikły. Alcybjades, tylko pchając z jednej wojny w drugą, mógł w sporcie wyrzynania sąsiadów, w zgiełku i szczęku broni wyżyć się bujnie i dać zajęcie i możliwość odznaczenia się swoim poplecz-

nikom, entuzjastom, sierżantom, skrachowanym egzystencjom, nieudałym synkom i nie chcącym jąć się pracy realnej awanturnikom. Dla Kleona zaś tchórza, pasibrzucha i skroś cywilusa, wojowanie nieustanne było mętną wodą do łowienia tłustych ryb i korzyści materjalnych. Na przemian to jeden, to drugi pchali więc Demos ateński do militarnych eskapad. W pewnych latach zaś obaj musieli sobie iść na rękę i wspomagać się w podżeganiu i judzeniu. Alcybjades miał pomysły na większą skalę, skroś imperjalistyczne, ryzykanckie i zuchwałe. Pyskacz Kleon szedł i wolał ryzykować po drodze najmniejszego stosunkowo oporu, t. j. przeciw Sparcie. Nieskończony szereg bratnich wojen peloponeskich, to dzieło i owoc polityczny naprzemian to Kleona, to Alcybjadesa. W 425 roku miała miejsce pierwsza awantura militarystyczna na większą skalę. Flota z 40 okrętów pod Eurymedontem, Demostenesem i starym, 80-letnim, Sofoklesem, wyruszyła na Sycylję. „Śródziemne morze winno być jeziorem Attyki"—wrzeszczeli demagodzy na Pnyksie. Przyszła klęska. W dziesięć lat później zdecydowano się znów powtórzyć nieudałe przedsięwzięcie.

Alcybjades obiecywał wyzwolenie Eugusteanom, federację z Syrakuzami, obiecywał, że na czele tak wspaniałej floty ze stu trójmasztowców dopłynie gdzie chce, dokąd chce i jak chce. Parł do tego liberał i radykał Demostrates, admirał od siedmiu boleśni. Odradzał nieśmiele tylko narodowiec i konserwatysta, zaklinający się „na bogów i ojczyznę", Nikjas, którego bigoterję, tchórzliwą ugodowość i kompromisową naturę kapitalnie piętnuje Arystofanes w „Rycerzach". Z wielkim aplombem i hałasem, pod wodzą Lammachosa, Alcybjadesa i Demostratesa, wyruszyła armada Demosu ateńskiego dla „wyzwolenia" Syrakuz. Z jeszcze większym pośpiechem zmykało wszystko haniebnie. Alcybjades, jak zawsze wściekły ryzykant, wszystko postawił na kartę i wszystko przegrał. Moc Ateńczyków dostała się do niewoli i poszła do kamieniołomów sycylijskich, a reszta uciekała, jak niepyszna. Poważna Sparta, korzystając z fatalnej sytuacji megalomanów ateńskich, przyplątała się również i część floty niezwyciężonej wysłała na dno morskie. Sprzymierzeńcy wszyscy odmówili jakiejkolwiek pomocy. Niech wypijają piwo, które sobie sami nawarzyli.

Oczywiście splendor starych Aten upadał przez kompromitację nowych, ale demokracja nadal zębami i pazurami trzy-

mała się u władzy. Były niby jakieś heterje oligarchiczne, opozycja rycerzy-narodowców protestowała i kiwała palcem w bucie, ale armja i marynarka, zafascynowane przez Alcybjadesów, Eukratesów, Lammachosów, Demostratesów, podtrzymywały rządy ochlokracji. Kiedy znów niebezpieczeństwo zaglądało w oczy Demosowi, zawieszano na czas pewien Radę Pięciuset, a zawiązano jakąś małą a ważną radę obrony państwowej, jakiś komplet ocalenia publicznego z dziesięciu nadzwyczajnych radców, „probuloi". Ale jacy to byli radcy to znowu widzimy dokładnie w starcach z „Lysistraty" Arystofanesa.

Na to dziesięciolecie burzliwe i awanturnicze przypada też zwycięstwo floty pod Samos, cud Samos, istotnie znów w krytycznej chwili ratujący niezależność Aten przed niechybną już katastrofą. Zwycięstwo to znów postawiło na nogi skonfudowanych demagogów i znów pychą bezbrzeżną napełniło ich duszę. Alcybjades stał wtedy już po stronie Sparty i przechodził przez fazę konserwatywnego na świat poglądu. Obiecywał admirałom pomoc swoją, jeżeli zgniotą demokratów a zaprowadzą oligarchję, rozwścieklony na ateńskich władców za to, że ci skonfiskowali mu majątek a jego nawet skazali na śmierć zaocznie rzekomo za współudział jego ludzi w demonstracyjnym zwalaniu po całej Attyce posążków Hermesa...

Arystofanes to wszystko przeżywa. Widzi własnem oczyma niepoczytalność ideową stratego-demokrachów Alcybjadesa, widzi rezultaty bezecnego, bezkresnego nierządu Eukratesów, Lysiklesów, Kleonów. Przypomnijmy tu, że pierwsza jego sztuka znana nam „Biesiadnicy" przypada na rok 427 prz. Ch., ostatnia zaś, antysocjalistyczny „Plutus", na rok 408 prz. Ch. Przypomnijmy więc, że na lata jego pełnej twórczości przypada też rok 411, t. p. rok zwycięstwa konserwatystów najobrzydliwszego już zagmatwania wszystkiego.

Oligarchja, zwycięży wszy zbliża się do zwycięskiej Spartyi ale zrzeka i zapiera pomocnego jej przedtem ryzykanta Alcybjadesa. Wtedy ten zebrawszy swoje bandy niespodziewanie rzuca się na Spartan i zwycięża! I teraz ten sam rząd, który go się wyparł, który w szkołach już kazał uczyć o Alcybjadesie jako o potworze moralnym, ten sam rząd urządza dlań uroczysty wjazd triumfalny. I w tym momencie znów wszystko odwraca się. W Sparcie biorą górę militaryści i Sparta pierw-

sza zaczepia Ateny. Skutkiem niedyscypliny hetmana Lysandrosa wojska ateńskie pobite na łeb. I teraz Ateny już nie demokratyczne, lecz oligarchiczne, zmuszone są do układu ze Spartą, który wreszcie staje w r. 407... Wreszcie po kilkunastu latach bratobójczych walk narodów jednej rasy staje pokój dłuższy. Ryzykant co na plecach demokracji wysunął się na szczyty, by potem, nabrawszy do niej obrzydzenia, zdradzić ją kilkakrotnie, ucieka do... Persów... do barbarzyńców. Zwłoki zabitego tam z łuku i znów zrehabilitowanego sprowadzają kapryśni i nieobliczalni Ateńczycy uroczyście do ojczyzny.

Lata twórczości Arystofanesa przypadają więc ściśle na lata zmiennej, enigmatycznej, dwulicowej, niespokojnej, kameleonowej działalności typu tak problematycznego, jak Alcybjades. Arystofanes z dnia na dzień musiał obserwować wszystkie fazy tego niedoszłego, niedowarzonego Napoleona Grecji z IV wieku p. Ch., musiał obserwować to z pasją bezbrzeżną, jak ten patrjota i bohater konspiruje to z ówczesnymi Hunnami, Persami, to ze Spartą, jak ten ulubieniec gminu — acz gardząc swoim gminem, pomaga w siodle utrzymać się oligarchom, to znowuż zdradza tych oligarchów ilekroć widzi bladnącą swą aureolę u ludu. Arystofanes musiał widzieć, jak tego gatunku wielkość żyje tylko i profituje z zamieszek wojennych, jak rośnie w hołocie autorytet takiego bezwzględnego ryzykanta w miarę jak maleje aureola i autorytet jego ukochanej Attyki. Nie sposób, aby bijąc batem wężowym z anapestów i jambów pomniejsze paskudy swoich czasów, oszczędził takiego szkodnika i pomniejszyciela ojczyzny, jak Alcybjades. Tem też należy tłumaczyć sobie fanatyczną i pacyfistyczną propagandę tak agresywnej natury jak Arystofanes. W trzech arcydziełach propaganda ta narzuca się na plan pierwszy w „Acharnach" (r. 425), w „Pokoju" (r. 424) i w „Lysistracie" (r. 413).

Arystofanes czuje instynktownie, że ten demoniczny uwodziciel motłochu, młodzieży i artystów, gotów z samym Plutusem i z piekłem zawrzeć ugodę, byle utrzymać się na szczycie i podtrzymać klikę tych, którzy jemu raz zawierzyli, którzy na niego liczą i stawiają, w niego się zaangażowali ze wszystkiem. Arystofanes widział, że w tego karjerowicza rewolucji wierzą ślepo jak w gwiazdę ci wszyscy co przestali wierzyć w dawnych bogów Hellady, co zrywali z tradycjami, co słuchają wykładów i pouczeń sofistów, co obstępują gromadą starego rozgadanego

i bluźniącego męża Ksantypy, ci wszyscy, co biją oklaski i rozpalają się entuzjazmem na nihilistycznych „sztuczydłach" zdrajcy Eurypidesa, ci wszyscy, co w pamiętnym roku haniebnie nieudałej awantury sycylijskiej nim wyruszyli na wojenkę, poburzyli w nocy świętokradczo posążki Hermesa... oni Hermokopidy...

Arystofanes kochał Grecję Gracji, Grecję legend i mytów religijnych, Grecję żeglarską, marynarską, przemysłową, produkcyjną, kulturalną, Grecję Homera, Hezjoda, Pindara, Eschylosa' Grecję Fidjasza, Skopasa, Praksytelesa, Grecję świąt panatenajskich i Dionyzjów i obchodów Artemidy, Grecję Olimpijską i Delficką, Grecję sportsmenów, kupców, artystów i aojdów, Grecję Partenonu i Akropolu, Grecję Maratonu. Przyszło zaś Arystofanesowi żyć w Atenach Alcybjadesa i Kleona, sofistów i sykofantów, potępieńczych swarów i bratobójczych wojen, w Atenach bezbożników i sceptyków, bluźnierców i kleptomanów, retorów i zdrajców, karłów i kanalji, w Atenach oligarchów tchórzliwych a ospałych, nieporadnych, konwentyklujących tajemnie, spietranych eupantrydów „rycerzy" a rozzuchwalonych, bezczelnych, brudnych, wulgarnych, kiełbaśników, rybaków, szewców, śledziarzy, garbarzy, balwierzy, stolarzy, posługaczów, „fabrykantów pióropuszów", płatnerzy zbroic i świniopasów i paskarzy wojennych. W tych nowych Atenach opływali jak pączki w maśle i czuli się jak na Olimpie wśród bogów jacyś z pod ciemnej gwiazdy nihilistyczni filozofowie, jacyś z najbrudniejszych przedmieść i portów wypełzli adwokaci i retorzy.

Kleon i Alcybjades to były ogniwa jednego łańcucha... tego łańcucha nowych Aten, który miał z czasem okuć Grecję zdetronizowaną i przygiętą i stoczonę przez chorobę kosmopolityzmu, rzucić pod stopy zwycięskiej Romy...

IV.

Skąd się bierze, że Arystofanes, „skrzydlaty wąż co buja i pełza" z taką samą furją krwiożerczą, z jaką na reklamistę Demosu, opryszka Kleona rzuca się też na wielkiego filozofa Sokratesa i na wielkiego poetę Eurypidesa?

Oto stąd, że między temi zjawiskami ze świata politycznego, literackiego, duchowego i moralnego Hellady z wieku IV, pozornie niekongruentnemi istnieje jednakże powinowactwo bardzo

bliskie. Tak Sokrates jak i Alcybjades, Eurypides i Kleon są już produktami końca pewnej cywilizacji. Idzie zmierzch bogów na Olimpie i zmierzch na ziemi czystej, jasnej promienistej kultury starej Hellady. Pewien świat organicznie wyłoniony z dziejów ludzkości rozkwita przepysznie, dojrzewa owocnie i zaczyna się psuć, paczyć, gnić, rozkładać. Ma się już ku końcowi klasycznej Helladzie. Sparta, Beocja, wyspy jeszcze są tradycjonalistyczne, wierzące kornie w Olimp i w Hades, w Heraklesa wspaniałe walki, w Zeusa lekkomyślne miłostki. A właśnie w dostojnym grodzie Pallas Ateny, gdzie Akropol i świątyń tyle i tak pięknych, lęgnie się czerw niewiary i zblazowania mitami i legendami. Wielkie miasto już się znudziło transponowaniem, persyflażem i przeżuwaniem w świątyniach i w teatrze tysiąca anegdot i alegoryj z życia bogów i bogiń i zaczyna gustować i przysłuchiwać się tym, co na Olimp rzucają inne światło, co inaczej tłumaczą zagadkę bytu, gdzieindziej widzą cel życia, inaczej opowiadają o początku ludzkości. Coraz więcej pojawia się przemądralców, rezonerów, wszechwiedzów, udowadniających słuchaczom, że na świecie są jeszcze inne narody oprócz wybranego narodu Greków i barbarzyńców Persów, ale nietylko inne narody ale i inne religje, inne kosmogonje, inne mitologje. Może i lepsze...

A co dziwniejsze, że ci sofosi, ci sofiści, ci przyjaciele sofji, mają coraz większe rzesze słuchaczów, wielbicieli, zelantów.

Arystofanes, Ateńczyk, rozkochany w artystycznie skończonej i wyrafinowanej, sensualnej konstrukcji religijnej greckiej, w jej harmonji i wielobarwności, jasności i świeżości dowiaduje się raz po razu o tych nowinkarzach filo-sofistach. Wszystko atoli, co mu mówią i co on sam słyszy przygodnie doprowadza go do ostatecznej pasji.

Jest tych bakałarzy nowego światopoglądu w samych nowych Atenach sporo. Jakiś Gorgias, jakiś Prodikos, Anaksagoras, Protagoras, Sokrates! jeden dlań gorszy od drugiego, każdy silący się na oryginalności, na ekscentryczną w doktrynach swych jaskrawość. Oczywiście są demokratami bo z domokrążców składa się ich audytorjum uliczne. Prodikos ośmiela się naprzykład opowiadać, że na początku świata był Chaos, że... dusza jest nieśmiertelną i t. p. Słuszne więc, że aeropag skazuje takiego „bluźniercę” na wypicie naczyńka cykuty, nie-

słusznie, że o tym poprzedniku Sokratesa i większym od męża Ksantypy myślicielu nic a nic nie wie potomność. Inny uwodziciel młodzieży Anaksagoras twierdzi, że niema żadnego Apollina a słońce jest rozpaloną masą tak wielką jak Peloponez... że światem i ludźmi rządzi jakiś „duch jedyny“. Arystofanesem podobnie horendalne bluźnierstwa wstrząsają do żywego. Protagoras powątpiewa wogóle czy jakiekolwiek bóstwa gdziekolwiek istnieją i dzień w dzień na ulicy, na stokach Akropolu, w porcie Pireus rozpowiada o tem głośno, szeroko i swobodnie. W Sparcie ukamienowaliby go za to już dawno, w Beocji gniłby w więzieniu, tylko w nowych Atenach, w Atenach Alcybjadesa, Kleona, sykofantów i heljastów nowych tolerują liberalnie podobne oburzające bezeceństwa...

Arystofanes komedjopisarz sam nie był znowu bigotem, bystry rozum często go naprowadzał na ścieżki sceptycyzmu nietylko w swoich „Ptakach“ ale i w „Plutusie“ i, indziej dość lekceważąco i figlarnie prezentuje widzom bóstwa... Nigdy i nigdzie atoli istności ich nie kwestjonuje, wiary w nich nie podkopuje, mity o nich choć przeinacza ale ich nie zbija i nie wyszydza. Zostawia to już temu znienawidzonemu przez siebie i tylokrotnie sponiewieranemu „synowi karczmarza“, „synalkowi straganiarki“... Eurypidesowi. Na Olimp bowiem patrzy z innej strony, jako rasowy Grek, jako patrjota. Wie, że tylko wspólna wiara, wspólne legendy i mity, wspólne bóstwa i klechdy o nich łączą tych wszystkich Greków, porozsypywanych po miastach i wyspach, często otoczonych barbarzyństwem perskiem, fenickiem... egipskiem. Wiara w Don Juańskiego Zeusa, w Afrodytę z piany wyłonioną, w Posejdona boga szlachty, wyścigów i marynarzy, wiara w Hermesa boga kupców, blagierów, oszustów i lichwiarzy jest tym kitem wspólnym, łączącym Greka z Krymu z Grekiem z Kartaginy. Odebrać Helleńczykom tę wspólnotę tradycjonalistyczną to znaczy skazać ich na zasymilowanie z barbarzyństwem. Przykładać do nich miarę rozumową i naukową, badać słońce i kpić z Seleny to jest pracować na benefis wrogów solidarności helleńskiej. Sofista, który obala wiarę w wyrocznię delficką, wspólną wszystkim Grekom, porozsypywanym po ziemi matce-Tetydzie, szkodzi Helladzie i podkopuje Ateny tak samo jak pyskacz Kleon i awanturnik choć ulubieniec ludu i „prorok we własnym kraju“ Alcybjades. Bóstwa są uosobieniem genjuszu rasy, więc aureoli Olimpu trzeba bro-

nić wszelkiemi siłami. Jasnogórska Pallas Atene musi pozostać patronką narodu, bo inaczej ta mała Grecja, otoczona pierścieniem bałwochwalczego barbarzyństwa zatraciwszy kit religijny rozpadnie się i zaginie, a z nią najpiękniejsza kultura, ba, nawet same piękno!

Dla patrjoty tradycjonalisty Arystofanesa Sokrates jest także sofistą. W niego wprost godząc ubije przy tej sposobności całą tę setkę nowowierców, nihilistów, kosmopolitów, transcedentalistów. Na scenie da mu imię ,,Legjon" bo legjon uwodzicieli tych grasuje po Atenach. I pisze Arystofanes paszkwil istotnie okrutny, gdzie bosego, płaskonosego, Sylenio brodatego łazęgę ateńskiego miesza z błotem ulicznem, odziera z wszelkiego splendoru dyfamując go jako starego, ględzącego sklerotyka, półgłupiastego a chytrego pleciugę, manjacko powtarzającego bezmyśne brednie. Nazywa się to „Chmury", gdyż nieokrzesany gaduła czaszką spiczastą wciąż tkwi w obłokach a młódź ateńską odrywa od ziemi, od oczywistości i każe jej bujać w regjonach metofizyki. Legjon żyje w brudzie i w budzie, ale nad brudną budą wciąż kłębią się i opadają obłoki.

Paszkwil na Sokratesa jest tak okrutny i bezwzgędny, że odrzuca go i współczesność i potomność. Sztuka idzie w r. 423 na scenę i pada a nagrodę roczną bierze i konkurs wygrywa stary Kratinos za swoją ,,Czaszę Wina". Potomność zaś również staje w tym sporze po stronie zmasakrowanej ofiary. Dlaczego? Bo Sokrates ma swoją legendę jako mąż Ksantypy, jako człowiek, którego skazano na kielich cykuty. Prodikosa też skazano, ale Prodikos nie miał sławnej jędzy małżonki, więc mało z niego dla legendy wątku i pociechy.

Czy Sokrates był naprawdę głębokim mędrcem, nic o tem nie wiemy. Wierzymy Platonowi i Ksenofontowi na kredyt. Czy był w swych ideach prekursorem monoteizmu, chrystjanizmu, humanitaryzmu, to się też niczem stwierdzić nie daje. Atoli to w każdym razie wiemy, że Sokrates był nauczycielem, był pedagogiem, że miał liczne rzesze słuchaczy i uczniów. Po uczniach tedy i po wielbicielach jego dydaktyki sądzić go już możemy.

Jacyż więc to byli ci jego sławniejsi uczniowie?

Oto Trazymenes, Kritias, oto... Ksenofont i oto... Alcybjades sam we własnej osobie... Fatalnie tedy świadczą ci uczniowie o swoim mistrzu. Ksenofont kondotjer, zdrajca, prze-

szedł do Persów, walczy przeciw własnej ojczyźnie... Alcybjades kondotjer, zdrajca, przeszedł do Persów, walczył przeciw własnej ojczyźnie... kilkakrotnie.

Jakże dziś możemy potępiać Arystofanesa za paszkwil zbyt bezlitosny na jednego z legendarnych raczej herojów ludzkości, jeżeli o tym niemal świętym męczenniku wiemy szczegóły tak minimalne, a o jego uczniach i wielbicielach szczegóły tak fatalne? Arystofanes wpędził Sokratesa do grobu? Wolne żarty i ignorancja. Sokratesa skazano na cykutę we 24 lata po premjerze „Chmur"... Jaki zaś był stosunek wilka rozszarpującego to jagnię, kata do ofiary, to dowód mamy w „Uczcie" Platona, gdzie Sokrates leży obok Arystofanesa, przyjaźnie jakby między nimi nic nigdy nie zaszło, pije wino właśnie... z kubka Arystofanesa... Musiało więc być coś niecoś słuszności w satyrze na Sokratesa, skoro stary gaduła tak łatwo przebaczył twórcy „Chmur" a na łożu śmierci najsławniejszego elewa Sokratesowego Platona znaleziono pod wezgłowiem... zwój nie z Sokratesem a z... Arystofanesem...

Zły więc musiał być i szkodliwy ten system naukowy skoro sławne lyceum Sokratesowe takich jak Ksenofont i Alcybjades wydawało wychowanków. Można Sokratesa i należy nawet nie wliczać w poczet sofistów, a jednak w rezultatach pedagogja jego okazała się w skutkach równie fatalną.

Na fenomen Sokratesa patrzył Arystofanes ze stanowiska integralnego nacjonalizmu ateńskiego. Młodzież ówczasna pasjonowała się do tych nauczycieli, którzy byli też rozprawiaczami, prelegentami politycznymi, poruszającymi wszystkie kwestje drażliwe i drastyczne, szczególniej religijne i moralne. Sokrates wałęsał się po Atenach, zatrzymywał się przy straganach, wstępował ze swym orszakiem do balwierzy, do karczmisk, do domów nierządu i wszczynał nieskończone dyskusje o wszystkiem i niczem. Sokrates twierdził, że tylko sumienie jest sędzią a nie bogowie, Sokrates opowiadał, że każda prawda jest i nieprawdą, że bóstwa nie mogą grzeszyć i t. p. Na wielu punktach i w wielu teorjach godził się właśnie z sofistami. Młódź, gromadząca się koło niego bywała zamyślona, blada, zgarbiona, nie umiała śpiewać pięknie o Salaminie, nie brała udziału w zapasach, w wyścigach, w konkursach, lędźwie jej i muskuły były wiotkie, cera blada, ruchy nierytmiczne a nieokrzesane, gwara, którą rozmawiali ze sobą niewyszukaną,

nie piękną a ordynarną. Arystofanesa musiało to napawać przerażeniem i trwogą. Z tego materjału nie mogli wyrastać dzielni hoplici, ani zapaśnicy olimpijscy, ani sportsmeni, ani żeglarze nieustraszeni. Tym dyskutującym cherlakom nie mogły już wystarczyć do pożywienia dziennego dwie główki czosnku i garść palonego bobu. Z tego mogli wyrosnąć dla jakiejś „ludzkości" ciekawi myśliciele i filozofowie, ale co z tego miało wyrosnąć dla Aten? Sokrates wyzwalając sumienia młodzi z więzów tradycji, podniecając jej ciekawość do zagadnień moralnych i metafizycznych, wychowywał obywateli nie dla Aten. To wszystko Arysofanes swym przenikliwym rozumem natychmiast pojął i wraz niewstrząśniętego nabrał przekonania, że z tych teoryj niezdrowych i obcych wylęgnie się jakieś nowe niebezpieczeństwo dla ukochanych Aten. W teorjach Sokratesa wypowiadała się nieśmiało jakaś nowa etyka, może i wyższa, ale w każdym razie nie grecka. Sokrates mógł być prekursorem jakiegoś nowego piękna moralnego, ale całkowicie obcego, niehelleńskiego, więc barbarzyńskiego. Jego nauki, jego dysortacje, jego monologi wstrząsały kolumnami przepięknych świątyń greckich, a nad brudną budą Sokratesa widać już było nietylko chmury i obłoki, ale jutrzenkę jakiejś nowej wiary, lux ex Oriente. Dość powiedzieć, że ci gimnazjaści, których zdołał obałamucić stary brudas z czaszką Sylena, ci przygarbieni, kłótliwi i swarliwi zniewieścialcy, tak niepodobni do dziarskich młodzieniaszków chrobrej Sparty powtarzali między sobą horendalne zdanie, że trzeba kochać każdego bliźniego swego, a więc nawet barbaroi! nawet Persów lub może Fenicjan! Oto do jakiego... zwyrodnienia dochodziły sekty tych nowatorów, tych rewolucjonistów, tych sans-culottów „Sokratesa i Spółki", Protagorosa, Anaksagorosa, Prodikosa...

V.

On n'a rien fait contre les idées sans avoir attaqué les hommes.

P. L. Courrier.

Był jeszcze inny uwodziciel młodzieży w Nowych Atenach Alcybjadesa i Tymona Ateńczyka, również dobry obywatel świata ale zły obywatel kraju attyckiego, może jeszcze niebezpieczniejszy, bo uwodzący nietylko młodzież, nietylko gromadki

biesiadników, ale cały ogół, całe obywatelstwo ateńskie i to zbierając się tysiącami, bo w teatrze: to Eurypides.

Integralny nacjonalista Arystofanes skalpuje Sokratesa i jego „legjonistów” w jednej tylko sztuce a Eurypidesa zaczepia w każdej, literalnie w każdej, nadto w „Żabach“ bije w niego pałą nabijaną gwoździami bez litości. Trzeba wogóle przyznać, że dla kolegów z literatury Arystofanes był bez zbytniej rewerencji. Niema komedji, w którejby nie przypinał łaty lub przygodnie nie wyszydził któregoś z dramatystów. Dużo dostaje się Ferekratesowi, ale i naśladowca Eschylosa Morsimos często jest parodjowany. Nawet Sofoklesa „Peleusa” zaczepia dość kpiąco, prawdopodobnie podirytowany tem, że znakomity tragedjopisarz dał się wplątać w militarystyczne awantury i był jednym z niefortunnych admirałów. Dla jednego tylko, jedynie Eschylosa rezerwuje sobie korny respekt i kult zbożny i demonstracyjny. Po śmierci Eschylosa przywdziewa nawet żałobę, w ,,Żabach“ zaś przeciwstawiając jego wielkość, genjalność i posągowość, karłowatemu histerykowi Eurypidesowi składa mu hołd i hommagium jako autorowi, jako człowiekowi, jako Ateńczykowi i wcieleniu genjusza greckiej rasy. Eurypidesa nienawidzi wprost obsesjonalnie, z zaciętością krwiożerczą i z rodzajem manji prześladowczej. Arystofanes dobrze przeczuwa do czego tego „romantyka” doprowadzą jego kosmopolityczne inklinacje, przeczuwa, że 68-letni Eurypides będzie mógł opuścić Grecję i osiąść jako pieczeniarz i rezydent na dworze macedońskiego despoty Archelochosa (zaciętego wroga Aten), aby tam kiedyś zamrzeć tragicznie, rozszarpany przez psy wściekłe...

Popularny w nowych Atenach autor teatralny jest dla Arystofanesa synonimem, symbolem, wcieleniem wszelkiej dekadencji. Jego twórczość skróś rewolucyjną, plebejską, antytradycjonalistyczną, wolnomyślną, patologiczną. Tradycjonalista Arystofanes wprost pieni się i chrypie z pasji gdy pisze, persyfluje, parodjuje popularnego w demokracji nihilistę moralnego. Dla Arystofanesa jest Eurypides zawsze tylko typowym produktem: karczmarza i straganiarki, bezczelnym i niemoralnym spekulantem na poklask rozzuchwalonej gawiedzi. Eurypides ośmiela się królów i bohaterów przedstawiać nie w blasku chwały i potęgi a w łachmanach i brudnych tiunikach, w upadku (Bellerofont Filoktet), w nędzy, jako ludzi zwykłych, pospolitych, nie pomazanych. Wszyscy ludzie są równi wobec Losu,

wobec Ananke. Wojna nie odróżnia wielkich tego świata od małych. Rybak, korsarz, śledziarz może mieć duszę królewską w piersi i więcej szlachetności, godności osobistej, męstwa od hetmanów, archontów, tetrarchów, regentów. Gawiedź w teatrze ateńskim wyje i ryczy z satysfakcji, gdy patrzy na to widowisko, burzące w gminie ateńskim do reszty wszelkie poczucie hierarchji, niszczące dyscyplinę i pokorę maluczkich. Eurypides duszę kobiecą pojmował tak jak za naszych czasów A. Strindberg, myzoginicznie, układ warstw społecznych jak za naszych czasów B. Shaw, a do proletarjatu odnosił się jak do swoich bradiagów i bosiaków... Gorkij.

Można sobie teraz wyobrazić do jakiej furji doprowadzał Arystofanesa mob ateński w teatrze, szlochający na widok łachmanów Filokteta, oklaskujący Hipolitę, szalejącą z miłości seksualnej do swego pasierba, lub radujący się, gdy na scenie wyszydzany był bohaterski Herkules. W literaturze Eurypidesa roiło się od tych samych niezdrowych, sceptycznych, pesymistycznych, sentymentalistycznych maksym, które wygłaszali Protagoras, Prodikos, Sokrates i cały legjon niebezpiecznych „meteorologów". Ta sama moda uniewinniania potworów moralnych, ta sama apologja łotrowstwa, histerji seksualnej, perwersji uczuciowej, przebaczania wyrodkom i zwyrodnialcom, to samo nieodróżnianie gatunku „Hellen" od podgatunku „barbaroi" w imię jakiejś fikcji ogółu ludzkości...

Eschylos i Sofokles wychodzili już zupełnie „z mody". To, co Eurypides dawał, było nowe jak oni też, byli homines novi. „Przedstawiam ludzi takich, jakimi są", mówił o sobie autor „Telefosa". „A ja takich jakimi być powinni", odpowiadał mu na to Sofokles, mógł odpowiedzieć i Eschylos. Realizm czy naturalizm Eurypidesa z dodatkiem jeszcze jego sceptycyzmu religijnego, melancholji seksualistycznej i sofisterji moralnej („usta przysięgały lecz dusza milczała", „by dojść do panowania, warto popełniać moc niegodziwości", „każda prawda ma dwa oblicza", „ojczyzna ma jest tam, gdzie sprawiedliwość"), odpowiadał bardzo gustom, apetytom i sumieniom tych nowych demagogicznych Aten. Ta publika nieokrzesana nudziła się już na hieratycznych „Persach" Eschylosa, ale podniecała niesłychanie myzoginizmami, strindbergizmami, shawizmami, paradoksami i wybuchami sentymentalnemi modernistycznego demagoga dramatycznego Eurypidesa.

Ani atoli Sokrates, ani Eurypides nie reprezentowali już Grecji dionizejskiej, Grecji Apollińskiej, Grecji Gracji. Filozofja jednego i dramaturgja drugiego należały już organicznie do Grecji zachodzącej przy zmierzchu bogów, do Grecji Marsjaszowej i Tersytesowej, do „nowych Aten" Alcybjadesa i Kleona. Tych zaś tradycjonalista i obrońca starego piękna i starego ładu, stróż i chorąży kalokagatji, Arystofanes, nienawidził i tępił. Tępił, równocześnie unieśmiertelniając w dziełach, które dziś jeszcze krwią serdeczną pulsują.

To samo rewolucyjne nowatorstwo, które rozdrażniało i do białej gorączki doprowadzało szermierzy starej Grecji w mężach politycznych, w gwiazdach demokratycznych, w nihilistycznych myślicielach, to samo przemawiało ze sceny z dramatów Eurypidesa, w których szalała Afrodyta, buchało uczuciowością i seksualizmem, jednostka była wszystkiem, a problemy socjalne, narodowe, polityczne nie istniały. Musiało się to podobać widzowi typu „idiotes" (t. j. człowiek prywatny), apolitycznemu egoiście, kosmopolityzującemu nowo-Ateńczykowi, a więc wyzwoleńcom, metojkom, parwenjuszom republikańskim. Ale irytowało i oburzało patrjotę, który i od twórczości dramatycznej domagał się służby narodowi i potęgowania instynktu państwowego.

Eurypides grał na nerwach, podniecał histerję tłumów, podrażniał sentymentalizm, osłabiał hart dusz i energję poczynań, jednem słowem był złym obywatelem Aten, ergo szkodliwym pisarzem. Patologja lamentujących bohaterów i boleściwych heroin Eurypidesowych działała na zdrowy rozsądek, na zogniskowany w Arystofanesie „common sense" Grecji jak czerwona chusta na rozjuszonego byka a raczej Centaura. Rzucał się tedy na tego, według jego najgłębszego przekonania deprawatora tłumów jak oszalały, w nim dopatrując się jednego z głównych winowajców skarlenia, zanarchizowania, zniedołężnienia, stępienia i zniewieściałości całego społecznego pokolenia.

W Eurypidesie widział Arystofanes zmierzch tego, co harmonijnie, umiarowo, spokojnie i wzniośle piękne na rzecz i benefis tego, co rozbuchane, wybujałe, przesadne, nieuskromione, niehamowane a chamskie i niegreckie. W libertynizmie i w... liberalizmie Eurypidesa dopatrywał się wielki satyryk bojujący (zresztą na wesoło) pro aris et focis nietylko herezji, propagandy polyandrji i... „wolnej miłości" ale i jakichś nie-

jasnych jeszcze... socjal-komunistycznych już idei i błysków. By więc przeciwdziałać temu nawałowi złych, chorobliwych, nieateńskich i niegreckich idei, rzucił na deski sceniczne „Plutusa“ (rok 408 po Chr.), tę pierwszą antysocjalistyczną sztukę, wykazującą konieczność nierównego podziału bogactw i wyjaśniającą... wyższość zdrowego proletarjusza nad ciężkimi, spasłymi, podagrycznymi ulubieńcami oślepionego, niewidomego Plutusa. Dziś jeszcze „Plutus“ po 25 wiekach jest najmądrzejszą, najlogiczniejszą satyrą na... Marksa.

Nazwał go za to i za całą twórczość wogóle sofista filozof Zenon: błaznem Aten... I tym jednym epitetem zarobił sobie Zenon na nieśmiertelność. Tylko dlatego wie się o Zenonie cośkolwiek, że ośmielił się na takie bluźniercze przezwisko. Arystofanes bowiem był jednym z tych błaznów, o których w „Królu Learze“ autor ...Tymona Ateńczyka mówi: „Są błazny, którzy bywają prorokami“...

EINSTEIN.

„Wszystko jest relatywne
oto jedyna bezwzględna zasada".
August Comte.

Wielkość Einsteina jest pojęciem względnem (relativ). Można zaryzykować taką hipotezę po uwzględnieniu trzech nowych odkryć w dziedzinie relativologji.

I. Podczas triumfalnego objazdu znakomitego uczonego po Ameryce, kiedy New-York urządził dlań wspaniały odchód, uczonym mędrcom Sionu przedłożono tygodnik amerykański „Harpers Weeckly" z zeszytami od 27 sierpnia do 7 października r. 1911, w których inżynier amerykański, piszący pod pseudonimem Kinerna na cztery lata przed Einsteinem przeprowadza już główne zasady później odkrytego relatywizmu, specjalnie w fizyce. Z rewelecją tą występuje oficjalnie profesor z College Saint Thomas w Saint Paul (Stan Minnesota). Sprawa niejasna.

II. Podczas pobytu znakomitego uczonego w Londynie, kiedy to Kings College występuje ze wspaniałem przyjęciem a lord Haldane były student Jeny, odsunięty w cień były minister wojny, autor pracy o Schopenhauerze wygłasza entuzjastyczną mowę, pismo paryskie „L'Eclair" drukuje list uczonego francuskiego Luciena Fabre, w którym tenże entuzjasta Einsteina, zarzuca swemu mistrzowi kłamstwo. Fabre napisał książkę o Einsteinie i wydał u Payota. Do książki dołączył trzy listy Einsteina, pisane do siebie, jako przedmowę. W belgijskiem piśmie „Le Flambeau" i w niemieckiem: „Naturwissenschaften" pojawia się list Eisteina, protestujący przeciw tej przedmowie i orzekający, że listy są nieprawdziwe. Na to odpowiada prof. Fabre w „L'Eclairze", przedkładając równocześ-

nie 3 facsimila listów znakomitego uczonego. Einstein milczy. Sprawa niejasna.

III. Sionistyczne pismo: „Wiener Morgenzeitung", z niedzieli dnia 19 czerwca 1921 (Nr. 860) zamieszcza artykuł prof. Einsteina p. t.: „Wie ich Syonist wurde", którego styl, dowodzenie i argumenty nie różnią się w swej płytocie, powierzchowności i prymitywności czysto dziennikarskiej od żadnego innego artykułu, zamieszczanego w tem piśmie, a stoją znacznie poniżej poziomu wywodów i konfesyj wielu innych wielkich sionistów jak Sokołowa, Zangwilla, Nordaua, Weitzmana, Achad-Haama, Pasmannika, Wahrburga, Kellnera, Erdtrachta i t. p.

Otóż trzy te zjawiska i odkrycia naprowadzają na przy-przypuszczenie, że wielkość tego człowieka, o którym teraz mówi cały świat nie jest pojęciem stałem i trwałem, bezwzględnem, ale że ma w sobie pewne zalążki relatywności, które z biegiem czasu mogą się rozrosnąć i oślepiające światło tego nazwiska nieco przyćmić. Narazie atoli czytamy co innego. Gdzie ruszyć teraz jakieś pismo codzienne, miesięczne, kwartalne, wszędzie natrafiamy na nazwisko Einsteina. Sława jego rozszerza się z szybkością 300.000 klm. na sekundę a obecnie dochodzi już do Kafrów i Hotentotów na Południu, do Eskimosów na Północy, do Afganów na Wschodzie, do Kubanów na Zachodzie. Niema, literalnie niema już chyba punktu na globie, gdzieby nie dotarły Einsteina załamujące się cokolwiek w „polu grawitacyjnem" promienie chwały. Niema i nie było dotychczas uczonego, któryby z taką piorunującą szybkością zyskał niby mir i uznanie całej ludzkości, co tem ciekawsze, że teorje jego są dla normalnej inteligencji hieroglifami i mimo zastrzeżenia samego uczonego już w tytule: „gemeinverständlich", są zrozumiałe tylko dla najwybrańszej intelektualnej elity naukowej. Niema już nazwiska naukowej wielkości wieków poprzednich, z któremby fanatycy i zelanci nowej ewangelji zawahali się zestawić swego mistrza. Galileusz, Newton, Kopernik, Tycho Brahe, Heveljusz, Celsjusz, powtarzają się stale. Ten i ów porównuje doniosłość odkryć to z Kolumbem, to z Magellanem, to z Marco Polo, to z Guttenbergiem, to z... Jozuem „Sta sol, non movearis!..." „Eriquit fulmem coelo sceptrumque ...Ariis..." Ostatnio nawet firma filmowa Colonna-Film „zdjęła" teorję relatywności według układu czy scenarjusza

prof. dr. Otto Bucka, prof. Fanty z Pragi dr. Rudolfa Laemmela (Zürich) i prof. G. F. Nicolaia!!

W porównaniu z Niemcami, Anglją, Ameryką, Włochami u nas gmina wyznawców i apostołów Einsteina jest jeszcze niewielka i w taktyce propagandowej umiarkowana i dyskretna. P. Stanisław Loria u Altenberga lwowskiego wydał, zdaje się dwie prace: „Względność i grawitacja“, „Eter i Materja“. Sympatyczny kolega, dramaturg Winawer, poważny uczony i doskonały komedjopisarz ogranicza się tylko na feljetonach, w których entuzjazm przeplata humorystyką, ale w każdym razie porównuje Einsteina z... Kopernikiem i dowodzi, że za lat 400 tak zbledną wszystkie znakomitości nawet marszałkowskie naszych czasów, że będzie się mówiło o nas jako o „żyjących w epoce Einsteina“. Czy w tym wypadku jest in vinaveritas to jest względne, gdyż „der Zeitbegriff ist relativ“ i dopiero w r. 1922 przekonamy się zapewne czy w roku 1921 żyliśmy w roku Einsteina.

Ażeby wyrobić sobie pewne tylko wyobrażenie, pewną ideę o olbrzymiej doniosłości Einsteina, trzeba być matematykiem i to wyższym, fizykiem i astronomem. Jeżeli ktoś o tych trzech dość rozwiniętych gałęziach wiedzy niema ni dob rego pojęcia a już tembardziej jeżeli niema najmniejszego wyobrażenia, ten próżno się trudzi starając się dojść do tego: w czem rzecz. Im więcej czyta czy Einsteina czy o Einsteinie, tem więcej mózg jego zapada na częściowe zatwardzenie (partielle Gehirnverstopfung) a jest moment w dociekaniu, kiedy człowiek przerażony chwyta się za głowę i z gołą głową wybiega na ulicę, byle nie zgłupieć doszczętnie. Rozpaczać wtedy nie trzeba, a lepiej pocieszyć się tem, że własna żona Einsteina oświadczyła dziennikarzom nowojorskim jako nauki męża nic nie rozumie. Nie można znowuż dziwić się i oburzać na żonę, przypominając sobie, że tak znakomici uczeni astronomowie jak sir Franck Dixon w Greenwich i Kamil Flammarion oświadczyli, że Einstein swoje odkrycia publikuje w niezrozumiałym... dla nich języku.

W każdym jednak razie zbliżając się już cokolwiek do podnóży szczytów myślowych Einsteina odczuwa się, że jest to jakiś wielki rozbijacz tablic, sceptyk i rewolucjonista w swych eksperymentach myślowych, że to co wnosi pozytywnego w swe dziedziny jest minimalnem wobec jego olbrzymiej negacji i de-

strukcji ustalonych dogmatów i pewników. Zdawało się, że matematyka i fizyka opierają się na absolutnych wartościach, że czas i przestrzeń są wrodzonemi pojęciami umysłowości ludzkiej, że pewne poglądy na masę, na energję, na prawo ciężkości, na miary przestrzeni, na eter świetlany, na ruch jako źródło życia są ustalone i są dogmatyczne. Tymczasem przyszedł Einstein i udowodnił, że niema siły ciążenia, że nasze miary zależne są od pewnych warunków obserwatora, że czas jest związany z obserwatorem, że niema równoczesności, że nawet w fizyce jest kompletny chaos, że nie jest nigdzie niczem stwierdzone właściwie, że ziemia się obraca i t. p.

Oczywiście z rąk teorji Einsteina nie powstał ex nihilo. Pewne zasady sformułowane już były przed nim przez Fr. Poincarego (relativité restreine), przez holendra Lorentza (zmniejszanie się ciał ulegających wielkiej szybkości), przez anglika Maxwella (redukcja światła w energję elektro-magnetyczną) oraz przez Riemanna i Gaussa (geometrja w czterech dymensjach). Z tych uczonych Lorentz, który głównie natchnął Einsteina stał się jego zaciętym oponentem.

Trzeba lojalnie i bezwzględnie przyznać Einsteinowi, że w każdym razie jemu tylko znów udało się wyrwać elitę ludzkości od grzebania się tylko w przyziemnościach doczesnego żywota i że inteligencja obu półkól bez różnic narodowościowych i rasowych znów zaczyna wznosić oczy ku niebu, kontemplować nad zagadką wszechświata, zajmować się intensywniej kosmosem... planetami... może i metafizyką. Narodom i rasom świata rozżartym na siebie od czasów wojny, klasom i warstwom wszystkich społeczeństw rozjadłym w walce o chleb i władzę znów ten Semita wykazuje znikomości i marność tych wszystkich wojen, walk, nienawiści, bojów i udręczeń wobec tysiąca nierozwiązalnych zagadek bytu. Ostatecznie tylko Einsteinowi udało się znów przypomnieć megalomanji ludzkiej jak drobną, ograniczoną na umyśle i ciemną kreaturą, jakim molekułem i drobiną jest istota mówiąca o sobie z pychą: homo sum. I w tem już leży jego wielka, jego niezapomniana zasługa, w tem oderwaniu elity naukowej od zadań i zagadnień tylko przyziemnych i praktycznych. Ale nie w tem rzecz, przynajmniej nie w tem rzecz obchodzącą publicystę.

Nas tu obchodzi sprawa inna. Einsteina trzeba brać w całokształcie nietylko jako nowego Kopernika, czy Newtona

ale jeszcze jako działacza i propagatora politycznych idei. I tu oto zachodzą pewne sprzeczności i niejasności. Kością pacierzową systemu uczonego Einszteina jest: „Der Zeitbegriff ist relativ" ale wyznaniem wiary politycznej polityka Einsteina jest: „Ich gehe von der Realität der judische Nationalität" („Wiener Morgenzeitung" Nr. 860). Ergo pojęcie czasu jest rzeczą względną relatywną, pojęcie narodu żydowskiego jest rzeczą realną, bezwzględną. Tak powiedział „Kopernik naszych czasów", który jeszcze w listach, zakwestjonowanych teraz przez siebie do Luciena Fabre'a zadeklarował się jako kosmopolita i dawniej kilkakrotnie swój internacjonalizm ostentacyjnie akcentował. Teraz po powrocie z Ameryki i Anglji, poznawszy tam naocznie i na sobie przepotęgę semitów, rozstaje się z wszechobywatelstwem ogłasza się śmiało i pięknie nacjonalistą, żydowskim i pisze, że „wierzy w to, iż każdy żyd powinien się poczuwać do obowiązków względem swoich wszystkich współwyznawców", że „każdy żyd winien stać się sionistą", że „sionizm otwiera olbrzymie perspektywy tym żydom, którzy giną w piekle ukraińskiem „oder in Polen ökonomisch verkommen"... Jako matematykowi z zawodu moglibyśmy prof. Einsteinowi udowodnić cyfrowo, że żydzi w Polsce nietylko ekonomicznie nie upadają ale że rosnąc i tyjąc jak na drożdżach wykupują wszystko, nawet grunt pod nogami i że nietylko nie myślą o emigracji do Palestyny, ale zastanawiają się, gdzie nas wnet będą eksmitować. Der Zeitbegriff ist relativ. Die Judiche Nationalität ist reell...

Że tak jest w istocie możemy się właśnie przekonać z tej olbrzymiej sławy jaką jedną książką choćby epokową i monumentalną zyskał sobie ten 40-letni młody uczony. Po wizycie Polki Skłodowskiej-Curie w Białym Domu i po hołdach złożonych jej wraz z prezentem przez świat naukowy amerykański, zdecydował się sanhendryn natychmiast zniwelować ten efekt, wyciągając na stół swój atut największy. Mechanizm reklamowy obu półkul jest dziś już całkowicie w rękach semickich nakładców i dziennikarzy. Na rynkach sławy międzynarodowej wszystkie walory i wartości ustalają i normują dziś wyłącznie semiccy dziennikarze. Na dany znak odzywają się wszystkie trąby i trąbki jerychońskie, pada sława tego lub owego aryjskiego autorytetu, a rośnie niebotycznie w oczach znakomitość z wybranego narodu. Welt-ruhm, Weltverkehr, Welt-system,

Welt-reklame. Od lat 20 omal niema światowych znakomitośc aryjskich, tolerowane są ledwie o ile ugną kolano przed Molochem. Natomiast są Brandes, Nordau, Ehrlich, Bergson, Freud, Fliess, Weininger, Kellerman, Wasserman, Lissauer, Ewers... Taksamo w teatrze, w muzyce, w malarstwie. Blednie aureola Bergsona w Sorbonie, wyciąga się i rozdyma fenomen Einsteina. Tysiąc feljetonów sypie się w jednym miesiącu we wszystkich stolicach, we wszystkich językach i welt-ruhm jest gotowy.

Rabindranath-Tagore wyraził się gorąco i z entuzjazmem o genjalności rasy żydowskiej, Rabindranath-Tagore jest największym poetą indo-europejskim; niema najmniejszego miasteczka w któremby w najmniejszej gazetce nie napisał o nim jakiś pióra Machabejczyk. Chaplin jest semitą; niema pisemka żydowskiego na kuli ziemskiej, gdzieby o gwieździe kinematografu Charles Chaplinie nie było feljetonu...

Dwa lata temu próbowano zrobić „Weltruhm" z prof. Fajansem, znakomitym radjologiem. „Der Traum der Alchimistem erüllt" szły już feljetony jingełesów. Ale poważny uczony monachijski wyprosił sobie wszelką reklamę i ucichło. Prof. Einstein natomiast pozwolił z siebie zrobić białego słonia i sławę doroczną i w dość trywialny sposób obwożony jest i fotografowany jak Caruso lub Carpenter aż do obrzydzenia. Życie jego obecne nie jest żywotem poważnego uczonego niemieckiego w laboratorjum, w auli, w bibljotece, ale reklamowemi rozjazdami tenora, boksera lub rajzendera firmy Keren Hajessod et Comp. Jak można pogodzić taki hałaśliwy tok dnia, takie mieszanie się w aktualne i dziennikarskie dyskusje, takie wałęsanie się po meetingach, i propagandę nacjonalizmu judejskiego ze spekulacjami myślowemi podgwiezdnemi, z zawrotną głębiną badań i zjawisk kosmicznych z eksluzywnością wiedzy omal palimpsestycznej, opartej na formułach matematycznych i z ambicją rozwiązywania zagadki bytu, zagadki wszechświata to już pozostanie psychologiczną zagadką nie dającą sie odcyfrować. Okazuje się tylko, że także i pojęcie dotychczasowe o dostojnej powadze i nieświatowości każdego wielkiego uczonego było relatywnem. Einstein stanowczo już nie jest zamyślonym, wgłębionym w siebie, długowłosym uczonym z Fliegende Blätter. Jest modnym światowcem jadącym autem z bankietu na bankiet. Nie dostaje już

do picia czary z cykutą ani za swoje nowinki nie jest palonym na stosie, lub katowanym czy przemilczanym. Nie podpisał się kilka lat temu na słynnym haniebnym adresie 99 uczonych niemieckich i tem niepodpisaniem się wygrał wielką stawkę życiową. Teraz jako wróg pangermanistów adorowany jest przez wielu Francuzów, owacyjnie przyjmowany w Londynie i w Stanach. W interwiewach deklaruje, że kocha dzieci i... kwiaty..., że przepada za Haydnem... i Bachem, że czytuje... Strindberga i... Dostojewskiego, a nie lubi... Goethego i Wagnera... To się podoba i to popłaca w Londynie... w Paryżu... w Rzymie.. Reporterzy rzucają się chmarami za nowym dreszczem, nową sensacją, nowym izmem. Jak wczoraj nie było jeszcze żadnej snobinetty bez Bergsona w łapce, tak dzisiaj tłoczą się precieusy radykalne na prelekcje „modnego Kopernika".

Że zaś brodate profesory z Jeny, Gettyngi, Oxfordu coś tam zawiścią powodowani pomrukują o bluffie, humbugu, mistyfikacji i lansowaniu przez międzynarodową reklamę przepopotężnego aljansu uniwersalnego, temu się dziwić nie można. Każdemu Archimedesowi zazdrościli konkurenci. Równocześnie atoli śledząc za rozmaitemi ułomnościami myślowemi i politycznemi tego Majmodinesa nie można już ani na chwilę przypuszczać, że to jest ten Mesjasz nauki, który wszystkie tajemnice bytu odgadnie, że to jest ten Edyp, który Sfinksa zdemaskuje, że to jest mahatma, który odsłoni tajemniczą zasłonę obrazu Sais. Einstein jest imponujący ale organizacja jego reklamy imponuje jeszcze więcej. Ein-Stein der Weisen der Reclame!

I jeżeli nasz Winawer twierdzi, że wobec meteoru Einsteina fantasta kosmiczny Wells jest robaczkiem... świętojańskim, to zdaje się jest w błędzie i egzaltuje. Wells bądź co bądź był nieco jasnowidzącym już choćby w opisach nadchodzącej wojny europejskiej i w wielu fantasmagorjach innych. Einstein zaś dotychczas narazie przepowiedział tylko jedno, że: Der Zeitbegriff ist relativ... i że... Die judiche Nation ist reell.

REYMONT
A SECOND SIENKIEWICZ.

Od czasu Sienkiewicza, jest to pierwszy znów karmazyn polski, o którym czyta się już we wszystkich językach najwyższe superlatywy, pierwszy, którego olbrzymi talent przebił znów mury obojętności europejskiego świata intelektualnego, wobec nas stale praktykowanej i rozsławia znów polskiej twórczości rozmach i siłę po obu kontynentach.

„A second Sienkiewicz“ czyta się w angielskich i amerykańskich pismach jak się niedawno czytało w niemieckich „Der Bauern—Sienkiewicz“. Świeżo na język szwedzki przetłumaczyła pierwszą część „Chłopów“ warszawianka, pani Janina Palmen, a krytyka szwedzka z prof. F. Böokiem na czele nie znajduje dość słów entuzjazmu dla potężnej epopei siermiężnej. Największa amerykańska firma nakładcza G. P. Putnam Sons wydała także „Chłopów“ a dziełu zapowiadają w Stanach Zjednoczonych taki sukces, jaki miało „Quo Vadis“. „The Peasants“ tak brzmi tytuł książki, która stanie się z czasem najlepszą propagandą polskości w świecie anglo-saskim i zaświadczy przed nim, jakie to energje potencjonalne drzemią w wydobywającym się obecnie na widownię dziejową ludzie polskim i jakiej miary pisarzów wydaje każde pokolenie polskie.

Możemy być dumni, że nasza generacja, która dała literaturze takich potentatów pióra jak Wyspiański, Weyssenhoff, Żeromski, Kasprowicz, Sieroszewski, Roztworowski, Makuszyński, Staff, Tetmajer, Perzyński może się wreszcie pochwalić i twórcą światowej już miary i renomy, godnym wzięcia po Sienkiewiczu hetmańskiej buławy w swe spracowane dłonie. Habemus papam. Mamy znów pośród siebie naszego „magnus parens", naszego najwyższego rangą i dostojeństwem, którego dzieła czytają sobie i w Kanadzie i w Katalonji i po czesku i po rusku

i w zamkach szwedzkich i w chałupach serbskich, ba, nawet po esperancku...

Podwójną zaś radość i wdzięczność dla twórcy „The Comedienne” i „The Vampyr” odczuwa znowuż ta grupa pisarzów polskich, z którą w krytycznych latach wojny europejskiej łączyła Reymonta wspólność wierzeń, ideałów i nadziei politycznych, ta grupa która pod żadnym pozorem i pretekstem nie chciała wchodzić w ugody z pruskim i austrjackim najazdem okupacyjnym, a która znowuż w pierwszych latach niepodległości uzyskanej, w czasach organizacyjnego chaosu i hałasów demagogicznych stanęła zwartą ławą w obronie wiecznotrwałych pierwiastków rasy i kultury polskiej, ratując relikwje i resztki starych tradycyj przed zamachami i eksperymentami rozhukanego i rozwierzganego barbarzyństwa. „A second Sienkiewicz“, jak cały czas podczas wojny stał krzepko mimo licznych syrenich pokus po stronie zachodnich państw demokratycznych a z konieczności automatycznej i po stronie ich wschodniego partnera, tak również po wojnie znowuż uznał żelazny imperatyw bronienia i strzeżenia ciągłości kultury i tradycji polskiej oraz protestowania przeciw różnym aktom, faktom i defektom tego obozu, który zaczął od zatknięcia „krasnej fahny” na Zamku Królewskim a kończy na niedołężnem kopjowaniu militaryzmu pruskiego przy równoczesnem mocno mongolskiem destruowawaniu i dezorganizowaniu całego naszego życia wewnętrznego.

Reymont świadom tego, że nietylko „noblesse” ale i „genie oblige”, w pełnym poczuciu obowiązków swoich dostojeństwa, odbył podróż za Ocean, aby tam bezpośrednio zetknąć się z potężną kolonją polską i podtrzymać w niej wiarę w wielką przyszłość Polski, mimo nierządu, bezładu i fatalnej gospodarki tymczasowego interregnum. Przejęty zaś skroś żarliwą, zbożną miłością do gleby, do kawałka ziemi, miłością buchającą z każdej stronicy jego „Chłopów”, zakupił sobie w Wielkopolsce szmat ziemi z domostwem, gdzie z czasem funduje azylum i tusculum dla chcących w ciszy pracować a „wstydzących się żebrać” literatów...

Teraz ten „a second Sienkiewicz” przebywa wśród nas.

Należy żywić nadzieję, że pobyt ten przyczyni się znów do wzmożenia energji, naelektryzowania, a w niektórych wypadkach nawet zgalwanizowania pisarzów z grupy narodowej i tradycjonalistycznej i przypomni im elementarny obowiązek

podtrzymywania ducha w opinji publicznej i stawianie viribus unitis ideowego oporu falangom i falom barbarzyństwa, brutalstwa, ochlokracji i bolszewizmu „na miękko", czy też bolszewizmu „w opłatku", jakim nas raczą obecnie nasi rządowi i rządzący znachorzy i rataje. Należy znów zbudzić do czynu i działalności aktywnej plejadę pisarzów z pod „Białego Orła" nie zrażając się i nie detonując drwinami i tupetem rozbijających się łokciami wielbicieli sztandaru, którego kolor jest czerwony. Niema dziś czasu na „otium cum dignitate" i Horacjuszowskie „odi profanum vulgus". Trzeba iść naprzeciw rzeszom i w rzesze i śmiało i głośno ostrzegać, alarmować i prostować ścieżki prawdzie. Literaturę polską zaczyna ogarniać rosyjska „obłomowszczyna" i zasada niesprzeciwiania się nadchodzącemu złu. Tak dalej być nie może. Trzeba otrząść się z apatji, zejść z wież z kości słoniowej i ze „sterczących dumnie" pałaców myśli egotycznej i kontemplacyjnej. Trzeba zejść do codzienności, na gościniec publicystyki, w szarość pracy. Bierzmy przykład z autorów francuskich, angielskich, niemieckich a nie rosyjskich! Ci wszyscy, choć piszą i sub specie aeternitatis, dla potomności, dzieła czystej sztuki, jednak nie wahają się w chwili krytycznej dla kultury europejskiej i dla ojczystej tradycji, kiedy wszystkie wulkany dymią i grożą, zaprzęgać się i do orki codziennej i zabierają głos ciągle i systematycznie w bieżących i palących kwestjach i sprawach.

Trzeba czytać, jak śmiało i zuchwale przeciwstawiają się dzisiejszemu socjalistycznemu nierządowi w Niemczech tacy n. p. pisarze jak Otto Ernst, (autor satyry „Flachsman als Erzieher") w otwartym, gromiącym liście publicznym do Scheidemanna, jak T. Mann (autor satyrycznej powieści „Der Unthertan") w grubej książce „Bekenntnisse eines Unpolitischen", lub L. Thoma, b. redaktor „Simplicissimusa", wszyscy trzej przed wojną zacięci radykali i republikanie a dziś fanatyczni wrogowie istniejącego socjalistycznego „porządku". To samo we Francji. Cały szereg pierwszorzędnych piór jak Regnier, de Gourmond, Abel Hermant, Loti, Bazin, Benoit, R. Benjamin, F. Jammes, Maurras, Barres, B. Margueritte, Claudel i kilku innych nawet poetów raz po raz schodzi piechotą na szpalty pism, tygodników, miesięczników, zabierając głos w kwestjach potocznych, socjalnych, gospodarczych i politycznych, nie wstydząc się nawet swego często dyletantyzmu w tych materjach, ryzykując popla-

mienie szat kapłańskich błotem polemiki, byle tylko stawić opór międzynarodowym szarym sotniom, grożącym jak lawa zalewem całej cywilizacji nowoczesnej. Tylko ich zjednoczonym wysiłkom przypisać należy to, że na firmamencie literatury francuskiej np. blednie meteor Barbusse'a...

Trzeba i wam znów ocknąć się z dolce farniente o nieśmiertelni! zrzucić z siebie „palącą koszulę" apatji i rezygnacji i wyciągnąć stopę z pantofli! Kultura polska jest w niebezpieczeństwie! Saskie czasy się wracają. Dziczejemy z zawrotną szybkością z dnia na dzień, z godziny na godzinę! Kiedyśmy z hymnu frazesów przeszli do szarej opowieści i praktyki, okazało się, że radykalizacja to synonim i prekursor barbaryzacji, dosłownej i kompletnej. Kultura polska zagrożona jest w swych posadach, w swych słabych posadach. Jeżeli zatrząśnie się jej gmach i zwali w gruzy, pisarze narodowego obozu nie będą sobie mogli sumiennie powiedzieć, że wszystko zrobili, wszystkie środki wyczerpali aby zapobiec katastrofie.

Z tej racji należy się znów zmobilizować i w krytycznych momentach, w ogółu narodu toczących się sprawach kolegjalnie głos zabierać. Allons enfant de la... parti, aby Patrie wiedziała że czuwa jeszcze i starsza straż nad Wisłą. Reymont jest teraz między nami. Niech on, twórca chłopskiego „Pana Tadeusza" nam regimentarzuje! On chłopa polskiego pokumał z nieśmiertelnością, on go podniósł na wyżynę homeryckiego eposu, on swą powieścią usprawiedliwia i tłumaczy anglosaskiej inteligencji, skąd się bierze, że premjerem gabinetu w Polsce może być kołodziej-Piast. Polska cała staje się Reymontowską, staje się wielkiemi Lipcami. Aby ta metamorfoza ze szlacheckiej w chłopską odbyła się bez wstrząśnień i bez ruiny całego naszego zresztą niewielkiego dorobku kulturalnego, czuwać musi nad tem cała inteligencja polska i jej elita intelektualna i regiment Reymonta i sam „second Sienkiewicz" oczywiście! Umiał tak pięknie i nieśmiertelnie o Borynie pisać, kiedy ten siedział jeszcze w Lipcach, niechżeż teraz zabierze głos mocny patrząc i bacząc, jako sobie Boryna doszedłszy do władzy poczyna we dworze... w Warszawie.

DALILA ROSJI.

A usta twoje księżniczko jak miąższ granatu
A ręce twoje księżniczko jak sploty węża.
A nogi twoje księżniczko jak alabastrowe słupy.
A stopy twoje księżniczko jak gołębice...
Oskar Wilde: Salome.

I.

Opowie się tym razem coś z bardzo dawnej, zamierzchłej przeszłości, pewien fragment z dziejów XIX wieku, nieprawdopodobny jak bajka, a jednak w każdym omal szczególe autentyczny. Opowie się coś, co mogłoby dać osnowę jakiejś wielotomowej Dumasowskiej czy Tołstojowskiej powieści, co mogłoby wejść na scenę piórem Mereżkowskiego zaklęte w rzeczywistość teatralną, co wreszcie i może najstosowniej i najnowocześniej powinno stać się filmem, wielkim, sześciokilometrowym filmem w trzech częściach i czterech serjach, granym przez wielką trupę włosko-amerykańsko-francusko-rosyjską a reżyserowanym przez któregoś z reżyserów niemieckich, ze względu choćby na to, że Niemcy reżyserowały i... rzeczywistość.

Opowie się dla zabawienia jednych a dla ostrzeżenia drugich o pewnych pięknych rączkach, które pchnęły pierwsze potworny kolos na glinianych nogach, o pewnych zgrabnych nóżkach, które pierwsze kopnęły w olbrzymią piramidę z piasku, o pewnej uroczej Judycie, która pierwsza przyłożyła stal sztyletu do karku rozpitego doszczętnie rosyjskiego Holofernesa. Niech poważni siwobrodzi dziejopisowie koncypują grube tomy o tem, jak to poważne przyczyny historyczne, polityczne, socjalne, ekonomiczne i psycho-etniczne przyczyniły się do zwalenia w przepaść olbrzymiego gmachu „imperji" rosyjskiej, my zajmiemy się tutaj jednym jedynym, piaseczkiem ludzkim, jednym „puchem marnym", jedną „wietrzną istotą",

która przypadkowo symbolizuje w sobie te wszystkie podziemne siły, dzięki którym zawaliła się gigantyczna budowla największego państwa na globie. Dziękując zbożnie Losom, że w krytycznym momencie Rosji znalazła się u jej szczytów ta z najniższych nizin pochodząca istota, pamiętajmy jednak, że „historja ciągle się powtarza" i że to samo co się stało tam w Rosji może się powtórzyć i gdzieindziej, a już najszczególniej u nas. Tajemnicze, wybrane plemię, z którego naszej opowieści „bohaterka" się wywodzi jak przed wojną całą swą energję i demonję zogniskowało w nienawiści do carskiej Rosji, tak obecnie naszej Republice zaprzysięgło zgubę i zagładę. Jesteśmy awangardą indo-europejskich Arjów i jako całość, jako rasa wypowiedzieliśmy chcąc czy nie chcąc wojnę imperjalizmowi pansemickiemu; rzuconą rękawicę naród wybrany podjął i jak się obecnie zapowiada pierwsza połowa XX wieku to będzie bój nieubłagany rasy z nad Jordanu z rasą z nad Wisły..

Pamiętnych dni sierpniowych, kiedy to po tajemniczem zamordowaniu zacięcie antysemickiego następcy tronu austrjackiego zaczęły się sypać jedno po drugiem groźne wypowiadania sobie wojen przez mocarstwa europejskie, stanowisko rosyjskiego ministra wojny piastował jenerał kawalerji W. A. Suchomlinow. Świetny ten organizator i sztabowiec był w ostatnich latach znaną także postacią na Jasnym Brzegu i w Monte-Carlo, gdzie przebywał zawsze z uroczą małżonką. Bywalcy kasynowi pamiętają wyniosłą imponującą postać 70-letniego dygnitarza, ozdobionego licznemi orderami a obok niego smukłą brunetkę o wyzywającej, orjentalnej urodzie, ekscentrycznie ukostjumowaną, obwieszoną niemożliwie biżuterjami. Małżeństwo Suchomlinowowie otoczeni byli zawsze jakimś bardzo niewyraźnym światkiem międzynarodowym a koło niepospolicie pięknej pani ministrowej uwijał się rój galopantów i epuzerów. Charakterystycznem w tem wszystkiem było to, że dobre towarzystwo rosyjskie i wielka zazwyczaj kolonja rosyjska z W. Księżną Anastazją Meklemburską i kilkoma granddukami na czele starannie unikała stykania się z gwarną i hałaśliwą grupą rosyjskiego ministra wojny. Gdzie była przyczyna tego? Suchomlinow zrobił na starość gruby mezaljans to prawda, ale iluż to jenerałów rosyjskich żeniło się z wyranżerowanemi szansonetkami francuskiemi i budapesztańskiemi a jednak z czasem to „zacierało się" i panie te miały nawet przystęp do dworu

a bywało, że zostawały nawet frejlinami 2 klasy. Musiał więc mezaljans jenerała Suchomlinowa istotnie być fatalnym, jeżeli nawet towarzystwo rosyjskie tak swobodne i liberalne w swym doborze, wyraźnie bojkotowało małżonkę takiego dygnitarza!

Kiedy wojna wybuchła Jekatierina Aleksandrowna Suchomlinowa wraz ze swoją równie uroczą siostrzyczką pułkownikową Miasojedową bawiły w jakichś badach austrjackich, skąd całkiem swobodnie przejechały przez Niemcy, gdzie po dłuższym pobycie w Berlinie wyjechały do Szwecji, poczem przez Haparandę, Torneo... Petrograd. Wojna zaskoczyła carską Rosję, można to dziś już powiedzieć otwarcie całkiem nieprzygotowaną pod względem amunicyjnym. Jak to wykazał ściśle proces Suchomlinowa już do października 1914 r. brakło 870.000 karabinów, jeszcze w sierpniu 1 karabin przypadał na dwuch ludzi; karabinów maszynowych było minimalnie, jak również nabojów dla ciężkiej artylerji. Dlatego też pierwsze wielkie zwycięstwa armji rosyjskiej w Galicji i w Prusach wywołały nietylko wielkie zdziwienie ale i pewien niepokój... Co się tyczy Prus Wschodnich dziś możemy już uchylić nieco rąbek tajemnicy. W roczniku sprawozdawczym na r. 1918 angielskiej „General Federation of Trade Unions" pastor Rennie Smith, przebywający w r. 1914 i 1915 w Niemczech, udowodnił dokumentarycznie, że jenerał von Francois miał polecone niespodziewanie cofnąć się z Pru- Wschodnich i sprowokować w ten sposób wejście armji Renenkampfa i spustoszenie tej cząstki Prus, aby w ten sposób zbliżyć niemieckich socjalistów do rządu, aby wykazało się, że wojna ze strony Rosji jest napastniczą i ażeby frakcja socjalistyczna skutkiem tego głosowała za kredytami wojennemi. Tak się też i stało. Nawet pp. Haase, Ledebour, Liebknecht i Kohn dali się złapać na ten fortel i wszystko poszło jak ukartowane. Rosyjscy jenerałowie atoli zaczęli te łatwe zwycięstwa cokolwiek brać zanadto na serjo i już pchali się dalej i byliby istotnie zajęli nawet Królewiec, gdyż siły ich były w cyfrze przeważające, podczas gdy Niemcy walili się w Belgję. W tym momencie krytycznym uratował Prusy nie jakiś genjusz Hindenburga, co jest fikcją i legendą, ale uratował wyłącznie i jedynie świetny aparat szpiegowski i olbrzymia banda zdrajców rosyjskich. Gdyby nie wielka sieć zdrady zarzucona na militarny organizm rosyjski, która pociągnięta w odpowiednim momencie zwaliła go na ziemię, trzechmiljonowa dosko-

nale zmobilizowana nawała, „Dampfwalce” byłaby mimo braku amunicji jednak przewaliła się przez Prusy, na Górny Śląsk i na Węgry. I tylko dzięki temu kompletowi zdrajców, w tym wypadku wyjątkowo i pośrednio działających na dobro ludzkości, carska Rosja nie wyszła zwycięsko z europejskiej wojny. Otóż tę właśnie sieć szpiegowską i sieć zdrady trzymał w jednej ręce sztab generalny pruski względnie jen. Moltke a drugi koniec sieci znajdował się w pięknej, manicurowanej, upierścieniowanej i delikatnej rączce żony rosyjskiego... ministra wojny.

Kolebka Jekatieriny Aleksandrowny stała w któreḿś „niebardzo podłem“ ale jednak przeraźliwie obskurnem mieście w Humańszczyźnie, podobno w Lipowcu. Tu staremu karczmarzowi Wellerowi urodziły się dwie córki; jakie były ich imiona właściwie niewiadomo, w świat, a raczej w półświatek kijowski weszły pod imionami Jekatierina i Klara. Jekatierinchen, dorósłszy została probirmamsełłą w którejś wielkiej konfekcji, poczem dzięki urodzie, zgrabności i talentowi tanecznemu dostała engagement do Chateau des Flers w Kijowie jako... bosonóżka. Idąc za prądem czasu od tańców bosą nogą przerzuciła się do tańców czysto „greckich“ propagowanych wonczas w Berlinie, w Dreznie i w... Kijowie i tańcowała wyzbywając się kompletnie ciężkich szat i dessous coprawda w zamkniętych kółkach, w circlach i na seansach, poświęconych kultowi nagiego ciała. Nic dziwnego, że taką kapłanką greckiej sztuki zajęli się kolejno gorliwie nababowie Mantaszew, Kwaszów, bankier Dobryj... aż wreszcie jeden z nich niejaki Butowicz postanowił wyrwać Jekatierinchen z nocnych świątyń Venery Vulgivagi i poślubić. Już jako madamę Butowiczową poznaje ją ówczesny jenerał gubernator kijowski Suchomlinow, damskij cavalier i seduktor pierwszej klasy a poznawszy zakochuje się śmiertelnie, odbija, rozwodzi, w trakcie tego zostaję ministrem wojny i z takową ministrową, przenosi się do Piotrogrodu. Równocześnie siostra pani ministrowej Klara robi również błyszczącą karjerę, bo wychodzi za mąż za niejakiego Miasojedowa. Była to postać bardzo znana już wówczas i w Paryżu. Syn A. Miasojedowa, znanego rusyfikatora z Rygi, pułkownik żandarmerji przebywa czas dłuższy w Paryżu, kształcąc się w służbie szpiegowskiej przy Manassewiczu - Manuiłowie, Abrahamie Hekselmansie - Landessenie i t. p. Wybuch wojny zastaje go jako

szefa żandarmerji w Wierzbołowie, skąd zostaje przydzielony do armji jenerała Rennenkampfa. Miasojedow jest równocześnie businessmanem, należy do inicjatorów Towarzystwa Żeglugi Liverpool — Libawa i w tym charakterze bywa często w Berlinie, zawiązując tu liczne stosunki w świecie bankowym i finansowym; do licznych jego zaufańców należy też jedna z figur zgoła na miarę Conan-Doyla kryminalnych romansów. t. j. pół-Moskal, pół-Polak, pół-berlińczyk, pół-socjalista, mający każdorazowo wolny dostęp do kanclerza Bethmanna Hollwega (tylnemi jeno schodami), dr. Helphand, choć z pseudonimu Parvus, ale w gruncie rzeczy magnus a może maximus łotr, kombinator i kanalja, jaką wydała europejska wojna.

Kiedy małżeństwo Suchomlinow osiadło w Piotrogrodzie, madamę na początku zaraz spotkał afront na wielką skalę. Nie została zaproszoną do Dworu i to na najoficjalniejszą nawet karnawałową recepcję; w ślad za tem zamknęły się przed nią wszelkie wielkie salony. I zdekoncertowana Jekatierinchen musiała sobie wobec tego stworzyć swoje własne środowisko i kółko. I stworzyła. Było tu i bywało trochę źle pożenionych wysokich wojskowych, attachowie dyplomatyczni z Bałkanów i południowej Ameryki, kilka małżeństw z haute-finance, tenorzy włoscy, eksbaletnice oraz... medja. Spirytystyczne seanse były tym lepem, na który czasem łowiła się do salonu Suchomlinowych jakaś orderowa dama, jakaś księżna pełnej krwi. Tu popisywał się nocami prof. okultyzmu Filip Landard, tu też gniazdko uścielił sobie i pewien starik sybirski z Tobolska... otiec Gregory... Ale panią ministrową a byłą propagatorkę „hellenizmu" w Kijowie ni w wysokiej arystokracji ni w biurokracji nadal nie przyjmowano. Indeirae. Jekatierinchen w swej ambicji była podrażniona do ostatnich granic i Jekatierinchen postanowiła się kiedyś zemścić. Dzieje Starego Testamentu pouczyły ją, że nawet niewiasta wątła, jeżeli tylko energję wytęży, potrafi dokonać heroicznego czynu i pomścić swą rasę. Przykładem: Judyta i Holofernes, Dalila i Samson... a z Grecji: Omfala i Herkules. I Omfala z Chateau des Flers postanowiła pomścić się za swój despekt i za swój prześladowany międzynaród, pomścić się na wielką skalę. Dwór jej nie przyjął, Dwór za to odpowie, arystokracja zachodziła do niej tylko nocami na „guziki" i Rasputiniady, arystokracja za to odpokutuje, carowa skreśliła jej nazwisko z karty zaproszonych

na bal dam orderu św. Anny, przedłożonej przez hofmarszalamt, to „böse Alice" pójdzie na wygnanie. Dynastja padnie, ale ona się pomści. Jekatierina von Anhalt imperję postawiła na nogi, Jekatierina Weller nogą tańczącą imperję roztrąci...

Do przeprowadzenia swego planu wzięła się, trzeba to przyznać, z demoniczną pomysłowością. Dopomagało jej oczywiście tysiące czynników socjalnych, narodowych, ekonomicznych, etnicznych.

Że jednak i ta dziewczyna z ghetta Humańszczyzny walnie się do upadku caratu przyczyniła, że ona pierwsza utorowała drogę nowym despotom ale swoim, t. j. Trockiemu, Joffemu i Sobelsohnowi o tem się przekonamy.

II.

Na rolę, jaką w wysadzeniu caratu odegrała żona ministra Suchomlinowa, rzucają światło głównie: artykuły hofdamy carowej Alicji hr. Wiery Branickiej, drukowane w „Westminster-Gazette", artykuły pani Colbe-Dauvin z domu ks. Radziwiłłówny, drukowane w „N. York Amerikan", pamiętniki szefa ochrany jenerała Kurłowa-Komarowa, oraz przebieg trzech procesów kolejno, t. j. procesu bandy Miasojedowa, odbytego dnia 15, 16 i 17 czerwca 1915 r. w Warszawie, poczem powtórzonego w Dynaburgu, następnie procesu Manasewicza-Manuiłowa z końca r. 1916, wreszcie procesu samego pana ministra już za czasów Rządu Prowizorycznego i Kiereńskiego. „Działalność" jej i jej siostry przypadała na sam początek wojny, gdyż już 19 lutego 1915 r. Suchomlinow musiał ustąpić, a miejsce jego zajął Poliwanow (obecnie przedzielony do wojennego komisarjatu sowieckiego).

W tych to początkach właśnie zachwiał się fatalnie autorytet militarny potęgi rosyjskiej i zbladł jej nimbus. Po krótkotrwałych sukcesach nastąpiły klęski, jedna po drugiej, a wśród nich największa pod Łodzią, oraz przy jeziorach mazurskich. Walki o Ełk zdecydowały o losie armji Rennenkampfa. Między 9 a 14 lutym nastąpił formalny pogrom, przyczem pierwsza padła ofiarą armja X jenerała Sieversa. Sto tysięcy herojów dostało się do niewoli, 150 armat, Sievers musiał się cofnąć na linję Grodno-Olita, wreszcie padło i Grodno. Otóż całe to zwycięstwo Niemiec jak i pierwsze podejście pod Warszawę polegało na zdradzie. Tak sztab niemiecki jak i austrjacki miały

najdokładniejsze, ściśle i punktualnie dostarczane informacje o każdej zamierzonej akcji Samsonowa, Scheidemanna i Rennenkampfa. Pozwoliwszy raz na wejście Rosjan do Prus i na „spustoszenie" efektowne i rozreklamowane kraju mazurskiego, następnie już utrącali nietylko Prusacy, ale nawet liche i karykaturalne jenerały austrjackie, wszelkie zamierzenia na wielką skalę dowódców rosyjskich. Przyszły jeszcze potem wielkie zwycięstwa znowu po stronie rosyjskiej, zajęcie Galicji aż pod Kraków i t. p., ale z pierwszych klęsk już się kolos wylizać nie mógł, pierwsza rana już się nie zasklepiła a krwawiła ustawicznie. Wojsko już straciło pierwszy swój impet i dało się łatwo zarazić psychozie sceptyzmu i niewiary w siebie. Odczuwano bowiem i wiedziano, powtarzano sobie i po cichu i na głos, że na każdym kroku jest zdrada, że wśród jenerałów są zdrajcy, że w sztabie są przekupieni i na usługach Niemców pozostający.

I tak też było istotnie. Niemcy zarzuciły na Rosję misterną, znacznie przed wojną już sporządzoną siatkę zdrajców, a dopiero trzy procesy i rewelację po wojnie odkryły gdzie wszędzie były oczka i węzły tej zdrady. Była więc czynnie lub biernie po ich stronie duża partja dworska z carową-bigotką na czele, była część Synodu i wysokiego duchowieństwa, a głównie piotrogrodzki metropolita Pitirim, oberprokuratorzy Sabler i Oeltrich, była najwyższa arystokracja i to rzecz charakterystyczna, nie ta baltycko-kurlandzka z niemieckiemi nazwiskami, a właśnie czysto-kniaziowskie rody książąt Wasilczykowów, Koczubejów, Andronnikowów, Biełosielskich-Białozierskich, Szuwałowów. Była dalej najwyższa biurokracja głównie ministerjalna, tradycyjnie germanofilska, wychodząca z tego założenia, że podważenie autorytetu Prus, to podważenie wogóle monarchizmu w Europie. Tu należeli tacy ludzie, jak Szczegłowitow, Timirazjew, Witte, Arcimowicz, Neudhardt, Kobylinskij, Stürmer, Krzyżanowski, Taube, Makłakow, Nierodt, van der Fliet, Lewaszow, Szwanebach, Doliwa-Dobrowolskij, Rozen, którzy krzyżowali ciągle całą przygotowawczą pracę sojuszniczą ambasadorów Paleologuea i Nicolsona, a w pierwszych miesiącach wojny ryli podkopy pod Buchananem. Była dalej grupa ekonomistów i bankowców, upierająca się przy tym dogmacie, że bez industrji niemieckiej agrarna Rosja egzystować nie może, w której to grupie znajdowały się takie inteligencje i tacy potentaci jak prof. Kowalewski, prof. Ozierow, Struve, Grolman, Utin, Rittich,

Chwostow i t. p. I byli skrajni ultrakonserwatyści, zgrupowani koła „Graždanina" i „Ziemszczyzny", ideowcy kultu Hohenzollernów, rozwścieklen na Anglję i Francję i nie tający się z temi idiosynkrazjami nawet w pierwszych miesiącach wojny.

Jednem słowem conieco jak teraz „tout comme chez nous".

Ale oprócz tych czynników oficjalnie germanofilskich była jeszcze jedna grupka, która praktycznie i aktywnie choć potajemnie pracowała pour le roi de Prusse, a mianowicie: szpiegowskie kółko Jekatieriny Aleksandrowny i jej siostry. Aczkolwiek sam Suchomlinow nietylko należał, ale był faworytem partji wielkoksiążęcej, prącej wszelkiemi siłami do wojny o Serbję, i aczkolwiek sam staruszek bezpośrednio do zdrady ręki może i nie przykładał, to jednak po za jego plecami, w jego własnem mieszkaniu uwiła sobie gniazdo mafja piekielna, dostarczająca sztabom niemieckim wszystkich informacyj, planów, papierów. Winą niezaprzeczoną samego Suchomlinowa, było wprowadzenie potwornego korupcjonizmu w armję od samego początku wojny, oraz brak wszelkiej energji w zorganizowaniu dostaw amunicyj.

Pani ministrowa natomiast zorganizowała sobie formalne biuro celem wymuszania kubanów od wszelkich dostawców wojennych. To był jej crimen oficjalny, znany już wówczas w całej Rosji. Nie było ani jednego liweranta wojennego, ani jednego dostawcy, ni w Rosji, ni zagranicą, ani w Królestwie, któryby nie musiał składać bakszyszu na ręce któregoś z członków mafji Suchomlinowowskiej. Już w pierwszym miesiącu wojny opowiadała sobie cała Rosja o żyrandolu w salonie Suchomlinowów, ofiarowanym przez firmę Creuzot-Schneider, ocenionym na 70.000 rubli. Takich prezentów sypała się w dom pana ministra moc wielka, a „starik", opętany całkowicie przez swą piękną żonę zamykał oko na wzrastający luksus i rozrzucanie pieniędzy na wszystkie strony.

Równocześnie bogaciła się i obrastała w pierze cała banda, całe otoczenie Jekatierinchen. Należeli do niej „kuzynowie" inżynier Gorzkiewicz, Maksym Weller, małżeństwo Altsziller, wiedenka, madama Anna Aurich, p. Rżewski, adwokat Wellisch i inni. Kto miał dostęp do którejś z tych „tiomnych licznostji", ten dostawał obstalunki dla armji. Oni rozporządzali wagonami i pociągami, oni rozdawali koncesje, oni uwalniali od służby wojskowej, oni tworzyli domowe środowisko ministra wojny. Z zeznań w procesie Suchomlinowa takich świadków

jak jenerałowie Iwanow, Zabellin, Januszkiewicz, senator Bogorodzkij wyjaśniło się, że ten mętny staw eks-żydów, eks-niemców, awanturnic wiedeńskich, pokątnych obskurnych adwokatów w całości kwalifikował się do kryminału, nawet zanim jeszcze zaczął dostarczać sztabom prusko-austrjackim wykradany i fotografowany w kancelarjach ministra materjał wojskowy. Mafja ministrowej miała do czynienia głównie i omal wyłącznie z firmami żydowskiemi i z niemi przeprowadzała tranzakcje na wielką skalę. To też gdy chodziło np. o dostawę cementu do twierdz czy żelazobetonu, czy to było w Wilnie czy w... Warszawie, gdy proponowały dwie firmy prawosławna i żydowska... wygrywała zawsze oferta domów żydowskich a żydowska firma przy dostawie cementu miała też możność i... wglądnięcia w plany przerabianej twierdzy. To też pewne twierdze świeżo rekonstruowane w r. 1913... padały jak domki z kart, a pewne firmy otoczyły się nawet nimbem patrjotyzmu za to, że pomogły do upadku caratu, zarabiając miljony dzięki stosunkom z familją Jekatieriny Aleksandrowny.

W Warszawie jest jedna firma żydowska mająca swe rozgałęzienia i we Włoszech... która dziś cieszy się opinją patrjotycznego gniazda (nawet ławnik... w magistracie), która dzięki protekcji Jekatieriny dostarczała cement dla Modlina a wykradane plany dowoziła samochodami Prusakom...

Jak już przed wojną tak i w pierwszych miesiącach wojny pani ministrowa prowadziła dom na największą skalę. Recepcje szły za recepcjami a ostatecznie i świat dyplomatyczny i arystokracja musiały się pogodzić z jej egzystencją. W codzień rzęsiście oświetlonych apartamentach ministerstwa wojny przy Morskiej bywało już wszystko. I tu kwiat polityczny i dyplomatyczny z konieczności stykał się z jakiemiś nowemi postami bardzo niewyraźnemi i zaczynającemi grać wielką rolę w życiu publicznem rosyjskiem. Tu banda Jekatieriny mogła wyłapywać moc informacyj od ważnych osobistości dyplomatycznych. I tutej rej wodziły nouveauriches żydowskie, potentaty giełdowe i intendanckie, jacyś Górewicze, czy Hurwicze, Ginsburgi, małżeństwo Pollak, Proppery, Rafałowicze, Gurlandy, Rabinowicze, Rajchery, wreszcie tryfoljum rekinów wojennych braciszków Rubinsztajnów: Mitka, Aleksiej i Apołło—koszerne wydanie braci Karamazowych. Byłoby rzeczą ciekawą przekonać się co z tych szumowin ocalało w rewolucji, którzy z nich, na-

kradłszy się i obłowiwszy, uciekli przed katastrofą, co z tego ukrywa się w Niemczech i w Szwajcarji.

Podczas, gdy w pałacu baronowej Klejnmichel zbierała się wyższa i wysoka sorta frondujących germanofilów z arystokracji i biurokracji, czysto rosyjska, wyzywająco-reakcyjna, wierząca w mądrość polityczną Bułacela, kropiona i błogosławiona przez Pitirima, gdzie księżna Wasilczykowa odczytywała swobodnie i uroczyście przy pełnym komplecie gości prywatne listy od cesarza Wilhelma, szympfujące na Coburgów i „adwokatów rosyjskich", to w salonach ekstinglówki kijowskiej zbierała się druga i trzecia sorta towarzyska, liberalna, pozornie ententofilska, związana businessami z giełdą paryską i londyńską, ale w gruncie rzeczy robiąca olbrzymie podkopy pod zbutwiałą i stoczoną przez robaki drewnianą daczą państwa rosyjskiego. Jednym z lwów i causeurów tego mocno mechesowskiego salonu był też późniejszy sekretarz do specjalnych poruczeń prezydenta Stürmera, były korespondent paryski „Nowego Wremia" („Maska") pułkownik-wychrzta Manassewicz-Manuiłow. I tutaj też gość pana ministra wojny mógł widzieć siedzących sobie na jednej kanapie i zatopionych w konfidencjonalnej konwersacji dwuch mężów, symbolizujących jakoby całą degryndoladę i ostateczne staczanie się w przepaść cezarycznej Rosji, t. j. Mitkę Rubinsztajna, potężnego dyrektora Banku Franko-Ruskiego, późniejszego właściciela „Nowoje Wremia", namiętnego patrjotę, domagającego się Konstantynopola dla wielkiej Rosji, a w gruncie rzeczy łotra, przeprowadzającego specjalnemi spekulacjami zniżkę rubla, zdrajcę i męża zaufania nowojorskich Sziffów i Wahrburgów, bezczelnie spasłego żyda z pod ciemnej gwiazdy — a obok niego przytulnie opartego, olbrzymiego, chudego, chytrego szarlatana z Tobolska, Cagliostra Romanowów, mistyka i szwindlarza giełdowego, otca Grigorego Jefimowicza Rasputina.

Trzeba tu dodać nawiasem, że i gdzieindziej jeszcze w Europie istniały analogiczne salony takich samych semickich nimf Kallypso, wabiących do siebie żeglarzy aryjskich; w Berlinie trzy lata prosperował salon hrabiny Fiszler-Treuberg, arystokratki bawarskiej, z domu panny Reginy Kaufman, gdzie się zbierała znów anglofilska fronda antypruska, przywódcy socjalistów i republikanizujący bankierzy Rathenany, Fürstenbergi i t. p., w Nicei zaś długi czas trzymał się salon baronowej

Rozenberg, gdzie znowu rozmaite Marguliesy, Ginsburgi, Almereydy, Bolo-Pasze wraz z defetystami paryskimi ryły podkopy pod Francją, wspomagane gadzinowemi funduszami z Berlina przez pośrednictwo domu Marks z Mannheimu...

Środowisko i kompanja pani Suchomlinowowej, to była ta pierwsza galareta, w której lęgły się i rosły szybko pierwsze bakterje i laseczniki z garbatemi nosami mające rozkładać organizm Rosji. Kawiarnia berneńska, gdzie rezydował codzień apostoł Lenin w otoczeniu Sobelsohnów, Apfelbaumów, Rozenfeldów, to była galareta druga, dla baterji jeszcze silniejszych.

III.

Z bandy Miasojedowa, który siedząc urzędowo w nadgranicznem Wierzbołowie dostarczał Niemcom wykradany z pomocą żony i szwagrowej materjał sztabowy, plany operacyjne, mapy i t. p., udało się aresztować przeszło 40 osób i to wszystkich kategorji społecznych. Wysypał całą paczkę porucznik Kulikowski, początkowo ajent niemiecki, który atoli do Sztokholmu przez sztab pruski wysłany, tamże zgłosił się do hr. Ignatiewa i wyśpiewał tajemnicę całego kompletu. W dostarczaniu zasiłków pieniężnych pośredniczyły między Prusakami a Miasojedowem firma kupiecka Lessinga w Berlinie a w Moskwie firma Klatzkin, filja handlowego biura wywiadowczego Schimmelpfenniga...

Do bandy Miasojedowa należało sporo Niemców z Libawy, z Kurlandji między nimi drugi szwagier Miasojedowa Franz Riegert, staatsrat Freynath, staatsrat baron Otto Grotthus, oraz garść starozakonnych: D. Freydberg, B. Freydberg i dwaj braciszkowie Salomanowicze Szloma i Mojżesz, dostawcy materjałów dla przebudowy twierdzy grodzieńskiej. Z kancelarją sztabową gen. Rennenkampfa utrzymywała banda ta stały kontakt przez jego osobistego „doradcę handlowego" niejakiego Fajwla. Czy w machinacje zdradzieckie wmieszani byli adjutanci Rennenkampfa, rodowici Niemcy von Gerbel i von Brevern, to się nie wyjaśniło, ale faktem jest (do czego Niemcy dość cynicznie się przyznali), że w zajeździe w Wystruciu (Insterburgu), gdzie stał sztab kwaterą, dwaj najzaufańsi faworyci generała, kelnerzy restauracyjni Ryszard i Teodor, to byli dwaj wypróbowani pierwszej klasy szpiedzy, wykradający stale papiery, listy, depesze z kancelarji sztabowych i pozostający też w kontakcie z organizacją Miasojedowa.

Z wyroku sądu wojennego powieszono starozakonnych, którym udowodniono z miejsca konszachty z Prusami a kilka osób uwolniono, przeciw czemu sztab generalny zaprotestował i zarządał ponownego przeprowadzenia sprawy tymczasem w Dynaburgu, wobec tego, że trybunał wojskowy w Warszawie składał się prawie z samych... Niemców. W drugiej instancji wyrok wypadł ostrzej, gdyż na śmierć skazano jeszcze 6 osób, między nimi Grotthusa, D. Freydberga, żonę Miasojedowa i jego szwagra Riegerta. Na skutek wstawiennictwa samej carowej złagodzono wyrok dla bar. Grotthusa i Klary Aleksandrowny na dożywotnie wygnanie do ziemi Jakutów; baron uciekł, siostra pani ministrowej poszła na wygnanie; tu trzeba dodać, że Grotthusa bronił senator Koni (Kohn). Miasojedow skazany został na dożywotnie ciężkie roboty, pan minister wojny poszedł w odstawkę.

Przed Miasojedowem ostrzegał już publicznie w Dumie w r. 1912 przyjaciel Polaków i szczery patrjota rosyjski Guczkow; nie usłuchano go, jak nie usłuchano następnie Milukowa, ostrzegającego przed drugim łotrzyną Manasewiczem - Manuiłowem, aż dopiero dowody zdrady, trzymane w ręce doprowadziły do aresztowania ptaszka, ale poniewczasie, bo aż we wrześniu roku 1916. Manasewicz długi czas przed wojną przebywał w Paryżu, gdzie jako szef ochrany utrzymywał ścisłe stosunki z głównymi prowokatorami, działającymi wśród skrajnych socjalistycznych ugrupowań. Do jego kreatur należał bolszewik Malinowski, jego ludźmi byli zdemaskowani dopiero za czasów Kiereńskiego skrajni maksymaliści a zarazem szpicle ochrany, słynny towarzysz Aleksy Jakowlewicz Wagman (pseud. Rossini) w Rzymie, a w Sztokholmie prowokator i zarazem es-erowiec Andrzej Anderson alias Bergier recte Berko Kagan. Pod jego kierunkiem zostawała też regularna szkoła szpiegów w Kopenhadze, prowadzona przez „doktora Hertza" alias Katza. Jego zaufanicą była też w Paryżu słynna towarzyszka Marja Aleksandrowna Zagorskaja. Manasewicz-Manuiłow pisywał równocześnie z Paryża listy do „Nowego Wremia", frapujące cały obóz socjalistyczny doskonałością i ścisłością informacyj. On też mimo swego współpracownictwa w ultra-patrjotycznem i imperjalistycznem piśmie Suworinów pozostawał w kontakcie z Prusami, wychodząc z „ideowego" założenia, że upadek Niemiec monarchicznych pociągnie za sobą automatycznie upadek caratu.

Człowiek, jak widać z tego wszechstronny. Kiedy prezesem ministrów został Borys Stürmer, zajadły wróg Polaków i Ententy, dążący całkiem wyraźnie do proponowanego przez Niemcy separatfrieden, Manasewicz - Manuiłow mimo fatalnej opinji i rozmaitych już krążących pogłosek został zaraz przy premjerze urzędnikiem do specjalnych poruczeń. Nie trwało to jednak długo. Kontrrazwiedka wojskowa była już na tropie jego łajdactw. Wysypało starego wychrztę ostatecznie to, że papierów kompromitujących nie trzymał u siebie ale w redakcji „Nowoje Wremia", już wtedy zakupionego przez Rubinsztajnów. Aresztował go z polecenia władzy jego osobisty przyjaciel pułkownik Rozanow i to w sposób staro - rosyjski. Mieszkanie już było obstawione żandarmerją, kiedy Rozanow zadzwonił. Gdy lokaj otworzył, Manasewicz - Manuiłow wychodzi rozpromieniony naprzeciw, objęli się w pół, ucałowali kilkakrotnie z dubeltówki, poczem Rozanow odstąpił o trzy kroki w tył i zmieniwszy intonację nagle ostro:

— A teraz ja ciebie, Judaszu, aresztuję.

Manasewicz wyciągnął rewolwer, chciał się rzucić do drzwi, ale już było zapóźno. Obezwładniono go i odwieziono do tiurmy. Demoniczny meches brał kubany na prawo i lewo i łupem dzielił się ze Stürmerami, ojcem i synkiem gubernatorem suwalskim. „Nowoje Wremia" skompromitowało się fatalnie. Manasewicz-Manuiłow miał wielki i tajemniczy wpływ na Sztürmera, a względem Polaków zajmował stanowisko nienawistne, jak dawniej meches Gringmuth w ,,Moskiewskich Wiedomostiach", lub przedtem meches Gurland w „Rossiji". Jak Gringmuth i Gurland judził w swoich pismach stale i systematycznie na Polaków, tak i Manasewicz wpływał na Sztürmera w tym kierunku, aby obiecywany poprzednio „manifest do Polaków", którego domagał się ustawicznie Sazonow, odłożono znów jako nieaktualny.

Manasewicz podpierał też autorytet mistycznego szwindlarza Rasputina, którego grupy patrjotyczne i ententofilskie miały już oddawna na oku i na wątrobie, ale którego przyłapanie udało się dopiero w trzy miesiące po skuciu w kajdany Manasewicza, t. j. w grudniu r. 1916.

Tu dodamy kilka nowych szczegółów o „stariku". Ten sprytny cham z Tobolska mieszkał w Piotrogrodzie z dwiema córkami. Żył stosunkowo skromnie, a opowieści o jego orgjach

seksualnych i pijackich są przeważnie legendą. Całą pasję i energję starego pochłaniały polityka i gra na giełdzie. Rasputin przyjmował u siebie wizyty głównie dam i dawał im „życiowe rady", które w formie aforystycznej i pytyjskiej spisywał koszlawo na kartkach. Na carową i cara miał wpływ już oddawna t. j. od czasu, kiedy udało mu się wywróżyć przyjście na świat carewicza.

Całe życie przemieszkiwał sobie na Sybirze spokojnie, od czasu do czasu wzywany dla seansów do stolicy. Lata całe był nieszkodliwy, uchodził w Carskim Siole za „głos ludu", plótł bzdury i wróżby i bawił cara Mikołaja. Nieszkodliwego szarlatana zdeprawowało dopiero środowisko Suchomlinowej, Rubinsztajnów, Gurewiczów, Pollaków, Propperów, w które wszedł zaraz w początkach wojny. Mitka Rubinsztajn, chcąc mieć przez niego wpływy w najwyższych sferach i u Dworu, wciągnął go w giełdowe manipulacje i pozwalał mu robić szczęśliwe obroty. Podstawioną figurą, na której nazwisko miały miejsce spekulacje papierami, był niejaki Siemionow, „sekretarz prywatny" otca Gregorego. Chłopa sybirskiego, mającego dwie dorastające córy, rozpalała wzrastająca chciwość i głód złota. Równocześnie atoli rozbudziła się w nim i żądza odegrania jakiejś politycznej roli nietylko mistycznego seansowego bawidamka salonów. Podniecał go w tym kierunku i metropolita Pitirim, germanofil w każdym calu, który już w zimie r. 1916 na Boże Narodzenie miał czelność odczytania w katedrze Izaaka starej moleby uroczystej dziękczynnej za ocalenie Rosji od najazdu Gallów, molebny od dwuch lat od wybuchu wojny już nie odczytywanej. Podniecała go też grupa giełdowych wychrztów, prąca do Separatfrieden.

I Rasputin stanął wtedy wyraźnie po stronie sabotujących wojnę, zaczął straszyć carowę upadkiem dynastji, śmiercią Aleksieja, a wreszcie widmem popularności w. ks. Mikołaja Mikołajewicza. Tego ostatniego nienawidził Rasputin pełną piersią od momentu, kiedy sangwiniczny grandduk przetrzepał mu plecy szpicrutą i kazał „cudotwórcę" zrzucić ze schodów. Mikołaja Mikołajewicza nienawidziło też z duszy serca całe żydowstwo rosyjskie już od czasu znanej odezwy do Polaków i poprzysięgło mu zemstę, jako „Hamanowi II" (pierwszym jest Dmowski). Kiedy wielki książe po klęskach poszedł wreszcie w odstawkę i osiadł na Krymie, Rasputin przestał już się ceremonjować

i kryć ze swoją polityką i głośno czelnie wszędzie propagował odrębny pokój z Niemcami.

Wtedy to w imieniu dynastji poprosił o specjalną audjencję w. ks. Dymitr Pawłowicz (ten sam, który potem służył w wojsku bolszewickiem, jako prosty kapitan Dymitr P. Romanowskij!) i przedstawił carowi szkodliwą działalność Rasputina. W odpowiedzi na to Dymitrowi kazano wyjechać ze stolicy a Rasputin intrygował dalej popierany gorąco przez Stürmera, Pitirima i Andronikowa. Aż wreszcie przebrała się miarka cierpliwości patrjotów rosyjskich. Przyszedł grudzień i wtedy zdecydowano wreszcie pozbyć się wszechwładnego cudotwórcy.

Według nowych relacyj świadka całej tej sceny, księżniczki Radziwiłłówny, piszącej pod pseudonimem Colb Dauvin, rzecz odbyła się u ks. Jussupowa wieczorem przy bridge'u. Obecne były: hrab. Kreutz, pani von Drenteln, eksprimabalerina Caraldi, w. ks. Dymitr Pawłowicz i poseł Puryszkiewicz. Ponieważ policja wiedziała o spiskach na życie Rasputina i wiedziała, że ks. Jussupow należy do jego najzaciętszych wrogów, przeto o godzinie 10-ej w nocy ni stąd ni zowąd zjawił się w willi nasz dobry znajomy z Warszawy, gradonaczalnik Bałk. Zwymyślany w antresoli przez ks. Jussupowa, jak niepyszny musiał się wynieść. O godzinie 1-ej po kolacji, kiedy towarzystwo przeszło do salonu, przytykającego do ogrodu, nagle Rasputin znalazł się sam, a z ogrodu padło weń kolejno sześć strzałów. Ponieważ drągal choć miał trzy strzały w piersiach, jeszcze próbował się bronić i kopał nogami, więc go postanowiono istinno staroruskim sposobem dodusić poduszkami; podobno i panie w wieczorowych dekoltowanych tualetach, brały udział w tym samosądzie. Kiedy wieść o znalezieniu trupa „mnicha" w przerębli stawu w parku przedostała się do stolicy, radość była tak wielka, że ludzie nieznajomi padali sobie z radości w objęcia. Teraz, mówiono ogólnie, Rosja jeszcze stanie na nogi i odegra się militarnie. Było to jednakże spóźnione, przynajmniej o dwa lata.

Był atoli jeszcze jeden człowiek w Rosji, przedostatnie ogniwo w łańcuchu tych kreatur oddanych Niemcom, które zaczyna się Jekatieriną Aleksandrowną Weller a kończy Apfelbaumem-Zinowjewem, Rosenfeldem-Kamieniewem i Trockim-Bronsztejnem. Nie można go wliczyć do zdrajców i jurgieltników pruskich, ale nie można nie odkryć dziś tego, że i on był w konszachtach

choćby przygodnych i jednorazowych z Niemcami. Tym nieszczęsnym dla caratu człowiekiem, który, rzec można, wysunął ostatnią decydującą cegiełkę, był nie kto inny jak Dymitr Aleksandrowicz Protopopow.

Jakiemi nićmi złączona była mafja Jekatieriny Suchomlinowej z akcją podjętą celem ratowania caratu przez przedostatniego premjera carskiego o tem dowiemy się w zakończeniu.

IV.

W sojuszu państw zachodnich z caratem istniała od samego początku wojny pewna furtka, którą w krytycznym dla siebie momencie sojusznik rosyjski mógł z wojny się wycofać; istniał mianowicie w tajnym układzie jakiś paragraf, mocą którego w razie wybuchu rewolucji zagrażającej dynastji, rząd rosyjski mógł na podstawach status quo ante zawrzeć z Niemcami swego rodzaju Separatfrieden. Jest to fakt kilkakrotnie stwierdzony przez poważną prasę niemiecką.

Otóż na tym to paragrafie opierały się nadzieje i intrygi całego germanofilskiego obozu w Rosji.

Z jednej strony wszelkie zakusy i próby zamieszek tłumiono przemocą, z drugiej strony skrajna reakcja najpierw tylko marzyła o krótkiej i nieszkodliwej rewolucyjce, dzięki której carat wycofałby się szybko ze szkodliwej dla siebie spółki, a potem czynnie i aktywnie zaczęła iść na rękę żywiołom najskrajniejszym, popychając rząd do sprowokowania ich przez zastosowanie najostrzejszych i najbrutalniejszych represyjnych środków. Już w połowie roku 1916 do tego samego celu zmierzała i grupa bankowa, pewna część wielkiego przemysłu i zjednoczone chrzczone i niechrzczone, a na wojnie już dostatecznie zbogacone żydowstwo. Również zaś do tego samego celu zmierzały rojowiska emigranckie skrajnych maksymalistów w Paryżu, grupujące się koło „Naczała” i w Szwajcarji, gdzie przecież już we wrześniu r. 1915 odbył się zjazd Zimmerwaldzki z współudziałem nieprzejednańców rosyjskich, niemieckich, szwajcarskich (R. Grimm, Bloch), oraz francuskich (Guilbeaux), który jako zasadniczy punkt swego programu postawił likwidację wojen między państwami a przygotowanie wojen (Parabellum-Radek) domowych we wszystkich państwach wojujących, a więc „action directe” i rewolucję wszechświatową. Program ten propagowały trzy pisma „Socjaldemokrat“ Lenina,

„Lichtstrahlen" i „Demain" Guilbeaux, w którem to ostatniem piśmie zaplątał się nawet sam Romain Rolland.

Rząd niemiecki, który mimo ciągłych kolosalnych „Siegów" nie czuł się już wtedy bardzo w siodle i choć gęsto nadrabiał miną i groził zeppelinami i łodziami podwodnemi, w momentach zimnej rozwagi zdawał sobie sprawę, że gra va banque z całym globem, nie miał również innego marzenia w swych bezsennych nocach jak Separatfrieden z carską Rosją, po oderwaniu od niej atoli Królestwa, Litwy i Kurlandji. Przeszkodą od tego upragnionego celu był akt 5 listopada i zaangażowanie się Bethmana w niezależność Polski. Pomocą znowuż było systematyczne wytwarzanie w Rosji wszelkiemi niegodziwemi sposobami takiej sytuacji, aby carat miał ręce do akcji pokojowej rozwiązane, ergo podniecanie w Rosji wrzenia rewolucyjnego przez przekupstwa, zdradę i dezorganizację całej administracji rękami swych zaufańców i sobie oddanej biurokracji wyższej.

Kopenhaga i Sztokholm były temi centrami, z których Berlin zarzucał raz po raz olbrzymią sieć na rozkładający się carat. Szczególnie atoli Sztokholm. Otóż jak dla korumpowania opinji we Włoszech i we Francji istniał olbrzymi dyspozycyjny „Fond Bülow", jak w Rzymie istniała twierdza germanofilska hotel „Minerva" i dystrybutor funduszu gadzinowego bankier Cavattini (ożeniony z Niemką Mercedes), skąd kanalikami Marguliesów i Ginsburgów (Nizza) rozchodziły się fundusze na wspieranie defetystów i pacyfistów paryskich, na „Bonnet-Rouge", „Pays", na Rappaportów, grupę Ca(na)illaux i Malvy i t. p.--tak znowuż dla terenu północno-wschodniego, dla drugiego flanku, istniały trzy dyspozycyjne fundusze: Hohenlohe, Ysenburg-Birstein oraz Disconto-Banku Fürstenbergów, z którego miljonowe sumy szły w Rosję za pośrednictwem wielkiego żydowskiego Nya-Banken t. j. niejakiego Aschberga, niby Szweda a w gruncie rzeczy pruskiego ajenta i szwindlera, subwencjonującego głównie cały ruch rewolucyjny. Pośrednikami między temi bankami a rewolucjonistami rosyjskimi byli wspomniany już poprzednio łotrzyna dr. Helphand-Parvus, dalej ajent firmy Siemens - Schuckert W. Worowskij - Orłowskij (?), małżeństwo bolszewickie Sumensohnowie oraz dwaj warszawianie, dziś zbogacone kolosalnie rekiny rewolucji bolszewickiej: Wincenty Stanisławowicz Fürstenberg i Jakób Stanisławowicz Fürsten-

berg. W stałych konszachtach z Nya Banken i Aschbergiem był w Petersburgu potentat i wydawca trzech wielkich pism „Birżewki", „Nowego Słowa" i „Ogońka" krakowianin St. Propper, którego przedsiębiorstwa i administracje prowadził Blumenthal, brat rodzony czy też stryjeczny znanego literata warszawskiego, a którego organów politycznych spiritus rector był niejaki Słonimski. Propper pierwszy już przed wojną, jak i w pierwszym roku wojny drukował „dla sensacji" w swych „patrjotycznych" dziennikach artykuły Uljanowa-Lenina, Bronsteina i Apfelbauma, podczas gdy nie odważały się na to pisma tak czysto kadecko-żydowskie i progresywne jak „Dień", „Utro", „Riecz". Tu trzeba jeszcze dodać, że Nya-Banken Aschberga pozostawał w kontakcie nietylko z Disconto - Bankiem berlińskim i hamburskim domem Wahrburgów, ale także z rodzonym bratem hamburskiego Wahrburga, t. j. szefem nowojorskiego Federal-Reserve-Board, a temsamem z nowojorską grupą bankową żydowską, sterowaną przez przepotężnego Schiffa.

Otóż w pajęcze sieci tej kliki rządzonej z Nowego-Yorku via Hamburg i z Berlina via Kopenhaga wpadł w Sztokholmie Protopopow, jeszcze wówczas wiceprezydent Dumy. Wracała w lecie r. 1916 z wycieczki do Londynu i Paryża wielka grupa posłów i członków rosyjskiej Rady Państwa. Wszyscy niezatrzymując się w Sztokholmie jechali dalej do Piotrogrodu; w Sztokholmie w Hotelu Continental zatrzymali się Protopopow z grafem Olsufiewem, rzekomo dla interesów. W tym samym hotelu znaleźli się już czekający tu przypadkowo rozmyślnie przyjaciele dawni Jekatieriny Aleksandrowny Suchomlinowej, małżeństwo Pollak i Gurewiczowie. „Przypadkowo" też znalazł się w tym samym hotelu senator hamburski Commerzienrath T. Wahrburg, rodzony brat Ottona, prezesa sionistów niemieckich i rodzony brat nowojorskiego szefa Federal-Reserve-Board. I tutaj zaaranżowali mechesi petersburscy wraz z Aschbergiem pierwszą i drugą tajną schadzkę Protopopowa i Ołsufiewa z Wahrburgiem... Początkowo miał wziąć udział w konwentyklu sam p. poseł baron Lutzius, ale w ostatnim momencie się cofnął i sprawę zagaił Wahrburg. Tu trzeba jeszcze dodać, że w owym czasie znaleźli się też przypadkowo w Sztokholmie i „socjalista" Helphand Parvus i... Manassewicz-Manuiłow, którego proces wstrzymał cicho Stürmer, wypuszczając znów na wolność zasłużonego kryminalistę.

Kto zaś z polskich działaczów, hrabiów, pepeesów i dzisiejszych dygnitarzy był wtedy w Sztokholmie i stał w tym samym hotelu i z tymi samymi żydami się stykał, niech się lepiej sam przyzna i szczegóły z tych czasów nam rozpowie...

Co uchwalono i jaki plan ułożono w Continentalu sztokholmskim, o tem oczywiście ściśle wiedzieć nie można, gdyż inaczej przebieg obrad przedstawiał w pismach hr. Olsufiew, inaczej Protopopow, a całkiem inaczej odbywały się one w rzeczywistości. Pozostaje faktem, że zaraz po przyjeździe do Piotrogrodu, Protopopow przyjęty u dworu otoczony został niespodziewanie ciepłą protekcją całej mafji germanofilskiej, aż wreszcie już najniespodziewaniej w świecie nagle jemu, „liberałowi", „kadetowi" i oficjalnie ententofilowi, powierzył car utworzenie nowego gabinetu i dostojeństwo premjera. Również najniespodziewaniej w składzie tego gabinetu znaleźli się pp.: Schattlen i Rittich, „fachowcy ministerjalni" kolei i rolnictwa, którzy oddawna urbi et orbi powtarzali, że bez pogodzenia się z Niemcami Rosja zginie z głodu, zbankrutuje, rozsypie się i przepadnie. Równocześnie, jakby za danym znakiem administracja podniosła we wszystkich wielkich miastach śluzy i zapory opozycyj, przymknęła oczy na meetingi robotnicze po fabrykach państwowych, a prasie Propperów, Winawerów i Bramsohnów pozwoliła pisać najjaskrawiej. Protopopow i jego bankowcy równocześnie założyli własny olbrzymi organ bardzo frankofilski, ale czyniący ciągle wycieczki i aluzje w stronę „przedłużającej wojnę" Anglji; na czele organu stanęli Amfiteatrow, Arcybaszew i inne znakomitości.

Że coś się działo i kotłowało za kulisami oficjalnej polityki rządu, że międzynaród anonimowy wytężył wszystkie siły na globie, aby chwiejący się już carat pchnąć, poczem Rosję wycofać z szeregu kombatantów, to odczuwali już wszyscy. Ostrzegał o knowaniach Izraela prof. Pearce z Londynu, przyjaciel kadetów rosyjskich, alarmował o konszachtach sztabu pruskiego z żydowstwem rosyjskiem świetny korespondent „Times'a", p. Wilton ostrzegał w listach paryskich do pism rosyjskich Bielajew-Biełorusow. Było już atoli zapóżno. Fürstenbergi berlińskie i Fürstenbergi warszawskie pracowały całą siłą pary. Górewicze, Dobryje, Pollaki i t. p. jeździły całkiem swobodnie tam i z powrotem do Finlandji, do Sztokholmu, gdzie Aschberg i Helphand dawali instrukcje do dalszej akcji pod-

kopowej. Na dworze carskim wypływała nowa postać mistyczna, blada już atoli kopja Rasputina, mnich Koljaba, też „człowiek z ludu“ pacyfista za każdą cenę, ostrzegający na seansach, przed wstrętną Ameryką, przed Wilsonem o którym swobodnie wypisywał sobie w „Ziemszszczyźnie“ niesłychane obelgi nie kto inny jak stary papa Stürmer...

Wrzenie warstwy robotniczej wzrastało, aprowizacja Piotrogrodu jakoś dziwnie się psuła, aż przyszły i pierwsze rozruchy, powiększenie żandarmerji i „faraonów“, karabiny maszynowe na dachach i na ulicach, prowokowanie cierpliwości proletarjatu już całkiem cyniczne, wreszcie listopad i rewolucja... Rewolucja, „smuta“, upragniona, utęskniona tajemnie przez cały obóz germanofilski, jako coś, co będzie trwało krótko, epizodycznie, poczem przyjdzie krwawe uśmierzenie, wycofanie się z wojny, aljans z Prusami, powrót do Wilhelma, skasowanie przeklętej Dumy, dawne, dobre czasy. I w tem się przerachowali: przerachowali germanofile prawosławni i luterańscy, ale nie przerachowali germanofile mojżeszowego wyznania. Dla nich wszystko poszło wedle ułożonego z demoniczną pomysłowością planu. Jakób Schiff w Nowym Yorku zdecydował, że carat, w którym Ostjudom i aszkenazim jest niewygodnie, musi iść na szmelc, a generalny sztab pruski, reżyserujący nietylko drugą, ale pomagający do wytworzenia atmosfery dla rewolucji pierwszej był tylko jednym z iustrumentów Jakóba Schiffa. A chłopstwo rosyjskie, mużyk carowi oddany? Z tem sobie też dali radę. Czyż piętnaście lat temu nie powiedział Herzenstein pamiętnych słów: „Nie pokładajcie nadziei w chłopie. Chłop pójdzie za nami (!) bo u nas (!) pachnie ziemią“...

Kiedy za rządów prowizorycznych Kierensohna wyjeżdżała do Europy na objazd stolic pierwsza delegacja sowietów robotniczych, w skład jej wchodzili trzej żydzi: Goldberg, Rozanow, Smirnow, sekretarką ich była „Tatjana“ Rubinstajn. Tatjana dopełniała tylko dzieła, które pięknie wszczęła Salome, tańcząca w kompanji Rubinstajnów-Karamazowych koło ściętej głowy Holofernesa rosyjskiego.

Kiedy bolszewicy rozpoczynali swoje rządy, stary Suchomlinow, aresztowany wraz z Szachowskim w marcu 1917 r. siedział w Petropawłowskiej, a madama w więzieniu kobiecem na Szpalernej. Do zwiedzającego więzienie dziennikarza amery-

kańskiego wyraził się Suchomlinow w tak gorąco pochwalnych słowach o bolszewikach, że w krótkim czasie i jego i ją wypuściły Sowiety na wolność, jak zresztą wypuścili wszystkich skrajnych reakcyjnych germanofilów, którzy ocaleli z rewolucji pierwszej.

W berlińsko-żydowskiej prasie puszczono sensacyjne wiadomości, że w ostatnich czasach był stary minister portjerem w kinematografie a Jekatierina Aleksandrowna kasjerką. To blaga.

Suchomlinow w ostatnich czasach mieszkał sobie spokojnie w Finlandji i pisał pamiętnik, który wyszedł obecnie (W. Suchomlinow: Mój Dziennik 1914 — 1915. Helsingfors 1921). Jekatierinchen zaś jest obecnie wysoką urzędniczką w sowiecie petersburskim. Mieszka w pięknym pałacu, ubrana zawsze tipp-topp, zawsze w otoczeniu dygnitarzy, jeździ samochodem rządowym, bywa w operze, w kabaretach. Ze środowiska jej szczezło i przepadło prawie wszystko, część w nędzy ostatecznej, część wymarła z głodu, część rozpierzchła się po świecie: z wielkich jej protektorów przeważnie prawie wszyscy rozstrzelani i wybici. Ale ona kwitnie i roztacza nadal wdzięki w socjecie komisarskiej, wśród szumowin, zbrodniarzy, ochranników, szpiclów i „ideowych" zwyrodnialców, którzy wypełzali już wtedy z nor i z czeluści, kiedy dzięki jej zdradzie ginęła w r. 1914 armja narewska, a nad ogromnym łbem marszałka Hindenburga rozjaśniała się glorja tryumfatora z pod Tannenberga. Kwitnie ona i kwitną te wszystkie rekiny wojny, zbogacone dzięki protekcji mafji Suchomlinowowskiej: Fürstenbergi, Helphandy, Sumensohny i z naszych Nalewek rozmaite Sztyble, Dawidsohny, Lipscy...

Poruszyliśmy tu ten temat nieco szerzej, aby wykazać obrazowo jakiemi i jak różnorodnemi metodami kolejno posługuje się najpotężniejsze mocarstwo, bo anonimowe i nieuchwytne, aby podważyć, a następnie rozwalać nieprzyjazne sobie, choćby olbrzymio silne i zorganizowane budowle państwowe, semitka rosyjska w tym procesie zakażania i destruowania odgrywa olbrzymią rolę szczególnie jako legalna towarzyszka życia, ale także jako przygodna kochanka nieuświadomionego aryjczyka.

Z życia Suchomlinowej możnaby, jak to wspomnieliśmy na początku, wykroić niezwykle efektowną, choć melodrama-

tyczną może w szczegółach powieść obyczajową, coprawda cokolwiek z konieczności przeładowaną epizodami erotycznemi.

Dałby się też z biografji Esterki rosyjskiej spreparować film, korupcję i degryngoladę rosyjską plastycznie prezentujący.

Tytuł powieści krótki, ekspresyjny, lapidarny: „Sztab".

Tytuł filmy dłuższy, popularny, afiszowy: „Dalila Caratu", czyli jak plemię Dawida zwyciężyło plemię Samsonowa...



SZKOŁA KRAKOWSKA.

„Kraków mam za małe, pretensjonalne, wysoce śmieszne miasteczko".
St. Wyspiański.
(List do H. Opieńskiego z 22 lutego 1896 r.).

I.

Ażeby zrozumieć i wytłumaczyć sobie psychologicznie pewne objawy, fakty i zjawiska naszego życia publicznego w teraźniejszości, dobrze jest cofnąć się czasem w niezbyt odległą przeszłość, tembardziej, że zanadto grzęznąc w pesymistycznym poglądzie na dzisiejszość, można się wtedy jednak pocieszyć tem, że znacznie gorzej i ciemniej ostatecznie bywało w czasach niewoli i rozbiorów.

Na dowód tego pozwolimy tu sobie cofnąć się o lat 30 wstecz i opowiedzieć wspomnienie z czasów sielskich-anielskich ale zarazem z czasów, kiedy noc niewoli była najciemniejsza a na horyzoncie żadnego znaku zwiastującego brzaski i przedświty.

Był pogrzeb. Jeden z tych krakowskich pogrzebów reżyserowanych efektownie, dostojnie i świetnie. Tym razem nie w samym Krakowie, a w prześlicznej podkrakowskiej Ruszczy. Duchowieństwo, biskup Puzyna, dygnitarze, zakonnicy, zakonnice, mundury, pierogi, cylindry, włościanie, paradebauery, deputacje stowarzyszeń i zakładów naukowych, delegacje uczniaków, także z trzechsetletniego Gimnazjum Nowodworskiego św. Anny.

Nad grobem stał młody profesor Almae Matris Jagiellonicae i mówił do żałobnych słuchaczy wzruszająco i pięknie. Tekst mowy utrwalony in extenso w broszurze „Otchłań", napisanej pod pseudonimem: „Hejnał" t.j. przez S. Buszczyńskiego (pagina 56). Z tego tekstu kilka ustępów:

„Nie żeby sławić zmarłego, bo życie jego same się wysławia, lecz żeby złożyć świadectwo, jakeśmy go szczerze miłowali i jak bolejemy nad tą niepowetowaną stratą, aby podziękować Najwyższemu, że go nam dał za przykład życia i dusz pokrzepienia, aby wyrazić hołd serc pełnych przywiązania, czci, wiernego żalu u nóg tej trumny przemawiam dzisiaj z tego miejsca. A któż z nas jemu nie winien czy za nauki jasne, czy za pociechy serdeczne słowa, któż nie winien za zbudowanie, za utwierdzenie w dobrem, a czasem wogóle za to, co posiada najlepszego i najszlachetniejszego w duszy...

„Stała między nami postać świetlana tego człowieka... stał jako wielki nauczyciel, który z wysokości majestatu sędziwego wieku, z prostotą przekonań i miłością wzniosłego serca udzielał nauk młodszym pokoleniom... Błogosławieństwo to dla pokoleń, co w tej pięknej żywota księdze, która się w ich oczach coraz nowemi wzbogacała głoskami, czytać i rozczytywać się mogli, bo taka księga wymowniej przemawia od wszelkich nauk i słowa... Były u zmarłego smutki i utrapienia, ale nie było zwątpienia, bo życie jego, zbudowane na niewzruszonych podstawach i do jednych zawsze zmierzało celów. Ta właśnie jednolitość podstawy i celów zrobiła z niego arcydzieło spójności i zwartości...

„Pomniki takich ludzi stać będą przed nami, jak drogowskazy, jak znaki przymierza z Bogiem i z naszą przeszłością..."

I t. d., i t. p. Jak widzimy nie szczędził słów pięknych i ważkich młody profesor zmarłemu starcowi. Że w wielkodusznej hojności swej nie przeszedł chyba miary, że ten pogląd na wielkiego nieboszczyka dzieliło z nim jeżeli już nie całe społeczeństwo, to przynajmniej miasto, w którem zmarły żył i działał, na to dowód znów mamy w tem, że w dyplomie na obywatelstwo honorowe miasta Piastów i Jagiellonów, który na dwa lata przed śmiercią temu „wielkiemu słudze narodu" wręczono w tekście ustęp był następujący:

„Z szczerą wdzięcznością i głęboką czcią wspomina Kraków Twoje imię Excellencjo, a Rada tego miasta w uznaniu wielkich zasług, jakie około niego położyłeś, jednomyślną uchwałą, powziętą w dniu 6-ym maja 1890 roku udzieliła Ci honorowe obywatelstwo miasta Krakowa". (Kalendarz Czecha, r. 1892, czcionkami „Czasu").

Jednomyślną uchwałą! Zaczem nie może już być wątpli-

wości. Musiał to tedy być ktoś bardzo wielki, jakiś pater patriae, skoro nikt się temu obywatelstwu honorowemu nie sprzeciwił i skoro w tak pochwalnych i pokornych słowach nad grobem jego przemówił profesor Wszechnicy Jagiellońskiej...

Otóż człowiekiem tym, „wielkim nauczycielem", który „udzielał nauk młodym pokoleniom", którego nam przedstawiano jako „błogosławieństwo dla pokoleń", był nikt inny tylko autor tuż przed śmiercią napisanego testamentu politycznego szkoły krakowskiej p. t.: „Słowo w długoletniej rozprawie", Paweł Popiel.

Młodzieży krakowskiej znany był atoli ten „drogowskaz" polityczny wedle słów pogrzebowej mowy prof. Kazimierza Morawskiego z innej całkiem strony. Wiedzieliśmy że mieszkał na ul. św. Jana. Wiedzieliśmy, że, kiedy wychodził raz ze swego domu i spotkał kalekę bez ręki, proszącego o jałmużnę, sięgając do portmonetki spytał go przedtem:

— Gdzie straciłeś rękę?

— W powstaniu w 63-cim.

— To nie dam nic. Idź precz!

I schował pieniądze i szedł dalej. Wiedzieliśmy, że gdy jeden z wygnańców, z bardzo arystokratycznej rodziny, ale nędzarz, przyszedł doń z prośbą o zaprotegowanie go do... szpitala, Popiel mu powiedział:

— Bądź pan zdrów. Z panem nic nie mam do gadania...

— Ja nie przyszedłem do pańskiej kieszeni, tylko proszę o radę...

— Bądź pan zdrów, oto drzwi.

Wiedzieliśmy, że kiedy młodzież, umówiwszy się przedtem, po raz pierwszy w kościele Panny Marji, po pieśniach nabożnych w dzień 3-go maja zaintonowała: „Boże, coś Polskę" nieugięty, zły starzec, w głos, tak, żeby go wszyscy słyszeli, w kościele zawołał: cicho dzięcioły! za co tego samego dnia wieczorem „dzięcioły", w liczbie kilkuset, z „Czytelnią Akademicką" na czele z okrzykami: „Myszy na Popiela" ruszyły na św. Jana i tam piękną mu kocią serenadę odśpiewały... Wiedzieliśmy dalej, że kiedy w r. 1891, za pozwoleniem rządu, obchodzono pierwszy raz uroczystość Konstytucji 3-go Maja, a Komitet z wybitnemi nazwiskami rozsyłał zaproszenia, Paweł Popiel w licznem gronie, na zebraniu, odezwał się: „Co to za bezimieńcy znowu? Już ja wiem co to znaczy. Dziś komitet,

jutro pieczątka!“ Wiedzieliśmy dalej, że nienawidził zapamiętale Kraszewskiego, że sprzeciwiał się obchodzeniu jego jubileuszu w Krakowie, że nietylko nie brał w nim udziału, ale w dzień uroczysty, kiedy przez Rynek szły deputacje czarno ubrane, on dla demonstracji wyszedł w ubraniu... myśliwskiem. I wiedzieliśmy dalej z opowiadań, że kiedy w r. 63-cim, zaraz w początkach, dwaj młodzi ludzie, „insurgenten“, wbiegli do dworu Popiela, prosząc o podwody, ten, stanąwszy na ganku ze szpicrutą, krzyknął swoje pamiętne: „Nie dam podwód! Ja, choć mieszkam na ziemi austrjackiej, jestem sprzymierzeńcem cesarza Aleksandra“.

Choć mieszkał na ziemi austrjackiej był jednak sprzymierzeńcem cesarza Aleksandra!... On i jego przyjaciele polityczni. On, „postać świetlana“, co „sztandar Polski nosił wysoko“ i jego stronnictwo, on i widocznie cała Rada Miejska, skoro go jednomyślnie „honorowym obywatelem“ kreowała, on i Senat uniwersytecki, skoro młody profesor imieniem Almae Matris tak go czcił w mowie pogrzebowej...

Ale „verba volant scripta manent“. Gdzie to są czarno na białem dowody, że Paweł Popiel nie był tak wielkiem znowuż „błogosławieństwem dla pokoleń“ i że w nim było właśnie „zwątpienia“ im summo gradu? zareplikuje na to może niejeden rzecznik krakowskich dawnych lub dzisiejszych „jednomyślności“. Otóż są. Istnieje jego własna broszurka w roku jego śmierci wydana t. j. „Słowo w długoletniej rozprawie“, jest jego własny w r. 1865 drukowany „List otwarty do ks. Jerzego Lubomirskiego“ i są dzieła i prace jego najbliższych politycznych przyjaciół t. j. „Teka Stańczyka“ spółki Wodzickiego, Koźmiana, Szujskiego i Tarnowskiego jest tego ostatniego: „Z doświadczeń i rozmyślań“, są prelekcje prof. historji Ant. Walewskiego, są Michała Bobrzyńskiego: „Dzieje polski“, Koźmiana „Rzecz o r. 1863“, są roczniki „Przeglądu Polskiego“ z licznemi ekspektoracjami przyjaciół i wielbicieli Pawła Popiela.

Pozwolimy sobie przypomnieć tu przygodnie ideologję tego obozu, aby po pierwsze wykazać do jakiego stopnia zaparcia się polskości mogła dojść pewna grupa politycznych oportunistów i jakie stadjum rozmiłowania się w niewoli swego czasu można było osiągnąć i to pod królewskim Wawelem; wykazawszy to zestawić tę ciemną noc niewoli z obecnym bądź co bądź: dniem własnym państwowości. Po drugie

zaś, aby przekonać się, czy rację i słuszność miał wonczas jeszcze młody uczony, dziś jeden z pierwszych kawalerów Orderu Orła Białego, wystawiając tak pohopnie i entuzjastycznie w swej mowie pogrzebowej Pawłowi Popielowi monumentum aere perennius.

II.

W liście otwartym do ks. Lubomirskiego pisze Paweł Popiel w ten sposób: „należy odtrącić od społeczności wszystkich, którzy powstaniu z 1863 roku choćby myślą potakiwali". Zdawałoby się, że do takiego przekonania mógł dojść Popiel chwilowo pod nastrojem strasznej klęski i katastrofy i że z czasem w gorączce desperacji zrodzoną myśl podda rewizji i zdanie swe choćby cokolwiek osłabi. Bynajmniej. Po latach 17 pogląd ten jeszcze rozszerza i pogłębia. W „Słowie w długoletniej rozprawie" pisze również:

„Nie po raz pierwszy to już potępiam ludzi, którzy rozpoczęli powstanie listopadowe... To powstanie było ciężkiem względem Ojczyzny przestępstwem... To powstanie było polityczną zbrodnią... Błędy i ciężkie przeciw ojczyźnie winy, żeby nie użyć surowszego wyrażenia świętościami nie są. Posłuchu dla tajnego rządu nie mamy nigdy za dowód karności narodowej. A jeżeli przyszliśmy do przekonania, że nie pora na strajki, na nowe powstania, to należy potępić je nietylko na teraz ale w przeszłości i w przyszłości... Co było sankcją rozporządzeń Rządu Narodowego? Nóż i postronek... Nie chwalcie się, że was słuchano. Smutne świadectwo dla społeczeństwa, które mogło słuchać tajnego, niewiedzieć gdzie prowadzącego rządu i smutne świadectwo dla tego rządu, że mógł wymuszać posłuszeństwo tylko przez skrytobójstwo... Precz z nieprzerwalnością powstania. Precz z tajną organizacją. Precz ze szkodliwemi albo bezmyślnemi manifestacjami.. Przygrywką do r. 1848 była agitacja czysto demagogiczna księdza Ściegienego a w Galicji uprawiano lud po karczmach i po jarmarkach... Demokracja od r. 1830 i r. 1846 do roku 1863 aż do ostatnich burd warszawskich dźwiga odpowiedzialność za upadek Konstytucji r. 1815, za zniesienie statutu litewskiego, samorządu w Zabranych Krajach (??) upadku Unji, zniesienie uniwersytetu w Wilnie i Warszawie, szkół w Krzemieńcu, Winnicy i Bazyljańskich a w końcu całego systemu wychowania

i samorządu cywilnego w Król. Polskiem. Anarchja wszystko to zniweczyła... W r. 1815 względnie był korzystny dla Królestwa i Zabranych Krajów, ale środki przedsiębrane w tajemnicy bez misji były anarchiczne (w r. 1831), jak były choć w wyższym stopniu w r. 1863 a są i dziś u tych, którzy zbierają skarb narodowy..."

Jak widzimy z tego Paweł Popiel, jak na męża stanu kierującego potężną koterją, cokolwiek za gorączkowo, za mocno uogólniał, egzegerował i zapędzał się. Nawet dla każdego, co nie zachwyca się ni „liberum conspiro", ni tajnemi rządami i nieprzerwalnością powstań i t. p. nazywanie akcji ks. Ściegienego czystą demagogją, wychwalania „względnie korzystnego" rządu z r. 1815, zarzucanie anarchji powstaniu z 31 r., potępianie idei Skarbu Narodowego i t. p. zdania muszą wywrzeć wrażenie przygnębiające. Tembardziej, że teorje te Paweł Popiel, będący „arcydziełem spójności i zwartości" podpierał też praktyką skrajnej lojalności i wiernego poddaństwa nawet na dwa fronty, oddając dwum cesarzom, co jest cesarskiego. W r. 1863 zbierał u siebie podpisy na adresie wiernopoddańczej uległości dla cara Aleksandra, a już w r. 1880 stał na czele komitetu szlachty galicyjskiej, witającej cesarza Franciszka Józefa w Galicji. Potwierdza to najwierniejszy elew Popiela hr. St. Tarnowski, który w pośmiertnym panegiryku Popiela pisze:

„Powstanie opromienione koroną chwały i zasługi było ciężkiem względem ojczyzny przestępstwem. Opatrzność po to dała ludziom rozsądek, który dla narodów zwie się zdrową polityką, aby nim kierując się gotowały sobie przyszłość. Poświęcać lekkomyślnie obecne położenie, względnie szczęśliwe („względnie korzystny rząd z 1815 r." u P. Popiela) bez prawdopodobieństwa powodzenia jest polityczną zbrodnią względem kraju".

Przydać tu trzeba, że przed powstataniem w r. 1863 właśnie „Czas" krakowski najmocniej kopał doły pod Wielopolskim, drukował wykradane w jego kancelarjach tajne instrukcje i cyrkularze, pierwszy rozpuścił wiadomość o brance. Tarnowski przejął się też Popiela poglądami. Do jakiego stopnia niszczył kult dla Konstytucji 3 Maja, tego dowodzi książka p. t. „Z doświadczeń i rozmyślań", gdzie jest taki pasus:

„Jak tylko rozrzucane odezwy były znakiem i dowodem,

że pod zamierzony (w Warszawie) obchód 3 Maja podszywa się organizacyjna robota tak zwanych rządów narodowych i propaganda socjalistyczna (??), jak tylko stało się wiadomem, że te dwie dążności tak zwanych rządów narodowych chcą i Warszawie narzucić swoje rozkazy, należało sprzeciwić im się stanowczo. Zrobiliśmy to w jednej części... Zasłaniać Warszawę o ile możemy od polityki rządów narodowych to dobrze, ale to nie wszystko. Trzeba jeszcze i na to niepozwolić, temu przeszkodzić, żeby ta polityka nie próbowała rządzić".

Odwdzięczając się mu, pisze znów Popiel w „Słowie w długoletniej rozprawie": Książka Tarnowskiego „Z doświadczeń i rozmyślań" bezprzykładnie czytana, rozszerzana, ocenioną została nad Wartą, nad Wisłą i wszędzie gdzie polski utrzymuje się język i dotarła do najdalszych zakątków".

Nietylko atoli ta książka ucznia Popiela dotarła do najdalszych zakątków. Rozchodziły się też książki profesorów historji na Wszechnicy Jagielońskiej Antoniego Walewskiego i Michała Bobrzyńskiego. Pierwszy z nich wprost już zdziwaczał w fanatycznej nienawiści do Polski historycznej a w uwielbieniu caratu, choć „na austrjackiej ziemi" miewał swoje prelekcje. Orła na bramie Florjańskiej stale nazywał „białym ptaszkiem", Polskę „jawnogrzesznicą", pieśń legjonów „śmiesznym mazurkiem", „Sybiracy uchodzili za tak zwanych męczenników", konfederacja barska była „buntem", listopadowe „haniebnym buntem", Katarzyna II „poetycką", a car Aleksander II „był łagodny i wspaniałomyślny". Tak wykładał historję „kraju rodzinnego" na uniwersytecie krakowskim „na austrjackiej ziemi" prof. Ant. Walewski.

Z tego ducha i z tej atmosfery zrodziło się też dzieło innego wyznawcy zasad P. Popiela, t. j. „Dzieje Polski w zarysie" M. Bobrzyńskiego. Ten historyk polski i jeden z założycieli szkoły krakowskiej bynajmniej już sobie nie robił ceremonji. Powtarza bowiem kilkakrotnie: „naród nasz wyzdrowiał moralnie pod wpływem rozbiorów". Gdzieindziej: „Każdy mieszkaniec państwa obowiązany jest w granicach zakreślonych przez prawo słuchać rządu istniejącego i rozkazy jego wypełniać". Jaki ten rząd jest, swój czy obcy, to rzecz według M. Bobrzyńskiego obojętna. Ale i ten mąż wiedzy z koliska najbliższych P. Popiela choć działał na „austrjackiej ziemi" był sprzymierzeńcem „cesarzów" Północy. Według niego bowiem

„plan sprowadzenia do Polski wojsk Katarzyny II był jedynym podówczas czynem przedsięwziętym w głębszej politycznej myśli. Zrozumieć go można, przypuszczając rozumowanie, że Polska wskutek swego wewnętrznego rozstroju niezawisłość swoją musi bądź co bądź utracić wkrótce, lepiej więc, żeby zrzekła się jej dobrowolnie, a raczej uznała swoją faktycznie już istniejącą od Rosji zawisłość, ażeby za to weszła w skład Rosji cała, niepodzielna, z rządem silnym autonomicznym, zbudowanym po zgwałceniu anarchji z pomocą Rosji (str. 436). Jak znakomity historyk, obecnie osiadły w Garbach w Wielkopolsce, mógł swą lojalność austrjacką i „słuchanie rządu istniejącego" pogodzić z tym ideałem, pozostanie zagadką.

Takie to były idee przewodnie „Szkoły Krakowskiej".

Nie można się tedy dziwić, że współczesny im patrjota tak o wyznawcach i uczniach P. Popiela pisał:

„Oburzając się na „liberum conspiro" sami konspirowali. Tych którzy nie zgadzali się z przejętemi przez nich zasadami nazywali warchołami a sami rozbudzali waśń i rozterki na każdym kroku. Narzekając na rozstrój sami wprowadzali rozstrój w życiu społecznem". „A mają oni wszystko za sobą: pozory patrjotyzmu, wysokie dostojeństwa, środki materjalne wpływy, przedajną prasę, wymowę sofistów, potulność służalców, pomoc egoistów, pobłażliwość obojętnych, wiarę ogółu w udaną pobożność, która jest u nich tylko obłudą albo fanatyzmem, wreszcie zaufanie bezmyślnej społeczności w braku opinji publicznej..." „Stugłowa hydra tych domowych wrogów wyniszcza najżywotniejsze siły naszego narodu..." „W całej Polsce są szkodliwe dla narodu naszego stronnictwa, których główne atoli gniazdo w Krakowie..."

Tak pisał krakowianin St. Buszczyński: Anno Domini 1892.

JOSEPH CONRAD.

(Praca z r. 1916).

W drugim roku wojny europejskiej zszedł w kraj wiecznego pokoju świetny pisarz francuski, a nasz eks-rodak Teodor de Wyzewa. Jedna z najostatniejszych prac przedśmiertnych autora „Opowieści chrześcijańskich" i „Valberta" tematem swoim szczególnie zasługując na naszą uwagę wzbudzić w nas musi dziwne, a smutne refleksje. Entuzjastyczny pośrednik między francuską a angielską umysłowością i żarliwy przez całe życie herold idealizmu, poświęcił ostatnię z klasycznych swoich dysertacyj w „Revue de deux mondes" najnowszej książce najznakomitszego dziś pisarza angielskiego J. Conrada: „Chance". Francuz Wyzewa, piszący o Angliku Conradzie, a w istocie rzeczy czystej krwi rasowy Polak, urodzony pod Żwańcem Wyżewski, piszący o czystej krwi rasowym Polaku, urodzonym w Derebczyńcach Korzeniowskim, i to wtedy, kiedy literatura polska w kraju roi się już od Polaków pół-krwi i obcej rasy, właśnie narzucających arogancko piśmiennictwu polskiemu swoje ideały, swoje orjentacje i swój patentowany patrjotyzm... Jest się nad czem, póki pora, zamyślić...

Zaiste dziwne refleksje rodzą się z tej przypadkowej koincydencji, z tego przypadkowego zestawienia recenzji zmarłego znakomitego krytyka francuskiego o dziele angielskiego autora, uważanego dziś właśnie, w latach wojny, za pierwsze lumen anglosaskiej prozy. Smutne to będą refleksje, gdy się zważy, że jeszcze ojcowie, nawet nie dziadowie tych dwuch znakomitości europejskich, młodzieniaszkami będąc, prawdopodobnie zjeżdżali na Berdyczowskie jarmarki, w Humańskiej resursie tańczyli do białego południa, pili z bałagułami z różowych

jedwabnych pantofelków i pierwsze białe buraki sadzili w czarną ziemię wieczyście pięknej, tęsknej, śpiewnej, kanadyjsko bogatej matki Ukrainy. Ojców dopiero Wyzewy i Conrada los romantyczny wysadził z siodła, wypędził z odwiecznych kresowych dworów, bastjonów ustępującej polskości, rzucił w beznadziejny bój o wolność, przegnał przez Sybir, a potem rzucił na bruk miejski między mieszczaństwo i nowych ludzi, „nowych Polaków", zagrzewających innych do insurekcji i rezurrekcji, a pod ten czas stawiających po miastach realności murowane i wykupujących majątki, wystawione po „romantykach" na licytację. Ojciec Wyżewskiego, lekarz, osiadł w Moskwie. Stary Apollo Nałęcz Korzeniowski, literat, z Sybiru „przeniósł się" do Galicji, do Lwowa i Krakowa. W doktorze Wyżewskim, dorodnym jak wszyscy Ukraińcy, zakochała się młoda, kochliwa Niemka, hrabianka Marja Madem, a nie uzyskawszy wzajemności, poprzysięgła odtąd zemstę całej nacji, z której Wyżewski pochodził. Dotrzymała tej obietnicy wiernie aż do końca życia, wyszedłszy za mąż za dygnitarza rosyjskiego w Królestwie... Korzeniowskiego ojciec swój współudział w organizacji powstania r. 1863 przypłacił literalną ruiną majątkową i przedwczesną ze zgryzot i z niedomogów śmiercią. Syna-jedynaka conieco dochowali krewni. A dzisiaj, tak z ongiś majątku Wyżewskich, jak ongiś Korzeniowskich ruskie kułaki i podriadczyki zwożą buraki do pobliskich żydowskich cukrowni... o dawnych panach już ni śladu... Daleko popadały od jabłoni jabłka. I tych to kresowych szlachciców „wykorzenieni" synowie, pogrobowcy romantyzmu, Mohortów wnuki, stali się w oddalonych metropoljach chlubami piśmiennictw dwuch najkulturalniejszych ras świata. I znów dziwnym trafem jakimś, obaj pisarze, francuski i angielski, jakoś koło roku 1912, setnej rocznicy Napoleońskiej wiosny narodów, obaj już będąc blisko sześćdziesiątki i pod wieczór żywotów swoich przypominają sobie świty dzieciństwa, zarania swych lat młodych, tę ojczyznę pierwszą, której już nie znali i gniazda klanowe, z których jako nieopierzone pisklęta, w czas huraganu romantycznego wypadły, brutalnością losu strącone. Wyzewa w „Ciotce Wincentynie" stawia wzruszająco prosty i szczery obelisk pamięci tej zacnej duszy z rodu *Bobrowiczów*, która mu całą tę utraconą, nieznajomą, daleką ojczyznę w swej niewyczerpanej ofiarności opiekuńczej tak wzniośle symbolizo-

wała. Conrad w „Some Reminescences“ i w „The Mirror of the Sea“ wydobywa z mgieł niepamięci niejasne kontury dworu ukraińskiego jakieś amarantowe plamy legend rodzinnych o pułkowniku, co psy pod Moskwą jadał z głodu, przypomina rodowe matczyne gniazdo *Bobrowskich*, pierwsze swoje podróże światowe i prymicje literackie i przy tej sposobności po raz pierwszy zdradza rewelacyjnie intelektualnemu światu londyńskiemu, że on, znany już w stu miljonach Anglosasów pod literami J. C. *first class master*, zaćmiewający splendorem swego genjusza Kipplingów, Wellsów, Conan Doylów, Hardych, Shawów i innych, jest właściwie J. C. K. i że to K. po raz pierwszy na książce nowej dumnie umieszczone, oznacza jego rodowe nazwisko polskie: Korzeniowskich. I w dwa lata po wyjściu tych dwuch książek, w których znakomitości francuska i angielska, grzebiąc melancholijnie w reminiscencjach swego sielsko-angielskiego dzieciństwa, przyznają się już u szczytów sukcesów i sławy do swego przez długie lata niewyjawianego polskiego pochodzenia, zdarza się wreszcie, że francuski krytyk, sprawę zdający systematycznie z angielskiego ruchu umysłowego raz po raz słysząc o nowej, wielkiej gwieździe na firmancie Anglji, zapoznaje się z tym nowym fenomenem i wreszcie *á propos* nowego dzieła tegoż, powieści „Przypadek“ czy „Los“, poświęca nowemu bóstwu w „Revue de deux mondes“, tuż przed wybuchem wojny europejskiej, dłuższe entuzjastyczne wywody. Wyżewski pisze o Korzeniowskim, a czytelnicy dwuch światów: anglosaskiego i francuskiego, czytają francuskie studjum o angielskiem dziele. „Chance“. Przypadek. *Habent sua fata Poloni.*

Ale ten dziwny i jakże bolesny dla kulturalnego Polaka zbieg okoliczności, zmusza nas wreszcie do zwrócenia wogóle uwagi na to, jak niepowetowane straty ponosi stan kulturalnego posiadania naszego przez perjodyczne, masowe emigracje kwiatu warstw wyższych w obczyzny, przez fatalność bezprzykładnej, niekończącej się diaspory polskiej. Przygodnie tylko i pobieżnie pozwolimy tu sobie *en passant* przypomnieć, ile to oprócz takich Wyżewskich i Korzeniowskich straciliśmy i tracimy ciągle wartości kulturalnych polskich i to choćby w ostatnich tylko czasach na rzecz głównie Francji i Niemiec. Fale emigracji, idące co pokolenie z Polski, zostawiały na brzegach obcych narodów całe ławice, całe rzesze dość szybko wynaradawiających się i idących w służbę to obcej dalszej, to bliższej

wrażej nam kultury; a w tych ławicach niejedna muszla była drogocenną, niejedna perła z blaskiem niepoślednim. Przypomnijmy sobie np. ostatnie ćwierćwiecze i to najpierw Francji. Ze starej gwardji więc będziemy mieli E. Chojeckiego (Charles Edmond), talent i umysł *di primo cartello*, St. Rzewuskiego, dramaturga mocnego i esaistę filozoficznego, dalej Poradowską powieściopisarkę, Cimochowskiego malarza marynistę, Zima publicystę, Krzyżanowskiego dziennikarza, Marję Szeligę działaczkę, Armanda Plucińskiego, aktora i pedagoga scenicznego (nauczyciela Sary), Waliszewskiego, znakomitego historyka i publicystę, barona Gostkowskiego, podróżnika i publicystę etc. Pomijamy tu uczonych lub wynalazców, takich jak Skłodowska, Gałęzowski, Danysz, St. Drzewiecki, Lipkowscy, jak niegdyś Ludwik Wołowski, de Serres-Wieczfiński i tylu innych, których dorobek naukowy w istocie rzeczy okrywa sławą wyłącznie Francję, w której i dla której działają, a tylko w mikroskopijnej dozie spływa na nas. Dość łatwo przyjdzie nam następnie przeboleć stratę takiego pokroju Polaków jak M. A. Savoir, jak Jean Finot, Marcel Hutin, Adolf Stanislas i t. p., których jeszcze kilka tuzinów z niebywałą ochotą gotowi jesteśmy odesłać do Francji franco... Jako bezsprzeczną stratę jednakże w bilansie kultury polskiej zanotować trzeba takie nazwiska, jak F. Strowski, Pascalista, poeta religijny i myśliciel, jak K. Stryjeński z Krakowa, znakomity Stendhalista i autor przemiłej książki o sześciu córach Marji Leszczyńskiej (Mesdames de France), jak dalej choćby Daniłowicz-Strzelbicki pracowity znawca francuskiej sztuki ludowej, jak Kostrowicki, Litwin znany pod pseudonimem Guillaume Apollinaire, inicjator literacki, poeta rafinowany (Poison et incestes, Alcoves), znawca starego teatru włoskiego, miłośnik Rzymu Borgjów, herold najnowszych futuryzmów. Przypomnijmy sobie, że w poezji francuskiej są polskiego pochodzenia obok Jean'a Dmochowskiego, Nagour (Nagurskiego), C. Godebskiego (syna... francuskiego rzeźbiarza Godebskiego) i M. Krysińska, reformatorka i twórczyni wyzwolonego wiersza, oraz ów mgłą tajemniczości otoczony przyjaciel Alfonsa Allais, Jean Godecki, który w opanowaniu języka francuskiego doszedł do takiego mistrzowstwa, że osiągnął rekord rekordów, dając słynny kunsztyk rymotwórczy, curiosum wczucia się i wniknięcia w arkana języka niemacierzystego, który to kunsztyk pozwolimy tu sobie, jako nieznaną raritas, przytoczyć:

Sonnet olorime.
A ALPHONSE ALLAIS.

Invitation à venir à la campagne prendre le frais, une nourriture saine et abondante, des sujets de chroniques et des bitures.

Je t'attends samedi, car, Alphonse Allais, car
A l'ombre, à Vaux, l'on gèle. Arrive. Oh! la campagne!
Allons-bravo! — longer la rive au lac, en pagne;
Jette à temps, ça me dit, carafons à l'écart.

Laisse aussi sombre tes deboires, et dépêche:
L'attrait. (puis, sens!) une omelette au lard nous rit,
Lait, saucisse, ombres, thé, des poires et des pêches.
Là, très puissant, un homme l'est tôt. L'art nourrit.

Et, le verre à la main, — t'es-tu décidé? Roule —
Elle verra, là mainte étude s'y déroule,
Ta muse étudiera les bêtas ou les gens!

Comme aux Dieux devisant. Hébé (c'est ma campagne)...
Commode, yeux de vice hautés, baissés, m'accompagne...
Amusé, tu diras: „L'Hébé te soule, hé! Jean!“

To samo wirtuozowstwo językowe, jakiego dokument ekscentryczny w wierszu wskroś w każdem słowie przerymowanym dał Francji Polak, Jan Godecki po francusku, wykazał w poważnym, spotęgowanym stopniu i na wielką już skalę Józef Conrad w swoich powieściach marynarskich, w których pejzażowe opisy morskie w swej magji kolorystycznej i sile wizyjności, według zgodnego werdyktu całej krytyki angielskiej i niemieckiej językowo dorównują genjuszowi malarskiemu Turnera, a przewyższają bogactwem i ekspresją słowa wszystko, co dotychczas dali nietylko rdzenni prozatorzy, „psy morskie”, Marryat, Rejd, Clark, Russel, ale nawet co w natchnionych poemach morskich rzucili Shelley, Coleridge, Keats i Swinburne!! Rzecz nadto zdumiewająca, że podobne pochwały, jakie w ostatnich latach Anglicy oddają natchnionej prozie, opisującej morze, Józefa Conrada, czytało się dwadzieścia lat temu o... Przybyszewskim, *apropos* jego hymnu ku czci *morza*. W „Am Meer”, ten ongiś

tak rozgłośny, a jaskrawą popularnością w mętnych i niewonnych warstwach naszej publiczności niesłusznie zdyskredytowany poeta, dokonał, wedle zgodnego znów chóru krytyki berlińskiej, niesłychanego i nadspodziewanego umuzykalnienia języka niemieckiego, „zchopenizował" niemiecką składnię i syntaksę, równocześnie w piękności opisu, w sile wizyjnej, w ujęciu tragiczności i dynamiki morza przewyższając wszystkie najliczniej renomowane, czy sławne opisy niemieckie. Jak teraz tłumaczyć ten *Chance?* ten przypadek, który sprawił, że pisarze polskiej rasy, rodzącej się i zamierającej na jałowych piaskach, w obcych sobie i niemacierzystych językach dwuch narodów morskich, marynarskich, potężnych, dali opisy morza, które krytyka godnie uznała za najpiękniejsze i najsilniejsze? Czyż to była tęsknota i miłość do żywiołu oceanicznego, wybuchająca spontanicznie i żywiołowo w imieniu jakby całego narodu, który jak każdy pono naród świata ma i mieć musi nieprzedawnione prawa do kawałka brzegu morskiego i do wyjścia na świat, o ile nie chce być w rodzinie narodów skazanym na straszną rolę „pasierba Opatrzności" (jak to słusznie określił ekonomista niemiecki, Franciszek List). Skądżeby inaczej wzięła się ta zniewalająca i narzucająca się siła w deskrypcjach morza u Przybyszewskiego i Korzeniowskiego, która sprawia, że świat intelektualny Niemiec i Anglji właśnie tych Polaków bezziemnych i bezmorskich hymny morskie uznał za najpiękniejsze? Czy to Chance tylko? Czy *habent sua fata Poloni?*

Natrącenie o St. Przybyszewskiego przypomina nam znowu, ile to sił i wartości kulturalnych traciliśmy i tracimy nadal, choćby tylko w ostatnich czasach na rzecz Niemiec. Ten deficyt kulturalny nie powoduje już to co-pokoleniowa i co-powstaniowa emigracja, z jaką co czas jakiś najświatlejsza, najtęższa, najaktywniejsza cienka górna warstwa narodu, prawdziwe *upper ten thousand* rozrzucone zostają po całym świecie na tułaczce, czy na wygnaniu. Na rzecz Niemiec tracimy to wszystko, co pociąga mocniejsza, mechaniczno-techniczna cywilizacja Niemiec nowoczesnych, co praktycznie wybiera drogę najmniejszego oporu i uporu i co zmienia narodowość z konieczności i przymusów materjalnych i biologicznych. Ostatecznie i przywrócenie polskiej literaturze właśnie St. Przybyszewskiego, już okupowanego na rzecz literatury niemieckiej, zawdzięczać możemy tylko chance, t. j. w silnej mierze przypadkowo nawią-

zanej korespondencyj niżej podpisanego i znanego literata krakowskiego M. Szukiewicza, wzywających ongiś energicznie autora „Am Meer" i „Satanskinder" do przyjazdu do Krakowa, między swoich i do pisania po polsku. W ostatniem ćwierćwieczu podobnie jak na rzecz Francji z przyczyn emigracji, tak dla Niemiec po procesie asymilacji i mimikryzacji mamy do zanotowania bardzo wiele zatraconych dla nas sił i talentów twórczych i produktywnych. Pominiemy również wszystkich eks-Polaków wyznania międzynarodowego, w tym stylu co np. Lubliński, Piński, Miński, Kaliski, Witkower (Harden), Kempner (Kerr), Karpeles (Klaar) i t. p., których jeszcze kilkadziesiąt odstąpilibyśmy obczyźnie bez żalu i gratis. W każdym jednak razie, jeżeli się weźmie pod uwagę dzisiejsze tylko piśmiennictwo i sztukę niemiecką, to polskiej czysto prozapji nazwisk spotykamy spory korowód. W malarstwie śladami Jana Polaka ze średniowiecza, Chodowieckiego z rokoka, a Rajskiego z czasów Ludwika Filipa (Biedermajerowskich) zdają się iść ku sławie, wziętości i fortunie Szańkowski, Gestwicki, a ostatnio np. Walenty Ziętara, syn górnośląskiego ludu, pierwszej klasy afiszer, dekorator, karykaturzysta, przypominający nam znowuż, że i na rzecz angielskich pism straciliśmy doskonałego karykaturzystę Tom Titta (Rościszewskiego), na rzecz francuskich ilustracyj wyjątkowego rysownika C. B. Jankowskiego, a na benefis rosyjskiego teatru bajecznego dessinateura dekoracyj, Litwina Dobożyńkiego. W świecie uczonych uniwersyteckich w Niemczech spotykamy bardzo wiele Boryńskich, Drygalskich, Bojanowskich, Wilmowskich, Bageńskich, Wasilewskich, Dębowskich etc. Dziwnym zbiegiem okoliczności, *chance*, zdarzyło się z okazji uroczystości szekspirowskich jubileuszowych w Weimarze, że prezesem Towarzystwa szekspirowskiego, który miał mowę solenną, był hofrat von Bojanowski, prelekcję wygłosił prof. K. Bobryński z Monachjum, a najciekawszą pracę tegoroczną w dziedzine szekspirologji dał p. H. Oczeret: „Szekspir a psychoanaliza". W dziedzinie historji sztuki i literatury poprostu zaroiło się w ostatniem dziesięcioleciu od nazwisk o brzmieniu polskiem. Czasem ma się dziwne optyczne złudzenie w tej dziedzinie, jakby poważną część pisarstwa z Warszawy, Lwowa i Krakowa przeniesiono do Niemiec. Możnaby skolekcjonować całą bibljoteczkę podręczną niemiecką z dzieł autorów o tak rdzennie polskiem brzmieniu, jak: Tarnowski,

Maciejowski, Lubowski, Sarnecki, Gorczyński, Bronikowski, Zaleski, Zalewski, Grobowski, Dąbrowski, Kaczkowski, Leszczyński, Jabłonowski, Bogusławski, Perzyński, Jasiński, Konarski, Kozłowski, Sokołowski, Nawrocki, Pawlikowski, Romanowski, Lekszycki, Kuczyński, Kozikowski, Miernacki, Stryjowski etc. Przypadek, *Chance*, chce, że znawcą Stendhala, energetyka i antyromantyka jest (jak we Francji C. Stryjeński), tak w Niemczech v. Oppeln Bronikowski, ze znanej kalwińskiej rodziny. Znawcą włoskiej i belgijskiej literatury jest Wojciech Wesselski, znawcą francuskiego malarstwa E. Kłosowski (Daumier), znawcą japońskiej sztuki Fr. Perzyński. Wśród historyków sztuki wybili się L. v. Kunowski, Strzygowski, Dunin Borkowski, W. Turzyński, Gawałowski, E. Komorzyński, W. Różalski, (autor pracy o Szyllerze). Rok w rok rośnie napływ tych nowych nazwisk ultra sarmackich, obecnie z tym przydatkiem, że pojawiają się już i nazwiska chłopskie, mazurskie i górnośląskie (Skowronek, Gajdeczka, A. M. Skrzeczka[1]) i t. d.), zdradzające swem brzmieniem pospolitem, że już i nowe warstwy ludowe, przeszedłszy normalne szkoły, garną się ochoczo do silniejszej cywilizacji i że jak dawniej z romantycznej szlachty, wysadzanej z siodła, tak obecnie z tych przez Prusa tak pięknie opisanych „placówek" poczną iść w świat i rekrutować się już nietylko Maćki Samsony i Bartki Zwycięzcy, ale przyszli Chodowieccy i Rajscy, Bronikowscy i Bojanowscy. *Habent sua fata Poloni.*

Czytelnicy wybaczą nam przydługą dygresję, umotywowaną tem chyba dostatecznie, że przypadkowy zbieg nazwisk w cudzoziemskiej literaturze, Korzeniowskiego i Wyżewskiego, zbyt jaskrawo i przygnębiająco oświetlił nam fatalizm niedoli polskiej. Jak więc nie możemy się zdobyć na obojętne skonstatowanie tylko takiej straty kulturalnej, jaką jest chyba tych rozmiarów perjodyczne odpływanie najżywotniejszych soków polskich w organizmy obcych lub wrogich kultur, tak również nie możemy w żaden sposób dystyngowanie ukrywać uczucia zazdrości i żalu wobec posiadania i szczycenia się przez dwa obce, bogate i pańskie piśmiennictwa Zachodu takich luminarzy, jak autor Valberta i autor Lorda Jima. Co do Wyzewy uczucie zazdrości potęgowane jest jeszcze tem, że był to kapitalny

[1]) Die Heimat in Flammen.

znawca literatury angielskiej, a w ostatnich latach propagator idei i inicjacji z tej literatury na świat idących, ergo specjalnie typ pisarza w naszem gospodarstwie intelektualnem niezwykle pożądany, ważny, a nieistniejący. Importerów i kolporterów francuskich nowalij miewaliśmy zawsze sporo; z niemieckiej dosyć systematycznie choć nie dosyć interesująco zdawały sprawę rozmaite galicjany. Tłumaczeniami i studjami z rosyjskiej produkcji nihilistyczno-seksualistycznej zasypywali nas bez litości i opamiętania młodziankowie socjal i kahal-demokratyczni. Anglicystów czy anglofilów literackich nie mamy, jak nie mieliśmy, a to z wielkim naszym deficytem i uszczerbkiem. Mało której bowiem literaturze tak, jak właśnie naszej, dziedzicznie obciążonej romantycznością (niemęskim romantyzmem, jak się mówi powszechniej) przydałyby się tak bardzo ze względów terapji duchowej mocne injekcje ideowego anglo-saksonizmu. Możemy to i dzisiaj doradzać spokojnie, gdyż w sferze duchowych i intelektualnych zagadnień i omawiań polityka w żadną grę nie wchodzi, a nawet wczechświatowa wojna jest tylko... epizodem. Weźmy sobie pod tym względem także przykład z sąsiednich Niemiec. Jakże tam bowiem szczęśliwie i wzorowo zorganizowano stały import twórczości angielskiej i amerykańskiej. Dla narodu, który bynajmniej już chyba nie potrzebuje infiltracji idei mocnych i trzeźwych, doczesnych i imperjalistycznych, istnieją jednakże i prosperują całe firmy nakładcze, wydające li jeno świetne tłumaczenia najstarszych i najnowszych koryfeuszów pióra Wielkiej Brytanji. Posiadając język niemiecki, można być *au courant* współczesnych prądów i znowuż można grzebać się w mało znanych znakomitościach z XVI-go czy XVII-go wieku, można mieć każdej chwili i całego Chattertona i całego Chestertona i białe kruki erotyczne z rokoka i ostatnie publikacje polityków, dziś „praktykujących". Od czasu jeszcze, gdy Goethe zadeklarował oficjalnie swój klasyczny szacunek dla Szekspira, Byrona, Scotta i Woodswortha, od czasu gdy Herder i Lessing zakomenderowali zwrot od literatury francuskiej i baczność na twórczość z za kanału La Manche, produkcja umysłowa angielska przyswajaną jest literaturze niemieckiej systematycznie i masowo. Dla interesującego się wiktorjańską i współczesną literaturą Albjonu trudno i wśród Anglików znaleźć lepszych, gruntowniejszych i szczerszym zapałem ożywionych przewodników i cyceronów, jak prof. Leo

Kellner z uniwersytetu w... Czerniowcach, jak pp. dr. Schröder, stary K. Bleibtreu, K. Federn, R. Kassner, prof. W. Franz w Tübingen, K. Trebitsch, Helena H. Richter wreszcie prof. Fr. Sieper z uniwersytetu monachijskiego, miłośnik wszystkiego co anglosaskie tak gorący i konsekwentny, że wybuch wojny i nienawiści między dwoma narodami przypłacił atakiem apoplektycznym i śmiercią na posterunku. Znałem młodego anglicystę w Monachjum Niemca, który powtarzał nam stale takie wersety: „na początku było słowo, ale angielskie słowo: J...” „Wszystko co jest, z Anglji jest i wróci do Anglji (Engel-land). Niemasz polityki i niemasz poetyki nad angielską”. Parnas XIX-go wieku była to góra nad Tamizą, obok parlamentu”; „jeden jest Allach, a Byron jego prorokiem”; „jeden jest świat Boga, drugi Szekspira, a trzeci Browninga”... I t. p. Dla idących szlakami entuzjazmu takich sympatycznych intelektualnych niemieckich anglofilów jak prof. Sieper, Kellner lub p. Kassner łatwo było dojść do tego przekonania, że jak w polityce, dyplomacji, ekonomji, prawodawstwie, jak w sztukach rządzenia, w handlu organizacji i w kolonizacji, jak w wiedzy ścisłej, wynalazczości praktycznej, naukach humanistycznych i instytucjach humanitarnych, tak również i w dziedzinach literatury pięknej wszystkie zapoczątkowania i inicjacje, nowe drogi, nowe formy nowe typy mają swe praźródła, prakorzenie właściwie w Anglji. Romantyzm to Young, Ossian, Byron, realizm to Fielding, Smollet, Sterne, Elliot, psychoanaliza to Richardson, Bulwer, historyzm to Walter-Scott, mistycyzm Blake, utylitaryzm Bentham, Oven, socjalizm Godwin, neoidealizm Berkeley, neokatolicyzm Newman, neohumanizm Ruskin, Morris, Crane, arystokratyzm Peel, Palmerston, Brougham, imperjalizm Disraeli, Dilke, Seeley, liryzm seraficzny Keats, Shelley, Yeats... Ostatecznie z pewnem już przeciąganiem struny możnaby było i wiele innych zapoczątkowań i nurtów nowoczesności, jak teozofję, okultyzm, sztukę ludową, sztukę stosowaną, estetyzm, nową pedagogję, modernizm katolicki, emancypację kobiet, *l'art pour l'art*, miasta-ogrody, reformę teatru, ustawodawstwo robotnicze, wszystkie formy obyczajowe, sporty, cuda chemji i techniki etc. wywieść genetycznie z Anglji. Idąc szlakami entuzjazmu zmarłego prof. Siepera lub innych anglomanów niemieckich jak L. Brentana lub prof. Dellbrücka, możnaby w ziemi, która wydała i Kalibana i Ariela, Robinsona i Hamleta, armię zbawienia i Oskara Wilde'a,

Falstaffa i prerafaelitów, Magnam Chartam i Warren Hastingsa, dojrzeć wogóle Alma Mater wszelkiej nowoczesności, jakąś kondensację całej białej rasy.

Takie też mniejwięcej entuzjastyczne o uniwersalizmie anglosaskiego genjuszu wyobrażenie żywili jawnie lub skrycie, dyskretnie lub z frenezją kontynuatorowie Taine'a w studjum i w znawstwie Albjonu: Ch. Morice, E. Hennequin, T. Wyzewa i inni literaci, którzy intelektualnej Francji uprzystępniali, komentowali i zalecali duchowe obcowanie z reprezentantami hemisfery anglosaskiej. I trzeba ostatecznie stwierdzić, że i ta literacka propaganda wywarła swoje znaczenie i przyczyniła się w swoim zakresie do późniejszego politycznego powinowactwa z wyboru i do wzmocnienia tych węzłów, już zdaje się nierozerwalnych, które potem przypieczętowało wspólne braterstwo broni, wspólne niebezpieczeństwa, wspólne nienawiści i odrazy. Polityczne to i wojenne zespolenie dwuch narodów znalazło jakgdyby swój symboliczny wyraz w tym np. fakcie, że na froncie belgijskim poległ w boju poseł z Nancy i beletrysta, Driant, autor wojennej powieści „*Guerre fatale*", wróżącej i opisującej przyszłą wojnę angielsko-francuską. Poległ właśnie w obronie już wspólnych francusko-angielskich ideałów, walcząc ramię przy ramieniu z dawniej przeklinanymi „goddamsami". Duchowe zaś komunikacje i zaprzyjaźnienia z drugiem anglosaskiem społeczeństwem, z Ameryką, dzisiaj zaznaczyły się we Francji tem, że przeszło 20 tysięcy amerykańskich wolontarjuszów walczy na froncie francuskim, że odsłonięcie pomnika Dziewicy Orleańskiej w Nowym Yorku stało się świętem narodowem Amerykanów i że gdy obecnie są jeszcze w Stanach Zjednoczonych unikaty Yankesów, „zgrzytających zębami z miłości" do swych starszych braci z Trzech Zjednoczonych Królestw, to uczucia przyjaźni dla Francji żywi i manifestuje przy każdej sposobności całe dziewięćdziesiąt miljonów. O jakże ucieszyłby się, widząc to zbratanie dwuch republik, gdyby odżył, Victor Hugo, który w 70 roku musiał przypatrywać się temu, jak to siostrzana Ameryka wrogo i niechętnie odniosła się do Francji i który pod wpływem rozpaczy i bólu zagrzmiał wonczas przeciw Ameryce w swojem *L'année terrible*:

...drgnęły kości olbrzymów, pękły sarkofagi,
tłum duchów wraz zapłonął ogniem i pogardą.

Kościuszko Spartakusa pochwyca dłoń twardą,
Maddison kipi gniewem, Jefferson się sroma,
Jackson odgania mary drżącemi rękoma...

Obecne stanowisko całej rasy anglosaskiej, tak bezwzględnie przyjazne Francji, można było przewidzieć już dawniej. W przygotowaniu i uprawianiu gruntu pod tę przyjaźń, obok wielu innych wielkich czynników, w mniejszym zakresie przyczyniły się i piśmiennictwa obu ras a i literatura piękna, ba, nawet poezja. Jedni u drugich czuli się jak u siebie w domu, wzajemną wymianę duchowych i artystycznych walorów i wartości uregulowano systematycznie. I jak np. w literaturę francuską mogli wsiąknąć i zasymilować się tacy młodzi Amerykanie jak Francis Griffin lub Stuart Merril, jak sparyzjanizowali się doszczętnie: Whistler, Moore, Jammes, tak z drugiej strony wpływ nietyle ideologji, jak nawet psychiki anglosaskiej znać znowu w takich autorach francuskich, jak bracia Rosny, Mauclair, M. Cordey, C. Hirsch, Paul Adam etc. Pod wpływem nowej kilkofuntowej powieści angielskiej, noszącej, jak zawsze, balast społeczny czy naukowy, polityczny czy filozoficzny, piszą się te nowe powieści francuskie, tak całkiem inne od dawnych buduarowych i bulwarowych, pół-pedagogiczne, celowo utylitarystyczne, powieści-prelekcje, powieści-utopje, powieści traktaty socjologiczne, fantazje przyrodnicze. Już też pod wpływem i sugestją anglosaskich przykładów wyłaniają się we Francji takie kierunki ideowe, jak naturyzm, egzotyzm kolonjalny, prowincjonalizm, regjonalizm, decentralizacja antyparyska, wreszcie integralizm głoszony przez Adolfa Lacuzona i Adolfa Boschota, wzywający do pogodzenia piękna z wiedzą, twórcy z wszechświatem, natchnienia z... elementarnem wykształceniem. Choć rasowo dziedziczna, zastarzała wolterowska nieufność do wszechwładnej Anglji, tak złośliwie jeszcze odświeżona np. w noweli Maupassanta: „Le Rosier de madame Husson", przebija niekiedy w stosunku do *nation hypocrite* i *peuple perfide* w Lotiego egipskiej: „Mort de Philae" lub w A. France'a „Wyspie Pingwinów", choć i w najostatniejszych czasach odzywa się odruch antybrytański w niewyraźnej intencji książki p. J. Bertourieux („La Vérité" Genève), to jednakże, jak już w ostatniem dziesięcioleciu przed wojną, rósł w mocnem tempie wpływ Amerykanów: Whitmana, Poego, Emersona, Jamesa

na poezję nową a powieści angielskiej na intelektualną elitę Paryża, tak i podczas samej wojny wpływ ten daje ważkie rezultaty, rodzi owoce.

Nie dałby się zresztą zaprzeczyć, czy wymazać i wielki wpływ anglosaskiego świata idei i to w jego wzmożonej, bo amerykańskiej edycji i fazie i na piśmiennictwo niemieckie lat ostatnich. Pomijamy tu oczywiście książki, będące owocem zaintrygowania i zaciekawienia się obyczajowością, ekscentrycznością i kolosalnością amerykańską, książki podróżnicze, badawczo-krytyczne, których w Niemczech wyszło bez liku i to z pod piór tak wytrawnych jak Foulda, Wollzogen, v. Polenz, Holitscher, prof. Münsterberg, Goldberger, v. Skal etc., a stanowiących czasem godne pendant do entuzjastycznych apologij Nowego Świata z pod piór Wellsa, Bourgeta (Outre Mer), G. Ferrery, Czecha Masaryka, Żyda Szaloma Ascha i t. p. Nadchodzący atoli wiek duchowej hegemonji anglosaskiej przewidywać czy przeczuwać się daje już i w dziełach czystej literatury, ba, nawet czystej liryki. Ostry, zdrowy, hartujący zapach soli i ozonu, niosący powiew atlantycki, idzie już i od ostatnich, bardzo renomowanych i zfilmowanych powieści Hauptmanna i Kellermanna i ze znacznie ciekawszych i skutkiem tego zapoznanych powieści Hansa Rosseggera „Golfstrom" i Emila Sandta „Morze światła". I w psychice poetów, skupiających się koło nowych efemeryd, jak „Forum", „Action", „Charon", „Quadryga" u tych debjutantów, dziś walczących zapewne na wszystkich flankach olbrzymiej twierdzy, przezwanej pośpiesznie i eufemicznie Mittel-Europa, dostrzegać już można było znacznie przed wojną silne symptomy nacisku, rodzącego się nieubłaganie w atmosferze duchowej imperjalizmu Anglosasów. U jednych bywał to wpływ whitmanowskich adoracyj dzikiej, dziewiczej, przestrzennej, bezkresnej przyrody. U innych czysto amerykański kult gigantyczności, atletyczności, tytaniczności, wszystkiego co jest rekordowe, nadludzkie, co jest *up!* U innych, z Poego i Hawthorna wywodzić się dająca groza i tajemniczość miast wielkich (Grossstadtlyrik). U innych znowuż próby, kiełkowania takich nasionek, które po drugiej stronie Oceanu wydały ongiś lub wczoraj wielkie drzewiska talentów pisarskich Bret-Harta, Jack Londona, Upton Sinclaira lub Franka Norris. Nawet w starym poecie Dehmelu, filozofastrze i kazuistyku erotycznym z brandenburskich kawiarń, można było przed

wojną czytać ciężko natchnione, chmurne persiflaże i warjacje w stylu Verhaerena i to Verhaerena z jego whitmanowskiej epoki, entuzjazm dla nowoczesności apostołującej. Jeszcze konkretniejszy i uchwytniejszy wpływ ideologji anglosaskiej i to w jej odrodzonym amerykańskim wyrazie i tonacji, wyjawiał się i emanował z dzieł nowych skandynawskich autorów, takich jak Szwedzi: Sven Lindman („Kupcy i wojownicy"), Gustaw Janson („Kłamstwa") lub jak Duńczyk W. B. Jensen, powieściopisarz „first-class", którego każdy tom i każdy ton poczęty jest z ducha dzisiejszych Stanów Zjednoczonych, którego każde słowo jest peanem ku czci nowego świata, każda pochwała przynależy zdrowej i mądrze demokratycznej Ameryce.

I jeżeli zastanowimy się teraz czem właściwie wytłumaczyć sobie czar i siłę piśmiennictwa angielskiego, a raczej szerzej biorąc ideologji anglosaskiej, która tuż przed wybuchem wojny zaczęła tak wpływać na właśnie najciekawsze mózgi dojrzewającego pokolenia we Francji, w Niemczech i w Skandynawji, to w odpowiedzi na zapytanie tej doniosłości możemy tylko w pewnej mierze lakonicznym skrótem zadośćuczynić zaciekawieniu czytelnika. Piśmiennictwo anglosaskie, ryczałtem biorąc, jest nawskroś społeczne, współczesne i doczesne. Piśmiennictwo to posiada największą skalę stylów, faktur, tematów i osnów. Piśmiennictwo to ma szeroki oddech, globowe horyzonty i aspekty, a w każdym donioślejszym jego dokumencie dosłuchać się można wyraźnie bijącego pulsu obu półkul. Wszystkie problemy i dylematy rozwiązywane są w anglosaskiej prozie jasno i szczerze, bezwzględnie i zuchwale. Nic w niem parafjańskiego, nic zatęchłego, nic duchowo antycznego, nic pretensjonalnie drobiazgowego, nic w niem deptania manjakalicznego wokół własnego podwórka, nic bawienia się monotonnego swemi li pamiątkami i przebierania uporczywego w swoich li ukochanych śmieciach. Natomiast zaś wypowiada się w tem piśmiennictwie zawsze i wszędzie afirmacja pełnej rzeczywistości, odnajdują się harmonje i melodje w dysonansach życia, byt szary nabiera barw i blasków, przebija z każdej karty wiara w czyn, cześć dla niezłomnej woli. Rozmach niczem niekrępowanej imaginacji, stały kontakt z przyrodą i to z przyrodą wszystkich stref, klimatów i lądów, zgoda z „common-sensem" i interesem biologicznym swojego ogółu, poszanowanie tradycyj słusznych i pięknych, a rozpęd w grun-

townem przedyskutowywaniu wszelkich reform i ciągłych przeobrażeń, dojrzałość kulturalna dziedziczna od kilkunastu pokoleń, dumna ekskluzywność bez buty, pozytywna etyka bez pokory, a nad tem wszystkiem wreszcie bezwzględny, nietknięty, nienaruszalny kult wolności i niepodległości indywidualnej w jej przejawach choćby bardzo problematycznych, bardzo awanturniczych, bardzo antysocjalnych, oto te życiodajne i życiotwórcze przymioty, które promieniując z piśmiennictwa anglosaskiego, wywołały w ostatnich latach tak mocny wpływ na literaturę francuską, niemiecką i skandynawską. A te same jasności, które się przypisuje piśmiennictwu anglosaskiemu, te same znamionują z małemi nic nie znaczącemi różnicami i piśmiennictwo amerykańskie. Poczucie rasowej wspólnoty, wzrastające w oszołomiającem tempie w ostatnich dziesięciu latach, podczas wojny zaś tak ostentacyjnie akcentowane wyraziło się dość jaskrawo w charakterystycznem odezwaniu się znakomitego chemika Ramsaya, który przygodnie zanegował wartość esperanta jako języka pomocniczego dla świata uczonych, oświadczając krótko, że za 20 lat po wojnie obecnej cały świat będzie już mówił i pisał po angielsku.

Na tej wspólnocie rasowej opierając się mocno, Anglja wszechmożna wierzy wytrwale, że jej nie zabraknie nigdy trzech m. m. m. (man, money, munition) i że po wojnie przeprowadzi natychmiast swój plan K. K. K. (kolej Kapsztad, Kair, Kalkutta), zniweczy plan trzech B. B. B. (Berlin, Balkan, Bagdad) i że narzuci całemu światu pax anglo-saxonnica, a z nim zarazem swoje ideały, z których nie ze wszystkiemi chyba łatwo pogodzić się ludzkości przyjdzie. Nie można powiedzieć, żeby na tem wschodzącem słońcu nowego rasowego imperjalizmu nie było już pewnych plam. Dość o nich szeroko mówi wydana jeszcze przed wojną książka F. A. Manckenziego p. t. „Inwazja Ameryki w Anglję“ stwierdzająca czarno na białem, jak młodszy brat, Jonatan, pod dachem starszego brata, Johna Bulla, zagarnął zwolna cały handel i przemysł w swoje kościste ręce. W każdym jednak razie wojna europejska to poczucie solidarności rasowej niebacznie rozbudziła, a wiek XX-ty będzie już miał z tym fantem politycznym wiele do czynienia. Zależeć tu będzie wszystko od tego, czy w umysłowości anglosaskiej pod wpływem katastrofy wojennej zwycięży jednak powrotnie ten kierunek myślowy, który najjaśniej tłumaczy się w Spen-

cerze i jego zdaniu, że „posuwanie się ku wyższym formom życia zawisło w społeczeństwie głównie od upadku instynktu wojowniczości“, a więc ten kierunek, którego broni amerykański pisarz Norman Angell w swej dawnej antymilitarystycznej książce „Wielka iluzja“ i w swojem nowem dziele p. t. „Prussianizm and his destructnion“ czy też zwycięży kierunek który posiadł już też swoje ewangelje pancernej pięści w książkach generała amerykańskiego Homer Lea „*Valour of ignorance*“ i angielskiego admirała Mahana, przeciwstawiającego germańskiemu militaryzmowi anglosaski marynizm i na podstawie tego marynizmu roszczącego dla Anglosasów pretensje do absolutnej hegemonji, „liberalnej hegemonji“ nad światem. Inaczej mówiąc, przyszłość stosunków międzynarodowych na globie zależeć będzie w wielkiej mierze od tego, czy nad duchem H. Spencera i jego ideałem ludzkości: „industrial type“ zwycięży w zaświatach duch Carlyla, twórcy hero-worship, radzącego pozamykać wszystkie „budy do gadania“ (parlamenty), czy zwycięży jako ideał ludzkości „military typ“ i dogmat estety Ruskina (!), twierdzącego że „w wojnie, tylko w wojnie jest początek wszystkiego co szlachetne, co twórcze“!...

Bieżąca literatura angielska z czasów wojny przychyla się, sądząc z przenikających do nas wiadomości, ku temu drugiemu kierunkowi. Najwięksi jej koryfeusze, nawet z pośród tych, którzy do ostatka jeszcze bronili świętych tradycyj pacyfistycznych, parlamentarnych, indywidualistycznych, przerzucili się już w służbę i to zaciętą, aktywną służbę ideału militarnego. W. Archer, H. G. Wells, Conan Doyle, G. K. Chesterton, Cecil Chesterton, Hall Caine, Hugh Benson, Arnold Bennet, Gallsworthy, Jerome-Jerome, Barrie, propagują słowem i czynem wojnę aż do nieskończoności, *jusqu au bout*. Jedni z nich jeżdżą z odczytami po Stanach Zjednoczonych, Kanadzie, Australji, inni ekscytują wojowniczo ogół jako sprawozdawcy wojenni, inni wprost zaciągnęli się do szeregów, inni już polegli na polach chwały. Tyrteusz żingoistów, Rudyard Kippling, jest na froncie włoskim, obserwuje przez lunetę wspaniałe objawy „moralności dżungli“ i pisze stamtąd swe drapieżne listy, zresztą konsekwentny sobie samemu, gdyż zawsze był obok Henleya (autora „Hymnu do miecza“) drugim poetą żołnierskim, bardem Tommy Atkinsa i „*blue jackets*“. Obok niego z frontu włoskiego pisze druga znakomitość wszechświatowa,

dr. Conan Doyle, autor też konsekwentny, gdyż już w r. 1898 wydał tom napastniczych pieśni wojennych „*Songs of action*“, a największą forsą jego talentu zostały dotąd wojskowe opowieści Napoleońskie. Autor ten, u nas znany tylko ze swoich naracji detektywnych, należał już przed wojną do tych, którzy wyczuwali sensytywnie w gniotącej atmosferze zapasy niewyładowanych sił nadchodzącego huraganu. Z zawodu lekarz, poczem nagle, dzięki właśnie swym gorszym sensacyjnym libellom, sławny ponad zasługę, na rok przed wojną wydał tom nowel, wśród których jedna p. t. „*The Last Gallery*“ alarmowała już Anglję o grożącem jej niebezpieczeństwie. W obrazie „ostatniej galery“ kartagińskiej, ściganej przez Rzymian i tonącej przed oczyma patrzących na lądzie Kartagińczyków, usiłował Conan Doyle alegorycznie przedstawić społeczeństwu swemu los państwa, które nie przygotowuje się wojskowo od stóp do głów. Co więcej, tuż przed samą wojną w „Strand Magazine” pomieścił autor nieznanej u nas powieści z czasów dyluwjalnych „Świat zatracony“, krótką i jeszcze bardziej alarmującą nowele p. t. „*A Danger, story of english peril*“, już wprost wskazującą proroczo na łodzie podwodne, jako na największe niebezpieczeństwo. Nowela ta miała pomóc znanej a mocno spóźnionej agitacji admirała Fishera przeciw *dreadnoughtom*, a za budową natychmiastową *sum barines*. Również przed wojną, podczas głośnych awantur oranżystów i ulstermanów przeciw nadaniu całej Irlandji domorządu, wydał Conan Doyle płomienną odezwę w sprawie Irlandji, wstępując tym krokiem w ślady tych wielkich liberalnych mężów i poetów angielskich, którzy, jak Swift (Listy Drapera), Sheridan, Burke, Byron (Iryjski Awatar, List do Castlereagha), Shelley, Campbell, Keats, Spencer, Stuart Mill zacięcie, choć niestety bezskutecznie, zawsze oponowali przeciw bestjalizmowi Hekaty protestanckiej, wysysającej jak grecka Hekate, szpik z katolickiego Erynu.

Podczas samej wojny i to niedawno, napisał Conan Doyle króciutką broszurę p. t. „Nigdy“, wydaną w kilku miljonach egzemplarzy, odrazu tłumaczoną na kilka języków, a eksplikującą niemożliwość pokoju przed czasem, broniącą konieczności wojny jeszcze kilkoletniej, wróżącą po absolutnem zwycięstwie wojsk koalicji przyjście doby pokojowej w myśl ideałów Spencera i Kanta, ale akcentującą też mocno, że do współżycia

przyjaznego rasy anglosaskiej z grupą centralną nie przyjdzie już *nigdy*. W takie same tony twarde i nieubłagane, a przed wojną również jak u Conan Doyle'a alarmujące, uderzył drugi pisarz wszechświatowej sławy, H. G. Wells. Głęboki ten myśliciel socjologiczny, nieustraszony fantasta techniki nowożytnej, który omal dwadzieścia lat temu przepowiedział w swych *anticipations* i odmalował z wizyjną plastyką wszystkie możliwości, formy i szczegóły przyszłej modern wojny, w ostatnich trzech latach przed 4-ym sierpnia 1914-go roku zaprzątnięty był już gorączkowo problematami idącego kataklizmu. Genjalny inicjator nowego typu powieściowego „romansu socjologicznego", autor najciekawszej od czasów Bellamy'ego czy Morrisa utopji o antymarksowskiem państwie przyszłości, w którem złoto straci wszelki swój walor („Świat staje się wolnym"), dał w roku 1913-tym dzieło imanentnej wartości p. t. „*The New Macchiavelli*" z próbą programu polityki chrześcijańskiej i zastosowania etyki normalnej w życie międzynarodowe, a tuż na kilka miesięcy przed wybuchem wojny książkę paralelną do C. Doyla: „*The last Gallery*" pod tytułem „*An Englishman Looks at the World*", ostrą, nielitościwą satyrę na kwietyzm, spróżniaczenie, sybarytyzm, obyczajowy „cant" i wogóle na to wszystko, co w przedwojennej Anglji mieściło się też z obyczajności i z moralności Koryntu, Kapui, Kartaginy. Taką samą ideę przebudzenia, wstrząśnięcia i zerwania na równe nogi zdrzemniętego i zatyłego Johna Bulla miał H. G. Wells i w książce swojej o Ameryce, gdzie jak Tacyt Germanję Rzymianom, tak Wells angielskiemu „marazmowi" przeciwstawia energję młodej Ameryki, dziko rozpasaną, konwulsyjnie aktywną, ale świat pod swe stopy zagarniającą. Przeciw tej to książce Wellsa, wychwalającej bez zastrzeżeń dynamikę beztradycyjnych Amerykanów, wystąpił pontyfikalnie znawca Wagnera i Ibsena, krytyk-esteta William Archer, karcąc entuzjazm Wellsa w obronie tradycjonalistycznych i humanistycznych ideałów europejskiej Anglji, ten sam Archer, przeciw któremu znowuż, broniącemu obecnie ideałów koalicji i Ameryki, polemicznie wystąpili Sigurd Ibsen i rozgłośny reklamarz Brandes. H. G. Wells, ten najtęższy i najrodzeńszy następca Poego, przerzucił się obecnie całkowicie w publicystykę i rozpoczął wydawnictwo radykalnego tygodnika politycznego w miejsce zawieszonego „Labour Leader". Sensacyjny

artykuł Wellsa p. t. „On i jego barbarzyńcy", tłumaczony już i na inne języki globu, zdradza dokumentnie, że krańcowy socjalista Wells poszedł już z kretesem między militarysty i że pod poglądami jego mogliby się czasem śmiało podpisać jeżeli już nie Curzon and Carson, to przynajmniej autor „Magic" ortodoksalny i parodoksalny G. K. C. (Chesterson) lub jego starszy brat duchowy w paradoksie również już militarysta i Marsjalista, znany i u nas dokładniej G. B. S. (Shaw).

Bernard Shaw, dziś jubilat (skończył bowiem 60-tą wiosnę), mieszka sobie, jak mieszkał, wygodnie w swym wytwornym hotelu London 10, Adelphi-Terrase, i u boku miljonowej żony, pani Charlotty Frances Payne Townshend, kpi, zdrów, jarosz, abstynent i socjaldemokrata, ze wszystkiego i ze wszystkich. Na zaproszenie amerykańskiej *Inter-Collegiate - Socialist-Society*, aby przyjechał do Stanów z odczytami o wojnie, tak jak przyjeżdża moc innych *stars* intelektu, angielskich, francuskich, włoskich, rosyjskich, szwedzkich, duńskich, jubilat G. B. S. odpowiedział kilku typowemi *shawizmami*: „niema co teraz się bawić w odczyty... on, pacyfista, radzi Ameryce zająć się śpiesznie uzbrojeniami... *preparadness*... Stany powinny dwa miljardy przeznaczyć na armję lądową i zbudować przynajmniej 32 dreadnoughty... przyda się to w najbliższym czasie na przyszłą wojnę z Japonją lub... Anglją"... Przedrukowanie tego rodzaju salto - mortala Shawowskiego przez prasę angielską za sankcją cenzury wykazuje, że nawet rząd, zawieszający „Labour-Leadera", poznał się już na stylowych ekiwokach sędziwego gamina intelektualnego i pozwala mu na rozmaite koziołkowania logiczne rzekomo i demonstracyjnie przeciw-rządowe. Zresztą ma gabinet Asquitha i Greya i pewne obowiązki wdzięczności dla znakomitego satyryka za jego stanowisko choćby w sprawie irlandzkiej, dla nas, powiedzmy szczerze, niezrozumiałe i jak narazie (po tem, co o tem wszystkiem wiemy) zbyt... dziwaczne i niesmaczne. W osobistym swoim lajborganie, w „New Statesmanie" (którego redakcję obecnie, po B. Shawie, objął znakomity krytyk, M. Arnolds), w t. zw. „Listach do Greya" pisał wprawdzie G. B. S., że „gdyby był generałem Maxwellem (pacyfikatorem Dublinu w maju), zbombardowałby jeszcze więcej gmachów publicznych w Dublinie, szczególnie tych, które pobudowała Anglja", równocześnie jednakże w innych artykułach występował G. B. S. już całkiem serjo i surowo przeciw Sinn-

Feinistom, zwąc całą rewoltę... szaleństwem. „Najszaleńszem w tem szaleństwie jest to“, pisze autor „Bohaterów“, że „organizatorowie wiedzieli o swem szaleństwie, że znali swoją liczbę, że wiedzieli, jak wielka część narodu stoi przeciw nim, że bagnety nacjonalistów irlandzkich zwrócone są na nich, że szkodzą sprawie wprowadzenia rychłego domorządu, że nawet moment buntu jest źle obranym, ponieważ rząd łatwo może zadysponować dyslokację wojsk. Całą tę ruchawkę możnaby uznać za ogromne błazeństwo, pisze G. B. S., gdyby nie to, że chodziło o rzeczy poważne, że wielu je życiem swem przepłaciło. Życie ludzkie jednakże wszędzie teraz spadło w cenie, w Irlandji jeszcze więcej, niż gdzieindziej...

Pogląd ten Irlandczyka urodzonego w Dublinie i tylokrotnie gromko i jadowicie piszącego w obronie interesów irlandzkich, a w tym wypadku uważającego krwawą rewoltę Sinn-Feinu za pomysł „literatów, księży i muzyków“ (aluzja do kompozytora, Victora Herberta, leadera Sinn-Feinistów amerykańskich), jest bardzo zastanawiający jeszcze z tego względu, że w piśmie Shawa, „New Statesmanie“, pisywał artykuły rozstrzelany Shechy Skeffington, wysoce tragiczna ofiara zdziczałej soldateski, dziennikarz lojalny i ugodowy, który w pierwszych dniach wybuchu niepokojów i plądrowania sklepów przez „mob” uliczny, pisał właśnie, ostrzegając przed użyciem ostrych represalij, zalecając ze względu na rację stanu angielską zbagatelizowanie całej rewolty, mającej w początkach swych charakter huligański. I choć znów potem G. B. S. zmienił swą postawę i w „Ostatnim skoku lwa” oraz w artykule, przeprowadzającym paralelę między królem belgijskim a szefem Sinn - Feinistów, wziął w obronę dublińskie ofiarne ekscesy, to jednakże, sumarycznie biorąc, niechętne swe wobec bliższych rodaków stanowisko zaznaczył Shaw jeszcze mocniej i przypieczętował w nowym utworze scenicznym, w „sztuce wojennej” pod tytułem „O. Flaherty W. C.“. Tytuł nowej satyry wzięty jest z konwencjonalnej postaci, po raz pierwszy występującej w dramacie Cumberlanda (r. 1770) p. t. „Syn naturalny“. Major Flaherty Cumberlanda, jak i inna jeszcze postać irlandzka „Schaughraun” z melodramatów Dion Bourcicaulta, jest to miles gloriosus, plautowski Bramarbas, fredrowski Papkin, blagier, renomista, typ bardzo częsty w Irlandji. Otóż stary szyderca z Adelphi-Terrace uważa za stosowne teraz w czasie wojny i co więcej

w czasie krwawego zgniecenia dublińskiej insurekcji wyciągnąć na deski sceniczne odświeżony i zaktualizowany typ takiego Zagłoby irlandzkiego i poddać go w pośmiewisko, bądź co bądź, anglosaskiej głównie publiki. Bernard Shaw, jak widać ze streszczeń sztuki, jest tym razem bezlitośnym w swym sarkazmie. Już w sztuce swej „Druga wyspa Johna Bulla" kiedyś ochłostał G. B. S. okrutnie i detalicznie celtyckie niedołęstwo, próżniactwo, kłótliwość, pijactwo, pieniactwo, zabobonność, gadatliwość, nieuctwo, zarozumiałość i wieczyste oblagowywanie siebie i obcych. W „O. Flahertym W. C." młody wolontarjusz, walczący własnowolnie po stronie gniotącej jego naród Anglji, po powrocie z krzyżem Wiktorji w rodzinne pielesze dla wylizania się z lekkich zresztą ran, łże przed swą matką i narzeczoną, Tessie, dzień i noc o swych legjonach niestworzone rzeczy. Omal samego cesarza nie wziął do niewoli O. Flaherty W. C. I kiedy stary, spensjonowany generał, sir Madigan, zniecierpliwiony wreszcie tą bufonadą, robi młodemu Flaherty wyrzuty, że tak bezecnie mija się z prawdą, młody romantyk irlandzki tłumaczy się: „od urodzenia nigdy nie mówiłem prawdy, pocóż więc teraz mam zatruwać matce ostatnie lata zatajaniem kłamstwa". A kiedy znów mama Flaherty, typowa „stara romantyczka", uważająca Irlandję za siódmy cud świata a Irlandczyków za naród wybrany, „z którego pochodzi i Venus i Gladstone i wszyscy wielcy na świecie", czyni synkowi wyrzuty, że dobrowolnie poszedł walczyć za dziedzicznych katów Irlandji O. Flaherty odpowiada, „że jemu nawet nie wpadło do głowy, iż tym razem wojna nie przeciw Anglji" i „że zresztą on walczył tylko w obronie Francji i Rosji". I przy tej sposobności G. B. S., rozdający zresztą ciosy satyryczne na prawo i lewo, poświęca kilka słów ciężkich wschodniemu filarowi koalicji, Nie mając książki pod ręką, można sobie jednakże wyobrazić, jak na tym porachunku wychodzi Rosja, o której Shaw ma pojęcie zdecydowanie melodramatyczne i której nienawidzi elementarnie. Ulubioną wszak ideą wojenną Shawa, którą kilkakrotnie już swobodnie propagował, jest po kompletnem zwycięženiu Niemiec wspólna wyprawa całej koalicji plus Niemcy, minus Rosja, przeciw Rosji...

I w tym poglądzie bezwzględnie krytycznym na sprzymierzeńca rosyjskiego, któremu Anglicy wmawiają, że również prowadzi wojnę w „obronie narodów małych..." różni się G. B. S.

zasadniczo od całego szeregu angielskich literatów, publicystów i polityków, zabierających przygodnie głos także np. w sprawie polskiej i ślepo oddanych przy tej okazji imperjalistycznej w stronę Zachodu ekstensji rosyjskiej. Do takich wiernie oddanych tylko mocarstwowemu imperjalizmowi Rosji i starających się z tem rozkochaniem w caracie niezbyt udolnie pogodzić i obronę „małych narodów”, należą np. Ellias Barker (Eltzcbacher), znany imperjalista, autor „*United Empire*”, który w „Nineteenth Century” (artykuł *Peace and the polisch Question*) jest za przyłączeniem całej Polski autonomicznej do Rosji; Barker pisał kiedyś obszernie o Polakach amerykańskich i rości sobie pretensje do znawstwa kwestji polskiej. Te same poglądy publikuje Rothay Reynolds w *Story of Warsaw*, H. Wickham Stead w „Edinburgh Review”, lord Loreburn w „Economist”, znany dr. Dillon, autor książki „Od Trójprzymierza do Czwórporozumienia” w *Fortnightly Review*, lord Wearsdale, J. W. Allen w „*Germany and Europe*“ (ed. G. Belland Son), J. A. Hobson w „Daily News“, F. A. Mackenzie, J. W. Headlam w „Nineteenth Century“ i wielu innych, wierzących w to szczerze lub sztucznie, że wszelkie zbawienie zjednoczonej Polski leży tylko w marjażu z przyszłą, w ich imaginacji już liberalną, Rosją. Wyraźnie za to antyrosyjskie stanowisko, a więc pokrewne nieco niemieckim planom co do przyszłego ukształtowania Polski, zajmuje cały szereg statystów i publicystów, widocznie nie zupełnie doszczętnie oszołomionych przyjaźnią rosyjską i z całą duszą i z dobrą wolą oddanych wschodnio-europejskiemu Mochowi. Z tych niektórzy wychodzą w wywodach swych z twardej nieufności do Rosji, z tego zdaje się paradoksalnego założenia, że Rosja jest państwem rządzonem przez niemiecką dynastję, dyplomację i biurokrację, które zatem tembardziej należy osłabić przez odcięcie od niej całego zachodniego kompleksu, dziś okupowanego. Do tych znowuż należy lord Eversley, autor książki o „Rozbiorach Polski“, lord Acton, nazywający fakt rozbioru Polski „najrewolucyjniejszym czynem absolutyzmu“, commoner Ponsomby, J. H. Harley w „British Review“, Seton Watson (Scotus Viator), znawca Bałkanów, znany Sidney Webb, autor tłumaczonych na polski „Dziejów organizacyj zawodowych“, Alison Phillips w „Historji Polski“, A. E. Gurney, autor „Walki o niepodległość“, a wreszcie osobistość polityczna wielkiej już wagi, lord Cromer. Ten ostatni, były

wice-król Egiptu i autor monumentalnej książki o „Egipcie od 1883 — 1907“, kwestją narodowościową zajmował się już w swych *Political and Litlerary Essayes* (Macmillan). Ostatnio sir Evelyn Baring lord Cromer, jeden z tych nielicznych mężów stanu i politycznych praktyków, z którymi liczy się cała dyplomacja europejska, zajął i w kwestji polskiej zdecydowane a śmiałe stanowisko, snać już pod wpływem historycznej mowy kanclerza Niemiec orjentując się wcale antyrosyjsko. Zdając sprawę z nieznanej nam z tytułu książki Amerykanina, Holand Rose, pisze lord Cromer w londyńskim „Spectatorze“, że do celów wojny i to wojny, która trwać może nawet lat pięć, musi się wliczyć i restaurację Polski i to Polski mocarstwowej w granicach z przed roku 1772. Już po odezwaniu się w sprawie polskiej lorda Cromera na tem samem stanowisku restytucji Polski w granicach z przed rozbiorów stanął Yoes Guyat, w jeszcze rok temu tylko szerokiej autonomji dla nas domagającym się „*Nineteenth Century*“. Również za szerokiem rozwiązaniem problemu polskiego wypowiedział się sir J. Compton Rickett w *Daily Mail*, dalej w książce swej: „*The Perils of Peace*“ Cecil Chesterton, brat C. K. Chestertona, autora nowej okrutnej filipiki p. t. „Barbarzyńcy“. Cecil Chesterton, wydawca świetnie i żywo redagowanego tygodnika *New Witness*, zajmuje się stale i konsekwentnie sprawą polską i pod wpływem naszej gorącej przyjaciółki, p. Alma Tademy, dopatruje się możliwości pełnego zmartwychwstania Polski tylko z pomocą koalicji, w zgodzie z Rosją i w przyjaźni z całą Słowiańszczyzną. Ostatnio już za wskrzeszeniem wielkiego i mocnego państwa, oderwanego znów dosłownie od Rosji, oświadczyła się też grupa: Union of Democratic Control, założona przez F. Morela, Ponsombyego i eks-ministra Trevelyana. Ten ostatni „konsekwentny pacyfista“ miał, wedle relacji węgierskiego uczonego prof. H. Marczeli, oświadczyć mu jeszcze na wiosnę r. 1913-go, że wielka wojna europejska miałaby tylko sens moralny wtedy, gdyby wśród swych celów wojennych na jednem z pierwszych miejsc postawiła konieczność wskrzeszenia dawnego, w dawnych granicach, państwa polskiego. Od tych głosów odbija się też mocno dysonansowo *votum separatum* znakomitego pisarza angielskiego, H. G. Wellsa, który w paryskiej *Victoire* dość szyderczo niepodległościowe dążności polskie nazwał „zabawką w marki pocztowe i chorągwie“ i zastrzegł, że Anglja nie chce prowa-

dzić tej wojny dla dobra „małych narodów", ale głównie dla dobra własnego... Shocking!...

Regestrującemu przygodnie te rozmaite a liczne głosy i glossy w sprawie polskiej, ostatniemi czasy wypowiedziane, mimowoli przypomina się zdanie, jakie w „O. Flahertym W. C." B. Shawa wypowiada podobno jedna z figur *a propos* wojny. „W każdym razie Anglicy nawet we śnie nie marzyli chyba, że kiedyś będą patrjotami". Możemy tu, znając bezmiar i bezdeń ignorancji ostatniego pokolenia angielskiego w sprawie polskiej (z doświadczeń osobistych, zebranych ongiś w Londynie) powiedzieć, parafrazując ten *shawizm*, że współcześni angielscy pisarze i politycy nawet we śnie chyba nie marzyli nigdy, że przyjdzie na nich kiedyś konieczność zajmowania się sprawą kompletnie im nieznanego plemienia dwudziestomiljonowego.

Przypadek zaś (Chance) chce, że to jeno wojną wywołane i popularnem agitacyjnem hasłem wyzwolenia „małych narodów" zainteresowanie się kwestją polską, przypadło właśnie na te czasy, kiedy na czoło umysłowej elity angielskiej wybił się pisarz polskiej proweniencji i co więcej polskim językiem nadal poprawnie władający. Jest nim najsławniejszy dziś po Sienkiewiczu Polak w krajach anglosaskich, rodak nasz, Józef Korzeniowski z Nałęczów klanu, o którego egzystencji chlubnej przypadkiem (chance) my, rodacy jego bardzo mało wiemy. Tymczasem zaś na dorocznem w roku 1916-ym zebraniu Towarzystwa bibljograficznego „Englisch Association" oświadczył p. S. B. P. Mais, na podstawie danych statystycznych, że do ulubionych trzech autorów młodzieży angielskiej należą obecnie Browning, de Quincey i na pierwszem miejscu J. Conrad. Nakładca zaś pan J. G. Wilson ze stanowiska księgarskiego wykazał, że powieściopisarze Hall Caine, Bennet, Hardy, Marja Corelli, przed wojną tak popularni, już nie są czytani, że pokupność Kipplinga, Wellsa, Doyla spadła, a na pierwsze miejsce, jako powieściopisarz dzisiejszej Anglji, wybił się J. Conrad, do niedawna jeszcze faworyt li tylko elity umysłowej. Conrad ma dziś za sobą dorobek 18 tomów. Obecnie wychodzi właśnie jego pełne wydanie krytyczne z przypiskami autora. W archipelagu tych dzieł wyróżniają się: Outcast of the Island (1896), The niggers of the Narcis sus (1897), Tales of Unrest (1898), Lord Jim (1900), Yout (1902), Typhoon (1903), Nostromo (1904), The Secret Agent (1907), Under Western Eyes (1911),

Chance (1914), Victory (1915), The Arrow of Gold (1920). Nie możemy powiedzieć, żeby oświadczenie gentlemanów Maisa i Wilsona zastało nas nieprzygotowanymi i zbyt zdziwionymi. Znakomitego pisarza angielskiego twórczość świetną poznaliśmy już za czasów wojny i to z dostępnych niemieckich tłumaczeń i możemy wobec tego całkiem śmiało i nie tłumiąc entuzjazmu powiedzieć kategorycznie, że jest to najwspanialsze jakie znamy, zjawisko świetlane na szarzejącym firmamencie literatury powieściowej współczesnej, zjawisko, którego rozprzestrzeniający się blask zdołał narazie przygnieść i przyćmić jedynie tylko fenomen wojny. „Dzieło jego, pisze o nim G. Jean Aubry w „Fortnightly Reviev“ stoi przed nami dzisiaj harmonijne w swej rozciągłości i wzniosłości, górujące, jednakże niedające nam uczucia zgniecenia, czy upokorzenia, albowiem skąpane jest w samym strumieniu ludzkości, albowiem przenika je aż do ostatnich szczegółów wielkie uczucie przychylności dla wszystkich ludzi w ich niekonsekwencjach i ich słabościach. To uczucie niema nic wspólnego z rosyjskim sposobem pisania, który okazuje nam dusze zesztywniałe w mistycyzmie władzy, albo pełzające w mistycznej niewoli. Ani też nie ma tam nic z owej gloryfikowanej a obojętnej litości, właściwej oświeconej filantropji Zachodu. To jest braterskie wzruszenie, biorące swe źródło w głębi podstaw naszego istnienia w stałem spostrzeganiu ułomnych i nieuchronnie rozpaczliwych warunków człowieka, w głębokiem i prawdziwem zrozumieniu, jest to uczucie gorące w swojej energicznej melancholji”.

„Powiewa od niego uczucie prostej wielkości, albo raczej wielkiej prostoty, tak proste, że najzawilsze komplikacje uczuć i myśli okazują się bez trudności i w sposób najnaturalniejszy sprowadzone do czynników zasadniczej ludzkości, tak wielkich, że najskromniejsze wizje, najbardziej codzienne widoki ziemskie, zużyte słowa, najlżejsze drgnienia serca nabierają akcentu, który nadaje im — muszę użyć tego słowa w braku innego — wrażenie epiczne“.

„Nie widzi się go jak Wiktora Hugo apostrofującego świat, z zapewnieniami o swojej łaskawości i o zbliżającym się raju, ani jak Rousseau, lub jak Tołstoja, prawiącego kazania o powrocie do natury, lub wygłaszającego potępienie ludzkiego społeczeństwa. Joseph Conrad posiada w zbyt wysokim stopniu poczucie rzeczywistości i miarę myśli, aby miał niewie-

dzieć, że siła i ironja rzeczy należą do najbardziej trwałych rzeczywistości, że człowiek musi poddać się fatalności, przeciw której walczyć jest jego obowiązkiem, gdyż nie w wyniki tej walki, ale w szczerości, w energji, w uczciwości, z jaką się ją prowadzi, spoczywa wielkość ludzka".

Znakomitego pisarza, o którym tak się wyraża krytyka angielska przyswoi sobie zapewne w najbliższym czasie i to w całości i jego pierwsza ojczyzna, przyjąwszy serdecznie w szeroko otwarte ramiona. Po polsku dotychczas pokątnie pojawiły się Józefa Conrada: „Lord Jim", „Tajny agent", „Janko Góralczyk" i „Powrót" (w „Gazecie Wieczornej" r. 1914, czerwiec) w tłumaczeniach damskich, które nie wahamy się nazwać kryminalnemi. Wstyd nas ogarnia wobec mistrza angielskiego, skoro zestawimy te nieudolue i niegodne horrenda, pełne oszustw i opuszczeń z kapitalnemi i wzorowemi przekładami niemieckiemi, stojącemi pono omal na poziomie oryginału. Ostrzegamy przeto czytelnika polskiego przed lekkomyślnem dotknięciem tych polskich falsyfikatów Conrada, wyrażając nadzieję, że znajdzie się przecie ktoś fachowy, kto dokona dzieła rehabilitacji autora „Cudu morza"[1]). Przedziwny zaś rekord, jaki osiągnął pisząc po angielsku na polskiem abecadle wychowany Józef Korzeniowski, ten „cud asymilacji", jak słusznie określa T. Wyzewa zdoła ocenić, ogarnąć i przyswoić polszczyźnie tylko ten kto wie, jaką Golcondą bogactw i przepychów słownych jest literacki język angielski, kto sobie zdaje sprawę z tego, jaką rolę gra dotychczas powieść w życiu Albjonu i kto uprzytomni sobie, że najtęższe, bardzo często nawet polityczne mózgi posługują się tam powieścią jako instrumentem idei, wehikułem myśli filozoficznej, najdoskonalszym środkiem sugestji na masy i na elitę.

W służbę teatru, w twórczość dramatyczną, nie idą teraz większe indywidualności twórcze, ni ludzie, którzy mają coś ważnego, coś nowego do powiedzenia. Twórczość dramatyczna cierpi nadal chronicznie na uwiąd starczy, na sklerozę, jest sterilis. Nie mogą temu zaradzić co jakiś czas przez takich ludzi, jak W. Archer, Shaw, Forbes Robertson, Berbolm

---

[1]) Ostatnio zabrał się do tłumaczenia poeta J. Lemański i dał świetne, oparte na mozolnem przestudjowaniu staropolskiego języka marynarskiego tłumaczenia „Murzyna z Narcyza" (Warszawski Przegląd literacki).

Three, G. Craigh i innych ponawiane próby wstrzyknięcia nowej kultury dramatycznej. Teatr w Anglji jest nadal nieodwołalnie terenem tylko towarzyskim, salonem rekreacji i *rendez-vous* dla „society“ lub *hallą circenses* dla „mobu“. Stara Anglja przeszła już kilkakrotnie epoki wspaniałego rozkwitu twórczości dramatycznej. Za czasów choćby Elżbietańskich raz, a Stuartowskich drugi raz, życie teatralne, dramatyczne, wirtuozowstwo aktorskie i dekoracyjny artyzm stały na takim poziomie, na jaki na kontynencie zdobył się tylko teatr włoski. To pole płodności rasowej, jeżeli się je zestawi i porówna np. z polityczną potencją Anglji, z bujnością plonów we wszystkich innych dziedzinach, sprawia już wrażenie ugoru. A dziś jest tam gorzej niż kiedykolwiek było. Dowód chyba jasny w tem, że w samym Londynie 13-cie wielkich scen, dawniej dramatycznych, gra teraz tylko *musical-comedies* i *revues*, ba, nawet w His Majesty Theatre wprowadziła się już szykowna, lubieżna opereta. Świeżo przesłał z tej racji do wszystkich pism londyńskich list publiczny generał Smith Dorrien, skarżąc się, że wracający z frontu obrońcy ojczyzny w siedmiomiljonowem mieście nie mogą odnaleźć teatru, w którymby przytuliła się literatura, a wszędzie tylko muszą oklaskiwać nagie kolana i różowe plecy śpiewających i przeginających się w erotycznych konwulsjach *dancing-girls*.

Uroczystości Szekspirowskie, które odbywały się w maju, niebardzo też wstrząsnęły tem akulturalnem życiem teatralnem i nie przemówiły, nie ocknęły sumienia artystycznego publiczności; tembardziej, że miały one charakter imponująco-oficjalny, ale nie kulturalno-literacki. Wprawdzie bowiem w starym czcigodnym Drury Lane, po odegraniu fragmentn „Juljusza Cezara”, aktor, Frank Benson, zjawił się w loży królewskiej i tam w oczach najwykwintniejszej publiczności globu, klęknąwszy w rzymskim kostjumie, pasowany był przez króla Jerzego, we fraku na rycerza na sir Bensona... wprawdzie podczas festynu w Ratuszu wygłoszono 14-cie mów w imieniu 14-u narodów, między niemi księcia Alby w imieniu Hiszpanji i „encyklikę” Wilsona... wprawdzie w podrzędnem Middle-Temple-Hall odegrali artyści, z sir Aleksandrem i Ellen Terry na czele, „Wiele hałasu o nic”, ale uroczystości te, z „wielkim hałasem” odbyte, nawet w minimalnej części nie przyczyniły się do stałego powrotu sir Szekspira na repertuar. Miasto,

w którego City stary Will przemieszkiwał 25 lat, ma nadal tylko te dwa wcale obskurne pomniczki Szekspira, a na Teatr Narodowy Szekspirowski, od tylu lat pompatycznie zapowiadany, największą sumę dotychczas złożył jakiś jegomość o imieniu i nazwisku czysto... niemieckiem. Jest to tem większą groteską, jeśli się przypomni, że podczas tych uroczystości jedynie ciekawym momentem była, oprócz przeczytania przez jakiegoś księcia perskiego perskich i armeńskich tłumaczeń sonetów Szekspirowskich, tylko jedynie prelekcja uczona sir George'a Perley'a ministra kanadyjskiego, o „pogardzie i nienawiści Szekspira do Hunnów". Przypadek (chance) chce, że podczas gdy w Berlinie odegrano cykł z dwunastu dramatów Szekspira, w Londynie twórca „Leara" granym jest nadal bardzo nieczęsto, tak, jak nieczęsto wchodzą w światło kinkietów także poeci dramatyczni ostatniej doby, jakich nawet nie ma żadne piśmiennictwo europejskie, t. j. Robert Browning, Stephen Philipps, Landor, Yeats. Literatura wogóle dostaje się na scenę angielską w jednej jeszcze tylko formie, t. j. jako satyra obyczajowa. Tu sukces europejski jubilata, B. Shawa, otwarł podwoje niektórych teatrów dla ostrej nawet krytyki społecznej. I z tej to dziedziny w ostatnich czasach zanotować można kilka plusów i atutów literackiego pokroju. Tak więc rozegzione przed latem r. 1914-go sufrażystki doczekały się dotkliwej chłosty od Jerome Jerome'a *(The master of his Chilwers)*, od autora „Peter Pana", Barriego, „*The adored one*" i Franka Staytona: „Słaba płeć". Anormalny i zdeprawowany świat plutokratów i groszorobów giełdowych, który już w r. 1880-ym klasycznie oćwiczył Pinero w słynnej sztuce „*The money spinner*", teraz wywlekli na scenę H. A. Jones w salonowych komedjach „Triumf Filistynów" i „Ludożerca", następnie pani M. Githa Soverby w doskonałej satyrze psychologicznej „Rumphord and Son", a wreszcie Galsworthy, surowy i poważny socjalistyczny autor: „Mobu", „Filantropa", „Dziedzica", który w dramacie realistycznym p. t. *The man of property*", wziął na sztych specjalny gatunek kosmopolityczno-semickich rekinów bankowych, umiejących z potoków krwi, na wojnie przelewanych, wydestylować dla siebie chemicznie czysty kruszec złoty. Pokrewny temat, tylko w charakterystycznem i sensacjonistycznem ukostjumowaniu, dał na scenę Royalty-Teatru, na wiosnę tego roku, Gilbert Parker w sztuce, która

zdobyła sobie olbrzymie powodzenie, a której bohaterem jest sam... Disraeli. Anglicy bardzo lubią swoich, nawet żyjących jeszcze, sterników politycznych widzieć na scenie lub czytać o nich przejrzyste powieści; stary Chamberlain miał pod tym względem szczęście do kilkunastu autorów, malujących go jasnemi barwami. Twórcę imperjalizmu Wiktorjańskiego dzisiejszy autor angielski nawet dziś, podczas wojny, zdecydował się przedstawić całkiem inaczej, niż go sobie wyobrażali np. p. Brandes z Kopenhagi lub dr. Zygmunt Aronson, polski wielbiciel lorda Beaconsfielda. Disraeli z Royalty-Teatru jest sobie przedewszystkiem aferzystą w ciemnym stylu, businessmanem, spekulującym na geszefcie kanału Suezkiego, oszukującym i szachrującym złośliwym starcem, pożyczającym od równie niewyraźnego bankiera, Hugona Meyersa, pieniądze na wykupienie od Izmaela Paszy akcyj egipskich, przy tem wszystkiem nadto snobem arystokratycznym i estetą-szarlatanem. I tak ucharakteryzowanego lorda Beaconsfielda może oglądać sobie swobodnie codzień publiczność londyńska „za pozwoleniem zwierzchności“, danem chyba dzięki temu, że w fabułę sztuki wplątani są także niemiecko-frankfurccy żydzi, z niebardzo dodatniej strony zaobserwowani. Nas, Polaków, podobny pogląd na lorda Beaconsfielda powinien w wysokim stopniu kontentować, gdyż potentat ten był stale niechętnym nam, konsekwentnie na każdym kroku szkodzącym, a w słynnej debacie polskiej w Izbie Gmin, 22-go marca 1894-go r., wbrew całemu parlamentowi, stanął w obronie cara Mikołaja, jako monarchy wielkodusznego i miłościwego, zohydzając przy tej sposobności wszystko, co polskie.

Z innych jeszcze utworów dramatycznych, osnutych na tle wzajemnych ustosunkowań, różnic i konfliktów angielsko-niemieckich, mamy do zanotowania przedwojenną komedję Elżbiety hr. Arnim: „*Priscilla runs away*“, w której Niemka wychodzi zamąż za Anglika, oraz już w czasach wojny napisaną ostrą satyrę pani Sybil Spottswoode p. t. „*Culture at home*“, gdzie znowu Angielka wychodzi zamąż za Niemca „z małego garnizonu“, graną z szalonym sukcesem w wytwornym Court-Theatre. Dla scharakteryzowania dość zdecydowanego upadku w dziedzinie sztuki dramatycznej i poglądu na nią sfer miarodajnych społeczeństwa, dodamy tu jeszcze wypadek, dostatecznie malujący stosunek ogółu do teatru i auto-

rów do kunsztu. Ostatniemi czasy towarzystwo, zawiązane celem zwalczania rozrzutnictwa i luksusu, wpadło na pomysł zamówienia sztuki, propagującej oszczędność, u pp. Pinery i Sutro; autorowie ci, zamówienie grzecznie przyjąwszy, w oznaczonym terminie towar swój oddali; obecnie grany p. t. „Kradzież przy ulicy Great Redding“ dramat oszczędnościowy przepełnia kasy. Z przydaniem tego szczegółu, mamy oto wszystko, coby się dało powiedzieć o życiu dramatu angielskiego czasów wojny. Widzimy jednakże z tego, że angielska twórczość w tym kierunku, o ile ją można widzieć na scenach lub oceniać z repertuaru, jak nie miała tak nie ma indywidualności ciekawszych, któreby się już samym faktem swego istnienia narzucić mogły kontynentowi.

Co innego atoli powieść. W tę produkcję idą ciągle najżywotniejsze soki, umysły najtęższe i najlotniejsze. Formy powieściowej używają synowie i córki Albjonu jako najniezawodniejszego środka do przeforsowywania i popularyzowania wszystkich nowych, świeżych idei we wszystkich dziedzinach życia porodzonych. Czy to będzie antychrystjanizm Gibbona, czy neokatolicyzm Newmana, czy materjalizm dziejowy antyheroistyczny Bucklea, czy Carlyla kult herosów i indywidualności, czy wolnomyślność Locka, czy Lecky'ego racjonalizm, czy wolny handel Smitha, rewizjonizm Dawidsohna, idea upaństwowienia ziemi H. George'a, pozytywizm, protekcjonizm, czy radykalizm Peasa, Webbsa, Wallasa, wszystkie te kierunki myślowe, które poczęte na tej wyspie w pierwszych ziarenkach, przerzucają się potem na kontynent i dochodzą do nas już we wtórnych przemyśleniach i transkrypcjach kontynentalnych znakomitości, zaczynają w Anglji wpływać na społeczeństwo i hipnotyzować je dopiero z pomocą... bajki powieściowej. Co więcej, nawet pewne wynalazki, czy odkrycia naukowe, nawet zdobycze wiedzy ścisłej, stają się własnością ogółu dopiero wtedy, jeżeli powieść uprzystępni je szerokim warstwom. Dzieje Rzymian skonstruowane po raz pierwszy przed Mommsenem przez naprawdę wielkiego Gibbona poznaje świat angielski najpierw z drugiej ręki, z tomów powieściopisarzy; to samo z odkrytą przez Grotego autentyczną Grecją. M. Godwin dla popularyzowania swych pierwszych zalążków socjalistycznego światopoglądu sam pisze powieści; to samo czyni Disraeli dla obronienia swego stylu politycznego i swego cezaryzmu.

Imperjalizmowi Dilkego, Frounda, Seeleya, piszących ciężkie, poważne księgi lub traktaty pomagają dopiero szerzyć się gwałtownie Meredith, Stevenson, Haggard i Gilbert-Parker. Ojców całej nowoczesnej chemji: Cavendischa i Ramsaya, Crooksa, Maxwella, Thomasa, popularyzuje dopiero fantazja Wellsa, Granda i t. p. Armję zbawienia reklamują dopiero: Hardy i Gissing; pesymizm zwalcza Humphry Ward. I stąd tyle tych powieściopisarzy i mających ostatecznie tyle ciekawego do opowiedzenia.

Obliczono statystycznie przed wojną, że w Anglji wychodzi dziennie 8 powieści w 10-ciu i 15-tu tomach razem i że ta hiperprodukcja zaspakaja pokup i głód czytelniczych miljonów. Zdobyć sobie już pewną renomę, a cóż dopiero rozgłos w tym lesie nazwisk i tytułów, wśród takich cyklopów pracy i takich firm potężnych męskich i niewieścich, jak A. Bennet, B. H. Benson, Humphry Ward, E. Wharton, H. Walpole; T. Hardy, Sara Grant, A. Hope, Elliot etc., jest już często chyba tylko owocem przypadku (*Chance*). Nie jeden talent z Bożej czy czarciej łaski ginie tu w odmętach tomów, niejedno może arcydzieło przepada w niepamięci. Trzeba bardzo szczęśliwego skojarzenia okoliczności przyjaznych lub debjutu pisarskiego przejaskrawego, żeby w korpusie czterdziestu tysięcy beletrystów, piszących po angielsku, zyskać sobie szlify oficerskie, a cóż dopiero laskę marszałkowską. I taką to właśnie laskę marszałkowską głównodowodzącego armją powieściopisarza zdarzyło się otrzymać od elity intelektualnej byłemu kapitanowi „*of te British merchant-service*" rodakowi naszemu, Józefowi Korzeniowskiemu. Powieścią już niewiarogodnie fantastyczną jest samo życie tego człowieka o dwuch ojczyznach, na które on sam dziś wstecz popatrzeć może ze spokojną dumą, jako na coś pełnego i skończenie doskonałego. Epoki tego życia są same przez się powieściami w różnych stylach. Sześcioletni chłopiec patrzy na wygnaniu w Wołogdzie na matkę męczennicę i ojca, piszącego wśród obcych ludzi, przy chłodzie i mrozie, jakieś wiersze i poematy, nieudolne a natchnione, mistyczne a karykaturalne w dziwacznej manjerze jakby Z. Krasińskiego. Chłopiec siedmioletni, uczeń prastarego gimnazjum Nowodworskiego św. Anny w Krakowie, opuszcza dnia pewnego mieszkanko przy cichej ulicy Poselskiej w Krakowie, w którem odumarł go ojciec, grafoman i konspirator. Półdzieciak szesnastoletni sierota

idzie, rzuca się raczej w daleki, nieznany świat. W Szwajcarji syn Ignacego Chodźki, także marynarz, daje mu pierwsze wskazówki, co teraz robić z fantem życia. W Marsylji Józef Korzeniowski widzi po raz pierwszy swe przyszłe królestwo: talattam! talattam! i wsiada po raz pierwszy na łupinę okrętu. I odtąd wielka linja żywota zaczyna się zarysowywać. Korzeniowski opuszcza raz na zawsze wszystko, co było normalne, małe, swojsko-suche, piaszczysto-bezmyślne, szaro-smutne, nijakie i niewolnicze, przedewszystkiem niewolnicze, a przed nim otwiera się wolny, ogromny, tajemniczy, stubarwny świat. Na francuskim okręcie chłopak okrętowy służy przy przewożeniu broni i amunicji dla Karlistów. Z francuskiego okrętu przenosi się na angielski „Dukof Sütherland" i odtąd już na tym tylko „ruchomym gruncie", jako wiecznie morzu zaślubiony, przenosząc się przejeżdżając z Zachodu na Wschód, z Północy na Południe, z oceanu na ocean, z lądu do lądu, przeżywa tak górnie i chmurnie, mocno i pięknie dwadzieścia pięć lat swej niesłychanej i o jakże zazdrości godnej egzystencji. W Marsylji słyszy przyszły Conrad u marynarzy po raz pierwszy ten język, którego echa jakieś nieuchwytne przypominają mu się z dzieciństwa, ze straszliwej Wołogdy, kiedy to przysłuchiwał się pacholęciem, jak ojciec osiedleniec przy ogarku świeczki tłumaczył pięknym językiem powieści Dickensa i Szekspira „Komedję omyłek". I w tej Marsylji miał miejsce Conradowego życia introitus. Gdy się zestawi teraz „reminiscencje" tego chłopaka szlachckiego, tego liścia, rzuconego daleko w świat z drzewa Nałęczów, tego polskiego Robinsona, wchodzącego na pokład brigu handlowego... z tym wielkim mistrzem, który dziś mieszka w swem *castle* nad kanałem La Manche w Kent, koło Hytle, w ścianach zdobionych freskami prerafaelitów, pędzla Burne-Jonesa, W. Crane i Rosettiego w atmosferze komfortu i piękna z tym niedostępnym dla interwiewów i profanów grandseigneurem literatury angielskiej... zaiste wykrzyknąć wtedy przyjdzie: są jeszcze ludzie, co żyć pięknie umieją! tkwią jeszcze poematy w biografjach!

Dwadzieścia lat temu wyszła pierwsza książka Conrada: „*Allmeyers Folly,*" *a romance on Eastern Rtver,* (1895) historja starego demonicznego bankruta holenderskiego na tle podzwrotnikowych lasów dziewiczych, w środowisku hebanowych ludzi, powieść, którą pisał po Flaubertowsku przez lat pięć, wziąwszy pióro do ręki w wieku lat 38. Tę młodość,

którą polscy pisarze nowocześni przepędzali i przepędzają w norach warszawskich redakcyj, w spelunkach krakowskich i lwowskich kawiarni, na paryskich czwartakach, w szwajcarskich laboratorjach lub w zakopiańskim kurniku, spędzają na cyganeryjskiem przepalaniu się i omłacaniu radykalnej gadaniny on, *master mariner*, przepędził pod gołem niebem wszystkich lądów i mórz obu półkul, żeglując, jak Zyndbod, oddychając, jak Farys, poznając duszę ludzkości całej, jak Ahaswer. Przypadek (*chance*) tylko rozstrzygnął, że młodego chłopca nie oddano z Krakowa do austrjackiej szkoły kadetów marynarki w Poli, pod Triestem, tak jak doradzili echt-krakowscy przyjaciele rodziny opiekunom jego Bobrowskim; ten sam zresztą przypadek, który rozstrzygnął los Paderewskiego, Sienkiewicza, Skłodowskiej-Curie i tylu innych polskich Polaków, nie wyłączając Kościuszki, Dąbrowskiego, Pułaskiego, Mickiewicza... Domyślamy się, jakieby mogło być maximum wydajności i sumy twórczej życia, pokierowanego po krakowsku: order żelaznej korony III klasy, pogrzeb wspaniały II klasy i klasyczny nekrolog w doczesnym „Czasie". Grożącą możliwość atoli parafjalnej karjery i swojskich piołunowych sukcesów uchylił szczęśliwie i zwyciężył demon Nałęczów, gorąca krew kresowców Korzeniowskich, krew stepowej ukraińskiej starej rasy. Znamy tę rodzinę Mohortowską i jej synów rozwichrzonych, te „istne wiatraki", odmieńce, czerwieńce, szaleńce, ostatnio z pamiętników Aweydy (tom II), Bobrowskiego, Iwanowskiego, Karwickiego, z Rollego wspominków (*In illo tempore*, Lwów 1914), znamy dziadka Conrada, który 80 lat mając chciał wsiadać na koń w 63-im, i ojca, autora odezwy Horodelskiej w roku 1863-im i apostoła Polski od morza do morza, i stryjów a wujów, zawalidrogów, bałagułów, rębajłów, marzycieli, rycerzy, bohaterów. Z tych to soków czerwonych, gorących, wykwitł i wyrósł, najwspanialszy kwiat, najdojrzalszy owoc rodu, jego społeczny splendor i ornament, karmazyn literatury angielskiej, Józef Conrad. Tylko w takim Polaku, genetycznie wywodzącym się z niezmierzonych ongiś stepów ukraińskich, mógł się z taką potęgą wypowiedzieć kult niezmierzonych przestrzeni morskich i głód morza, opisywanego z Turnerowską maestrją i magją w „Typhonie", w „Negrze z Narcyzu", w „Cudzie Oceanu", w „Jutrze". Tylko bowiem w ten sposób, jeden jedyny, da się wytłumaczyć zagadka psychologiczna, skąd to

w Polaku z matki Polki, rdzennym, dziedzicznym „szczurze lądowym“, z narodu li tylko „szczurów lądowych“, najniespodziewaniej wybuchnął wulkanicznie talent takiego widzenia, czucia, ukochania, zgłębienia i opisywania morza. W ten tylko sposób da się wytłumaczyć ten tajemniczy enigmat dla krytyki, skąd największym dziś epikiem narodowego elementu anglosasów mógł nadspodziewanie stać się cudzoziemiec, obywatel angielski dopiero od r. 1884, adoptowany syn z jednego z „małych narodów“, jeżeli zwróci się uwagę i położy cały nacisk na to, jako klan Korzeniowskich szedł z bezkresnych obszarów ongiś stepowych, z ojczyzny Rzewuskich, Słowackich, Czajkowskich, Mazepów „złotych emirów“; z tego „morza ziemi“, jak Ukrainę nazwał popasający w Berdyczowie... Balzac. Na dowód tej tezy przytoczymy fakt, że Korzeniowski, jako sławny już Conrad, dwa razy jeździł z odwiedzinami do stron rodzinnych (1895 i 1905) i że po powrocie do Anglji za każdym razem dawał nowe dzieło z morzem jako bohaterem, jeszcze mocniejsze, jeszcze autentyczniejsze. Jako Anteusz nabierał tedy, dotknąwszy... Tetydy ukraińskiej sił do nowych hymnów ku czci i chwały... Oceanu.

Trzeba tu jednakże przydać zaraz, że nie całą genjalność Korzeniowskiego pochłonęła tylko kontemplacja i adoracja morza. Aczkolwiek ekstatyczne obrazy złego i dobrego okrutnego i kojącego żywiołu morskiego będą zawsze dominantą jego twórczości, aczkolwiek jego *faculte maitresse* pozostanie niedościgniona plastyka, z jaką antropomorfizuje morze i stwarza idylle, sielanki, dramaty i tragedje elementarne topieli wodnych, to jednakże tak krytyka, jak i inteligentny czytelnik postawią narówni z pejzażami morskiemi zawsze jego analizę psychologiczną „ludzi morza“, jego intuicję psychognostyczną, z jaką jasnowidząco odgaduje i odmalowuje kolektywną duszę ras obcych, względnie niewybadaną, nieodcyfrowaną jeszcze, nieogarniętą psychę człowieka egzotycznego nie-białego, kolorowego, hebanowych demonów i bronzowych kochanek. Jeżeli chodzi o „ludzi z morza”, to Conradowi przypisują Anglicy kompletne wyczerpanie bez reszty psychiki całego świata marynarskiego. Wszystko co służy i żyje na okrętach i w portach, cała ludzkość żeglarska, znalazła w Conradzie swego Dickensa i co więcej, Balzaca. Ten Rembrandt sterników i majtków, korsarzy i „latających Holendrów”, nie zada-

wala się jednakże jakąś psychologją profesjonalną i normatywną, ale na tle odkrytego przez swoje oczy morza, niezwykłego nowego morza, daja procesy dusz także niezwykłych, zawikłanych, skomplikowanych, wyjątkowych. Takie preparaty psychologiczne, jak kapitan okrętu-widma „Borgemaster Dalk", captain Allinsonn, captain Mac Whirs, stary Singleton, Almeger, jak gruźliczny, czarny olbrzym Wait, jak captain Haberd, jak Anthony Rode, są tylko zewnętrznie na „obraz i podobieństwo" „ludzi z morza", skreślonych piórem Lotich, Kiplingów egzotyczni; wewnętrznie są to okazy podpatrzone jakby przez Dostojewskiego.

To samo też da się powiedzieć szczęśliwie o jego psychoanalizie ras obcych „ludzi tropikalnych", ludzi z puszczy i z kopalń, prymitywnych, egzotycznych „bestyj ludzkich". To co naukowo zaczął badać zmarły psychofilozof amerykański profesor James Mac Baldwin (jedna z ofiar ztorpedowanego Sussexu), to jest psychologję ras obcych w tem drogą intucji doszedł do definitywnych rezultatów Józef Conrad. I pod tym względem, czytając Conrada, także znów daleko jesteśmy od etapu Lotiego, Kiplinga, Farrere'a, Sieroszewskiego i innych, fotografujących z pańska po amatorsku rozmaite, jakby z klatek wypuszczone egzemplarze różnokolorowej egzotycznej fauny ludzkiej. Conrad żył i zżył się pierś o pierś, dusza w duszę, dzień w dzień, na powszednio z murzynami, malajami, arabami, metysami, chińczykami, hindusami. Conrad zna do głębi to groźne, drzemiące i jeszcze jeno rozmnażające się zastraszająco nasienie ludzkie; on patrzy na nie rozszerzonemi źrenicami respektu, bez nieznośnej bufonady dawnych białoskórnych literatów angielskich, ale i bez studencko-doktrynerskiego ultra-humanitaryzmu, odgaduje tajemnice tych egzystencyj i daje niepokojące, niezapomniane, dreszczem wzruszające przykłady wynaturzeń, krzywizn, kalectw, zboczeń psychiki ras „barbarzyńskich". Co więcej Conrad udowadnia z lubością, jak normalny europejski człowiek-gentleman w otoczeniu egzotycznem, tropikalnem, podbiegunowem, mimikryzuje się, paczy, zmienia barwę duszy i pod wpływem nacisku warunków i okoliczności biologicznych, spełnia czyny godne buszmenów, negrów i kafrów. I kiedy w takiem stadjum zdeeuropeizowania ukaże nam dumnego kolonizatora i cywilizatora, kiedy np. uczyni go pod presją śmierci głodowej lu-

dożercą (kapitan niemieckiego statku pod biegunem południowym), wtedy dokonuje Conrad istnego cudotwórstwa pisarskiego, bo nietylko, że nie wzbudza w czytelniku odrazy etycznej (i estetycznej), ale przeciwnie, w tym momencie dopiero właśnie wznieca dlań współczucie i miłość, chrześcijańską. I w tem jest Conrad cały, wielki, głęboki i bardzo słowiański (Dostojewski, Tołstoj) a może też nieco polski Słowacki, Sieroszewski, Żeromski...

Ale jeszcze i w czemś innem, oprócz tej maksymalności humanitarno-etycznej, może raczej więcej słowiańskiej, jak polskiej, wydobywa się w twórczości Conrada podświadomie polskość myśli poprzez nawarstwienia autentycznie brytańskie. A jest to mianowicie kilkakrotnie tu i owdzie w dygresjach i rozmyślaniach nad sztuką i życiem naznaczana, w *Tales of Unrest* najsilniej zadeklarowana pozorna obojętność dla rzeczywistości, a wiara w wyższość fikcji i fantasmagorji. Krytyk angielski Hugh Walpole nazywa go poetą, który przepracowuje się skroś rzeczywistość ku poetyckiemu widzeniu życia". Skroś rzeczywistości! Istotnie Conrad tę rzeczywistość świata, całego świata zna z autopsji. I daje ją w swych dziełach najautentyczniejszą, najrealniejszą, czasem omal w jakby sądowych zeznaniach. A jednak tej rzeczywistości nietylko nie przecenia ale czasami nią demonstracyjnie gardzi. Nawet więc dla takiego pisarza, widzącego tak plastycznie, świat rzeczywistości i to tak wyjątkowo rozmaitej, okazałej, barwnej, bogatej, pełnej rzeczywistości, świat zewnętrzny ma wartość wtórą, drugorzędną, jest określany często jako rzecz nieważka, podczas gdy wyższem i istotnem jest dopiero marzenie, jest sztuka, jest to, co nierealne, nadrzeczywiste. Uderza Conrad niekiedy w filozoficzne tony, w których zbliża się nawet do tej wzgardy wszystkiego, zmysłami i mózgiem pojmowanego, jaką szerzył i apostołował we Francji właśnie T. de Wyzewa (w *Revue Vagnèrienne* i indziej), ucząc młódź poetycką w epoce symbolistycznej wiary w realność jedynie fikcji i marzenia. I oto nie będziemy bardzo dalecy chyba od prawdy, suponując, że w tej koncepcji stosunku sztuki do życia przemówiło tak w Wyzewie, jak w Conradzie, dziedzicznie obciążonych polskością, atawistyczne echo stuletniej niedoli całego narodu, z którego pochodzą, tej niedoli, która sprawiła, że najgenjalniejsze umysły polskie od tej potwornej, niewolniczej, złej rzeczywistości starały się zaw-

sze uciekać jaknajdalej, jaknajwyżej i tylko w tych szybowaniach podchmurnych, mgławicowych ulg szuka i ukojenia. Z drugiej strony, trzeba tu przypomnieć, że Conrad zbyt długo wiódł życie czynne, realne i rzeczywiste ażeby dla rzeczywistości także nie mieć należytego respektu. Kilkakrotnie też zaznacza, że wyobraźnię swą zawsze podporządkowywał prawdzie, że imaginacja jego wyłaniała się z tworzywa „osobistych doświadczeń". Fantastyczność inwencyjną jednak stawia zawsze wyżej. Z tem zaś hołdowaniem fikcji u Conrada, łączy się logicznie jeszcze inna, również ze słowiańskiego prapodłoża myślowego idąca fikcja, pokrewna już nawet naszej t. z. młodej Polsce (głównie Przybyszewskiemu i Żeromskiemu), t. j.... fikcja o wyższości i potędze instynktu nad mocą rozumu. Tej idei hołduje i J. Conrad w pewnej mierze, równocześnie jednak gdzieindziej zwalczając ją i postponując. Wybuchające z gejzerową siłą gorące instynkty „nagiej duszy" ludzkiej zwyciężają w opowieściach Conrada bezlitośnie i bezapelacyjnie słaby opór i bierne protesty „biednego rozumku". I trzeba wiedzieć, że ten autor angielski, a tak daleki od angielskiej pruderji i *cantu*, jest także najtęższym malarzem miłości zmysłowej. Tyranję namiętności, przepalających etyczną powłokę, tajemniczy antagonizm i walkę dwuch głodnych siebie płci, druzgocący wszelkie szranki morału popęd chuci, znalazł w tym pieśniarzu morza deskryptora tem od n. p. teatralnie demonicznego Przybyszewskiego okrutniejszego, że Conrad daje swoje tańce Miłości i Śmierci bez tej mistycznej frazeologji, którą sobie dopomagał w epatowaniu filistra polskiego i niemieckiego magik Przybyszewski. Co więcej jeszcze, Conrad w swoim korowodzie miłosnym splata w kurczowe uściski miłosne indywidua ras obcych lub wrogich, np. górala z Podhala i wytworną miss Ancy Forster, awanturnika Willemsa z Aissą, Arabką, i wonczas z samego eliksiru miłosnego wydobywa na jaw kryształki żywiołowej rasowej nienawiści w sposób najmisterniejszy i, co więcej, najwiarogodniejszy. W Conradowej atoli koncepcji miłości tragicznej, w jego „dziejach grzechów" pierworodnych, jak niema jednakże nic ze szkaradzieństwa melodramatycznego, jak niema cienia wulgarnego naturalizmu w fantazjach seksualistycznych tak niema też szczęśliwie tych wszystkich europejskich akcesorjów [romansowych, z jakich pomocą nasi romansjerzy modni w ostatnich przedwojennych latach gloryfikowali

wolną miłość prawo do chuci, mus poddawania się ślepym instynktom.

Józef Konrad Korzeniowski, „an englisch writer of polisch origin” czy „a Pole writing englisch” jak to zaznacza niekiedy (zresztą dość rzadko) krytyka angielska, zdobywszy sobie swoją własną, samoistną, męską i skoncentrowaną filozofję życia nie z literatury i książek, ale z osobistego życia, z czynnego, wzmożonego życia, jak na wszystko, tak i na cud miłości często „castrum doloris” patrzy spokojnym, przenikliwym, omal chłodnym i skroś przeszywającym czeluście serc wzrokiem doskonałego Europejczyka, patrzy *„under Western Eyes”* oczyma Zachodu.

Temi samemi też „oczyma Zachodu”, oczyma człowieka o wypracowanej mozolnie kulturze woli indywidualnej, patrzy na cały Wschód świata, gdzie kultura wolnej, świadomej celu woli indywidualnej jest jeszcze w uśpieniu, gdzie instynkt rządzi jeszcze samowładnie, a przypadek *(chance)* o wszystkiem decyduje autokratycznie. Temi samemi oczyma Zachodu patrzy też Conrad na Wschód Europy. I temu to patrzeniu „zachodniemu” mamy do zawdzięczenia jego kapitalne rewelacje o duszy ludzi z wschodniej słowiańszczyzny.

I rzecz zdumiewająca! Ten sam wielki pisarz angielski gente Polonus, który tak głęboko zapuszczał sondę psychologiczną w dusze najegzotyczniejsze, w ludzi z Jawy, w mieszkańców koralowego archipelagu, w kopaczy srebra z Południowej Ameryki (Nos-tromo), w traperów (Nan-Shan), w miazgę chińską, czy hinduską, ten sam psycholog całej planetarnej ludzkości zdołał też odkryć w swych wojażach nowe jeszcze mało odkryte jamy, czeluście i kawerny w przepastnej psychice rosyjskiej.

W tych powieściach *(„Under Western Eyes“* i *„Secret Agent“)* dostaje twarda, trzeźwa i władcza inteligencja anglo-amerykańska, a po niej i kontynent cały, galerję nieszczęsnych ludzi instynktu, ludzi chaosu, ludzi li tylko marzenia, ludzi przypadku. Widzimy tych ludzi Wschodu, egzystujących jeszcze w ciągłej, strasznej, ciemnej nocy (*dreadful night*) bezwoli, bezładu, bezwładu, bezsensu, bez ojczyzny, w Londynie, w Genewie. Żyją tu wygnani synowie matuszki, jeszcze ścigani i tropieni przez organizatorów imperjum rosyjskiego, Sieversów, Plehwych, Benckendorfów, Sejnow, Kaulbarsów.

Żyją na tle sztafażu *par excellence* europejskiego w dziwacznych skupinach te nowe biesy, nowe Karamazowy, przelotne ptactwo nadwołżańskie. Jest to emerytura i sienat Smerdiakowych zasłużonych znakomitości niewydarzonych rewolucyj, profesjonalistów konspiracyj, mieszańców idealizmu i patologji, męczenników a kryminalistów, kabotynów nihilizmu, opasłych utopistów. W jednym wspólnym kotle, pod jedną ciężką pokrywą kontroli międzynarodowej policji żyją pomieszani do niepoznaki ze szpiclami, Azefami, prowokatorami, agentami, Burcewami i Kirył Sidorowicz Razumow i Piotr Iwanowicz i Nikita Nekator i Milinkin i Osipow i stara, siwa Zofja Antonowna i piękna, smutna Ofelja tych Hamletów, Natalja Haldin. W dusznem powietrzu nor i kryjówek obskurnych, oddychają zwietrzałemi miazmatami Bakunina i Stirnera, Nietzschego i Krapotkina, skłębieni w jakimś bezładzie ściśniętego wspólnego, zoologicznego azjatyzmu. Angielski wszechświatowy autor polskiej prowenjencji ustawia w tych dwuch powieściach, a szczególnie w „*Under Western E.*" przed czytelnikiem europejskim i amerykańskim jakby duże kunsztowne akwarjum, w którem litości godne pływają, pełzają, tłoczą się i gryzą jakieś dziwne infusorja, czasem o misternym kształcie, o pięknych barwach i pozorach, ale infusorja. Na to akwarjum jeszcze syn Apolla Korzeniowskiego z r. 1863-go rzucił jakby snop rażącego światła z reflektoru. I wtedy widzimy, jakby pod mikroskopem, dokładnie „*la vie veridique*" tych poczwar bohaterstwa, tych istot o zdeformowanej psychice, kreatur spitych i odurzonych ideałami, wodogłowców doktryny, manjakalicznie krążących wkoło ogona swoich pryncypjów, zarażonych toksyną terorystyczną, przeciążonych wiedzą bibulastą kretynów, intelektualnych bradiagów, starców-niedowarzeńców, tych wszystkich czerwonych pasożytów Rosji XIX-go wieku, Rosji przedwojennej, Holsztejn-Gottorp-Romanowskiej. Oczyma Zachodu obserwował i piórem pisarza Zachodu opisał ze spokojną satysfakcją Conrad *nostris ex ossibus ultor* ten nieszczęsny, półzmroczny półświat, który jeszcze nie znienawidził dziegciu, a jeszcze nie pokochał mydła, ten półświat Judaszów i świętych, szpiegów i męczenników, do którego wszystkie klucze trzyma w swym ręku elegancki sztatsrat v. Wurmt, radca legacyjny ambasady rosyjskiej w Londynie (Tajny Agent), „następca Waregów". Ale choć w tych posępnych wizerunkach młodej, wolnościowej Rosji

daje Conrad tylko tułacze odpryski kolosu genewskie i londyńskie, choć w tej emigracyjnej diasporze wykazuje bezwolę i bezsiłę tych zawsze rzekomo źle organizujących wszystko eks-rewolucjonistów, to jednakże nawet z tych obrazów desperackiej psychiki niewolniczej, z tych opisów fermentu, rozkładu, zmierzchu i dekadencji odnosi się mocne wrażenie przyszłych nieograniczonych możliwości i dziś jeszcze nieujawnionej, ale potencjalnie istniejącej potęgi stu siedemdziesięciomiljonowej rasy, nieodwołalnie nadchodzącej po przejściu przez stadjum fermentu, chaosu, rozkładu i gorączki, jakie już raz i przed wojną przechodziło ciężkie cielsko olbrzyma wschodnio - słowiańskiego.

I takie samo również wrażenie narastającej dopiero potęgi drugiego olbrzyma dwustomiljonowej rasy odnosi się też z innych powieści Conrada, dziejących się w środowiskach biegunowo odmiennych, bo anglosaskich. W tych znowuż obrazach ze świata, w który ze zdumiewającą łatwością i znawstwem przerzuca się Conrad, ze świata, w pośrodku którego żyje i tworzy („Powrót", „Przypadek"), zapuszcza równie z surowością chirurga skalpel i pensety analizy w organizm zdrów, ale przytyły i aż do wybuchu wojny senny i rozmiękczony. Wbrew francuskim przepowiedniom Wyzewy, jakoby autor polskiego pochodzenia musiał zawieść i niedopisać w momencie, gdy zechce dać psychikę normalnego, przeciętego, typowego Anglika, Conrad wedle orzeczeń jednozgodnych krytyki angielskiej, daje właśnie najautentyczniejszego Johna Bulla, no i co-prawda, w niezbyt jasnych, dodatnich kolorach. W tych powieściach i nowelach, w których poznajemy i *squireage* wiejską i „respectable" burżuazję i londyńskie society i lud, polityków i giełdziarzy, małżeństwo Herveyów, finansistę Barrala, Florę Barral i t. p., Conrad prawdy psychologicznej nie obwija w bawełnę optymizmu, nie głaszcze filistra, jak Bennet, Hardy, Walpole, nie schlebia i nie koloryzuje i angielskiemu społeczeństwu w jego stadjum przedwojennem i nie szczędzi bezwzględnej krytyki i cierpkiej, dręczącej i siekącej ironji. Zbliżając się w swych pojęciach szeroko-politycznych do Wiljama Archera i jego w „*Greath Analysis*" (1912) wyrażonych idei, Conrad jest raczej humanitarystą i „planetarystą", ale nigdy imperjalistą, jak Kippling, Meredith lub Conan-Doyle. Nie widzi on bynajmniej w każdym gentlemanie, Samuelu czy Jonatanie,

alfę i omegę, „*suppermana*“, nadczłowieka, stworzonego do rządów nad światem. Józef Conrad miał i ma zapewne po dziś dzień mocno sceptyczny pogląd na pretensje anglo-amerykanizmu do berła nad globem. Pogląd ten atoli, często przezeń najswobodniej ujawniany, bynajmniej jednak nie zraził doń świata czytelniczego, nietylko nie przeszkodził mu w awansowaniu z autora firm nakładczych Nash i Methuen na autora wszechświatowej firmy Tauchnitz, ale obecnie, właśnie podczas wojny, uczynił zeń pisarza najbardziej poczytnego. I ta dzisiejsza popularność Conrada jest symboliczną i symptomatyczną. Symboliczną dla mas, ponieważ w niej w osobliwym momencie dziejów świata wyraziła się i wypowiedziała w języku nadmorskim nasza podświadoma, ale nieprzedawniona nigdy: „*Wille zum Meer*“. Symptomatyczną zaś jako dokument tego dufnego poczucia imanentnej potęgi własnej, jakie pozwala narodom władnym i pańskim znosić i trawić krytykę, ironję, satyrę, ba, nawet leczyć się z ich pomocą z przemijających, przedwojennych stanów osłabień.

To zasię poczucie potęgi solidaryzującego się świata angloamerykańskiego, potęgi, którą surmy wojenne musiały tylko zbudzić z uśpienia, jako też i zbudziły, to poczucie biło z każdego tomu, z każdej stronicy najsławniejszego pisarza angielskiego „z Polski“, że już przy czytaniu Conrada w pierwszych miesiącach wojny dźwięczał nam mimowoli ustawicznie w uszach gdzieś znaleziony, a mało znany werset, który drżącą ręką pisał przed śmiercią (jeszcze daleko przed Napoleonem) król Filip II:

Con todo el mondo guerra — paz con Inglaterra...

WRACAJĄ LECHICI NAD BAŁTYK.

(Listy z Gdańska i z Pomorza).

„Według politycznego mego przekonania, sąsiedztwo rosyjskie bywa wprawdzie często niedogodne i drażliwe, ale nie tyle, co polskie... Gdyby marzenia Polaków miały się ziścić, to przedewszystkiem byłby w niebezpieczeństwie Gdańsk. Polacy musieliby anektować Gdańsk. Gdańsk byłby najpierwszym przedmiotem pożądliwości państwa warszawskiego, byłby potrzebą Państwa Polskiego".

O. Bismarck.

I.

Luty 1920.

Niezbyt zasłużonemu i niezbyt godnemu ale widocznie wezwanemu i wybranemu pokoleniu przychodzi trafem w udziale być współcześnikami, ba, nawet współczynnikami najpiękniejszego i najdonioślejszego faktu historycznego jaki wogóle może przeżywać naród. Nadchodzą momenty dziejowe, zbliżają się niewysłowienie ważne chwile, które wreszcie powinny chyba wstrząsnąć potężnie zbiorową psychiką polską, zgnębionych i smutnych rozjaśnić, opornych i nieufnych otuchą natchnąć i wiarą, poziomych i ponurych powstydzić a wszystkim, wszystkim co tylko polską mową mówią lub dialektami pokrewnemi gwarzą dusze umęczone powszedniego dnia udręczeniami przepełnić wielkim światłem radości i szczęścia. Oto teraz bowiem dopiero, teraz, w tych dniach Lutowych wypełnia się akt imanentnej sprawiedliwości Boskiej, odmierzanej ściśle, miarowo, nieubłaganie. Nie w tych dniach Listopadowych kiedy nikczemni Austrjacy uciekali z Krakowa i nie wtedy nawet,

kiedy Prusacy opuszczali Warszawę i Poznań i nie w tych dniach, kiedy na karkach przepędzanych hord bolszewickich wkraczały do Wilna polskie falangi, ale teraz dopiero, dziś, jutro, pojutrze, kiedy konie pomorskiego szwadronu wejdą pierwsze po kolana w słoną zimną wodę puckiego morskiego brzegu, w tym momencie dopiero kończy się wiek niewoli pysznego narodu Sarmatów. W tym momencie przesypuje się do końca piasek w klepsydrze, w tym momencie przewraca się karta w księdze dziejowej, nowa era zaczyna. Dopiero dziś, jutro, pojutrze, oblekają się w rzeczywistość jasnowidzenia i wróżby naszych wieszczów, dopiero teraz to co „było nasze" staje się znowu nasze, dopiero teraz dopuszczeni wchodzimy w kolisko dojrzałych, władczych narodów europejskich, dopiero teraz otwiera się przed nami a raczej przed pokoleniami następującemi wielka, piękna, świetlana przyszłość. Naród omal trzydziestomiljonowy niedopuszczany do morza, do oceanu, do współżycia i współbytowania nadmorskiego musiałby się dusić w swej klatce kontynentalnej, musiałby wyrodnieć obyczajowo, wynaturzać się psychicznie, stawać się jakimś wielkim rozrosłym karłem i kaleką, olbrzymem na łożu Prokrusta.

Do morza prą i pchają się wszystkie nacje, choćby najmniejsze, najmizerniejsze, byle dorastające cywilizacyjnie i świadome tego, że bez kontaktu morskiego z całym światem mowy być nie może o pełnej zwycięskiej istotnej, pozytywnej, realnej niezależności i niepodległości. Naród wielki cyfrą a nie żeglujący po oceanach jest zawsze tem, czem parafjanin prowincjonalista wśród mieszkańców wielkich stołecznych miast i oscyluje między pretensjonalną megalomanją a tchórzliwą pasywnością w stosunkach z ościennemi narodami zatraca poczucie proporcji i perspektywy, a w monologach o swojej misji dziejowej, posłannictwie kulturalnem, w przyrównaniu siebie do przedmurza cywilizacyjnego zatraca już często wprost poczucie śmieszności. Takie narody tylko morze leczy z przerostu fałszywych ambicyj, splatającego się z równomiernym niedowładem poczucia godności. Morze hartuje, upokarza, edukuje. Morze leczy ze śmiesznostek, małostek, małomieszczaństwa i wszelakiego plugawstwa. Stosunek ogółu do kwestji posiadania brzegów morskich i władania choćby cząsteczką słonego przestworza jest jednym z probierzów instynktu państwowości. Navigare bowiem necesse est, vivere non est necesse.

W dziejach Polski sejmy nasze omal nigdy nie stwierdziły posiadania tego w większym stylu instynktu państwowości. Szlachta na koniach cwałowała na Wschód i tam znalazła naszą Kanadę, czy Australję. Ale podczas gdy nasze Sejmy nie dbały o morze (bo szlachcic ziemię orze), problem posiadania dostępów do oceanów zaprzątał myśl i troskę mądrych królów Chrobrego, Krzywoustego, Łokietka, Zygmunta Augusta, Stefana Batorego, Władysława IV; Jana Kazimierza. Ci tylko wiedzieli że *ex undis divitiae, ex undis potestas, ex undis imperium*, a nie ciżba szlachecka, zafascyzowana misją „cywilizowania" Wschodu i idąca linją polityczną najmniejszego oporu oraz łatwych sukcesów i pyrrhusowych wiktoryj.

Dzisiejsze pokolenie nasze nie zdaje sobie również kompletnie sprawy, jak przełomowy moment przeżywamy, jak wielki atut dostaliśmy w ręce w tych mizernych i marnych ale jakże rozstrzygająco ważnych i bezcennych stu czterdziestu kilometrach morskiej rubieży. Trzeba będzie mozolnej i fanatycznej pracy kilkudziesięciu istotnych Europejczyków wśród nas, aby temu ospałemu, apatycznemu, na piaskach porodzonemu narodowi szczurów lądowych, Lechitów kłaść w głowy, że teraz, dopiero teraz otwierają się bramy więzienne i świat cały stoi przed nami otworem. Teraz dopiero masz chamie złoty róg, trzeba wołać co dzień, co godzina do tych upartych, piaszczystych mózgów, które pchają na Wschód ślepo i bezmyślnie wojskowe falangi, nie zdając sobie sprawy, że sieją tam wiatry nienawiści w 150-miljonowej rasie, by następne pokolenia znów zbierały burzę odwetu...

Tymczasem misja nasza „cywilizacyjna" nie na Wschodzie a tu na Północy, na morzu. Nam nie „cywilizować" Białorusów, Małorusów i Litwinów ale nam cywilizować najpierw siebie, bo nam tej cywilizacji djablo wiele jeszcze brakuje. Naród, który sam w sobie ma 70% analfabetów niema prawa bełkotać o cywilizowaniu Litwinów, rasie pod względem inteligencji znacznie suciej obdarzonej. A jeżeli chcemy istotnie stanąć przy narodach zachodnio-europejskich i nie być tylko pasożytem i konsumentem kultury tych narodów, to w tem dziele dojrzewania cywilizacyjnego pomóc nam może tylko morze.

Amare mare! Oto hasło.

W dziejach narodów fakty historyczne są tylko momen-

tami. Baczmyż pilnie, aby nasz dostęp do morza nie był tylko epizodem historycznym. W nas tylko samych leży gwarancja tego, aby w stosunku do morza nie powtórzyły się już więcej lata 1308 i 1793. Pokój Wersalski dał nam bardzo wiele, ale jeszcze nie możemy śpiewać hosanna i wszystko nam dałeś co dać mogłeś Panie. Zrealizowanie tezy Wilsona zasugerowanej mu przez Paderewskiego: *which should be assured and free and secure acces to the sea* całkowicie zależy od nas, nie od dygnitarzy wojskowych Ententy, na których już chcemy zwalić cały mozół i odpowiedzialność. Trzeba nam tylko trzymać się ścisłej interpretacji artykułu 104 traktatu Wersalskiego, nie dozwolić aby go traktowano jako scrap of paper, a część słuszna i sprawiedliwa dominium maris Baltici nam przypadnie w udziale. Tylko jeżeli cała prężność, cała żywotność, cała energja rasy sarmackiej zogniskuje się na tym kawałku morskiego brzegu, możemy stać się w Europie oczywiście nie żadnym zaraz mocarstwem, jak paplą podchlebiacze i lizacze opinji publicznej, ale państwem mocnem, zwartem, dojrzałem i czynnikiem, z którym będą się liczyć, nie żadnem państwem buforowem ni sezonowem. Co nam obca przemoc wzięła musimy odebrać mocą mięśni i mocą mózgu, nie frazesami, krzykiem, obchodami, no i oczywiście nie barbarzyńskiem i dzikiem obalaniem pomników i niszczeniem drutów telegraficznych.... Dostajemy z powrotem ziemie najświetniej zagospodarowane, czyściuchne miasteczka, sioła i zaścianki o których kulturze Anglicy i Amerykanie jeszcze przed wojną rozpisywali się z entuzjazmem. Rzeczą pospolitego dobra jest abyśmy w te pralechickie ale znawożone tęgą niemiecką kulturą ziemie nie wprowadzili swojskiego brudu, poetycznego nieładu, romantycznego niechlujstwa, galicyjskiej korupcji i organizacyjnej oraz gospodarczej l'improductivité slave. To rzecz pryncypalna, to rzecz trudna zapewne, ale to rzecz rozstrzygająca. O ile nie uważamy w cichości pokornego ducha nasze *introitus ad altare maris*, za efektowny epizod nasze dostąpienia do oceanów i otwarcia możliwości wylewu (*outlet*) naszej ekspansji na przestwory oceanowe, zamiast „cywilizowania" gwałtem małych narodów kresowych (które o naszej misji cywilizacyjnej jakoś nie zbyt tęgie mają pojęcie) i zamiast federacyjnego bałkanizowania Wschodniej Europy.

Ogarniając mocnemi i zdrowemi ramionami brzeg morski

w nasze władanie, musimy energicznie zapobiec temu, aby jedyna morska latarnia Polski, aby klucz do bramy naszego gmachu państwowego, aby starolechicki Gdanczk nie stawał się dzięki nieprzewidywaniu, niedołęstwu i nieporadności naszych ochlokratów ni żadnym mostem (Brucke) między Germanją a Prusami Wschodniemi ni też żadnym przyczółkiem mostowym Trójkrólestwa, do czego wszechmożna Anglja zmierza z konsekwencją, logiką i zachłannością starobrytańską. Ta druga ewentualność jest niebezpieczeństwem groźniejszem i bezpośredniem, któremu zapobiec będzie można tylko szkodząc djabłu z pomocą Belzebuba, to znaczy wprowadzając w stosunku do Niemców tamtejszych, lokalnych tuziemców, Gdańszczan i Prusaków Zachodnich kurs liberalny, zgodny, miękki, prostolinijny nie zygzakowaty i nie neurasteniczy przy równoczesnem forytowaniu, opieraniu się i wciąganiu szczególnie w interesy ekonomiczne Amerykanów, a później gdy się załagodzą stosunki i Czechów. Dogmatem bowiem naszego programu politycznego na przyszłość powinno chyba być to, że bez Czaczy, bez Orawy, ba, nawet bez kilku skrawków Cieszyńskiego obejść się będziemy mogli, podczas gdy bez opanowania większej części bałtyckiego wybrzeża i bez rozszerzenia się nad morzem i bez Gdańska Polska nietylko będzie bezpańska ale jej cała suwerenność może zwyrodnieć w suwerenność księstwa Monaco, Węgier lub conajwyżej Szwajcarji.

Posiadanie brzegu morskiego i bezsprzeczny protektorat nad wolnem miastem Gdańskiem zawdzięczamy wyłącznie naszym dyplomatom z obozu Narodowego Komitetu Paryskiego, w pierwszym rzędzie zaś jedynemu polskiemu mężowi stanu na europejską skalę, t. j. Romanowi Dmowskiemu oraz wielkiemu orędownikowi i inspiratorowi Wilsona Ignacemu Paderewskiemu. Ogromny więc dług wdzięczności zaciągnął naród nasz wobec tych wielkich i jasnowidzących polityków, zyskując teraz to, co oni dla nas wypracowali. Zobaczymy jak się odpłaci.

Wkraczanie naszych wojsk na Pomorze i zagarnianie powrotne Prus Królewskich, t. j. owoc i rezultat polityki Romana Dmowskiego, eskontowane dzisiaj przez obóz Józefa Piłsudskiego, który podczas 5-ciu lat wojny nie raczył sobie przypomnieć o 4 i pół miljonach Polaków w zaborze pruskim, a zrzekał się ostentacyjnie Prus Królewskich i Gdańska (Moraczewski,

Daszyński) powinno chyba wreszcie wstrząsnąć opinją publiczną i unaocznić jej jak nędznie i nieuczciwie odnosimy się do jednych naszych wielkich i zasłużonych, równocześnie rezerwując całe bałwochwalstwo dla innych, którzy potrafili często, działając przedewszystkiem na imaginację młodzieńczą i niewieścią i kompromisując na prawo i lewo zaskarbić sobie sympatję analfabetycznych gromad, mocno jeszcze stada przypominających.

Jeżeli jest prawdą to, o czem szwargotała ciągle część naszej prasy, wysługującej się międzynarodowemu żydowstwu że dyplomacja angielska niechętnie odnosiła się do R. Dmowskiego, to byłby to tylko dowód więcej, że przewidując problemat gdański wiedziała ona dokładnie, że R. Dmowski firma polityczna, *dangerous man*, rogata i męska indywidualność w każdym calu będzie w sprawie mocnego oparcia się o Gdańsk nieubłaganie i niestrudzenie bruździł, podczas gdy z komendjantami polskimi rehabilitującymi się przed Francją i Anglją za konszachty z jeneralicją pruską łatwo sobie da rady, robiąc z tego fragmentu Pomorza, które nam przypadło w jałmużnie jeszcze swój bałtycki Gibraltar oraz rygel między Niemcami a Rosją, względnie nawet... ekwiwalent za wyślizgujące się z rąk Kapsztady i Kairy...

Ale jest jeszcze jeden czynnik a to właśnie najważniejszy, któremu w pierwszym rzędzie jeszcze więcej niż rozumowi naszych polityków zawdzięczamy ten fakt błogi, radosny i promienny, że dziś pułki polskie przechodzą przez Tucholskie bory, przez Darzłubską puszczę i już, już zbliżają się do Talassa! Talassa! Tym czynnikiem to ten niezłomny, krzemiennie twardy, prozaiczny, cichy, opuszczony, poniechany a skroś bohaterski w swej masie Kaszubski lud.

To plemię wspaniałe z pod Stężece, Kościerzna, Kalesza, Szymbarku, Chojnic, Conowa, Kazanie, Kurzętnika, Redy, Oksywia, Kobesewa, Srakowic, Parchowa, Rucewia, Smolenia i naszej cichej Gdyni uratowało nasz kurytarz do morza. Sprzedawali jeden po drugim swoje majątki i dwory Przebendowscy, Zabłoccy, Podoscy, Bogusławscy, Bronikowscy, Małachowscy i uciekali w świat, a tylko oni zostawali, ani drgnąwszy w swych posadach, śpiewając ino po swych maleńkich Kościołkach:

„Gwiozdo morzo chtornas Pana mleciem swym kormnieła..."

Jacy to byli „fajne ludze" te „glury" a bohatery w nie-

złomnem przetrwaniu tego mamy przykład w takim np. Peplińskim.

Niedaleko od Kościerzyny (Berent in Westpreussen) w lesie, nad malowniczem jeziorem mieszkał kaszubski prototyp Drzymały, gbur Aleksander Pepliński, który cztery długie lata na własnym zagonie... przejeździł.

Rozparcelował on przed kilku laty większą własność swoją, a na pozostałej części sam zamyślił osiąść. Gdy chciał na tej ziemi, wynoszącej przeszło 300 morgów wraz z lasem—wystawić dom mieszkalny -doznawać począł wielu szykan ze strony władz. Dokuczano mu tak, że sam własnemi rękami, nie kupując nic od Niemca, zbudował wóz kryty, w którym z rodziną zamieszkał, a z ojcowizny swej nie ustąpił. Przetaczał ten swój dom ruchomy z jednego kraju lasu ku drugiemu i tu wśród szumu sosen, nad zwierciadłem jeziora—wypracowywał w sobie ducha oporu i samoobrony. Nie dali mu w domu stałym na „ojczyźnie“ osiąść — więc wymyślił sobie wóz mieszkalny i tu, w srogie zimy, wśród niewygód i prześladowań mieszkał jeden z naprawdę „Ludzi Bezdomnych”.

Teraz wyjdzie ze swojego woza naprzeciw wojsk polskich.

Pamiętasz stara Gruchałowo, pamiętasz Plichto niewierny, pamiętacie starzy Gdyniarze jakeście się to dziwowali, gdyśmy wam dawno... przed wojną z A. Chołoniewskim powtarzali, że Polska już idzie! „Nie może to bec”. A jednak jest. „Łgorze z Warszawe prawdę mówili”. Teraz oto, jutro, może pojutrze zobaczycie polskich wojaków idących na dynie, polskie orły, polską kolej, harmaty polskie, szyf polski! Łzy wam popłyną z suchych oczu po chudych kościstych policzkach. Niejednym z was wstrząśnie do głębi płacz szczęścia... niejednemu serce pęknie z radości... Nie dożył ksiądz proboszcz z Oksywia, nie dożył starowina. Nie dożył pan Gawalewic... Ale wyście dożyli. I myśmy z wami dożyli, my, którzy pierwsi kiedyś docieraliśmy do waszych checzy i książeczki wam rozdawali i za to flondry piękne i mintusy smaczne wam zabirali. Bóg z wami Gdyniarze, beloki kochane! Piękne czasy na was idą. Już nie będziecie musieli wysyłać dzieciska i knopy czasem o 14 wiorst na naukę polskiego! Już wam nie będą kładli do trumien ostatniej książeczki polskiej, jaka się we wsi znalazła. Przetrwaliście! Przetrwaliście nie sto lat ale pięćset lat z okładem. Jesteście tacy jak byliście 600 lat temu. Mówicie językiem

najbardziej, najrasowiej, najstarzej, najczyściej polskim, językiem w którym przechowało się najwięcej drogocennych, omszałych starych słów z czasów Reja i Wujka. Nie wstydźcie się tego języka, bo z niego pełnemi garściami czerpać będą pisarze polscy XX wieku. Bóg da, że was Bołteczanie odkryje, pozna i pokocha inteligencja polska, jak was pokochali lat temu kilkanaście nieliczni, bardzo nieliczni jej emisarjusze. Polska ku wam idzie Gdyniarze! Wyjdźcie naprzeciw niej z ufnością, z wiarą, otuchą i sercem. Teraz już możecie na całe gardło pod gołem niebem śpiewać nie tak jak dawniej półgłosem, mrucząc i w zamkniętej izbie. Lechici wracają nad Bałtyk wracają! *Cassubia nunc canta*:

Tam gdzie Wisła od Krakowa
W polscie morze płynie
Polska wiara polska mowa
Nigde nie zadzinie.

II.

„Ernst blickte in die Fluren
Ins treue Land Masuren
Des Königs Angesicht
Er kam die Noth zu lindern
Er kam zu seinem Kindern
Zu üben heilige Königspflicht".
Hesekiel.

Luty 1920.

Tak brzmi wierszyk, który powtarzać muszą chórem małe dzieci we wszystkich szkółkach normalnych na Pruskich Mazurach. Mowa w nim o królu Fryderyku Wilhelmie IV, który w r. 1844 podczas ciężkiej zimy odwiedził kraj krocia jezior. I wiele innych takich wierszyków uczą się napamięć małe Mazury.

„Wild flutet der See
Drauf schaukelt der Fischer den schwankenden Kahn
Schaum walzt er wie Schnee
Von grausiger Mitte zum Ufer hinan
Wild fluten die Wellen auf Vaterlands Seen, wie schön!
O tragt mich auf Spiegeln zu flugeln Mazoviens Seen
O Heimatland, Masoviens Strand
Masovia lebe mein Vaterland!

Gdy się przegląda te poezje Fryderyka Dewiszejta, gdy się ma w ręku inny tomik liryków zatytułowany „Heimat in

Flammen“ z podpisem poetki Anny Skrzeczki, gdy się czyta nowele „Masurenblutt“ starego powieściopisarza Fritza Skowronka dziwnie bolesne i upokarzające uczucie ogarnia. Oto cały szczep, dzielny bohaterski szczep, o którym zapomnieliśmy doszczętnie. Przez cały ciąg historji państwowej była dla nich Polska macochą, niepoczciwą macochą. Duńczycy nie zapomnieli nigdy o swoich 250,000 o Duńczykach w Szlezwickim Holsztynie. Włosi nie zapomnieli o swoich 200,000 Włochów w Gradysce. Finlandczycy nie zapomnieli o swoich 150,000 Finnach w Karelji, ani Grecy o swoich 100,000 Grekach w Epirze! Ostatnio Czesi dopominają się gwałtownie o oddanie im Serbo-Łużyczan z Chociebuża, Budziszyna, Dobryłuka, Pinnowa, Biskupic, choć ten muzealny, również ewangelicki odprysk Słowiańszczyzny w Prusach i Saksonji i językowo i obyczajowo nie do nich a do nas najbardziej się zbliża.

Jest tego ludu mazurskiego dziś omal ćwierć miljona wrosłego mocno i głęboko w jeden z najpiękniejszych pejzażów Polski etnograficznej o jakieś sześć godzin drogi koleją od Warszawy. Rozsiadł się ten mazurski, śpiewny, miły, miękki słowiański lud nad przepięknemi jeziorami Orzyzskiem, Bełdańskiem, Oleckiem, Węgorapskiem, Dargeńskiem, Niewocińskiem, Kirszańskiem, Święciańskiem, Śniardwami i t. d., w dziewięciu powiatach i mówi najstarszą, najkrzepszą, najpyszniejszą polszczyzną pełną starych, omszałych najrdzenniejszych Rejowskich jeszcze słów starosarmackich. Jest to kraj Sienkiewiczowskich „Krzyżaków” i Kiejstuta, który tu kiedyś zburzył zamek węgoborski. Tędy to przez księstwo Gałędziańskie szedł handel jantarem (bursztynem) z Północnego Bałtu do Czarnego Morza, a woły podolskie na tych samych szlakach stąpały ciężko ku Gdańskowi.

Tutaj to puszcza Jansborska dziś jeszcze przeszło 98 klm. mająca przechodzi dalej w kraj Kurpiów a lud po obu stronach kordonu granicznego pełen tych samych zalet i tych samych przywar i grzechów, mocno lekkomyślny, swarliwy, niewytrwały, z trudem do czystości i porządku się naginający, skory do wypitki i wybitki, gościnny, pełen zabobonów, legendami żyjący, klechdy przedziwne opowiadający, uroki zażegnywający, z topielicami i zmorami pokumany, piwnooki, lnianowłosy, rybacki i bartniczy, Piastowy.

Tutaj to jeszcze ryby nazywa się często „rybitwy“, łowi

się je „matwiami“, a te przestare słowa razem z „niewodem“, „kadłubem“ przeszły nawet do terminologji niemieckich podręczników rybołówstwa, wzamian znowu dając potocznej gwarze słowa: lefelka, szreibować, gabelek, dycht zrobiony bucik (czółno) i t. p.

Opisał te czarujące, melancholiczne ziemie jezior i lasów Kościński w małoznanej u nas broszurze, opisała w sposób prosty, szlachetny a niezwykle ujmujący p. Sempołowska. Te ziemie również, w których nazwy miast i rzek dźwiękowo są najstarzej polskie (Warpuny, Patrąk, Omulew, Przegoła, Wkra, Kobułt, Wisztyniec, Margrabowa, Piorunowo, Rudczany, Konopka, Szczytno-Ortelsburg, Leck-Loetzen, Ełk-Lyck, ta też Szwajcarja mazurska jest tłem i terenem powieściowym wcale interesującego pisarza niemieckiego Skowronka, Ryszarda, który w dwuch szczególnie utworach, w „Masurenblutt“ i zbiorze nowel i w „Wie die Heimat stirbt“ (Jak ojczyzna umiera) dał melancholijną ale zbyt pesymistyczną tragedję tego opuszczonego przez swoich ludu, tej gałęzi wielkiego drzewa kompletnem odłamaniem zagrożonej.

Na ten lud mazurski napadł w r. 1917 podczas wojny literat niemiecki Ernest Wollzogen w książeczce zatytułowanej: „Landsturm im Feuer“ wydanej u Ullstejna. Starzejący się kabareciarz i piosenkarz niemiecki przebywał tu jako korespondent wojenny a wróciwszy do Berlina osmarował i oszkaradził Mazurów jako „typowych Słowian”, niechlujnych, nieporządnych, pijackich i kłótliwych.

W obronie tego to ludu mazurskiego splugawionego i wyszydzonego na równi z niemieckiem obywatelstwem i mieszczaństwem Prus Wschodnich w libelli p. Wollzogena stanęli mocno i energicznie Skowronek i Kenkel, zarzucając mu wprost mijanie się z prawdą i obserwację komiwojażerską. I istotnie sądząc z cytat z jego książki Mazur do Mazurów istotnych są tak podobni jak kabaret „Pod czarnym wieprzem“ był podobny do „Czarnego Kota“ na Butte sacree do Roulotty lub Mirlitonu lub jak lutnistka Laura Laura Seeman do Yvette Guilbert.

Ale w obronie tego ludu Mazurskiego i nam wypada powiedzieć słów kilka i to właśnie teraz, kiedy stosunki polsko-niemieckie, pozwolą nam w przyszłości zająć się kulturalnie i tą nadłamaną gałęzią. Musimy sobie przypomnieć, że pod względem kulturalnym mało dotychczas czyniliśmy i mało

troszczyli o ten lud przepomniany, który aczkolwiek poczucia polskości istotnie niema, jak od trzechset lat już nie miał, to jednakże do polskości stoi w stosunku takim, w jakim np. szwajcarzy niemieccy do Niemców z Rzeszy, jak rumuni siedmiogrodzcy do rumunów z Królestwa Rumuńskiego. Regjonalizm mazurów, ich miłość ściślejszej ojczyzny ma jeszcze specyficzną barwę, t. j. przywiązanie do dynastji Hohenzollernów i do dworu pruskiego, którego członkowie od dawnych czasów jeździli tu na polowania, na łosie, i z sympatją odnosili się do przeważnie protestanckiego ludu mazurskiego (katolików 20.700, zborów polskich ewangelickich 114). Przywiązanie to, podtrzymane jeszcze legendami o jakimś napadzie króla polskiego wespół z tatarami ongi na spokojnych mazurów streszcza w oryginalnym, często cytowanym wierszu:

„Statecznie my stoim za króla pruskiego,
Maszeruj polaku do Krakowa swego".

Przywiązanie to mazurów do dynastji pruskiej, z którego właśnie przekpiwa sobie p. Han Wollzogen w swej książce znajduje też ujście swe i wyraz w takich pismach mazurskich, jak np. dawny olsztyński „Przyjaciel Ludu", który w swej ideologji politycznej jest najskranniej konserwatywnem, najistotniej pruskiem pismem oczywiście w ludowym stylu, kosztuje w prenumeracie „pół marki na księżyc" i prowadzi wierszowane polemiki z polską prasą narodową z „Mazurem" w Szczytnie, z „Gazetą Ludową" w Ełku, czasem niezwykle zabawne a z polska zadzierzyste i gwałtowne.

Lud ten mazurski, będący w obyczajności swej zatem jakby mikrokosmem całej Polski ludowej zmniejsza się w swej cyfrze w tempie dość stosunkowo szybkiem. W miastach np. taki Węgoborek w r. 1801 miał 73 proc. mazurów, obecnie niema ich wcale, Leck lat temu 50 miał 86 proc. w r. 1913 ma 25 proc. W całości zaś 327.000 mazurów z r. 1883 spadło w r. 1908 na 250.000 a w r. 1913 na... 147.000. Obok różnych innych czynników mocno wpływała na to „umieranie ojczyzny", jak to nazwał R. Skowronek także i emigracja do Westfalji i do Ameryki.

My o naszych Mazurach przypominamy sobie dopiero teraz. Miłością i opieką otoczyliśmy i Orawian i Spiżaków i Ślązki lud bohaterski, a o tych geograficznie najbliższych, a duchowo

najdalej odpadłych od pnia macierzyńskiego nie troszczymy się jeszcze tak, jak tegoby obowiązek narodowy się domagał. Podhale szczęśliwe miało swoich odkrywców w Witkiewiczu i Chałubińskim, ma swego Homera w Tetmajerze. Górny Ślązk znalazł swego patrona i orędownika w wielkim i szlachetnym jałmużniku Osuchowskim i w tylu, tylu świetnych działaczów pośród siebie. Nawet Hucuły w Żabiu już zostały „odkryte“, narazie tylko przez grupę świetnych malarzy. Jeno po Podhalu najpiękniejszą, najbardziej malowniczą, pejzażową, najoryginalniejszą obyczajowo najciekawszą, językowo najstarszą, najarchaiczniejszą okrainą Polską jeszcze nikt się nie zajął.

Nie miała szczęścia jeszcze znaleść swego Osuchowskiego, swego Witkiewicza, swego Tetmajera, swoich malarzy. Tymczasem zajęli się nią inni obcy. Jej Tetmajer nazywa się wprawdzie Skowronek, ale na imię mu Fritz i jest fanatycznym Prusakiem, zażartym zwolennikiem Hohenzollernów, junkrów, militaryzmu. Świeżo napisał wielką trylogję o wojnie, która rozeszła się w 200,000 egzemplarzy (Sturmzeichen. Der Grosse Feuer. Die schwere Noth) i odkrywa dla kultury niemieckiej „das treue Land Masuren”. Bohaterem jest prusak o francuskiem nazwisku, protestant, hugonota, który zakochany w ideałach pruskich walczy z nawałą rosyjską spadającą na Wschodnie Prusy. Powieść czytały całe Niemcy i odtąd zaczęły się interesować intensywniej Wschodniemi Prusami i tym swoim „najwierniejszym“ i najbardziej wojną doświadczonym szczepem... Mazurami. Raz po raz miały miejsce wycieczki posłów parlamentarnych „ins treue Land Masuren”; zaczęli przyjeżdżać tam masowo dziennikarze, publicyści, działacze. Wszystko przybywało oglądać spustoszenia jakie porobiła inwazja rosyjska pod czystorosyjskimi jenerałami Siewersem i Rennenkampfem i tereny bojów, na których 15 lutego 1915 roku odniósł wielkie rozstrzygające zwycięstwa wielki „Hindenbóg”. I wtedy dopiero przekonano się naocznie, że w tych dziwnie zwanych miejscowościach, koło tych miasteczek pozornie czystoniemieckich, w tym Instruciu, Łyku, Ełku, w Broblach, Prostkach, Kolnach, Nikołajkach, Drygałach, Białach, Szczepankach, Snopkach, Ządzborkach, Niborkach, Jańsborkach, Wiewiorkach, Borkach i borach mieszka jakiś dziwny narodek, mówiący językiem, w którym pełno jest słów niemieckich, staroniemieckich ale bardzo zbliżonym do języka tych „aus Grosspolen“, z Księstwa, ze Śląska, z Tuchol-

skiej puszczy, z Kaszubskiego brzegu, a co ciekawsze do języka ze Starej Biblji Gdańskiej czy Radziwiłłowskiej, do języka psałterzy, do języka Biernatów i Reyów.

W r. 1917 i 1918 Mazury wschodnio-pruskie stały się modnemi w Niemczech. Dziś w r. 1919 najwyższy czas aby stały się modnemi w Polsce.

Jest ich dobre 390,000 z tego 60,000 katolików-Warmjaków reszta ewangelicy. Mieszkają w powiatach: olszyńskim, ostrodzkim, niborskim, szczycińskim, jańsborskim, żadzborskim, łyckim, ełckim (leckim) i oleckim, przytykając zwartą compact masą etniczą na przestrzeni 280 klm. do Królestwa Kongresowego.

W ostatnich 25 latach germanizowali się niestety masowo i z przerażającą szybkością. Jeżeli się porówna gęstość osiedlenia mazurskiego na mapie Boekha z r. 1861, z mapą P. Langhansa z r. 1911 można widzieć ze zgrozą jak cofał się, zanikał i ginął element polski, a jak wżerał się, wciskał, rozprzestrzeniał i brał górę wraży żywioł germański. Jak jednak pomimo tego dzielnie jeszcze przetrzymał się aż do wojny europejskiej szczep mazurski, to można z radością konstatować na mapach oficjalnego atlasu: Königlich Statistisches Bureau z r. 1905, oraz na fatalnej wogóle dla niemców mapie inżyniera Jakóba Spetta z r. 1910 (Nationalitkätenarte der Ostlichen Prowinzen des deutschen Reiches). W każdym razie trzeba to wyznać szczerze, że gdyby nie wojna europejska i walne choć jeszcze nie definitywne zdruzgotanie molocha teutońskiego, to lud mazurski tym łagodnym, miękkim i chytrze spokojnym metodom germanizacyjnym (zgoła innym jak np. w Księstwie) nie oparłby się i koło roku 1950 Mazurów pruskich może jużby nie było. Tak twierdzą pesymiści. Tak mi mówili zresztą na miejscu w Szczytnie w r. 1913.

Pomimo tego można z całem głębokiem przekonaniem twierdzić, że jako całość, jako szczep Mazury się duchowo nie sprusaczyli. Jak górnoślązacy z przed lat dwudziestu byli głównie „centrowcami" i katolikami, tak Mazurzy czuli się przedewszystkiem ewangelikami, a potem rzecz oryginalna „monarchistami" i hohenzollernistami. Skutkiem specjalnej polityki dworskiej Hohenzollernów lud mazurski szczególnie z Pojezierza Wschodniego był wyraźnie faworyzowany i wyszczególniany. Już Fryderyk Wilhelm I otaczał Mazurów szczególną pieczoło-

witością i sympatją. Wilhelm II przejął po protoplastach ten obowiązek kokietowania i schlebiania Mazurom. Jeżdżąc do zameczku myśliwskiego Rominten do „swoich Litwinów” zbaczał bardzo często do miast mazurskich i tu przejeżdżał samochodami z dworem od miasteczka do miasteczka, rozmawiając serdecznie z tubylcami i wtrącając nawet mazurskie słowa. Tosamo czyniła cesarzowa i arystokracja dworska, która tu ma liczne majątki, fideikomisy i tereny do polowań. Skutkiem tego w każdej chacie każdego mazura wisiały na ścianach obrazki kolorowe z Wilhelmem, Augustą, Klownpryncem, rzadziej z Bismarkiem, z Moltkem, ze starym cesarzem. Kult dynastji Hohenzollernów był u Mazurów trzeba to przyznać wielki, mniejszy już kult dla państwa i dla systemu pruskiego, bardzo mały dla biurokracji i żandarmerji. Mazurów olśniewała potęga i bogactwo dworu, junkrów i landrathów, oszałamiała moc militarna pruska; o sąsiednich Mazurach z Kongresówki wiedzieli tylko że żyją w niewoli rosyjskiej i w biedzie.

Dziś dynastja pruska poszła już na szmelc i w pohańbienie, Wilhelm i jego synowie pouciekali tchórzliwie i nikczemnie. Z dworu niema ani śladu. W Rominten jak i w Cadinen rządzą demokraci, Prusami trzęsie febra rewolucyjnej anarchji, cały porządek, ład i dyscyplina, które tak imponowały naszym Mazurom chwieją się w oczach. Mazury szczep refleksyjny, spokojny i poważny, zbożny i pracowity, rybacki i leśny obserwują to wszystko, ten „verfall Kajserowy“ i wyciągają z tego odpowiednie wnioski. Ergo to nie był „zamek spiżowy“, ergo to nie był po Bogu zaraz największy potentat, ergo są potęgi wyższe. A tam za ścianą graniczną, za kordonem pruskim jest przecież jakaś nacja, która tą samą gwarą gada i taksamo mazurzy i takie same ma obyczaje chłopskie i taksamo nie jest bardzo... schludną i taksamo... woli... gorzałkę niż piwo... Upadek ustroju monarchicznego w Prusach wstrząsnął rojalistycznym światopoglądem tych rasowo najczyściej polskich a duchowo najbardziej obcych nam narazie rodaków, z krwi i kości Lechitów, z krwi i kości Polan, z krwi i kości Słowian. Gdyby Prusy były zachowały ustrój monarchiczny, jak to było w planie ks. Maksa Badeńskiego w Listopadzie z którymś z synów Wilhelma na tronie, dopolszczenie Mazurów naszych byłoby trudniejsze jeżeliby zwycięska reakcja na nowo odrestaurowała monarchizm choćby w Prusach. Wobec ustroju republikań-

skiego i co więcej przechylającego się ku socjalizmowi, konserwatywne Mazury są do Prus zniechęcone, a mocno i sprężyście zainicjowana agitacja odda ich po wiekach, po długich wiekach ich prawowitej macierzy.

Że taka agitacja ale tylko przez tamtejsze lokalne żywioły prowadzona już się zaczęła o tem wiemy coprawda niestety z licznych aresztowań, gwałtów i represyj. Sanguis martyrorum semen Christianorum. Już aresztowano księdza Goryńskiego z Kobult, Wałkowiaka z Dąbrówki, Labusza w Hezamburgu a w Szczytnie Gąsowskiego i niezwykłych zasług działacza i niestrudzonego budziciela i wskrzesiciela polszczyzny p. Jaroszyka, redaktora kochanego „Mazura”, pisma drukowanego starą szwabachą tak jak się pierwsze księgi polskie drukowały. Zaciera ręce z tych aresztowań szpetny renegat, „Koždoń mazurski”, Wychowski, redaktor „Pruskiego Przyjaciela Ludu”. Ale niedługo się cieszyć przyjdzie mazurskiemu zdrajcy. Koždon z Cieszyna już siedzi w Krakowie za kratami u św. Michała, maluczko a dostanie wnet i w p. Wychowskim towarzysza, jeśli ten nie przestanie denuncjować Mazurów jako „Spartakisten”. Agitacja polska obraca się dotychczas w granicach jak najskromiejszych. Cicha, pokorna, zastraszona, steroryzowana ogranicza się na mikroskopijnych „prywatnych” wiecach, odezwach podawanych z rąk do rąk i t. p. Natomiast niemiecka agitacja przybrała wprost fantastyczne kształty. Zakładają się nowe pismidła, drukuje tysiące plakatów, proklamacyj, oratorzy jeżdżą z Olsztynka do Komorowa, Mózgowa, Muszek, Olsztynka, Olszówki, Jabłonek, Jeziorek, Wiewiórek, Szczepanek, Węgoborek, Margrabowej, Szczytna, Kalinowa, Wiśniewa, Dunajek, Boguszów, Jezioran, Grudka, Rybna (jak z nazw już widzimy rdzennie... pruskich miejscowości) i szkalują powstające państwo polskie co się wlezie; jedni jako skroś bolszewickie i anarchiczne, inni jako skroś reakcyjne, katolickie i junkierskie.

Już ta agitacja antypolska belfrów gimnazjalnych i beamterów z Landrathur na jakiś czas osłabła i zeskromniała; ale ostatnio pod wpływem telegramów z Paryża znów zapewne podniesie swój łeb, zioniący wokół ogniem i siarką.

Istotnie bowiem ostatnie telegramy z Konferencji Pokojowej zdołają cokolwiek wlać otuchy w serca hakatystów z Prus Książęcych. Coprawda na krótko. Są to bowiem tylko fluktuacje nastrojów i przypadkowe kroki wsteczne w pochodzie

naprzód ku wymierzaniu wszystkim sprawiedliwości dziejowej. Ostatnia decyzja „Komisji Terytorjalnej Polskiej”, t. j. t. z. Komisji Cambona w sprawie Mazowsza pruskiego nie jest chyba, bo nie może być jej ostatniem słowem w tej ważnej sprawie. Nie uwierzymy nigdy w to, aby przedłożenia Komisji Pięciu oddane Conseil des dix szły już bezapelacyjnie w sprawie rewindykacji Mazowsza Pruskiego nie po linji tezy Wilsona t. j. „oddanie ziemi bezsprzecznie polskiej“, ale po linji pruskich uroszczeń, stwierdzających nadal panowanie historycznego gwałtu. W ten sposób bowiem arbitrowie decydujący w Paryżu o losie Europy na całe nowe seculum, wyrażający już pewne restrykcje co do Gdańska i oddający sprawę reaneksji Mazowsza pruskiego przyszłemu plebiscytowi, powtórzyliby tylko błąd Jagiełły, niewyzyskującego zwycięstwa grunwaldzkiego, błąd polityczny naszego Zygmunta Starego. Dawid Lloyd George, Szkot (jak wszystkie Szkoty nam mniej chętny) kopjowałby w sprawie Gdańskiej tylko potworny błąd jednego z fatalnych polityków angielskich niejakiego Haylesa of Dalrymple (z anno 1788)... Ententa wonczas wygrałaby wojnę ale Teutony wygrałyby pokój...

Pas wybrzeża bałtyckiego, nam przydzielony jest powiedzmy to sobie jasno i szczerze mniej jak skromny. Jest to jakaś jedna trzydziesta część tego co mają w wybrzeżu morskiem Włochy, Francja, Hiszpanja, Szwecja, Norwegja, Danja, jakaś dwudziesta część tego, co ma Grecja, Portugalja, Finlandja, jakaś jedna piąta tego, co ma Rumunja, Bułgarja, Holandja. Jeżeli przy reanneksji tego istotnie tylko „couloiru“ do morza i przy restytucji ośmiu bez dyskusji nawet wedle Wilsona przynależnych nam powiatów mazurskich dostanie się przy tej sposobności jakieś choćby 2 miljony, wmieszanych Niemców w granice państwa polskiego, to Niemców tych będzie wtedy w Państwie Polskiem ostatecznie mniej w każdym razie niż ich jest w Republice Szwajcarskiej i mniej niż ich było przez cały wiek XIX pod butem i batem madziarskim. Czyż naród, który dał światu Kopernika i Sobieskiego, Mickiewicza i Chopina, Sienkiewicza i Skłodowską, który miał w swej historji Grunwald i Konstytucję 3 Maja zasługuje na mniejsze zaufanie Europy w swe tolerancyjne i liberalne rządy jak azjackie Węgry z Budapesztu, które dały cywilizacji europejskiej Annę Czillag i Mikosza?

Na ten nawet tak skromny pas wybrzeża, dający zresztą

głównie Zachodniej Europie gwarancję równowagi i jej wpływów we Wschodniej Europie, zgodziliśmy się nietylko bez szemrania ale ze szczerym entuzjazmem (zapominając o 250 klm. proponowanych przez R. Dmowskiego) nie przypuszczając atoli ani na moment, że co do zwrócenia natychmiastowego ziem rdzennie polskich Mazurów może Komisja Pięciu mieć jakieś restrykcje i że nawet ta komisja (najbardziej nam oddana) wykoncypuje tylko dla tego jednego wypadku formułę plebiscytu. Z prawdziwą przykrością dowiadujemy się z prywatnych ale najautentyczniejszych źródeł, że za formułą plebiscytu przemawiał prof. Bowman, podczas kiedy sir William Tyrrel, a nawet delegat japoński p. Otchiai (nasz nawiasem mówiąc żarliwy przyjaciel), był za włączeniem zasadniczem do Polski ziemi mazurskiej w tych prawdopodobnie rozmiarach, w jakich zakreślił je na mapie colonel House wobec delegatów polskich ewangelików wizytujących go miesiąc temu. Nie mogła tu w grę wchodzić obawa przed nietolerancyjnością klerykalizmu. Kulturkampfu w dziejach państwowej Polski nigdy nie było, o czem bezwątpienia poinformowali delegatów amerykańskich w Paryżu superintendent ks. Bursche, hr. Puttkamer z Litwy oraz ewangelicy śląscy.

Kraj Galindów, kraj krocia jezior do nas należeć musi i należeć będzie. Przynależność Mazurów do polskiej rasy przyznaje nawet Arthur Döhring w dziele p. t. „Über die Herkunft der Masuren (1914). Te cudownie piękne, smutne, melancholijne jeziora, te Mamry i Smiardwy, te łańcuchy wód niekończących się, ten krajobraz ze Słowackiego „Lilly Wenedy" i „Mindowego" musi jeszcze w tym roku, w tym lecie poznać inteligencja polska i tam znaleźć swoje drugie Podhale, drugie Zakopane, choćby to Szwabom nie konwenjowało, choćby drżeli ze strachu, że Polacy sięgają po „Grüne Brücke" w Królewcu...

Plebiscytu na Mazurach się nie boimy, ale nie teraz i nie w takich warunkach. Poznawszy ten szczep choć bardzo powierzchownie i przelotnie, ale z autopsji, naocznie można już nabrać głębokiej ufności, że w tym ludzie instynkt rasy przemówi mimo różnic wyznaniowych, które zresztą w obrębie całej chrześcijańskiej wiary, żadnej roli dziś już grać nie powinny i nie grają jak o tem świadczy np. niezwykła popularność kalwina jenerała Dowbór-Muśnickiego we wskroś katolickiej dzielnicy Wielkopolskiej. Referendum na Mazurach pruskich mo-

globy mieć miejsce ale za rok, za dwa. Przedtem Prusy Książęce musiałyby być najcałkowiciej zdemilitaryzowane, zneutralizowane, izolowane od wpływów berlińskich i królewieckich. Polakom z Księstwa i z Królestwa musiałaby być zagwarantowana swoboda wolnej konkurencji i wszechstronnego działania oczywiście w granicach najlegalniejszej i najlojalniejszej agitacji. I wtedy gdyby w licznych fortach, Kern-werkach, małych twierdzach i przyczółkach mostowych mazurskich stanęły garnizony nawet nie polskie tylko mieszane, t. j. koalicyjne, (a nawet w pewnym procencie pruskie), albo też gdyby sama Anglja dostała (jak to twierdzi Dillon) mandat do wykonywania kontroli i nadzoru ścisłego jak nad Łotwą i Estonją tak i nad Prusami Wschodniemi, wtedy mogłyby zapanować warunki możliwe dla swobodnego i rzetelnego wyrażenia istotnej gromadnej woli narodowej w plebiscycie mazurskim. Tak jak dziś rzeczy stoją Mazurzy są jeszcze zasugestjonowani i zahipnotyzowani mocą militarną, wyższością kulturalną i tolerancją wyznaniową Prusaków, a pod względem narodowym indyferentni śpią w jakimś od kilku wieków trwającym letargu.

Rozbudzić ich może tylko potężny głos rycerskiego rogu zbrojnego Juranda ze Zbychowa...

I wtedy dopiero ta po macoszemu traktowana, przepomniana i poniechana a ewangelicznie dobra i cierpliwa ziemia mazurska odezwie się pierwsza i przypadnie z płaczem do kolan Macierzy polskiej, gromadzącej koło siebie wszystkie swe, wszystkie bez wyjątku dzieci.

III.

Luty 1920.

Historyk Kromer wywodzi nazwy Wenecji Północnej (jak Humbroldt Gdańsk nazwał) od Duńczyków. Pisze o tem: „kiedy Wizimierz mając wielką obfitość jeńców Duńczyków onemi miasto morskie osadził, które Dańskiem albo Gdańskiem od Duńczyków nazwano". Uczony Lorentz twierdzi, że Gdańsk to nazwa szczerze niemiecka urgermanisch; Gethen potwierdza duńską genezę nazwy Gdańsk. W dokumentach archiwalnych kilkakrotnie znalazło się „pons danensis" — most wiodący do Danji. W żywocie św. Wojciecha Gdańsk nazywa się Gyddanyze. Jest też hipoteza, że nazwa Gdańsk pochodzi od skan-

dynawskiego Gotis — scanza znaczy miasto założone przez Skandynawów. Za czasów rzymskich zatoka przy ujściu Wisły nazywała się: „simus gdanus” od rzeczułki prawdopodobnie zwącej się Gdan jak Pińsk od Pini, Bielsk od Białej, Mińsk od Mieni. Gdan to była prawdopodobnie dzisiejsza rzeczka Radunia. Na tą hipotezę godzą się slawiści Jagiecz i Kętrzyński.

Tu pozwolimy sobie przytoczyć pewną starą nieznaną legendę o założeniu Gdańska, wierszem łacińskim opiewaną przez X. Jana Skorskiego S. J. (Lwów 1745). Treść legendy jest taka mniejwięcej, że nasz praszczur Lech wraz ze synem swoim Wizimierzem szukał po morzach swej córki Kibrji, porwanej przez Rossa. Na Adrjatyku burza rozpędziła okręty i na dłuższy czas rozdzieliła ojca z synem. Lech po wielu przygodach przybył do Wandalji i założył tam Gniezno. Wizimierz zabłąkał się aż do Danji i tam ścigany przez jakiegoś czarodzieja, przybrał dla uniknięcia zasadzek imię Lechdana. Jako Lechdan Wizimierz pokonał Duńczyków i wziął wielu jeńców. W ich otoczeniu przybył z drużyną do ujścia Wisły.

A oto wiersz w tłumaczeniu B. Kotfickiego:

Lechdan, gdy się namyśli do swych obrócony
Rzecze: Czas przyszedł, żeby był uspokojony
nasz animusz. Trzeba nam znacznemi pracami
znużonym odpoczynku nad temi brzegami.
Rozumiem, że ta ziemia, dotąd niepoznana,
od nas dopiero pierwszych zostaje widziana,
Czyli jednak w niej ludzie jakowi mieszkają,
czy na ich miejscu w lasach monstra zasiadają,
mniejsza o to; a jeśli rzeczby była miła,
żeby się tu ojczyzna Sławów odrodziła,
niech z nas weźmie początek! Tak które powstaną
tu narody, za dzieci i wnuków nam staną.
Któż nam tego zabroni? Czy może takowym
zamysłom sposobniejsza być ziemia i nowym
do powstania narodom, jaka to przestrona
ziemia, ktora z mieszkańców jest ogołocona?
Niech tu wstaje ojczyzna Sławom, niech zwycięstwa
mają Kapitolja świadki swego męstwa!
Brzegi miastom sposobne, więc niechaj z murami
dwa miasta nad oboma powstają brzegami
a jako wódz dwoistem wasz imieniem słynie,
tak pomiędzy dwa miasta niech ta rzeka płynie!!
Natychmiast na Lechdana rozkazy gotowe
wojsko w tym punkcie pełni zamysły wodzowe,

stawia miasto wspaniałe z jednej rzeki strony
z murami, potrzebnemi do jego obrony,
któremu ozdobnego imienia przybiera,
Wizmarją zowiący go od Wizimira.
Z drugiej zaś strony, gdzie się szeroka nadała
równinę dwuch brzegów Bałtydy tykała,
drugie miasta powstają, które Duńczykami
osadzono, po wojnie tej niewolnikami,
od których było miastu i imię nadane,
kiedy od Danów było Gdanem mianowane.
I toć to miasto, które tytuły na sobie
cudzej nosi ruiny i klęski w tej dobie,
dosyć szczupłe na ten czas, ledwieby był ktoby
o podobnem mógł sądzić do przyszłej ozdoby.
Ale przyjdą czasy, kiedy zalecone
portem — po całym świecie będzie rozgłoszone,
w bogactwa i honory wysoko powstanie
i wolne jakby księstwo udzielne zostanie.
A skoro tak urośnie, co teraz w tej mierze
od Duńczyków jest Gdanem, to potem pobierze
Gdańska imię. To wszystko zna ze swego pana
pierwszego i autora — sławnego Lechdana,
który te ufundował miasta duńską klęską,
a przez to dzielność wsławił Słowaków zwycięską:
Tak na mocnem teatrum zwycięstwo zostało
Sławów, na nieśmiertelnejby im nie zbywało
sławie, która gdy wszystko czasy grzebią w ziemi,
sama wiekować może dziełami wielkiemi!...

Najstarsze dwa dokumenty, gdzie wspomniany jest Gdańsk są z roku 995 w darowiźnie Gniezna i Polski przez Odę (żonę Mieszka) Papieżowi Janowi XV, gdzie określone są granice Polski i naznaczone że całe Pomorze od Odry do Wisły było w rękach Polski. Tekst ten brzmi:

Incipit a trimo latere longum mare fine prussiae...

A fine Milze recte intra Odere, et exinde ducente juxta flumen Odera".

Drugi dokument jest z Jana Kanaparjusza „Żywota świętego Adalberta" w „Monumentach Poloniae" ustęp, gdzie naznaczone znowu, że w r. 997 św. Wojciech jadąc dla nawracania Prusaków płynął cały czas rzeką polską aż do portu polskiego: *Ipse Adalbertus vere adiit primo urbem Gyddanyze, quam ducis latissima regna dirimentem maris confinia tangunt.*

Przypomnieć należy, że osiadać w Gdańsku pozwolił Niem-

com dopiero w 1238 roku Świętopełk, lennik Leszka Białego. Z krzyżactwem Pomorze w ustawicznych pozostawało walkach, rozterki między władcami dzielnic pomorskich doprowadziły jednak do mieszania się już to łupieżczych margrabiów brandeburskich, już to krzyżactwa do wewnętrznych spraw Pomorza— oczywiście z największą dlań szkodą. Krzyżacy, wezwani jako hołdownicy Polski do dania pomocy przeciwko brandeburczykom, obsadziwszy, wedle umowy, część gdańskiego zamku — przepędzili tamtych. Gdańsk, należący do Polski od czasów Bolesława Chrobrego, opanowali Krzyżacy tedy zdradą w roku 1309 za Władysława Łokietka. Odtąd Polacy byli odcięci od morza przez 157 lat, prowadząc z Krzyżakami zacięte boje, uwieńczone ostatecznie zwycięstwem i powrotem do brzegów morskich za Kazimierza Jagiellończyka.

Następny ważny dokument dochowany w całości jest już tegoż króla Kazimierza Jagiellończyka Privilegium Casimirianum z 6 Marca 1454. Brzmi ono w tłumaczeniu dosłownie jak następuje:

„Obiecujemy za nas i za dziedzice i za potomki nasze i za całą Koronę Polską, że przerzeczone ziemie i dziedziny oraz prałatów i świeckich panów, ludzie rycerskie, szlachtę, obywateli, mieszczan, i wszystkich mieszkańców jakiegokolwiek stanu, zatrudnienia lub godności—względami, łaską, życzliwością i miłością królewską obdarzymy i przeciw jakimkolwiek krzywdom i napaściom jako wiernym poddanym użyczymy im naszej królewskiej pomocy i obrony... Obiecujemy nadto na nas i za dziedzice i potomki nasze, iż przyrzeczone pany, szlachta i mieszczany i wszystkie obywatele ziem naszych pruskich *przy ich kościołach, w prawiech, wolnościach, liściech*, które od książąt duchownych i świeckich, od królów i panów otrzymali—*chowac będziemy i bronić*. Onych ani nigdy nie będziemy gwałcić albo przestępować, ani też nie dopuścimy, aby je ktokolwiek gwałcił lub przestępował... A wszystkie sprawy znaczniejsze, które przynależą ziemiom przerzeczonym będziemy kończyć i rozstrzygać *za spólną radą senatorów duchownych i świeckich, szlachty i miast ziem onych*".

Poprzedziło ten akt wiekopomny przepędzenie Krzyżaków. O latach tych pisze historyk Gdańska A. Lindner. (Danzig. Leipzig. 1903).

„Od czasu nieszczęśliwej bitwy pod Tannenbergiem 1410 r.

potęga Krzyżaków zaczęła upadać. Wewnętrzne spory i przedsiębrane na własną rękę *rozboje* pomiędzy pochodzącymi z rozmaitych krajów Niemiec rycerzami, pogrzebały karność i porządek i zaszkodziły poważaniu u mieszczan. Komturowie i dowódcy nie troszczyli się o główną władzę Wielkiego Mistrza z Malborga, ale wykonywali w swych krajach *samowolną władzę tyranów*. Przywileje miast coraz bardziej malały, ich prawa wolności zostały znieważane, natomiast rosły podatki i dziesięciny. Gdańscy mieszczanie zostali zmuszeni do oddawania za wielkiemi opłatami zboża do mielenia w młynach krzyżackich. „Flamandzki sążeń" (wedle którego wymierzono podatek rolny) został skrócony. Zabroniono rybołóstwa. Lichy pieniądz przez zakon wybijany, miedź zamiast srebra, przyczyniały się do zubożenia kraju. Kto zaś przeciw temu, wysysającemu soki żywotne kraju, przeciw „przemocy i bezprawiu i uciemiężeniu" do Malborga zanosił skargi, temu groził jeszcze większy ucisk, więzienie i kara śmierci". Tak pisze rodowity Niemiec.

Dnia 4 lutego 1454 r. gdańszczanie wypędzili załogę krzyżacką z zamku gdańskiego i wysłali burmistrza wraz z 12-ma posłami od Stanów pruskich do Krakowa z prośbą o wcielenie całych Prus do Królestwa Polskiego. Kazimierz IV Jagiellończyk wjechał do Gdańska 14-tego dnia po Wielkiej Nocy 1454 roku. Dzień ten ważny może być uznany za początek okresu najświetniejszego w rozwoju Gdańska.

Po wojnie 13-letniej z Zakonem wówczas jeszcze Rycerzy Marji Panny zyskuje Polska w pokoju toruńskim (1466) wedle tekstu traktatu następujące ziemie, które przetrwały już do końca XVIII wieku. Cytujemy po łacinie byle w oryginalnem brzmieniu:

1) Terra bulmensis cum suis castris, civitatibus et oppidis ac fortalitiis videlicet Thorun veteri et nova, Birgelau alias Byrzglowo, Aldehaus alias Starigrod, Culmen alias Chelm, Venczelau alias Dunislaw, Leipe alias Lipno, Schenenzch alias Kovale, Roghausen alias Rogozno, Engelsberg alias Koprzywno, Reden alias Radzyn, Grudentz alias Grudzancz, Golau alias Golub, Papaw alias Papow, Strasberg alias Brodnica, Liteberg alias Ludberg, Bratian, Neuemarckt alias Nouoforo, Lessen alias Lassyno, cum omnibus suis pertinentiis et villis quae pertinebant ad iudicium et banderium Culmense, et cum tota terra Michaloviensi nihil excipiendo.

2) Item tota terra Pomeraniae circa antiquos terminos suos cum universis castris, civitatibus et oppidis, municionibus in ea constitentibus, vedelicet *Gdanczk alias Gdansk*, Pwozek alias Puczki, Lawemborg alias Lemberg, Heyle alias Hella, Liebe alias Coszczewzim, Grebin alias Grabino, Derschaw alias Tczew, Mewe alias Gniew, Sthargarth, Neweburg alias Nowe, Swetcze alias Swycze, Mossek alias Ossyk, Jessenycz alias Jasieniecz, Keyschau alias Kiszowo, Slochau alias Slochow, Konycz alias Choynycza, Fredeland, Hamersteen, Bewtau alias Bytow, Tuchel alias Tuchola, Sobbycz alias Sobowicz, Schoneke alias Skarzew, Baldenborg et cum Naria, fluviis, aquis, mari, ac piscaturis quae sunt in cauda maris alias Hap, villis, portibus, insulis et pertinentiis universis.

3) Item... castrum et civitatem Mariemburg cum duabus insulis, magna videlicet et altera parva, quae dicitur Fysannysse, Herweder et cum integritate locus Drussen... et cum districtu Scharchaffaw... Item castrum et oppidum Stum... Item civitas Elbing utraque vetus et nova cum districtu... et cum oppido Tholkmyth et ejus districtu... et cum sex villis tenutae et castri Holanth videlicet Pylomen, Myslothino, Berthkoni, Kamersdorff, Wielkielicz et Przeuessemeret et cum qui que villis que ad oppidum et districtum Molhnuzen pertinebant, videlicet magna Staban, parva Staban. Schonemor, Pommerndorff et Volfder.

Item oppidum et districtus Krischburg alias Drzgon... cum oppidis et allodiis, z wyjątkiem: curia Dolesczech, villa Halbenstadt, villa Moyserburg, które zostają przy Zakonie.

Item... Warmiensis ecclesia et ejus pontifex... cum capitulo, exnunc et de caetero, cum omnibus suis castris, civitatibus, oppidis et munitionibus, videlicet Helsberg, Bromberg, Vormedilth, Serburg, Vartenberg, Reschel, Bischofstein, Alesteyn, Gekteszkath, Melizak, Vartenberg, Frawenburg et Bischofsburg cum omnibus districtibus... in... Regni Poloniae ditione, subjectione et protectione consistet.

Odtąd Pomorze Gdańskie wraz z resztą Prus Zachodnich należało do Rzplitej, wykazując zwłaszcza w czasie wojen szwedzkich niezachwianą wierność Rzeczypospolitej. Najświetniejsze czasy Gdańska przypadają na okres z górą 300-letnią związku z państwem polskiem. Obdarzony przez Kazimierza Jagiellończyka swobodami, jakich nie miał za rządów krzyżackich, Gdańsk stał się jakby niezależną republiką kupiecką. Ciężary

na rzecz Polski w porównaniu z krzyżackiemi zostały zredukowane. W wieku XV i XVI Gdańsk staje się głównym portem wywozowym zboża polskiego i „spichlerzem północy". Gdańsk odgrywał rolę największego pośrednika handlowego Polski z rynkami europejskiemi i zamorskiemi.

Zakwitł handel morski i rozwinęły się stosunki z miastami portowemi. Kupcy z Krakowa i innych grodów poczęli zapuszczać się na własnych okrętach do Anglji, Holandji i Hiszpanji. Zygmunt I w sporze morskim królów duńskiego i szwedzkiego, występuje jako pojednawca, a w roku 1557 miasta hanzeatyckie proszą Zygmunta Augusta o protekcję.

O handlu morskim Gdańska i jego flocie kupieckiej posiadamy wiele szczegółów w dziele Hirsza, wydanem po niemiecku w Lipsku i w „Encyklopedji staropolskiej" Glogera. Za Zygmunta Starego, gdy obrany mistrzem krzyżackim Albert brandenburski uchylał się od złożenia królowi polskiemu hołdu, gdańszczanie wyprawili natychmiast pięć okrętów do Kłajpedy. Tam wylądowawszy, zburzyli miasto i pobili posiłkującą mistrza flotę niemiecką.

O zaczątku marynarki polskiej wspomina Długosz, opisując zdobycze Bolesława Krzywoustego, sięgającego aż do wyspy Rugji. Zygmunt August pierwszy powziął myśl utworzenia na morzu Bałtyckiem floty polskiej. Wykonanie zamiaru przyśpieszyło zajście z kawalerami mieczowymi w Inflantach, którzy uwięzili arcybiskupa ryskiego, a posła polskiego zamordowali. Pokonać można ich było przy współudziale siły morskiej. Król tedy zorganizował dość rychło flotę ochotniczą i admirałem mianował Tomasza Sierpinka. W r. 1557 wydał mu król „list przypowiedni" na wyekwipowanie 3 okrętów za 100.000 talarów pożyczonych przez Gdańszczan. W 1556 r. ukazały się pierwsze trzy okręty z flagą polską, czyli banderą. Polskie bandery kupieckie miały figurowaną rękę po ramię z mieczem w dłoni w polu czerwonem. Flota królewska z trzech okrętów, po kilku latach urosła do piętnastu, a książę królewiecki, jako hołdownik, nadesłał jeszcze trzy swoje okręty.

Był to, jak stwierdza Witold Huber, zawiązek marynarki królewskiej. Eskarda otrzymała rozkaz przejmowania ładunków do Narwy, przyczem, wrazie zatrzymania statku 0,9 ładunku otrzymała osada okrętu królewskiego, a 0,1 należało do króla. Były to warunki, stosowane zazwyczaj w ówczesnej wojnie

kaperskiej. Zygmunt August nawoływał do stworzenia floty, lecz nie znajdował posłuchu. W 1563 roku wydał znów patent Figenowowi na statki ochotnicze, nazywające się „Lew" i „Gryf" a te skutecznie ścigały kontrabandzistów. Komendę naczelną sprawował wciąż Tomasz Sierpinek, mianowany admirałem królewskim; ekwipował zaś okręty kasztelan gdański Jan Kostka. Jako podstawę operacyjną miała eskarda Gdańsk, gdzie w porcie została utworzona stacja strażnicza, a potem, gdy mieszkańcy ciągle zanosili skargi na marynarzy królewskich, przeniesiono całą flotę w 1567 roku do Pucka. Podówczas zaszedł wypadek krwawego zajścia między nią a Gdańskiem. Miasto niechętnie patrzyło się na siłę morską królewską i skorzystawszy z błahego powodu (napadu na wozy kilku marynarzy) targnęło się na nią: 11 frajbiterów ścięto, a głowy ich zatknięto na palach przy wysokiej bramie. Komisarze królewscy Konarski i Klefeld, przybyli tu dla załagodzenia zatargów między flotą i magistratem, protestowali, ale bezskutecznie. Nie dopuszczano nawet komisji rządowej z księdzem biskupem włocławskim Karnkowskim na czele. Sprawę załatwiono na sejmie w 1568 r., gdzie rada miejska poniosła zasłużoną karę: 5 jej przedstawicieli zostało osadzonych w więzieniu. Ważnym było utrwalenie prawa, że władanie morzem — dominium maris — należy do króla. Prawo to było ogłoszone w Statutach Karnkowskiego i przyjęte przez Gdańsk w 1570 roku. Na rok przedtem poniosła marynarka polska porażkę od eskadry duńskiej i straciła 9 okrętów. Rozluźniło się bowiem przymierze, zawarte między Zygmuntem Augustem, Danją i Lubeką przeciwko Szwecji, a Danja stawała się sojuszniczką Rosji, będącej w ciągłej wojnie z Polską. Mimo to eskadra, jak świadczy list królewski do Chodkiewicza, stała w 1570 roku pod Rewlem. Atoli wkrótce została ona rozbita po raz wtóry pod Helą. Zygmunt August nazwał tę bitwę zniszczeniem swojej floty i w instrukcjach sejmowych zalecał, by przyszły sejm uchwalił utrzymanie marynarki kosztem skarbu państwowego.

Zygmunt August jest pierwszy świadomym twórcą myśli polskiego „Dominium maris Baltici" i bliski był jej urzeczywistnienia. Stefan Batory, zajęty był wojną czysto lądową, nie myślał o morzu. W czasie uśmierzenia buntu gdańskiego w 1577 r. oddał mu usługi starosta z Pucka Ernest Weyher, komendant półtoratysiącznego garnizonu puckiej twierdzy, mający tam

swoje statki strażnicze. Zagarnęły one 2 okręty duńskie, naładowane kontrabandą dla gdańszczan. 200 wozów zdobycznych wjechało do Pucka. Było wówczas 6 kapitanów królewskich, którzy krążyli po zalewie wiślanym i zatoce gdańskiej, ujęli oni do 60-ciu statków, ale ani o kapitanach, ani o ich okrętach niczego nam nie zostawiła historja. Za Zygmunta III odbywa się zmiana polityki polskiej, zmiana która zewnętrznie doprowadziła państwo polskie do bankructwa a wewnętrznie każdą myśl polityczną psuła i deprawowała. Tak twierdzi w znakomitej swojej książce prof. Szelągowski, a na pogląd ten zgadza się też w recenzji z jego dzieła („Walka o Bałtyk") taki autorytet niemiecki jak prof. T. Schieman. Pisze prof. Schieman o Szelągowskiego surowym werdykcie na Zygmunta III: „tak formułuje Szelągowski swój druzgoczący wyrok na króla, który zdobył Smoleńsk, a którego wojska zajęły Moskwę! Tak brzmi wyrok, który i my uznać musimy. Również i w tem autorowi trzeba przyznać rację, że opór Gdańska w znacznej mierze przyczynił się do rozwiania polskiego planu Bałtyckiego".

Zygmunt III, mimo odrzucenia przez sejm propozycji rządowej, zorganizował swoim kosztem flotę wojenną. Chodkiewicz w 1609 roku dzięki tej flocie odniósł nad Szwedami pod miastem Szalcem świetne zwycięstwo morskie. Hetman wielki litewski, który objął był komendę nad wojskiem królewskim po zgonie Jana Zamojskiego, ciągnął na odsiecz zagrożonej przez hrabiego Mansfelda Rydze. Pod Szalcem stała wówczas flota szwedzka, blokująca wybrzeża i posiłkująca armję lądową. Chodkiewicz postanowił ją odpędzić. W Parnawie zdobył dwa szwedzkie okręty wojenne i trochę łodzi („farbatami" zwą je ówczesne opisy), oraz dokupił parę statków handlowych od Anglików i Holendrów. Osad dostarczyły chorągwie litewskie. W dniu 28 listopada 1627 r. toczyła się znów pod Gdańskiem bitwa morska. Na flotę szwedzką, dowodzoną przez Hoenschilda, złożoną z 11 okrętów, uderza 9 polskich okrętów pod wodzą Cypelmana. Admirał szwedzki poległ, dwa okręty im zabrano, a reszta uszkodzona schroniła się do Piławy.

Lecz po zwycięstwie tem nastąpiła niebawem klęska. Połączone floty: duńska i szwedzka, zniszczyły okręty polskie, zabierając 120 dział, moc broni i zapasów żywności. Klęska ta udaremniła Zygmuntowi odzyskanie korony szwedzkiej.

Władysław IV, zabrał się z wielką energją do utworzenia

floty, w tym celu na półwyspie Helu, w pobliżu Pucka, wznosi dla obrony okrętów dwa zamki warowne, zwane Władysławowem i Kazimierzowem. Na utrzymanie floty ustanowiono na Bałtyku cła.

Na sejmie 1639 roku uchwalone były znaczne sumy na wzmocnienie brzegów Trzewy, Pucka i Pilawy. Śmierć Władysława (1648 r.) wszystko to obala. Pierwsi gdańszczanie rabują arsenał w Pucku, a najazd szwedzki dokonywa zniszczenia. Bandera polska znika odtąd z morza bałtyckiego.

Przypomnieć tu jeszcze godzi się Królowej Anny List do Sejmików litewskich, gdzie są następujące mądre wskazania.

„Wiedzą waszmościowie, jako wiele na tem zależy liberum dominium maris, bez którego słabe są największe państwa, a najmniejsze państwo — morską wolnością i państwem portów ku górze się wznosi”.

I przypomnieć się godzi historyka J. Dymitra Smolikowskiego: „Rozmowę Kruszwicką“ (1630) gdzie jest taki pasus:

„Każdemu panu i narodowi więcej na morskiem państwie zależy, niźli na ziemskiem, bo... kto ma państwo morskie a nie używa go, albo da sobie wydzierać, wszystkie pożytki od siebie oddala, a wszystkie szkody na się przywodzi, z wolnego niewolnikiem się stawa, z bogatego ubogim“.

Po upadku Polski Gdańsk zeszedł do roli portu trzeciorzędnego, pośrednicząc głównie w obrocie Prus Zachodnich (Królewskich) i Wschodnich. Pisze o tem tajny radca dr. A. Matthei w książce „Danzig und seine Bauten“ (Berlin 1908):

„Po straszliwem osaczeniu gdańskiego handlu przez Fryderyka Wielkiego, przyszła wkrótce ustawa kontynentalna. Gdy inne miasta hanzeatyckie znów odtąd zakwitnęły, Gdańsk tego uczynić nie mógł. Niewygodne położenie kolejowe wepchnęło Gdańsk w kąt, a najgorsze było to, że Gdańsk przez polityczne i cłowe ograniczenia, został odcięty od swej gospodarczej podstawy Polski“.

Jaki był stosunek Gdańska do wojsk Fryderyka Wilhelma świadczy deklaracja z 14 lutego r. 1793:

„Też same przyczyny, które przywiodły Króla Imci Pruskiego wprowadzić do niektórych Wielkopolskich Województw swe wojska, wkładają także potrzebę zająć miasto i territorjum gdańskie. Nie wspominając tu nic o mało przyjaznych tego od lat wielu ku Królowi Imci sentymentach, to rzeczą jest pewną,

że to miasto zostało teraz jednym z siedlisk owej to sekty szkaradnej, która z jednych zbrodni postępuje do drugich, starając się niegodziwości swe na wszystkie rozszerzyć strony przez plugawą posługę swych wysłańców i prozelitów".

Gdy w roku 1793 Prusy zajęły miasto, ojciec filozofa Schopenhauera w nocy opuścił Gdańsk by przeprowadzić się do Hamburga wraz z całą rodziną. Nie chciał bowiem pozostać pod pruskiem panowaniem. Kosztował go ten piękny gest dziesiątą część majątku, który musiał oddać pruskiemu fiskusowi. Pięknie opisuje to syn, słynny filozof, w swej autobiografji. Pisze o tem też matka filozofa Johanna w słynnych Obrazach z młodości (r. 1797).

„Owego poranka nieszczęście jak zmora spadło na moje ojczyste miasto, przeznaczając je zgubie, którą przez dziesiątki lat ssała jego soki życiowe aż do zupełnego wycieńczenia".

Also sprach Schopenhauer.

Najwyraźniej zaś polskość samego miasta stwierdza sam wielki filozof w swojej rozprawie „Eristische Dialektik". Schopenhauer interpretuje różne metody prowadzenia dyskusji i przytacza przykłady. W jednym takim przykładzie Schopenhauer występuje z twierdzeniem, że po roku 1815 (po kongresie wiedeńskim) wszystkie niemieckie hanzatyckie miasta odzyskały wolność i oponentowi kładzie w usta odpowiedź: „Nie, to niesłusznie, bo Gdańsk wtedy dawnej wolności nie odzyskał". Schopenhauer zbija ten zarzut i mówi: Powiedziałem: wszystkie niemieckie miasta hanzeatyckie, Gdańsk zaś był polskiem miastem hanzeatyckiem".

IV.

Zdając sobie sprawę z ważności naszego stosunku do Gdańska musimy ku wiecznej rzeczy pamiątce skolekcjonowawszy zestawić tutaj wszystkie te głosy naszych przyjaciół angielskich i francuskich, którzy w krytycznym i decydującym momencie historycznym stanęli twardo w obronie naszych odwiecznych praw do państwowego protektora tu nad tym jedynym polskim portem, umożliwiającym nam bezpośredni z Anglją, Francją i z całym światem kontakt. Przypomnijmy tu sobie słowa młodego uczonego, który jeszcze w r. 1916 ośmielił się w „Roku Polskim", t. j. w piśmie wychodzącem w germanofilskim, para-

fjalnym, wyrzekającym się nawet myśli o rewindykacji Pomorza i Gdańska Krakowie pisać te mądre słowa: „Granica morska tem się wyróżnia od granicy lądowej, że przy pierwszej sąsiaduje się z całym światem, przy drugiej tylko z jednym, najbliższym sąsiadem" (R. Rybarski).

Polska ongiś przegrywając walkę o Bałtyk pozbawiła się jak się mądrze wyraził też krakowski zresztą polityk Bobrzyński „powietrza, światła i ruchu", pozbawiła się przez to, że pozwolono Gdańskowi zbyt liberalnie prowadzić własną politykę, która nieraz była sprzeczną z interesem Rzeczypospolitej. ...Na globie jest zaledwie kilka państw samodzielnych wegetujących bez dostępu do morza jak Boliwja, Paragwaj... Szwajcarja tylko wysokim dostępnym górom zawdzięcza jeszcze swą samodzielność. Oczywiście pod słowem dostęp do morza nie rozumie się tu tylko 150 klm. idylicznego brzegu morskiego i korytarza do morza, ale przedewszystkiem klucz od drzwi tego korytarza, jakim jest bezwzględnie nie żaden Puck czy Gdynia ale tylko i wyłącznie Gdańsk. W sprawie gdańskiej nie mogą być miarodajne stosunki narodowościowe panujące obecnie wśród ludności; wykazaliśmy zresztą jakiego typu etnicznego są ci obecni Niemcy gdańscy i jak to brzmią z niemiecka nazwy pra-germańskich siedzib w enclave gdańskiem. Polska nie może egzystować bez Gdańska i viceversa. Inne porty Niemcom wystarczą. Nawet zagraniczny niemiecki import do Polski nie szedł dotychczas nigdy przez Gdańsk, a przez Hamburg. W obrębie Rzeszy niemieckiej eksportował i importował Gdańsk zaledwie małą część produktów przypadających na ludność niemiecką. W obrębie Polski stać będzie za nim całe państwo i cała trzydziestomiljonowa ludność. Gdańsk nigdy nie odgrywał dla handlu niemieckiego jakiejkolwiek istotnej roli. W okresie czasu między rokiem 1891—1917 t. j. w chwili bezprzykładnego rozkwitu przemysłowego i handlowego życia Niemiec nie stwierdzono żadnego rozwoju floty i komunikacji morskiej Gdańska. Stwierdzono nawet pewien spadek. W czwartym tomie loksykonu konwersacyjnego Mayera (wydanie z roku 1897) o Gdańsku napisano, że flota handlowa i handel morski Gdańska stopniowo stale się zmniejsza. Tego rodzaju stosunki nie zmieniły się od roku 1897. W chwili zawarcia pokoju posiadał Gdańsk wszystkiego 20 parowców o tonażu 80 tysięcy ton, a więc śmiesznie małą flotę handlową.

Kompetentny znawca tych stosunków handlowych p. Adam Rose wykazuje te rzeczy w cyfrach bardzo wymownych.

„W r. 1912 dowóz kolejowy wszelkich towarów (prócz żywych zwierząt) z Rzeszy niemieckiej do Hamburga i Altony wynosił 6,309,092 ton. Grupa portów zachodnio-pruskich zajmuje dopiero piąte miejsce i tem samem nieznaczne tylko lepsze osiąga rezultaty od portów wschodnio-pruskich. Zupełnie analogicznie przedstawia się sprawa z dowozem morskim do poszczególnych portów. Gdańsk eksportował mniejwięcej 8 proc. ogólnego wywozu, a importował mniejwięcej 7 procent dowozu do Niemiec. Innemi słowami uskuteczniał się za pomocą portu gdańskiego ruch towarowy, przypadający mniejwięcej na trzynastą część ogólnej ludności niemieckiej t. j. około 5 miljonów ludzi. Jeżeli się uwzględni i to, że Gdańsk pokrywał przeważnie import wschodnich prowincyj pruskich, które w znacznej części i tak od Niemiec zostaną odłączone, to przyznać trzeba, że rola Gdańska, nieprzyłączonego do Polski, przedstawiać musiałaby się nader smutnie".

To mówią cyfry, a cyfry nie są tendencyjne i nie kłamią.

Jak Niemcy przewidywały postulaty polskie co do Gdańska już w toku wojny, tego dowód mamy w książce byłego ambasadora amerykańskiego w Berlinie Jamesa Gerarda (My four years in Germany 1917) gdzie pisze dosłownie: „Kanclerz Bethman-Hollweg oświadczył mi (w styczniu 1917 r.) — o czem zresztą słyszałem od wielu Niemców, że prezydent Wilson, mówiąc o Polsce zjednoczonej i niepodległej, miał rzeczywiście na myśli odebranie Niemcom terytorjów polskich i przyłączenie ich do nowego Królestwa niepodległego, wskutek czego granica niemiecka byłaby oddalona od Berlina tylko o dwie godziny jazdy automobilem; że wreszcie prezydent mówiąc o udzieleniu prawa dostępu do morza, miał na myśli przyłączenie Gdańska do nowego Królestwa Polskiego, wskutek czego ów port zostałby utracony, a Prusy Wschodnie odcięte od reszty państwa". Z tego samego roku mamy wśród znalezionych tajnych przepisów okupacyjnych cenzury pruskiej pod Nr. 64 z 3.11. r. 1917 następujący przepis: Niedozwolony jest przedruk mowy posła Głąbińskiego z „Kurjera Zagłębia" Nr. 242 z dnia 28. 10. 1917 (Sosnowiec), w której domaga się polskiego wybrzeża morskiego, polskiego portu i sprawę polską przedstawia jako problem międzynarodowy.

Pod polskim portem cenzura oczywiście nie rozumiała ani Pucka ani Helu.

Oprócz względów ekonomicznych i gospodarczych są jeszcze względy polityczne i strategiczno-militarne. Dając tutaj zebraną wiązankę głosów angielskich i fracuskich rozpoczniemy od tych, które na tę sprawę zapatrują się właśnie ze stanowiska polityczno-strategicznego:

Pisze więc admirał Degohy (La Revue de Paris, 15 maja r. 1919).

„Trzeba jasno sobie z tego zdawać sprawę, że długo jeszcze odradzająca się Polska skrępowana licznemi więzami, będąca przedmiotem wielu wrogich usposobień niektórych sąsiadów swoich — a wrogość tę należy unieszkodliwić ażeby móc pełnić skutecznie rolę swoją, — będzie potrzebowała możliwie najszybszej pomocy, nieustannego „kontaktu" z mocarstwami zachodniemi, z Francją i Anglją.

„Otóż oczywistą jest rzeczą, że pomoc, o którą chodzi, może przyjść tylko przez Bałtyk, że styczność nieprzerwana może się wykonać tylko przez Gdańsk.

„A to nie przez Gdańsk, jako wolne miasto pod protektoratem Warszawy, pod egidą fikcyjną — a w każdym razie odległą — Ligi Narodów, w obliczu namiętnie zazdrosnych i pożądliwych Prus, obozujących o parę kilometrów od miasta, Prus których statki będą stały na kotwicy w Pilau, o 44 kilometry od Neufahrwasser, nie przez Gdańsk powtarzam, jako miasto wolne i zwykłe „emporjum" międzynarodowe, lecz przez Gdańsk twierdzę dobrze strzeżoną, dobrze zaopatrzoną w żołnierza przez Gdańsk—port wojenny, z arsenałem do budowy, naprawy i utrzymania okrętów wreszcie jako podstawę operacyjną — na wypadek ataku nagłego niebezpieczeństwa sąsiada — siły morskiej poważnie zorganizowanej".

Ten sam fachowiec strategiczny w tym samym czasie w piśmie „L'oeuvre": „Wzgórza przy Gdańsku dominują nad stacjami kąpielowemi i pozwalają umieścić w celu obrony przystani bardziej skutecznie baterje, aniżeli przy Neufahrwasser któreby zatarasowały wejście do portu. Port ten tworzy dawna odnoga wschodnia delty Wisły, oddzielona obecnie od rzeki za pomocą śluz i przezwana „martwem ramieniem". Wreszcie wyżyny te przy porcie o ile ułatwiają obronę morską, nie nadają się do obrony lądowej i obrony miejscowości

samej, ponieważ tworzą linję schodów na znacznej przestrzeni ku zachodowi i niewiadomo gdzie zakończyć obsadzenie terenu".

Inny fachowiec pułkownik Thomas w ,,Petit Journalu" wychodząc z racyj strategicznych pisał: ,,Prawdopodobnie przyszłe granice Polski nie będą się stosowały do zygzakowatych linij, oznaczających granice Polski w 1772 roku przez Prusy Wschodnie i Zachodnie. Ale wiadomo, że Poznańskie prawie całe będzie Polsce oddane i że conajmniej przesmyk, wąski pas, którego osią prawdopodobnie będzie dolna Wisła, da jej w Gdańsku ujście do morza; wreszcie Polska ma wiele szans dostania wschodniego Śląska aż do opolskiego powiatu, który liczy więcej niż 80 proc. ludności polskiej. „Wyraźnie więc" da jej ujście do morza w Gdańsku".

Z innych francuskich głosów notujemy tutaj. Przedewszystkiem minister Pichon w mowie swojej w Izbie jeszcze w r. 1918: „Skoro Wilson umieścił w swoim programie dostęp Polski do morza, to jest przecież jasnem, że Polska niema innego dostępu do morza, jak przez Gdańsk. Uznajemy więc w zupełności pretensje (revendications) Polski do Gdańska. Z dwuch niebezpieczeństw, które zagrażały Polsce, niebezpieczeństwo niemieckie zostanie, jak się zdaje, usunięte (ecarte) przez nowy rozejm".

Herve pisał 15.V. 1919 r. w Victoire: „Port gdański, należący do Polski przez wieki, do niej powróci. Trzeba Polsce oddać to, co stanowi jej własność. Niemcy za gwałcenie wolności siedmiuset tysięcy robotników polskich, za skazanie setek tysięcy Polaków na śmierć głodową winni są zadośćuczynienia. Niestety, pewni aljanci nie wyglądają jeszcze na przekonanych... I to nie japończycy są najdalej od umysłowości europejskiej"...

Jeszcze wyraźniej pod adresem angielskim pisze Szwajcar Maurycy Millioud w „Gazette de Lausanne" na początku r. 1919. „Otóż na podstawie zawieszenia broni wyłączono z obszaru polskiego trzy piąte ziemi polskiej z zaboru pruskiego! A Lloyd George ofiaruje Polsce jakiś korytarzyk Wiślany? Z obu zaś stron tego korytarzyka, aby go jeszcze bardziej zwęzić, miałaby Polska 70 miljonów Niemców i 120 miljonów Rosjan. Jednakowoż, jeżeli jeszcze raz poświęci się Polskę, to czy przy najbliższej okazji nie zrobią Polski z nas także? Czyż bowiem nie takie jest praktyczne znaczenie zasad Wilsona? Gdy oddziały amerykańskie weszły do Paryża, jeden z ich generałów

zawołał: „Lafayette, oto jesteśmy!“ Dlaczego nikt dotąd nie znalazł się, ktoby wyrzekł głośno: „Kościuszko, nie zapomnieliśmy!“ Czwartym rozbiorem Polski byłoby zaprzeczenie jej praw do Gdańska”.

Marius Leblond w „Tempsie“ stojąc na stanowisku „logiki geograficznej“ pisał: „W sytuacji obecnej wszyscy życzymy wam tych terytorjów, które wasza kultura użyźniła; Gdańsk bezwarunkowo powinien wam zostać zwrócony natychmiast, ale gdzieingdziej okażcie cierpliwość”.

Do czego może doprowadzić zbagatelizowanie przez nas sprawy korytarza i Gdańska ostrzega nas przyjaciel niezłomny Jacques Bainville: „Traktat — odbiera wschodnie prowincje Prus i oddaje je Polsce, trzy razy mniej zaludnionej i dwadzieścia razy słabszej, o ile wziąć pod uwagę słabość wewnętrzną tego państwa i niebezpieczeństwa, na jakie jest ono narażone. „Spójrzcie jeszcze raz na tę mapę, tak wymowną. Przysiadłszy w pośrodku Europy, jak zły zwierz, Niemcy potrzebują tylko wysunąć łapę, aby złączyć się znowu z wysepką Królewca. W tym znaku wypisane są przyszłe nieszczęścia Polski i Europy“.

W ojczyźnie Lloyda i Lloyd George’a także nie wszyscy zachwycali się poglądem na tę sprawę tego Dawida otoczonego Goljatami anonimowego mocarstwa. Swego czasu mówił w Izbie Gmin poseł O’Connor co następuje: „Jakaż więc będzie sytuacja Polski, pozostawionej pomiędzy Rosją a Prusami, jeżeli się ją odda na łaskę i niełaskę pruskiej taryfy celnej? Jej ujarzmienie handlowe zniszczy jej swobody polityczne, a jedynym sposobem zapobieżenia, ażeby Polska uniknęła ucisku i zduszenia jest danie jej dostępu do morza. Jakiż powinien być dostęp? Geografja i historja wskazują nam na Gdańsk, jako na miasto, które powinno być portem Polski. Twierdzi się, że Gdańsk jest miastem niemieckiem. Nie zdaje mi się, ażeby ta pretensja opierała się na silnych podstawach historycznych. Gdańsk przez długi okres dziejów znajdował się w rękach Polaków. Znaczna część jego ludności jest polska, a wielu ludzi, którzy w Gdańsku mówią po niemiecku, mówi z polska tym językiem. A jeżeli nie zwrócimy Gdańska Polsce poto, ażeby się stał jej portem, to wolność, którą niby to damy Polsce będzie tylko wolnością, która odda ją, jak to już było, na łaskę i niełaskę Niemiec“.

Jeszcze w styczniu r. 1919 pisał w „Daily Telegraphie“ dr. E. J. Dillon: „Utworzenie niepodległej Polski jest rzeczą żywotną dla Europy. Jakkolwiek nie jestem entuzjastycznym wielbicielem narodów słowiańskich, nie mogą ignorować lub pomniejszyć roli, jaką powołana jest odgrywać Polska w odrodzonej Europie. Rola ta polega na tem, aby naród ten był zaspokojony co do elementarnych potrzeb terytorjalnych z Gdańskiem i jego hinterlandem jako wybrzeżem morskiem“.

W kwietniu tego samego roku w „Timesie“ prof. Geoffrey Drage: „Opinja angielska nie zdaje sobie zapewne sprawy z tego że wojna, do której Anglja przystąpiła w 1914 roku, jest tylko jednym z etapów w tysiącletnim konflikcie świata teutońskiego ze słowianami. Potop teutoński, który sięga dziewiątego stulecia i zalewem swoim objął ziemie słowiańskie u wrót dzisiejszego Holsztynu, zatrzymał się nieco w 1815 roku, w którym to czasie daje się zauważyć stopniowe wydzieranie ziemi Niemcom przez żywioł słowiański. Walka ta to zarzewie ciągłych niepokojów i wojen.

Prawdziwy pokój zabezpieczający Europę przed agresywnością niemiecką i niebezpieczeństwem bolszewizmu, może być jedynie budowany przez utworzenie silnej Polski, która musi posiadać nie jakiś tam korytarz do morza łącznie z Gdańskiem, ale szeroki pas wybrzeża i całe Prusy Zachodnie oraz polską część Prus Wschodnich, jak to słusznie zauważył korespondent wojenny „Times” jeszcze w d. 24 marca. Państwo polskie musi zawierać na zasadzie federacyjnej czy w inny sposób Litwę i Estonję”.

W tych samych czasach, w swojem piśmie: New Witness Cecil Chesterton: „Naród angielski pragnie gorąco, aby Polska odzyskała swe historyczne granice. Gdańsk należy do niej i staramy się wszelkiemi możliwemi dla nas sposobami, by zwrócono jej ten starożytny port Polski. W imieniu kolegów dziennikarzy przy tej dziejowej sposobności pozdrawiam Polaków z głęboką czcią i podziwem. Oby objęli oni jaknajrychlej swe prawe dziedzictwo: Śląsk, Galicję Wschodnią i Gdańsk.

Już po traktacie wersalskim bardzo ostro osądziły złowieszczy wpływ Lloyd George'a takie pisma jak „Daily Chroniel”, „Morning Post”, „National Reviev”. Pierwsze pismo pisało: „Jest to pięta achilesowa przyszłego pokoju. Nie skorzystano ze sposobności i nie rozstrzygnięto trudnego proble-

matu. Cała przyszłość Polski zawisła w powietrzu. Jeżeli jeszcze dodamy słowa Hindenburga: „Mało ludzi zdaje sobie sprawę z doniosłości zwycięstwa, jakie odnieśliśmy, nie dopuszczając do wylądowania wojsk polskich w Gdańsku"—otrzymamy charakterystykę położenia, stworzonego przez odjęcie Polsce ujść Wisły".

„Morning Post" dwukrotnie pisał, 8 maja 1919 r:

„Co się tyczy Polski, to znowu znajdujemy, że rozwiązanie tej bolącej kwestji jest pozostawione w jakichś mglistych ogólnikach i jest ona nierozwiązana. Granice mają być ustanowione i ma się odbyć plebiscyt w pewnych okolicach pełnych znaczenia. W innych sprawach to sens realizmu zdaje się wziął górę nad zasadą samostanowienia o sobie narodu. Gdańsk jest zawieszony jak trumna Mahometa między niebem a ziemią"

25 stycznia 1919 r.:

„Trudno jest wybaczyć naszemu premjerowi tej ignoranckiej pewności z jaką on zabrał się do rozpoczęcia tej kwestji. Wynikiem praktycznym jest, że Polacy nie mogą być pewni portu gdańskiego, który pozostanie piętą achilesową ich położenia. Polska, niechaj nam będzie wolno to przypomnieć, jest przedewszystkiem w praktycznych względach doliną Wisły. Gdańsk jest portem i ujściem Wisły, a niema innego ujścia, któreby mogło zastąpić Gdańsk. Miasto polskie, gdy Polska była wolnym narodem i jakkolwiek większość jego obywateli albo lepiej najwpływowsza jego część, była niemiecka pod względem języka i uczucia, jeżeli nie wiary, to oni mogliby się stać prawdopodobnie Polakami ze względu na interes. Gdańsk początkowo krańcowo niepodległy (nie znaczy to by był oporny) członek Ligi hanzeatyckiej, zrzeszenia germańskiego opuścił Ligę, by się udać pod opiekę Polski. Dniami jego wielkości jako portu morskiego, były dni pod rządem polskim. Niemcy praktykowały krzywdzącą (injurjus) politykę wobec Gdańska, ponieważ starały się o ominięcie handlu Wisłą poprzez Niemcy do Hamburga, jak też i dlatego, żeby odnosić korzyści dróg żelaznych. Starały się o utrzymanie Gdańska w słodziutki sposób za pomocą wszelkiego rodzaju przekupstw w formie robót publicznych. Ale Gdańsk jako port winien wiedzieć, że jego interes tkwi w Polsce".

W „National Reviev" zaś drukowano: „Tylko opozycji Lloyd George'a przypisać należy, że Polska została pozbawiona Gdań-

ska, który historycznie jej się należy i niezbędny jest do jej rozwoju. Tak długo obrabiał ten człowiek Wilsona, aż ten zgodził się na nieszczęsną decyzję w sprawie Gdańska".

Najostrzej wystąpił jednak Frank H. Simonds w artykule „Źle sklecony pokój", który to artykuł przedrukowany oburzył całą żydowską prasę anglosaską; znakomity publicysta amerykański stojąc zupełnie na stanowisku senatora Lodge'a, który powiedział w Kongresie że:

„Gdybym był na miejscu Wilsona, oddałbym Gdańsk Polsce, lewy brzeg Renu Francji, Fiume Włochom, Trację Grecji", pisze w ten sposób:

„W sprawie Polski dokonano partactwa. Oddaliśmy Polsce Poznań i Górny Śląsk, które jej się prawnie należą. Oddaliśmy jej polską część Prus Zachodnich, lecz nie zaopatrzyliśmy w pewny dostęp do morza. Stworzyliśmy dziwaczny korytarz, którego żaden Niemiec nigdy dobrowolnie nie uzna i odmówiliśmy Polsce prawa własności do drzwi tego korytarza — Gdańska. W dwuch zasadniczych sprawach popełniono niebezpieczny kompromis, w obu wypadkach, odbierając Niemcom terytorja, nie zabezpieczyliśmy tychże przyjaciołom naszym Francji i Polsce, w taki sposób, aby można je było łatwo obronić, lub na stałe zdobyć. Co się tyczy Włoch, niezawodnie rozstrzygnięcie wypadnie w tymże duchu, co w sprawie Saary i Gdańska, t. zn. że kryć będzie w sobie groźbę nowej wojny. Wznieśliśmy kruchy i beznadziejny gmach mający po jednej stronie 70-iu mil. Niemców, zniewolonych do rozpoczęcia na nowo ekspansji przemysłowej i 120-u mil. Rosjan z ich nierozwiniętym najbogatszym w świecie krajem, zapraszających do siebie Niemców i biorących od nich co tylko się da".

Taką wiązankę głosów angielskich i francuskich, oczywiście jeszcze niekompletną i pełną zdołaliśmy zebrać w momencie historycznym rozstrzygania kwestji polskiego serjo dostępu do morza. Tylko więc rozwydrzenie hakatystyczne i zachłanność przez wiek XIX nabrzmiałego sukcesami Prusactwa może zarzucać nam jakiś imperjalizm i zaborczość w stosunku do tego Gdańska, który np. krótko tuż przed rozbiorami Polski uroczyście obchodził 300-letnią rocznicę dobrowolnego przyłączenia się do Rzeczypospolitej, do tego Gdańska Heveljuszów, Mrongovjuszów, Lengnichów, Gadebuschów, Bartholdych.

Jeżeli co nam można zarzucić to właśnie tylko wysoce

obojętne, bierne i jakby z łaski odnoszenie się z tradycyjnych konieczności do problemu polskiego dostępu do morza i portu. Nietylko brak jakichkolwiek tendencyj aneksyjnych i innych realistycznych w tym kierunku ale zepchnięto tę kwestję na ostatni plan przy równoczesnem wyolbrzymianiu kwestji Wileńskiej, Galicji Wschodniej, kwestji Górnego Śląską, wszystkich Kresów Wschodnich, ba, nawet Jaworzyny i Czaczy. I to przypisać należy niestety działalność i presji kilkowiekowej tradycji politycznej, która pchała kierownicze warstwy narodu nie na Północ ale w kierunku najmniejszego oporu na Południowy-Wschód na Dzikie Pola i rozłogi, raczej ku Czarnemu morzu. Polak jak może orze nie wiedząc co to morze. Poeta Klonowicz w swoim długim poemacie o „Flisie", wprost wyklina morze i Gdańsk i Gdańskowi naiwnie przypisuje „zepsowanie obyczajów Polsce". Inni poeci z XVIII wieku do morza odnoszą się przeważnie jako do żywiołu obcego, wrogiego i niebezpiecznego i z umiłowaniem opisują burze i nawałności. Poeta Barzymowski w wierszowanym opisie podróży z Gdańska do Lubeki stara się wzbudzić grozę opisem burzy, kiedy to obłok straszliwy:

Uderzy o maszt sobą i wywinie
Kilkakroć kołem, a maszt się przekinie
Na bok proporcem, tak aż dotknął wody
Wierzchem kilkakroć i znowu przez szkody
Podniósł się w górę, przebóg! aż sdrętwiały
Członki, a włosy na głowie nam wstały,
Patrzając na to, bośmy rozumieli,
Żeśmy się nawznak już wywrócić mieli.

poczem kapitan widząc nadchodzącą burzę każe ściągać żagle:

„Na jego okrzyk bosmani, jak kozy,
Po rejach skaczą, zbierając powrozy,
Płachty coprędzej przy maście zwijają,
Okręt na wierzchu drzwiami zamykają..."

Poeta Piotr Zbylitowski, również z XVII wieku opisując podróż Zygmunta III do Szwecji odmalowuje „srogą dmę", która się zerwała z czas na wyjezdnem okrętów:

Już blizko Helu byli, kiedy wiatr obrócił
Zaś okręty na morze, i nazad je wrócił:
Jedne do Gdańska, drugie po morzu szerokiem rozpędził.
Rozpędził to tam to sam okręty ciosane,

Tak, że wierzchy u masztów nie były widziane.
Całą noc się po morzu Bałtyckiem błąkali,
A drudzy zaś do Gdańska znowu się udali,
Bo ich wiatr ku Latarni nazad zaś obrócił...

W dwa wieki później jeszcze Cyprjan Norwid daje wyraz tej od średnich wieków idącej staropolskiej niechęci do morza w tragedji „Krakus”, w akcie V-tym, kiedy do księcia Rakuza (Krakusa) przybywa na Wawelski dworzec Kiempe wódz skandynawski. Kiedy Kiempe mówi:

„... Ugoszczony w grodzie
Kłaniam ci... jestem zaś pierwszym w narodzie
Któremu morskie wybrzeża z bursztynu
Bóg dał, jak krawędź kolebki dziecięciu...
... Dziadowie moi od Fenicjan wzięli
Mądrość pływania po morskiej topieli
Bo nie znam więcej nic milszego Bogu
Jak w gwiazdy patrząc uwijać w pirogu
Po niezgłębionych toniach Bożej woli”...

A odpowiada mu na to Rakuz:

Siadaj mość! Inne jest królestwo nasze
Wcale że inne gospodarcze, lasze.
Acz co jest morze, wiem i z której strony..,

Ale podczas gdy w poetach z warstw historycznych szlacheckich niema i nie można się doszukać ni instyktu żeglarskiego, ni marynarskiego, ni poczucia ważności posiadania polskiego brzegu morskiego, polskiego portu polskiej nawigacji, to w synach ludu pomorskiego już ten instynkt się budzi. Marsz Kaszubski Jarosza Derdowskiego na nutę mazurka Dąbrowskiego zaczyna się od zwrotki:

Tam gdzie Wisła od Krakowa
W polscie morze płynie,
Polsko wiara, polsko mowa
Nigdc nie zadzine, (zaginie)
Nigde do zgube
Nie przyńdą Kaszube
Marsz, marsz za wrodziem!
Me trzymame z Bodziem!

poczem idą zwrotki jedna za drugą, niezwykle proste ale jędrne i miłe:

Przyszedł Krzyżok w twardy blasze
Polał wse i mniasta,

Za to jego cepe nasze
Grzmocełe lot dwa sta.
Ciej raz naju okrętami
Szwede najechale,
Me ześme jech kapuzami
Z Pucka wynekali
Me z mniemcami wiecie całe
Krwawe wiedle wojne,
Wolne piesnie wjedno brzmiałe
Bez gore i chojne!

Za naszych zaś czasów już znalazł się poeta pomorski syn ludu kresowego Franciszek Sędzicki, liryk o dużej rafinadzie formy, który tęsknocie i szacunkowi dla morza dał już pełny i piękny wyraz poetycki. W girlandzie jego wierszy znajduje się i prawdziwa perła:

„Morze, bezcenny tyś skarb nasz!
na ciebie patrzym, jak z za krat,
czy o nas pomni jeszcze świat
i zbliży się przychylna twarz?
Ty barwy nam tęczowe tkasz,
choć wązki mamy z ciebie szmat
i śpiewasz pieśni z dawnych lat
i czujność krzepisz naszych straż!
Gdy twą bezmierność ściga wzrok
i chwyta błysk tęczowy wód,
swobodniej piersi chwycą dech
i zda się nam, że żyje Bóg,
co nam odpuścił wielki grzech,
że lekko się cenilim wprzód.“

Wiersz ten nawraca już swoją przewodnią piękną myślą o wielkim grzechu naszym „żeśmy lekko cenili“ morze do idei Smolikowskiego, królowej Anny, królów Kazimierza Jagiellończyka, Władysława IV, Zygmunta Augusta, ba, jeszcze wstecz aż do Długosza... I przypomina się do tego patrjarchy dziejopisów polskich koniec księgi XIII Historyi Polskiej, gdzie jest ten wzruszający pasus:

„I mnie, tego, który roczniki te piszę, ogarnia radość niepomierna z powodu zakończenia wojny pruskiej, zwrotu oderwanych niegdyś krain i zjednoczenia Prus z całością państwa; albowiem smutkiem mogło mię tylko napełniać wspomnienie, iż dzielnica polska, aż dotąd między różne narody była podzielona, i dlatego za szczęśliwego poczytuję siebie u współczesnych swoich, iż dane nam było dożyć po tylu wiekach

zwrotu tej dziedziny. Miałbym się jeszcze w istocie za szczęśliwszego, gdyby Śląsk także, Słupia i Pomorze, w których obrębach Bolesław Wielki, pierwszy król polski, i ojciec jego trzy biskupstwa założył, to jest we Wrocławiu, Lubiszy i Kaminie, za moich czasów jeszcze do korony polskiej za Bożą pomocą znowu wróciły. Wtedybym weselej rozstawał się z tym światem i snem spokojnym na łożu śmierci usypiał."

Nie! potrzykroć nie! Gdańsk nie będzie *„trumną* Mahometa zawieszoną między niebem a ziemią" jak pisał „Mornig-Post"! Gdańsk musi być *kolebką* polskiej rzetelnej i prawdziwej potęgi. Podczas gdy Polski Polonjusze kierują naszą ekspansję na Wschód, na Kijów, na dzikie pole, rozum stanu przyszłego polskiego Fortinbrasa skieruje nas jednak ku temu „płachciu ziemi" o którym mówi Szekspir w Hamlecie...

V.

Listopad 1920.

Wróżba Mickiewiczowska nie spełniła się. Jak wiele, wiele innych wróżb romantycznej poezji. Miasto Gdańsk nie jest nasze, a czy „będzie nasze" w dalekiej przyszłości, to już zupełnie zależy od naszej energji rasowej, naszej siły przyciągania i asymilowania, od stopnia naszego utalentowania komercjalnego.

Nie tając nic podzielimy się tutaj wrażeniami, jakie odnosi się podróżując na Pomorzu i przebywając dłużej w samej hanzeatyckiej Wenecji, którą znam jak i część Pomorza od lat kilkunastu. Wrażenia te nie będą zbyt wesołe, gdyż pokłosie wrażeń i informacyj zebranych po pierwszem półroczu polskich rządów nad Bałtykiem nie nastraja wesoło człowieka, który całkiem inaczej wyobrażał sobie ten powrót Lechitów nad bursztynowe wybrzeże i w całkiem innych barwach odmalowywał w latach przedwojennych kaszubskim przyjaciołom z chat i z checz ten nadchodzący wielki moment przewrotu dziejowego. Do nastroju rezygnacyjnego atoli i negacjacji bezwzględnej niema jednakże powodu, gdyż *jeszcze* jest nadzieja, że ekspansjami energja polska, na jakiś czas zafascynowana fantasmagorjami wschodniemi, ale srodze do nich rozczarowana, jednak zwróci się teraz ku Zachodowi i że jeszcze da się naprawić to wszystko, co się zaniedbało na kresach zachodnich i co się napsuło

przez bagatelizowanie zasady o konieczności polskiego dostępu do morza.

Na dotychczasowych torach bowiem nasza polityka gdańska, pomorska i morska iść absolutnie nie może, gdyż nadzieja odzyskania Gdańska drogą penetracji pokojowej i ścisłego komentowania i realizowania paragrafów układu wersalskiego malałaby z miesiąca na miesiąc, a ludność nadmorska, zniechęcona tak programowo i konsekwentnie i doprowadzona wreszcie do kresu cierpliwości, mogłaby się ważyć na coś, co byłoby straszne i w oczach Europy skompromitowałoby nas doszczętnie. Jeszcze jest czas na reformy i zmiany, ale już jest czas na zaalarmowanie opinji publicznej.

W korytarzu polskim, tym korytarzu coraz węższym, a kończącym się drzwiami, do których klucz znajduje się w ręce angielskiej, żyje przeszło miljon Niemców. W samem wolnem państwie gdańskiem procent polski jest, optymistycznie biorąc, tak mały, że o jakiemś polonizowaniu par force, par fas et nefas, germańskiej ludności, specjalnie tutaj bardzo nacjonalnie agresywnej i szowinistycznej, mowy być nie może. Musi się przeto znaleźć modus vivendi drogą ciągłego unikania starć i konfliktów i stałego oswajania, ugłaskiwania głównie tych czynników i grup, które są nieco indyferentne, nieco neutralne i nie zgrzytają zębami na nasz widok. Jedyna metoda, to suaviter in modo, ale oczywiście fortiter in re. Tymczasem narazie jest przeciwnie: fortiter in modo, suaviter in re, a winę za ten system, bardzo zaciemniający nam horoskopy na przyszłość, ponoszą wyłącznie władze wojskowe, które kompetencje swoje zbyt dowolnie rozszerzają i ingerują często w sprawy zgoła im nieprzynależne.

W stosunku naszym do samego Gdańska powinniśmy stale mieć na pamięci pewien ustęp z odpowiedzi Grubej Czwórki Ententowej z dnia 20 czerwca 1919 r. na wcalę arogancką notę rządu prezydenta-siodlarza, Eberta. Ustęp ten brzmi: „Nie wystarcza, aby Polska otrzymała prawo posługiwania się portem niemieckim. Ta część wybrzeża, która jest polską, jakkolwiek była mała, musi być Polsce zwróconą”. „Polska domaga się słusznie, aby zarząd i rozwój portu, który jest jej jedynym wylotem na morze, znalazły się w jej rękach i żeby połączenie między tym portem a Polską nie było oddane żadnej władzy obcej“. Równie ważne są słowa sir Towera,

wypowiedziane w lutym b. r. do burmistrza Sahma na dworcu, które memisse jubavit: „Wiele korzyści otwiera się też dla Polski, której olbrzymie bogactwa staną otworem dopiero wtedy, gdy swobodnie będzie używała gdańskiego portu". Te cytaty mogą służyć za dyrektywę w postępowaniu tych naszych czynników, którym opatrzność w Polsce, często opacznie rozdająca misje historyczne i dostojeństwa, powierzyła uregulowanie stosunków między porto-frankiem Gdańskiem a republiką polską. Dlatego też bez irytacji i indygnacji można traktować wszelkie zakupy niemieckie, dążące do zmiany istniejącego porządku terytorjalnego. A jest ich wiele. Wśród patrjotów gdańskich pruskiego wyznania rozszerza się np. pomysł stworzenia jakiejś Grenzmark z Wielkopolski i Zachodnich Prus, nie należącej ani do Niemiec, ani do Prus. Inny plan, negujący z równą swobodą traktat wersalski polega na tem, aby z Gdańska i Wschodnich Prus utworzyć jakiś Randstat wspólny. To marzenie lunatyczne ma stosunkowo więcej zwolenników i jest żywo dyskutowane na tajnych konwentyklach nacjonalistów pruskich.

W trwałość obecnego układu nie wierzą Niemcy gdańscy ani na chwilę. Podtrzymują ich w tych halucynacjach rozmaite jawne i tajne depesze Hindenburga, raz po raz przesyłane związkom i korporacjom. Dla pokrzepienia serc przypominają sobie, że już raz istniał taki twór sztuczny, t. j. wolne miasto Gdańsk stworzone przez Napoleona w r. 1807, a jednak kongres wiedeński w r. 1815 oddał Gedajnę Prusom; przy tej sposobności przemilczają starannie o proteście Keudella, patrjoty gdańskiego, jak również zapominają o spisku niejakiego Bartholdyego przeciw rządom pruskim. Inni powołują się jeszcze na Noskiego w parlamencie niemieckim w r. 1917, udzielono księdzu posłowi Stychlowi, dopominającemu się odważnie już wówczas o oddanie Gdańska. Jeszcze inni cytują wcale bezczelną mowę ministra spraw zagranicznych dr. Koestera 21 kwietnia, na posiedzeniu Zgromadzenia Narodowego w Weimarze: „Wir werden niemals aufhrören Danzig und Danziger im höheren Sinne als einen Theil unseres Volkes und als Glieder unseres Staates zu betrachten". Są tacy, którzy wyciągają z bibljoteki pożółkłe dzieło profesora amerykańskiego z Princetown pod tytułem: „Państwowe, praktyczne i historyczne elementa polityki" (1894), gdzie jest ustęp następujący:

„Zachodnie Prusy i okręg Noteci były już dawno zgermanizowane, a ich nabytek przez Prusy wypełnia lukę między Brandenburgją a Wschodniemi Prusami“. Also sprach Woodrow Wilson. Ale są i tacy, którzy, pałając fanatyczną nienawiścią do jednego polskiego Ignaca, z lubością powołują się na drugiego. Paderewski ośmielił się pierwszy przyjechać tu na pancerniku angielskim, Paderewski domagał się aby armja Hallera lądowała w Gdańsku, Paderewski zrobił powstanie w Poznaniu i oderwał Wielkopolskę. Nieder mit Paderewski! Ale za to wasz Daszyński, socjal-patrjota, demos-führer i Demosthenes, eine hervorragende parlamentarische Persönlichkeit, nie chciał wcale Gdańska i w rozmowie z angielskim dziennikarzem wyraźnie domagał się umiędzynarodowienia Gdańska.

Na Gdańsk po daszyńsku zinternacjonalizowany godzi się i nadrezydent Prus Foester i wszyscy kaprale z Grentz-schutzu i wszyscy feldfeble z Sicherheitswehry. Oprócz Daszyńskiego jeszcze podobno p. Babiański, interwiewowany przez dziennikarza z węgierskiego „Az-Estu“, w r. 1918 zrzekał się w imieniu Polski Gdańska na rzecz międzynarodówki. Co się dziwić potem wiedeńskiemu tygodnikowi „Der Komunismus“ z 7 marca r. 1920, że w artykule o państwach kresowych domagał się oddania Gdańska... Sowdepji; autor artykułu tego poszedł konsekwentnie tylko o krok dalej. W każdym jednak razie w sprawie gdańskiej fatalnie nam zaszkodził nasz Scheidemann z Krowodrzy i perjodyczny każdorazowy kandydat na polskiego Cavoura. Nie omieszkał z tej enuncjacji krakowskiego Filipa Scheidemanna, a raczej Filipa z Konopiszt skorzystać der schlaue Erzberger. Po proteście rządu niemieckiego 1 kwietnia przeciw wylądowaniu Hallera w Gdańsku miał Erzberger z Fochem, kolejno 2 i 3 kwietnia, 4 rozmowy w wagonie, w Spaa i w willi Rozmowy toczyły się w cztery oczy, a następnie w asyście. generałów Noudanta, Weygandta i panów: barona Langwertha von Simmerna, bar. Willisena, bar. Boetttichera, v. Hammersteina i Samha. Ponieważ nadburmistrz Sahm w rozmowach z Polakami gdańskimi powoływał się na orzeczenie takiego „szowinisty polskiego, jak p. Daszyński“, przeto pogląd na sprawę gdańską naszego Telleyranda ze Zbaraża musiał mu być z dawna znany i rzeczą więcej niż prawdopodobną jest, że i w willi Neubreis 2 i 3 kwietnia podsuflerował też Erz-szelmbergerowi (jak go w Niemczech nazywają) i argumentum inter-

nationale p. Daszyńskiego. Jest to jeden jeszcze liść wawrzynu w wieńcu zasług tego niepospolitego polityka. Nie trzeba zapominać, że i „Danziger Allgemeine Zeitung", organ junkra Oldenburga z Januszowa z satysfakcją cytowała pogląd Daszyńskiego na gdański dylemat.

Możeby tak p. poseł znalazł raz chwileczkę wolnego czasu i zamiast wysyłać tasiemcowe elaboraty do paryskiej „L'Humanite", wyprawił przez swego lajb-kurjera Liebermana list do Vorwärtsu lub do któregoś z gdańskich pism, dezawuujący i negujący swoje dawne, przestarzałe i zbyt cekatystyczne poglądy? Noske się już nie pogniewa, bo Noske poszedł na emeryturę. Dostęp Polski do morza jest rzeczą pryncypalnej wagi i dla obozu czerwonego. Słona woda morska zmywa plamy po wielu brudach orjentacyjnych i orjentalnych. *Ex undis divitiae, ariston men hydor.* Domaganie się portu dla Polski nie powinno być specjalnością, domeną, resortem tylko Romana Dmowskiego i takich czarnych reakcjonistów i konserwatystów wielkopolskich, jak ks. Stychel lub Korfanty. Zresztą oni swój obowiązek już spełnili. R. Dmowski swoim świetnie opracowanym memorjałem w sprawie granic zachodnich Polski, a Korfanty swoją zuchwałą mową gdańską w parlamencie niemieckim jeszcze wtedy, gdy potęga Hohenzollernów sięgała zenitów, a Ludendorff zdobywał pół Europy. Wówczas p. Daszyński bywał także kilkakrotnie w Berlinie, ale w całkiem innym charakterze, jako „fidelis sulditus" jako „glänzender Sekundant" Teraz już jako primus inter pares może mówić ze swoimi eksaljantami. Inaczej doczeka się tego, że na któremś posiedzeniu obradującej obecnie konstytuanty gdańskiej może któryś z Niemców, który zapamiętał i artykuł gdańszczanina T. Wolffa w Berliner Tagblacie z maja r. 1918, wyrwie się wobec „aneksyjnych i imperjalistycznych" pretensyj polskich z argumentem internacjonalizacji Gdańska, przypomni serje artykułów w Naprzodzie p. t.: „Gdańsk czy kanał kiloński"? i doda: Also sprach der famose Daszyński, euer Minister für auswärtige Angelegenheiten, miene Herren. Mała rzecz a wstyd.

Aczkolwiek dumny ze swej republikańskiej suwerenności, nie przejął się Gdańsk bynajmniej, ni w długim okresie przeszłości, ni w czasie ostatniego epizodu rewolucyjnego w Niemczech, buntowniczym duchem antymonarchizmu konsekwentnego. Aczkolwiek zaznacza się tu mocno, bawiąc się grą słów, że jest

to nietylko „Freistadt“ ale i „Freistaat“, wolne państwo, co, nawiasem mówiąc, koliduje zupełnie z § 5 i 6 artykułu 104 traktatu wersalskiego to jednakże w tem „wolnem państwie” policja jest nadal pruska, niemieckich dynastów pomniki stoją na swojem miejscu nietknięte, a tylko tramwaje narazie są autonomiczne i państwowe. Gdańsk ma republikańskie tradycje, ale wiary w jednozbawczość ustroju republikańskiego bynajmniej nie żywi. I sfery kupiecko-handlowe i magistracko-mieszczańskie, drobne rękodzielnistwo, kler protestancki żywi dość mocny pietyzm dla zdegradowanej dynastji. Rzecz jednakże zastanawiająca, że przechował się tu dotychczas jeszcze wcale piękny i serdeczny pietyzm i dla monarchów polskich. Pamiątki po królach polskich szanowane są ze wzruszającą pieczołowitością. Na szczycie wieży ratusza złocony Zygmunt August z chorągwią. Grot chorągwi wieńczy okręt symbol Gdańska, który się znajduje na najstarszej pieczęci miasta. Są na niej napisy po łacinie. Na prawem ramieniu króla jest napis następujący: „Patrz na króla. Dzierży on chorągiew, która ulega wiatrowi, ale sam także poddaje się poruszeniom wiatru. Bierz stąd naukę: Nie wszystkiemu podołają ręce, jeżeli nie umieją roztropnie ulegać przeznaczeniu“. Na chorągwi jest znów napis: „Powiewy wiatru mogą mnie tam i sam zwracać, niech tylko dobro Gdańska będzie niewzruszone“. W „Curia Regis Arthus”, czyli w Artushofie, pomnik Augusta III, marmurowa figura Zygmunta III, chorągiew ze Stanisławem Poniatowskim, w Muzeum Miejskiem portrety, po kościołach chowane pamiątki, w sali radnej w ratuszu gdańskim, czerwoną zwanej, na stropie ozdobnym znajduje się malowidło następujące: na łuku triumfalnym wyobrażonym jest Gdańsk. Wierzchołek wieży ratuszowej obejmuje ręka, wychylająca się z pomiędzy obłoków niebieskich. Na obłokach unosi się biały orzeł polski z rozpostartemi skrzydłami, a nad nim napis łaciński: „Ista servat sub his alis. Ista aquila alba“: ów to orzeł biały temi skrzydłami ochrania Gdańsk. Dzisiaj orzeł ten biały ma wyjść z obrazu przeszłości i na przyszłość roztoczyć swe skrzydła w rzeczywistości ponad Gdańskiem.

Polskość zresztą widnieje i na herbie miasta, bo na tarczy ponad dwoma krzyżami białemi w polu czerwonem unosi sie złota korona Królestwa Polskiego, jaką nadał Gdańskowi na pamiątkę złączenia z Polską w roku 1454 Kazimierz Jagiellończyk, którego posągi te ze czcią przechowuje dwór

Artusowy. W przewodnikach po Gdańsku i w najnowszych publikacjach historycznych, nawet popularnych, duże ustępy o wielkich regentach Polski, o wjeździe Jana Kazimierza, o pobycie Władysława IV, o wypoczynkach Jana III nad morzem, nie mówiąc już o Leszczyńskim, w którym Gdańszczanie, jak stwierdzają nawet hakatystyczni historycy, byli formalnie rozkochani. Nie należy tego zatajać, że Gdańszczanie byli zawsze doskonale usposobieni dla monarchów polskich, że przyjmowali ich i gościnnie i owacyjnie, że dla niektórych z nich zachowali taką cześć jak dla dwuch ostatnich Hohenzollernów równocześnie sceptycznie i nieufnie odnosząc się do wszelkich poczynań sejmowych. Monarchowie polscy, obsypujący ich przywilejami, byli predestynowanymi obrońcami ich hanzeackiej autonomji wobec pewnych zakusów możnowładców z Pomorza. To też nie można się dziwić, gdy jeden z nielicznych gdańskich publicystów niemieckich ze starszego pokolenia, pisarz dużej kultury, „rozkochany" w swem miasteczku, zaznaczył mi w słowach bardzo wyraźnych, że ustrój republikański w sąsiedztwie to nie jest to, coby tak najspecjalniej pociągało do wspólnego pożycia. Zachodni Prusacy są i zostali monarchistami z krwi i kości, za symbolem i aparatem monarchicznym tęsknią i uczucia te tkwiące głęboko w duszy 1 i pół miljona Niemców możnaby było łatwo zwekslować w inne łożysko dając im namiastek „ersatz" Hohenzollernów w innej koronowanej głowie, którąby mogli znów tak owacyjnie przyjmować jak Kazimierza, Jana, Augusta, Stanisława. Nadmienia się to mimochodem nie przywiązując narazie zbytniej wagi do tych wywnętrzeń starszego już jegomościa. W każdym jednak razie zdawać sobie trzeba sprawę z tego, że niemiecka ludność w korytarzu polskim nastrojona jest psychicznie, cała w czambuł, mocno konserwatywnie i że wszelkie maksymalistyczne eksperymenty w socjalizacji dotychczasowego ustroju mogą ją tylko jeszcze więcej zrazić i iredentyzm w niej rozpalić do czerwoności. Reforma rolna np. tego typu, który zadecydowano 10-go lipca w Warszawie, przeprowadzona w państewku gdańskiem zrujnowałaby zaraz całą wysoką kulturę rolną, czego najwięcej obawiają się tutejsi nietylko Niemcy, ale i bogatsi gburzy kaszubscy, słusznie dumni z wysokiego stanu swej gospodarki rolnej.

Czego jeszcze obawiają się Niemcy tutejsi wprost panicznie, to napływu żydów z Królestwa.

W rozmowach z każdym z nich, nawet przebija strach przed tą inwazją; żydzi tam zasiedzieli od trzech pokoleń, boją się w razie procentowego wzrostu żydowstwa w „korytarzu", równoczesnego wzrostu antysemityzmu w Gdańsku, do którego zachodnio-pruscy Niemcy mają już pewne inklinacje wrodzone.

Znów atoli nie trzeba zatajać, że dla organizacji handlu światowego do nawiązania pierwszych nici nawigacyjnych żywotny i kosmopolityczny element żydowski będzie nam tutaj potrzebny i że aby port gdański rozrósł się, aby tu powstała minjatura choćby polskiego Hapaga (Hamburg Amerika-Linie) aby tu znalazł się polski Ballin, trzeba będzie nam jedno oko przymrużyć i kontrolując silnie, jakie elementy przenoszą się nad brzeg bałtycki, jednak nie czynić zbytnich wstrętów przedsiębiorczym a solidnym jednostkom. Jeżeliby mnie kto spytał czy np. poseł Diamand jako rzeczoznawca i „fachman" nie byłby na swojem miejscu przy przyszłym rezydencie polskim w Gedanji, to z czystem sumieniem odpowiedziałbym że i owszem, jeżeli się jeszcze uwzględni np. że p. Diamand zna się na naszym przemyśle naftowym, a przyszłość Gdańska leży całkowicie w polskiej nafcie.

„Danzigs Zukunft liegt auf dem Petroleum", jak mnie objaśniał pewien... Amerykanin. Pogląd bowiem, jakoby Gdańsk miał być głównym portem wywozowym „złotej pszenicy" czy „gryki jak śnieg białej" lub prosa w „łasztach" na „berlinkach" przez „flisaków" nadal „szarą Wisełką" spławianych jest całkowicie antycznym.

Wisła przedewszystkiem nie może nadal być tylko „szara", ale musi być uregulowana. Jak dzisiaj rzeczy stoją jest to u nas zdziczały, anarchiczny strumień, bezczelnie obrywający rocznie 3000 hektarów ziemi. Regulacja łożyska tej niesfornej, buntowniczej strugi na przestrzeni dawnego Królestwa Polskiego miała kosztować wedle obliczeń niemieckich z r. 1917 miljard czterysta miljonów marek, dziś oczywiście będzie kosztować nieco więcej, ale odstraszać się tem nie można i prace przygotowawcze przy współudziale gdańskich i zachodnio-pruskich Niemców zacząć już dzisiaj, natychmiast, nie zapominając też o konieczności budowy kanału Odra—Wisła. Tylko zajęcie się gorące, intensywne temi poważnemi problemami komunikacyjnemi pomoże nam do rozwiania wśród Niemców legendy o „polskiej gospodarce" w „Republica liryca", wzbudzi u nich ufność

i szacunek i stwierdzi, że jesteśmy już społeczeństwem nowoczesnem a nie narodem „z nieprawdziwego zdarzenia".

Port gdański nie będzie zatłoczony polską pszenicą, jak to sobie wyobrażają niektórzy marzyciele, ale głównie naftą, węglem, benzyną, smarami, solami potasowemi, nasionami buraczanemi, spirytusem, cukrem i jeszcze raz naftą i jej przetworami. Będzie to mniej poetyczne, ale profitu przyniesie cokolwiek więcej. Jeżeli się zaś przypomni, że nasza Lodomorja ma strefę naftową o 16,500 hektarach kwadratowych, to można mieć pewność, że za lat dziesięć Gdańsk będzie i musi być pierwszym w Europie wywozowym naftowo-portem!

Pojęli to już pewni Yankesi i zanim myśmy się rozejrzeli wykupiła nam amerykańska „Standard-Oil Company" największe w Gdańsku rezerwuary naftowe. To niedobrze, jak również niedobrze, że w Gdańsku nie rezyduje jeszcze polska centrala rozdzielcza i rozrachunkowa dla handlu naftą i jej przetworami. Trzebaby o tem co rychlej pomyśleć. Tylko naftą, cuchnącą naftą, bowiem możemy zaimponować Gdańszczanom, nie zaś np. gruntowaniem państwa Białoruskiego lub romantycznemi rajdami na Ukrainę.

Ukraińską febrę przeszli także i Gdańszczanie, trzy lata temu, tuż po pokoju brzeskim. Zapadła na nią dość ciężko rada miejska a z wybitnych działaczy i notablów radca Evert, publicyści dr. H. Steinert i p. Ehlers. Zjechała do Gdańska komisja ukraińska z ministerjum komunikacyj, wysłana przez Paula Skoropadskiego. Długo ciągnęły się narady pod hasłem: Gdańsk—Cherson, Gdańsk—Odesa. Rozchodziło się o handlowe osaczenie i izolowanie przyszłej listopadowej Polski pod płaszczykiem uregulowania połączeń wodnych. Pan Ehlers obliczył, że oddalenie Gdańska od granicy państwa ukraińskiego (z Chełmszczyzną), t. j. od Melnika wynosiłoby 663 klm., czyli, że Gdańsk bliższy jest Ukrainy od Śląska, np. od Laurahuty, z którą najbliższe połączenie przez kanały Gopła i Prosny wynosi 667 klm., zaczem Gdańsk jest właściwym portem Ukrainy. Droga wodna idzie przez Wisłę, Narew, Bug, Prypeć, Dniepr. Wobec tego Gdańsk czeka ogromna przyszłość, Gdańsk będzie kluczem do „Kornkammer" ukraińskiej, losy Gdańska związane są tylko z istnieniem politycznej Ukrainy, ściśle wedle mapy prof. Dietricha Schäfera ugruntowanej. Szczególnie roznamiętniła się do samoistyjnej Ukrainy hakatystyczna i krzyżacka „Danziger

Zeitung". Czytało się tam to wszystko, co się w kraju czytywało w warszawskim „Narodzie". Było to w całem tego słowa znaczeniu stawianie zamków na bańce mydlanej, nawet nie na lodzie. Bańka prysła. Sen srebrny panów Steinerta, Everta i Ehlersa rozwiał się.

Gdańsk będzie portem Polski, bo być musi, albo stanie się zwolna zasychającem i zamierającem „Brugges la morte", „Tertium non datur".

KSIĄDZ TADEUSZ NOWACZYŃSKI.

EPITAPHIUM.

Na 19-tem posiedzeniu Sejmu Polskiego dnia 2 grudnia 1921 r. podczas dyskusji nad poszczególnemi paragrafami przyszłej Konstytucji, z okazji debaty nad szkolnictwem bezwyznaniowem, świeckim zabrał głos ksiądz poseł Mąkowski i w pełnem swady i erudycji przemówieniu zwalczał ataki naszych wolnomyślących a szybko tyjących socjalistów na rzekomą ciemnotę kleru i to kleru przy końcu 18 wieku, do którego przyczepiła się ni stąd ni zowąd awersja naszych Radykalińskich i Przewrotowiczów. Ksiądz poseł wyliczył kolejno całą plejadę właśnie owoczesnych wysoce i wszechstronnie wykształconych dostojników duchownych, rozsiewających światło wiedzy, nauki, postępu i reform w gromady i rzesze demagogicznym sarmatyzmem przepojonych a antyczną małmazją haseł ultra-wolnościowych i republikańskich przepitych rodaków.

A w Sejmie naszym, może taksamo jak ongiś w Sejmie staropolskim był spory poczet posłów suverenów, którym szczęśliwym trafem po raz pierwszy przyszło słyszeć szereg nazwisk. Każde z tych nazwisk mówi całe tomy o sobie, każde jest kartą kultury polskiej. Biskupi Albertrandy, Haruszewicz, Woronicz, Czacki, bracia Załuscy, Jezuici Niesiecki, Bohomolec („Monitor"), przyrodnik i astronom Łuskina („Gazeta Warszawska"), matematyk Rogaliński, ekonomista fizjokrata Strojnowski, komedjo i bajkopisarz Krasicki, pedagog Piramowicz, matematyk i fizyk Poczobutt, pedagog i gramatyk Konarski, publicyści i politycy Staszyc, Kołłątaj, komedjopisarz Kniaźnin oto czoło tej plejady, której możnaby przydać cały jeszcze długi szereg mniej sławnych, uznanych i znanych.

Okazuje się, że tym pomawianym o ciemnotę „klechom i Jezuitom”, „spasłym proboszczom” i „chudym Torquemadom“ ni tonsura, ni sutanna nie przeszkadzały posiąść wysoką, gruntowną i wytworną kulturę umysłową i dojść w specjalnościach swych studjów do maximum opanowania, na owe czasy dostępnego. Wywodów księdza posła Mąkowskiego musieli wrzaskliwi towarzysze pan-czerni słuchać w pełnym respektu milczeniu, a rozmaici wyzwoleńcy z pęt wiary, miłości i nadziei posłowie Bryl, Bobek, Putek, Smoła, Chudy, Rataj stale Kościół gromiący dziwowali się zasromani i cokolwiek markotni, zapomnieli jak to się mówi „języka w gębie”.

Wśród atoli mniej znanych i uznanych reprezentantów wysoce oświeconego kleru polskiego z czasów Stanisławowskich zasługuje jeszcze wreszcie na wyróżnienie i wydarcie ze szpon niepamięci pewien Pijar, którego działalność pedagogiczna i literacka choć skromna w swym dorobku i rezultatach daje właśnie doskonały wyraz i przykład tej nawet subtelnej rafinady umysłowej, jaką jaśniało i odznaczało się duchowieństwo polskie epoki Stanisławowskiej, tak zasadniczo odmienne i różne od istotnie ciemnego i ciemnotę protegującego duchowieństwa czasów Saskich.

Odkrycie a raczej wydobycie na światło działalności księdza Tadeusza Nowaczyńskiego ułatwione jest obecnie dzięki temu, że w ostatnich latach pojawiły się dwie publikacje naukowe, w których jak na postać literacką tak mało znaną, stosunkowo dość dużo księdzu Nowaczyńskiemu poświęcono miejsca. Są to: prof. Jana Łosia dzieło o rozwoju wersyfikacji polskiej pt.: „Wiersze Polskie w ich dziejowym rozwoju” (Gebethner i Wolff 1921 r.) oraz Mieczysława Smolarskiego „Studja nad Wolterem w Polsce” (Lwów 1918 r.).

O księdzu Nowaczyńskim skąpo było w dotychczasowych foljałach historji naszej literatury; napomknęli o nim cokolwiek Rogalski, Zdanowicz, Brückner. Sumienny i skrupulatny Juljan Bartoszewicz w rozdziale o „Nauce języka” swojej dwutomowej Historji Literatury pisze co następuje: „Obok Kopczyńskiego świeci w zakonie pijarskim inny uczony Tadeusz Nowaczyński. Temu uczonemu język to winien, że wykazała się zdolność jego do wierszy nierymowych ale miarowych na sposób, w jaki tworzyli starożytni grecy i rzymianie. Dziełko jego „o prozodji i harmonji języka polskiego” nie wywołało

w swoim czasie żadnych usiłowań ale ważne jest jako pierwszy objaw *myśli, które w następnej epoce znalazło obrońców* (Nowaczyński urodził się na Mazowszu 1717 roku, umarł zaś w Raszynie pod Warszawą dnia 28 czerwca, 1794 roku).

Tyle Bartoszewicz. Uzupełnić te wiadomości da się jeszcze ze szczegółami z Chodynieckiego: Dykcjonarza Polaków sławnych, z Janockiego Lexyconu oraz z Vita et scripta quorundam et Congregatione Red. Societatis Piarum (1799 r.). W Voluminach legum (Invent) części II rok 1775 stwierdzone jest szlachectwo Tadeusza i Pawła Nowaczyńskich z klejnotem: „Przyjaciel". Z życia księdza Tadeusza wiadomem jest że był długie lata prefektem i regensem konwiktu O.O. Pijarów w Warszawie, oraz konsulem prowincjonalnym zakonu. Z zawodu pedagog i filolog. W r. 1772 był w Rzymie. W ostatnich latach życia zajmował się wychowaniem głównie synów X. Stanisława Czartoryskiego, Łowczego W. K. Litewskiego, przebywał w Korcu w Kalwarji, a także w Puławach dłużej, czem wytłumaczyć sobie można wpływ jego oryginalnych teorji poetyckich na Księcia Adama Czartoryskiego „Barda Polskiego". W uznaniu zasług Nowaczyńskiego Król Jegomość ozdobił go oznaką: bene merentibus. W jakiej zaś dziedzinie i specjalności leżały zasługi tego Pijara, to najlepiej objaśni fachowe pióro prof. Łosia, kiedy mówi o pierwszych badaczach sztuki rymotwórczej polskiej, o Dmochowskim i Kopczyńskim i o pierwszych zakusach zastąpienia rymów rytmiką.

Otóż tak Dmochowski „nasz Boileau", jak i Kopczyński, „dobrego gustu" nauczyciele i prawodawcy uważali rym za warunek zasadniczy wierszy. Już atoli Kopczyński jako autorytet gramatyczny uzasadniał teorję „metryki", t. j. rytmicznego akcentowania pewnych zgłosek.

„W praktyce i w teorji", pisze prof. Łoś „nieco wcześniej usiłował wprowadzić system metryczny do wierszowania polskiego ks. Tadeusz Nowaczyński, który bezimiennie wydał w Warszawie r. 1781 dziełko o „Prozodji i harmonji języka polskiego". Zalecał on tu pisanie wierszy polskich w zupełności według zasad metryki starożytnej. I on wychodził z założenia, że akcentowana zgłoska jest zawsze długa i że w wierszach winny się wyodrębniać nie wyrazy lecz stopy, których granice wypadają właśnie w środku wyrazów. Dlatego też wyrażenia złożone z samych wyrazów 3-zgłoskowych we-

dług niego czytają się na podobieństwa wiersza daktylicznego z przedtaktem czyli odbitką:"

„Od | wiecznym na | kazem mo | narsze swo | jemu wy | rządzać ho | nory wsze | lakie każ | demu po | winni pod | dani do | pieroż do | bremu" i t. d.

gdyż koniec jednego a początek drugiego słowa miarę harmonijną składać może: i owszem, to daleko wdzięczniej i melodyjniej do ucha przypada, gdy pomienione miary ze słów na słowa zachodzą". Nowaczyński starał się wykazać, że mamy dość wyrazów z akcentowaną czyli „długą" trzecią od końca zgłoską; uznawał wprawdzie, że nie posiadamy dwuzgłoskowych jambów, spondejów ani trochejów, chciał to jednak zyskać przez odpowiednie sprzęganie wyrazów; dopuszczał też „wolności wierszotwórcze", więc samogłoski ścieśnione za przykładem Czechów moglibyśmy wymawiać przeciągle jak również dwugłoski *oj, ej, oj* także *ę, ą* (bo u Czechów odpowiada *im, on*) podobnie możemy przeciągać końcowe samogłoski w wyrazach dwuzgłoskowych. Tak więc Nowaczyński dla swej teorji wierszowania pragnął nawet zmienić sposób powszechnego wymawiania dźwięków polskich! Oczywiście jego poglądy słabe tylko echo w społeczeństwie wywołały a praktyczne ich zastosowanie mogło chyba oczarować samego tylko nowatora. Oto próbka jego wierszy, wysmażonych według recepty pseudo-metrycznej:

„Państwo, pałac i król jest każde z nich cudotwór świata,
Głową król, państwo moc, sztuką przedziwną pałac
Przy powodzeniu twojem ten pałac wyniesion do szczytu
Wierszli przechodzi miarę, pałac przewyższa swoje".

Jest to oczywiście naśladowanie metra elegjackiego, gdy w każdej „stopie" akcentujemy pierwszą zgłoskę otrzymujemy rzetelną kakofonję akcentową. Mimo, że próba okazała się nieszczęśliwą Nowaczyński miał naśladowcę; był nim ks. Adam Czartoryski, który prócz „Barda Polskiego" pisał też w końcu wieku 18 i inne poezje, a zwłaszcza przekłady poetyczne z Pindara naśladując w nich i rytm greckiego poety... Potem już koło r. 1820 ks. Czartoryski praktykę chciał poprzeć teorją i dodać do niej nowe próby swego talentu wierszopisarskiego. Napisał przeto: Uwagi: „O niedostatku i potrzebie prawdy i w języku polskim", ilustrowane przykładami metrycznych wierszy polskich. Autor niewątpliwie czytał książkę Nowaczyń-

skiego i naogół się z nią zgadzał, w praktyce jednak rzadziej uciekał się do gwałcenia polskich akcentów wyrazowych lub też kiedy odstępował od zwyczaju powszechnego starał się to usprawiedliwić teoretycznie".

Tyle prof. Łoś. Jak widzimy z tego dość surowo i sucho zapadł werdykt o zdecydowanie rewolucyjnych i śmiałych zakusach reformistycznych Nowaczyńskiego w sztuce rymopisarskiej zapoczętych. Tymczasem przekonamy się, że „nietylko nowatora mogły oczarować" jego poglądy, ale że raczej, jak twierdzi Bartoszewicz, jego myśli „w następnej epoce dopiero znalazły obrońców" to jest w romantycznej. Stwierdza to zresztą mimochodem na innem miejscu swej książki i prof. Łoś, kiedy pisze o technice wierszopiskiej... Mickiewicza.

„Wreszcie o jednym jeszcze rodzaju wierszy Mickiewicza powiedzieć trzeba. Widzieliśmy, że na schyłku XVIII wieku zaczęto tworzyć metrykę polską zrazu bardzo dziwaczną w wykonaniu — Nowaczyński — potem w pierwszych latach wieku XIX przystosowaną wprawdzie do natury mowy polskiej ale zawsze z mocnem naruszeniem zasadniczego charakteru właściwej metryki przez utożsamienie długości z akcentem... Przyjął to również Mickiewicz i stworzył w Konradzie Wallenrodzie powieść Wajdeloty z heksametrów polskich złożoną"...

I tak też jest istotnie. Prof. Łoś tylko w swej naukowej skrupulatności nie dopowiedział tylko tego, co wypływałoby logicznie z jego wywodów. Dziełko księdza Nowaczyńskiego apostołujące poniekąd powrót do czystego klasycyzmu greckiego, do wiersza wiązanego o rytmie regularnym, bezrytmicznego, a skandowanego jest równocześnie przez pewne nowatorskie zapędy w kierunku właśnie czystej rytmiki jakby niejako pierwszym taranem rozwalającym szablon klasycznej wersyfikacji poetów z epoki Stanisławowskiej. Pierwszy teoretyk i konstruktor „Prozodji polskiej" staje się w tym sensie poniekąd jednym z prekursorów romantycznej wersyfikacji skoro heksameter wajdeloty w Wallenrodzie wywodzi się poprzez „barda polskiego" Czartoryskiego od heksametrycznych miarowych spolszczeń z Owidjusza (Elegja I) i z Wirgiljusza (Ekloga IV) dokonanych z rozbrajającą zresztą prymitywnością przez księdza Nowaczyńskiego a pomieszczonych właśnie w jego rzadkiem dziełku, istnym białym kruku.

Ksiądz Nowaczyński zabrał się do swego compedium wer-

syfikacji polskiej oparłszy się na gruntownym jak na owe czasy znawstwie materjału poetyckiego i wszechstronnem studjum języka polskiego i jego możliwości eufonicznych. Nie wystarczył mu w badaniach język polski oficjalny ale zapoznał się i z dialektami, z górnośląską gwarą, ba, nawet z kaszubską, z której pewne słowa cytuje z rzetelnem zamiłowaniem. Rozkochany w języku polskim, jego bogactwie i melodyjności on pierwszy w swych wywodach udowodnił, że język ten starodawny pod względem harmonji czyli jak się wyraża „zgodnotonu", pod względem naturalnej wnętrznej rytmiki słownej nie ustępuje bynajmniej ni grece ni łacinie. On pierwszy jeszcze przed Rzewuskim (O nauce wierszopiskiej), przed Golańskim [1]) zajmuje się poważnie naukowo techniką wiersza polskiego, teorją wierszowania, strofiką. Badanie rozległe i gruntowne rytmiczności słów polskich doprowadza go do przekonania, że dźwięk polskich słów ma dźwięk dzięki któremu dla wydobycia efektu poetyckiego rymowanie jest ewentualnie nawet zbyteczne, wskazanem natomiast akcentowanie rytmiczne. Jest tedy Nowaczyński za swobodą wierszotwórczą, czyli za wolnym wierszem, którego „zażywał" np. Kochanowski w „Odprawie posłów greckich". Aby przeprzeć swą ideę i swój program wierszopiski współczesnym twórcom, przedewszystkiem uczniom Collegium Nobilium pijarskiego, zalecić. Nowaczyński proponuje przywrócenie pierwotnie słowiańskiego akcentowania słów i to drogą nakazu przez zwierzchność! na początku w szkołach! proponując równocześnie wydanie takiego edyktu Komisji Edukacyjnej! Aby udowodnić melodyjność języka układa sam np. wiersze, nawiasem zgoła niemuzykalne ze samych słów pięciosylabowych, przyczem starowina puszcza się na złośliwą satyrę, zresztą zawsze aktualną.

„Sławyniewartych przewysławiamy
W wielkoimiona przyozdabiamy
Czyż tak myślemy?
Swiatołupieżców bohatyrami
Krajodrapieżców patrjotami
Tytułujemy.
Prawdfałszycielów filozofami,
Sztucznoszalbierców politykami
Dziś nazywamy.

---

[1]) O tym ostatnim wyszła w r. 1916 monografja dr. Bronisława Zaleskiego p. t. „Filip Nereusz Golański i jego Prozodja".

Pogorszycielów guwernerami
Podłopochlebców przyjaciołami
Ustanawiamy.
Czyż takich chcemy?

Na innym znowuż miejscu, aby stwierdzić przyrodzoną naturalną harmonijność języka i czar muzykalny skandowania przy recytacji daje wiersz ze samych czterosylabowców:

„Wartogłowe domniemania przeuczonych bajopisów
Wprowadziły oszukania w staroświeckie obyczaje
Z poza szkoły mędrkobiesów. A tymczasem cóż nastaje?
Swawolnymi maxymami znarowione modne kraje
Rozwiązłymi nauczkami kobieteczki zbewstydnione,
Młodzieniaszki shultajone. Średnioletni rozbestwieni,
Stateczniejsi obłaźnieni, podstarzali zsromoceni
Siwogłowcy omamione a sromoty uwieńczone,
Bo niewstydy spowszednione a sumienia rozpuszczone.

W ten sposób łączy sobie staruszek utile cum dulci t. j. swój pedagogiczny popęd moralizatorsko-satyryczny ze swoją teorją „powstydzenia" rymu na rzecz metrycznego układu, ładu słów czyli jak się wyraża „kollokacji słów", zapominając przytem z kretesem, że przypadkowo czasem sam... rymuje. Języka przytem „zażywa" zgoła dziwacznego i całkiem swoistego, lubując się w słowach obcych, w makaronizmach i jednocześnie spolszczając z zapałem inne słowa obce i wprowadzając na ich miejsce dość dziwaczne nowotwory. Ortografja to prawopiśmna, konstrukcja gramatyczna to: sławsłownia, harmonja = zgodnoton, prozodja=przynutnia, symfonja=nutliwość, antypatja= odtręt, stylistyka=słowprzymiotnia, strofy=wrotki. Na określenie stylu używa przymiotników: słowopłynny, zaderewisty i t. p., przyczem stale kładzie rozmaite dość dowolne zresztą znaczki akcentowe. Jak groteskowe miewa inwencje w etymologji i w kombinacjach źródłosłownych tak również na groteskowe i dziwaczne idee wpada, aby np. udowodnić starożytność i arystokratyczność języka polskiego. Opierając się bowiem na jakichś dwuch uczonych o dość relatywnym autorytecie, t. j. na księdzu Frenzlu, Łużyczaninie oraz na dziele J. Erbinjusza: „Tractatus de Cryptis Kijoviae" twierdzi, że język polski „najśliczniejszy ze sławiańskich" (nigdy słowiańskich jak się z gniewem upiera) wywodzi się ni mniej, ni więcej tylko z języka... hebrajskiego! Nie przeszkadza mu to być zdecydowanym już słowianofilem i stwierdzać przy każdej spo-

sobności rasową wspólnotę wszystkich szczepów sławiańskich, przyczem pierwszeństwo cywilizacyjne oddaje kilkakrotnie Czechom zachwycając się ich akcentowaniem słów jako tradycyjnie sławiańskiem. W każdym jednak razie książeczka Nowaczyńskiego: „O prozodji i harmonji" z 1781 r., której drukiem wyszła tylko część pierwsza (112 stronic) a zapowiedziana część druga zbywa, jest bądź co bądź pierwszą naukową próbą metodycznego badania rytmiki polskiej, stosunku metryki do rytmiki, prawideł rymotwórczych, istoty i charakteru wiersza polskiego i jego eufonicznych walorów, wogóle kultury wiersza. W badaniach naukowych rozwoju wierszopisarstwa polskiego dziełko ekscentrycznego Pijara zajmuje miejsce poczesne choć i nieco pocieszne obok prób Rzewuskiego i Golańskiego. Nie na tem atoli zasadza się prawo pedagoga pijarskiego do osobnej karty w dziejach literatury ojczystej. Przekonamy się, że i w innej dziedzinie ten weredyk o satyrycznem zacięciu położył pewne zasługi.

II.

W bibljograficznej przedmowie do wydanych w r. 1911 „Refleksyj" Voltaira stwierdza editor p. G. Glass, że jednym z pierwszych tłumaczów dzieł tego klasyka na polskie był obok M. Sapiehy, A. Hercyka, Orłowskiego, Stadnickiego, Jordana, Trzcińskiego i Trembeckiego także Nowaczyński. Utworem przyswojonym językowi jest tragedja *Alzyra czyli Amerykanie*, rzecz pięcioaktowa napisana jak wiadomo między latami 1735 a 1740 w Cirey pod patronatem i pieczą markizy Chatelet. Ponieważ p. Glass nie podaje imienia, przeto narazie mogłoby się zdawać, że jest to Nowaczyński aktor, który należał do trupy Bogusławskiego a potem wymieniony jest jako należący do pierwszej trupy teatru Rozmaitości, rezydującej jeszcze wówczas na Krakowskiem Przedmieściu. Dopiero wglądnięcie w datę wydania książki naprowadza na właściwego tłumacza; podczas bowiem, gdy karjera aktorska Stanisława Nowaczyńskiego przypada na lata 1815—1834, książka, druk Dufoura, wydaną była już w r. 1778. Istotnie też tłumaczem Wolterowskiej Tragedji o Alzyrze jest Pijar i ksiądz Nowaczyński.

Wybitny aktor tego nazwiska wymieniany często na afiszach i w recenzjach między latami 1821 a 1835 mógł co najwyżej sądząc z ról, jakie odtwarzał (marszałek Boratyński

w Barbarre A. Felińskiego) grać szlachetnego siwowłosego Alvareza w sztuce tłumaczonej przez swego imiennika, nawet zresztą nie domyślając się, że tę Alzyrę tłumaczył ksiądz Pijar z 18 wieku tegoż nazwiska.

Dopiero z doskonałej, godnej Lansona książce p. Mieczysława Smolarskiego („Studja nad Wolterem w Polsce". 1918) dowiadujemy się jaka rola przypada księdzu Nowaczyńskiemu we wprowadzeniu Woltera na scenę polską a zarazem do jakiego stopnia i w jakich nieprawdopodobnych rozmiarach duchowieństwo z 18 wieku było awangardą wolterjanizmu w Polsce, oczywiście nieświadomie a może i niebacznie. Przywykliśmy w ostatnich czasach do bagatelizowania Woltera jako wielkiego dramatysty; czasami nawet nie wymienia się go w trójcy wielkich klasyków francuskich obok Racina, Corneilla i Moliera, podobnie jak trudno już dodać obecnie do trójcy wielkich romantyków polskich duchowo równego a głębią koncepcyj myślowych przewyższającego ich Cyprjana Norwida. Z najostatniejszych dopiero czasów datują się próby reinstalacji Woltera do plejady najwyższych. Teoretyków tragedji i historyków dramaturgji drażni Wolterowska publicystyka, polemiczność, pamfletowość, satyra, jego działalność do pewnego stopnia dziennikarska. Tymczasem Wolter był w twórczości dramatopisarskiej przy całej swej sztuczności, deklamacyjności, koturnowości rasowym twórcą scenicznym. Przyznaje mu to jego wielbiciel i... uczeń Nietsche, kiedy pisząc o nim, że był jednym z ostatnich ludzi, którzy potrafili „połączyć w sobie najwyższą niepodległość myśli z usposobienia ducha nawskroś nierewolucyjnem" dodaje jeszcze „ostatni to z wielkich poetów dramatycznych, który spętał swego ducha miarą grecką".

Tego ostatniego z wielkich poetów klasycznej dramaturgji wprowadzili na repertuar scen polskich, gdzie przetrwał krągło cały wiek, pełne stulecie nie ludzie świeccy a księża i to ściślej mówiąc Ojcowie Pijarzy, wprowadzili i spopularyzowali. Pierwsze, chronologiczne najpierwsze napomknienie o Wolterze datuje się w oświeconej Polsce już w r. 1733. W „Rozmowach ziemianina" zaleca gorąco czytanie: Historji Karola XII króla Szwedów nie kto inny, jak ksiądz Konarski, ten sam, który położywszy właściwie kamień węgielny pod popularność „Belzebuba" dopiero w przeszło 30 lat potem pośpieszył się z potępieniem wolterjanizmu w „Rozprawie o religji poczciwych ludzi".

Na scenę polską intronizowali Woltera wyłącznie Pijarzy, t. j. grupa parających się z literaturą pedagogów z Konwiktu warszawskiego ojcowie Jordan, Orłowski, Baxter, Ożga i Nowaczyński, dalej ojcowie Chodani, Skrzetuski, Michniewski, Załuski, Mokronowski, Serafynowicz. Pierwsza poszła „Alzyra czyli Amerykanie” grana na Theatrum konviktowem w gmachu przy ulicy Miodowej, gdzie dzisiaj ministerjum spraw zagranicznych. Drukowany program „Amerykanów, czyli Alzyry”, który się przechował nosi datę 1750 r.!! Tłumaczył ksiądz Nowaczyński przy pomocy ojców Jordana i Baxtera. Impuls do tłumaczenia dała wysoce chrześcijańska, humanitarna i tolerancyjna tendencja tragedji, w której we „wzruszający sentyment audytorów” sposób figurowaną jest niedola łagodnych, szlachetnych i spokojnych tubylców Indjan z Peru, cierpiących katusze inwazyj okrutnych, dzikich i nieokrzesanych najeźdźców Hiszpanów, wnoszących w idyliczne społeczeństwo ewangelję Chrytusową krzyżackim „ogniem i mieczem“. Szczęśliwą rękę miał ksiądz Nowaczyński wprowadzając na scenę to naówczas skroś modernistyczne o niebywałym egzotycznym kolorycie dzieło Woltera, utwór, w którym potem mógł tak zabłysnąć wielki talent Truskolawskiej, grającej Alzyrę, księżniczkę Potozy i deklamującej w kulminacyjnym dialogu z Zamorem „wodzem Indjan“ uczuciową tyradę:

Cóżby było po koronie!
Nie honoru lecz ciebiem szukała na tronie
Świat mi cały przy tobie taniał i tanieje,
Serce moje za tobą pójdzie w puste knieje!..

W swojej książce o Wolterze mówi p. Smolarski, że tłumaczenie to było nieco za rozwlekłem, „dalekiem od oryginału“ ale i „nieodstępującem od oryginału“, wiernem. Dziwactwo Nowaczyńskiego znane nam z teoryj wygłaszanych w „Prozodji i Harmonji“ przebija się tutaj w rymach złożonych ale fonetycznie melodyjnych, takich jak „za me—tamę“, „resztę dni—oszczędni“, „chęci—a tęci“, „młodość... jednakowo dość“. „Alzyra“ w tłumaczeniu Nowaczyńskiego graną jest przez pacholęta szlacheckie we wszystkich konwiktach pijarskich; istnieją jej afisze z Międzyrzecza, Łomży, Słonima... Alzyra staje się fundamentem repertuaru teatru Wojciecha Bogusławskiego wraz z drugim dramatem Woltera tłumaczonym przez Nowaczyńskiego, t. j. „Meropą“, wraz z Brutusem,

Zairą, Edypem, Mahometem, Semiramidą, Katyliną, Sierotą Chińskim, Śmiercią Cezara, Taukredem. Ponieważ aktorzy widocznie łamią sobie język na dziwactwach językowych Nowaczyńskiego, przeto zachodzi potrzeba nowego tłumaczenia przystępniejszego, płynniejszego i prawdopodobnie nowocześniejszego. Tłumaczy więc po raz drugi Ladwicki dla teatru Ogińskich w Słonimie ale prozą i to pełną błędów, przekształceń i galicyzmów (Dufair 1780); tłumaczenie bez pozwolenia. Przez cały wiek XVIII graną jest więc „Alzyra" w tłumaczeniu Nowaczyńskiego. Dopiero pod r. 1807 zabiera się do tłumaczenia już mistrz prozy, krytyk L. Osiński i wydaje w wyjątkach, pospołu z fragmentami z Woltera innych tłumaczów nadal „dla użytku młodzieży szkolnej Ojców Pijarów! Dopiero przed tłumaczeniem Osińskiego ustępuje tłumaczenie ks. Nowaczyńskiego. Jeżeli tu przydamy, że istnieje jeszcze jedno tłumaczenie z 1817 r., a potem piąte z r. 1883 Adama Jackowskiego, to skonstatować to musimy, że z utworów dramatycznych francuskiej klasycznej literatury tylko „Alzyra" „odkryta" po raz pierwszy przez skromnego księdza Pijara miała tylu tłumaczów i tak długo szczęśliwie bo do r. 1827 utrzymała się na repertuarze! Dobił ją właściwie jak dobił i Zairę Woltera swoim piórem krytycznem Maurycy Mochnacki jeden z tak zwanych „świętych polskich" naszej demokracji, opiewany dla pensjonarek piórem histerjozofa Ar. Śliwińskiego i niezasłużenie pięknym wierszem Lechonia a w rzeczywistości właśnie w tym roku (1827) konfident i ajent ochrany rosyjskiej a jako krytyk plagjator całych stron z krytyków niemieckich.

Drugą tragedją tłumaczoną przez grupę Pijarów, t. j. Nowaczyńskiego przy pomocy tym razem Orłowskiego i Ożgi była Meropa. Grana również przez pacholęta szlacheckie na imieniny, regensa w karnawale, w uroczystości, wydrukowana u Dufoura 1779 r., wchodzi „królowa Messyny" na scenę narodową Bogusławskiego w r. 1792, a patrjarcha sceny polskiej pisze o tym utworze: „jakożkolwiek nieobeznani z podobnemi dziełami zjednali wszelako sobie artyści nasi pochwały zgromadzonych słuchaczów. Owsiński w roli Polifonta dowiódł wyższości swego talentu, a Imci Pani Truskolawska *naturalnem* roli Meropy *oddaniem* wycisnęła łzy z oczu patrzących". (Dzieła r. 1820). Reprezentowaną jest Meropa przez cały szereg lat w tłumaczeniu Nowaczyńskiego, poczem od r. 1803

naprzemian z tłumaczeniem J. Drozdowskiego. W każdym razie te dwie tragedje i jeszcze Zaira oraz Brutus utrzymują się na repertuarze polskim ściśle od r. 1750 do r. 1827. Chyba to jedno już świadczy o teatralnej choćby żywotności i względnej nieśmiertelności utworów scenicznych Woltera, jeżeli się zważy, że ani Corneille, ani Racine bądź co bądź wcale się w tym repertuarze dłużej nie ostali. Świadczy o stosunku Polski Stanisławowskiej do patrjarchy z Ferney pomnik Woltera w Teatrze Łazienkowskim w aeropagu kamiennych dramatystów, gdzie też znalazł się już dzięki świetnej kulturze literackiej wielkiego a nieszczęśliwego ostatniego króla i... Szekspir, w Europie właściwie jeszcze wówczas nie „odkryty" a przez Woltera z podziwem i rewerencją zresztą spostponowany, sponiewierany i przefasonowywany.

Jeżeli teraz przypomnimy sobie, jaką to opinją bogoburcy, wroga chrystjanizmu, nieprzyjaciela Kościoła cieszył się w one czasy autor „Dziewicy Orleańskiej", „Candicha", „Mahometa", „Metafizyki", jak zresztą całkiem niesłusznie Wolter okrzyczany był za ateistę i zwalczany jako wcielony Belzebub, to zaiste zdumiewać się przyjdzie, że mógł się znaleźć duchowny i to prefekt konwiktu, wychowawca dwuch pokoleń młodzieży, tłumaczący utwór takiego bezbożnika jak Franciszek Marja Arouet, chorąży sztandaru: écraser l'infame! To samo pióro, które napisało „Medytacje o męce Chrystusa i czterech rzeczach ostatecznych" (1754), to samo ważyło się tłumaczyć autora wyklinanego tylokrotnie, „szatana w ludzkiem ciele", który przecież o Chrystusie pisał „juif sans lettres" lub „chłopa z Judeji", rzadziej „Sokrates z Galileji". I chyba nic tak właśnie nie charakteryzuje wysokiego intelektualnego poziomu duchowieństwa owej epoki i liberalnej tolerancyjnej atmosfery duchowej w ówczesnym klerze jak to przyswajanie polszczyźnie utworu Wolterjańskiego przez „klechę"...

Czyż na podobny objektywizm, neutralność i tolerancję wobec dzieł swoich antypodów politycznych, duchowych i ideowych mogliby się zdobyć dzisiaj w r. 1920 posłowie z ludowej Polski do Wysokiego Sejmu, obywatele Bobek, Smoła, Czapiński, Bryl, Putek i inne Kotasy posłujący i wygłaszający jarmarczne tyrady o „obskurantyzmie", „ciemnocie", zacofaniu i wstecznictwie hierarchji duchowej w XVIII wieku! Zaiste *difficele est satiram non scribere*, gdy się zestawi rozbrajającą

pasterską prymitywność celebralną naszych szermierzów radykalnych reform, urągających klerowi w dzisiejszym Sejmie z rafinadą umysłową takich „zakonników i braciszków pijarskich z wieku oświecenia“ jak ksiądz Nowaczyński.

Trzeba tu jeszcze przydać, że chociaż w pierwszej erze tłumaczeń Wolterowskich księża rozmiłowani w jego ideach tolerancyjnych i humanitarnych zgoła nie zdawali sobie sprawy, jakiego to konia trojańskiego farmazoństwa oni pierwsi wprowadzają w Sarmację, to już z czasem rozjaśniała im się tendencja pism wielkiego burzyciela średniowiecznych baszt zwłaszcza pod wpływem całego szeregu publikacyj francuskich. Jezuici najwcześniej rozeznali się w dziełach Woltera i rozpoczęli z nim walkę bezlitosną i zajadłą. U nas występują przeciw patrjarsze z Ferney Bohomolec, Łuskina, Konarski, Surowiecki, a najgłośniej Józef Epifani Minasowicz, wydający słynne „Listy Djabła do Pana Woltera” (1761). Wiersz pesymistyczny i bluźnierczy Woltera o „Zburzeniu Lizbony“ wywołuje istną burzę replik i polemik. Pomimo tego światli i z prądem czasów zawsze idący Pijarzy jeszcze w r. 1761 wydają dla swoich elewów i wychowanków dzieło p. t.: „Rozmowy w ciekawych materjach“, gdzie Hobbes, Montesquien, Wolter analizowani i polecani są kształcącej się dorosłej młodzieży jako „mocne duchy“. Już Surowiecki pisze najostrzejsze pamflety o „frakcji Wolterjanów“ a w konwiktach Pijarów nadal gra się zawsze na uroczystościach i festach to Alzyrę, to Meropę, to Mahometa lub Brutusa. Ojcowie Pijarzy wiedzą, że wielki polemista skandalizujący rokokową Europę raz po razu swojemi wystąpieniami jednak w swojem Ferney stawia kaplicę z napisem: „Deo erexit Wolterus“. Przyjazd do Polski cioci Geffrin (1768) i to wraz z autorem wolterjańskich „Opowiastek moralnych“ Marmontelem, pupilem Wielhorskiego (patrz w „Memoirach“ Marmontela tom I, wydanie kompletne z r. 1819) znów we frakcji Wolterjańskiej wzmocnił samopoczucie. Madame przywoziła królowi Stanisławowi listy od Woltera pochlebne i rękopis „Les Lois de Minos“. Nie sposób, żeby apostoł wolterjanizmu Marmontel, przebywając kilka tygodni w Warszawie (80,000 mieszkańców wówczas liczącej) nie zetknął się tu z grupą tak prononsowanych wielbicieli kunsztu Woltera jak Ojcowie Pijarzy, nie sposób żeby, jako ciekawy turysta, nie zwiedzał tego konwiktu, w którego głównej sali recreatorium grało się latami

kolejno kilkanaście sztuk Wolterowskich, gdzie starsi uczniowie musieli studjować obligatoryjnie: „Rozmowy w ciekawych materjach". Nie sposób też, żeby nie zetknął się z wychowawcą synów Czartoryskiego ozdobionym królewskim orderem: bene merentibris prefektem Collegium Nobilium. I tylko Marmontel lub ciocia Geffrin byli w stanie zdementować też i przed królem i przed dworem obiadów czwartkowych uczestnikami te nieprzeliczone bajdy, kłamstwa, legendy i potwarze jakiemi jak każdego satyryka opajęcza animozja wszystkich dotkniętych tak i Woltera na najczarniej obmalowywała stugębna fama przez pygmejów i myrmidonów o nim fabrykowana i rozsiewana. Że mogli przekonać i księdza Nowaczyńskiego i że ten do późnej starości zachował kult dla wielkiego filozoficznego pamflecisty tego dowiódł już choćby tem, że Nowaczyński nie zawahał się w r. 1779, t. j. w 30 lat po pierwszem tłumaczeniu „Alzyry" wydać w druku u tegoż Dufoura: „Meropę" mimo tego, że na skutek kontragitacji Bohomolca, Łuskiny, Konarskiego, Surowieckiego już wtedy ze wszystkich ambon wyklinano Woltera i jako wcielenie satanizmu „powstydzano". Wolterjanizm tego prefekta Pijarów musiał w ostatnich czasach wzmocnić jeszcze kult, z jakim ten pierwszy dramaturg i pierwszy dziennikarz wieku oświecenia odnosił się do osoby króla Stanisława. Pijarzy byli monarchistami zdecydowanymi i raczej zwolennikami absolutyzmu byle oświeconego i światłego; zasady te wpajane w młodzież wzorowo edukowaną dojrzały potem w mężach Konstytucji 3-go Maja rozszerzających kompetencję i prerogatywy królewskie. Wolter, jak wiadomo, interesował się bardzo ustrojem rządu w Polsce, nie zachwycał się ani indywidualistyczną demagogją liberum veta, potępiał pacta conventa i inne wadliwości prawne, dziwił się straszliwemu zaniedbaniu i wzgardzie przemysłu i handlu, oburzał się rozpanoszeniem żydowstwa w Polsce (Dzieje Karola XII „Précis de siécle de Louis XV), ostrzegał przed antyrosyjskim kursem polityki konfederackiej w trzech z koleji broszurach (O niezgodzie kościołów w Polsce, Przemowa do konfederatów, Kazanie ojca Mikołaja Chariteski w kościele św. Tolerańskiego), podpierał ze wszystkich sił króla Stanisława w jego dążnościach do nierozjątrzania Rosji i stworzenia jakiegoś modus vivendi z państwem Semiramidy Północy. Wnioskując z mocnych akcentów poczucia solidarności wszech-

sławiańskiej w książce ks. Nowaczyńskiego o „Prozodji i Harmonji“, wnioskując następnie z tego, że ks. Nowaczyński przetłumaczył także mocno legitymistyczno-monarchistyczną książkę Bielefelda: „Les instructions politiques“, można tu wyrazić supozycję, że i polityczne stanowisko Woltera, jego pogląd na stosunek Polski do Rosji, jego doradzanie Polsce wzmocnienia monarchji bardzo przypadły do smaku i konwenjowały światłemu Pijarowi. Można sobie imaginować, z jaką satysfakcją byłby tłumaczył już w późnych latach swoich tragedję „Les Lois de Minos“, gdzie w greckiej masie i w greckich kostjumach przedstawił Wolter Polskę Stanisławowską przeniesioną w starożytność i na Kretę... nie szczędząc najostrzejszych barw na odmalowanie anarchicznych kretynów a gloryfikując oświeconego, mądrego, przewidującego króla Teucera... Poniatowskiego. Niestety w następnych latach Wolter przeszedł już całkowicie na służbę Katarzyny II, pozostając nadal wiernym wielbicielem i... Fryderyka II... Polskę nazywając bezecnie „un vrai gâteau des rois“... i aprobując pierwsze „demembrement“. O tem już nasz ksiądz Wolterjanin szczęśliwie wiedzieć nie mógł, ani tego nawet przeczuwać ni przewidzieć. Podczas pierwszego rozbioru przebywał w Rzymie...

Umarł siedemdziesięciosiedmioletnim starcem bene meritus. Pogrzebion przy kościele w Raszynie pod Warszawą...

Z poczucia radosnej dumy, że taki tego nazwiska wcale dziwny człowiek choć skromny sobie pracownik w winnicy Pańskiej kultury polskiej kiedyś pracował i działał, skoro ni marmurowego, ni spiżowego pomnika mu nie postawiono, papierowe monumentum *aere peremnius* w niniejszem szkicu najmiłościwiej mu się funduje i stawia. Wnet się z nim na elizejskich łąkach spotkamy, a może wtedy rozrzewniony i wdzięczny za pośmiertną reklamę ksiądz prefekt za grzesznikiem z tego samego gniazda się wstawi, zaproteguje i z piekła, gdzie Woltery wielkie i małe pokutują, jednak wybawi. Amen.

PRZYPISKI AUTORA.

I) Studja z literatury angielskiej (Polonjusz, Polska w literaturze angielskiej i Joseph Conrad) z tego względu zasługują na specjalne wyróżnienie czytelnika, że dostarczają dowodu i stwierdzają do jakich rezultatów opanowania pewnego przedmiotu można dojść przy najwyższem napięciu energji pisarskiej idąc właśnie linją największego oporu. Zupełnie wyjątkowa ich oryginalność polega głównia na tem, że autor studjów nie władając w tej mierze językiem angielskim, żeby literaturę tę czytać w oryginale zna ją głównie z tłumaczeń, a tylko z literaturą krytyczną o omawianych tu autorach starał się z dość dużym zresztą wysiłkiem zapoznać się w oryginale. Właściwie te trzy prace powinien był napisać jedyny anglista polski prof dr. Roman Dyboski. Niestety młody ten a tak świetnie zapowiadający się uczony i w równej mierze artysta przepadł w piekle bolszewickiem w niewoli aż gdzieś pono w Krasnojarsku. Słuch o nim zaginął a wszelkie starania od 2 lat przez ministerjum spraw zagranicznych czynione dotychczas nie odniosły żadnego skutku. Nie traćmy nadzieji, że tak już zasłużony w trudzie zapoznawania nas z literaturą angielską uczony, który w r. 1913 założeniem seminarjum anglicystycznego przy uniwersytecie Krakowskim położył podwaliny ważnego kulturalnego przedsięwzięcia jednak się odnajdzie. Jako jedyny w Polsce Szekspirolog, godny kontynuator Koźmiana, Kraszewskiego, Spasowicza, Matlakowskiego tylko on jeden kompetentny jest do wydania sądu co w tych trzech pracach z angielskiej literatury jest trwałem i wartościowem a co... piaskiem...

II. Studjum „O Polonjuszu" jest owocem dwudziestoletnich badań, zapisków, notatek, korespondencyj, prób wszczętych dwadzieścia lat temu przeszło z impulsu prof. Creizenacha, kontynuowanych w Monachjum a dojrzałych dopiero po roku jubileuszowym do syntetycznej impresji. Kiedy pierwszy rozdział wydrukował warszawski „Nowy Przegląd literacki", pojawił się w krakowskiem piśmie socjalistycznym paszkwil jakiegoś żydłaka tamtejszego, wabiącego się Haecker, Emil Haecker, stwierdzający z dużą dozą zuchwałości, że wnosząc już z tego rozdziału praca ta jest „bezczelną mieszaniną plagjatu i blagi", „rzeczą szpecącą, obniżającą poziom pisma, „wprost przykrą", „sowizdrzalską facecją", „niezdarnym plagjatem" „wprost kradzieżą literacką" pełną „nonsensów" „zmyśleń", „najjaskrawszych głupstw", „maskaradą naukową bezczelnego błazna" i t. p. Oczywiście wdawać się w polemiki, odpowia-

dać na tego rodzaju bezceremonjalną „recenzję“ nie ma sposobu; tu już trzebaby chyba wysłać tam zaufanego do specjalnych poruczeń legata, którydy polemikę z takim intelektualistą z „Nowych Aten“ przeprowadził szpicrutą i dotkliwym gestem doprowadził zaplutego jingełesa do opamiętania i porządku. Atoli ten pan towarzysz Haecker nie działał tu w pojedynkę, z własnej inicjatywy (aczkolwiek i sam insekt przyszpilowy w mojem „Mocarstwie Anonymowem“ i kilkakrotnie skarcony za swe niecne polityczne pisanki w „Naprzodzie“ miałby impuls do szukania łatwej zemsty). Jingełesa pchnął i jingełesowi suflerował autor doskonałej i niestety mało rozpowszechnionej książki pt.: „Rzeczpospolita polska w literaturze politycznej Zachodu“, dzieła w napisaniu niniejszej pracy o Polonjuszu bardzo pomocnego a niecytowanego specjalnie nie z jakiejś broń Boże specjalnej animozji do autora (podczas wojny mocno zresztą skompromitowanego) ale z tej prostej przyczyny, że nie sposób było cytować skrupulatnie wszystkie tomy i źródła, które się do tej pracy przez przeszło dwadzieścia lat czytało lub wertowało. Dzięki temu jednakże suflerowi, uczonemu o istotnie zdumiewającej erudycji i pracowitości, ale niepotrzebnie zaraz zirytowanemu i rozjadowionemu przypadkowem wyłącznie niezaregestrowaniem i jego bogatej w rewelacyjne szczegóły książki, udało się obskurnemu Haeckerowi, cuchnącemu na kilometr judejską mstliwością wpisać w swój plebejski paszkwil między rynsztokowe obelgi wyzwiska kilka zarzutów słusznych, wykazać kilka błędów istotnych. Oczywiście tych błędów jest znacznie więcej, niż to sobie wynotował skrzętnie słuchający prof. Kota żydaczyna, wierzgający z żałości, że udało mu się wyiskać je już tylko z pierwszego rozdziału. Z wielką satysfakcją prostujemy tu, to co się wkradło błędnego, żałując tylko, że po każdym z następnych sześciu rozdziałów wszechstronnie orjentujący się w tej epoce prof. Kot nie dawał plugawemu skrybie z „Nowych Aten“ nowego obciążającego materjału. W oryginale szkicu o Polonjuszu uważaliśmy za stosowne z pietyzmu wszystkie błędy zachować w... oryginale:

Joannes Lasco dziewięcioro dzieci miał z pierwszą żoną, nie z drugą Angielką. Drugiemu Łaskiemu na imię było Olbracht nie Olbrzych. Wyrażenia „antimurale Christianitatis“ o Polsce Macchiavelli nigdzie nie używa. Bodin nigdy nie był profesorem. Duplessis de Mornay był głową Kalwinów francuskich a nie papistą. Euphoriom nie jest tytułem dzieła Barclaya a pseudonimem. „Icon animorim“ jest jednym z rozdziałów książki pt.: „Satyricon“. Król Henryk III nie jest oczywiście „późniejszym Henrykiem IV. Hipotezę o pochodzeniu Polonjusza od Goślickiego postawił prof. Golancz, o czem autor pracy o Polonjuszu sam właśnie pisał obszernie w dodatku literackim do warszawskiej „Gazety Nowej“ w r. 1910. Inne błędy wykazane nam przez plugawego napastnika są albo rozdętem kłamstwem albo oszustwem, normalnem u tej maści Haeckerów; jeden Haecker fałszuje tysiącmarkówki, inny Haecker handluje żywym towarem; może się więc znaleźć i taki „Emil“, którego wynajmuje sobie na godzinę rozgoryczony profesor, aby z za węgła krakowskiego rzucał błotem w szybę przejeżdżającej karety.

III. Szkic o „Polsce w literaturze angielskiej“ drukowany był w warszawskiem Ateneum w tym samym roku, w którym w piotrogrodzkim miesięczniku „Myśl Narodowa“ drukował oddzielony linją bojową wojsk pracę o „Anglikach o Polsce“ prof. Roman Dyboski (1916). Ponieważ to jest publicystyczny szkic pisany głównie w tym celu, aby w czasach okupacji pruskiej przemycić pod literackim pretekstem jaknajwiększe dozy sympatyj i kultu dla Wielkiej Brytanji a praca prof. Dyboskiego jest prawdopodobnie naukową, skrupulatną, na bezpośredniem badaniu źródłowem opartem wyczerpaniem tematu, przez to należałoby już pomyśleć przy tej sposobności i zabrać się do wydania wszystkich dotychczasowych prac prof. Dyboskiego porozrzucanych po pismach. Szkic w tym tomie zawarty winien być tylko podnietą i zachętą do prac naukowych i autentycznych.

IV. Rapsodja o Skamandrytach wywołała wyjątkowo żywy rezonans w zajmującej się literaturą młodej inteligencji. Przedewszystkiem reagowali na nią liczni poszkodowani i uciemiężeni. Cisnął się i wywijał olbrzymią pałą nabijaną impertynencjami p. Pieńkowski; podstawiła nóżkę tam gdzie podkowy kują Centaurom żaba nadęta swą socjalistyczną erudycją p. Błeszyński. W warszawskiej Trybunie wprost wspaniałą druzgocącą diatrybę wygrzmiał p. Irzykowski, poczem dawszy się nabrać na lep kilku komplementów i t. zw. „szlachetną zemstę murzyna“ ni ztąd ni zowąd nagle zmiękł, rozbeczał się i w tejże samej „Trybunie“ (nr. 31 z 6 Sierpnia 1921) piśmie jak widać z tego niepoczytalnie redagowanem w artykulasie p. t.: „Fajka pokoju“ przykląkł na jedno kolano i bijąc się w piersi kosmate tak głosem załzawionym wyryczał: „swoim manewrem strategicznym p. Now sprawił, że znalazłem się w sytuacji takiej jak bandyta, który uzbrojony od stóp do głów wysadziwszy okna i drzwi oblężonego domu wtargnął do wnętrza i znalazł tam bezbronnego (?) i Bogu ducha winnego (?) gospodarza, który uprzejmie podając napastnikowi doskonałe (?) cygaro, pyta go czemu zawdzięcza tak miłą wizytę... O ile nas pamięć nie zawodzi autor przepysznej „Pałuby“, próżniaczący tak bezecnie całe lata, całe okresy, zanim jeszcze odsądził od czci i wiary „Kalamburdę warszawskiego“ istotnie zaszczycił nas w tym roku swoją wizytą ale pomimo że naprawił i namamroczył nam dużo komplementów i duserów „doskonałym cygarem“ poczęstowany nie był z tej prostej przyczyny, że naprawdę doskonałe cygaro kosztuje dziś 300—400 marek. Szkic o Skamandrytach jest przerysowany i ma za wysoką temperaturę uczuciową; na usprawiedliwienie przytoczyć można to, że pisany był w lipcu przy 30% Celsjusza w cieniu. Nadwyżkę furji skierowanej przeciw p. Pieńkowskiemu, cokolwiek istotnie niesprawiedliwej należy umotywować osobistą animozją autora, mszczącego się (w momencie pisania nawet bezwiednie) za bagatelne potraktowanie przez tegoż p. Pieńkowskiego ostatniego utworu dramatycznego autora szkiców „Pułaskiego w Ameryce“.

V. Einsteina autor niniejszych Szkiców nie czytał ani jednej pracy. Nie jest wykluczonem, że gdyby Einstein nie był obrzezańcem i gdyby jego glorję nie szerzył obowiązkowo każdy Lorja, Kohn, Kahane, Brandes, Rosenzweig, Quargelduft i t. p. nie znalazłoby się

w tym tomie entuzjastyczny bodaj feljeton o takim Jozuem. Do tego atoli trzeba mieć fundamentalną wiedzę przyrodniczą.

VI. W „Dalili Rosji“ jest stosunkowo dużo błędów chronologicznych i nieco faktycznych. Ale nie w tem rzecz. Czytać trzeba raczej jako nowelę o historycznym podkładzie.

VII. W odpowiedzi na aluzjonizm feljetonów o Arystofanesie wykoncypował literat Hoesick, Ferdynand, podstarzałe pacholę intelektualne pasowane na rycerza dla kabaretów przez księcia prozy Boya feljeton pt: „Perykles“. Czy takowy Hoesick dostanie za to kiedyś jakiś order to jeszcze kwestja.

VIII. O „szkole Krakowskiej“ historycznej, o Stańczykach o neostańczykach, o kohnserwatyzmie krakowskim i o Krakowie jako gnieździe germanofilskich bakcylów a raczej gnieździe serwilizmu integralnego wogóle napisany będzie tom odrębny a obszerny.

IX. Joseph Conrad-Korzeniowski w początkach wojny europejskiej przyjechał do ojczyzny. Niestety, trafił nie do Polski, a do c.-k. Krakowa. Jakiś czas bawił w Zakopanem, przypatrzył się nieco bliżej ludziom i stosunkom i widząc „rodaków“ z takim zapałem formujących ochotnicze pułki do dyspozycji erchercogów Fryderyka, Piotra, Józefa, Karola i t. p. „salvatorów“ z mocnem zdegustowaniem kazał pakować kufry. Sprytne i skrzętne krakauerskie głowacze próbowały go jeszcze zyskać i zjednać dla ideologji enkainitów, przekonać o genjuszu wojennym naszego Garibaldiego i genjuszu dyplomatycznym zespołu krakauerskich Cavourow, ale się przerachowali. Conrad był zachodnim europejczykiem, nie centralnym i nie „wiedeńskim“. Wyjechał z powrotem z nieukrywanem obrzydzeniem. Żywiąc wstręt do Rosji Lenina i Trockiego nie jest też zachwycony Polską Piłsudskiego i Askenazów. Przed wojną polskość swego pochodzenia kilkakrotnie z dumą manifestował, obecnie od trzech lat niema w kwestji polskiej ani o Polsce, ani dla Polski nic do powiedzenia. Niestety! Głos bowiem tego po Paderewskim i Sienkiewiczu najsławniejszego wśród Anglosasów Polaka mógłby był kilkakrotnie w rozwiązaniu różnych problemów mocno zaważyć. Szczególnie w sprawie posiadania Gdańska i dostępu istotnego do morza... ten cudów morza największy wszechczasów piewca jednak winien był słówko przemówić. Niestety zetknął się po latach i poznał trafem polskość nie autentyczną, a jej krakauerski ersatz, namiastek.

BIBLJOGRAFJA O GDAŃSKU I POMORZU.

Wojciech Kętrzyński. Granice Polski z X wieku. Kraków 1819 (z mapą).

Franc. Duda. Rozwój terytorjalny Pomorza Polskiego (wiek XI i XII z mapą. Kraków 1909).

X. Stan. Kujot. Dzieje Prus Królewskich. Toruń. (Roczniki Towarzystwa Naukowego, 1913-19).

W. Kętrzyński. O ludności polskiej w Prusiech niegdyś Krzyżackich, Lwów 1882 (z mapą).

W. Kętrzyński. Prusy a Polska przed przybyciem Krzyżaków (Przegl. nauk.-lit. 1881).

W. Kętrzyński. O powołaniu Krzyżaków przez ks. Konrada (z mapą). Kraków 1903.

X. St. Kujot. Czternasty Listopada 1308 na Pomorzu gdańskiem.

M. Perlbach. Pomerellisches Urkundenbuch.

J. Caro Geschichte Polens I. II.

Dr. Damus. Die Stadt Danzig gegenueber der Politik Friedrich des Grossen 1887.

Bernard Chrzanowski. Na kaszubskim brzegu 1910.

Nad polskiem morzem 1913.

Z wybrzeża i o wybrzeżu 1917,

Tetzner. Slowinzen und Leba-Kaschuben Danzig.

D. Lorentz. Das gegenwaertige Verhaltniss der polabischen Sprachen.

Deotyma. „Panienka z okienka“ powieść gdańska 1884.

Pismo **Bandera Polska** 5 zeszytów.

A. Chołoniewski. Gdańsk i Pomorze Gdańskie 1918.

Bron. Ślaski. Materjały i przyczynki do dziejów pomorskiego miasta Pucka. Z mapką. Warszawa 1916 r.

Kazimierz Głabisz. Gdzie nasze Kresy Zachodnie? Poznań 1920.

Ksiądz Henr. Gołębiowski. Obrazki rybackie. Pelplin 1888.

Edward Maliszewski. Zachodnie dzielnice Polski. Warszawa 1919.

Edward Maliszewski. „Granice Polski na Zachodzie“ 1919. (Ziemia).

Mściwój Żahoda. Zachodnia granica Polski. Warszawa 1918 r.

Roman Zawiliński. Z kresów Polszczyzny, Kraków 1912 r.

Pomorze Kaszubskie. Zeszyt monograficzny. Warszawa 1911 r.

Konst. Ramult. Słownik języka pomorskiego oraz kaszubskiego 1893 r.

Bronisch. Kaschubische Dialektstudien.

Marcelina Kulikowska. Z wędrówek po kraju. Kraków 1911 r.

Gustaw Freytag. Koenig Markus, powieść gdańska.

Max Halbe. „Strom“ dramat nad Wisłą. 1910.

H. Suderman. Strandkinder, dramat w 5 aktach, dziejący się w Gdańsku i na Helu.

W. Gomulicki. Pieśń o Gdańsku.

Dr. Florjan Cejnowa. Skorb Kaszubsko-słowińscy mowe. 1850.

Dr. Al. Majkowski. Śpiewy i frantowci.

Mittheilungen: der Volkskunde dr. Lorentza.

Gryf: miesięcznik w Kościerzynie pod redakcją dr. Majkowskiego.

Dr. Adam Kleczkowski. „Rejestr budowy galeony“. Zabytek z r. 1572. Kraków 1919.

Juljane Karwath. Katharyna Hoberbeck. Berlin E. Fleischel 1920. Powieść z Prus Zachodnich.

Georg Gothein. „Das selbstaendige Polen als Nationalitatenstaat. Stuttgart. 1919.

Marjusz Zaruski. „Współczesna żegluga morska“. Warszawa, 1920. Wyd. M. Arcta.

G. Tetzner. Slovinzen und Leba Kaschuben. Danzig.

Tymieniecki. Proces polsko-krzyżacki 1320. Przegląd historyczny. Tom XXI.

C. Quandt. Die Polen in Danzig. 3 wydanie 1903. Hellmuth Wollerman.

Max Geisler: Die Wacht im Polen. Roman. Leipzig, 1916.

Józef Grajnert. O Marciku Kaszubie, powiastka z 15 stulecia. Warszawa 1904.

Johannes Mühlradt. Die Tuchler-Heide im Wort und Bild. Danzig 1908.

Dr. Karol Hoffman. Westpreussen als Sinnbild, Leipzig, 1920.

Richard Skowronek. Der Weisse Adler, powieść, 20 tysiąc. Ullstein, 1920.

Max Worgitski. Geschichte der Abstimmung in Ostpreussen. Verlag. Koehler, Leipzig 1921.

Ostdeutsche Monatshefte: Heft 7, „Die Weichsel“ 1920. Heft 6. Masuren 1921.

Harry Schuman: Unser Masuren in Forschung und Dichtung. 1921. Leipzig.

SPIS RZECZY.

TEGOŻ AUTORA.

I. **Studja i szkice**. Tom I. 1901. T. T. Heine. P. Scheerbart, Multatuli, Conperus, Ada Negri Cellini, d'Annunzio, Hogarth, Do Damaszku, Anarchja literacka w Niemczech, Boecklin, Podhalanie, H. Becque.

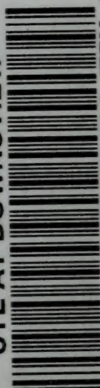
II. **Wczasy literackie**. Studjów i szkiców tom II. 1905. Aretino, Mâitre, Rabelais, Pan Weyssenhoff, Villo, Krasiński, Merimée, Pani Hanska, „Kościuszko" Grabbego, T. Miciński, „Zmartwychwstanie Bogów" Mereżkowskiego, G. B. Shaw „Wieczory nad Lemańskiem".

III. **Wizerunek Mikołaja Reya z Nagłowic**. 1905. Studjum.

IV. **Oskar Wilde**. Studjum 1906.

V. **„Co czasy niosą".** Studjów i Szkiców tom III. 1908. Japońskie Haikai. Literatura Erynu, Hellada w Wyspiańskim. Arystofanes po polsku.

VI. **Szkice literackie.** Tom IV. 1918. Sowizdrzał de Costera, Verhaeren, V. Alfieri, Kultura Czechów, Goethe jako wychowawca, pan de Beaumarchais.


UTL AT DOWNSVIEW
D RANGE BAY SHLF POS ITEM C
39 12 26 07 01 013 6